

40 LAT MINĘŁO... WYDZIAŁOWI WYCHOWANIA FIZYCZNEGO W BIAŁEJ PODLASKIEJ



AKADEMIA WYCHOWANIA FIZYCZNEGO Józefa Piłsudskiego w Warszawie

40 lat minęło...

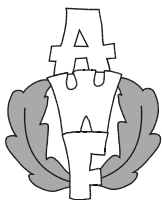
WYDZIAŁOWI
WYCHOWANIA FIZYCZNEGO
W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Biała Podlaska 2010



40 lat minęło...

Wydziałowi
Wychowania Fizycznego
w Białej Podlaskiej



80 LAT

AKADEMIA WYCHOWANIA FIZYCZNEGO
Józefa Piłsudskiego w Warszawie

Zamiejscowy Wydział Wychowania Fizycznego
w Białej Podlaskiej



40 LAT

40 LAT MINEŁO...

WYDZIAŁOWI
WYCHOWANIA FIZYCZNEGO
W BIAŁEJ PODLASKIEJ

**Zjazd Absolwentów
z okazji 40-lecia Uczelni
11-12 września 2010 r.**

Biała Podlaska

Copyright © by Zamiejscowy Wydział Wychowania Fizycznego
w Białej Podlaskiej

Redakcja:
Teresa Jaślikowska-Sadowska

Opracowanie techniczne:
Bożena Jarocka, Przemysław Kizeweter,
Radosław Korniluk, Marcelina Tkaczyk

Projekt okładki:
Teresa Jaślikowska-Sadowska, Bożena Jarocka

Wydawca:
Akademia Wychowania Fizycznego
Józefa Piłsudskiego w Warszawie
Zamiejscowy Wydział Wychowania Fizycznego
w Białej Podlaskiej

ISBN 978-83-61509-08-0

Skład i druk:
Usługowy Zakład Poligraficzny „INTERGRAF”
Międzyrzec Podlaski, ul. Warszawska 33

SPIS TREŚCI

Wstęp	7
Władze uczelni (2008 – 2012)	9
Przegląd wydarzeń (2005 – 2010)	11

Zachowane w pamięci...

Bołoban Wiktor: 100 lat!	21
Bytniewski Mieczysław: Od 1111 km do 5555 km	25
Jaślikowska-Sadowska Teresa: „Kawiarenka u Bochenka”	37
Kamińska Wanda: Cienie i blaski administrowania w Uczelni białskiej	41
Kudelska-Huk Anna: Działalność naukowo-badawcza	51
Mierzwiński Henryk: Nie przepracowałem ani jednego dnia... ..	57
Nowowiejski Andrzej: Pracownia Gimnastyki a stan wojenny	63
Obuchowski Stanisław: Zawód: stolarz – artysta	73
Rowiński Jan: Pałeczka z czarnego dębu	81
Sadowski Jerzy: Z perspektywy 20 lat	89
Starosta Włodzimierz: Wspomnienia z pracy w białskiej uczelni... ..	113
Trzeciak Krystyna: Z pamiętnika lekarki... ..	139
Trzeciak Leon: Wspomnienia „starego belfra”	149
Żukowska Zofia: Moje związki z Uczelnią w Białej Podlaskiej	163
Rzemek Marek (1974): To były czasy	165
Makaruk Arkadiusz (1975): Wspomnienia z okresu studiów w AWF... ..	171
Kozłowski Waldemar (1976): Z archiwum mej pamięci... ..	189
Plizga Teresa (1977): Z pamiętnika absolwenta	217
Skrajnowski Marian (1977): Ze studiów na AWF w Białej Podlaskiej... ..	225
Szychowski Krzysztof (1977): Co zostało w pamięci z tamtych lat?	243
Wnuk Cezary (1977): Kilka słów 55 latka pisanych prozą... ..	273
Cepryńska-Ciekawa Katarzyna (1979): Wspomnień czar... ..	283
Nowowiejski Andrzej (1980): Akademik lat 70-tych	289
Krawczyk Bolesław (1980): Odkurzone wspomnienia	317
Niedźwiecki Maciej (1981): FAWF 1977-1981	321
Parnicka Urszula (1985): Moje wczoraj i dziś	329

Szpilewska-Kowczur Danuta (1985): A było to tak... ..	337
Paweł Różański (1994): Ciągle mi mało... ..	343
Świerk Mariusz (1995): Wspomnienia	359
Bukrewicz Paweł (1998): Oto moje krótkie „wspominki”	363
Zieliński Janusz (2000): Garść wspomnień z lat 1995-2000	365
Tarnowski Sebastian (2007): Wspomnienia z za siatki... ..	371
Marcinkowski Andrzej (2008): Ze wspomnień „wiecznego studenta”	377
Fonderski Tomasz (2010): Wspomnienia, które zmieniły moje życie... ..	383
Woźniaczy Anna i Piotr: Czar AWF-u... ważna część naszego życia.....	393

Biogramy

Cicirko Zofia: Pedagodzy, o których powinniśmy pamiętać	399
Nowowiejski Andrzej i przyjaciele: O Zeni	469
Jaślikowska-Sadowska Teresa: List do T... ..	475
Jaślikowska-Sadowska Teresa: Dom do góry nogami	481

Wstęp

„Upływa szybko życie, jak potok płynie w dal...”

Rzeczywiście, jak w słowach piosenki, szybko minęło 5 lat od ostatniego jubileuszu Uczelni i zjazdu absolwentów. Zachęcona przychylnymi opiniami po pierwszej książce, wydanej na Jubileusz 35-lecia naszej Uczelni, postanowiłam zebrać materiał do II tomu wspomnień. Od dłuższego czasu myślałam, jakie treści mogłaby zawierać kolejna książka? Kogo poprosić o napisanie wspomnień? Jak dotrzeć do jak największej liczby pracowników, absolwentów i kto mógłby coś ciekawego napisać? Staralam się różnymi sposobami przekazać informację, że w związku z Jubileuszem 40-lecia Wydziału będzie przygotowywany II tom wspomnień i każdy chętny może być ich autorem. Zamieściłam informację na stronie internetowej Uczelni, telefonowałam do znajomych, pisałam pisma do zakładów i katedr, w których pracują nasi absolwenci, kontaktowałam się również przez „Naszą klasę”, wreszcie osobiście prosiłam byłych i obecnych nauczycieli, pracowników administracji, obsługi oraz absolwentów, w każdej nadarzającej się sytuacji.

Ta książka jest zbiorem prac tych, którzy chcieli powrócić do dawnych lat i przypomnieć sobie i czytelnikom, jak to dawniej bywało. A wydarzyło się wiele, bardzo wiele w życiu Uczelni, w ciągu 40 lat jej istnienia. Chciałam, aby chociaż część z tamtych wydarzeń zapisać na kartach książki i, aby pamięć o ludziach i zdarzeniach nie zginęła. Myślałam także o tym, aby przedstawić tych absolwentów, którzy po studiach osiągnęli sukces (w różnych dziedzinach życia), i którzy są powszechnie znani. Są wśród nich trenerzy kadr, mistrzowie sportu, artyści, dziennikarze, urzędnicy państwowi wysokiego szczebla, olimpijczycy itp. Niestety, chyba nadmiar obowiązków spowodował, że mimo wcześniejszych obietnic, nie przesłali na czas swoich prac. No cóż, może w następnej książce?...

Drodzy czytelnicy, zawarty w niniejszej książce materiał jest zbiorem wspomnień bardzo osobistych, których forma w żaden sposób nie była narzucona. Każdy autor pisał o tym, co uznał za ważne i ciekawe, według własnej koncepcji. Dlatego nie powinna być ona traktowana jako książka historyczna czy praca monograficzna. Jest to raczej zbiór wspomnień, często bardzo emocjonalnych. Wydarzenia aktualne przeplatają się z dawnymi. W części, zatytułowanej: *Zachowane w pamięci...* zawarte są wspomnienia pracowników oraz absolwentów. Pierwsze ułożone są według alfabety (nie zawierają tytułów ani stopni naukowych przed nazwiskiem autora, aby uniknąć jakiegokolwiek klasyfikacji). Wspomnienia absolwentów ułożone są w kolejności roku ukończenia studiów.

Dzięki zaangażowaniu dr Zofii Cicirko, w książce znajduje się część poświęcona nauczycielom akademickim, którzy pracowali w naszej Uczelni, a którzy odeszli już „na inną pedagogiczną służbę”.

Jeśli znajdziecie Państwo w tej publikacji jakieś błędy lub nieścisłości, z góry za nie przepraszam. Książka, z przyczyn obiektywnych, powstawała w trudnych i napiętych terminami okolicznościach. Mam jednak nadzieję, że chociaż fragmenty z historii naszej Uczelni udało się ocalić od zapomnienia dzięki tym, którzy odpowiedzieli na moją prośbę i napisali wspomnienia.

Wszystkim autorom składam serdeczne podziękowania, a czytelnikom życzę przyjemnej lektury.

Teresa Jaślikowska-Sadowska

WŁADZE UCZELNI 2008 – 2012



Prodekan ds. Kształcenia
dr hab. prof. nadzw.
Krystyna Górniak



Dziekan ZWWF
dr hab. prof. nadzw.
Jerzy Sadowski



Prodekan ds. Nauki
dr hab. prof. nadzw.
Andrzej Mastalerz



Prodekan ds. Kierunku
Wychowanie Fizyczne
dr Hubert Makaruk



Prodekan ds. Studentów
dr Marcin Bochenek

Doświadczenie + młodość ≈ SUKCES

ZACHOWANE W PAMIĘCI...

Przegląd wydarzeń

2005 (czerwiec – grudzień)

- ◆ Nastąpiła zmiana władz w AWF Warszawa oraz ZWWF w Białej Podlaskiej: rektorem został prof. dr hab. Henryk Sozański, prorektorem ds. rozwoju i kształcenia zamiejscowego dr hab. prof. nadzw. Jerzy Sadowski (wrzesień).
- ◆ Dziewięciu nauczycieli uzyskało stopień doktora (A. Czeczuk, M. Skiert, B. Długołęcka, T. Niżnikowski, G. Godlewski, H. Makaruk, A. Chwałuk, M. Zalech, D. Bylina).
- ◆ W dniu Święta Patrona Szkoły aula otrzymała imię prof. Romana Trzeźniowskiego, a sala wykładowa nr 3 w budynku głównym Uczelni imię doc. dra Antoniego Olszowskiego (5.12.).
- ◆ W ramach wymiany zagranicznej gościli u nas: prof. J. Abrantes (Lizbona – Portugalia), 19-21.05., prof. Bohuslav Hodan (Olomuniec – Czechy), 21.06.
- ◆ Na obiektach ZWWF odbyły się 81 Indywidualne Mistrzostwa Polski Seniorów w Lekkiej Atletyce (24-26.06.), zawodnicy AZS-AWF zdobyli złote medale: Marzena Wysocka w rzucie dyskiem i Andrzej Krawczyk w rzucie dyskiem.
- ◆ Na Mitingu LA w Norrtelje (Szwecja) Andrzej Krawczyk zdobył złoty medal w rzucie dyskiem, uzyskując minimum na MŚ w Helsinkach.
- ◆ Drużyna piłkarzy ręcznych AZS-AWF zajęła 3 miejsce w X Akademickich Mistrzostwach Polski w Grach Zespołowych (Katowice, 28-31.08.).
- ◆ W Młodzieżowych Mistrzostwach Polski w Podnoszeniu Ciężarów do lat 23 złoty medal zdobył Artur Pomiankiewicz (Tarnowskie Góry, 1-2.10.).
- ◆ W Pucharze Świata w Gimnastyce Sportowej Joanna Skowrońska dobyte srebrny medal w finale skoku i zajęła 6 miejsce w finale ćwiczeń wolnych (Stuttgart-Niemcy, 21-23.10.).
- ◆ Na Mistrzostwach Świata w Gimnastyce Sportowej Joanna Skowrońska zajęła 8 miejsce w finale skoku (Melbourne-Australia, 25-26.11.).

2006

- ◆ Zmarł ojciec prof. dr hab. Jerzy Cygan (18.06.).
- ◆ Zmarł prof. Antoni Ciepiela.
- ◆ Przekazano do użytku nową pływalnię oraz budynek dydaktyczno-socjalny „Agat” (3.03.).
- ◆ Odbyła się Konferencja Międzynarodowa nt. „Uwarunkowania rozwoju dzieci i młodzieży wiejskiej” (6-7.06.).

- ◆ Odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt. „Walory turystyczne Euroregionu Bug jako czynnik aktywizacji gospodarczej i integracji społeczno-kulturowej w zjednoczonej Europie” (14-15.09.).
- ◆ Na wyjazdach zagranicznych (dydaktycznych i stażach) przebywali: dr Agnieszka Jadach – Niemcy, dr Adam Czaplicki – Portugalia, dr Krzysztof Piech – Łotwa.
- ◆ Uczelnia gościła naukowców z zagranicy: prof. Ejgil Jespersen – Norwegia (18.02.), prof. Michaił Szestakow – Rosja (4-9.05.), prof. Uldis Gravitis, prof. Viesturs Krauksts, prof. Andris Konrads, prof. Uldis Sfinks – Łotwa.
- ◆ W Młodzieżowych Mistrzostwach Polski w LA złoty medal w rzucie dyskiem zdobyła Agnieszka Jarmużek (Toruń, 26-27.08.).
- ◆ Odbyły się I Akademickie Mistrzostwa Polski w Podnoszeniu Ciężarów, KS AZS-AWF zajęł 1 miejsce w punktacji ogólnej, a indywidualnie 1 miejsca zajęli: Małgorzata Zaorska, Katarzyna Celińska, Paweł Dorotniak, Adam Świdorski, Paweł Zagórnik (20.05.).
- ◆ W 76 Mistrzostwach Polskich Seniorów w PC srebrne medale zdobyli Artur Pomiankiewicz i Kamil Gabrylewicz (Sanok, 30-31.08.).
- ◆ W Indywidualnych MP w Gimnastyce Sportowej Kobiet i Mężczyzn (kl. M) złote medale zdobyli: Joanna Skowrońska w wieloboju, Przemysław Lis w ćwiczeniach wolnych, Marek Łyszczarz w skoku i ćw. na kółkach, Adam Kierzkowski w ćw. na poręczach (Zabrze, 2-3.06.).
- ◆ W 52 MP Seniorów w Akrobatyce Sportowej srebrny medal w finale skoku zdobył Rafał Grad (Zielona Góra, 22-23.04.).
- ◆ Na XI Akademickich MP w Grach Zespołowych drużyna piłkarzy ręcznych zajęła 2 miejsce (Warszawa, 27-31.08.).

2007

- ◆ Dr hab. Barbara Raczyńska otrzymała tytuł naukowy profesora.
- ◆ Dr Krystyna Górniak uzyskała stopień naukowy doktora habilitowanego (styczeń).
- ◆ Podczas obchodów Święta Patrona Uczelni, sali wykładowej nr 2 w „Agacie” nadano imię prof. Jerzego Cygana (28.11.).
- ◆ Na obiektach ZWWF odbyły się następujące zawody: Trójmecz Międzypaństwowy w Gimnastyce Sportowej K i M: Białoruś – Polska – Szwajcaria (marzec), II Akademickie MP w Podnoszeniu Ciężarów – złote medale zdobyli: Paulina Karczewska, Olga Wojtczuk, Paweł Dorotniak, Andrzej Gawel, Tomasz Goślawski (maj), Drużynowe MP w LA (czerwiec), MP Juniorów w LA (czerwiec).
- ◆ Odbyła się Międzynarodowa Konferencja nt. „Koordynacyjne zdolności motoryczne w badaniach naukowych” (7-9.09.).

- ◆ W ramach programu ERASMUS z wykładami za granicę wyjechali: dr Artur Litwiniuk – Oslo, dr Krzysztof Piech – Ryga, dr Małgorzata Charmas – Lizbona, dr Elżbieta Huk-Wieliczuk – Ryga.
- ◆ W ZWWF gościli wykładowcy zagraniczni: prof. Ejgil Jespersen – Norwegia, prof. Inta Mara Rubana – Łotwa, prof. Elena Dorofeyeva.
- ◆ W Indywidualnych MP Seniorów w LA srebrne medale zdobyli: Karolina Gronau w skoku wzwyż i Andrzej Krawczyk w rzucie dyskiem oraz brązowy w rzucie dyskiem Olgierd Stański (Poznań, 30.06-1.07.).
- ◆ W Mistrzostwach Polski Juniorów w PC do lat 20, złoty medal zdobył Kornel Czekiel (Terespol, 18-20.05.). Zawodnik ten w Mistrzostwach Świata do lat 20 zajął 6 miejsce.
- ◆ W Mistrzostwach Europy Junierek i Juniorów w PC brązowy medal zdobyła Katarzyna Ostapska (Santa Cruz de Tenerife, 9-13.10.).
- ◆ W Pucharze Świata FIG w Gimnastyce Sportowej złoty medal w skoku zdobył Marek Łyszczarz, srebrny Roman Kulesza w ćw. na drążku, brązowy Adam Kierzkowski w ćw. na poręczach (Maribor – Słowenia, 14-15.04.).
- ◆ W 60 Indywidualnych Mistrzostwach Polski Seniorów i Juniorów w Gimnastyce Sportowej złoty medal zdobył Roman Kulesza w wieloboju, srebrny Adam Kierzkowski za poręcze i ćw. na koniu z łękami, brązowy Ireneusz Blanc za ćw. na kółkach.
- ◆ Drużyna AZS-AWF piłkarzy ręcznych w I lidze, w sezonie 2006/2007 zajęła 4 miejsce, a na 26 Mistrzostwach Polski Szkół Wyższych 1 miejsce (Zielona Góra, 18-25.07.).

2008

- ◆ Zmarła P. Jadwiga Zaradkiewicz (5.09.), długoletni pracownik i kierownik biblioteki uczelnianej.
- ◆ Nastąpiła zmiana władz: rektorem AWF w Warszawie została prof. dr hab. Alicja Przyłuska-Fischer, dziekanem ZWWF w Białej Podlaskiej dr hab. prof. nadzw. Jerzy Sadowski.
- ◆ Dr Elżbieta Huk-Wieliczuk uzyskała stopień naukowy doktora habilitowanego.
- ◆ ZWWF otrzymał od Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów uprawnienia do nadawania stopnia naukowego – **doktora nauk o kulturze fizycznej**.
- ◆ ZWWF podpisał umowę partnerską z Państwową Wyższą Szkołą Informatyki i Przedsiębiorczości w Łomży.
- ◆ Odbyły się następujące konferencje: Ogólnouczelniana Studenckich Kół Naukowych nt. „Wybrane zagadnienia kultury fizycznej” (kwiecień), Ogólnopolska nt. „Uwarunkowania rozwoju dzieci i młodzieży wiejskiej” (12-13.06.) i Międzynarodowa nt. „Potencjał turystyczny czynnikiem rozwoju regionalnego” (11-12.09.).

- ◆ Gośćmi Uczelni byli naukowcy z zagranicy: prof. Juris Grants, prof. Diana Krauksta, mgr Inga Lepina, mgr Ingrida Smuka (Łotwa, 9.01.), prof. Władimir Gamailij, dr Jurij Juchno, dr Jurij Litwinienko, dr Maksim Ostrowskij, mgr Aleksander Żirnow (Ukraina, 4-7.12.), prof. Akito Azumane (Japonia, styczeń – marzec).
- ◆ ZWWF był organizatorem następujących zawodów: Międzywojewódzkich Mistrzostw Młodziczek w Gimnastyce Sportowej (kwiecień), Drużynowych Mistrzostw Polski w LA i III AMP w Podnoszeniu Ciężarów (maj), III Rundy Drużynowych MP w Podnoszeniu Ciężarów (wrzesień), Pucharu Polski w Gimnastyce Sportowej Seniorów i Juniorów (październik).
- ◆ W 84 Mistrzostwach Polski Seniorów w LA srebrne medale zdobyły: Karolina Gronau w skoku wzwyż, Agnieszka Jarmużek w rzucie dyskiem oraz brązowy medal zdobył Olgierd Stański w rzucie dyskiem, KS AZS-AWF Biała Podlaska w punktacji klubowej zajął 10 miejsce (Szczecin, 4-6.07.).
- ◆ W Młodzieżowych Mistrzostwach Polski w LA złoty medal zdobył Mateusz Mikos w pchnięciu kulą.
- ◆ W III Akademickich Mistrzostwach Polski Kobiet i Mężczyzn w PC drużyna AZS-AWF zajęła 1 miejsce.
- ◆ W Mistrzostwach Polski Juniorek i Juniorów do lat 20 złoty medal zdobyła Katarzyna Ostapska (Terespol, 23-25.05.).
- ◆ W XV Mistrzostwach Kobiet w PC srebrny medal zdobyła Paulina Karczevska, brązowy Katarzyna Ostapska (Hrubieszów, 6-7.06.).
- ◆ W XIV Mistrzostwach Świata Juniorek w PC Katarzyna Ostapska zajęła 6 miejsce (Santiago de Cali – Kolumbia, 15-21.06.).
- ◆ W I Akademickich Mistrzostwach Świata w PC brązowy medal zdobył Kornel Czekiel (Komotini – Grecja, 25-28.11.).
- ◆ W Pucharze Świata FIG w Gimnastyce Sportowej 4 miejsce zajął Marek Łyszczarz w finale skoku oraz Roman Kulesza 5 miejsce w finale ćwiczeń na poręczach (Barcelona – Hiszpania, 5-8.06.).
- ◆ W Indywidualnych MP Seniorów w Gimnastyce Sportowej złoty medal w wieloboju zdobył Roman Kulesza, a srebrny Adam Kierzkowski (Szczecin, 14-15.06.).

2009

- ◆ Zmarł kanclerz Uczelni inż. Tadeusz Paczowski (21.07.).
- ◆ Zmarł były dyrektor administracyjny inż. Zdzisław Jobda (23.03.).
- ◆ Zmarła P. Barbara Kiryczyńska, wieloletni pracownik Działu Opracowań (27.06.).
- ◆ Zmarła P. Krystyna Oleszczuk, pracownik administracji (27.02.).
- ◆ Zmarł P. Jan Guz, pracownik obsługi, dzięki któremu wokół Uczelni zawsze było czysto (28.09.).

- ◆ Dr Jan Czezelewski uzyskał stopień naukowy doktora habilitowanego (26.05.).
- ◆ Odbyla się pierwsza w ZWWF obrona pracy doktorskiej mgra Przemysława Kędry (8.07.).
- ◆ Prace doktorskie obronili: mgr Katarzyna Wójtowicz-Chomicz (16.04.), mgr Janusz Zieliński (30.09.), mgr Paweł Wołosz i mgr Sławomir Bodasiński (3.11.).
- ◆ Odbyla się Międzynarodowa Konferencja nt. „Correction and compensation of physical development disorders in children and youth” (3-6.06.).
- ◆ Dr Krzysztof Piech wyjechał z wykładami do Francji (2-6.03.).
- ◆ Gościli u nas pracownicy naukowcy z zagranicy: prof. Victor Zinchuk, wykł. Dmitry Zhadzko (Uniwersytet Medyczny w Grodnie, 3-9.06.), doc. dr Andriy Vlasov (Uniwersytet Kultury Fizycznej we Lwowie, 9-11.12.).
- ◆ Członkowie Studenckich Kół Naukowych uczestniczyli w Międzynarodowej Konferencji Naukowej nt. „Sportowa nauka w wyższym nauczaniu” (Moskwa, 6.11.).
- ◆ ZWWF był organizatorem następujących zawodów: Mistrzostw Polski AZS w Podnoszeniu Ciężarów oraz I Ligi Lekkoatletycznej (maj), Eliminacji do XV Ogólnopolskiej Olimpiady Młodzieży w LA (czerwiec), Mistrzostw AZS Juniorów w LA (sierpień), Międzypaństwowych w Gimnastyce Sportowej Kobiet Polska-Białoruś (październik).
- ◆ W Halowych Mistrzostwach Polski Seniorów srebrny medal w pchnięciu kulą zdobyła Agnieszka Jarmużek (Spała, 21-22.02.).
- ◆ W VII Młodzieżowych Mistrzostwach Europy w LA do 23 lat brązowy medal w pchnięciu kulą zdobył Mateusz Mikos (Kowno-Litwa, 16-19.07.).
- ◆ W 85 Mistrzostwach Polski w LA Marcin Dudek zdobył srebrny medal w skoku w dal, Agnieszka Dudzińska brązowy w pchnięciu kulą (Bydgoszcz, 31.07-2.08.).
- ◆ W Mistrzostwach Polski AZS w PC 1 miejsca zajęli: Paulina Karczewska, Katarzyna Ostapska, Mateusz Peplowski, Karol Gibuła (Biała Podlaska, 16.05.).
- ◆ W Młodzieżowych Mistrzostwach Polski K i M w Podnoszeniu Ciężarów do lat 23, złoty medal zdobyła Katarzyna Ostapska, w punktacji klubowej KS AZS-AWF Biała Podlaska zajął 1 miejsce (Gdańsk, 28.06.).
- ◆ W 79 MP Seniorów w PC srebrny medal zdobył Kornel Czekiel (Polkowice, 18-20.09.).
- ◆ W Pucharze Świata FIG w Gimnastyce Sportowej złoty medal zdobył Adam Kierzkowski w finale ćw. na poręczach (Montreal-Kanada, 4-9.03.).
- ◆ W Indywidualnych Mistrzostwach Polski Seniorów w Gimnastyce Sportowej 1 miejsce w wieloboju zajął Roman Kulesza, drugie Adam Kierzkowski (Zabrze, 13-14.06.).

- ◆ W III Indywidualnych Mistrzostwach Europy Seniorów w GS, Adam Kierzkowski zajął 4 miejsce w ćw. na poręczach (Mediolan, 2-5.04.).

2010

- ◆ Zmarła mgr Zenona Bednarczuk (20.04.).
- ◆ Zmarł prof. dr hab. Maciej Skład (4.07.).
- ◆ Zmarła Teresa Krasuska, wieloletni pracownik biblioteki (28.07.).
- ◆ Wmurowano kamień węgielny pod budowę Regionalnego Ośrodka Badań i Rozwoju (14.06.) – trwa budowa.
- ◆ Pozyskano środki na budowę hali sportowej, która rozpocznie się prawdopodobnie w październiku, przy ul. Sitnickiej (tereny Glinek).
- ◆ Dr Krzysztof Piech otrzymał tytuł Doctora honoris causa Latvijas Sporta Pedagoģijas Akademiji w Rydze (30.04.).
- ◆ Od 1 października 2010 Uczelnia zmieni nazwę na Wydział Wychowania Fizycznego i Sportu.
- ◆ Stopień doktora uzyskała mgr Katarzyna Rutkowska (24.04.).
- ◆ Stopień doktora habilitowanego uzyskał dr Andrzej Klusiewicz (18.05.).
- ◆ Planuje się następujące konferencje: Międzynarodową nt. „Modern methods of motor learning in physical education, rehabilitation and sport” (16-17.09.), Ogólnopolską nt. „Rola żywienia w zapobieganiu chorobom diety zależnym” (23-24.09.), „Gry i zabawy plenerowe” (wrzesień-październik).
- ◆ Członkowie SKN Teorii Sportu wzięli udział w Międzynarodowej Konferencji Naukowej zorganizowanej w Uniwersytecie Karola w Pradze (kwiecień).
- ◆ ZWWF był organizatorem następujących imprez sportowych: XVI Ogólnopolskiej Olimpiady Młodzieży w Sportach Halowych – Mazowsze 2010 – Gimnastyka Sportowa (kwiecień, maj), Mistrzostw Polski AZS w Podnoszeniu Ciężarów oraz Mistrzostw Polski AZS w LA (maj).
- ◆ W Mistrzostwach Polski AZS w LA 1 miejsca zajęli: Przemysław Czajkowski – rzut dyskiem, Damian Karolak – 100 m (finał B), Paweł Stempel – 100m (finał A), sztafeta M – 4x100m, Kamil Bełz – pchnięcie kulą (Biała Podlaska, 22-23.05.).
- ◆ W 86 Mistrzostwach Polski Seniorów w LA srebrny medal w rzucie dyskiem zdobył Kamil Bełz (Bielsko-Biała, 8-10.07.).
- ◆ W Mistrzostwach Polski AZS w Podnoszeniu Ciężarów 1 miejsca zajęli: Monika Grzesiak, Emilia Malec, Katarzyna Ostapska, Kamil Kulpa (Biała Podlaska, 9.05.).
- ◆ W Młodzieżowych Mistrzostwach Polski K i M w PC do lat 23, drużynowo AZS-AWF Biała Podlaska zajął 1 miejsce, a srebrne medale zdobyli: Katarzyna Ostapska, Paulina Szyszka, Damian Kusiak (Hrubieszów, 4-6.06.).

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

- ◆ Na XVII Mistrzostwach Polski Kobiet w PC złoty medal zdobyła Katarzyna Ostapska (Puławy, 26-27.06.).
- ◆ Na II Akademickich Mistrzostwach Świata w PC złoty medal zdobyła Katarzyna Ostapska, srebrny Monika Grzesiak (Taichung City – Tajwan, 1-5.07.).
- ◆ W Indywidualnych MP Seniorów w Gimnastyce Sportowej 1 miejsce w wieloboju zajął Roman Kulesza, a Adam Kierzkowski w ćw. na poręczach (Iława, 27-29.05.).
- ◆ Na 29 Mistrzostwach Europy w Gimnastyce Sportowej Juniorów i Seniorów Adam Kierzkowski zdobył brązowy medal w ćw. na poręczach (Birmingham – Wielka Brytania, 21-25.04.).
- ◆ Drużyna AZS-AWF piłkarzy ręcznych spadła do II ligi.

ZACHOWANE W PAMIĘCI..

*Zachowane
w pamięci...*

(wspomnienia pracowników i absolwentów)

Wiktor Bołoban

Kijów – Biała Podlaska – Kijów



100 lat !

CZERWIEC 2010 roku – to koniec umowy o pracę. Bez mała dziesięć lat pracowałem jako nauczyciel akademicki w Zamiejscowym Wydziale Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej – wyższej szkole, która tak naprawdę ma twarz uniwersytecką. Czy moja praca ze studentami była skuteczna? O tym nie mnie sądzić. Ale wydaje mi się, że była ona niezła. Ja jestem zadowolony. Moje pierwsze słowa wdzięczności i podziękowania kieruję do Pana Dziekana prof. Jerzego Sadowskiego za wielkie serce, wysoką naukową zawodowość, które odkryły warunki i umożliwiły mi szczęśliwą pracę na korzyść studentów, pracowników i uczelni. Miałem dogodne warunki własnego rozwoju naukowo-dydaktycznego. Pan Profesor Jerzy Sadowski łączy w sobie, oprócz wielkich humanistycznych zdolności, wielki talent naukowca, dydaktyka i menedżera. Przykłady są widocznie, jak mówią Polacy, gołym okiem: wielka powaga wszystkich studiujących i pracujących w uczelni, dbanie o rozwój infrastruktury, która jest już widoczna teraz, a w czasie pisania tego materiału budowany jest Regionalny Ośrodek Badań i Rozwoju Naukowego, budowana będzie także wielka hala sportowa. Uczelni nadano prawo prowadzenia prac doktorskich, wychowana została dobra młoda kadra, która skutecznie będzie realizowała działania naukowo-dydaktyczne, w uczelni pracuje grono wybitnych profesorów. Oprócz pracy organizacyjnej Profesor wpisuje się wyjątkowo dobrze w działania naukowe, publikując swoje prace na Liście Filadelfijskiej, jest promotorem prac doktorskich i innych.

...Maj 2000 roku. Kijów. Moje spotkanie z Panem dziekanem Instytutu Wychowania Fizycznego i Sportu w Białej Podlaskiej, dr. Jerzym Sadowskim na Międzynarodowym Kongresie „Olimpijski Sport i Sport dla Wszystkich”. Znajomość. Krótka rozmowa. Moja prośba i decyzja podjęta – dostałem zgodę i zaproszenie do pracy w Instytucie Wychowania Fizycznego i Sportu w Białej Podlaskiej.

Dziękuję. Ale strasznie!... Bez języka. Jakie wymogi uczelni? Czy wystarczy mojej wiedzy, moich umiejętności do takiej odpowiedzialnej pracy?

Na pierwszym, w mojej karierze nauczyciela akademickiego, zebraniu Zakładu Gimnastyki, razem z przedstawieniem sylwetki gościa z Ukrainy, Kierownik Zakładu dr Waldemar Wiśniowski zadał pytania, czy ja znam technikę sportową ćwiczeń gimnastycznych i akrobatycznych i czy mogę nauczyć podwójnego salta czy śrubę i czy mogę przyjść na trening do sali gimnastycznej w poniedziałek o godzinie 17.00?

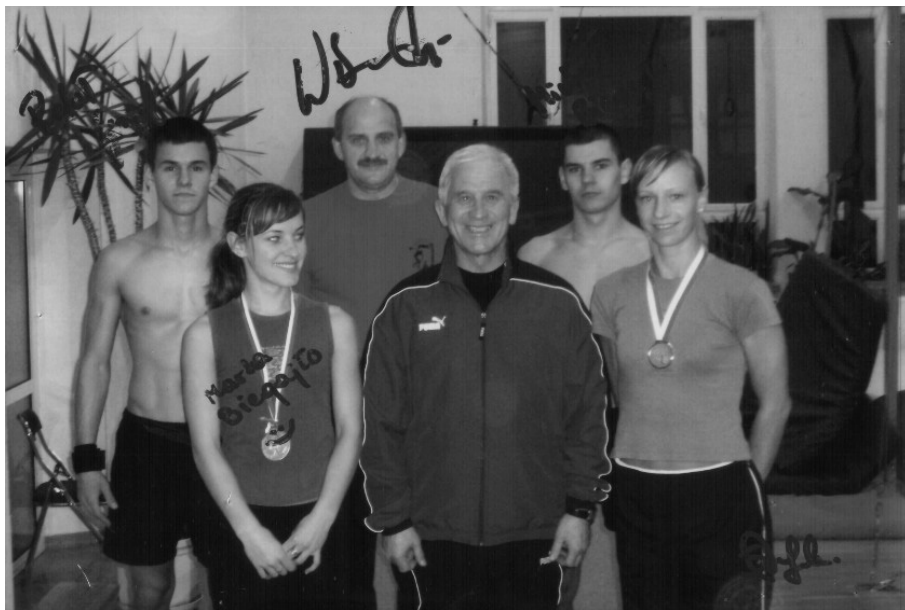
Ja dałem pozytywną odpowiedź. Moje konsultacje, udzielane wysoko kwalifikowanym zawodnikom, nasza wspólna praca z dr. Waldemarem Wiśniewskim, dr. Tomaszem Niżnikowskim na treningach ze studentami – sportowcami, w tym juniorami dała wiele pozytywnych rezultatów. Ja poznawałem studentów, polski język i terminologię, zawodnicy osiągnęli mistrzostwo sportowe.



Prof. Jerzy Sadowski, Prof. Wiktor Bołoban, Mistrz IO 2008 w Gimnastyce Sportowej Leszek Blanik z nauczycielami akademickimi Zakładu Gimnastyki ZWWF w Białej Podlaskiej dr. Tomaszem Niżnikowskim, dr. Waldemarem Wiśniewskim, mgr. Zbigniewem Pelcem, trenerami Andrejem Levitem, Piotrem Mikołajkiem i zawodnikami polskiej reprezentacji w gimnastyce sportowej

Z zadowoleniem pracowałem ze studentami, z których duża część miała sprecyzowane zawodowe cele, dla których studiowanie w uczelni – to honor, miłość i wielka pasja. Jeżeli zrobić własny wniosek o studentach – to studenci są tacy, jaka jest uczelnia. To oznacza, że studenci w większej liczbie bardzo dobrzy. Oni lubią poznawać nową wiedzę na zajęciach teoretycznych, lubią pod kierunkiem profesora, doktora uczestniczyć w badaniach i analizować wyniki, lubią zajęcia praktyczne, praktyki i obozy narciarskie, lubią kibicować wielki sport...

To był czas aktywnych i aktualnych wykładów, zajęć seminaryjnych i praktycznych. Czas, kiedy poznawaliśmy nową metodą naukową APAS 2000 i sta-



Prof. Wiktor Bołoban, dr Waldemar Wiśniowski oraz zawodnicy kl.mistrzowskiej w akrobatyce sportowej: Anna Sztetner, Marta Biegajło, Michał Biegajło, Rafał Grad

bilograf firmy Kistler; robiliśmy badania powiązane z wideo komputerową analizą ruchów studentów – sportowców i eksperymentalnie uzasadnialiśmy opracowane programy nauczania ćwiczeń sportowych złożonych koordynacyjnie.

Grupa naukowców, na czele z prof. Jerzym Sadowskim i prof. Andrzejem Mastalerzem oraz wykładowcami i studentami Michałem Biegajło, Rafałem Gradem, Pawłem Wiśniowskim, Arnoldem Kalitą, Bartłomiejem Pirógiem zrobiła wiele aktualnych naukowych wniosków o sterowaniu ruchami zawodników wykonujących ćwiczenia sportowe o złożonej koordynacyjnie strukturalnie ruchu, o nauczaniu techniki sportowej, kształtowaniu nawyków ruchowych. Są teoretyczne wyniki i wnioski, są praktycznie wprowadzane wyniki badań w proces dydaktyczny i treningowy. Widoczny jest rozwój studenckiego koła naukowego. Nauczyciele akademicki i studenci uczestniczą w kongresach i konferencjach międzynarodowych i ogólnopolskich; są publikacje materiałów z badań i eksperymentów.

Ja odczuwałem, obserwowałem i konstatowałem podwyższenie jakości prowadzenia zajęć praktycznych, seminariów magisterskich, wykładów monograficznych oraz jakości przygotowania prac licencjackich i magisterskich. Praca jest kontynuowana. W laboratorium biomechaniki jest nowoczesna



Badania stabilograficzne i ocena strategii zachowania równowagi ciała Mistrzyni Polski w Gimnastyce Sportowej i Akrobatyce Sportowej studentki Anny Sztetner prowadzi prof. Wiktor Bołoban



Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Proces Doskonalenia Treningu i Walki Sportowej” Spała 2005, Polska prof. Wiktor Bołoban i dr Tomasz Niżnikowski podczas sesji plakatowej

aparatura naukowa. Wspólnie z Zakładem Biomechaniki (kierownik dr Janusz Jaszczuk) rozwijane są tematy badań, opracowywane technologie pomiaru, analizy i oceny wyników badań. Właśnie prowadzone są badania.

Razem ze społecznością akademicką kocham zespół pracowników Zakładu Gimnastyki. Pracują w nim specjaliści z wysokim poziomem przygotowania zawodowego. Mają dobrą wiedzę naukowo-metodyczną, umiejętności przygotowania gimnastycznego studentów do pracy zawodowej. Zakład Gimnastyki ma znaczny potencjał. Kierownik Zakładu dr Tomasz Niżnikowski dobrze widzi i rozumie drogę, po której idą jego koledzy: dr Waldemar Wiśniowski, dr Piotr Kuśmierczyk, mgr Zbigniew Pelc, mgr Andrzej Nowowiejski, mgr Marian Szyper, mgr Krystyna Sułot, mgr Małgorzata Płaza, mgr Andrzej Karaś oraz studenci specjalizacji.

I jeszcze jedno. Dziekanat pracuje jak szwajcarski zegarek, buchalteria jak szwajcarski bank, Pani mgr Iwona Mateńko (nasza piękna laborantka z Katedry Sportów Indywidualnych) jako królowa. Dziękuję im za współpracę.

Gratuluje z okazji 40-lecia Zamiejscowego Wydziału Wychowania Fizycznego. 100 lat!



Od 1111 km do 5555 km

Bieg 1111 km

ZNANE jest powiedzenie „nie ma ludzi niezastąpionych” i to, co chcę przekazać, związane jest z tym powiedzeniem.

Grupa studentów IV roku razem z opiekunką grupy Marią Danilkiewicz postanowiła pozostawić w pamięci dla potomnych wspaniałą współpracę przez cztery lata studiów najbardziej usportowionej grupy. Bardzo trudny okres polityczno-społeczny (koniec lat siedemdziesiątych i początek lat osiemdziesiątych) mobilizował studentów do pokazania wartości, które powinny „przyświecać” przyszłości (dobra organizacja, pracowitość, patriotyzm, solidarność, wytrwałość w dążeniu do osiągnięcia wyznaczonego celu). Przedstawiciele grupy zaproponowali zorganizowanie biegu sztafetowego. Wybrano sztafetową formę biegu na dystansie 1111 km, będącym jednocześnie udaną próbą ustanowienia rekordu świata na tym dystansie. Eksperyment przeprowadzony został na 11-osobowej grupie zawodników AZS Biała Podlaska (mam ich wszystkich na fotografii).



Drugi od lewej to ja – autor wspomnień. Próbę przeprowadzono w dniach od 11 – 14 grudnia 1980 roku, a honorowy start odbył się dokładnie o godzinie 11⁰⁰. Rozpiętość wieku w tej grupie wahała się od 19 do 23 lat, plus jeden zawodnik 35 lat (pracownik naukowy FAWF w Białej Podlaskiej). Zawodnicy ci uprawiali biegi średnie i długie i osiągnęli wyniki w granicach II klasy (7 osób), I klasy (2 zawodników) oraz bez klasy sportowej (2 osoby), co świadczyło o małym zróżnicowaniu pod względem możliwości wysiłkowych.

Lp.	Zawodnik	Wiek	Czas na 100 km	Najszybsze 10 km
1	Bytniewski Mieczysław	35	6.51.02	39.21
2	Fitas Witold	21	6.48.33	38.18
3	Kryszewicz Jan	23	7.08.55	39.10
4	Klimczuk Zygmunt	21	6.48.20	36.11
5	Łukasiak Andrzej	22	6.54.27	39.33
6	Oleszczuk Tomasz	19	7.19.13	42.00
7	Polewko Stanisław	23	6.59.41	36.15
8	Rewczuk Jan	19	6.31.55	35.16
9	Siromski Tomasz	22	6.44.31	37.07
10	Watras Marek	22	6.32.18	36.37
11	Wróbel Tadeusz	21	6.56.53	40.20

Przygotowania do maratonu sztafetowego trwały od 1 listopada (początek okresu przygotowawczego), a trening odbywał się od 5 do 7 razy w tygodniu, podczas których zawodnicy przebiegali średnio od 50 do 70 km. Wartość kaloryczna dziennych posiłków w okresie poprzedzającym bieg kształtowała się w granicach 3900 – 4200 kcal i była zbliżona dla wszystkich zawodników, gdyż korzystali ze studenckiej stołówki. W czasie biegu zawodnicy mieli przygotowywane specjalne wysokokaloryczne posiłki, łatwo przyswajalne, urozmaicone, z dużą zawartością węglowodanów oraz łatwo przyswajalnych witamin.

Wszyscy zawodnicy zakwaterowani byli w akademiku, w 3-osobowych pokojach. Poddawani byli stałej kontroli lekarskiej. Badania prowadzone były z zakresu: biochemii, fizjologii, biomechaniki i psychologii. Należy zaznaczyć, iż każdy z zawodników przebiegł 101 km w odcinkach 10 kilometrowych, z przerwami od 7 do 7 godzin 30 minut. Ostatni kilometr maratonu wszyscy zawodnicy pokonali wspólnie.

Czas osiągnięty mieścił się w przedziale 35 – 42 minuty. W ciągu doby każdy z uczestników biegał co najmniej 3-krotnie. Warunki biegu były zmienne i trudne, wiał silny wiatr, co w połączeniu z niskimi temperaturami było znaczącym utrudnieniem dla zawodników.



Każdy wysiłek fizyczny powoduje duże zmiany w organizmie biegacza. Krótki okres wypoczynku i przestawienie zegara biologicznego zmusiły organizatorów i lekarza do szukania metod przyspieszenia procesów wypoczynkowych. Pani prof. dr hab. Teresa Bekiesińska opracowała i prowadziła eksperyment na temat wpływu treningu autogennego na układy fizjologiczne.





Każdy z badanych w 2 godziny po wysiłku wypoczywał biernie, poddając się eksperymentowi.

Duży wydatek energetyczny w ciągu doby powodował duże straty energii i wody w procesach termoregulacji. Badano masę ciała przed wysiłkiem i bezpośrednio po wysiłku. Określono intensywność wysiłku częstotliwością skurczów serca po wysiłku oraz stan układu krążenia przed rozpoczęciem wysiłku.

Nad prawidłowym przebiegiem całego biegu czuwał przedstawiciel grupy studenckiej na czele z opiekunką dr Marią Danilkiewicz. Grupa biegaczy pokonała dystans 1111 km w około 72 godziny. Samorząd studencki (w tym czasie przewodniczył Jerzy Sadowski) docenił wysiłek biegaczy organizując spotkanie, na którym wręczono każdemu kryształowy puchar z wygrawerowanym czasem biegu, dyplom i wpis w kronice Uczelni.

Bieg 2222 km

W poprzednim roku przez kraj przetoczyła się fala strajków i sytuacja polityczno-społeczna była bardzo trudna; dotyczyła także wielu problemów na Uczelni. Grupa inicjatywna studentów zwróciła się do mnie z prośbą o opiekę merytoryczną nad organizacją biegu sztafetowego na dystansie 2222 km. W eksperymencie uczestniczyło 11 zawodników, z których 7 posiadało II klasę sportową i 4 zawodników bez klasy sportowej. W biegu wzięli udział: Bytniewski M., Fitas W., Klimczuk Z., Krysiewicz I., Łukasiak A., Polewko S., Rewczuk I., Saja A., Siromski T., Szymański W., Wróbel T. Sześciu z badanych

zawodników uprawiało biegi długie, czterech biegi średnie, jedna osoba maraton. Dziesięć osób to studenci AWF w Białej Podlaskiej, jedna osoba to ja – pracownik naukowy. Średnia wieku wszystkich zawodników wynosiła 22,9 lat. Najstarszy zawodnik miał 36 lat, najmłodszy 19, a staż zawodniczy wahał się w przedziale od 3 do 12 lat. Sztafetowy bieg na dystansie 2222 km został zorganizowany i przeprowadzony w dniach od 7 do 14 grudnia 1981 roku na stadionie lekkoatletycznym AWF w Białej Podlaskiej. W dniu 13 grudnia ogłoszono stan wojenny. Władze wojskowe i Rady Ocalenia Narodowego pozwoliły na kontynuowanie biegu. Brak jest dokumentacji z tego biegu ze względu na „zabezpieczenie” jej przez ówczesne władze.

W ciągu 7 dni, każdy z 11 zawodników biegał 18 razy dystans 10 km. Wszystkim sportowcom zapewniono jednakowe warunki bytowe, żywieniowe oraz stałą opiekę lekarską. Wypoczynek zawodników pomiędzy biegami wynosił około 9 godzin, w czasie których przeprowadzano badania. Z zakresu fizjologii obejmowały one pomiar ciśnienia, tętna, wagi ciała oraz pobierano krew w celu określenia zmian powysiłkowych (morfologiczno-biochemicznych). Krew pobierano z żyły łokciowej i z opuszki palca, przed i po biegach. Przed rozpoczęciem biegu pobrano krew po raz pierwszy, w celu określenia stanu spoczynkowego. Następne pobieranie krwi odbywało się po ukończeniu biegów: 1, 2, 8, 11, 14, 16, 18 i przed biegami: 2, 4, 7, 9, 12, 15, 17. Krew badana była w laboratorium analitycznym, znajdującym się przy Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Białej Podlaskiej. Po ukończonym biegu odbyła się krótka ceremonia zamknięcia, podczas której zawodnicy otrzymali dyplomy i puchary wykonane z pnia brzozy.

Bieg 3333 km

Dnia 25 grudnia 1984 roku grupa studentów naszej Uczelni założyła Klub Miłośników Biegania „Dystans” przy Radzie Uczelnianej SZSP AWF Biała Podlaska. Jej przewodniczącym został Krzysztof Piech, a zastępcą Mirosław Dras. Od tego czasu wszystkie imprezy biegowe były inicjowane przez ten klub.

W roku 1983 studenci z Wrocławia pobili rekord w biegu sztafetowym na dystansie 2222 km. Z inicjatywy członków klubu „Dystans” oraz przy poparciu samorządu studenckiego i władz uczelni podjęto próbę przebiegnięcia dystansu 3333 km. Bieg rozpoczął się 5 grudnia 1984 roku o godz. 12⁰⁰ i trwał nieprzerwanie do 16 grudnia do godz. 18⁰⁰. Jego czas wyniósł 271 godz. 8 minut i 30 sekund. W eksperymencie wzięło udział 24 zawodników o zróżnicowanej płci, budowie ciała oraz o różnym zaawansowaniu sportowym. Grupę badanych stanowili zawodnicy białkopodlaskiego AWF-u. Kadre stanowili: Gryciak E., Jaskółowska B., Bałaker B., Broniewicz B., Zalewski W., Budnik T., Sawczyński A., Bytniewski M., Piech K., Jaworski A., Rejent A., Korgul T., Janiszek A., Nowak P., Golak D., Derbin D., Tarnowski M., Feret J., Zaniewicz Z., Łukaszuk G., Jamioł D., Szczerepa P., Hajdenraich A., Oleszczuk T., Drabek

K., Łukasik T., Żaba S. Ilość kilometrów do przebiegnięcia stanowiła podstawę do podziału biegających na trzy grupy.

I grupę stanowiło 9 zawodników. Ilość przebytych km przez każdego z nich wahała się w przedziale od 60 do 118 km. Jeden z zawodników tej grupy wyczynowo uprawiał sport i posiadał I klasę sportową w biegach średnich, pozostałą część stanowili amatorzy.

II grupa utworzona została przez 5 zawodników, z których każdy przebiegł dystans mieszczący się w granicach od 120 do 129 km. Z tej grupy, żaden z zawodników nie zajmował się wyczynowo sportem.

W III grupie biegających średnia wartość przebytych kilometrów wynosiła 141,64. Trzech zawodników spośród 10 członków tej grupy to zaawansowani długodystansowcy z II klasą sportową.

Wszyscy uczestnicy biegu mieszkali w Domu Studenta i korzystali z wyżywienia w tutejszej stołówce. Bieg odbywał się w trudnych warunkach atmosferycznych.



Po ukończonym biegu wszyscy zawodnicy podzielili się tortem upieczonym przez żonę Krzysztofa Piecha (odsyłam do kroniki prowadzonej przez K. Piecha).

W uroczystym zakończeniu wzięły udział władze uczelni z Panią doc. dr Marią Mańkowską, dziekanem ds. studenckich dr. Adamem Wilczewskim i przewodniczącym WKKFiT mgr. Stanisławem Borowiczem oraz przedstawiciele prezydenta miasta, prasa i radio. Władze Uczelni podziękowały komitetowi organizacyjnemu biegu sztafetowego, na czele którego stali: Mirosław



Dras, Maciej Tarnowski i Krzysztof Piech. Nad całością opiekę medyczną sprawowałem ja (na zdjęciu w białym fartuchu).

Na zdjęciu poniżej przedstawiono dokumentację biegu z czasem każdego z 5 okrążeń (jeden kwadrat) i dystansem pokonanym dla każdego zawodnika.

Zabicki	0:00	0:15	0:30	0:45	0:55	1:00	1:00
Balcer	0:14	0:25	0:35	0:46	0:56	1:00	10.8
De Szymanski	0:30	0:40	0:55	1:05	1:15	1:25	15.8
Golak	0:30	0:45	0:55	1:05	1:15	1:25	14.4
Jankowski	0:00	0:20	0:35	0:45	0:55	1:05	11.2
Burdak	0:10	0:25	0:35	0:45	0:55	1:05	10.8
Pech	0:15	0:30	0:45	0:55	1:05	1:15	15.6
Janusz	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.4
Wahut	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.2
Stangiel	0:12	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Janusz	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Mosak	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Staszczak	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Tarnowski	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Feret	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Witczak	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Zemiec	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Kuczyński	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Janusz	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Staszczak	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Majewski	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Mosak	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Zabicki	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Zala	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Gryczak	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Bromowski	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Zabicki	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Burdak	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0
Zabicki	0:10	0:25	0:40	0:50	1:00	1:10	15.0

ZACHOWANE W PAMIĘCI...

Bieg 4444 km

W biegu sztafetowym na dystansie 4444 km wzięły udział 33 osoby, studenci oraz pracownicy naukowci Uczelni. Eksperyment trwał od 4 do 16 marca 1988 roku. Zawodników podzielono na trzy grupy w zależności od zadeklarowanego jednorazowego czasu biegu.

Grupa I – 13 osób, czas biegnięcia – 30 minut (Drożyńska Marzena, Jaskółska Barbara, Zubrzycka Irena, Wałdowska Beata, Powszuk Elżbieta, Burdach Renata, Ciach Agnieszka, Franczak Iwona, Turzyniecki Krzysztof, Sakowski Andrzej, Piech Krzysztof, Janiszek Arkadiusz, Adach Sławomir).

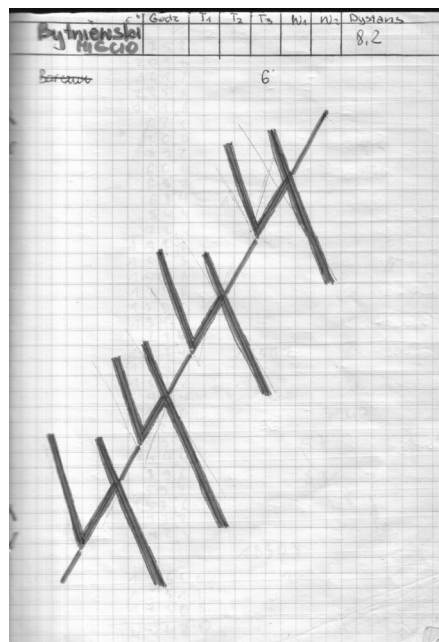
Grupa II – 16 osób, czas biegnięcia – 60 minut (Bytniewski Mieczysław, Drzewosz Mirosław, Matwiejczuk Andrzej, Żaba Sławomir, Chryć Tomasz, Sawczyński Anatol, Knapieński Jerzy, Barczuk Dariusz, Wajda Zdzisław, Śliwa Krzysztof, Szablewski Mirosław, Woźniak Jacek, Piszczalski Krzysztof, Piotrowicz Adam, Fałek Bogdan, Szelaż Bogdan),

Grupa III – 4 osoby, czas biegnięcia – 90 minut (Turosz Mirosław, Lesiuk Jerzy, Barszcz Mirosław, Łajewski Zbigniew).

Przed każdym rozpoczęciem biegu określono wyjściową masę ciała. Pomiaru grubości tkanki tłuszczowej dokonano przed rozpoczęciem eksperymentu i w dniu zakończenia, jako wielkość fałdu na ramieniu, łopatce i brzuchu za pomocą fałdomierza z dokładnością do 0,1 cm.

	NADPISKO I JMYE	WAG	RAMIE	ŁOPATKA	BRZUCH
1	DROŻYŃSKA MARZENA	108A	10,5/10,2	9,6/9,7	15,8/16,1
2	POWSZUK ELŻBIETA	108A	19,0	9,0	6,3
3	BURDACH RENATA	108A	18,0	11,2	18,0
4	WAŁDOWSKA BEATA	212A	14,2	15,15	18,2
5	FRANCZAK IWONA	215A	11,9	18,3	18,0
6	CIAH AGNIESZKA	207A	8,3	11,0	16,0
7	PIOTROWICZ ADAM	108C	9,2	6,7	5,2
8	FAŁEK BOGDAN	205C	5,15	7,8	7,6
9	SZELAŻ BOGDAN	107C	8,2	10,4	8,6
10	PIECH KRZYSZTOF	107A	6,8	7,2	6,7
11	KNAPIEŃSKI JERZY	107C	6,7	9,6	7,0
12	CHRYĆ TOMASZ	102C	9,2	12,2	20,0
13	ADACH SŁAWOMIR	7C	6,7	9,1	13,4
14	ŚLIWA KRZYSZTOF	102C	5,7	7,7	7,6
15	ŻABA SŁAWOMIR	104B	4,2	5,5	5,3
16	BYTNIEWSKI MIECZYSLAW	118D	9,8	10,1	10,1
17	ADACH SŁAWOMIR	114C			
18	SAWCZYŃSKI ANATOL	102C	5,1	8,3	6,2
19	SZABLEWSKI MIROSŁAW	119C	12,0	12,8	14,7
20	ŁAJEWSKI ZBIGNIEW	101B	4,8	6,7	6,8
21	JANISZEK ARKADIUSZ	104C	3,5	19,0	18,6
22	LESIUK JERZY	118D			
23	TURZYŃIECKI KRZYSZTOF	102C	6,8	7,9	5,6
24	BARCZUK DARIUSZ	118D			
25	WOŹNIAK JACEK	119C	4,5	7,1	7,6
26	PISZCZALSKI KRZYSZTOF	101B	5,0	7,6	5,2
27	TUROSZ MIROSŁAW	115C	6,6	8,4	10,4

Lp	Miejsce i Nazwa	Godz. Biegów	T ₁	T ₂	T ₃	N ₁ kg	N ₂ kg	DYSTANS m
1	Bytniewski Mieczysław	12:00-13:00	46	152	116	68,0	63,0	13000
2	Sanczyński Andrzej	18:00-19:00	80	192	114	52,0	51,0	4600
3	Jurasz Mirosław	13:30-15:00	58	133	102	68,6	65,6	21600
4	Lesiuk Jerzy	15:00-16:30	72	168	126	68,5	64,2	18300
5	Barszcz Mirosław	18:20-18:45	64	135	98	62,5	61	22800
6	Kajewski Zbigniew	18:00-19:30	48	156	72	63	60,9	24.000
7	Nanera Dariusz	19:00-20:00	84	166	120	52,3	50,4	5.600
8	Janicki Stanisław Romuald	20:00-21:00	80	166	120	63	61,7	10.500
9	Piech Tomasz	21:00-21:20	60	152	96	67	62	5000
10	Zutrycki Michał	21:15-22:00	88	180	116	58,5	54,80	4.800
11	Mitolewka Beata	22:00-22:15	68	208	132	62	61,7	5.200
12	Basant Elżbieta	22:30-23:00	64	150	114	60,2	58,8	6.400
13	BUDAŃ REKATA	23:00-23:20	65	160	135	63	62,8	6.000
								154500



Nad całością eksperymentu czuwała specjalna Komisja Sędziowska, która dokonywała wszelkich pomiarów w takich samych warunkach dla każdego uczestnika biegu. Dokonywała pomiaru przebiegniętych kilometrów oraz kontrolowała czas biegu. Wszyscy otrzymali jednakowe wyżywienie w trakcie trwania eksperymentu, którego dzienna wartość wahała się w granicach 3850 kcal do 4200 kcal.

Sztafetę na dystansie 4444 km rozpocząłem i zakończyłem ja. Łączny czas pokonania dystansu wyniósł 292 godz. i 5 min. Uczestnicy eksperymentu biegali po bieżni sotarowej stadionu lekkoatletycznego ZWWF w Białej Podlaskiej. Bieg utrudniały złe warunki atmosferyczne. Temperatura powietrza wynosiła od +2°C do -4°C. Wiały silne wiatry i padał deszcz ze śniegiem i śnieg. Dokładna dokumentacja biegu znajduje się w moich archiwach, a w kronice klubu „Dystans” znajdują się fotografie.

Bieg 5555 km

W dniach 01 – 23 czerwca 1994 roku zorganizowano bieg sportowo-rekreacyjny po trasach województw „ściany wschodniej”. Organizatorem biegu było „Radio dla Ciebie” i Klub Biegaczy „Dystans”. W eksperymencie biegowym brało udział 28 biegaczy. Uczestników eksperymentu podzielono na trzy grupy:

I grupa – biegający po 30 minut dziennie (Wałaszko J., Kucel E., Kiewel K., Kuk J., Zadrozna A., Mucha J., Rejek B., Kielak M., Janik P., Lewandowski P., Czyżewski D.)

II grupa – biegający po 60 minut dziennie (Jaszczuk M., Powszuk J., Jaszczuk A., Sołowiński W., Gibas S., Mańdziuk M., Sołtys P., Zienkiewicz J., Makara S., Olszewski T., Jabłoński M., Jaszczuk W., Sadowski B.)

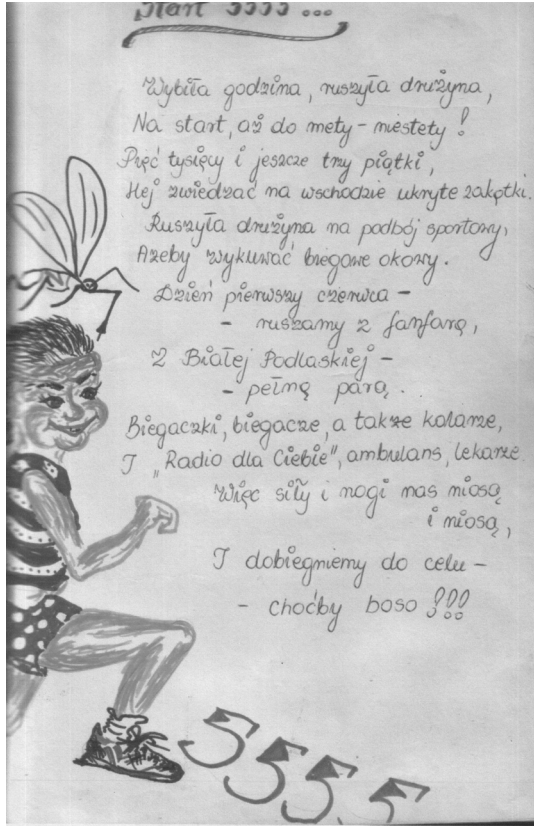
III grupa – biegający po 90 minut dziennie (Fus M., Szyszko R., Dziuruń P., Piech K., Bytniewski M.)

Kronika biegu sztafetowego 5555 km prowadzona przez jedną z uczestniczek sztafety znajduje się w posiadaniu Krzysztofa Piecha. Zawarte są w niej dokładne opisy z trasy biegu i pobytu grupy w poszczególnych miejscowościach na trasie sztafety. W tym eksperymencie codziennie dokonywano pomiaru częstości skurczów serca i masy ciała, a 4 razy w trakcie biegu dokonywano pomiaru składników morfologicznych i osoczowych krwi. Pomiarów ciała dokonywano: pierwszego dnia biegu (przed rozpoczęciem eksperymentu), szóstego, dwudziestego oraz dwudziestego trzeciego dnia biegu (po zakończeniu eksperymentu). Codziennie określano ubytki masy ciała po skończonym biegu. Masę ciała określano przy pomocy wagi elektronicznej z dokładnością do 0,1 kg. Wartość kaloryczna pożywienia wahała się w granicach 3200 kcal do 3600 kcal.



Bieg odbywał się w zmiennych warunkach atmosferycznych i trwał nieprzerwanie 24 dni. Jak widać na zdjęciu biegaczy ubezpieczał rowerzysta i ambulans z opieką lekarską (dar Sobiesława Zasady). Bieg zakończył się około godziny 16.00, a o godzinie 19.00 odbyła się uroczysta kolacja wszystkich uczestników biegu z przedstawicielami Radia Dla Ciebie i władzami dzielnicy Mokotów. Następnego dnia cała grupa powróciła do Białej Podlaskiej i odbyły się badania biomechaniczne (badania siły mięśniowej w statyce).

Na koniec chciałbym przytoczyć kilka hasel towarzyszących całemu przedsięwzięciu: „Nie biegasz! – palisz, pijesz, dłużej żyjesz”, „Żaden Dziekan nie podoła, kiedy biegnie Nasza Szkoła”, „Biegajcie, a będzie Wam odpuszczone”, „Jak przebiegniesz 4 trójki, będziesz sprawny jak wiewiórki”, „Trójka trójkę trójką goni, będziesz mocny jak 100 koni”, „Chcesz się doczekać grobowej deski – biegaj z Mietkiem Bytniewskim”, „Za rok rekord podwoimy, gdy studentów odżywimy”.



Na bazie danych z tych biegów napisano wiele prac dyplomowych, magisterskich i artykułów naukowych.

Studenci przychodzą na uczelnię, przebywają w jej murach cztery, pięć lat, zdobywają umiejętności, nawyki ruchowe, doskonałą swoje talenty i wracają w swoje rodzinne strony. Następnie zakładają rodziny, podejmują pracę i zmagają się trudnościami dnia codziennego. Pozostają wspomnienia i dobrze, gdy takie zdarzenia są udokumentowane lub żyją osoby, które chcą się nimi podzielić.



„Kawiarenka u Bochenka”

TEKST, który zaczęłam pisać, miał być wstawką do wspomnień Jurka w miejscu, gdzie pisze o oddaniu do użytku klubu „Kawiarenka u Bochenka”. Niestety, zbyt obszerna byłaby to wstawka. W związku z tym będzie to moja krótka retrospektywa. Myślałam, że o klubie „META” i swojej w nim pracy wspomnienia napisze Bożena Pawlina-Maksymiuk. Do końca miałam nadzieję, ale Ona jest tak „zagoniona”, że nie zdążyła, a ja muszę „zamykać” pracę nad redakcją wspomnień i dłużej czekać nie mogę.

„Wizytując” kolejne, nie zagospodarowane jeszcze pomieszczenia, w różnych miejscach uczelni, w akademikach trafiliśmy (ja, mój mąż i chyba dyrektor Paczowski) do starej kotłowni. Widok, jaki ukazał się naszym oczom był – jakby scenografią z mrocznego filmu z bardzo odległej epoki; na ścianach kilometry rur różnej grubości, kabli, stopy starych mebli (szafek, tapczanów, innych zbędnych „rupieci”), a wszystko to spowite gęstymi pajęczynami.

Narodził się wtedy pomysł, aby stworzyć klub, w którym mogłyby się odbywać kameralne występy (gitara, pianino, skrzypce, itp. małe formy muzyczne), spotkania z poezją, z ciekawymi ludźmi, gdzie można by wypić kawę, sok, zjeść dobre ciastko i miło spędzić czas. Dodatkowym plusem tej lokalizacji była możliwość połączenia tego pomieszczenia z istniejącym, dokładnie nad kotłownią, starym klubem „META”.

Pomysł został zrealizowany. Projekt wystroju wnętrza wykonał biański artysta-malarz – Janusz Maksymiuk. Klub został oddany do użytku. I co dalej? Kto ma się zająć organizowaniem kulturalnego życia studentów? Kulturalnego przez duże „K”. Od początku twierdziłam, że powinien być etatowy „kierownik klubu”, który zgromadziłby wokół siebie aktywnych, chętnych do społecznego zaangażowania studentów. Pamiętam lata siedemdziesiąte, lata moich studiów, kiedy mały klub „META” tętnił życiem. Przyjeżdżali na spotkania najwięksi artyści, trenerzy, zawodnicy; sami organizowaliśmy turnieje, np. blondyni przeciw brunetom, rywalizacja między blokami A, B, C itp., a w soboty niezapomniane dyskoteki. Pamiętam dwa konkursy, w których brałam udział: wiązanie krawata na czas i kto ma dłuższe włosy? Ja reprezentowałam drużynę blondynów – przegrałam o 1 cm, miałam 80 cm, a Ewa Leniart – 81 cm wspinających czarnych włosów. Ile się wtedy działo!!!

Kierowniczką klubu „META” była Bożena Pawlina (osoba niezwykle kreatywna i energiczna – do dziś Jej to zostało), a po Niej klub przejął Wiesiek Bobowik.

Wszystko się kiedyś kończy. Odeszli ludzie, zmieniły się czasy i tylko żal, że dziś komputer, telewizor, piwne bary i kluby z alkoholem wygrywają konkurencję z kontaktami z żywym człowiekiem.

Zaczynam popadać w melancholię...

Jakiś czas temu, gdy klub zaczął „funkcjonować”, usłyszałam, że studenci nazywają to miejsce „piekiełko”. Byłam przerażona! Postanowiłam zrobić coś, co stanowiłoby gwarancję przetrwania tradycji, związanej z p. Bochenkiem – palaczem i kotłownią, która tak wiele znaczyła dla naszego środowiska akademickiego w latach siedemdziesiątych. Zaczęłam wymyślać nazwę dla klubu, szukałam w głowie różnych skojarzeń i nic. Aż tu nagle zawitał do Białej nasz absolwent Darek Szaniawski „Dziadek” i siedząc przy kolacji w naszym domu, opowiadałam Mu o swoim „problemie”.

Mówię, wiesz coś, co pasowałoby do... Bochenek, u Bochenka? I nagle Darek krzyknął: „kawiarenka”, „kawiarenka u Bochenka”. Tak, to był „strzał w dziesiątkę”. Boże, ile dobrych rzeczy zdarza się przypadkiem!?

Miałam nazwę. Teraz chciałam, by szyld nie był zwykłą informacją, żeby zawierał w sobie treść.

Wraz z p. Iwonką (nazwiska nie znam) pracującą w drukarni „Calamus” zaczęliśmy tworzyć projekt.

Ja wiedziałam, że musi być beret (słynny beret z „antenką”, w którym chodził pan Bochenek i musi być czajnik, z którym prawie się nie rozstawał. Co z tego wyszło, oceńcie sami.



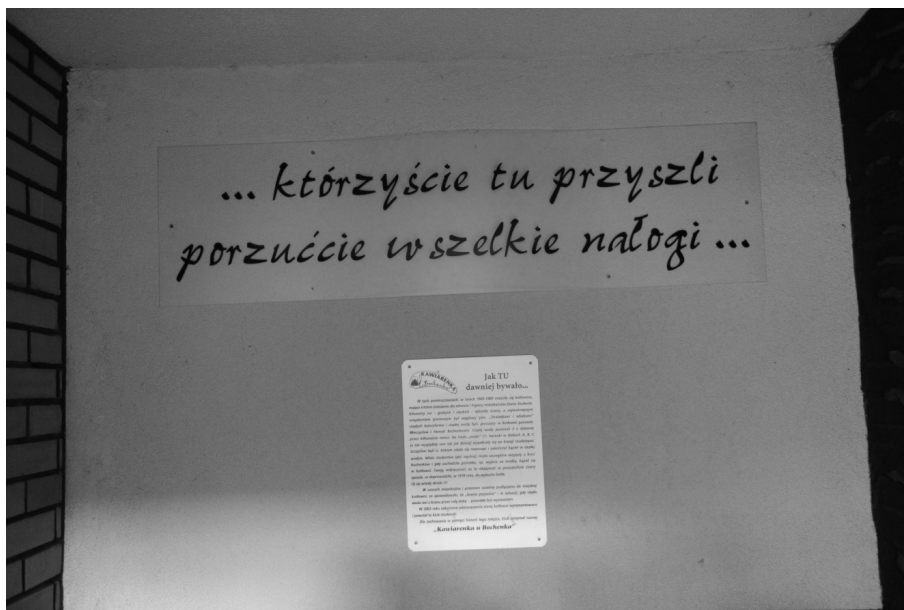
Długo można by pisać o działaniach studentów z pierwszych 20 lat istnienia uczelni. Ich aktywność, pomysłowość, chęci znajdowały odzwierciedlenie w pracach kabaretów, zespołów, kół naukowych, agend – AKN, AKŻ i wielu innych.

Ktoś zapyta, a co można powiedzieć o kolejnych dwudziestu latach?

Czy nic w kulturze studenckiej się nie dzieło, nic się teraz nie dzieje? Gdybym powiedziała, że nie dzieje się nic, byłabym posądzona o brak obiektywizmu. Ale z moich 35-letnich obserwacji i życia w naszym akademickim środowisku nasuwa mi się następujący wniosek (wcale nie odkrywczy) – w trudnych warunkach człowiek potrafi wznieść się na wyżyny swoich możliwości, w komfortowych – staje się mniej aktywny, znudzony i mniej mu się chce... działać. Już słyszę, jak młodszy czytelnicy (np. w wieku moich dzieci) mówią: no tak, znowu pobrzmiwa „nuta wapniacka” – za moich czasów, to... wszystko było lepsze. No cóż, każdy ma prawo do własnego osądu rzeczy i zjawisk; „konflikt pokoleń” istniał, istnieje i istnieć będzie...

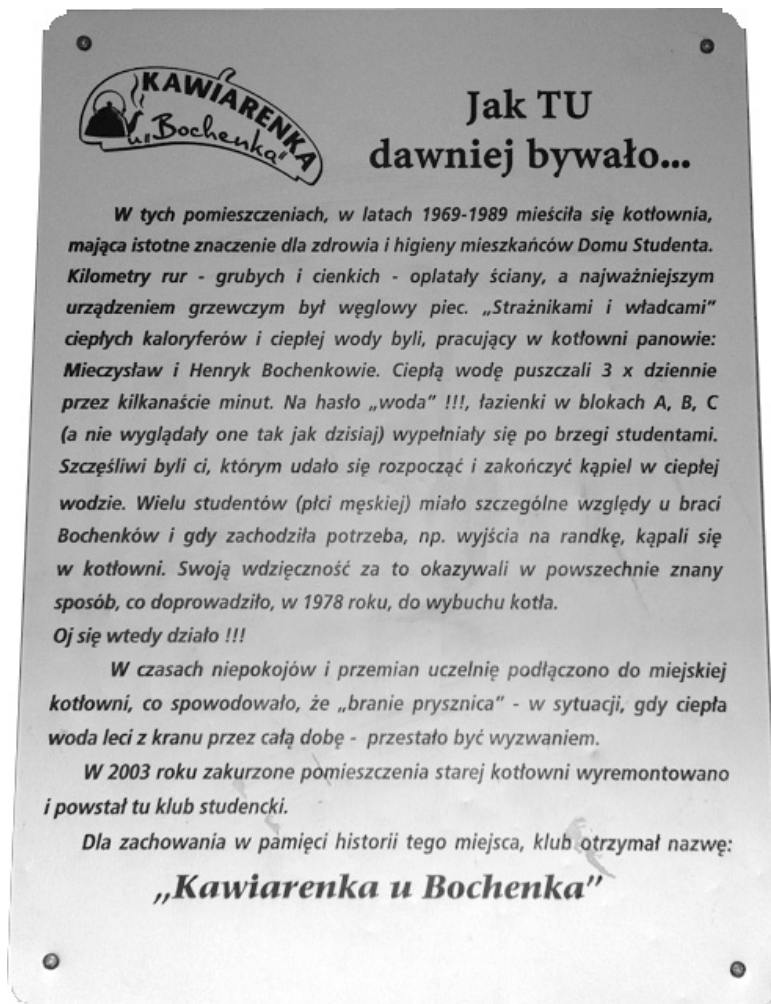
Przypomniał mi się tekst Andrzeja Poniedziałkiego: „Młodzieży, my wiemy to samo, co wy – tylko my wcześniej.”

Mam nadzieję, że znów pojawi się odpowiedni „zestaw” ludzi i możliwości ekonomiczne na zatrudnienie etatowego „szefa”, by – jak przed laty – kluby „Meta” i „Kawiarenka u Bochenka” tętniły życiem. Tego życzę sobie i całej „braci studenckiej”.



Wiem, z własnego doświadczenia, że bez nałogów można pięknie żyć i wspaniale się bawić.

Ja niestety mam jeden – słodycze.



Ku pamięci

Wanda Kamińska



*„Nie płacz, że coś się skończyło,
tylko uśmiechaj się, że ci się to przytrafiło”
/Gabriel Garcia Marquez/*

Cienie i blaski administrowania w Uczelni białskiej

Z miastem Biała Podlaska związana jestem zawodowo od 1 września 1962 roku. Pracowałam wtedy w Technikum Gastronomicznym, jako nauczyciel przedmiotów zawodowych i nic nie wskazywało na to, że nastąpią jakiegokolwiek zmiany... a jednak – w sierpniu 1969 roku – ówczesne władze tworzonej pierwszej w Białej Podlaskiej uczelni wyższej wystąpiły z ofertą zatrudnienia. Kierownik Wyższego Studium Nauczycielskiego Filii UMCS w Lublinie dr Władysław Romanowski wraz z dyrektorem administracyjnym mgr. Stanisławem Szwajem zaproponowali korzystne warunki pracy. Dodatkowym atutem tej oferty było zapewnienie możliwości pozyskania mieszkania. W tamtych czasach była to propozycja nie do odrzucenia, a ponieważ z Panem dyrektorem Szwajem współpracowałam w Technikum, to w krótkim okresie czasu podjęłam decyzję i w dniu 29 sierpnia 1969 roku podpisałam umowę z nowym pracodawcą. Na wszelki wypadek nie zrezygnowałam jednak z pracy w Zespole Szkół Zawodowych, pozostawiając sobie możliwość ewentualnego powrotu.

Zostałam pracownikiem Filii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, która w niedługim czasie przekształciła się i została ujęta w strukturach Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Moją pierwszą umowę podpisałam z UMCS Gospodarstwo Pomocnicze, jako Kierownik Stołówki Nr 7 na okres od 29.08.1969 roku do dnia 01.01.1971 roku.

W nowopowstałej uczelni w Białej Podlaskiej podjęłam się organizacji żywienia studentów. Przejęłam stołówkę, magazyny i zaplecze kuchenne. Włos mi się zjeżył na głowie, kiedy zobaczyłam wyposażenie kuchni – węglowy trzon kuchenny, kilka garnków 50-litrowych, aluminiowe sztućce i porcelitową zastawę stołową. Zwątpiłam w to, czy będę w stanie prawidłowo zorganizować i prowadzić żywienie studentów w trudnych czasach reglamentacji. Cóż było robić, trzeba było zakasać rękawy i wziąć się do roboty. Zaczęłam od wizytacji stołówek studenckich w Lublinie. Wiele cennych wskazówek uzyskałam od mojego przełożonego Pana mgra Albina Kiernickiego, kierownika stołówek UMCS.



Jak już wspomniałam były to czasy reglamentacji. Przydziały z Wydziału Handlu Urzędu Wojewódzkiego w Białej Podlaskiej na artykuły spożywcze były bardzo skromne. Otrzymywane ilości mięsa i wędlin, masła, cukru, itp. nie zawsze pozwoliły zaspokoić wilcze apetyty studentów uczelni sportowej. Posiłki musiały być przygotowane na czas: śniadanie na godz. 7.00, obiad na 13.30, a kolacja na 19.00. Należy jeszcze dodać, że w tym czasie z całodziennego wyżywienia korzystali wszyscy studenci. Ponadto znaczna część kadry wykupywała bony obiadowe.

Nie było tłumaczenia, że brakuje podstawowych produktów, a węgiel złej jakości pali się pod płytą beznadziejnie. Trzeba było sobie jakoś radzić. Okazało się, że tłuszcz ze smażenia potraw poprzedniego dnia jest bardzo pomocny w utrzymaniu lepszego płomienia pod garnkami. Te racjonalizatorskie rozwiązanie miało swoje negatywne skutki. Zbyt nisko wykonany sufit powodował skraplanie się pary i spływanie jej po glazurze na posadzkę, po której chodziło się jak po lodowisku. Jednak młoda załoga dawała sobie świetnie z tym radę i przenosiła ciężkie gary z jedzeniem, wykonując jednocześnie ślizgi z odbicia.

Po jakimś czasie inżynierowie doszli do wniosku, że komin odprowadzający spaliny w kuchni należy podnieść i zainstalować wentylatory. Włączone urządzenia wentylacyjne dawały tyle hałasu, co silniki startujących samolotów. Dziewczyny miały więc podwójną uciechę – nie dość, że ślisko, to na dodatek jeszcze głośno.

Ogromnym naszym sukcesem był wtedy zakup dwóch kotłów warzelnych z przeznaczeniem do przyrządzania zup i gotowania ziemniaków. Historycznym momentem stało się ugotowanie jajek w nowym kotle. Zgodnie z pozycją menu miały to być jajka „na twardo”, okazało się, że jajka ugotowały się, ale... „na brązowo”. Dziewczyny szybko podjęły wspólną decyzję – odkupiły jajka i przygotowały na posiłek jajecnicę. Długo jednak utrzymywały w tajemnicy zarówno ten fakt, jak i poniesione koszty.

Prowadzenie stołówki w tamtych czasach było nie lada wyczynem również z innych względów. Życie utrudniali nam: Sanepid, który często nas wizytował i miał mnóstwo wymagań sanitarnych oraz nieusatysfakcjonowani konsumenci ze swoimi żywieniowymi nawykami.

Pomimo ciężkiej pracy w nie najlepszych warunkach, młoda załoga często robiła sobie różne psikusy. Do dziś Panie wspominają historię, jak to pewnego dnia, kiedy na obiad był budyń, jedną porcję deseru (oczywiście bez opakowania) włożyły do kieszeni marynarki naszego palacza c.o. Pan Bochenek spieszył się do domu i nie zauważył „prezentu”. Dopiero na dworcu PKS, wsiadając do autobusu, sięgnął ręką do kieszeni po bilet i... już jej nie wyjął. Z ręką zanurzoną w budyniu dojechał do samego Konstantinowa. Całe szczęście, że spotkał w autobusie znajomego, który wykupił mu bilet. Co się działo w kuchni następnego dnia... można sobie tylko wyobrazić.



Nie zapomnę nigdy organizacji pierwszej Inauguracji Roku Akademickiego. Na długo przed tym wydarzeniem wystąpiłam z pismem do Kierownika Wydziału Handlu Urzędu Miasta w Białej Podlaskiej o dodatkowe przydziały artykułów spożywczych, uzasadniając potrzebę przygotowania posiłków dla gości – członków Senatu Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Musiałam nieprawdopodobnie zawyżyć ilości produktów, aby uzyskać przydział, pozwalający na przygotowanie skromnych posiłków. Nasze wysiłki organizacyjne i kulinarne zostały docenione przez Panów Rektorów. Profesor Stefan Wołoszyn i prof. Tadeusz Ulatowski osobiście podziękowali Paniom kucharkom; były to wzruszające i niezapomniane momenty.

Osobnym rozdziałem było organizowanie żywienia na obozach letnich w Rybitwach k/Pisza. Warunki faktycznie obozowe – woda, las, kilka namiotów. Studenci kolejno uczestniczyli w pracach kuchennych. Jeździli z zaopatrzeniowcem do Pizsa po artykuły spożywcze (otrzymywane, oczywiście, zgodnie z przydziałem), pracowali przy wstępnej obróbce produktów (obierali worki ziemniaków i warzyw, kroili kilkadziesiąt bochenków chleba). Pomagali również w wydawaniu posiłków i uczestniczyli w pracach porządkowych na terenie kuchni.

Uczestnicy obozów wraz z kadrą musieli posiadać własną zastawę stołową. Konsumpcja odbywała się pod drzewem, w pozycji stojącej lub siedząc na piasku czy igliwiu, między drzewami. Niejednokrotnie, naturalnym dodatkiem żywieniowym stawała się mrówka lub inny owad, bądź coś, co spadło z drze-



wa. Zmywanie naczyń (każdy swoje) odbywało się w jeziorze, piasek doskonale likwidował wszelkie „tustości”. O wygodach, typu: ciepła bieżąca woda, natryski, toalety można było wtedy tylko pomarzyć.

Najtrudniej było wtedy, kiedy lało. Deszcz powodował, że namioty i wszystkie ciuchy stawały się wilgotne. Trudno dzisiaj niektórym uwierzyć, że do spania w mokrym namiocie trzeba było się dobrze ubrać i obowiązkowo łyknąć tzw. „aspirynę”, aby zasnąć pod ciężką wilgotną kołdrą.

I o dziwo, nikt nie chorował, nikt nie narzekał. Każdy wiedział, że jest na programowym obozie letnim, a nie w kurorcie, na wczasach.

W 1978 roku, zgodnie z zaleceniem odgórnym, uczelnie zostały zobligowane do przekazania żywienia zbiorowego specjalistycznym firmom. W związku z powyższym, w dniu 01 września 1978 roku stołówkę studencką i prowadzenie żywienia przekazano PSS „Społem” w Białej Podlaskiej. I tak skończyła się moja przygoda z organizacją zbiorowego żywienia.

Zostałam przeniesiona do innych zadań i kontynuowałam zatrudnienie w Uczelni, ale na stanowisku Kierownika Domu Studenta. To był ciekawy czas, pełen niespodzianek, kiedy bardzo dokładnie poznawałam życie studenckie. Nie wiem, czy trudniej mi było sprostać wymaganiom konsumentów czy okiełznać „polki-demolki” w akademiku, związane z oblewaniem sukcesów i porażek egzaminacyjnych, meczy wygranych i przegranych, z organizacją wieczorów kawalerskich lub panieńskich, uroczystości imieninowych czy

urodzinowych. Warunki zamieszkania w akademiku były raczej spartańskie. Do wyposażenia każdego pokoju należały: szafy wnękowe z pawlaczem, stół, cztery krzesła, cztery szafki nocne i łóżka... Łóżka były metalowe, piętrowe, z materacami i baaardzo rozciągniętymi sprężynami. W związku z tym obowiązywała następująca kolejność zajmowania miejsc do spania: najpierw parter, a dopiero potem piętro. Przy zastosowaniu odwrotnej kolejności legowisko z piętra stawało się kołyską, sięgająca parteru, co niejednokrotnie uniemożliwiało ułożenie się do snu na dolnym pościu.

Ciepła woda dozowana była mieszkańcom domu studenta bardzo oszczędnie z kotłowni, która mieściła się w pomieszczeniach dzisiejszej kawiarenki „u Bochenka”. Wystarczyło, że ktoś na korytarzu krzyknął „ciepła woda”!!!, a wszyscy biegli do wspólnych łazienek, aby wziąć prysznic. Niestety, niektórzy zdążyli się tylko namydlić i wody już zabrakło. Ratunkiem był wtedy dyżurny, który gonił z piwem do palacza i wybawiał namydlonych.

Ze względu na spartańskie warunki zamieszkania studentów w akademikach, w początkach funkcjonowania uczelni Dom Studenta przy ul. Akademickiej przybrał nazwę „Spartanin”, która utrzymała się do dnia dzisiejszego.

Niewdzięcznym dla administracji domu studenta obowiązkiem było sporządzanie do Dziekana ds. Studenckich notatek służbowych. Dotyczyły one różnego rodzaju wykroczeń regulaminowych, popełnianych przez studentów. Jak się można domyślać, była to bardzo bogata literatura.

Niepowtarzalnych wrażeń dostarczały wrywkowe kontrole prowadzone w akademiku w godzinach nocnych lub porannych przez Dziekana i opiekunów roczników. Jakoś tak się składało, że późnym wieczorem, bądź wczesnym rankiem studenci miewali trudności artykulacyjne, które uniemożliwiały jakąkolwiek konwersację. Zdarzały się przypadki „pomrocności jasnej” – stanu ducha i umysłu, znanego i dziś naszym studentom, np. na pytanie Dziekana „który rocznik?” student odpowiadał „52”.

Każdy wiek ma jednak swoje prawa, a czasy studenckie należą do tych wyjątkowych, które wspomina się przez całe życie i jeszcze dwa dni dłużej.

Największe problemy mieli studenci z porannym wstawaniem i obecnością na zajęciach, odbywających się od godziny 8.00 rano. Któregoś dnia przyszła do mnie delegacja mieszkańców akademika z następującą propozycją:

– Niech Pani nam załatwi wykłady, które będzie prowadził wykładowca w portierni przez radiowęzeł. Ciekawych będziemy słuchać przez głośnik w pokoju, a w czasie nudnych będziemy spać. Utrzymując się w tej konwencji zaproponowałam studentom, że zainstaluję w akademiku taśmociąg, który pozwoli na dostarczanie posiłków do każdego pokoju na zamówioną godzinę. Tego typu pomysłów było znacznie więcej. Studenci przekonywali, że gdyby nie było zajęć praktycznych to można by studiować nie wychodząc nawet z pokoju.

Chciałabym dodać, że w miarę spokojnie i regularnie w domu studenta było tylko na początku, kiedy na II piętrze bloku B mieszkali nauczyciele akademicy.

Chcąc wzbogacić swoje dotychczasowe wykształcenie zdecydowałam się na studia zaoczne w naszej Uczelni, które odbyłam w latach 1972 – 1976. Był to dobry czas dla nauczycieli. Kształcenie było całkowicie bezpłatne. Kuratoria Oświaty kierowały na studia zaoczne, a szkoły, zainteresowane wysoko kwalifikowaną kadrą pedagogiczną urlopowwały swoich nauczycieli, pokrywając koszty delegacji. Uczelnia natomiast zapewniała bezpłatne zakwaterowanie i wyżywienie oraz sprzęt sportowy na obozy.



I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie wiek młodzieży studiującej i ich możliwości (czy raczej ograniczenia) ruchowe. Dla niektórych zajęcia praktyczne były wyzwaniem, przekraczającym ich umiejętności. Ale podobno chcieć – to móc. Niejeden z nas o 5.00 rano, cichaczem przemykał na salę gimnastyczną lub salę gier, aby wyćwiczyć obowiązkowe elementy na zaliczenie. Ile przełaliśmy potu, wylaliśmy łez, ile to kosztowało wyrzeczeń wiemy tylko my. Ale nawet poobijani i umęczeni fizycznie czerpaliśmy ogromną radość ze studiowania.

W naszej grupie była koleżanka, która topiła się w rzece Wieprz i bardzo bała się wody. Nie miała żadnych szans na uzyskanie zaliczenia z pływania. Na zajęciach, przy całej grupie usłyszała od prowadzącego: – Jeżeli Pani nauczy się pływać, to kaktus urośnie mi na dłoni.



Stwierdzenie to tak rozsierdziło koleżankę, że postanowiła udowodnić, że potrafi. Intensywną naukę pływania odbywała w stawach rybnych pod okiem męża i syna, którzy udzielali jej instruktażu i często podawali tyczkę. A ona, zapijając wodę z glonami lub kijankami, stopniowo przełamywała lęk przed utonięciem. Można tylko pozazdrościć ambicji i wytrwałości i stawiać ją za wzór młodszym studentom. Jej osiągnięcia zadziwiły wszystkich, a w szczególności prowadzących zajęcia z pływania. Przedmiot zaliczony, ale kaktus na dłoni magistrowi nie wyrósł. Osiągnięcia naszej koleżanki utwierdziły nas w przekonaniu, że można pokonać własną słabość, lęk i opanować technikę pływania w każdym wieku.

Często wracamy do wspomnień z obozów studenckich. Do niezapomnianych należą wędrowki, kiedy to na wyeksploatowanych, starego typu rowcach, bez wstecznych hamulców, „objuczeni” bagażami (namioty, śpiwory, rzeczy osobiste) pokonaliśmy trasę z Białej Podlaskiej do Augustowa. Po drodze nocowaliśmy w szkołach, u gospodarzy w stodołach lub pod namiotami na pastwiskach. Codziennie, wyznaczeni dyżurni robili zakupy i sporządzali posiłki. Najlepsza była grochówka z torebki, a w niej kawałki chleba rąbanego siekierą (był tak suchy, że nożem nie dało się pokroić).

Kolejny etap pokonywaliśmy kajakami. Płynąc kanałem Augustowskim dopadła nas burza z piorunami. Wylądowania były tak przerażające, że nie było mocnych i każdy z nas odmawiał zdrowaśki, aby szczęśliwie dotrzeć do przystani. W Starym Folwarku, po krótkim wypoczynku, w godzinach popołudnio-

wych wsiadamy znów do kajaków. Mamy zadanie, aby dopłynąć na kolację do Ośrodka w Rybitwach k/Pisza. Studenci bez latarek, słabo lub nie pływający, wiosłowali bez opamiętania. Załogi rwały do przodu, każda w swoją stronę, nie analizując zagrożeń. To cud, że wszyscy, wprawdzie w godzinach nocnych, szczęśliwie dopłynęliśmy do Ośrodka. Kadra obozowa na czele z dziekanem Tadeuszem Jakubowskim czekała na nas na pomoście. Na nasz widok odechnęli z ulgą, a my po wyjściu z kajaków z radości całowaliśmy ziemię. Następnego dnia odbyło się posiedzenie Rady Obozu, którego tematem była bezmyślność nauczyciela prowadzącego wędrownki, brak wyobraźni i odpowiedzialności za grupę.

I jeszcze jedno wspomnienie związane z okresem bardzo trudnym dla całej Polski. Rok 1981 – stan wojenny... następuje przerwa w nauce, studenci wyjeżdżają do domu. Akademik zajmują jednostki ZOMO, którym żywienie zapewnia stołówka studencka. Zaopatrzenie nieregulamentowane, wszystkiego pod dostatkiem, szczególnie mięsa, uzyskanego na rogatkach przy wjazdach do Białej Podlaskiej. Wyjątkowa była Wigilia tego roku. Tu stoły ugięły się pod różnymi potrawami, pod dostatkiem było śledzi i ryb. A większość mieszkańców nie miała tak obfitej i urozmaiconej wieczerzy wigilijnej. Przeciętny obywatel, co najwyżej mógł zakupić na zapisy śledzia i karpia. W zakładach pracy komisje socjalne zamawiały, a następnie sprzedawały swoim pracownikom



Wręczenie dyplomu ukończenia studiów.

zaopatrzenie świąteczne. Szczególnym wydarzeniem była sprzedaż butów. Nikt nie pytał o fason czy kolor, był szczęśliwy, jeśli udało mu się zakupić odpowiedni rozmiar butów. Towarem luksusowym w tym czasie był... papier toaletowy. Pamiętam, jak sprowadzałam go do Domu Studenta z Papierni SKOLWIN w Szczecinie. W pozyskaniu tego reglamentowanego dobra pomagała mi moja rodzina, zatrudniona w zakładzie.

40 lat to szmat czasu, to okres, w którym wydarzyło się tak wiele. Tylko niektóre zdarzenia pozwoliłam sobie opisać, niektóre z nich straciły swoją moc, a niektóre odeszły wraz z bliskimi nam osobami.

Kończę swoje wspomnienia z bardzo dawnych lat. Na kolejne (być może) przyjdzie czas, jeżeli tylko zdrowie i pamięć dopiszą.



PS. Następných 40-lat pracy w AWF-ie. Teška



Działalność naukowo-badawcza

Działalność naukowo-badawcza ZWWF realizowana jest w ramach:

- badań statutowych – są to zadania badawcze określone w statucie uczelni, związane z inicjowanymi i prowadzonymi w sposób ciągły badaniami naukowymi i pracami rozwojowymi,
- badań własnych – są to badania naukowe i prace rozwojowe oraz zadania z nimi związane, służące rozwojowi młodej kadry naukowej, kształtowaniu specjalizacji naukowych, doskonaleniu metod dydaktycznych,
- projektów badawczych Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego (grantów).

Prowadzone w Wydziale badania skoncentrowane są wokół ogólnouczelnianego programu badawczego pt. *„Kultura fizyczna w poprawie stanu zdrowia i kondycji biologicznej ludności Polski”*.

Aktualnie realizowane tematy badań zarówno statutowych, jak i własnych są odzwierciedleniem tej problematyki.

W obszarze **kultury fizycznej** badania koncentrują się wokół zagadnień motoryczności (sprawności fizycznej, koordynacji i zdolności motorycznych, uzdolnień ruchowych), rekreacji ruchowej, turystyki aktywnej, teorii i metodyki wychowania fizycznego, teorii sportu (głównie teorii treningu sportowego; walki sportowej; obciążeń treningowych w zespołowych grach sportowych, sportach walki i sportach indywidualnych). W obszarze **nauk biomedycznych** dominują kierunki badań w zakresie fizjologii wysiłku fizycznego i wydolności fizycznej; rozwoju biologicznego i fizycznego; biomechaniki sportu; higieny, higieny żywienia i wychowania zdrowotnego; postawy ciała, wad postawy ciała oraz niepełnosprawności.

W **naukach humanistycznych** badania koncentrują się w obrębie pedeutologii i wychowania prorodzinnego.

Uwzględniając lokalizację Zamiejscowego Wydziału we środkowo-wschodnim, w przewadze rolniczym regionie Polski, problematyka naukowa realizowana przez pracowników ukierunkowana była na specyfikę regionu i jego wiejski charakter. Optyka ta dotyczyła nie tylko badań omawiających różne aspekty rozwoju dziecka wiejskiego, ale także badania historyczne, które obejmowały zagadnienia ważne dla tego regionu.

Rozwój naukowy pracowników

W ostatnich latach wyraźnie wzrosła aktywność pracowników naukowo-dydaktycznych Zamiejscowego Wydziału Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej w zakresie rozwoju naukowego. Przejawem tej aktywności było wszczęcie przez kilku pracowników przewodów habilitacyjnych, z których cztery zostały zakończone obroną pracy habilitacyjnej (styczeń 2007 roku – dr hab. prof. nadzw. Krystyna Górniak, listopad 2008 – dr hab. prof. nadzw. Elżbieta Huk-Wieliczuk, maj 2009 roku – dr hab. prof. nadzw. Jan Czelelewski, maj 2010 roku – dr hab. Andrzej Klusiewicz). Kolejne dwie osoby złożyły dokumentację do wszczęcia przewodu habilitacyjnego.

Do sukcesów należy także zaliczyć uzyskanie w ostatnich pięciu latach stopnia naukowego doktora przez ponad 20 pracowników.

Po przyznaniu przez Centralną Komisję do Spraw Stopni i Tytułów w styczniu 2008 roku Zamiejscowemu Wydziałowi Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej uprawnienia do nadawania stopnia naukowego **doktora nauk o kulturze fizycznej**, w latach 2008-2010 wszczęto 5 pierwszych przewodów doktorskich w Wydziale i powołano Komisje Doktorskie i Egzaminacyjne.

W lipcu 2009 roku odbyła się pierwsza obrona pracy doktorskiej w ZWWF – dra Przemysława Kędry.

W ostatnich pięciu latach dwóch pracowników Wydziału otrzymało tytuł profesora nauk o kulturze fizycznej – prof. dr hab. Barbara Raczyńska i nauk medycznych – prof. dr hab. Jerzy Mosiewicz.

Dorobek publikacyjny pracowników

Dorobek publikacyjny pracowników Wydziału w ostatnich latach utrzymuje się na podobnym poziomie ok. 200 – 250 publikacji rocznie. Na całość dorobku pracowników Wydziału składają się publikacje zamieszczone w czasopismach krajowych i zagranicznych (recenzowanych), wydawane monografie, podręczniki, skrypty, rozdziały w monografiach, redakcje monografii oraz materiały metodyczne dla nauczycieli wychowania fizycznego, instruktorów i trenerów. Na podkreślenie zasługuje fakt coraz większego zaangażowania pracowników w publikowanie swoich prac w prestiżowych czasopismach naukowych polskich i zagranicznych, punktowanych przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, w tym znajdujących się na liście czasopism wyróżnionych w Journal Citation Reports.

Czasopismo „Polish Journal of Sport and Tourism”

W 2008 roku przekształcono, wydawane przez 13 lat w ZWWF, czasopismo *Rocznik Naukowy* w kwartalnik ***Polish Journal of Sport and Tourism***.

W kwartalniku zamieszcza się prace przeglądowe oraz oryginalne prace twórcze z dziedziny kultury fizycznej i sportu, recenzje, a także informacje z kongresów, sympozjów i konferencji.

Autorami prac są doświadczeni pracownicy naukowo-dydaktyczni naszej uczelni, specjaliści innych uczelni w Polsce oraz naukowcy z zagranicy.

Prace do druku kwalifikuje Komitet Redakcyjny, wcześniej kierowane są do recenzji – większość prac do recenzentów spoza naszej uczelni.

W kwartalniku prace wydawane są w języku angielskim i polskim wraz ze streszczeniami. Decyzją Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego czasopismo otrzymało **6 pkt.**

Komitet Redakcyjny kwartalnika czyni starania, aby czasopismo stale podwyższało swój poziom naukowy oraz by umieścić je w serwisach cytowań internetowych.

Nasze wydawnictwa

Z chwilą powołania w 2003 roku przez Rektora Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie, Wydziałowego Komitetu Redakcyjnego Wydawnictw, wzrosła własna działalność wydawnicza pracowników Zamiejscowego Wydziału Wychowania Fizycznego.

Aktualnie monografie pracowników wydawane są w ramach serii „Monografie i Opracowania”. W ostatnich 5 latach wydano 23 pozycje książkowe. Nasi pracownicy są także autorami, bądź współautorami książek wydawanych przez inne instytucje i uczelnie (wydano 14 książek). Tematyka publikacji naukowych jest ściśle związana z problematyką badań naukowych prowadzonych w Wydziale.

Konferencje

Pracownicy Wydziału aktywnie uczestniczą w krajowych i międzynarodowych konferencjach naukowych, organizowanych przez krajowe i zagraniczne ośrodki naukowe. Na szczególną uwagę zasługuje wzrost liczby pracowników uczestniczących w konferencjach międzynarodowych., organizowanych zarówno w kraju, jak i za granicą. Prace prezentowane na konferencjach, po pozytywnych recenzjach publikowane są w wydawnictwach książkowych, wydawanych w języku polskim i językach kongresowych.

Corocznie nasz Wydział jest organizatorem międzynarodowych konferencji naukowych. Od kilku lat odbywają się także cykliczne konferencje naukowe nt. „Korektywa i kompensacja zaburzeń w rozwoju fizycznym dzieci i młodzieży”, „Coordination motor abilities in scientific research”, „Uwarunkowania rozwoju dzieci i młodzieży wiejskiej”.

Współpraca międzynarodowa

Współpraca międzynarodowa odbywa się w oparciu o bilateralne umowy zawarte przez macierzystą uczelnię, jak też indywidualne kontakty pracowników. Ze względu na geograficzne położenie naszego Wydziału intensywnie

rozwija się współpraca naukowa z uczelniami położonymi za wschodnią granicą Polski – w Brześciu, Baranowiczach, Rydze, Grodnie, Moskwie, Kijowie, Doniecku.

Pracownicy naukowcy Wydziału mogą korzystać z naukowych staży krajowych, jak i zagranicznych; wyjazdów z wykładami na zaproszenie (visiting profesor); wyjazdów w ramach programu Erasmus (w latach 2005-2009 wyjechało 20 pracowników, a Wydział gościł 8 pracowników naukowych z zagranicy).

Naukowcy z zagranicy odbywają w naszym Wydziale staże naukowe, zapraszamy wybitnych specjalistów z różnych dziedzin na wykłady, które adresowane są do naszych pracowników i studentów.

Działalność Studenckich Kół Naukowych

Studenckie Koła Naukowe stanowią w uczelniach AWF dobrowolną i zarazem podstawową formę aktywności naukowej młodzieży akademickiej, realizowanej pod kierunkiem samodzielnych pracowników naukowo-dydaktycznych AWF lub nauczycieli akademickich AWF, posiadających stopień naukowy doktora.

Celem działania SKN jest: propagowanie nauki wśród studentów i rozbudzanie w nich zainteresowania pracą naukowo-badawczą; umożliwianie im rozwoju naukowego przez realizację ich aspiracji i pomysłów; motywowanie najzdolniejszych studentów do kontynuowania nauki na studiach doktoranckich; rozpowszechnianie osiągnięć naukowych studentów w kraju i za granicą, głównie przez publikowanie prac naukowych oraz czynny udział w konferencjach, przede wszystkim studenckich.

Studenckie Koła Naukowe powyższe cele realizują poprzez:

- organizowanie zebrań naukowych, wykładów, seminariów naukowo-metodologicznych, warsztatów badawczych,
- udział w badaniach naukowych jednostek organizacyjnych AWF i w ramach innych projektów badawczych (innych jednostek badawczych),
- udział w konferencjach naukowych (uczelnianych, ogólnopolskich, międzynarodowych)
- uczestnictwo w promocji uczelni w przedsięwzięciach naukowych.

Studencki ruch naukowy w uczelni ma bogatą i chlubną przeszłość. Pierwsze koła naukowe powstawały już w 1971 roku, a więc w pierwszym roku działalności naszej uczelni. Studenci Wydziału wielokrotnie zdobywali laury na konferencjach ogólnopolskich i międzynarodowych. Działalność naukowa, podobnie jak sportowa (AZS) czy kulturalna (zespoły artystyczne) skupia studentów wyjątkowych, szukających dodatkowych form aktywności lub możliwości rozwoju naukowego poza procesem dydaktycznym.

W ZWWF działa aktualnie 13 Studenckich Kół Naukowych zrzeszających 150 członków.

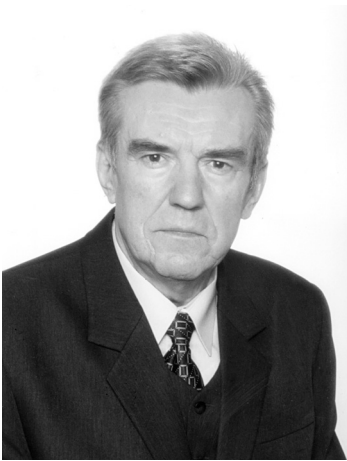
Studenci Wydziału w minionych pięciu latach popularyzowali własne osiągnięcia naukowe biorąc czynny udział w konferencjach naukowych: w Warszawie, Białej Podlaskiej (konferencje uczelniane); Krakowie, Poznaniu, Katowicach, Brennej (konferencje ogólnopolskie) oraz w Moskwie, Baranowiczach, Pradze i w Kijowie (konferencje międzynarodowe).

Studenci Wydziału wielokrotnie byli nagradzani i wyróżniani za swoje wystąpienia, a po konferencjach ich prace publikowane były z afiliacją jednostki w materiałach zwartych.

Henryk Mierzwiński



**Nie przepracowałem ani jednego dnia w Akademii
Wychowania Fizycznego, wszystko, co w niej robiłem,
to była przyjemność.**



UZYSKUJĄC w 1977 r. stopień doktora nauk humanistycznych pod kierunkiem znakomitego uczonego mediewisty – prof. zw. dr hab. Feliksa Kiryka (Kraków) nie przypuszczałem, że będzie on „pomostem” w drodze do pracy w akademii białskiej. Z inicjatywą mej pracy w AWF w Warszawie, Filii w Białej Podlaskiej wystąpił doc. dr Antoni Olszowski ówczesny prorektor, którego później wielokrotnie w swych wystąpieniach nazywałem „arbitrem elegancjarum”, bowiem na takie określenie w pełni on zasługiwał. Zostałem 30 września 1978 r. zatrudniony na 1/2 etatu w charakterze adiunkta w Zakładzie Wychowania

Fizycznego. Odczułem wówczas różnicę w stosunku do mojej dotychczasowej pracy w charakterze Kuratora Oświaty i Wychowania, pracy ciężkiej, stanowiska wówczas politycznego, powodującego ciągły stan napięcia nerwowego i permanentnego czuwania, by nie krzywdzono nauczycieli, a szczególnie dyrektorów placówek oświatowo-wychowawczych różnych szczebli.

Praca w białskiej uczelni w dotychczasowej mojej karierze zawodowej mogła być jedynie porównywalna do kilkunastoletniego okresu kierowania Szkołą Podstawową i Liceum Ogólnokształcącym w Kocku, dlatego w rozmowach z przyjaciółmi nazywałem ją „pracą niebiańską”, czym niekiedy nie liczących, którzy nie znali środowisk pozauczelnianych, wprawiałem w zdumienie. Przekonywałem ich wówczas może zbyt oczywistymi, lecz często skutecznymi argumentami, że indoktrynacja polityczna w uczelni jest stosunkowo do innych środowisk łagodna, rektorzy, dziekani, kierownicy zakładów, katedr czy instytutów nie przeszkadzają, by dobrze, wydajnie pracować i zapewniają (czasami mizerne), ale na czas wypłacane wynagrodzenia, co nie we wszystkich uczelniach jest praktykowane (szczególnie w okresie III RP).

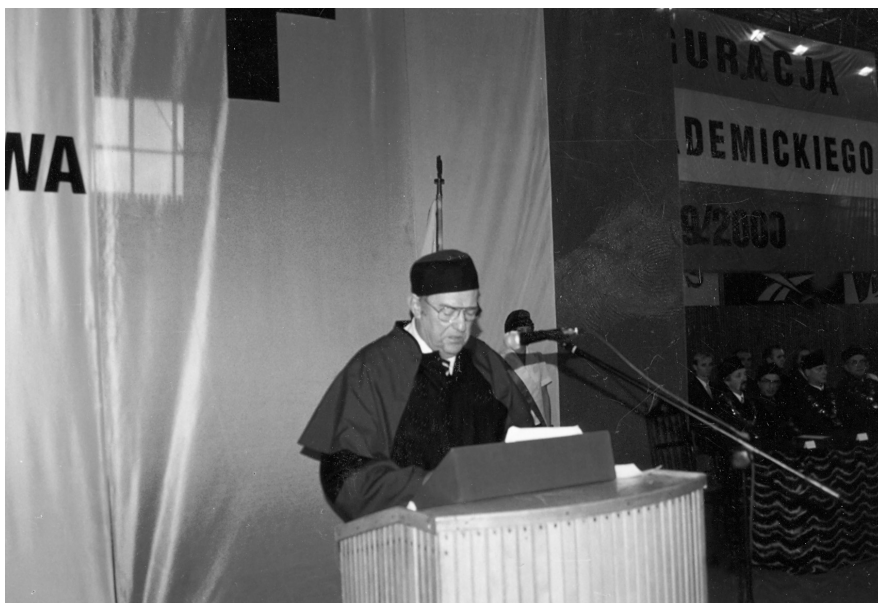
O dobrej atmosferze pracy w AWF w Białej Podlaskiej świadczy również fakt, iż niektóre osoby odchodziły z uczelni do innych zakładów pracy czy instytucji, by po pewnym czasie do niej powrócić. Jedyną „uciażliwością”, ale zarazem przyjemnością, był i jest obowiązek, poza pracą dydaktyczno-wychowawczą, pracy naukowej i zdobywania kolejnych stopni, tytułów, specjalności itp., ale przecież jest to inwestowanie w „siebie”, we własny intelekt i osobowość.

Pracując na 1/2 etatu szybko zorientowałem się, że jest to miejsce, w którym mogę się samorealizować, znaleźć zadowolenie, a być może również, pomimo że zbliżałem się do 50-ciu lat, dokonać czegoś znaczącego w twórczości naukowej. Dlatego też postanowiłem zaryzykować, by zmienić całkowicie miejsce pracy, toteż z obawą, ale również z wiarą w lepszą przyszłość, przyjąłem następujące pismo: *„Wojewoda Białkopodlaski. Obywatel Henryk Mierzwiński. Przychylając się do prośby Obywatela z dnia 1 lipca 1981 r. i wniosku Prorektora Akademii Wychowania Fizycznego do spraw Filii w Białej Podlaskiej z dnia 5 czerwca 1981 r. znak (...) oraz w ślad za decyzją Ministra Oświaty i Wychowania z dnia 17 sierpnia 1981 r. znak (...) – rozwiązuję z Obywatелеm umowę o pracę na mocy porozumienia stron z dniem 31 sierpnia 1981 r. Mgr inż. Józef Piela”*. No i stało się *„Alea iacta est”* – jak pisał Menander, a za nim Juliusz Cezar. Słuszność mej decyzji potwierdziły już wydarzenia końca 1981 r. i późniejsze. Być może dzięki tej decyzji uniknąłem błędów, które mógłbym popełnić, a szczególnie w stanie wojennym, natomiast bronić ludzi przed represjami mogłem również i na uczelni – co z efektem czyniłem.

W nowym miejscu pracy tj. w uczelni zostałem przyjęty z sympatią, o czym świadczy następujące pismo: *„Akademia Wychowania Fizycznego im. gen. Karola Świerczewskiego. Doc. dr Henryk Mierzwiński. Filia Akademii Wychowania Fizycznego. Biała Podlaska. W związku z wyborem dokonany przez Zebranie Pracowników Instytutu Nauk Biologicznych i Humanistycznych Filii Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej, z dniem 1 września 1981 r. powołuję Obywatela na funkcję Zastępcy Dyrektora Instytutu Nauk Biologicznych i Humanistycznych Filii Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej, na okres do 31.VIII.1984r. Rektor. Prof. dr Tadeusz Ulatowski.” Warszawa – Bielany 12.VIII.1981r.* W powyższym awansie na starcie mej pracy w pełnym etatowym wymiarze w AWF cieszył mnie nie tyle dodatek finansowy za sprawowaną funkcję, co nie było bez znaczenia, ale przede wszystkim, że w tajnym głosowaniu otrzymałem wszystkie pozytywne głosy jak również nadanie mi (jakkolwiek z mianowania) stopnia docenta kontraktowego. Natomiast akceptacja wniosków władz Filii i decyzji społeczności akademickiej wyrażonej w głosowaniu, przez tak wybitnego uczonego i wspańskiego człowieka jak prof. T. Ulatowski, była dla mnie wówczas dużą satysfakcją. W okresie sprawowania powyższej funkcji współpracowałem z doc. dr

Zbigniewem Danilkiewiczem, który jako dyrektor Instytutu był moim przełożonym. Również w tymże roku tj. 21 września 1981 Prorektor Akademii Wychowania Fizycznego ds. Filii w Białej Podlaskiej doc. dr Erazm Wasilewski powołał mnie na funkcję Kierownika Pracowni Pedagogiki z Historią Kultury Fizycznej (zob. SP-314/81) na okres do 1984 roku.

Pełniąc powyższe obowiązki wynikające ze sprawowanych funkcji miałem jednak wciąż na uwadze, że skoro zdecydowałem się na pracę w uczelni wyższej, to również na konsekwencje z tego wynikające, a więc także na pracę naukową. Dodatkowym bodźcem było powołanie mnie w 1987 r. przez J.M. Rektora prof. dr hab. Mieczysława Witkowskiego na Pełnomocnika Dziekana ds. Nauki ZWWF w Białej Podlaskiej. Wychodząc z założenia, że najlepszą wykładnią wszelkiej filozofii czy też poglądów jest własny przykład, a więc skoro jestem odpowiedzialny za pracę naukową w uczelni, to również osobiście powinienem być przykładem rozwoju naukowego. Zintensyfikowałem więc swoje badania naukowe, dużo publikowałem i jednocześnie przygotowywałem rozprawę habilitacyjną. Byłem też aktywny w humanistycznym ruchu naukowym biorąc czynny udział tj. wygłaszając referaty na wielu konferencjach naukowych. Wygłaszałem też wiele prelekcji naukowych i popularnonaukowych w Polsce i za granicą m.in. cykl wykładów o historii ruchu ludowego na uczelniach bułgarskich. Organizowałem też wiele konferencji środowiskowych, w których przygotowanie angażowali się również moi przełożeni z uczelni. Materiały pokonferencyjne były publikowane.



Wykład inauguracyjny (1999/2000)

W wyniku rozwoju naukowego i aktywności w organizacyjnym ruchu naukowym zostałem doceniony przez Wydział Humanistyczny UMCS, który mianował mnie docentem jeszcze przed habilitacją. Ten fakt zaufania zmobilizował mnie do zwiększenia swej aktywności naukowej, w wyniku której przygotowałem rozprawę (dwukrotnie opublikowaną) pt.: *„Tomasz Nocznicki. Życie, działalność, myśl polityczna (1862-1944)”*, która umożliwiła mi przystąpienie do kolokwium habilitacyjnego, w wyniku którego otrzymałem stopień doktora habilitowanego zatwierdzony w styczniu 1989 r. przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną do Spraw Kadr Naukowych przy Prezesie Rady Ministrów. Uroczyste wręczenie dyplomu miało miejsce w październiku tegoż roku przy udziale szerokiej społeczności akademickiej, a przede wszystkim Senatu UMCS. Składając przysięgę doktorską podczas tej uroczystości stwierdziłem, że wśród licznej grupy nowych profesorów, doktorów habilitowanych i doktorów wyglądałem „najpoważniej wiekowo”. Uświadomiłem sobie wówczas, że przecież mam już 54 lata i jestem wśród nich najstarszy. Trochę mnie to krępowało, ale pocieszałem się, że *„uczenie się jest przywilejem młodości, a więc ten kto się uczy, jest młodym”*.

Refleksje związane z moim startem naukowym szybko przeminęły, gdy fakt mej habilitacji został życzliwie przyjęty przez władze uczelni oraz koleżanki i kolegów. Nikt nigdy nie wypominał mi mego wieku, widocznie wychodząc z przekonania, że to, co robiłem przez dwadzieścia lat przed pracą w AWF, było również pożyteczne i ważne. Poczynię w tym fragmencie wspomnień osobistą uwagę, że przez cały okres pracy dydaktyczno-wychowawczej nigdy nie miałem kłopotów ze studentami. Kochałem studentów tak jak wcześniej uczniów szkół podstawowych i liceów, w których pracowałem i odnosiłem wrażenie, że oni mnie również. Ta wzajemna sympatia i wzajemny szacunek nie oznaczały obniżenia poziomu kształcenia – ja wymagałem wiedzy, a studenci tylko incydentalnie byli nieprzygotowani merytorycznie. Czuwałem też poprzez krytyczną „samokontrolę”, by utrzymać poziom wykładów i innych zajęć, na jaki było mnie stać, mając w myśli maksymę, że nie ma złych studentów skoro nimi zostali, natomiast czasami zdarzają się (sporadycznie) kiepscy nauczyciele akademicy. Pilnowałem się, by nie zasilić ich grona. Z perspektywy trzydziestoparoletniej pracy w uczelni sędzę, że mi się to udało.

Uzyskanie stopnia doktora habilitowanego zaowocowało awansami. Przewodniczący Komitetu do Spraw Młodzieży i Kultury Aleksander Kwaśniewski mianował mnie na stanowisko docenta w marcu 1990 r., a J.M. Rektor prof. dr hab. Mieczysław Witkowski na stanowisko profesora nadzwyczajnego (początkowo do 31 X 1995 r.), natomiast w październiku 1995 r. otrzymałem mianowanie profesorskie na stałe. Decyzję po uprzednim stwierdzeniu Senatu o mym pozytywnym – ilościowym i jakościowym rozwoju naukowym podpisał J.M. Rektor prof. dr hab. Zbigniew Krawczyk. Po otrzymaniu tytułu profesora wzrosły obowiązki, które traktowałem nie jako dopust Boży, ale jako potrzebę

uczelni, której tak dużo zawdzięczałem oraz osobisty zaszczyt. Byłem więc przez kilka kadencji członkiem Senatu, Rady Wydziału, Kierownikiem Zakładu Nauk Społecznych, Zastępcą Dyrektora Instytutu Wychowania Fizycznego ds. Nauki, Kierownikiem Zakładu Historii Kultury Fizycznej Zastępcą Dziekana ds. Nauki i Wydawnictw oraz tuż przed emeryturą Kierownikiem Zakładu Historii i Organizacji Kultury Fizycznej. Pełniąc powyższe i inne (których nie wymieniłem) obowiązki spotkałem na „swej drodze” wspaniałych współpracowników i przyjaciół jak dr Zofię Cicirko (która była pierwszą moją doktorantką), Urszulę Jarząbkowską, dra Witolda Jana Burzyńskiego, dra Tomasza Demidowicza i wielu, wielu innych. Może jestem w tej kwestii „zarozumiały”, ale mam wciąż nie opuszczające mnie wrażenie, że nie miałem w uczelni nie tylko „wrogów”, ale również osób nieprzychylnie nastawionych. Wspomniałem powyżej o dr Zofii Cicirko, której promotorem byłem w przewodzie doktorskim. Jestem też promotorem 6-ciu innych doktorów, moich wspaniałych uczniów, którzy, poza jednym, pełniącym kierownicze stanowisko w oświacie, wszyscy robią kariery w szkolnictwie wyższym. Wypromowałem też setki magistrów.



*Inauguracja Roku Akademickiego 2007/2008 w Warszawie.
Stoją od lewej: Dziekan dr Janusz Jaszczuk, Posłanka PSL,
Były Prezydent RP na wychodźstwie Ryszard Kaczorowski,
Prof. Henryk Mierzwiński, Prof. dr hab. Zofia Żukowska,
Dziekan dr Stefan Litwiniuk*

Na zakończenie tych (jakże wybiórczych) wspomnień pragnę podzielić się wrażeniem w jednej kwestii. Gdy pracowałem w pewnych okresach w Akademii Podlaskiej czy też Wyższej Szkole Humanistyczno-Pedagogicznej w Łowiczu, chwaliłem wobec znajomych mi profesorów naszych rektorów, dziekanów czy też w pewnym okresie dyrektorów; wywołało to zdziwienie jak można „zaocznie” to czynić. „Popadłem” zapewne na tych, którzy mieli inne ode mnie doświadczenie. Cieszę się więc, że mogę chwalić nasze kierownictwa, Ich Magnificencje za osiągnięcia, których dokonali wspólnie z nami – kadrą naukowo-dydaktyczną, administracyjną i usługową. Cześć Im za to! A osobiście pragnę oświadczyć wszem, wobec i każdemu z osobna, iż czuję się osobą „spełnioną”, właśnie głównie ze względu na pracę w AWF w Białej Podlaskiej, „naszej uczelni” jak określa ją większość pracowników.

Miłym był także dla mnie fakt, że dostrzeżono również mój Jubileusz 50-lecia pracy i na posiedzeniu Rady Wydziału ZW AWF w Białej Podlaskiej w styczniu 2009 r., oprócz kwiatów J.M. Rektor prof. dr hab. Jerzy Sadowski wręczył mi ryngraf następującej treści: *„Pan Profesor Henryk Mierzwiński. Z okazji Jubileuszu 50-lecia pracy naukowej składam Panu wyrazy najwyższego uznania i serdeczne gratulacje. Dotychczasowa działalność naukowa oraz osiągnięcia dydaktyczne są wysoko cenione w środowisku akademickim. Proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia wytrwałości na dalsze lata aktywnej działalności naukowej, dobrych kontaktów, z oddanymi Panu Profesorowi studentami, kolegami i przyjaciółmi, a przede wszystkim zdrowia i wszelkiej pomyślności w życiu osobistym. Dziekan ZWWF Dr hab. prof. nadzw. Jerzy Sadowski. Biała Podlaska, 8 stycznia 2009 r.”* Miłym był również list od J.M. Pani Rektor: *„Pan Prof. dr hab. Henryk Mierzwiński. Szanowny Panie Profesorze. Z okazji Pana Jubileuszu pięćdziesięciolecia pracy naukowej proszę przyjąć serdeczne gratulacje od całej społeczności akademickiej AWF w Warszawie. Ten czas znaczony jest Pana wyjątkowym dorobkiem naukowym i osiągnięciami w działalności społecznej, które mogą być wzorem dla innych nauczycieli akademickich. Z tej szczególnej okazji składam Panu najserdeczniejsze podziękowania za zaangażowanie i wkład pracy podczas wieloletniej działalności dydaktycznej i organizacyjnej. Życzę Panu Profesorowi wielu dalszych sukcesów w pracy zawodowej i wszelkiej pomyślności w życiu osobistym. Rektor Dr hab. prof. AWF Alicja Przyłuska-Fiszer. Warszawa, 16 grudnia 2008 r.”*

Kończąc swoje bardzo skromne wspomnienia i refleksje powtórzę jeszcze raz, że *„Nie pracowałem ani jednego dnia w AWF”* – wszystko, co w niej robiłem to była przyjemność. I dziękuję za to losowi.



Pracownia Gimnastyki a stan wojenny

MÓJ romans z Zakładem Gimnastyki zaczął się w połowie lat siedemdziesiątych. Byłem świeżo upieczonym studentem I roku, którego fascynowało wszystko, co było związane z ruchem i który chciał robić wszystko naraz. Już na I roku zetknąłem się z ludźmi o zbliżonych zainteresowaniach, którzy wywarli duży wpływ na moje dalsze decyzje. Z Pawłem, Marianem i Andrzejem spotkaliśmy się na zajęciach I roku. Oni młodzi, przystojni i wysportowani pracownicy, wówczas Pracowni Gimnastyki. Potrafili zaimponować nam sprawnością i dużą wiedzą fachową z zakresu gimnastyki. Dało się zauważyć, że są dobrze przygotowani do prowadzenia zajęć. Widać było wkład Barańskiego i Mazura, wykładowców z Warszawy znanych z twardej ręki i dużych wymagań. Nasi asystenci zaszerwowali nam wyjątkową dyscyplinę na zajęciach praktycznych i zupełnie partnerski stosunek poza nimi. Na początku nie bardzo wiedzieliśmy, jak do tego podejść. Na zajęciach bez kija do nich nie podchodz, a po zajęciach do rany przyłóż. Później wytłumaczył mi „Piacho”, na czym polega pierwsza zasada. Na balu, imprezie towarzyskiej jesteśmy kumplami i nie miej żadnych skrupułów ani uprzedzeń, ale na zajęciach, to ja jestem nauczycielem, a ty studentem i masz o tym pamiętać. Trzymam się tej zasady do dziś i dobrze na tym wychodzę. Wprowadzali pewną jakość na zajęciach. Bywało, że czasami ktoś z nas zaskoczył prowadzącego jakimś pytaniem, Andrzej bez żenady odpowiadał – dziś nie wiem, ale na następne zajęcia panu odpowiem. Bez mataczenia i udawania, że się jest wszechwiedzącym. Z gimnastyki szło mi bardzo dobrze, z innych przedmiotów też. Byłem luzakiem i miałem dużo czasu na dodatkowe zajęcia. Szukałem innych możliwości rozwijania swoich skromnych talentów. Okazja nadarzyła się już na moim pierwszym obozie letnim. Marian prowadził zajęcia ogólnorozwojowe i był zawsze pięknie opalony, że o torsie już nie wspomnę. „Piacho” prowadził żeglarstwo deskowe i uwodził nam koleżanki. Paweł – nienaganna sylwetka i wrodzona inteligencja, która pozwalała mu prowadzić kajaki na wysokim poziomie. Ponieważ szybko i wytrwale biegałem,



dobrze wiosłowałem i szybko opanowałem zasady żeglownia na „ubotach”, zostałem za-
uważony przez moich przysz-
łych kolegów. Po obozie z gru-
pą osób, która interesowała się
żeglarstwem deskowym, na-
wiązaliśmy kontakt z Andrzejem.
Dużo graliśmy w piłkę
nożną i rozpoczęliśmy przygo-
towania do następnego sezonu



letniego w żeglarstwie deskowym. Zorganizowaliśmy najwspanialsze wędrowki
żeglarskie w jakich uczestniczyłem. Na trzech deskach i omedze przepłynę-
liśmy szlak Wielkich Jezior w pięć osób. Wy płynęliśmy z ośrodka w Rybitwach
przez Pisz, Mikołajki, Giżycko do Węgorzewa i wróciliśmy tą samą trasą. Przy
najbliższej okazji postaram się napisać wspomnienia z tych przepięknych wę-
drówek. Ponieważ Andrzej był jednym z trenerów, którzy prowadzili sekcję gimnastyczną,
zaczęliśmy coraz częściej spotykać się w sali gimnastycznej. Gdy wyjeżdżał, zastępowałem
go. Po roku dostałem propozycję współpracy z sekcją, a w następnym utworzyłem już swoją
grupę. Często przychodziłem do pokoju nr 128, w którym mieściła się Pracownia Gimnastyki
i poznałem żeńską część pracowni. Wy-
różniającą się, pod każdym względem i bez-
pośrednią Krystynę oraz skromną, zawsze
uśmiechniętą i uczynną Anię. Pięć osób w jed-
nym pokoju, ale za to jaka wspaniała atmo-
sfera. Zimą 1979 roku na zajęciach z łyżwiar-

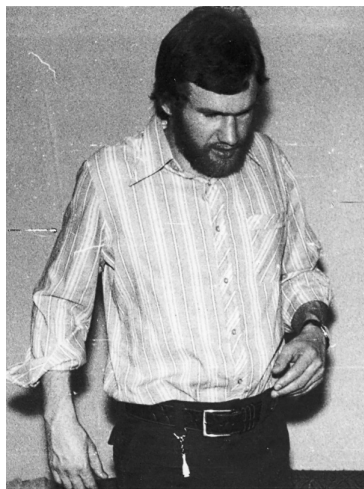


stwa, przy zmianie obuwia, przysiadł się do mnie Marian Rzędzicki, jak zwyk-
le uśmiechnięty i sympatyczny. Dyskretnie zapytał – słyszałem, że będziesz
„pracował w gimnastyce”. Zatkło mnie, jeszcze nic nie wiedziałem. Dwa, trzy
miesiące później na drodze z akademika spotkałem Mariana, który przedstawił
mi propozycję pracy w Pracowni Gimnastyki. Uroczyste zaprzysiężenie odbyło
się w październiku na posiedzeniu Rady Filii. Złożona przysięga przed całą
Radą nadawała szczególną i doniosłą rangę całemu wydarzeniu. Przyjęto
mnie, „Dzięcioła” i Goškę. Byłem bardzo dumny i pełen zapału. Zostałem przy-
jęty na stanowisko asystenta stażysty. W ciągu pierwszego roku pracy, będąc
na stażu, wypracowałem ponad 360 godzin, a powinienem tylko 120. Sytuacja
taka była wymuszona odejściem Pawła do macierzystej uczelni w Warszawie,
gdzie miał zamiar zakończyć pisanie pracy doktorskiej. Dostałem niezły wy-

cisk, ale nie żałuję, bo warsztat pracy udoskonaliłem i nabrałem pewności siebie. Przed odejściem, na jednym z licznych spotkań towarzyskich, Paweł przybliżył mi drugą zasadę prowadzenia zajęć z gimnastyki. Pamiętaj, masz tak być przygotowany do zajęć, abys zawsze o krok wyprzedzał studentów. W latach późniejszych zetknąłem się z bardzo dziwną, ale dość częstą interpretacją tej zasady, stosowaną przez moich młodszych kolegów. W sytuacji podbramkowej najlepiej postawić studenta na baczność, zakrzyczeć, pokazać kto tu rządzi, kto jest mądrzejszy i wysłać do diabła. Paweł wrócił do Białej po stanie wojennym. Nie popracował zbyt długo. Nie odpowiadały mu zmiany, jakie zaszły w uczelni i w Polsce. Kiedy sam powiedziałem mu, że mam zamiar odejść z uczelni, usilnie namawiał mnie, abym pozostał. Przekonywał mnie do komunistycznego podejścia do życia. Polegało to na tym, że nic nie masz i wszystko masz w d.... Ja miałem jednak żonę i dziecko i musiałem ich utrzymać.

Odeszliśmy obaj, ja do pracy na wsi, On wyjechał do Grecji, potem do Kanady, gdzie pozostał do dziś. Pracuje w wyuczonym zawodzie, założył rodzinę, ma się dobrze. Przyjeżdża do Polski, spotykamy się i wspominamy stare czasy. Później zorientowałem się, że przed zaplanowaną ucieczką na zachód nie chciał zostawić po sobie spalonej ziemi – wyszło inaczej.

Jesienią 80 roku przeniesiono nas do dwóch oddzielnych pokoi. Panie do 107, a panów do nowo wybudowanego pokoju 106. Było przestrzennie i swobodnie, zwłaszcza dla mnie, przestałem się w końcu stresować i krępować. Miałem własne biurko, krzesło i wiele drobnych osobistych rzeczy, na które miałem miejsce, było wspaniale. Obaj moi starsi koledzy zaczęli wprowadzać mnie w życie towarzyskie Pracowni i młodej kadry w uczelni. Jak jest to



ważne, mogą powiedzieć ci, którzy zostali przyjęci od kuchni i przez długie lata pozostawali bezimienni i wyizolowani z towarzystwa. Szukałem swojego miejsca w latach totalnego chaosu i „Solidarności”. Większość imienin spędzaliśmy wspólnie w gronie kolegów z pracowni i najbliższych osób. Poznawałem starszych kolegów z innych pracowni, zasady i zwyczaje panujące w środowisku. Zostałem zaakceptowany i dobrze przyjęty przez towarzystwo. Impreza w pracowni to była rzecz święta, obecność była obowiązkowa. Wszystko, co działo się w pracowni miało pozostać tajemnicą. Byliśmy zgraną paczką, obowiązywała zasada „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Zdrowie wszystkim dopisywało, więc trochę imprezowaliśmy, a życie braliśmy na wesoło. Potrafiliśmy w tygodniu jeździć na konie do Janowa Podlaskiego, a na weekend pojechać na narty do Zieleńca. W poniedziałek rano byliśmy już w Białej na zajęciach. W okresie letnim jeździliśmy do Witulina lub Międzyrzecza popływać na „deskach”. Moim pierwszym samochodem, fiatem 126P, woziłem po trzy „deski” na dachu, obracałem kilka razy, aby większa ilość osób mogła popływać. Pierwsze ślizgi zaczynaliśmy już na początku kwietnia, mając za odzienię ochronne ortalion i czosnki. Kończyliśmy pływanie w końcu listopada, gdy bom i deskę pokrywała często cienka warstwa lodu. W grudniu osoby, które miały prowadzić obozy zimowe jeździły na rozjeżdżenie do Zieleńca. Rano, po śniadaniu doskonaliliśmy się w narciarstwie zjazdowym, a po południu biegaliśmy po okolicznych wzgórzach na nartach biegowych. Wieczorem utrwalaliśmy teorię przy góralskim grzańcu albo okowitce, zagryzając obficie kanapkami z masłem i czosnkiem. Spaliśmy w pensjonacie „U Hanki”, wszyscy w jednym pokoju. Można sobie wyobrazić jaki „sztynk” musiał panować w pomieszczeniu rano po takim wieczorku czosnkowym. „Dzięcioł” próbował nawet rano z powodzeniem odpalać „armaty”, tak jak w scenie z filmu Hofmana „Ogniem i mieczem”.

Przed każdymi świętami spotykaliśmy się na tradycyjnym opłatku lub jajczku. W pracowni bądź u kogoś w akademiku. Skromnie, bo czasy były trudne, ale za to z dużą przyjemnością. Były to czasy, w których organizowało się przyjęcia przy jajkach, serkach topionych, śledzikach i żółtym serku, wędlinka była, ale bardzo sporadycznie, bo panowały wszechwładne kartki żywnościowe. Na jednym z takich przyjęć Maniś udowodnił mi jak dużo można zjeść jajek i nie chorować. Marian lubił szpanować. Bardzo chciał mieć ładną dziewczynę, zagraniczny samochód i dużo zachodnich marek. Powoli, ale skutecznie realizował swoje marzenia. Był uczynny, ale miał swoje zasady.





Z jedną z nich, której jestem gorącym wielbicielem, zapoznał mnie przy kufelku piwa. Jeżeli zrobiłem ci przysługę, to twoim obowiązkiem jest pamiętać o tym, a nie ja mam ci o tym przypominać – japońska zasada. Niektórzy do dziś nie rozumieją, na czym to polega. Wiele niezapomnianych chwil zawdzięczam Marianowi i zawsze będę mu wdzięczny. Pamiętam dość zabawną historię, w której obaj uczestniczyliśmy przy skromnym udziale jednej z koleżanek. Wracając późnym zimowym wieczorem, widzimy jak na parkingu przed uczelnią, jeden z samochodów cofając, uderza w przód poloneza. Na parkingu oprócz nas nie było nikogo. Pod-

chodzimy bliżej, aby zobaczyć kto jest sprawcą kolizji, a tu z samochodu wychodzi nasza młodsza koleżanka. Szybko oszacowaliśmy uszkodzenia, uznaliśmy, że nic się nie stało, więc do koleżanki mówimy zmykaj. Na nasze nieszczęście z budynku wybiega portier, który widział całe zajście. Obaj staramy się załagodzić sprawę przekonując go, że nic się nie stało, że nic nie widział. Na co bardzo podenerwowany portier odpowiada – panowie, ale to mój samochód. Ścięło nas z nóg, zrobiliśmy rybkę i przystąpiliśmy do negocjacji. Sympatyczny pan oszacował uszkodzenia, uznał, że są niewielkie i rozstaliśmy się w zgodzie. Do dziś jak wspominaamy tamtą zabawną sytuację, to pokładamy się ze śmiechu. Uczestnikiem innej zabawnej historyjki był inny portier, który miał służbę w mroźną, karnawałową noc. Przyjechałem na bal razem z żoną pod uczelnię, swoim pierwszym „maluchem”, zaparkowałem tak, aby można było pchnąć, w razie gdyby po mroźnej nocy nie odpalił. Po zabawie wróciliśmy pieszo do domu i położyliśmy się jak normalni ludzie spać. Późnym rankiem obudziło mnie walenie do drzwi. Jakież było moje zdziwienie, gdy po otwarciu zobaczyłem w drzwiach milicję. W tamtych czasach na widok „smerfów” przypominały ci się wszystkie grzechy. Chwiejąc się na nogach grzecznie zapytałem – a o co chodzi. Panowie odpowiedzieli pytaniem na pytanie – czy jest pan właścicielem malucha numer BPA4667 – tak. Niech pan się ubierze i proszę z nami. Miałem szczęście, że pozwolili się ubrać, bo w slupkach zimą bym nie wytrzymał. Zapakowali mnie do „suki” i wiozą w nieznane. Staralem się skupić i znaleźć jakiś powód, dla którego mnie zabrano w niedzielę rano z domu. Nic mi innego nie przychodziło do głowy jak tylko to, że kupiłem kradziony samochód. Jak zaczęli jechać bezdrożami w kierunku rzeki Krzny, pomyślałem – ubiją. Dojechaliśmy do rzeki, za krzakami zobaczyłem innego milicjanta, kręcącego się przy maluchu, dziwnie przypominającego mój samochód. To pański? Obejrzałem samochód i stwierdziłem, że mój, ale co on tu robi? Okazało się, że samochód został skradziony w nocy i porzucony. Wybita

była mała boczna szybka i rozładowany akumulator. Panowie milicjanci pomogli mi nawet spróbować odpalić auto z „popychu”, ale po kilku próbach okazało się, że nie ma benzyny i to był prawdziwy powód porzucenia samochodu przez złodziejasków. Odwieziono mnie do domu, abym mógł poczynić starania ściągnięcia maluszka w miejsce zakwaterowania. Milicja nie dawała za wygraną i starała się ustalić sprawców kradzieży. Między innymi przesłuchiwała portiera, który miał służbę w feralną noc. Okazało się, że pan pomagał jakimś młodym gościom w nocy pchać malucha na parking, bo nie mogli odpalić. Ci goście byli właśnie sprawcami kradzieży. Po nitce do kłębka i jak później się okazało nieletni sprawcy zostali ujęci. Portier tłumaczył się w przekomiczny sposób, że tamtej mroźnej nocy wielu uczestników zabawy pchało samochody, bo to akumulatory stare i słabe. Ponieważ jest człowiekiem uczynnym, to ciężko się napracował pomagając, co pewien czas pchać samochody i trudno było mu odróżnić złodzieja od uczestnika balu.

Początek lat 80 to bardzo trudny okres dla ówczesnej Pracowni Gimnastyki. Zaczęto ode mnie, dostałem wezwanie z komisji poborowej w celu odbycia służby wojskowej. Uczelnia zazwyczaj występowała o odroczenie służby swoim pracownikom, o mnie nie wystąpiła. Walczyłem sam przez trzy dni, otrzymałem nawet odroczenie, ale następnego dnia przyszedł posłaniec z biletem do Elbląga. Dowódca Komendy Uzupelnień oświadczył mi, że dostał rozkaz wysłania mnie do wojska. Musiałem iść i odsłużyć swoje. Trzynastego grudnia „miś z okienka” ogłosił stan wojenny. Walczyliśmy na dwa fronty, ja w wojsku z głupotą i „twardogłowcami,” koledzy w pracy z WRON-em. Andrzeja wyrzucono z pracy za oddanie książeczki partyjnej. Mariana wyrzucono za zły wpływ na kolegów. Udawał przez dwa lata Laskowika. Paweł wykupił bilet w jedną stronę do Grecji, dobrze na tym wyszedł. Po powrocie z wojska, zostałem jedynym facetem w pracowni. Kilku kolegów, po usunięciu z uczelni, zatrudniło się w firmie malarskiej, która malowała budynki uczelniczne. Była to najlepiej wykształcona ekipa malarska w całym kraju. Tam też nie dano im spokoju. Dziekan wezwał pracodawcę i postawił warunek – zwalniasz ich albo rozwiązujemy umowę. Odeszli w niesławie, ale zawsze o nich pamiętaliśmy. Andrzej zrobił karierę jako trener żeglarstwa deskowego. Był na olimpiadzie i jego syn też. Smutne jest to, że ludzie odpowiedzialni za te wszystkie świństwa żyją do dziś i mają się dobrze. Stan wojenny, w ramach „niewymuszonej przyjaźni polsko-sowieckiej” pozostawił nam po sobie kilka kukułczych jaj, które tolerowaliśmy ze względu na wyższą rację stanu. Marian skwitował to bardzo stanowczo – na kolegów jesteście skazani, przyjacielu sobie wybieram. Uprzejmie donoszę, że tę opowieść zakończyłem.

Opowieść wigilijna

Historia ta przydarzyła mi się wiele lat temu, jako młodemu pracownikowi bialskiej uczelni, który bezgranicznie wierzył w ludzi, ufał bliskim i obdarzony był już gromadką wspianiałych dzieci. Zapadła mi tak głęboko w pamięci i zaległa w sercu, że postanowiłem ją opisać i podzielić się nią z czytelnikami. W końcówce lat dziewięćdziesiątych, dwóch przypadkowo poznanych panów oddało mi bezinteresownie wielką przysługę, za którą mogłem odwdziżyć się dopiero po kilku latach. Jednego z nich spotkałem ponownie, na zajęciach w Uczelni, jako studenta I roku. Im bliżej Świąt Bożego Narodzenia, tym coraz wyraźniej dało się odczuć w mojej rodzinie atmosferę podniecenia i świątecznych przygotowań. Mnóstwo nasuwających się pytań bez odpowiedzi. Odwieczny problem zakupu prezentów. Gdzie spędzimy święta? W Białej Podlaskiej, w Radzynie Podlaskim czy pojedziemy do mojego rodzinnego miasta Wyszkowa? Jeżeli wyjeżdżamy, to co zrobić z teściową, sama przecież nie zostanie na święta? Decydujący głos należał do dzieci – jedziemy do Wyszkowa. Zdecydowały wspomnienia z lat poprzednich. Dzieci pamiętały dużą ilość prezentów, olbrzymi pokój w domu mojego brata, w którym odbywa się Wigilia i po którym można jeździć rowerem. Wspaniała atmosferę, którą stwarza ciocia Mirka i babcia Lodzia. Przy stole zazwyczaj zasiada prawie dwadzieścia osób, a wieczór wigilijny trwa do późnych godzin rannych. Otwieranie paczek z prezentami przeciąga się w nieskończoność, a ich ilość przerasta wszelkie wyobrażenia, bo nikt nie trzyma się wcześniejszych ustaleń dotyczących ilości prezentów. Wszystko utrwała na taśmie wideo wujek Andrzej, a przy pierwszej nadarzającej się okazji wspólnie oglądamy filmy, które powstały podczas świąt. Uroczystym śniadaniem pierwszego dnia świąt rozpoczynamy jeden wielki maraton „stołowy”, który trwa, z małymi przerwami na spacer, dwa dni. Pomimo dokonywanych „cudów” przez biesiadników, dotyczących spożywania posiłków, babcia Lodzia i tak jest wiecznie niezadowolona z miernego tempa i małej ilości spożywanych posiłków. Po zaspokojeniu głodu już w wieczór wigilijny dziewczyny zaczynają koncert kolędowy, który wznawiają codziennie zaraz po zapadnięciu zmroku. Wychodzimy z założenia, że Święta Bożego Narodzenia, to wyjątkowo rodzinne święta, które staramy się spędzać przede wszystkim w gronie najbliższych. Nie zapominamy jednak o tych, którzy świąt nie mają, pamiętamy o takich, których na święta nie stać, a w szczególności pamiętamy o dodatkowym nakryciu dla niespodziewanego gościa.

Te święta miały być wyjątkowe. Nastąpiła przepiękna śnieżna i mroźna zima. Dni były krótkie przepełnione dużą ilością pracy i nerwowych zakupów. Zastanawialiśmy się, czy zdążymy zrobić wszystkie zakupy. Nastroje były jednak wesole. Samo robienie zakupów jest wielką frajdą, a jeszcze myśl, że dając komuś prezent pod choinkę, na który czekał cały rok, czynimy go szczęśliwym, jest wielkim przeżyciem. Wyjazd miał nastąpić w Wigilię. Ze względu na to, że żona pracowała do południa mogliśmy wyjechać dopiero około czternastej.

Zapakowaliśmy prezenty, podręczny bagaż, podniecone podróżą dzieci, psa i oczywiście zniecierpliwioną naszą opieszałością babcię. Obciążony do granic możliwości samochód wolno, ale skutecznie sunął do przodu ku naszemu przeznaczeniu. Jechałem z duszą na ramieniu. Samochód stary, a do przejechania ponad dwieście kilometrów. Pogoda była przepiękna, ale duży mróz, świeży opad śniegu i bardzo ślisko. Pierwszy etap do Białki pod Radzyniem przebyliśmy bez kłopotów. Zawsze do tej miejscowości przyjeżdżałem z dużą sympatią, bo mogłem odwiedzić swojego kolegę z czasów studiów Krzysia. Po ukończeniu studiów wrócił do swojej rodzinnej miejscowości i krzewił kulturę w tamtejszej szkole. Babcię dowieźliśmy szczęśliwie, do jej rodzinnego „Pueblo”, sprawiając jej tym samym wielką radość. Wypakowaliśmy seniorkę rodu razem z prezentami. Przywitaliśmy się z rodziną, podzieliliśmy oplatkiem i po bardzo króciutkim pożegnaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Czas naglił, bo przed nami jeszcze 150 kilometrów. Tylko wyjechaliśmy z podwórka zaczęły się dziać jakieś dziwne rzeczy. Silnik pracował nadzwyczaj głośno. Dojeżdżając do drogi radzyńskiej postanowiłem sprawdzić, co się dzieje. Okazało się, że urwana jest rura prowadząca spaliny do tłumika. Ponadto, w jednym z kół jest bardzo mało powietrza, a w zasadzie jedziemy na kapciu. Pomyślałem, że założymy zapas i z turbo doładowaniem, ale jakoś dojeździemy. Nic z tego, gdy dogrzebałem się do zapasu stwierdziłem, że jest bez powietrza. Dlaczego miałby go mieć, był nie sprawdzany od dawna i w fatalnym stanie. Na domiar złego podnośnik był zepsuty, a jedyna komórka rozładowała się. Zacząłem rozglądać się po okolicy. Staliśmy na rozwidleniu dróg przed Radzyniem. Do rodziny nie honor wracać. Niedaleko był prywatny zakład samochodowy, niestety nikogo nie było w domu, przecież Wigilia. Przypomniałem sobie, że trochę dalej widziałem prywatny zakład wulkanizacyjny. Podjechałem na kapciu pod sam zakład. Pomyślałem sobie jestem w domu, przynajmniej naprawię koła i jazda dalej. Brama była zamknięta, ale przy furtce znalazłem domofon. Dzwonię raz, drugi raz, trzeci i kolejny, bo widzę, że ktoś jest w domu. W końcu odzywa się jakiś męski głos – zakład jest zamknięty i cisza. Dzwonię ponownie i próbuję tłumaczyć, że jestem przejazdem, że złapałem dwie gumy, że jestem z małymi dziećmi i bardzo proszę o pomoc. W odpowiedzi słyszę zakład zamknięty proszę przyjechać po świętach. Błagającym głosem proszę jeszcze raz, przecież jest Wigilia, a ja nie jestem miejscowy, mam do przejechania jeszcze ponad 150 kilometrów w odpowiedzi słyszę – ja też mam Wigilię. Następuje złowroga i przerażająca cisza. Dalsze dzwonienie nie przynosi skutku. Facet wyłączył domofon. Odchodzę od furtki zdruzgotany. Cała moja wiara w człowieka legła w gruzach. Jak można było odmówić pomocy potrzebującemu w Wigilię, a potem usiąść z rodziną przy stole i udawać, że nic się nie stało. Zeszło ze mnie kompletnie powietrze. W samochodzie siedziała przerażona i zziębnięta rodzina. Mróz był coraz większy, zbliżał się zmrok, a ja nie miałem najlepszych wiadomości. W duchu pomstowałem na wszystkich mechaników świata.

Obiecałem sobie wziąć na nich srogi rewanż, jeżeli tylko przeżyję ten fatalny dzień, który jeszcze się nie skończył. W późniejszym czasie, zwłaszcza studenci zaoczni, podpowiadali jeden drugiemu, aby nie przyznawać się na zaliczeniach, że jesteś mechanikiem albo masz w rodzinie mechanika, bo musieli znać materiał dokładnie. Żeby poprawić sobie humor, skopałem samochód w pozostałe zdrowe koła i trochę mi ulżyło. Obok nas przejechał samochód, na który nawet nie zwróciłem uwagi. Zatrzymał się poniżej nas i wolno zaczął cofać. Z samochodu wysiadł młody człowiek i spytał czy w coś może pomóc. Nie wiedziałem, od czego mam zacząć. W skrócie opisałem całe zdarzenie dając upust złości i w jak najgorszym świetle przedstawiłem zachowanie właściciela zakładu wulkanizacyjnego. Po chwili dołączył do nas drugi pasażer samochodu i wspólnie zaczęliśmy zastanawiać się jak zaradzić zaistniałej sytuacji. Panowie dokładnie obejrzelni uszkodzenia i zaproponowali pomoc. Jeden z nich odkręcił koło, zabrał zapas i pojechał do Radzyna do zaprzyjawnionego wulkanizatora. Po pół godzinie był z powrotem i ku mojemu zdziwieniu z naprawionymi kołami. W międzyczasie dowiedziałem się, że jeden z panów ma na imię Andrzej, a drugi Włodek. Założyli koło zapakowaliśmy zapas i pojechaliśmy do ich gospodarstwa zespawać tłumik. Spawaniem zajął się starszy brat Andrzej. Robota była delikatna, bo rura była mocno przepalona i należało zrobić opaskę w miejscu spawania. W normalnych warunkach to nic trudnego, ale przy dużym mrozie sztywnieją palce i każda czynność jest męczarnią. Panowie nie poddawali się. Dzieci i żonę natychmiast zaproszono do domu na gorącą herbatę z ciastem. Ja asystowałem przy naprawie i byłem pełen podziwu, modląc się w duchu, aby się udało. Ten dzień wcale nie musiał zakończyć się źle. Po 20 minutach samochód był sprawny. Podziękowaliśmy za pomoc i za gościnę. Panom zwróciliśmy tylko za wizytę u wulkanizatora. O innej zapłacie nie chcieli słyszeć. Byliśmy zaskoczeni uczynnością i gościnnością Państwa Skowronów, a zwłaszcza ich synów – Andrzeja i Włodka. Pożyczyliśmy sobie nawzajem radosnej Wigilii i wesołych świąt. Odjeżdżaliśmy z uczuciem głębokiej wdzięczności i z przekonaniem, że są jeszcze dobrzy ludzie wśród nas, którzy w noc wigilijną nikomu nie odmawiają pomocy. Zapadł już zmrok, było po szesnastej, ale my nabraliśmy przekonania, że dojedziemy do celu, chociaż trochę spóźnieni. Po drodze mijaliśmy zakład wulkanizacyjny, w którym odmówiono nam pomocy. Złość już mi minęła, współczułem tylko człowiekowi, który musiał być bardzo nieszczęśliwy i samotny w wieczór wigilijny. Do Wyszkowa dojechaliśmy szczęśliwie. Rodzina czekała z opłatkami. Było serdecznie, miło i wesoło. Pod choinką leżało mnóstwo prezentów. Wieczór wypełniły kolędy śpiewane przez całą rodzinę. Szybko zapomnieliśmy o przykrościach, które dotknęły nas podczas podróży.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po kilku latach na zajęciach odczytując listę obecności dostrzegłem nazwisko Skowron. Pomyślałem, że to nie może być przypadek. To opatrność sprawiła, że ponownie nas zetknęła. Mieliśmy

sobie dużo do powiedzenia i nie jeden wieczór spędziliśmy razem przy kufelku piwa, wspominając wieczór wigilijny sprzed kilku lat. Ty, drogi czytelniku, gdybyś przejeżdżał przez Białkę, jadąc na 40-lecie Uczelni i potrzebował pomocy, na wszelki wypadek omijaj z dala zakład wulkanizacyjny „Automan” Pana Krzysztofa Manowca.



Zawód: stolarz – artysta

BYŁO to 13 lipca 1977 r. Zostałem skierowany z Urzędu Pracy w Białej Podlaskiej do pracy w AWF. Zatrudniał mnie inż. Zdzisław Jobda – ówczesny dyrektor administracyjny. Kierownikiem technicznym był wówczas Tadeusz Kaźmierczak, a brygadzystami: Stanisław Mazur i Fredek Jarosz. W brygadzie, którą kierował Fredek Jarosz, pracowało nas samych stolarzy pięciu: Szymon Zieliński, Marian Ostapiuk, Leon Żuk, Marian Zozula i ja, jako najmłodszy stolarz-konserwator. Była to grupa stolarzy, którzy pracowali w Ośrodku Sportów Wodnych w Rybitwach k/Pisza. Już 14 lipca tego samego roku wyjechałem z grupą stolarzy, aby budować domki drewniane (produkowane w Łomiankach), które zostały przywiezione w detalach przez naszych pracowników fizycznych: Henia Kononiuka, Józefa Lesiuka – pomocnika murarza oraz kierownika Tadeusza Kaźmierczaka i innych.

Ja, jak zajechałem samochodem służbowym typu „Nysa” do ośrodka w Rybitwach, to wszystko było w budowie. Mieliśmy mieć wyżywienie w kuchni, ale kuchnia nie była jeszcze gotowa. Murowaliśmy ścianki działowe z cegły wapiennej białej, później szliśmy do składania domków drewnianych z elementów gotowych i zbijaliśmy na gwoździe budowlane 5-cio calowe. Przy takim domku pracowało nas 5-ciu, każdy miał za zadanie wybudować lub złożyć jak najwięcej ściany. Prace w ośrodku szły pełną parą. Jedni niwelowali plac pod budowę domku, inni wózkami ręcznymi wozili pustaki „suporexy”, na których kładło się podwalinę i jednocześnie przybijana była podłoga. Potem wstawialiśmy ościeżnice i ściana rosła bardzo szybko. Jak się sprężyliśmy, to domek był gotowy w trzy dni. Pracowaliśmy od 7.00 do 21.00, a czasami



dłużej. Spaliśmy pod płaszczami przeciwdeszczowymi w niedokończonym domku i tak to szło po kolei, do wykończenia następnego domku. Później spaliśmy przy wybudowanej kuchni, a stołowaliśmy się na początku w „Ledzie”.





Ja bardzo zżyłem się ze studentami i byłem zapraszany na ognisko nad jeziorem. Tam śpiewaliśmy piosenki, studenci grali na gitarze, było bardzo wesoło, mimo że nie mieliśmy sprzętu typu radio, czy telewizor. Co prawda był kolorowy telewizor w namiocie, ale zepsuł się podczas burzy. W Rybitwach byli wówczas także: dyrektor Zdzisław Jobda, pan mgr Bogdan Trosczyński i mgr Grzegorz Taranowicz. Oni zajmowali się urządzeniem ośrodka (wytyczaniem portów, planowaniem zaplecza dydaktycznego itp.) Oni także skierowali mnie na kurs pływania w jeziorze, gdzie był wytyczony tor i tam pływałem stylem dowolnym oraz nurkowałem, a następnie zdałem egzamin sprawnościowy i wykupiłem kartę pływacką za 50 zł, którą mam do dziś. Karta mnie upoważniała do pływania kajakiem w wolnych chwilach i była gwarantem bezpieczeństwa w wodzie. Dyrektor zabezpieczył się przed wypadkiem i policją wodną pływającą po jeziorze Roś.



Następnie budowaliśmy hangar nad jeziorem, ręcznie łopatami i szpadłem kopaliśmy fundamenty, mieszaliśmy beton, zalewaliśmy posadzki, ręcznie wózkiem woziliśmy suporexy, sklejone bale, które wciągaliśmy ręcznie bloczkiem. Pracował murarz Henryk Kononiuk, Jan Ryszczuk, Krzysztof Strzeczek i ja. Dziekanem był wówczas prof. Jacek Zieliński z Warszawy, chciał nas zwolnić za to, że w niedzielę nie chcieliśmy pracować, później doszło do tego, powiedział, że nie da nam obiadu. Ten profesor nie popracował w uczelni długo; nie wiem, co się z nim stało.



W kuchni pracowała wówczas pani kierownik Danuta Jakubowicz, która dbała o nas – pracowników fizycznych. Posiłki były dobre i obfite. Pracowaliśmy w ośrodku także wtedy, gdy odbywały się obozy studenckie. W czasie trwania takiego obozu, w roku 1981 z inicjatywy pani mgr Teresy Gos wyszedł pomysł, żeby „zrobić coś z niczego” i żeby studenci pomogli. Nie wiem skąd dowiedziała się, że umiem rzeźbić w drewnie? Ja miałem wyobraźnię, ale nie miałem narzędzi do żłobienia, więc prostym sposobem, siekierką ciesielską, z wiertła ślimakowego zrobiłem dłuto. Po godzinach i po kolacji zaczęliśmy pracować. Studenci we czterech na kijach przynieśli pod stołówkę kawał kłosa sosnowego. O ile pamiętam były też cztery studentki, ale ja pamiętam tylko jedną p. Małgorzatę Lichotę (po mężu Mariuszu), chyba to on był przy tym. Zaczęliśmy rzeźbić popiersie kucharza. Podobiznę zapamiętałem z pleneru rzeźbiarskiego z 13 maja 1981 roku w Parczewie. Tego dnia był zamach na papieża Jana Pawła II. Więc



twarz była podobna do Jego twarzy, ale czapka przypominała kucharza. Wykonaliśmy na kolejnych spotkaniach tarczę zegara, wskazówki, chochlę, która wskazywała, o której godzinie jest śniadanie, obiad i kolacja. Postawiliśmy tę rzeźbę przy stołówce, bardzo długo służyła studentom, wczasowiczom. Nie trzeba było pytać, o której godzinie jest, jaki posiłek. Był tam przypięty jadłospis, każdy mógł zobaczyć jakie będzie menu. Niestety w roku 2007 tej rzeźby już nie było przy kuchni, nie wiadomo, co się z nią stało.

W 1982 roku zapoznałem się z Ulką Olszewską i zacząłem chodzić do Niej. Ulka pracowała w barku uczelnianym. Później chodziłem z nią 3 miesiące i tak pobraliśmy się 23 kwietnia 1983 roku. W 1984 urodził nam się syn Łukasz, a w 1986 córka Joanna. Syn jest absolwentem białskiej AWF. Po zdaniu matury zapytałem syna, na jaką uczelnię zamierza pójść, odpowiedział, że na AWF. – A co cię skłoniło do pójścia na tę uczelnię? A syn odpowiedział, że rozmawiał z prof. Jerzym Sadowskim, który powiedział, że to dobra uczelnia. Bardzo dziękuję panu profesorowi za dobrą podpowiedź. Łukasz z uczelnią był związany od dziecka, znał obiekty sportowe, lubił szczególnie pływalnię. Dr Michał Bajbak, Paweł Różański, Józef Starzyński – to oni zaszczepili w nim zamiłowanie do pływania. Pod kierunkiem pana mgr Starzyńskiego moje dzieci stawiały pierwsze „pływackie kroki”.

W 1993 roku remontowaliśmy łodzie omegi, były wymieniane poszycia i ożebrowanie. Całą pracą kierował dr Michał Bajbak. Ja, z Kaziem Lewczukiem, wykonywaliśmy potrzebne elementy w warsztacie stolarskim naszej uczelni, materiały kupowaliśmy w tartaku w Międzyrzeczu Podlaskim. Deski woziliśmy autokarem, którego kierowcą był Szymon Trebik. Taki mieliśmy transport, to były ciężkie czasy, ale staraliśmy się tworzyć coś z niczego, aby studenci mogli pływać po jeziorze Roś w Rybitwach.



Za rządów prof. Sadowskiego i dra Bajbaka wymieniliśmy parkiet w sali gier, to był rok 1993. Przy tej pracy brałem udział ja i Kazimierz Lewczuk. Obaj stolarze we własnym zakresie wymienili parkiet, który służy do dziś.

Prywatnie moim hobby jest rzeźba, płaskorzeźba. W roku 1980 jeździłem na plener do Milanowa k/Parczewa. Tam wyrzeźbiłem sportowca – boksera. Prezes parczewskiego domu kultury powiedział, że z tego kawałka lipy nic nie będzie, ale ja wiedziałem, że mi pół kloca wystarczy i próchno mi przyspieszy wykonanie mojego pomysłu. Poprosiłem pilarza, aby wyciął mi te miejsca, które nie były potrzebne i wyrzeźbiłem dłutem i drewnianym młotkiem postać boksera przypominającego Henryka Średnickiego.



Następnie byłem na plenerze w roku 1981, 13 maja to data historyczna – był zamach na życie Jana Pawła II, oglądaliśmy dziennik i ja zapamiętałem twarz Karola Wojtyły. Rano o godzinie 5.00 wyszedłem na plac, gdzie leżały lipowe kłocce, znalazłem odpowiedni kawałek i wyrzeźbiłem nożem i małymi dłutkami popiersie Jana Pawła II. W krótkim czasie sprzedawałem tę rzeźbę. Po tym jakoś tak posypały się zamówienia na płaskorzeźby – półksiężyc na desce pobejcowany na kolor brązowy.

Za uzyskane pieniądze kupiłem sobie radio, garnitur, nową teczkę, kurtkę, sam się ubrałem. Jak przyjechałem do domu rodzinnego, mama była bardzo zadowolona i cieszyła się, że sam na siebie zapracowałem i że w życiu dam sobie radę.

W 2010 roku była bardzo mroźna i śnieżna zima. Śniegu nam nie brakowało, ciężko było z odśnieżaniem, ale trzeba było jakoś sobie radzić. My, pracownicy techniczni, wykonujący różnego rodzaju prace (malarskie, stolarskie, ślusarskie i inne) musieliśmy przez te śniegi transportować np. meble, farby, materiały budowlane itp. Aby ułatwić sobie pracę, wymyśliłem wraz z Mirkiem Grzywaczem sanki ze starych nart, które okazały się bardzo pomocne. Sanki stoją w garażu, czekają na kolejne śnieżne zimy.

W dalszym ciągu jestem pracownikiem ZWWF na stanowisku stolarz-mistrz, konserwator. W uczelni pracuje również moja żona. Mogę powiedzieć, że uczelnia jest naszym drugim domem, spędzamy w niej dużo czasu; przeżywamy smutki i radości.



To moje dzieło



*W 2004 roku podczas Inauguracji Roku Akademickiego,
otrzymałem Brązowy Krzyż Zasługi*

ZACHOWANE W PAMIĘCI...

P.S. Pan Stasio jest nie tylko stolarzem – artystą, jest także honorowym dawcą krwi, za co został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Jest człowiekiem o gołę bim sercu, bezinteresownie pomaga ludziom.



Pałeczka z czarnego dębu

Przyczynek do historii pracy dydaktycznej i naukowej anatomów
z Zamiejscowego Wydziału Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej

ZACZNIJMY od wyjaśnienia, kim są autorzy artykułu. Czytelnicy dowiedzą się, oczywiście, co to jest „czarny dąb” i tajemnicza „pałeczka z czarnego dębu”, a także, jaki to ma związek z anatomią – ale to później. Teraz o autorach.

Jan Rowiński, autor pierwszy – bo starszy, jest profesorem nauk medycznych (od roku 1991). W tym właśnie roku Prezydent Lech Wałęsa wręczył mu dyplom z tytułem naukowym profesora. A że odbyło się to w Belwederze, gdzie w owym czasie rezydowali Prezydenci Rzeczypospolitej, to tytuł, jakim szczyli się profesor Rowiński, nazywany jest zwyczajowo „profesurą belwederką”.

Macierzystą uczelnią Profesora jest Akademia Medyczna w Warszawie (obecnie Warszawski Uniwersytet Medyczny), w której przez 26 lat swojego życia wspinał się po szczeblach drabiny kariery akademickiej. Zaczął od szczebla najniższego – studenta koła naukowego, a skończył na szczeblu ostatnim – „profesora belwederskiego”.

Profesor opublikował około 200 prac; w tej liczbie mieści się 55 publikacji zarejestrowanych w bazie danych PubMed Narodowej Biblioteki Medycznej USA.

Wśród swoich prac sam Profesor najwyżej ceni pracę (opublikowaną w roku 1990 w „Gastroenterology”), w której – wraz z zespołem złożonym z kilku lekarzy i biologów – wykazał, że wrotami zakażenia człowieka przez wirusa poliomyelitis (zwanego w skrócie wirusem polio), są jelitowe komórki M.

Wirus polio dociera z przewodu pokarmowego do ośrodkowego układu nerwowego i tam zabija neurony ruchowe rdzenia kręgowego. Choroba wywołwana przez tego wirusa nazywana jest „polio” lub „chorobą Heinego-Medina”.

Na AWF w Białej Podlaskiej prof. Rowiński zaczął pracować w roku 2002. Rok później (1 października 2003) został kierownikiem Zakładu Anatomii, zajmując miejsce prof. Mieczysława Węgrzyna.

Prof. Rowiński „odziedziczył” po prof. Węgrzynie nie tylko Zakład Anatomii i kilkuset studentów, ale także temat pracy badawczej. Prof. Węgrzyn przez wiele lat – wraz ze swoją studentką, a później doktorantką, panią Dorotą Byliną – badał budowę histologiczną tętnic i opisał w nich zgrubienia błony

środkowej. Zgrubienia te – według teorii Węgrzyna – odgrywają istotną rolę w regulacji przepływu krwi przez narządy takie jak kończyny czy serce. Po odejściu prof. Węgrzyna na emeryturę badania te są kontynuowane. Obecnie badana jest struktura tętnic wieńcowych u ludzi, we współpracy z prof. Januszem Dziećciołem z Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku.

Iwona Wais, druga autorka tego artykułu, jest magistrem w zakresie biologii człowieka (antropologii). Wykształcenie wyższe uzyskała na Uniwersytecie imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu na Wydziale Biologii. Tam też w roku 1998 – pod kierunkiem wybitnego antropologa, prof. Jana Strzałki – napisała swoją pracę magisterską. Po studiach wróciła do swoich stron rodzinnych. Obecnie uczy biologii w I Liceum Ogólnokształcącym imienia Józefa Ignacego Kraszewskiego w Białej Podlaskiej.

Iwona Wais, ubiegając się o zatrudnienie w Zakładzie Anatomii poznała program anatomii na wszystkich czterech kierunkach (wychowanie fizyczne, kosmetologia, fizjoterapia, turystyka i rekreacja), na których Zakład Anatomii prowadzi zajęcia ze studentami. Poznała też historię Zakładu Anatomii – i w ten oto sposób została współautorką niniejszego artykułu.

Prof. Rowiński twierdzi, że bez Jej współdziałania nigdy by tego artykułu nie napisał, ponieważ jest bardzo zajęty innymi przedsięwzięciami, które wydają mu się ważniejsze, jako że dotyczą przyszłości i rozwoju Zakładu Anatomii.

Wróćmy do historii, symbolizowanej tutaj przez tytułową pałeczkę z czarnego dębu. Teraz trzeba wyjaśnić, co to jest czarny dąb. Otóż czarny dąb (zwany także dębem kopalnym lub polskim hebanem) to drewno z dębów, które przebywały pod wodą lub pod ziemią przez co najmniej kilkaset lat. W takich warunkach drewno dębu ulega powolnym przemianom. Zawarte w drewnie dębowym garbniki reagują z solami żelaza obecnymi w wodzie lub w ziemi. Drewno staje się bardzo twarde, a jego barwa szaroczarna lub nawet granatowoczarna. Drewno czarnego dębu jest cennym surowcem – służyć może do wyrobu mebli, do wykonywania rzeźb, znajduje także zastosowanie przy układaniu intarsji. Ceni się trwałość i piękno tego niezwykłego drewna.

Z takiego właśnie materiału został wykonany pewien niewielki przedmiot, długości 60 cm, dość niepozorny, a jednak cenny jako świadek historii i tradycji białskiego Zakładu Anatomii. Tym przedmiotem jest pałeczka (wskazówka) do pokazywania szczegółów na planszach, tablicach, ekranach. Została wystrugana z drewna dębu wyłowionego z Bugu, a jej twórcą jest dr Zbigniew Danilkiewicz. Przez wiele lat dr Danilkiewicz uczył anatomii naszych studentów na kierunku wychowanie fizyczne. Na wykładach i na ćwiczeniach używał swojej pałeczki z czarnego dębu.

Zbigniew Danilkiewicz jest postacią niezwykle ciekawą, a ze względu na pewne niespełnienie zawodowe – w jakimś sensie – trochę tragiczną (tak się przynajmniej wydaje autorom tego artykułu). Z wykształcenia i z zamiłowania

ichtiolog, był i jest szczególnie zainteresowany rybami z Buga („z Buga” – to jego ulubiony regionalizm). Wiele czasu poświęcił On na obserwację i opisanie bużańskiej populacji trawianki – żarłocznej ryby, odpornej na trudne warunki, która sieje spustoszenie w zbiornikach wodnych Europy, powodując wyginiecie innych gatunków ryb.

Opublikował także ciekawe wspomnienia i spostrzeżenia dotyczące rybaków znad Bugu. Niektórzy z nich byli po prostu kłusownikami, jednakże w oczach Pana Doktora nie byli to ludzie źli, ponieważ ich działalność ograniczała jedynie populację dużych ryb. Prawdziwe zło tkwi, zdaniem Danilkiewicza, w zanieczyszczeniu środowiska, w masowych połowach ryb przy użyciu takich narzędzi tortur, jak: widły, prąd elektryczny, materiały wybuchowe.

W wyprawach badawczych nad Bug towarzyszył Danilkiewiczowi jego student, a później doktorant – Adam Wilczewski. Na naszym wydziale Adam Wilczewski uczy dzisiaj antropomotoryki. Dr Wilczewski opowiadał nam, że to on pomagał Danilkiewiczowi wyciągać z rzeki kawałki czarnego dębu. Z jednego z takich kawałków powstała właśnie opisywana tu pałeczka – symbol trwania, symbol odporności na trudne warunki, wreszcie symbol przekazywania tradycji.

„Poszukajcie dobrze” – mówi Adam Wilczewski – „a może znajdziecie bambusowy kijek, który zrobiłem dla dra Danilkiewicza, aby mógł mocować do niego termometr i mierzyć temperaturę wody Bugu. Przepraszam, Buga”.

Kiedy Adam Wilczewski mówi o swoim mentorze z lat studenckich, nie może ukryć wzruszenia. „Był dla mnie bardzo dobry i wyrozumiały. Od niego nauczyłem się bardzo wiele z zakresu biologii ogólnej i biologii człowieka. Bez życzliwości dra Danilkiewicza nie osiągnąłbym tego, co udało mi się osiągnąć. Z wdzięczności za jego dobre serce, za udzielane mi nauki, pomagałem mu w realizacji jego pasji ichtiologicznych. Nasze wyprawy nad Bug były pięknymi i ciekawymi przygodami. A mówić o życiu ryb potrafił Danilkiewicz wspaniale. Imponowała mi jego niezwykle bogata wiedza”.

Niestety, los nie pozwolił dr. Danilkiewiczowi poświęcić się ukochanej przez Niego ichtiologii. Przyszło mu uczyć anatomii. Domyślamy się, że nie mógł się z tym pogodzić, co rodziło frustracje i wywoływało zadrażnienia w stosunkach ze studentami. Studenci mieli do Pana Doktora różne żale i pretensje. Niektórzy z byłych studentów AWF w Białej Podlaskiej do dzisiaj nie wyzbyli się dawnych resentymentów, a nawet obwiniają dra Danilkiewicza o swoje niepowodzenia życiowe.

„Prawdziwą bolączką studentów AWF była zawsze anatomia. Na naszej uczelni wykładał ją dr Zbigniew Danilkiewicz, prawdziwy postrach wszystkich studentów. Kiedy egzaminował, zachowywał kamienną twarz i patrzył prosto w oczy charakterystycznym, beznamiętnym wzrokiem”.

Te słowa napisał pan Marian Skrajnowski, nasz absolwent z roku 1977. Czytelnik może znaleźć jego wspomnienia w niniejszej książce. Jest tam więcej

uwag na temat osobowości Zbigniewa Danilkiewicza. Marian Skrajnowski wspomina zarówno niesympatyczne (w jego odczuciu), jak i sympatyczne zachowania tego anatoma (z konieczności) i badacza ryb (z zamiłowania).

Ulubionym powiedzeniem Pana Doktora w kontaktach ze studentami było: „Powiedz to jak chłopek na miedzy”, to znaczy powiedz prosto, przejrzyście. Studenci nie lubili tego powiedzenia. Stąd wzięło się przezwisko „Chłopek”, jakim studenci „ochrztili” złośliwie dra Danilkiewicza.

Zbigniew Danilkiewicz napisał pracę habilitacyjną o życiu ryb, jednak w wyniku konfliktu czy nieporozumienia Jego habilitacja „przepadła”, a On złożył wypowiedzenie z pracy. Być może wtedy Pan Doktor poczuł się człowiekiem wolnym, bo mógł zajmować się tylko tym, co go najbardziej interesowało, czyli rybami z Buga.

A co z pałeczką? Dr Danilkiewicz, odchodząc z Wydziału przekazał pałeczkę swojej żonie, pani dr Marii Danilkiewicz. Maria Danilkiewicz znakomicie знаła anatomię człowieka. Była dobrą, wymagającą nauczycielką tego przedmiotu. Wyrazem uznania dla wartości Jej pracy było udekorowanie Srebrnym Krzyżem Zasługi na uroczystej inauguracji roku akademickiego 2003/2004.

Anatomia człowieka nie była jednak jej nauką pasją. Maria Danilkiewicz uzyskała stopień doktora nauk przyrodniczych na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UMCS w Lublinie. Tematem jej pracy doktorskiej były mikroskopowe grzyby pasożytnicze roślin kwiatowych. Prace naukowe Marii Danilkiewicz poświęcone były m.in. opisom ekosystemów, ich ochronie, wykorzystaniu walorów przyrodniczych Podlasia dla turystyki i rekreacji. W odróżnieniu jednak od swojego męża – albo nie budziła w niej frustracji rozbieżność między uczeniem anatomii a zainteresowaniami naukowymi, albo tego nie okazywała.

W dniu odejścia na emeryturę pani dr Maria Danilkiewicz przekazała pałeczkę z czarnego dębu prof. Rowińskiemu. Profesor wspomina tę chwilę jako jedną z najbardziej wzruszających chwil w jego życiu zawodowym.

I tak oto od 40 lat trwa tradycja uczenia anatomii na Zamiejscowym Wydziale Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej. W ciągu tych 40 lat wielka rzesza studentów zdobyła tu wiedzę o budowie i funkcjach życiowych człowieka. Tylko w bieżącym roku akademickim Zakład Anatomii kształcił ponad 900 studentów.

Nie wszyscy nasi studenci kochali anatomię i nauczycieli tego trudnego przedmiotu. Wielu z nich, szczególnie z kierunku wychowanie fizyczne, jest przekonanych, że anatomia to przedmiot nudny i nieprzydatny w praktyce nauczyciela wf. Taka postawa studenta sprawia, że uczenie anatomii staje się dla nauczyciela zadaniem frustrującym. Do trudności, wynikających z takiej postawy sporej grupy studentów, dochodzi jeszcze – widoczny u wielu – brak dostatecznego przygotowania do studiowania na poziomie szkoły wyższej. Następną niekorzystną okolicznością, z punktu widzenia jakości procesu

dydaktycznego, jest duża liczba studentów w stosunku do liczby nauczycieli akademickich. W kończącym się właśnie roku akademickim 2009/2010, na samym tylko kierunku wychowanie fizyczne, na I roku studiów stacjonarnych, studiowało aż 274 studentów – proszę sobie wyobrazić egzamin z anatomii dla takiej dużej grupy. A nas, nauczycieli anatomii, jest czworo.

Co do liczebności grup studenckich to mówi się, że idealną grupę uczniów – 12 apostołów – stworzył Jezus Chrystus. Grupy na ćwiczeniach z anatomii znacznie odbiegają od tego ideału.

Mimo dużych obciążeń dydaktycznych nasi anatomowie od 40 lat próbują prowadzić prace badawcze. Robią to najczęściej w oparciu o instytucje naukowe zasobniejsze w środki techniczne, finansowe i ludzkie (Warszawski Uniwersytet Medyczny, Uniwersytet Medyczny w Białymstoku, Akademia Podlaska w Siedlcach, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Państwowy Uniwersytet Medyczny w Grodnie).

Trwa też tradycja przekazywania pałeczki z czarnego dębu kolejnym kierownikom Zakładu Anatomii. Kto następny otrzyma pałeczkę? Tego dzisiaj nie wiadomo. Naturalnymi kandydatami są aktualni pracownicy Zakładu Anatomii. Poniżej krótko ich przedstawiamy (w kolejności alfabetycznej).

Dorota Bylina, adiunkt od roku 2006. Absolwentka Wyższej Szkoły Rolniczo-Pedagogicznej (obecnie Akademia Podlaska) w Siedlcach; stopień magistra biologii otrzymała tam w roku 1998. Pracę poświęconą budowie histologicznej tętnic u zwierząt zrobiła pod kierunkiem prof. Mieczysława Węgrzyna. Pracę tę przedstawiła Radzie Wydziału Rolniczego Akademii Podlaskiej jako pracę doktorską, którą obroniła w roku 2005, uzyskując stopień doktora nauk biologicznych. Prowadzi ćwiczenia z anatomii, jest lubiana przez studentów. Ostatnio podjęła dodatkową pracę (wykłady z anatomii) w innej Uczelni. Zabiera jej to sporo czasu, ale jednocześnie uczy samodzielności.

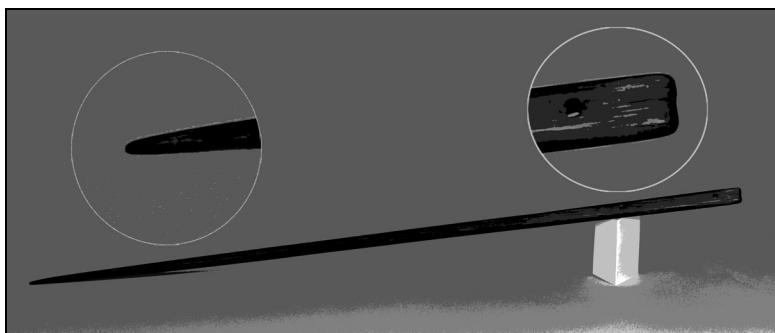
Agnieszka Chwaluk, adiunkt od roku 2006. Studiowała medycynę na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu, dyplom lekarza otrzymała w roku 1993. Od roku 1997 jest specjalistą medycyny rodzinnej. Pracę badawczą na temat budowy więzadeł stawu kolanowego zrobiła pod kierunkiem prof. Bogdana Ciszka w Zakładzie Anatomii Prawidłowej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Doktorat na podstawie tej pracy obroniła w Instytucie Biostruktury Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego w roku 2005. Pracuje także w przychodni lekarskiej.

Paweł Chwaluk, adiunkt od roku 2008. Lekarz, doktor nauk medycznych. Wykonał pracę kliniczną na temat zatruc paracetamolem; na podstawie tej pracy Rada Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie nadała mu stopień doktora nauk medycznych. Pracuje w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Białej Podlaskiej na Oddziale Chorób Wewnętrznych. Specjalista w zakresie toksykologii. Na naszym Wydziale prowadzi ćwiczenia z anatomii oraz ćwiczenia i wykłady z toksykologii.

Nie wiemy, która z tych osób przejmie pałeczkę z czarnego dębu. Wiemy jednak, jakimi cechami obdarzona powinna być ta osoba. Powinna być odporna, jak czarny dąb, na trudne warunki życia i pracy. Powinna dążyć do tego, aby Zakład pracował lepiej niż dotychczas i sprawić, aby warsztat badawczy dla anatomów znajdował się tutaj, na miejscu. Byłoby dobrze dla Zakładu i dla Wydziału, gdyby kolejny kierownik Zakładu Anatomii miał dobre kontakty naukowe z innymi zakładami anatomii w Polsce i na świecie. Współpraca z instytucjami zagranicznymi wymaga oczywiście znajomości języków obcych. Są to duże wymagania, oczywiście, ale pałeczka z czarnego dębu na pewno pomoże im sprostać.

Wierzmy, że magia pałeczki będzie działać nadal – Zakład Anatomii będzie trwał. Będzie się powiększał o nowe pracownie. Będzie prowadził atrakcyjne zajęcia dla studentów. Każdy anatom z Białej Podlaskiej (tak jak dzisiaj każdy anatom z zaprzyjaźnionego z nami Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka UM w Białymstoku) będzie miał własny pokój do pracy, z własnym komputerem na biurku.

Wierzmy także, że wszyscy studenci (a nie tylko studenci kierunku fizjoterapia) dostrzegą, że nauka o budowie ciała człowieka może być i piękna, i pożyteczna.



Pałeczka z czarnego dębu. Fotografia przedstawia tytułową pałeczkę (wskazówkę) do wskazywania szczegółów na planszach anatomicznych, na tablicach, na ekranie. Pałeczka ta była używana przez wiele lat na wykładach i na ćwiczeniach z anatomii. Jak pałeczka w sztafecie, była ona przekazywana kolejnym osobom. Dr Danilkiewicz – twórca pałeczki, przekazał ją pani doktor Marii Danilkiewicz, a ona z kolei profesorowi Janowi Rowińskiemu.

Pałeczka ma długość 60 cm, barwę czarno-brązową. Jeden jej koniec jest zastrzony (fragment powiększony po lewej stronie fotografii). Na drugim końcu wywiercony jest otwór.

Zdjęcie zrobione w roku 2010. Autor zdjęcia: inż. Arkadiusz Błądek, Zakład Fotograficzny „FOTO REAL”, Biała Podlaska, rondo PKP (pod Wieżą Ciśnień).



Pałeczką z czarnego dębu nauczyciel anatomii pokazuje studentom naczynia krwionośne głowy na modelu anatomicznym człowieka, zwanym „Szklaną panienką”.

Zdjęcie zrobione w Zakładzie Anatomii w roku 2010.

Autor zdjęcia: Jan Rowiński.



Koniec pałeczki z czarnego dębu umieszczony w otworze kości krzyżowej.

Kość krzyżowa, stanowiąca część miednicy, składa się typowo z pięciu zrosniętych ze sobą kręgów krzyżowych (S1, S2, S3, S4, S5). Preparat widoczny na zdjęciu jest nietypowy, bo wykazuje tzw. homeozę, polegającą na występowaniu dodatkowego (szóstego) kręgu krzyżowego (S6). Homeozy kręgosłupa są aktualnym tematem badawczym w Zakładzie Anatomii.

Zdjęcie zrobione w Zakładzie Anatomii w roku 2010. Autor zdjęcia: Jan Rowiński



Z perspektywy 20 lat

WSZYSTKO zaczęło się w grudniu 1990 roku. Od 12 września 1990 roku obowiązywała nowa Ustawa o szkolnictwie wyższym. W polskich uczelniach odbywały się wybory władz kolegialnych i organów jednoosobowych. W rok po pierwszych demokratycznych wyborach do parlamentu i władz samorządowych, środowiska akademickie naszego kraju również bardziej aktywnie i odważnie włączyły się w proces demokratyzacji życia uczelni. Tak też było w Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Rektorem został wybitny naukowiec, socjolog kultury fizycznej prof. dr hab. Zbigniew Krawczyk, prorektorem ds. nauki został prof. dr hab. Zenon Ważny, prorektorem ds. dydaktyki prof. dr hab. Tadeusz Maszczak.

Bezpośrednie zwierzchnictwo nad białską częścią uczelni objął Dziekan Wydziału Wychowania Fizycznego w Warszawie. Na tę funkcję wybrany został biolog z wykształcenia, profesor dr hab. Antoni Gajewski. W tym czasie w Białej Podlaskiej „rządził” doc. dr Erazm Wasilewski, który był Dyrektorem IWFIS.

W białskim środowisku akademickim odczuwano potrzebę zmian. To wyzwoliło aktywność wielu grup pracowników Instytutu. Koncentrowało się ono wokół grupy nauczycieli, członków i działaczy NSZZ Solidarność, które wysunęły kandydaturę dra Józefa Bergiera na stanowisko prodziekana ds. Instytutu Wychowania Fizycznego i Sportu w Białej Podlaskiej, faktycznie osobę, która miałaby kierować białską uczelnią.

Władze rektorskie Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie usilnie namawiały dra hab. prof. Henryka Mierzwińskiego, aby zechciał kandydować na to stanowisko. Był on wówczas jedynym samodzielnym pracownikiem nauki, mieszkającym w Białej Podlaskiej. Profesor, zaprawiony w kierowaniu różnymi instytucjami, bronił się jak „lew” przed naciskami władz macierzystej uczelni.

Mniej więcej w tym okresie studenci i niektórzy pracownicy zaczęli wymieniać moją osobę, jako potencjalnego kandydata na funkcję prodziekana. Wówczas byłem najmłodszym doktorem nauk o kulturze fizycznej, nawet nie myślałem o kandydowaniu. Chyba z inicjatywy dra Adama Wilczewskiego odbyło się spotkanie w jego mieszkaniu, w trakcie którego ustaliliśmy, że po

wybraniu Józka Bergiera, będę Jego zastępcą ds. studenckich. Ostatecznego wyboru miało dokonać wydziałowe kolegium elektorów, tzn. osoby zatrudnione w Warszawie i Białej Podlaskiej. Dziekan Wydziału Wychowania Fizycznego w Warszawie prof. Antoni Gajewski, wielki zwolennik demokracji, po definitywnej rezygnacji z kandydowania prof. Henryka Mierzwińskiego, przedstawił kolegium elektorów dwóch kandydatów dra Józefa Bergiera i mnie. Oczywiście nie oczekiwałem wyboru. Nie miałem żadnego doświadczenia, nie kierowałem zakładem i nie udzielałem się ani politycznie, ani społecznie. Byłem nieznany w środowisku warszawskim. Myślałem raczej o odpowiedzialności za sprawy studenckie. Komisja skrutacyjna szybko policzyła głosy. Kiedy wchodziła na salę, jeden z członków komisji skrutacyjnej ścisnął mnie za ramię. Na początku nie uświadomiłem sobie, co to oznacza, ale chwilę później odczytany protokół wyjaśnił wszystko. Zostałem Prodziekanem ds. Instytutu Wychowania Fizycznego i Sportu. Całkowicie zaskoczony przyjmowałem gratulacje, chociaż niewiele pamiętam z tamtego popołudnia. Oszołomiony byłem jeszcze przez kilka kolejnych dni. Sprawę komplikowała dziwna sytuacja, gdyż poprzedni szef, doc. dr Erazm Wasilewski formalnie był Dyrektorem IWFiS i nadal zajmował dotychczasowy gabinet. Sytuacja ta trwała około 1 miesiąca. Ostatecznie Pan Rektor prof. Zbigniew Krawczyk i Pan Dziekan prof. Antoni Gajewski sprawę doprowadzili do normalności. Zakończyła się dwuwładza i mogłem przystąpić do działania. Do współpracy zaprosiłem dra Józefa Bergiera, który odpowiadał za studia zaoczne, dra Ryszarda Cieślińskiego, który miał „w małym palcu” sprawy dydaktyki i podjął się kierowania studiami stacjonarnymi. Sprawy studenckie były w gestii dr Krystyny Górniak, a za rozwój nauki odpowiadał dr hab. prof. Henryk Mierzwiński. Kierownictwo administracyjne było w rozsypance. Ówczesny dyrektor administracyjny Ryszard Pyrka odszedł na emeryturę. Jego obowiązki przejął inż. Zdzisław Jobda. Ponadto kilka lat wcześniej zatrudniony był inż. Józef Sidor, który miał doprowadzić do zakończenia „historycznej”, blisko 20-letniej budowy pływalni.

Początkowe relacje z Rektorem i Dziekanem Wydziału WF w Warszawie nie były łatwe. Musiałem przekonać ich swoją pracą, że kierowanie z odległości Warszawy jest niemożliwe.

Bardzo szybko – Jego Magnificencja Rektor prof. Zbigniew Krawczyk obdarzył mnie pełnym zaufaniem i mogłem realizować nasze plany. Kluczową sprawą była decentralizacja środków finansowych, co oznaczało, że jako IWFiS otrzymaliśmy określoną pulę środków, za które byłem odpowiedzialny.

Również Dziekan Wydziału WF prof. Antoni Gajewski zaufał mi i mogliśmy praktycznie samodzielnie prowadzić politykę kadrową. Jako jedne z pierwszych wyzwań, przed którymi stanęło kierownictwo IWFiS, była budowa pływalni, porządkowanie spraw majątkowych uczelni oraz wzmocnienie potencjału kadrowo-naukowego.

Za punkt honoru postawiłem sobie zakończenie budowy pływalni.



Dlatego już w pierwszym miesiącu mojego funkcjonowania zorganizowałem naradę ówczesnego kierownictwa administracyjnego wydziału, zastępcy dyrektora ds. inwestycji AWF w Warszawie i dyrekcji Bialskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Chciałem się zorientować, jakie są szanse zakończenia kilkunastoletniej budowy pływalni do początku roku akademickiego 1991/1992.

Kiedy poprosiłem zaproszone osoby o zreferowanie sytuacji na pływalni, usłyszałem „lament” ze strony pracowników IWFIS, że to jest niemożliwe, bo brak pieniędzy, bo to, bo tamto. Wówczas zrozumiałem, że w tym składzie osobowym pływalni nie zbuduję. Panowie byli kompletnie niezorientowani, że w uczelni są dość pokaźne środki finansowe, które można przeznaczyć na budowę tego obiektu.

Jako młody gniewny szybko odebrałem prowadzenie narady dyrekcji administracyjnej instytutu i przystąpiłem do negocjacji terminu zakończenia budowy z wykonawcą. W tym okresie załamał się rynek budowlany, a jeszcze bardziej brakowało solidnych płatników. Na moje oświadczenie, że posiadam środki finansowe, zaświeciły się oczy wykonawcy i ustaliliśmy termin zakończenia budowy pływalni na jesień 1991 r.

Po tej naradzie byłem przekonany, że IWFIS potrzebuje nowego dyrektora administracyjnego. Postanowiliśmy zorganizować konkurs na to stanowisko. Do startu namówiłem mojego kolegę z zakładu LA dra Michała Bajbaka.

Michał znał specyfikę funkcjonowania uczelni, był nauczycielem akademickim – adiunktem, ponadto miał techniczne wykształcenie.

Był bardzo lubiany w naszym środowisku, miał bardzo dobre kontakty z ludźmi. Ostatecznie wyraził zgodę. Był faworytem tego konkursu, gdyż drugą osobą, która do niego przystąpiła był Pan inż. Tadeusz Paczowski – kierownik działu inwestycji w IWFiS, który często w tamtych latach niesłusznie był postrzegany jako winowajca zaniedbań, głównie budowy pływalni.

Ostatecznie konkurs wygrał Michał i wspólnie mogliśmy realizować nasze zamierzenia inwestycyjne.

Szczęśliwie po 8 miesiącach budowy, w listopadzie 1991 r. pływalnia została oddana do użytku.



Stało się to, co dla wielu wydawać by się mogło niemożliwe. Odnieśliśmy pierwszy sukces, który upewnił władze macierzystej uczelni, że można nam w pełni zaufać.

W roku akademickim 1990/1991 w IWFiS studiowało ogółem 1116 studentów (613 – stacjonarnych, 503 – zaocznych). Zajęcia dydaktyczne realizowało 125 nauczycieli akademickich, w tym tylko 1 profesor pełnoetatowy i 27 doktorów. Dlatego usilnie zabiegaliśmy o pozyskanie samodzielnej kadry dydaktycznej i rozwój własnych pracowników. Tutaj należy odnotować zatrudnienie drugiego „miejscowego” profesora. Kilka miesięcy po wyborach przyszedł do mnie prof. Henryk Mierzwiński oznajmiając, że jest w Białej Podlaskiej profesor „do wzięcia”, który na dodatek nie będzie żądał ani mieszkania, ani zbyt



Część rekreacyjna pływalni – Aquapark

wygórowanego wynagrodzenia. Bardzo mnie to ucieszyło. Tym, początkowo tajemniczym profesorem, okazał się zakonnik – kapucyn Jerzy Maria Cygan, który powrócił z Rzymu do Polski i przebywa w Zakonie Braci Mniejszych Kapucynów, w kościele Św. Antoniego. Bez wahania oznajmiłem, że zatrudniamy Ojca Cygana. Z tą nowiną pojechałem do Rektora prof. Zbigniewa

Krawczyka. Kiedy oznajmiłem, że mam profesora „na pierwszy etat”, Pan Rektor bardzo się ucieszył. Wówczas powiedziałem, że to zakonnik i będzie wykładał filozofię i etykę. Z pewnym niepokojem oczekiwałem na reakcję Rektora, też filozofa i socjologa. Jednak moje obawy były nieuzasadnione. Pan Rektor stwierdził, że to bardzo dobry kandydat i z pewnością zajęcia będą prowadzone na wysokim poziomie. Miał rację. Ojciec Cygan okazał się „strzałem w 10”. Profesor Jerzy Cygan przez kilkanaście lat był członkiem Rady Wydziału WF i Senatu AWF w Warszawie. Do dzisiaj mam przed sobą miny niektórych członków tych organów kolegialnych. Dla wielu z nich było to kompletne zaskoczenie. Jak to, duchowny w AWF? Jednak dla większości nie było w tym nic nadzwyczajnego. Ojciec Cygan został bardzo ciepło przyjęty przez Dziekana Wydziału WF prof. Antoniego Gajewskiego, a wkrótce miał w AWF bardzo wielu przyjaciół.

W pierwszym roku mojego kierowania, oprócz budowy pływalni koncentrowałem się głównie na zabezpieczeniu majątku naszego Instytutu. Zgodnie z Ustawą o szkolnictwie wyższym, wszelkie grunty skarbu państwa, będące w zarządzie uczelni przeszły w użytkowanie wieczyste. Szybko postanowiłem założyć księgi wieczyste na wszystkie grunty, co się później okazało bardzo ważnym, wartościowym posunięciem. W tym czasie uczelnia, z miastem i policją, budowała trzy budynki przy ul. Akademickiej i Kopernika (dzisiaj, tzw. kamienny krąg), w którym miały być mieszkania dla samodzielnych pracowników nauki oraz biblioteka.

Budowa dobiegała końca, a uczelnia nie ponosiła nakładów finansowych, co groziło tym, że IWFIS nie będzie miał tam swoich lokali. Szybko podjąłem decyzję, że uczelnia uiszcza należności za bibliotekę i kupi trzy mieszkania, kolejne dwa kupią pracownicy. Jednak okazało się, że te budynki były budowane na gruncie będącym już w użytkowaniu wieczystym IWFIS. Mieliśmy już księgi wieczyste. Władze miasta i policja miały problem, gdyż nie mogły rozliczyć się z tej inwestycji. Byłem nieugięty, nie zamierzałem oddawać tego terenu za nic. Groził proces sądowy, na pewno długotrwały. Nikt nie był tym zainteresowany. Postawiłem warunki. W ramach rekompensaty miasto przekaze uczelni stadion przy ul. Warszawskiej, a Pan Wojewoda obiekt po studium pielęgniar-skim (dzisiejszy Night Club). Ostatecznie zawarliśmy porozumienie. Prezydent miasta Mirosław Radecki przekazał stadion, a Pan Wojewoda Tadeusz Korszeń obiecał przekazać teren dzisiejszego Night Clubu i słowa dotrzymał. Z perspektyw 20 lat myślę, że to był bardzo dobry interes.

Jasno z tego wynika, że sprawy dydaktyki, nauki, wychowawcze spoczywały na barkach moich zastępców, którzy robili to doskonale i za co jestem wszystkim wdzięczny.

Sądzę, że bardzo trafnie oddaje naszą sytuację, po pierwszym roku kadencji, jeden z wniosków ze sprawozdania Rektora: „Stabilizuje się także i umacnia pozycja Instytutu WF i Sportu w Białej Podlaskiej. Nie ulega też obecnie

wątpliwości dalsza merytoryczna i organizacyjna więź tej placówki z Macierzą. Jej włączenie do Wydziału Wychowania Fizycznego utrudnia jednak sprawność organizacyjną obu jednostek i powoduje niepotrzebne straty czasu i pieniędzy na liczne międzyinstytucjonalne podróże pracowników. Dlatego też, jak się wydaje, należy dążyć do tego, ażeby – niezależnie od uprawnień formalnych, co do poziomu kształcenia w tej placówce – przywrócić w przyszłości jej status odrębnego Wydziału ze wszelkiego rodzaju uprawnieniami i autonomią”.

Należy również podkreślić, że nastąpił zauważalny rozwój kadry dydaktycznej ze stopniem doktora. Na koniec kadencji wyniósł on 32 osoby.

Był to udany czas dla sportu akademickiego. W 1991 roku piłkarze ręczni, trenowani przez mgra Leszka Siejęwę, awansowali do grona drugoligowców.

Początek roku akademickiego 1993/1994 rozpoczął nową kadencję władz. W Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego nie zmieniły się władze rektorskie. Z kierowania wydziałem zrezygnował prof. A. Gajewski, a na funkcję Dziekana wybrany został wybitny fizjolog prof. Ireneusz Malarecki. Również w Instytucie Wychowania Fizycznego i Sportu nastąpiła jedna zmiana. Z funkcji zastępcy dyrektora IWFIS ds. studiów zaocznych zrezygnował dr Józef Bergier, który postanowił zintensyfikować swoją pracę naukową. Ku wielkiemu zaskoczeniu (pozytywnemu) białskiego środowiska do współpracy zaprosiłem dra Janusza Jaszczuka, który przyjął moją propozycję i przejął obowiązki dotyczące studiów zaocznych. Głównym zamierzeniem władz IWFIS było zwiększenie liczby studentów, przyspieszenie awansu naukowego pracowników, oraz przygotowanie dokumentacji do rozbudowy i modernizacji uczelni. Asumptem do przyspieszenia rozbudowy hali sportowej była II ligowa drużyna piłki ręcznej. Ponieważ posiadaliśmy halę 32 x 32 m, groziło nam nie dopuszczenie do rozgrywek.

Dzięki zaangażowaniu wielu przyjaciół uczelni, głównie Pana Posła Jerzego Stefaniuka i Pana Stanisława Nowaka, obiekty uczelni włączone zostały do planu inwestycji strategicznych Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki. Otrzymaliśmy 19 mld. złotych na rozbudowę hali gier i budowę hali lekkoatletycznej.

Rozbudowa hali sportowej trwała od 11.04.1996 r. do 30.09.1996 r.

Obok hali dobudowany został tzw. łącznik, w którym mieściły się szatnie, sanitariaty. Ta inwestycja zakończona została 28.02.1997 r., a wykonawcą była białska firma „Rapid”. Do pełni szczęścia brakowało wówczas krytego obiektu lekkoatletycznego. Wraz z kolegami z zakładu LA – Tadkiem Makarukiem, Stasiem Kędrą, Kazikiem Chmielewskim, Krzyśkiem Stipurą wymyśliliśmy, że będzie to obiekt z bieżnią, skoczniami do skoku wzwyż, w dal, trójskoku, z miejscem do ćwiczenia pchnięcia kulą i elementów rzutów dyskiem. Tak powstała idea 74 m hali LA, której budowa trwała od 20.11.1996 r. do 05.02.1998 r.





Początkowo zaprojektowano obiekt niepodpiwniczony, ze względu na ograniczone środki finansowe. Jednak logika nakazywała obiekt podpiwniczyć. W celu zdobycia dodatkowych środków odbywałem bardzo częste wizyty w UKFiT, u Pana ministra Eugeniusza Pietrasika. Jak częste, najlepiej wie nasz kierowca Henryk Kowieski. W efekcie, Wielki Czwartek 1997 roku był „wielkim dniem” inwestycji lekkoatletycznej, gdyż Pan minister Pietrasik zgodził się powiększyć kwotę dotacji o wartość, potrzebną na podpiwniczenie hali LA. W ten oto sposób, na początku semestru letniego, roku akademickiego 1997/98 oddaliśmy do użytku halę LA z bieżnią tartanową i skoczniami.

Te wydarzenia zbiegły się z zakończeniem mojej drugiej kadencji jako prodziekana-dyrektora IWFis. Jako środowisko mieliśmy również znaczące sukcesy naukowe – 12 osób posiadało otwarte przewody doktorskie, a 4 zaawansowane rozprawy habilitacyjne. Największym jednak osiągnięciem naukowym tego okresu było uzyskanie przez zastępcę dyrektora IWFis ds. dydaktyki dra Ryszarda Cieślińskiego, stopnia doktora habilitowanego nauk o kulturze fizycznej. Ryszard został pierwszym doktorem habilitowanym z kultury fizycznej zatrudnionym w naszej uczelni. To radosne dla całego środowiska wydarzenie miało bardzo duże znaczenie, gdyż pozwoliło na kontynuację mojej i Ryszarda owocnej współpracy przez kolejne lata.

Kadencja 1996/97 – 1998/99 przyniosła zmiany w kierownictwie Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego. Rektorem Akademii został wy-

bitny teoretyk i praktyk sportu, prof. Henryk Sozański. Prof. Ryszard Żukowski objął stanowisko Prorektorem ds. Dydaktyki i Sportu, natomiast prof. Antoni Gajewski został Prorektorem ds. Nauki i Współpracy z Zagranicą.

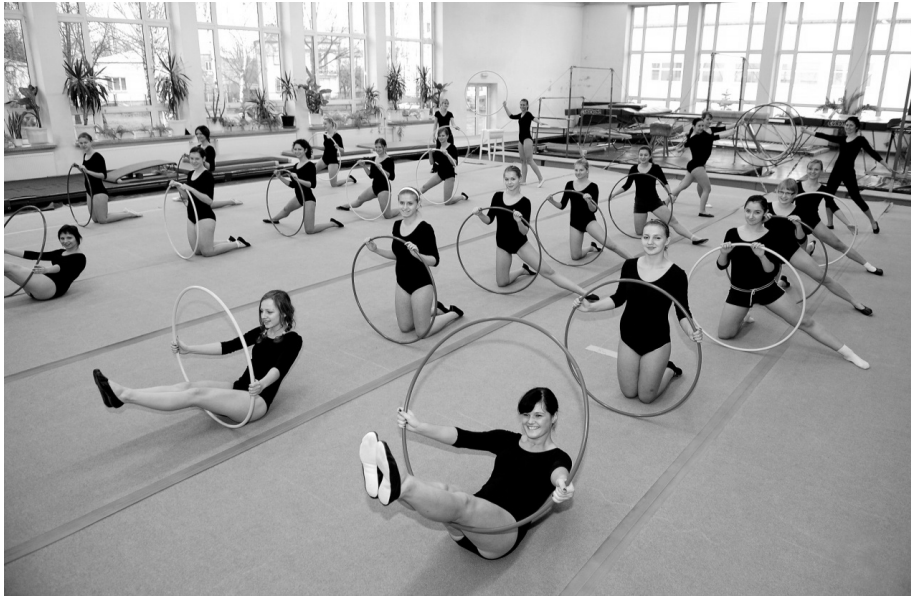
Ryszard Ciesliński został mianowany na stanowisko profesora AWF i wybrany na prorektora IWFis w kadencji 1996/97 – 1998/99, a następnie 1999/2000 – 2001/2002. Ja zostałem powołany na stanowisko Dyrektora IWFis. W zasadzie niewiele uległo zmianie. Ryszard jako prorektor miał władzę nad całością spraw, jednak głównie zajmował się sprawami naukowymi, kadrowymi i dydaktycznymi. Z kolei do mnie należały również sprawy dydaktyczne, ale głównie finansowe, inwestycyjne, nadzór nad administracją. Nie uległy zmianie nasze główne cele strategiczne, wzmacnianie kadrowe poprzez rozwój własnej kadry, zatrudnianie naukowców z zewnątrz oraz dalsza modernizacja uczelni.

Nastąpiły zmiany wśród zastępców dyrektora IWFis. W kadencji 1996/97 – 1998/99 za sprawy dydaktyczne odpowiadała dr Krystyna Górniak, która w 1999 r. odeszła do pracy w PFRON, a Jej miejsce zajął dr Stefan Litwiniuk, za sprawy studenckie odpowiadała dr Krystyna Kałuża, za sprawy nauki początkowo do 30.10.1997 r. – dr Adam Wilczewski, a następnie dr Tadeusz Zaradkiewicz. Zastępcą dyr. IWFis ds. studiów zaocznych pozostał dr Janusz Jaszczuk.

W czasie kadencji 1996/97 – 1998/99 nastąpił znaczący przyrost liczby studentów i pracowników ze stopniami naukowymi. W tym okresie studiowało 990 studentów studiów stacjonarnych i 816 studiów zaocznych, z którymi pracowało 110 nauczycieli akademickich. Łącznie w IWFis pracowało 225 osób. Wykorzystując dobre relacje w UKFiT, do planu inwestycji strategicznych wprowadzono szereg nowych zadań. Dyrektor administracyjny dr Michał Bajdak i Kierownik Działu Inwestycji inż. Tadeusz Paczowski oraz największe specjalistki od zamówień publicznych mgr Alina Szałacka i Bożena Jarocka, miały pełne ręce roboty. Nie mniej pracy miała moja sekretarka Pani Mirosława Iwanicka, która z właściwym sobie, pełnym ciepła uśmiechem przepisywała, często do późnych godzin wieczornych, moje wystąpienia do różnych instytucji: UKFiT, PFRON, Wojewody Białkopodlaskiego i innych. Najważniejsze, że większość z nich przyniosło skutek i mają trwały ślad w majątku uczelni.

Z dydaktycznego punktu widzenia najbardziej potrzebnym obiektem była rozbudowa i modernizacja sali gimnastycznej.

Po akceptacji naszego wniosku przez UKFiT, 28 kwietnia podpisałem z Panią Kwestor Irminą Patkowską, umowę z białą firmą „Budomex” na wybudowanie nowej, większej sali gimnastycznej i połączenie jej ze starą częścią. Sprawa była na tyle skomplikowana, że należało to zrobić jak najszybciej, gdyż w trakcie budowy nie mogły być realizowane zajęcia dydaktyczne. Prace ruszyły „z kopyta” zaraz po świętach majowych. W efekcie, tuż przed Bożym Narodzeniem, pod choinkę 22.12.1997 r., nowy obiekt oddano do użytku.



Najwyższe słowa uznania należą się firmie „Budomex” i jej prezesom, Panom Eugeniuszowi Izdebskiemu i Sławomirowi Wasilewskiemu. Obiekt został wyposażony w przyrządy „Spieth”, takie jakie były na Igrzyskach Olimpijskich w Barcelonie. Po raz pierwszy pojawiła się plansza do ćwiczeń wolnych i ścieżka akrobatyczna. Prawdziwy raj dla studentów, lubiących i nie lubiących gimnastykę. Skończyły się wejścia przez okna (jak to było w moich studenckich czasach). Dwa miesiące później, ze swojego krytego obiektu, hali LA cieszyli się lekkoatleci. W dalszym ciągu kontynuowana była rozbudowa stadionu LA.

Apetyt inwestycyjny „rósł w miarę jedzenia”, ponieważ obiekty przy ul. Akademickiej były zmodernizowane bądź w stadium końcowej modernizacji, nastąpiła pora na obiekty przy ul. Warszawskiej. Postanowiono wybudować boisko z prawdziwego zdarzenia na terenie tzw. starego stadionu, przejętego przez uczelnię w ramach zamiany gruntów, o której wcześniej wspominałem. Również na tą inwestycję uzyskaliśmy dofinansowanie ze środków powszechnie nazywanych „Totalizatora Sportowego”. Powstało piękne boisko o wymiarach 120x100 m, komputerowo nawadniane, z profesjonalnymi piłkochwytałkami, sprzętem i mini trybunami. W ramach akcji szkoleniowych korzystały z niego zespoły Legii Warszawa, Górnika Łączna, drużyny z Litwy. Odbywał się mecz reprezentacji Polski Kobiet w piłkę nożną Polska – Rumunia.

Jednak do doskonałej płyty boiska konieczne było zaplecze. Zaprojektowany został pawilon sportowy. W jego budowę zaangażował się nasz kolega Józef Bergier, który został wybrany posłem na Sejm RP. Za Jego wstawien-



nictwem przesunięto, przewidzianą do rozbudowy, siłownię na kolejny rok, natomiast do planu inwestycji strategicznych włączono budowę pawilonu z blisko dwukrotnie większą kwotą (ok. 1,682 mln zł) niż przewidziano dla IWFis na siłownię. W ten sposób w 1999 r. rozpoczęto budowę pawilonu sportowego, który zakończono w maju 2001 roku.

Remonty sali gier, akademików, sprawiły, że uzyskaliśmy wysoki standard warunków studiowania i doskonałe warunki do szkolenia sportowego. Mając tak doskonałe warunki rozwinęliśmy działalność zarobkową. Powołałem Pełnomocnika ds. akcji letniej, dra Kazimierza Chmielewskiego, który zajął się promocją uczelni, jako bazy szkolenia sportowego. W efekcie każdego roku nasze obiekty „okupują” sportowcy z całego kraju, ale również z Ukrainy, Litwy, Rosji, Kataru, Tunezji czy Arabii Saudyjskiej, którzy zostawiają w naszej uczelni pokaźne środki finansowe. Jednak nie ma „róży bez kolców”. Jak już wspominałem moje działania koncentrowały się na zdobywaniu środków inwestycyjnych i nadzorze nad procedurą zamówień publicznych, do podpisania umów włącznie. Zaś dr Michał Bajbak jako dyrektor administracyjny i inż. Tadeusz Paczowski jako Kierownik Działu Inwestycji, współpracowali z wykonawcami na co dzień wykonując ogrom, często niewidocznej pracy. Bez naszej harmonijnej współpracy nie byłaby możliwa rozbudowa IWFis w takim tempie.

Tę naszą dobrą współpracę przerwała tragiczna śmierć Michała wraz z kierowcą Mieciem Piwonim. Ten „czarny dzień” to 24 lutego 1999 r. Michał miał pilne sprawy do załatwienia w AWF w Warszawie. Dokładnie nie wiem jakie, ale około 11⁰⁰ wziął Miecicia i szybko wyjechali do Warszawy służbowym „Polonezem”. Pogoda była okropna; „kurzyło” śniegiem po południu strasznie. Wracając z Warszawy, w miejscowości Polaki przed Siedlcami, zderzyli się z nieoznakowanym pojazdem policyjnym. Ponoć wpadli w poślizg, a tak naprawdę nikt nie wie, kto wpadł w ten poślizg. Oni, czy może pojazd policyjny. Mietek był doskonałym kierowcą. Rodziny do dziś mają wiele wątpliwości.

Nie wchodząc w szczegóły, straciliśmy w jednej chwili dwóch doskonałych pracowników. Osobiście straciłem wielkiego przyjaciela. Z Michałem bawiliśmy się na jednym podwórku, chodziłem do tej samej Szkoły Podstawowej Nr 5 w Białej Podlaskiej, trenowaliśmy w jednym klubie AZS-AWF, studiowaliśmy w jednej grupie dziekańskiej. Razem rozpoczęliśmy pracę w Zakładzie LA i zajmowaliśmy jeden pokój. Również obaj się doktoryzowaliśmy w tej samej uczelni. Ponadto, sam namówiłem Michała do zostania Dyrektorem, gdyż miał bardzo wiele niezbędnych do tego umiejętności, a co ważniejsze cech osobowości. Był osobą, która nie miała wrogów. Prywatnie był ojcem chrzestnym mojego syna Łukasza. Około 7³⁰ rano następnego dnia zadzwonił do mnie Przemek Olesiejuk z tą straszną nowiną.

Zapytał, czy wiem, że zginął Michał? Zaniemówiłem. – Jak to, gdzie? – Pod Siedlcami – usłyszałem. Jechał służbowym „Polonezem” wraz z Mietkiem z Warszawy. Obaj zginęli. Nie mogłem pojąć, nie mogłem uwierzyć. Szybko jednak informacja się potwierdziła. Całe nasze środowisko akademickie przez długi czas pozostawało w szoku. Michała nie dało się zastąpić. Ktoś jednak musiał przejąć Jego obowiązki. Na stanowisko z-cy dyrektora administracyjnego Instytutu powołałem inż. Tadeusza Paczóskego.

We wrześniu 1999 r. rozpoczęła się kolejna kadencja władz rektorskich. Rektorem AWF ponownie został prof. Henryk Sozański, zaś prorektorami prof. Andrzej Dąbrowski oraz prof. Andrzej Wit. Prorektorem ds. IWFIS na drugą kadencję wybrano prof. Ryszarda Cieślińskiego. Była to bardzo udana kadencja, co oczywiście jest wielką zasługą głównie Ryszarda, ale i całego kierownictwa Instytutu. W tym okresie nastąpił dynamiczny rozwój naukowy pracowników. Dwie osoby – Józef Bergier w 2000 r. i ja w 2001 r., uzyskały stopnie doktora habilitowanego, a kolejnych kilka stopień doktora. To spowodowało, że możliwe było przygotowanie wniosku do właściwego ministra o przekształcenie dotychczasowego IWFIS w Zamiejscowy Wydział Wychowania Fizycznego, czyli podstawową jednostkę dydaktyczną, stanowiącą między innymi o kierunkach kształcenia, planach i programach studiów.

Minister Edukacji Narodowej prof. Edmund Wittbrodt wydał Zarządzenie Nr 26 z 15.10.2001 r. powołujące nasz Wydział. W konsekwencji tego wydarzenia przeprowadzono wybory organu jednoosobowego i jego zastępców. Dziekanem zostałem ja, prodziekanem ds. nauki dr Tadeusz Zaradkiewicz, ds. studiów zaocznych dr Janusz Jaszczuk, ds. studentów dr Krystyna Kałuża, ds. dydaktyki dr Stefan Litwiniuk. W tym okresie w ZWWF studiowało 2054 osób, z którymi pracowało 114 nauczycieli akademickich, 8 profesorów, 44 doktorów, 62 asystentów, wykładowców, lektorów i instruktorów.



Z realizowanych prac remontowych i inwestycyjnych należy wymienić rozbudowę sali podnoszenia ciężarów. Została ona znacznie powiększona, wyposażona w 10 nowych pomostów, klimatyzację, rozkładane trybuny oraz zaplecze sanitarno-szatniowe i pokój trenerski. Inwestycja ta zakończyła się 31.08.2002 r. wraz z końcem kadencji władz uczelni.

Od 01.09.2002 r. władzę rektorską w AWF J. Piłsudskiego objął ceniony w kraju i zagranicą biomechanik, prof. Andrzej Wit, który przez kilka lat pracował w IWFiS, w wymiarze 1/2 etatu, w Zakładzie Biomechaniki. Stąd był nam bardzo dobrze znany. Jego zastępcami – prorektorami zostali prof. Maciej Kalina odpowiedzialny za naukę, prof. Krzysztof Klukowski odpowiedzialny za rozwój, prof. Tadeusz Maszczak odpowiedzialny za dydaktykę i ja odpowiedzialny za kształcenie zamiejscowe.

Dziekanem ZWWF został prof. Ryszard Cieśliński, prodziekanami pozostały dotychczasowe osoby z jedną zmianą, dra Tadeusza Zaradkiewicza zastąpił dr Adam Wilczewski.

Jak łatwo można zauważyć, z Ryszardem pełniliśmy na przemian najważniejsze funkcje w białskiej części AWF w ostatnim 20-leciu. Miało to swoje zalety, gdyż do 1990 r. białską jednostką najczęściej kierowały osoby dojeżdżające z Warszawy. Niezależnie od tego, który z nas formalnie był prorektorem, dziekanem czy dyrektorem IWFiS w danym momencie, to podział kompetencji pozostawał w zasadzie niezmienny. Ryszard odpowiadał za dydaktykę i naukę. Ja za finanse, inwestycje i strategię rozwoju. Sprawy kadrowe rozstrzygaliśmy wspólnie.

Nastąpił kolejny okres dynamicznego rozwoju Wydziału. W roku akademickim 2002/2003 w naszej uczelni studiowało ponad 2400 studentów, na dwóch kierunkach studiów: wychowanie fizyczne oraz turystyka i rekreacja. W tym roku starą kotłownię – „królestwo” Pana Bochenka, znanego palacza i dysponenta ciepłej wody w akademiku – „przerobiono” na „Kawiarenkę u Bochenka”, którą połączono schodami z Klubem „Meta”.

W tym też czasie zakupiliśmy od Agencji Mienia Wojskowego dawny Hotel Garnizonowy przy ul. Makaruka, na potrzeby akademika. Największym jednak osiągnięciem było wpisanie naszej już 13-letniej pływalni na listę inwestycji strategicznych Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu, co gwarantowało nam środki na jej modernizację. Było to możliwe, gdyż moje starania mocno poparł ówczesny szef Gabinetu Premiera, poseł Lech Nikolski.

Zbliżał się czas wejścia naszego kraju do Unii Europejskiej. Stwarzało to nowe możliwości aplikowania o środki na rozbudowę uczelni. Od połowy 2001 roku na stanowisku z-cy kwestora Panią Mariannę Nitek zastąpił mgr Andrzej Misiński. Pan Andrzej dodatkowo specjalizował się w przygotowywaniu wniosków na dofinansowanie inwestycji ze środków UE. Wspólnie postanowiliśmy, że warto przygotować taki wniosek. Wychodziliśmy z założenia, że liczy się dobry start. Ostatecznie przygotowaliśmy projekt pt. „Moder-



Fragment wnętrza klubu „Meta”



nizacja i rozbudowa infrastruktury naukowo-dydaktycznej, sportowej oraz socjalnej Zamiejscowego Wydziału Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej”, o wartości prawie 15 mln zł. Składała się na to rozbudowa pływalni wraz z częścią rekreacyjną oraz adaptacja budynku dawnego WPHW zwanego „Agatem” na potrzeby nowoczesnego akademika i kształcenia na kierunku turystyka i rekreacja. Ostatecznie uzyskaliśmy dofinansowanie i, uwzględniając kwotę uzyskaną z Ministerstwa Edukacji i Sportu, posiadaliśmy więcej środków niż potrzebowaliśmy. W efekcie powstała piękna pływalnia i nowoczesny akademik, nazywany przez studentów „Hilton”.

Chciałbym zaznaczyć, że ten akademik mógł powstać dzięki bardzo odważnej mojej decyzji, za zgodą Senatu AWF, o zakupie dawnej bazy WPHW, w grudniu 2000 roku. Decyzja ta była o tyle trudna, że wówczas nie dysponowaliśmy środkami finansowymi na ten zakup. Jednak bezpośrednie sąsiedztwo z obiektami uczelni bardzo kusiło, żeby ten budynek kupić. Ostatecznie udało się wynegocjować zakup z płatnością w trzech ratach. Czas podpisywania umów na te inwestycje zbiegł się z ostatnim rokiem pierwszej „mojej” prorektorskiej kadencji. Była ona równie udana jak poprzednie, możliwa dlatego, że miałem zaufanie u moich zwierzchników – Rektora prof. Andrzeja Wita i wspaniałych współpracowników w Białej Podlaskiej.

Kadencja 01.09.2005 – 31.08.2008 przyniosła zmiany we władzach rektorskich AWF Warszawa. Rektorem został prof. Henryk Sozański, wielki przyjaciel naszego Wydziału. Prorektorami zostali: prof. Antoni Gajewski, prof. Tadeusz Gałkowski, prof. Alicja Przyłuska-Fiszer. Mojej osobie powierzono prorektorstwo ds. rozwoju i kształcenia zamiejscowego. Władze dziekańskie Wydziału pozostały te same.

Niezmiennie najważniejszy był rozwój kadry naukowo-dydaktycznej. W tym okresie powstały trzy habilitacje. Stopień ten uzyskała dr Krystyna Górniak, w 2007 r., która współpracowała z prof. Maciejem Składem. Warto tutaj zauważyć, że w ten sposób wszystkie osoby, które w 1990/91 roku pełniły funkcje kierownicze w IWF i S, stały się samodzielnymi pracownikami nauki. Ponadto habilitacje uzyskali: dr Elżbieta Huk-Wieliczuk (2008) i dr Jan Czelelewski (2009) z Katedry Biologii i Higieny, której kierownikiem był prof. Jan Raczyński, osoba szczególnie dbająca o rozwój pracowników zakładu i katedry. Tytuł profesora nauk o kulturze fizycznej otrzymała Barbara Raczyńska (2007).

W związku z tak dynamicznym wzrostem liczby samodzielnych pracowników postanowiliśmy ubiegać się o uzyskanie praw do nadawania stopnia doktora nauk o kulturze fizycznej, co uczyniłoby wydział w pełni akademicki. Prawo takie uzyskaliśmy 28 stycznia 2008 r. od Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Staliśmy się pierwszym i do dziś jedynym wydziałem wychowania fizycznego na wschód od Wisły, posiadającym takie uprawnienia. Rozpoczęliśmy wydawanie polsko-angielskiego kwartalnika „Polish Journal of Sport and

Tourism”, dzisiaj ocenianego na 6 punktów przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Wielką w tym zasługą profesorów: Jana Raczyńskiego i Roberta Charmasa, którzy poświęcili na to wiele czasu i wysiłku.

Rozwój Wydziału to nie tylko rozwój infrastruktury i kadry naukowej, to również wzrost liczby studentów, sięgający blisko 3000 osób, głównie studiów stacjonarnych. Rozszerzyliśmy ofertę kształcenia o nowe kierunki studiów. Oprócz tradycyjnego wychowania fizycznego i turystyki i rekreacji, gdzie studia odbywają się na poziomie licencjackim i magisterskim, kształcimy również na fizjoterapii i kosmetologii, a wkrótce nowym kierunkiem – sport, na poziomie licencjackim. Nadaliśmy pierwszy stopień naukowy doktora nauk o kulturze fizycznej. Otrzymał go mgr Przemysław Kędra (2009), syn Basi i Stasia, naszych absolwentów.



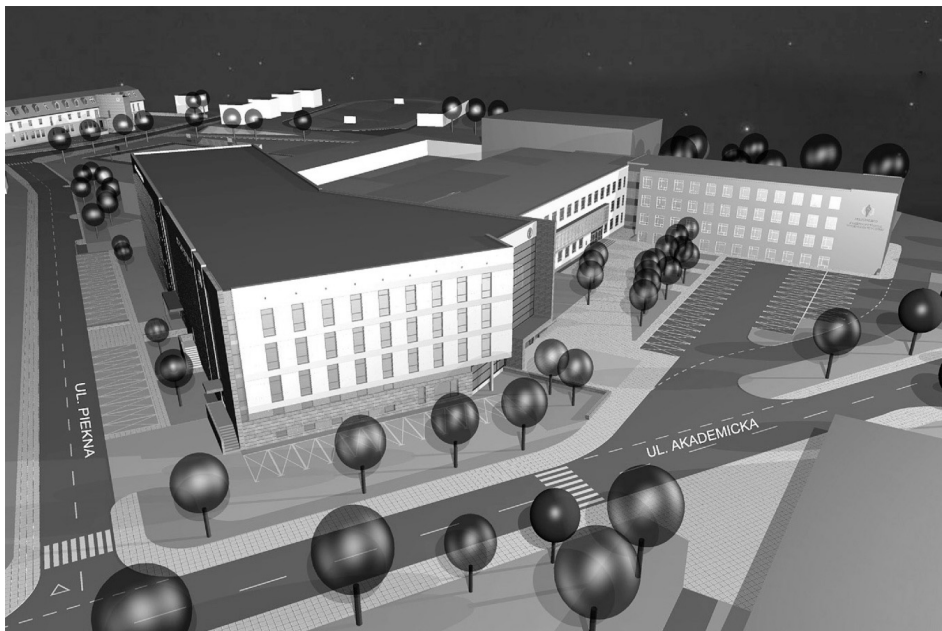
Chociaż odnieśliśmy wiele sukcesów, to nie udało nam się uzyskać środków z listy indykatywnej, z programu Rozwój Polski Wschodniej, środków na rozbudowę uczelni. Nasze kierunki kształcenia nie były priorytetowymi w strategii rozwoju kraju, dlatego od początku byliśmy na straconej pozycji.

Obecną kadencję 2008/2009 – 2011/2012 poprzedziła moja ważna decyzja osobista. Sukcesy bialskiego Wydziału znajdowały coraz większe uznanie w środowisku warszawskim. Dlatego usilnie namawiano mnie, abym kandydował na stanowisko rektora AWF J. Piłsudskiego. Sugestie i naciski tym bardziej

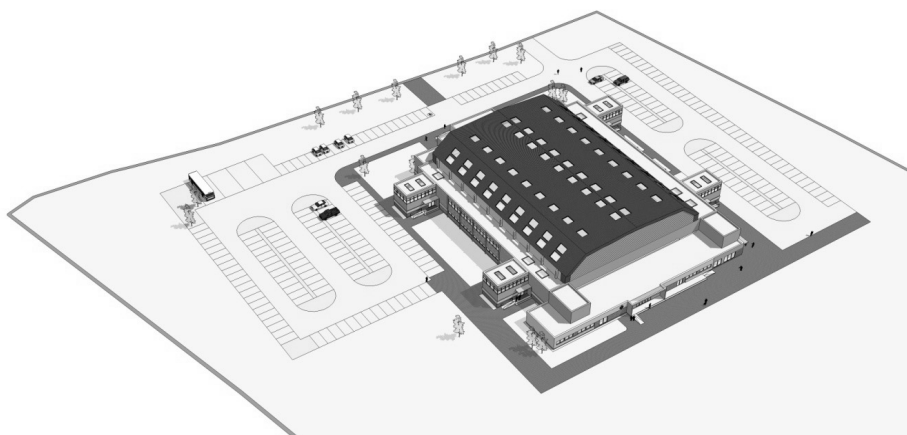
wzrosły, kiedy zdecydowanie „wygrałem” wybory. Jednak odmówiłem, dziękując wszystkim elektorom za zaufanie. Zostałem dziekanem ZWWF. Rektorem została prof. Alicja Przyłuska-Fischer, dotychczasowa prorektor ds. studenckich. Prorektorami zostali: prof. Zbigniew Trzaskoma, prof. Elżbieta Hübner-Woźniak i prof. Zbigniew Dziubiński. Zgodnie z nowym Statutem AWF liczba prorektorów zmniejszyła się z czterech do trzech. Do współpracy zaprosiłem młodych, ambitnych ludzi. Prodziekanami zostali: prof. Krystyna Górniak, największa specjalistka od spraw dydaktycznych i nie tylko, dr Hubert Makaruk i dr Marcin Bochenek – dzieci naszych absolwentów i pracowników oraz prof. Robert Charnas, chemik z wykształcenia, którego namówiłem kilka lat wcześniej, aby przeniósł się z UMCS w Lublinie do AWF. Jednak wkrótce Robert został rektorem Państwowej Szkoły Informatyki i Przedsiębiorczości w Łomży i musiał zrezygnować z funkcji prodziekana. Na jego miejsce zaproponowałem prof. Andrzeja Mastalerza, jednego z najzdolniejszych polskich biomechaników młodego pokolenia, pracującego dotychczas w Warszawie. W ten sposób do „władzy” dochodzą młodzi. Tak też było w moim przypadku, tylko że 20 lat wcześniej. Myślę, że przyniosło to nie najgorsze rezultaty.

W dalszym ciągu myślałem o rozbudowie uczelni i budowie hali sportowej. Wiedziałem, że należy dobrze przygotować projekty o nowe środki unijne. Stworzyłem ideę budowy Regionalnego Ośrodka Badań i Rozwoju przy uczelni, w którym usytuowane mają być laboratoria naukowe, czytelnia z informacją naukową oraz centrum upowszechniania wyników badań naukowych i sale dydaktyczne. W przedsięwzięcie to zaangażowało się bardzo wielu pracowników z zakładów biomechaniki, fizjologii, biochemii, gimnastyki, psychologii, korektywy i kompensacji, antropomotoryki. Powstały merytoryczne założenia projektu. Formalnym przygotowaniem zajął się Pan Andrzej Misiński i Pani Aneta Łuć. Wartość projektu wynosiła prawie 39 mln złotych. Z projektem tym „wystartowaliśmy” do Programu Operacyjnego Rozwój Polski Wschodniej 2007-2013, Osi priorytetowej I Nowoczesna Gospodarka, Działania I.3 Wspieranie innowacji. Ku naszej radości projekt został wysoko oceniony i przewidziany do dofinansowania. W dniu 21.11.2009 r. podpisałem umowę na dofinansowanie, a 23.02.2010 r., na wykonawstwo. Obecnie trwa już budowa tego obiektu.

Z kolei do Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa lubelskiego złożyliśmy projekt budowy Centrum Edukacji Zdrowotnej i Rehabilitacji – budowa hali sportowej. Wartość projektu 20 mln złotych. Również ten projekt znalazł się w grupie projektów przewidzianych do dofinansowania. Sądzę, że w październiku ruszy budowa hali sportowej.



Zdjęcia przedstawiają wizualizację przyszłego obiektu



Wizualizacja przyszłej hali sportowej

W tych działaniach bardzo wspierał mnie już tradycyjnie poseł Jerzy Franciszek Stefaniuk i poseł Stanisław Żmijan. Potrzeby uczelni dostrzegały władze samorządowe województwa lubelskiego, szczególnie Panowie Marszałek Krzysztof Grabczuk i Wicemarszałek Sławomir Sosnowski. Bardzo dużą pomoc, obok Andrzeja Misińskiego, okazał doc. Adam Wilczewski.

Ponadto ze środków unijnych, w minionym okresie, udało się zmodernizować korty tenisowe, aulę, wybudować dodatkową trybunę na stadionie LA oraz salę tańca.



Fragment auli



Nowa trybuna na stadionie LA



Powstały laboratoria naukowe wyposażone w nowoczesną aparaturę badawczą (biomechaniki, biochemii, fizjologii, psychomotoryki).

Mówiąc o naszym Wydziale nie sposób nie wspomnieć o sporcie akademickim. W okresie minionych 20 lat nasi studenci reprezentowali nasz kraj na Igrzyskach Olimpijskich, Mistrzostwach Europy, Mistrzostwach Świata, Uniwersjadach i innych zawodach. Działalność sportowa na najwyższym poziomie łączy się z nazwiskami takich trenerów, jak doc. Stanisław Kędra, mgr Tadeusz Makaruk, dr Jarosław Sacharuk, mgr Krzysztof Stipura.

Odrębną kartę stanowią sukcesy w grach zespołowych, chociaż było ich znacznie mniej niż w sportach indywidualnych. Warto tu wspomnieć sukcesy piłkarzy ręcznych i ich niezapomniane występy w ekstraklasie (1998). Drużyna AZS-AWF „Pol-kres”, zbudowana przez mgra Leszka Sieję i prowadzona również przez Jarka Cieślíkowskiego, pozostaje w pamięci wielu białskich kibiców. Wielu jej zawodników występuje do dziś w pierwszoligowych drużynach w kraju i zagranicą. Sukcesy AZS-AWF „Pol-kres” możliwe były dzięki wielkiemu wsparciu finansowemu właścicieli firmy „Pol-kres”, Panów: Edwarda Tomaszuka, Wiesława Szuby i Ryszarda Śmieszko. Miejmy nadzieję, że nadejdą jeszcze tak dobre czasy dla piłkarzy ręcznych i przedstawicieli innych gier zespołowych.

Podsumowując, należy stwierdzić, że okres minionych 20 lat, był bardzo udany w rozwoju naszej uczelni.

Studiować na AWF w Białej Podlaskiej to brzmi dumnie i wielu kolegów z kraju i zagranicy zazdrości nam warunków i atmosfery pracy. Dlatego chciałbym skierować słowa podziękowania do studentów, absolwentów i wszystkich pracowników, nauczycieli akademickich, pracowników administracji i obsługi, którzy swoją postawą, a przede wszystkim rzetelną pracą, przyczynili się do naszego sukcesu.

Szczególne podziękowania kieruję do prof. Ryszarda Cieślińskiego, prof. Krystyny Górniak, doc. Janusza Jaszczuka, doc. Stefana Litwiniuka, dr Krystyny Kałuży, doc. Adama Wilczewskiego, dra Tadeusza Zaradkiewicza, z którymi przyszło mi najdłużej kierować uczelnią. Jak już wcześniej wspomniałem, nie da się zapomnieć o zasługach dyrektorów administracyjnych, dra Michała Bajbaka i inż. Tadeusza Paczóskego, którzy byli z uczelnią związani na dobre i złe.

Uczelnia białka kończy 40 lat. Od 01.10.2010 r., zgodnie z decyzją Ministra Szkolnictwa Wyższego, po raz kolejny zmieni nazwę na – Wydział Wychowania Fizycznego i Sportu w Białej Podlaskiej. Mam nadzieję i przekonanie, że rozwój Wydziału, głównie naukowy, będzie jeszcze bardziej dynamiczny. Wszystko zależy od rzetelności i ambicji pracowników, czy potrafią sprostać wyzwaniom czasu. Życzę tego nam wszystkim.



Wspomnienia z pracy w białskiej uczelni wychowania fizycznego („kariera naukowa” czy „droga przez mękę”?)

Studia w kraju i zagranicą

W 1951 roku rozpocząłem studia w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Poznaniu. Po roku, jako wyróżniającego się studenta, wysłano mnie na studia zagraniczne do Leningradu. Z uwagi na niedostateczną znajomość języka rosyjskiego i zgodnie z przyjętymi wtedy zasadami stałem się ponownie studentem I roku **renomowanego Instytutu Kultury Fizycznej im. P. F. Leshafta** (obecnie 12 wydziałowego Uniwersytetu, w tym z medycyną sportową). Pracowała wtedy w nim plejada znakomitych profesorów, stanowiących czołówkę nie tylko w byłym Związku Radzieckim, ale też w świecie. Wśród tych najbardziej znanych byli: **A. N. Krestownikow** (autor pierwszego w świecie podręcznika fizjologii ćwiczeń fizycznych – 1939 r.), **A.C. Puni** (wybitny psycholog sportu, autor wielu podręczników z tej dyscypliny naukowej, w tym pierwszej monografii dotyczącej przygotowania psychologicznego sportowców), **L.A. Orbeli** (ekspert biochemii sportu), **E.G. Kotielnikowa** i **D. A. Siemionow** (autorzy jednego z pierwszych podręczników z biomechaniki, **K.X. Grantyn** i **A.B. Biełorusowa** oraz **I.M. Korjakowski** (autorzy pierwszych podręczników z teorii wychowania fizycznego), **N.W. Zimkin** i **A. B. Handelsman** (wybitni fizjolodzy) i wielu innych. Charakterystyczne, iż część z nich była mistrzami sportu w różnych dyscyplinach.

W II roku studiów rozpocząłem pracę w Studenckim Kole Naukowym przy Katedrze Fizjologii, prowadzonym przez ucznia laureata nagrody Nobla I. Pawłowa prof. A.N. Krestownikowa, a jednocześnie mistrza sportu w alpinizmie. Zajęcia były niezwykle interesujące i obejmowały tzw. ostre eksperymenty na zwierzętach, referaty wygłaszane przez różnych profesorów i członków Koła, ale także rozmaite wycieczki. Głęboko w pamięci utkwiła mi wycieczka do Kołtusze – Centrum badawczego I. Pawłowa. Wycieczkę prowadziła b. asystentka tego wielkiego badacza, wtedy jedna z wykładowczyń fizjologii w Instytucie im. P. F. Leshafta. W pewnym fragmencie wycieczki „odciągnęła” mnie na bok i szepnęła: „...**im więcej badań wykonywał I. Pawłow, tym bardziej podziwiał doskonałość funkcjonowania ludzkiego organizmu i głębiej wierzył w Boga**”. To dyskretne i szokujące wyznanie starszej Pani przeznaczone wyłącznie dla studenta z Polski w czasach stalinowskich było aktem wielkiej odwagi, ale też dowodem wyjątkowego zaufania. Od tej pory cieszy-

łem się u tej odważnej Pani szczególnymi względami podczas ćwiczeń z fizjologii.

Podczas jednego z zajęć Koła prof. Krestownikow zaskoczył mnie propozycją przygotowania referatu dotyczącego kształtowania nawyków ruchowych. Przez kilka tygodni trudziłem się by moje wystąpienie nie było blamażem z zakresu fizjologii, jak też znajomości języka rosyjskiego. Podczas mojej na pewno mało interesującej prezentacji zdałem sobie sprawę, iż dostąpiłem szczególnego zaszczytu, tj. uważnego wysłuchania całego referatu przez tak znakomitego uczonego. Widocznie wystąpienie moje nie było tak złe jak to oceniłem, bo przydzielono mi stałego opiekuna naukowego p. prof. **W. Wasiljewą**, która po jakimś czasie zorientowała się, iż moje zainteresowania związane z **fizjologicznymi aspektami symetrii i asymetrii czynności ruchowych w łyżwiarstwie figurowym** bardziej związane są z kompetencjami prof. dr hab. med. Aleksandra Handelsmana. Ten mój nowy opiekun był nie tylko znakomitym, odważnym i oryginalnym uczonym, ale jeszcze dwukrotnym mistrzem b. ZSRR w łyżwiarstwie figurowym. Pod Jego kierunkiem przygotowałem dwie prace eksperymentalne nagrodzone na konkursie Studenckich Kół Naukowych Instytutu, Leningradu, a jedna z nich uzyskała II premię na Konferencji Wszechniązkowej i dyplom Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego ZSRR. Obie prace o znacznie poszerzonej objętości były podstawą uzyskania tytułu magistra, a później zostały opublikowane w czasopiśmie „*Kultura Fizyczna*”.

Praca w warszawskiej AWF

Po ukończeniu studiów z wyróżnieniem i dwóch specjalizacji (w łyżwiarstwie figurowym i pływaniu) w Instytucie Kultury Fizycznej w Leningradzie, skierowano mnie nakazem do pracy w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie, a dokładniej w Katedrze Fizjologii, kierowanej przez znakomitego i znanego w świecie fizjologa prof. dr **W. Missiuero**. Ostatecznie jednak „*wylądowałem*” w Katedrze Narciarstwa i Obozownictwa, namówiony przez jej kierownika mgra **Z. Bielczyka** zauroczony świetlanymi perspektywami wspianej współpracy. W Katedrze tej prowadziłem zajęcia z łyżwiarstwa i kajakarstwa oraz obozy wędrownie. W latach 1960/1966 byłem kierownikiem **eksperymentalnej Warszawskiej Szkoły Łyżwiarstwa przy AWF, w której ćwiczyło ponad 500 dziewcząt i chłopców** wybranych spośród 3000 kandydatów. Uczniowie szkoły z powodzeniem uczestniczyli w zawodach sportowych, a niektórzy mieli znaczące osiągnięcia na arenie międzynarodowej. **Pewne nasze rozwiązania organizacyjno-metodyczne (m.in. kryteria doboru) włączono później do systemu szkół sportowych b. NRD.** Mimo tego dodatkowego obciążenia, po prawie 5 latach pracy, tj. w kwietniu 1963 roku, w oparciu o pożyczaną i nabytą za własne środki finansowe aparaturę pomiarową, sporadyczną i czasowo bardzo ograniczoną konsultację, przygotowałem i obroniłem

pracę doktorską pt. „*Symetryczne i asymetryczne funkcje ruchowe w łyżwiarstwie figurowym*”, uzyskując tytuł kandydata nauk pedagogicznych. Moim wspianiałym, ale bardzo zajęтым opiekunem naukowym, jak też promotorem był prof. dr hab. med. A. B. Handelsman, zaś recenzentami prof. dr hab. **A. C. Puni** i doc. dr **I. P. Bajczenko** z Leningradzkiego Instytutu Naukowego Kultury Fizycznej. Obrona wywołała duże zainteresowanie i uczestniczyło w niej ponad 100 osób, na czele z kadrą profesorską. Na zawsze zapamiętałem słowa mego promotora wypowiedziane podczas obrony: „*Stoi przed Wami młody człowiek, któremu nikt niczego nie podał na talerzyku ze złotym szlaczkiem*”. Podkreślały one moją dużą samodzielność i wyjątkowo trudne warunki, w jakich przygotowałem doktorat. Praca miała 283 strony, a jej obrona przyjęta została przez Radę Naukowa Instytutu jednogłośnie. Byłem dumny, kiedy **po latach dowiedziałem się o wdrożeniu mojej koncepcji symetryzacji techniki ćwiczeń do programu wszystkich szkół sportowych b. ZSRR o profilu łyżwiarstwa figurowego**, jak też cytowaniu niektórych fragmentów przez wybitnych autorów różnych dyscyplin naukowych.

Współpraca moja z kierownikiem katedry układała się pomyślnie do obrony pracy doktorskiej, następnie zaczęła się stopniowo pogarszać w miarę moich postępów dotyczących przygotowania habilitacji. W Leningradzie, w latach 1964/1969 odbywałem zaoczne studia aspiranckie, pracując pod kierunkiem prof. prof. A. Handelmana i A. Puniego. Polegały one na sporadycznych i krótkotrwałych konsultacjach, podczas których **koszty pobytu w Leningradzie pokrywałem we własnym zakresie. Stosownie do decyzji kierownika katedry odbywać się one mogły jedynie w okresie moich urlopów wypoczynkowych**. W owych czasach między kierownikami katedr a asystentami i adiunktami panowały iście feudalne stosunki, których wyrazem może być skrót myślowy „*szef ma zawsze rację*”. W ramach normy mieściło się nieformalne promotorstwo pracy magisterskiej przez adiunkta, który często musiał umieścić zamiast swego nazwiska, nazwisko kierownika katedry. **Czasami udawało się „wynegocjować” wariant z nazwiskami dwóch promotorów, tj. rzeczywistego i wirtualnego**. Szczyt tych stosunków stanowiło, nie tylko odebranie promotorstwa, ale jeszcze napisanie recenzji, pod którą podpisywał się jedynie kierownik katedry. W miarę narastania liczby moich publikacji, świadczącej o aktywności naukowej, coraz częstszego udziału w konferencjach i zbliżania się terminu zakończenia rozprawy habilitacyjnej, współpraca z moim szefem układała się coraz gorzej. Coraz częstsze były nieporozumienia dotyczące różnych, czasami nawet drobnych spraw. Np., na zaproszeniu mnie na wykłady przez Wydział Wychowania Fizycznego Uniwersytetu w Helsinkach znalazła się negatywna adnotacja, a prywatnie wyrażono zdziwienie, dlaczego nie zaproszono kierownika katedry. Rozumiałem, że dalsza współpraca stoi pod znakiem zapytania.

Praca w Finlandii

Ostatecznie rozprawę habilitacyjną złożyłem u ówczesnego Rektora AWF prof. dra S. Wołoszyna w czerwcu 1969 roku, a więc 6 lat po obronie pracy doktorskiej. Nieco później, w ramach urlopu wypoczynkowego wyjechałem z rodziną do Finlandii. Tam zaferowano mi i mojej żonie znakomite warunki pracy w klubie i prowadzenie szkolenia czołowych zawodników łyżwiarstwa figurowego Finlandii. **Stanąłem przed alternatywą wyboru konkretnej dobrze płatnej (chyba 40 krotnie wyższej niż w Polsce) pracy w Finlandii lub powrotu do kraju i ewentualnego zwolnienia z pracy.** Logika podpowiadała wybór pewnego miejsca pracy w bardzo życzliwym otoczeniu. Napisałem więc do rektora prośbę o jednoroczny urlop. Otrzymałem odpowiedź informująca mnie, iż Rada Wydziału przedłużyła mi umowę o pracę, ale ze względu na niestawienie się w miejscu pracy zostałem zwolniony.

Praca w Finlandii w sezonie 1969/1970 była wyjątkowo owocna, gdyż uczniowie nasi zajmowali coraz wyższe lokaty na zawodach międzynarodowych. Punktem kulminacyjnym były mistrzostwa Skandynawii juniorów, w których w reprezentacji Finlandii znalazły się zawodniczki w wieku 11-14 lat, nie posiadające doświadczenia w zakresie startów w zawodach międzynarodowych. Była to najmłodsza ekipa, gdyż łyżwiarki z Danii, Norwegii i Szwecji były przeważnie w wieku 14-19 lat. Być może dlatego, **Prezydent Związku Łyżwiarstwa Figurowego Finlandii p. A. Errko (wydawca kilku gazet i jeden z najbogatszych ludzi w tym kraju)** kiedy zapytał mnie o szanse i usłyszał opinię, iż co najmniej jedna z naszych zawodniczek zdobędzie medal, a pozostałe cztery zmieszczą się w pierwszej dziesiątce, skwitował tę prognozę stwierdzeniem: *„Polacy są optymistami, a Finowie pesymistami”*. Po jeździe obowiązkowej reprezentantki Finlandii zajmowały czołowe lokaty. Zebrała się komisja sędziowska stwierdzając, iż idea tych zawodów straci sens, jeśli wyjątkowo młode zawodniczki jednego kraju zdobędą wszystkie medale. Od tego momentu zawodniczki Finlandii znalazły się pod szczególnie wnikliwą obserwacją. Zapewne dlatego prezydent ZŁFF był niezwykle zaskoczony, gdy spełniły się moje prognozy. Wypiął z klapy swojej marynarki odznaczenie za wyjątkowe osiągnięcia dla Związku Łyżwiarstwa Figurowego Finlandii i wręczając mi je powiedział: **”Pan na to odznaczenie zasłużył bardziej niż ja”**. Później, w Helsinkach zorganizował ekskluzywne przyjęcie, podczas którego wręczył mi złote spinki do koszuli z perłami, a mojej żonie Tatianie złote kolczyki z brylantami.

Już podczas tych mistrzostw Skandynawii, z uwagi na zaskakujące i szybkie postępy łyżwiarek Finlandii zaczęły się targi delegacji różnych krajów o zaangażowanie nas do pracy. Po kolei przychodziły do nas delegacje poszczególnych krajów, proponując coraz wyższe wynagrodzenie. **W tym specyficznym przetargu wygrała delegacja Danii, proponując 5-letni kontrakt dla mnie**

i mojej żony, znacznie wyższy aniżeli dotychczasowy w Finlandii. Niestety, kontraktu nie udało się zrealizować mimo włączenia się ambasady tego kraju, bo odmówiono mi wydania paszportu „ze względów społecznych”. Jaką rolę w odmowie tej miał fakt zerwania stosunków Polski z Danią z uwagi na odmowę wydania młodego człowieka, który na kajaku przyплыł na wyspę Bornholm i w ten niebezpieczny sposób „wybrał wolność”. Dostrzegając złożoność sytuacji mojej rodziny odwiedziłem poprzednie miejsce pracy. Na moje pytanie odnośnie recenzji mojej habilitacji rektor AWF odpowiedział, iż „*istnieje zwyczaj nie posyłania do recenzji pracy, której autora nie ma w kraju*”. Dowiedziałem się jednocześnie, że zwyczaj ten nie ma regulacji prawnej, a więc chyba zależał od rektora. Ponadto, „*wypchnięto mnie z kolejki*” osób pretendujących na publikację habilitacji w warszawskiej AWF. W tej sytuacji trzeba było nie tylko pozostać w kraju, ale też podjąć jakąś pracę. Ale gdzie, skoro stałem się „*czarną owcą*” i „*klaniałem się dolarom?*”

Nie mając lepszego wyjścia zostałem społecznym trenerem łyżwiarstwa figurowego w CWKS „*Legia*”, gdzie przez 7 miesięcy szkoliłem zawodników, wśród których była m.in. córka sławnego trenera piłki nożnej, K. Górskiego – Urszula. Później zaangażował mnie K.S. „*Warszawianka*” i RKS „*Marymont*” do szkolenia par sportowych. Moi uczniowie zdobywali coraz wyższe klasy sportowe i odnosili dość znaczne sukcesy na zawodach krajowych (mistrzostwo i wicemistrzostwo Polski juniorów), jak też międzynarodowych. Tymczasem szukałem wydawcy mojej pracy habilitacyjnej. W końcu, pojawiła się taka możliwość w Wydawnictwie „*Sport i Turystyka*” w 1974, które zaczęło publikować serię monografii naukowych. Ale od złożenia pracy o objętości 350 stron u rektora AWF minęło 5 lat. Warunkiem publikacji było jej skrócenie do 200 stron, a więc niemal o połowę. Zmieszczenie się w tym limicie i zachowanie merytorycznej wartości było niezwykle złożone. Wymagało to wyjątkowo skrótovej prezentacji obszernego materiału badawczego. To wtedy nauczyłem się wyjątkowej oszczędności w ujmowaniu faktów w słowa. Najpierw skracałem całe podrozdziały, później zdania, a w końcu słowa. Wtedy nauczyłem się wybierać najkrótsze synonimy słów. Dlatego w habilitacji mojej nie ma słowa „*także*”, a jest przeważnie „*też*”, bo to drugie ma trzy litery, a więc o dwie litery mniej. W tej pasji skracania doszedłem do dość dużej dyscypliny słowa, ale jednocześnie zdawałem sobie sprawę z tego, iż praca znacznie ubożeje i może nie odpowiadać wymaganiom, stawianym pracy habilitacyjnej. Po roku praca była gotowa do druku i została opublikowana. Był więc powód do otwarcia przewodu. Odważyłem się wykonać ten krok, mimo iż dziekanem Wydziału był mój były szef, z którym byliśmy „*prawie na ścieżce wojennej*”. Doszedłem bowiem do przekonania, że Kipling miał rację twierdząc: „**świat do odważnych należy**”.

Ze zdumieniem przyjąłem wiadomość o dość szybkim otwarciu przewodu (3.06.1975). Może dlatego, iż **moją przyszłą habilitację wydano w 6,5 tys.**

egzemplarzy i dość szybko sprzedano cały jej nakład. Było to wtedy i pozostało do dziś ewenementem nie tylko na miarę naszego kraju, gdyż habilitacje publikuje się w 250-300 egzemplarzach. Przed wydaniem oceniło ją 4 recenzentów, a później wysłano ją do trzech następnych, przy czym wyłącznie fizjologów (prof. prof. S. Kozłowski, I. Malarecki, A. Handelsman). Kiedy nadeszły pozytywne recenzje przypomniano sobie, iż praca habilitacyjna posiada też aspekt psychologiczny. Dlatego, posłano ją do prof. **B. Hornowskiego, dyrektora Instytutu Psychologii Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu**. Wtedy te dodatkowe zabiegi obserwowałem w większym spokojem, bo nowy rektor warszawskiej AWF, doc. dr E. Wasilewski zatrudnił mnie od dnia 30.09.1975 r. w charakterze docenta kontraktowego, a jednocześnie powierzył obowiązki prodziekana ds. studiów zaocznych w Filii warszawskiej AWF w Białej Podlaskiej.



W. Starosta jako prodziekan ds. studiów zaocznych w Filii warszawskiej AWF w Białej Podlaskiej (siedzi pierwszy z lewej) podczas inauguracji roku akademickiego 1975/1976, prowadzi rektor doc. dr Erazm Wasilewski

Moja praca w Białej Podlaskiej

Tak zaczęła się moja wieloletnia przygoda z białą uczelnią, w której przyjęto mnie bardzo życzliwie, może dlatego, iż byłem „cennym nabytkiem”, gdyż pracował tam wtedy tylko jeden dr hab., ale medycyny. Mimo braku aparatury badawczej znalazłem tam bardzo dogodny grunt do realizacji moich

planów naukowych, jak też pełne zrozumienie wśród studentów i wykładowców. Wśród tych drugich był mój serdeczny przyjaciel, a jednocześnie niezapomniany, znakomity, i oryginalny naukowiec doc. dr **Bogdan Tuross**. Człowiek o wszechstronnych zainteresowaniach i niezwykle obszernej wiedzy nie tylko z medycyny sportowej. Miał poza sobą nie tylko studia medyczne, ale jeszcze Instytut Higieny Psychiczej, kierowany przez psychiatrę o światowej renomie prof. K. Dąbrowskiego.

Wykłady i ćwiczenia z teorii sportu

W białskiej uczelni zacząłem prowadzić wykłady i ćwiczenia z teorii sportu. Podobno moje wykłady należały do ciekawych. Zaczynałem je punktualnie. Czasami niektórzy studenci przychodzili na nie z niewielkim opóźnieniem. Dlatego, wprowadziłem zwyczaj wchodzenia jako ostatni i zamykania na klucz sali od wewnątrz, zapewniając sobie i studentom możliwość lepszego skupienia się na treści wykładów. Zaowocowało to wzmożoną frekwencją i punktualnością studentów. Z perspektywy wielu lat, szczególnie ćwiczenia wspominam z wyjątkowym sentymentem. Były one obfite w bezpośrednie kontakty ze studentami i emocjonalne dyskusje. Poziom tych zajęć był wyjątkowo wysoki, bo **w małym stopniu liczyła się obecność, a znacznie większym aktywność. Im większa aktywność, tym wyższa ocena.** Przyczyną dużej efektywności tych zajęć był fakt, iż ćwiczenia prowadził wyznaczony przez pedagoga student (nie było wcześniej wiadomo, kto dostąpi tego zaszczytu) według wcześniej przygotowanych tez. On też kierował dyskusją, udzielał głosu, a na koniec zajęć proponował ocenę dla dyskutujących studentów. Ostateczna ocena powstawała często w oparciu o konsensus między studentem prowadzącym ćwiczenia a pedagogami. **Ocenę bardzo dobrą można było wystawić jedynie studentowi, prezentującemu dane, nieznane pedagogom i opublikowane przeważnie w j. obcym.** Ocenie podlegała nie tylko treść, ale też sposób jej prezentacji. W każdych ćwiczeniach uczestniczyłem ja i mój asystent (jednym z nich był mgr J. Bergier, obecnie profesor i senator). My stanowiliśmy „*punkt kontrolny*”, tj. osoby, które **oceniały poszczególne wystąpienia, uzupełniały przekazywane fakty, poprawiały wypowiedzi dyskutantów, w końcu oceniały wspólnie z grupą studentów osobę prowadzącą.** Zadanie to zmuszało do pełnej koncentracji uwagi i bieżącej rejestracji treści wypowiedzi poszczególnych studentów. Większość wypowiedzi podczas ćwiczeń miała charakter emocjonalny, gdyż **uzyskanie wysokich ocen na licznych zajęciach upoważniało do zwolnienia z części lub z całego egzaminu.** Mała liczba pozytywnych ocen była przeszkodą w zaliczeniu przedmiotu. **Zaangażowanie w opanowanie teorii sportu było ogromne, jakiego już później nie udało mi się osiągnąć w żadnej innej uczelni (ówczesni „trójkowicze” uzyskaliby obecnie oceny bardzo dobre).** Zajęcia te dostarczały dużej satysfakcji studentom i prowadzą-

cym, a ich nie reglamentowany charakter w pełni odpowiadał aktualnym obecnie zasadom wolności i demokracji. Kto pamięta lub zna ówczesną rzeczywistość i zwyczaje panujące wtedy na uczelniach może się dziwić, iż działo się to w latach 1975/1979.

Wysoki poziom ćwiczeń z teorii i metodyki sportu przenosił się też na prace seminaryjne i magisterskie. **Część ówczesnych prac seminaryjnych przypominała współczesne prace magisterskie.** Natomiast prace magisterskie, mimo braku nowoczesnej aparatury badawczej i komputerów przypominały te, które obecnie zaliczamy do dobrych, a nawet bardzo dobrych. Prawie wszystkie z nich należały do eksperymentalnych.

Habilitacja – koniec „drogi przez mękę”

W międzyczasie toczył się mój przewód habilitacyjny. W pewnym sensie był on wyjątkowy pod wieloma względami. Po pierwsze, recenzję wydawniczą monografii sporządziło czterech wybitnych profesorów-ekspertów w naukach o kulturze fizycznej, z których jeden pochodził z zagranicy. Po drugie, **habilitację ze szczególnym uwzględnieniem dorobku naukowego oceniało czterech profesorów, najlepszych w owym czasie ekspertów fizjologii i psychologii sportu.** Wszystkie recenzje były pozytywne, a niektóre nawet bardzo. Po trzecie, **wyznaczano mi pięć terminów obrony,** z których cztery odwołano w ostatniej chwili z różnych powodów (m.in. niemożności przyjazdu zagranicznego recenzenta – dotychczas mało znany ewenement, mgły panującej w Londynie i uniemożliwiającej start samolotu z jednym z recenzentów, poważnej choroby serca recenzenta). Nie wierząc w piąty z kolei termin prawie się nie przygotowałem. Po czwarte, **habilitację złożoną w połowie 1969 roku broniłem w kwietniu 1977 roku, a więc prawie po 8 latach. Ciekawe, iż po tylu latach nie straciła ona jeszcze aktualności.** Jedynie te cztery fakty, a było ich znacznie więcej, pasują do określenia „droga przez mękę”. Później te rozmaite niedogodności wynagrodzili mi studenci, którzy na drugi dzień po bardzo udanym kolokwium habilitacyjnym (jednomyślnym głosowaniu niezwykle rzadko spotykanym w warszawskim AWF-ie) w auli urządzili mi wielką uroczystość z odśpiewaniem „sto lat” włącznie.

Prodziekan studiów zaocznych

Moje prodziekańskie obowiązki starałem się wypełniać jak najlepiej. Studenci studiów zaocznych mogli do mnie przyjść o rozmaitych porach dnia, gdyż nie przestrzegałem wyznaczonych godzin przyjęć. Na początku mego urzędowania miało miejsce zabawne zdarzenie. Przyszedł student prosząc o przedłużenie terminu zdania jakiegoś egzaminu. Wyraziłem zgodę. Zdażyłem ją napisać na podaniu, a tu na moim biurku stoi butelka znakomitego koniaku. Oniemiałem. Odzyskując równowagę psychiczną, kazałem natych-

miast zabrać koniak i pokazałem studentowi drzwi. **Widocznie fakt ten został upowszechniony, bo już nigdy nie upokorzono mnie w ten sposób.** W owych czasach studenci studiów zaocznych stanowili specyficzną grupę. Prawie wszyscy mieli powyżej 30 lat i dość często liczne potomstwo. W stosunku do studentów studiów dziennych demonstrowali swoją dorosłość. M.in. poprzez korzystanie, czasami z wysoko procentowych trunków. Zorganizowałem specjalne zebranie i wytłumaczyłem im, iż wszystkich studentów, niezależnie od ich wieku, obowiązuje ten sam regulamin. Na drugi dzień spotkałem czterech studentów, ledwo trzymających się na nogach. Udzieliłem im nagany, a jej treść przesłaliśmy do miejsca pracy. Nie jestem pewny czy postąpiłem właściwie, ale efekt był piorunujący „skończyło się oficjalne pijaństwo”. Być może zaczęło się dyskretnie, jednak tego nie jestem pewny.

Mój pierwszy wykład inauguracyjny

Na początku roku akademickiego 1976/1977 spotkało mnie wyjątkowe wyróżnienie, gdyż powierzono mi wykład inauguracyjny. Wybrałem temat bliski memu sercu, któremu poświęciłem wiele lat badań, w tym doktorat i habilitację. Sformułowałem go tak, by był zrozumiały dla każdego: „**Znaczenie symetrii i asymetrii ruchów w wychowaniu fizycznym i sporcie**”. Jego pierwotną wersję dałem do przeczytania p. doc. dr. K. Czajkowskiemu. Bardzo mu się podobała, a niektóre fragmenty tekstu zaopatrzył uwagami „znakomite”. Byłem Mu wdzięczny za to „dodanie mi skrzydeł”.



Podczas inauguracji roku akad. 1976/1977 wykład przedstawił W. Starosta nt. „Znaczenie symetrii i asymetrii ruchów w wychowaniu fizycznym i sporcie”.

Wykładu tego z dużą uwagą wysłuchało sporo zaproszonych gości i wszyscy studenci studiów stacjonarnych. Wtedy panował zwyczaj obowiązkowego udziału wszystkich, a nie tylko studentów I roku.



Inauguracje roku akademickiego cieszyły się wyjątkową frekwencją (wśród widzów: doc. dr M. Niewiadomski, doc. dr W. Starosta i doc. dr J. Czapliski).

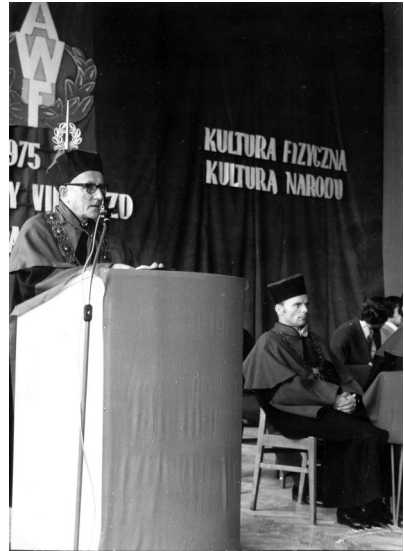
Podobno, po inauguracji jeszcze długo dyskutowano na podjęty przeze mnie temat wykładu, a niektórzy próbowali ocenić swoje umiejętności ruchowe uwzględniając ich stronne zróżnicowanie. Do dzisiaj żałuję, iż wykład ten prezentowałem bez materiału ilustracyjnego, ale wtedy urządzenia multimedialne były w sferze marzeń.

Dziekan doc. dr hab. K. Czajkowski

Wyjątkową postacią w tym niewielkim środowisku naukowym w białskiej uczelni wychowania fizycznego był doc. dr hab. Kazimierz Czajkowski.

Człowiek oryginalny pod wieloma względami, wszechstronny erudyta, niezwykle emocjonalny, pełen niesamowitego wigoru. Z wyjątkową fantazją pełnił obowiązki dziekana. Był bardzo życzliwy dla studentów. Podczas jednego ze specjalnych spotkań ze studentami udzielał świetnych odpowiedzi na liczne i czasami trudne pytania. A na końcu wszystkich zaskoczył znakomitą grą na fortepianie i niemal operową techniką śpiewu. Dlatego z ogromnym żalem

środowisko przyjęło wiadomość o jego bardzo poważnej chorobie. Odwiedziliśmy go w szpitalu i stosownie do opinii lekarzy, potraktowaliśmy nasze spotkanie jako ostatnie. Okazało się, że był człowiekiem twardym, potrafiącym walczyć o swoje życie. Kilka miesięcy po spotkaniu w szpitalu, powrócił do pracy i napisał, jak twierdził: „książkę swego życia”. Powrót jego był wyjątkowy. Akurat mieliśmy **wieczorne spotkanie dwóch studenckich kół naukowych funkcjonujących przy Zakładzie Medycyny Sportowej i Teorii Sportu**. Pierwszym kierował mój wielki i niezapomniany Przyjaciel, doc. B. Tuross, a drugim ja. Nasza przyjaźń przeniosła się też na studentów. Podczas tego spotkania, prócz picia owocowych herbatek dyskutowaliśmy na różne tematy. Nagle, niemal jak „*duch - zjawą*” pojawił się p. doc. K. Czajkowski. Oniemieliśmy z wrażenia, gdyż od dłuższego czasu nie docierały do nas dobre informacje o stanie Jego zdrowia. Sprawił nam swoją obecnością wyjątkową niespodziankę, ale jak przyznał i dla niego miało to spotkanie spore znaczenie, gdyż było ono pierwszym, po długim pobycie w szpitalu. Jeszcze przez 1,5 roku dzielnie walczył o swoje życie. Niestety, choroba okazała się silniejsza.



Podczas inauguracji roku akademickiego 1975/1976 przemawia dziekan doc. dr K. Czajkowski.

Dziekan z konieczności czy z przymusu?

Całe moje życie „*uciekałem*” od pełnienia eksponowanych funkcji, a tym bardziej dziekańskich. Ale nie było innego wyjścia. W sytuacji związanej z chorobą p. doc. K. Czajkowskiego z konieczności musiałem przejąć Jego dziekańskie obowiązki w trakcie roku akademickiego. Ale postawiłem warunek, by prodziekanem ds. naukowych został p. doc. **B. Tuross**, a studenckich p. doc. **Z. Danilkiewicz**. **W ten przypadkowy sposób cały zespół dziekański był bezpartyjny. W owych czasach było to ewenementem.** Nie zdawałem sobie sprawy z tego: *jak trudna czeka mnie praca?* Pracowałem wiele godzin dziennie. **Prawie pół roku poświęciłem na określenie: na jakim roku studiują poszczególne osoby?** Okazało się, że niektórzy z nich studiując na 3 lub 4 roku nie mają zdanych egzaminów z wcześniejszych lat studiów. Kiedy, postępując zgodnie z regulaminem studiów, zaproponowałem skreślenie 25 studentów, okazało się, iż nie jest to możliwe, bo ich rodzice zajmowali wysokie stanowiska i pomagali uczelni uzyskiwać różne materiały do budowy, m.in. ośrodka

sportów wodnych. **Nie wiem: czy byłem dobrym dziekanem, ale starałem się nim być?** Dlatego bardzo dotknęło mnie częste pomijanie mojej osoby w wyszczególnianiu dziekanów bialskiej uczelni w poszczególnych latach przez późniejszych kierowników, tym bardziej, iż nie korzystałem z przysługującego mi zmniejszonego limitu godzin. Wspomnienia uzupełnia fotografia z inauguracji roku akademickiego 1977/1978 potwierdzająca pełnienie tej funkcji w bialskiej uczelni. Ale dziekanem zostałem kilka miesięcy wcześniej niż od 01.10.1977-30.09.1979. Może już dłużej rozmaitego kalibru „*historycy*” nie będą zniekształcali rzeczywistości tej uczelni. Okres mojej pracy jako dziekana wspominam jako wypełniony do końca różnymi licznymi obowiązkami. Mam do dziś wyrzuty sumienia, iż permanentnie zaniedbywałem swoją rodzinę, odwiedzaną jedynie 2 lub 3 dni w tygodniu, mieszkającą w Warszawie. Męczyły nas wszystkich te ciągle rozstania i coraz bardziej uciążliwe dojazdy, podczas których często zabierałem do samochodu magistranta, poprawiając jego pracę.

Z mojego działania jako dziekana zapamiętałem kilka faktów.

1. Pierwszy z nich, dotyczył **dyrektyw z Komitetu Wojewódzkiego PZPR**. Mój poprzednik codziennie otrzymywał instrukcje odnośnie sposobu załatwienia konkretnych spraw. Dlatego był zdziwiony, kiedy opowiedziałem mu, iż miałem tylko jedną rozmowę z przedstawicielem tego Komitetu. Warto ją dokładnie opisać. W pierwszym dniu mego dziekańskiego urzędowania zadzwonił telefon, ze słuchawki wydobywały się krzyki i strofowanie. Odczekałem do momentu obniżenia emocji krzyczącego i w końcu usłyszałem pytanie „*co się tam u was dzieje?*”. Zapytałem: „*skąd Pan telefonuje i dlaczego krzyczy?*”. W odpowiedzi usłyszałem, iż telefonuje z Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Następnie odpowiedziałem, że u nas dzieje się bardzo wiele i zapytałem: „*co konkretnie Pana interesuje?*”. W odpowiedzi usłyszałem zapytanie: „*dlaczego piłkarz n nie zdał egzaminu z anatomii?*”. Odpowiedziałem, iż takie pytanie lepiej byłoby zadać piłkarzowi, a nie dziekanowi, który zajmuje się sprawami nie jednego, a setek studentów. A ponadto, nie należy do moich obowiązków wyjaśnianie przyczyn każdego nie zdanego egzaminu. Mój rozmówca wraz z upływem czasu rozmowy stawał się coraz spokojniejszy. Była to moja pierwsza i ostatnia rozmowa z nim.

2. Drugi dotyczył **wizyty pana z urzędu bezpieczeństwa**. Jego nie zapowiadana wizytę zgłosiła mi zdenerwowana i blada sekretarka. Poprosiłem, by poczekał 15 minut, gdyż jestem zajęty, a on nie uprzedził mnie o swojej wizycie. Po przywitaniu objaśnił mi, iż przydzielono mu opiekę nad białą uczelnią i mam mu zgłaszać wszystko, co mi się wyda za niewłaściwe. Objaśniłem mu, że to nie należy do moich, a do jego obowiązków i on ma mnie informować o wszystkim, co uzna za niezgodne z przepisami dotyczącymi prawidłowego funkcjonowania uczelni. Widocznie przejął się ustalonymi przeze mnie regułami gry, gdyż więcej go już nie widziałem.

3. Trzeci dotyczył uczestnictwa studentów w **pochodzie 1-majowym**. Dostrzeżono zbyt mierny udział studentów bialskiej uczelni i z moją pomocą próbowano z tego faktu „wyciągnąć konsekwencje”. Ludziom z Komitetu wydawało się, że jestem chętny, by to uczynić, ale sprawa „umarła śmiercią naturalną”, kiedy poprosiłem o podstawę prawną. Niektórzy studenci byli mi wdzięczni za tak skuteczną obronę.

4. Czwarty łączył się z **przyjęciem do uczelni studenta, wydalonego** z AWF w Krakowie za włamanie się do Zakładu Biomechaniki, połączonego z poprawieniem swojej oceny i kilku osób. Któregoś dnia przybiegła sekretarka prorektora wzywając mnie do telefonu, znajdującego się w gabinecie prorektora. Wchodząc zauważyłem, że prorektor stoi niemal „na baczność” i jest bardzo zdenerwowany. Oddając mi słuchawkę, gestem dał do zrozumienia, że mam załatwić sprawę pozytywnie. Wyjaśniło się, iż rozmawiam z Kierownikiem Wydziału Nauki Komitetu Centralnego PZPR. Wiedziałem, że kierownikiem był tam A. Werblan, którego znałem, bo jego córka była uczennicą prowadzonej przeze mnie w latach 1960-1966 Warszawskiej Szkoły Łyżwiarstwa AWF. Zapytałem więc, czy rozmawiam z p. Werblanem. Okazało się, iż z jego zastępcą. Sprawa dotyczyła przyjęcia do bialskiej uczelni studenta wyrzuconego z AWF w Krakowie. Stosownie do obowiązujących wtedy przepisów osoba wydalona z jednej uczelni może być przyjęta do drugiej po przedstawieniu pozytywnej opinii o pracy w okresie dwóch lat. Dlatego zapytałem mojego rozmówcę: *czy może mi przesłać na piśmie zmianę ustawy o szkolnictwie wyższym?* Zamiast odpowiedzi usłyszałem pytanie: *„czy taką zmianę dokonać może Komitet Wojewódzki?”*. Odpowiedziałem, że nie wiem. W czasie tej rozmowy prorektor czynił rozpaczliwe gesty, bym wreszcie zrozumiał, iż mam sprawę załatwić pozytywnie. Nie zrozumiałem i „cała sprawa się rypla”, bo zawisła w powietrzu prawnego porządku.

5. Piąty fakt był **wyjątkowy**. Siedząc w swoim gabinecie późnym popołudniem dostrzegłem przed Domem Studenta grupę osób, w niezwykle ożywiony sposób obserwującą dach gmachu uczelni. Pobiegłem na to miejsce i zobaczyłem studentkę, kilkakrotnie wykonującą rozbieg i zatrzymującą przed samym skrajem dachu. Poprosiłem trzech studentów, by weszli na dach i zatrzymali desperatkę. Kiedy zobaczyła ona posłanych studentów, ponownie wykonała rozbieg. Zamarłem z przerażenia, gdyż dopiero wtedy zrozumiałem, jakiego podjąłem się zadania, gdyby desperatka zeskoczyła. W końcu udało się studentkę siłą ściągnąć z dachu i zaprowadzić do mojego gabinetu, gdzie wspólnie z dziekanem ds. studenckich, a jednocześnie specjalistą psychiatrii p. doc. dr. B. Turosem dociekaliśmy przyczyn tego zachowania studentki. W trakcie naszych prób rozmowy z desperatką, nieoczekiwanie szybko wstała i bez naciśnięcia na klamkę otworzyła drzwi ciężarem swego ciała. Pobiegła z szaloną szybkością, chyba rekordową dla niej, do końca korytarza i uderzyła głową w wiszącą tam oszklona gablotę. Pokrwawioną, sprowadzono ponownie do

gabinetu, skąd zabrała ją wcześniej zamówiona karetka pogotowia. Później wyjaśniło się, iż pracowała całą noc jako kelnerka i będąc skrajnie zmęczona wypila kieliszek wódki, który wywołał wcześniej ukrywaną chorobę. Całe zdarzenie miało prawie bajkowe zakończenie, gdyż studentka ta powróciła na uczelnię i pomyślnie zakończyła studia. Głęboko wyryty jego ślad pozostał mi na długie lata.

6. Szósty dotyczył **mojej aktywności ruchowej**. Zdarzenie miało miejsce podczas zorganizowanego przez studentów specjalizujących się w rekreacji, turnieju w polską grę dla każdego – ringo z okazji tygodnia kultury fizycznej. Postawione blisko uczelni boisko do gry w ringo przyciągnęło wielu studentów i mieszkańców Białej Podlaskiej. Byłem obserwatorem kilku spotkań. W końcu nie wytrzymałem i chęć współzawodnictwa wzięła górę. Chwilowy przypływ energii i odwagi sprawił, iż zaproponowałem rozegranie meczu najlepszemu studentowi uczelni. Obecni na zawodach wyznaczyli przewodniczącego SZSP, bardzo sprawnego studenta, licząc zapewne na zdecydowaną przewagę. Nie byłem w tej polskiej grze sportowej nowicjuszem, gdyż połąkłem bakcyła zaszczepionego mi przez autora i niezmordowanego propagatora ringo, red. mgra **W. Strzyżewskiego**, z którym stoczyłem wiele, przeważnie przegranych pojedynków. Miałem więc pewną przewagę nad studentem. Ale różnica wieku obu zawodników była znaczna i przewidywać można było różny wynik walki. Wylosowałem pierwszeństwo wykonania serii serwisowej. Zdobyłem trzy punkty, które dodały mi skrzydeł i uzmysłowiły możliwość toczenia równorzędnej walki. Pełne zaskoczenie wywołały kolejne zdobyte przeze mnie punkty. Ostatecznie mecz zakończył się wysoką wygraną, może zbyt odważnego i nietypowego dziekana, tj. 15 : 4. Później studenci tejże specjalizacji wymyślili nowy rodzaj tej polskiej gry sportowej **lodoringo**, w której zawodnicy obu drużyn poruszali się po lodowym boisku na łyżwach, stosując charakterystyczne dla ringo przepisy.

7. Wypełniając obowiązki dziekana, wizytowałem zajęcia prowadzone przez różnych pracowników uczelni. Z ogromnym zainteresowaniem wysłuchałem wykładu p. doc. dra B. Turowsa, połączonego z eksperymentem na studentach. Jednak, największe wrażenie zrobiły na mnie zajęcia z gimnastyki prowadzone przez jednego z asystentów. Nie wiadomo dlaczego, zastosował on metodę „*żelaznej dyscypliny*”, w ramach której studenci część zajęć stali na baczność, podczas kiedy prowadzący, stojąc w szerokim rozkroku, trzymając ręce w pozycji „*niemal nazistowskiej*”, wydawał rozkazy. W pierwszym momencie nie wiedziałem, o co tu chodzi. Po zajęciach poprosiłem go do siebie i tłumaczyłem, iż podczas każdych zajęć niezależnie od prowadzonego przedmiotu trzeba być przede wszystkim pedagogiem poważnie traktującym studentów. Chyba zrozumiał, co potwierdziły późniejsze moje wizytacje.

8. Właśnie w Białej Podlaskiej dotarła do mnie wiadomość, oznajmijająca fakt, który zaważył na moim całym życiu i życiu nie tylko Polaków. Jadąc

taksówką z dworca kolejowego (16.10.1978), w pewnym momencie z włączonego radia usłyszałem niewiarygodną wiadomość: **polski kardynał Karol Wojtyła został papieżem!** Wiadomość tę podał spiker bez szczególnego entuzjazmu, dlatego zapytałem taksówkarza: *czy słyszał to samo co ja?* **Wsiadałem do taksówki jako inny człowiek, a wysiadałem z niej zmieniony, taki jakby wyrosły mi skrzydła, chociaż nie uświadamiałem sobie w pełni skutków tego faktu.** Miał on ogromne znaczenie dla życia codziennego nawet w niewielkiej wtedy uczelni wychowania fizycznego w Białej Podlaskiej. Podam tylko jeden fakt, w dniu pierwszej pielgrzymki papieża Jana Pawła II w Polsce (1979) w uczelni wyznaczono ważne spotkanie partyjne, w którym uczestniczyć miałem jako samodzielny pracownik naukowy. Czas zebrania pokrywał się z transmisją telewizyjną. **Większość uczestników zebrania zdecydowała o oglądaniu transmisji, po której wrażenie było tak wielkie, iż zebranie zaplanowane z bogatym programem zakończyło się wyjątkowo szybko, bo ranga tego, o czym mieliśmy dyskutować w stosunku do tego, co powiedział papież była zbyt przyziemna.**

9. Nie mogę pominąć faktu, niejako podsumowującego moje funkcjonowanie jako dziekana. **W opinii, nie tylko władz uczelnianych, dobrze wywiązałem się ze swoich obowiązków i byłem najlepszym kandydatem na następną kadencję.** Dla zatwierdzenia tej kandydatury poświęcono znaczną część posiedzenia Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Opiniowanie to odbyło się w mojej obecności. Przegłosowano wniosek zatwierdzający moją kandydaturę. Po czym, pozwoliłem sobie na rzecz wyjątkową stwierdzając, iż **nikt do tej pory nie zapytał mnie o zgodę** i szkoda było straconego czasu, bowiem przed wejściem na salę obrad złożyłem u sekretarki pismo o przeniesienie mnie do pracy w Instytucie Sportu w Warszawie. Miałem w nim kierować bardzo ważnym **Zakładem Selekcji Sportowej.** Konsternacja obecnych była ogromna, ale sprowadzała się do tego głównie: **„jak śmiałem nie zgodzić się z decyzją wszechwiedzącej partii?”** Później, podczas spotkania z ówczesnym I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego otrzymałem ofertę uzyskania mieszkania, samochodu itp. Ale wtedy wszystko to już miałem i propozycja była nietrafiona. Od tej pory stałem się *„czarną owcą”*, której zgodę na przeniesienie do innej pracy wyrażono dopiero po roku. Nie miałem łatwego życia, ale jako przetrzymałem ten trudny okres z godnością. Moje osiągnięcia w pracy naukowej ze studentami – członkami SKN Teorii Sportu dostrzegła jednak **młodzież, która w imieniu Komisji Nauki SZSP wręczyła mi po kryjomu specjalny dyplom.** Już jako pracownik Instytutu Sportu w Warszawie długo toczyłem boje o wydanie mi przez AWF w Warszawie i Filię w Białej Podlaskiej opinii, adekwatnej do mojej aktywności naukowej i organizacyjnej. Jeszcze przez wiele lat zbierałem owoce zaliczenia mnie do grupy *„czarnych owiec”*, ale wtedy było to normalne, z czym nigdy się nie zgodziłem.

Studenckie Koła Naukowe w Białej Podlaskiej

Niemal od pierwszych dni pracy w białskiej uczelni moje zainteresowania skierowałem na pracę naukową. Motorem mojej wzmożonej aktywności w tym zakresie był niezapomniany Przyjaciel doc. B. Turowski. Prowadził On już **Studenckie Koło Naukowe Medycyny Sportowej** i chyba dla zwiększenia aktywności jego członków potrzebował konkurencję, a taką według jego oceny stanowić mogło SKN **Teorii Sportu**. Wkrótce ono powstało i od tej pory zaczęły się wspólne spotkania członków obu Kół. **Były to spotkania trochę wzorowane na greckich filozofach (m.in. Platonie i Sokratesie), a więc mało sformalizowane pod wieloma względami**, np., dyskusja podczas wielokrotnego okrążania stadionu lekkoatletycznego lub wieczoru przy świecach, połączonego z pićm herbat z rozmaitych ziół itp. **Podczas tych spotkań studenci byli traktowani jak pełnoprawni partnerzy bez zachowywania dystansu między prowadzącymi a członkami SKN**. Warunki te sprzyjały przejawianiu aktywności „szarych komórek” obu stron. Mimo braku aparatury badawczej udało się w krótkim czasie przygotować kilka ciekawych prac eksperymentalnych wysoko ocenionych podczas II Uczelnianej Konferencji organizowanej 24.04 1976 r. Była to specyficzna „rozgrzewka” przed XII Ogólnopolską Konferencją SNK zorganizowaną w dniach 7-9 maja 1976 r. przez Filię AWF Biała Podlaska w Serpelicach.



Ciekawe, że logiem obu konferencji był słynny rysunek Leonardo da Vinci, chyba zapożyczony z okładki mojej habilitacji. Niespodziewanie nie tylko dla organizatorów dotychczas mało znani członkowie obu Kół z Białej Podlaskiej stali się rewelacją i stanowili czołówkę, zajmując wysokie lokaty w rozmaitych sekcjach. Wśród tych najlepszych byli członkowie obu Kół m.in. **K. Szychowski, W. Świątek, M. Żmigrodzka, A. Ziarko, R. Łęcki, L. Kleszowski, K. Zimnicki, T. Plizga, Z. Sieczko, S. Jachimczuk**.

Serpelice XII Ogólnopolska Konferencja Studenckich Kół Naukowych. Stoją od lewej dr Danuta Nałęcka, W. Świątek, K. Szychowski, W. Starosta, Tatiana Starosta, studentka

Rangę tej konferencji podniosła obecność, znanego już wtedy reżysera **K. Zanussiego** i wielogodzinna z nim dyskusja. Podobno zainspirowała Go ona do napisania scenariusza do filmu pt. **„Barwy ochronne”** krytykującego **feudalne stosunki panujące w polskich wyższych uczelniach**. Sukcesem zakończyło się także uczestnictwo naszych studentów w I Europejskiej Konferencji Naukowej Studentów zorganizowanej we Wrocławiu w 1976 r., jak też wystąpienie w tymże roku ze współautorską pracą K. Szychowskiego na Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej z teorii sportu w Poznaniu. Poszerzona wersja tej pracy opublikowana została w miesięczniku *„Sport Wyczynowy”*. Na tejże konferencji wyjątkową prezentacją *„błysnęła”* T. Plizga, która pracę na temat znaczenia lęku w wychowaniu fizycznym i sporcie, trwającą ponad 20 minut *„wygłosiła z głowy”*. Do *„żelaznych reguł”* należało wtedy przygotowanie przez wszystkich członków białskich SKN znakomitych prac magisterskich, niektórzy zostali asystentami (np. W. Świątek, K. Szychowski), a część z nich uczestniczyła później w prowadzonych przeze mnie w Instytucie Sportu w Warszawie seminariach doktorskich. Na wyróżnienie zasłużyła jedna wspólna praca magisterska przygotowana przez R. Łęckiego i L. Kleszowskiego pt. **„Rzetelność testu koordynacji ruchowej W. Starosty”**, co też było pewną nowością w skostniałym systemie wyższych uczelni i chyba przejawem odwagi autora, poddającego swój test ocenie studentów.

Praca ta później była często cytowana np. w mojej monografii **„Globalna koordynacja ruchowa w wychowaniu fizycznym i sporcie”** (2006), jak też A. Ziarko dotycząca porównania wyników uzyskanych z pomocą mego testu z innymi testami skoczności (M. Radzińska, W. Starosta **„Znaczenie, rodzaje i struktura skoczności oraz jej uwarunkowania”**, 2002). **Oba moje testy otrzymały swą ostateczną postać właśnie w Białej Podlaskiej a później stały się popularne nie tylko w Polsce**, stanowiąc podstawę licznych prac magisterskich, doktorskich, habilitacyjnych oraz kilku obszernych monografii. Na podstawie zebranego z ich pomocą materiałów przygotowano ponad 100 prac eksperymentalnych, prezentowanych na licznych i prestiżowych międzynarodowych konferencjach naukowych w latach 1978-2006. **Znaczącą rolę w tym odegrała prostota pomiaru i bardzo wysoka rzetelność tych testów (0.94-0.99)**. Spory udział w przygotowaniu monografii R. Botwiny i W. Starosty: **„Mentalne wspomaganie sportowców”** (2002) miała T. Plizga, w niej znalazły się dwie jej prace, z których jedną przygotowała jeszcze podczas studiów.

Wizyty wybitnych osób w białskiej uczelni

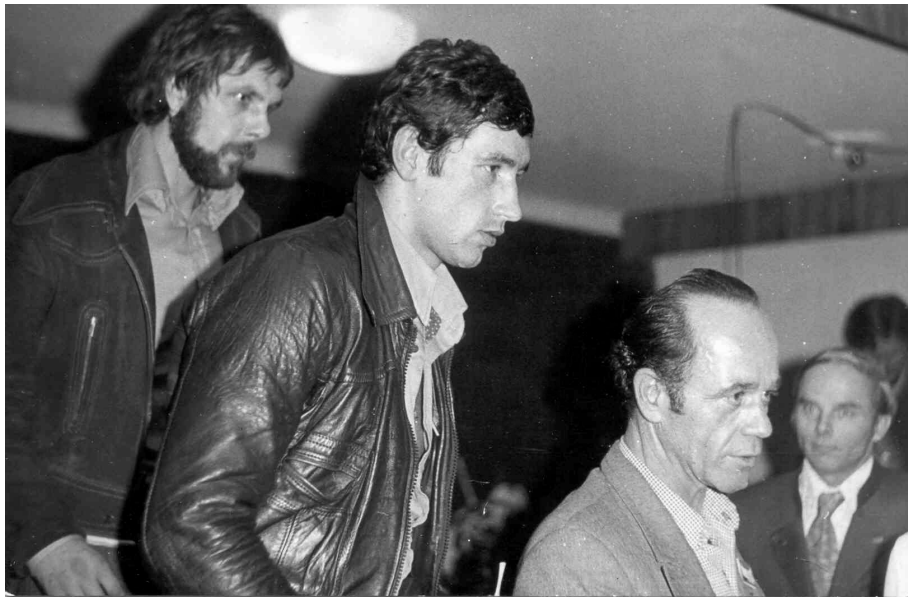
Członkowie SKN Teorii Sportu w ramach uzupełniania swej wiedzy, m.in. z teorii i metodyki sportu sporadycznie organizowali spotkania z wybitnymi osobistościami. Wyjątkowy przebieg miało spotkanie z p. **Z. Zabierzowskim trenerem dwukrotnego mistrza igrzysk olimpijskich, kubańskiego biegacza Alberto Juantoreny**.



Spotkanie z trenerem Z. Zabierzowskim – wychowawcą dwukrotnego mistrza olimpijskiego Alberto Juantoreny (na 400 i 800m)

Pan Zabierzowski ciekawie opowiadał o swoim uczniu i detalach jego treningu. Niemal sensacyjnie brzmiała informacja, iż A. Juantorena trenował trzy razy w tygodniu po 90 minut, a więc z obciążeniem stanowiącym niecałe 50% tego czasu, który stosowano wobec jego konkurentów. Jednocześnie trening ten charakteryzowała niewyobrażalna na owe czasy intensywność. Interesujące były też niemal przyjacielskie stosunki panujące między trenerem i zawodnikiem. Częste wizyty zawodnika u trenera łączyły się z „opróżnianiem” lodówki trenera, którego jako obcokrajowca lepiej zaopatrywano w żywność niż jego ucznia. Oryginalnie brzmiała też informacja o tym, iż Z. Zabierzowski **przed każdym treningiem pytał zawodnika o jego samopoczucie i w zależności od niego programował objętość i intensywność obciążenia treningowego**. Te i inne fakty z tego spotkania ujęte zostały w monografii przygotowanej wspólnie z wybitnym psychologiem rosyjskim prof. **A.C. Punim** pt. **„Psychologiczne przygotowanie w sportach niewymiernych”** [1979], która z znacznej części powstała w Białej Podlaskiej. Spotkanie z p. Zabierzowskim trwało ponad 4 godziny i nie wyczerpało zbioru pytań wcześniej przygotowanych przez studentów. Sporą część pytań zadano Mu podczas odprowadzania do pociągu. Przed samym odjazdem p. Zabierzowski stwierdził krótko: **„Było to najciekawsze spotkanie mego życia”**. Oznaczało to dla nas bardzo wiele, a konkrety z tego spotkania pojawiały się często podczas kolejnych ćwiczeń z teorii i metodyki sportu.

Inny, ale niemniej ciekawy przebieg miało spotkanie z **mistrzem igrzysk olimpijskich w siatkówce Tomaszem Wójtowiczem**, który przyjechał ze swym ojcem.



Spotkanie z mistrzem igrzysk olimpijskich w siatkówce. Od lewej Zbigniew Sieczko, Tomasz Wójtowicz, ojciec mistrza, Włodzimierz Starosta.

Studenci szczegółowo pytali o treść treningu, stosowanego przez „**kata**” **H. Wagnera**. Konkluzją tego spotkania było stwierdzenie, iż w **życiu nie osiąga się nic za darmo, a każdemu sukcesowi towarzyszy ogromna praca poparta określonym poziomem zdolności motorycznych**. Droga naszych siatkarzy do złotego medalu opisana została szczegółowo w pracy magisterskiej **Z. Sieczko** w oparciu o szczegółowe wywiady ze wszystkimi zawodnikami, lekarzami, fizjoterapeutami. Praca pt. „**Próba oceny przygotowań reprezentacji do Igrzysk Olimpijskich w Montrealu**” wywołała duże zainteresowanie wśród ekspertów siatkówki. Spodobała się też **H. Wagnerowi**, który był jej oficjalnym recenzentem (ocenił na bardzo dobrze) i przyjechał do Białej na jej obronę. Obronie tej towarzyszyła ekipa telewizyjna. Później p. mgr **Sieczko** został asystentem **H. Wagnera**.

Miało się odbyć jeszcze jedno spotkanie ze **sławnym aktorem D. Olbrychskim**, moim byłym uczniem. Niestety, w ostatnim momencie otrzymaliśmy informację, iż podpisał on listę Komitetu Obrony Robotników i ma zakaz opuszczania miejsca zamieszkania.

Atmosferę tamtych czasów przywołują poniższe fotografie.



*Spotkanie wigilijne ze studentami
w ograniczonym składzie m.in.
W. Starosta i A. Olszowski.*



*Kierownictwo uczelni podczas obserwacji zawodów sportowych
(W. Starosta, A. Olszowski).*



Do uczelnianego rytuału należało organizowanie tzw. narad zakrapianych wodą mineralną i oranżadą, z których niewiele wynikało, ale z obowiązkową obecnością.



Podczas inauguracji roku akademickiego w warszawskiej AWF W. Starosta wręczył dyplom doktorski swojemu wychowankowi A. Głazowi.

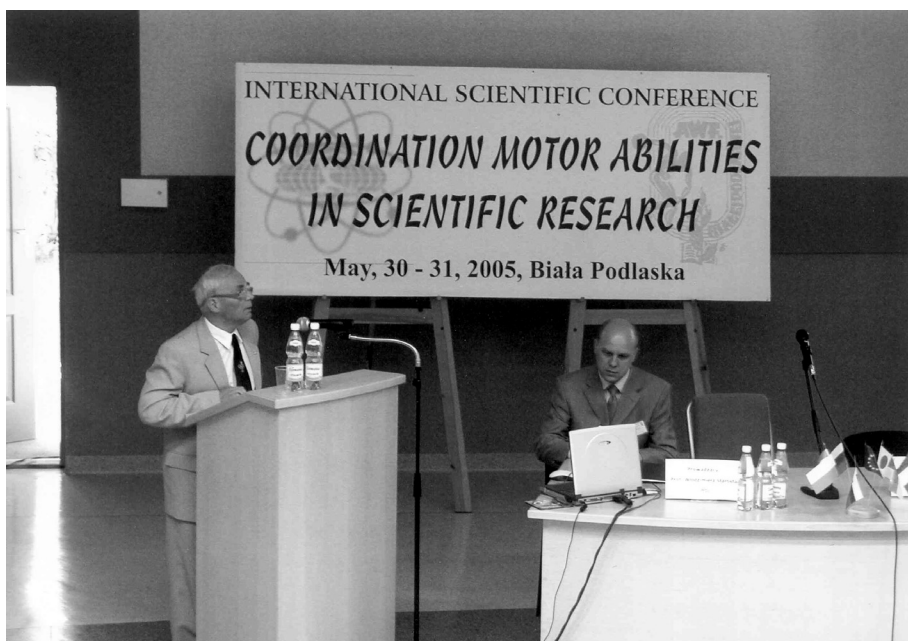


Po raz pierwszy doc. dr hab. W. Starosta jako dziekan Filii warszawskiej AWF w Białej Podlaskiej miał okazję przeprowadzić immatrykulację i nagrodzić wyróżniających się studentów.



Moje kontakty z białską uczelnią w późniejszych latach

Kontakt mój z białską uczelnią w późniejszych latach nie zanikał nigdy. Przejawiał się on w rozmaitej postaci. Miał on zarówno nieformalny, jak też formalny charakter. Dotyczył udziału niemal we wszystkich konferencjach organizowanych w Białej, jak też we wspomaganiu ich organizacji. **Np. w latach 1995, 1998, 2005 i 2008 odbyły się cztery cykliczne międzynarodowe konferencje naukowe dotyczące przejawiania się koordynacji ruchowej w rozmaitych dyscyplinach sportu. Wszystkie odbyły się pod auspicjami Międzynarodowego Stowarzyszenia Motoryki Sportowej, a ich głównym organizatorem był prof. J. Sadowski.** Dotyczyły one niezwykle ważnego problemu – koordynacji ruchowej, najpierw w grach zespołowych, później jeszcze w sportach walki, a dwie ostatnie ujmowały ten problem w oparciu o wyniki badań zawodników różnych dyscyplin sportu.



Jedna z konferencji naukowych

Moje kontakty z białską uczelnią miały też bardziej formalny charakter kiedy namówiono mnie do ponownego podjęcia pracy w latach 1993-1995. Wtedy prowadziłem wykłady z teorii sportu, konwersatoria z wybranej przez studentów problematyki i seminaria magisterskie. Był to dla mnie bardzo trudny okres, gdyż wtedy pracowałem w **Instytucie Sportu w Warszawie**

kierując Zakładem Kinezylogii Sportu i w AWF Poznań – Gorzów Wlkp., gdzie „sterowałem” wyjątkowo liczną Katedrą Motoryki Sportowej (45 osób). Uwzględniając moją stałą obecność na posiedzeniach Rady Wydziału w Poznaniu i wrodzone poczucie obowiązku wymagało to znacznego wysiłku psychomotorycznego. Co więcej, w Białej zatrudniono mnie pomyłkowo jako profesora nadzwyczajnego (tytułarnym zostałem w 1990 roku) i całe wynagrodzenie oddawałem na podatek. Stąd kontynuowanie pracy w Białej przez stosunkowo długi okres było raczej podyktowane sentymentem do osób i miejsca pracy, któremu oddałem łącznie prawie 8 najlepszych lat mego życia.

Podsumowanie

Jak wynika z przedstawionych faktów, w różny sposób związany byłem (ponad 7 lat formalnie) i jestem w dalszym ciągu związany z uczelnią w Białej Podlaskiej, która w ostatnich latach niezwykle się „wzmocniła” pod wieloma względami: pracuje w niej wielu wybitnych uczonych – co zaowocowało **utworzeniem Zamiejscowego Wydziału, coraz więcej pracowników przygotowuje doktoraty i habilitacja, a studenci mogą korzystać z bardzo nowoczesnych obiektów sportowych, jak też prawie znakomitych warunków mieszkaniowych.** Nawet ze wspaniałej pływalni, która była marzeniem nie tylko b. dziekana doc. K. Czajkowskiego. **Uczelnia bialska stała się też ważnym w kraju ośrodkiem badań naukowych. Wydaje własne czasopismo w j. polskim i j. angielskim. Ogromna w tym zasługa wieloletniego prorektora a obecnie dziekana, prof. J. Sadowskiego oraz Jego zespołu.** To On docenił chyba jakieś moje zasługi dla uczelni organizując w 2008 r. wspaniałą uroczystość – **30-lecie uzyskania przeze mnie habilitacji,** która była pierwszą jaką uzyskał pracownik tej uczelni. Uczestniczyło w niej liczne grono pracowników różnych krajowych i zagranicznych uczelni.

Jednak **najbardziej wzruszające było spotkanie z moimi byłymi studentami, a szczególnie: T. Plizgą, T. Jaślikowską-Sadowską i M. Skrajnowskim.** Ten ostatni poświęcił mi srebrny medal zdobyty na mistrzostwach świata w podnoszeniu ciężarów. Nie wiem, czy na to zasłużyłem, ale największą nagrodą dla nauczyciela jest pamięć jego wychowanków. **Za pamięć i dostrzeżenie mego skromnego udziału w rozkwicie uczelni w Białej Podlaskiej, nie tylko przez zespół prof. J. Sadowskiego, ale także przez moich byłych wychowanków, z całego serca dziękuję! Z okazji 40-lecia życzę dalszego wspaniałego rozkwitu i ogromnych sukcesów jej pracownikom oraz absolwentom.**

Warszawa, dnia 23 stycznia 2009 r.



Uroczystość XXX-lecia uzyskania habilitacji



Z pamiętnika lekarki...

Służba zdrowia

WŁADZE uczelni zatrudniły mnie na stanowisko lekarza. Miałam objąć opieką studentów i personel dydaktyczny. Pierwszym gabinetem był mały pokój w suterenie uczelni, a wyposażeniem własne słuchawki lekarskie i aparat do mierzenia ciśnienia. Mimo tych trudnych warunków czułam się szczęśliwa, bo udało mi się wyrwać ze wsi (Janów Podlaski), gdzie, jak pisał Tuwim: „sąsiedzi tyją i głupieją”, a ja miałam ambicje naukowe.

Za radą pedla pana Piotra Białousa interweniowałam u dyrektora administracyjnego i otrzymałam na przychodnię pomieszczenia, znajdujące się na końcu korytarza w Domu Studenta.

Szybka adaptacja pozwoliła w krótkim czasie postawić służbę zdrowia na całkiem dobrym poziomie. Udało się urządzić gabinet stomatologiczny, ginekologiczny, zabiegowy, punkt laboratoryjny i dwie izolatki. Zakres pracy był szeroki. Poradnia sportowa 50% czasu powinna poświęcić na profilaktykę, ale z realizacją tego zadania, z wielu powodów było różnie. W zakresie obowiązków były badania okresowe studentów (dwa razy w roku), badania kandydatów na studia, zabezpieczenie zawodów sportowych, obozów zimowych i letnich. Kadra dydaktyczna objęta była opieką medyczną, a pracownicy administracyjni i rodziny należeli do przychodni rejonowych. W praktyce było inaczej. Wszyscy, w tym dzieci kadry, korzystali z usług przychodni, bo nie miałam sumienia wysyłać ich do rejonu, gdzie były długie kolejki do lekarzy.

Badania kandydatów na studia odbywały się wg specjalnej procedury przez komisję lekarską, w skład której wchodził: internista, chirurg, ginekolog,



*Ja i dyrektor administracyjny
Henryk Czarkowski*

laryngolog, okulista, neurolog i stomatolog. Komisję powoływała uczelnia, a badania odbywały się w przychodni FAWF. Każdy kandydat na studia wypełniał ankietę z oświadczeniem danych osobowych i chorób, które wcześniej przechodził. Kryteria zdolności na studia w AWF mieściły się w specjalnych przepisach (wytyczne Ministerstwa Zdrowia). Przy każdym badaniu specjalisty była ocena: zdolny, niezdolny, zdolny warunkowo. W tych warunkach było trochę humoru, gdy pojawiały się wpisy, np. ciąża – 5 miesięcy, ubytki zębowe (korzenie), wypełnione gumą do żucia itp. Internista oceniał wydolność po próbie wysiłkowej. Oświadczenia kandydatów czasem mijały się z prawdą, gdy w czasie studiów diagnozowano np. epilepsję.

Obozy sportowe letnie i zimowe medycznie zabezpieczali lekarz i pielęgniarka, pozostający w gotowości przez 24 godziny na dobę.

Rozgrywki sportowe zabezpieczał personel przychodni (personel średni oraz pielęgniarki zatrudnione na niepełnym etacie).

Szczególnie trudna sytuacja powstała w przychodni przy reformie administracyjnej województwa, gdy okazało się, że AWF nie może zatrudnić lekarzy na etaty nie dydaktyczne. Nasza radość z samodzielności przychodni zamieniła się w udrękę uzależnień od biurokratycznych przepisów publicznej służby zdrowia.

Najtrudniejszym czasem istnienia przychodni był stan wojenny, gdy w akademikach zakwaterowano batalion ZOMO. Pracę personelu przychodni oceniam wzorowo. Naszą dewizą było: „Salus egrati suprema lex” (zdrowie chorego najwyższą sprawą).



*Ja pomiędzy świetnymi
narciarzami Januszem
Wyciszkwiczem
i Józefem Starzyńskim*

Nietypowi pacjenci

Stan wojenny w Polsce to czas szczególny, także w Filii AWF; czas trudny także dla przychodni akademickiej. Decyzją władz „wyższych” akademiki wraz z przychodnią zajął batalion ZOMO (dla młodszych czytelników informacja – były to Zmilitaryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej, przyp. red.) Niedzielnny poranek (13 grudnia 1981), zwykle spokojny w moim domu, zakłócił telefon, który odebrał mój stary ojciec, informując, że o tej porze jestem z rodziną w kościele. W przychodni zastałam trzech wyższych wojskowych, z których jeden rozmawiał łamaną polszczyzną. Kierownictwo przychodni

objął medyk wojskowy, mnie wydzielono dwie godziny popołudniowe dla załatwienia spraw FAWF. Studenci zostali wykwaterowani z Domu Studenta, a miejsca w pokojach zajęli zomowcy, tak „urządzeni”, aby się nie znali. Moja pielęgniarka wielu z nich знаła, bo wcześniej pracowała w poliklinice MO. Wielu z nich kłaniało mi się, mimo że nosiłam znaczek Solidarności. Ja ich nie mogłam rozpoznać. Informacje „przeciekały” bardzo dyskretnie, bo każdy chory przychodził z „opiekunem”. Pod oknami DS płakały żony i matki. Powody i interwencje były różnego typu, np. żona rodzi, ktoś z rodziny umiera, krowy się ciela itp. Panowie wojskowi odpoczywali dobrze karmieni i pojeni i nikt nie mógł pomóc. Trzeba pamiętać, że zima była bardzo mroźna i dramaty się mnożyły. Doktor wojskowy chodził smutny i bezradny. Był lekarzem w wiejskim ośrodku w okolicy województwa, a dzięki szczególnym „znajomościom” ubrano go w mundur. Po kilku tygodniach poprosił, aby go zastąpić w niedzielę, bo chce odwiedzić swoją rodzinę. Nie mogłam mu odmówić. Nic się nie działo, tylko jeden wojskowy był w izolatce z bardzo silnymi bólami głowy. Odwiedziłam chorego stwierdzając, że jest bardzo cierpiący. Badania na „cito” wykazały nadmiar czerwonych krwinek tzw. czerwienicę. Byłam w trudnej sytuacji. Zadzwoiłam do dyżurnego lekarza wojewódzkiego w szpitalu, a ten odpowiedział: „Co mi zawracasz d... jakimś zomowcem – to nie moja sprawa”. Upierałam się, że młody człowiek jest chory, a jemu płacą za dyżury wojewódzkie po to, aby rozstrzygać w takich sprawach. Po wielu targach pogotowie ratunkowe zabrało go do szpitala, nie wiem gdzie. Po długim czasie od kolegi pacjenta dowiedziałam się, że brał udział w szturmowaniu Świdnika, a tam był alkohol i środki dopingujące. Taką cenę płacili też żołnierze.

Drugi pacjent to lekarz wojskowy. Jego cierpienia oprócz fizycznych były, według mojej diagnozy bardziej duchowe. Nie wolno mi zdradzać tajemnicy zawodowej, ale szczerze było mi go żal. Wyrwany ze swojego środowiska i ubrany w mundur czuł się nie swoje. Według późniejszych informacji sprzedał dom i zmienił miejsce zamieszkania. Za wszystko w życiu trzeba zapłacić – tylko cena jest różna. Tak jak bieda jest zawiniona i niezawiniona – tak i błędy życiowe. Ja za swoje niezawinione „zwiedziłam” Lublin, Warszawę, Białystok, aby w 1954 roku dostać się na Akademię Medyczną w Szczecinie, gdzie musiałam podpisać cyrograf, że ukończę studia w tym mieście i będę pracować na ziemi szczecińskiej.

Los mi sprzyjał, w 1954 roku była odwilż polityczna. Kierownik laboratorium w Warszawie, gdzie pracowałam jako przyuczona laborantka, psychologicznie mnie zdopingował, aby złożyć podanie do Ministra Zdrowia P. Stachulskiego. Audiencja u Ministra była o 22.00; przesłuchiwał nas, „wyrzutków” społeczeństwa, powstańców warszawskich i innych osobiście. Kazio – powstaniec, który ze mną pracował, zdawał na medycynę siedem razy i przyjęli go do Szczecina. Niestety zrezygnował, bo finanse rodzinne były bardzo skromne, a mieszkanie miał w Warszawie. Ze Szczecina się wyrwałam dzięki kłamstwu.

W 1956 roku wzięliśmy ślub, na który jechałam do Janowa Podlaskiego w dniach słynnych wydarzeń poznańskich. Stojąc na peronie w Poznaniu (przeładka ze Szczecina) słyszałam krzyki, strzały. Widziałam czołgi, rozbite kioski – myślałam, że „cud zdarza się tylko raz”. To był tytuł filmu, na którym byliśmy z przyjaciółkami żegnając się w Szczecinie.

Dziś jestem starym człowiekiem, ale całą historię życia „oglądam”, wspominam dziękując Panu Bogu za wszystko, a szczególnie za dobrych ludzi, którzy tak bardzo mi pomagali. Wśród nich pragnę wspomnieć dra Erazma Wasilewskiego, który mimo moich ideologicznych obciążeń zaakceptował moje przyjęcie do pracy w AWF.



Pewnie jakiś półmetek (13 października 1976 r.)



*Od lewej Henryk Lenart,
Sabina Troszczyńska, Barbara
Kapica, ja, Bożena Lenart*

Rozmowy „nie – kontrolowane”

Czasy PRL-u były trudne dla wielu obywateli, a dla mnie szczególnie. Od czasów szkolnych – a były to lata 50-te – byłam prześladowana. Rok 1952 (miałam siedemnaście lat) to moja matura – czas dyplomów, przodowników pracy i nauki. Wstęp na studia był bez egzaminów, ale nie dla wszystkich. Do mojej wzorowej matury doczepiano obowiązkową opinię: „nie zasługuje”. Przepraszam za ten historyczny wstęp.

Po rodzicach w genach odziedziczyłam logiczne myślenie, a wiara w Opatrzność Bożą towarzyszyła mi przez całe życie. Trudny czas PRL miał wielu ciekawych ludzi także w Filii AWF. Po 10-ciu latach „pokuty” na wsi zaczęłam pracę jako lekarz. Było to dla mnie szczęśliwe zrządzenie losu. Pierwszy człowiek, który odwiedził mnie na uczelni to Pan Piotr Białous, o którym pisałam już we wstępie moich wspomnień.

Rozmowa zapoznawcza z Panem Dziekanem Władysławem Romanowskim była bardzo przyjazna. Wyjaśnił mi, że są zastrzeżenie co do mojej osoby (padły słowa, co oni „chcą”), ale jestem przyjęta do pracy. Oprócz „uczących” byli też pracownicy administracyjni, asystenci i ich rodziny. Przychodnia w F AWF zmieniła lokal, rozwijała się. Powstał gabinet dentystryczny, punkt laboratoryjny, fizykoterapia, punkt zabiegowy i izolatki. Z biegiem czasu do pracy doszli „wąscy” specjaliści, zatrudnieni na warunkach mi nieznanych. W czasach rozwoju wzruszył mnie życzliwy zaopatrzeniowiec uczelni Pan Lalko, który kupował różną aparaturę pracownikom naukowym. Moje potrzeby były skromne, więc poprosiłam o jedno nożyce do zdejmowania gipsu. W krótkim okresie czasu otrzymałam dziesięć sztuk nożyc o długości 0,5m (po cichu dziewięć sztuk na rewers przekazałam na oddział chirurgiczny do szpitala). Następny zakup, ale już nie na naszą prośbę, to wielki nowoczesny jak na owe czasy wieloczynnościowy aparat Lancetron. Aparat zamówił dr med. Lucjan Bukała do małych zabiegów ginekologicznych. Żal ściskał mi serce przez wiele tygodni, tym bardziej że stał w przychodni nieużywany. Pracując od kilkunastu

lat w pogotowiu ratunkowym miałam stałe kontakty ze szpitalem. Podzieliłam swój żal z ordynatorem chirurgii dr. J. Kolasą i podjęłam ryzykowną decyzję przekazania aparatu na rewers na salę operacyjną oddziału chirurgii. Tym sposobem rozpoczęłam „wojnę” w uczelni, a właściwie władze administracyjne zaczęły awanturę. To nie były żarty...



Wśród przyjaciółek

Pogróżki, strachy i wszelkie zło padło na mnie. Wyjaśnienie, że nie oddałam, ale pożyczyłam na rewers nic nie pomogło. Wezwana do Dziekana J. Zielińskiego w atmosferze wzajemnej „wściekłości” zaproponowałam, aby Lancetron postawił sobie w gabinecie (przecież był własnością uczelni) i oglądał codziennie rano czy nie jest zakurzony. Groźba wyrzucenia mnie z pracy była realna, ale ja byłam wówczas pracownikiem szpitala w przychodni akademickiej F AWF. Burza w „szklance wody” skończyła się niczym. Aparat został na chirurgii. Piszę o tym, by pokazać, jak bogate pomysły miała władza za nasze polskie pieniądze. Takich i podobnych aparatów przeznaczonych do badań naukowych było w uczelni więcej.

Następną burzą była kontrola w przychodni przeprowadzana przez inspektora farmaceutycznego. Pierwszego dnia zastałam w przychodni zdenerwowaną moją wzorową pielęgniarkę p. Urszulę Kaliszuk niszczącą ampułki i tabletki leków, a obok siedzącego inspektora p. Romualda G. Pozycji do zniszczenia znalazł ponad trzydzieści, np. trzy tabletki aspiryny, pięć tabletek altacetu, dziesięć od bólu głowy itd. Leki te nie miały dat ważności, bo wróciły w torbach z obozów, które odbywały się w różnych warunkach klimatycznych. Leki pobieraliśmy z apteki szpitalnej. Oburzona kontrolą inspektora, pod nieobecność kierownika placówki poprosiłam o czytelny podpis pod protokołem i pieczętkę, której nie miał. Mgr G. zdenerwował się bardziej niż personel i zarzucił mi arogancję. Ja szukałam tylko logicznych racji. Kontrola była „nasłana”, tak to się wtedy nazywało. Napisałam skargę do dyrektora szpitala (mimo ostrzeżeń) na formę kontroli i znowu wygrałam. Takie były moje drobne szczęścia. Jako kierownik przychodni miałam nad sobą cztery władze: dyrektora szpitala wojewódzkiego, kierownika przychodni akademickich z Lublina dra Kozaka, konsultanta regionalnego medycyny sportowej z Białegostoku dra Ptaka, dyrektora administracyjnego F AWF. Praktycznie byłam niczyja – właściwie „cudzoziemka”.

Ludzie, którzy chcieli mnie wyrzucić mylili się; nie było skarg studentów, trenerów ani pracowników. Zarzuty władz F AWF dotyczy dużej ilości zwolnień lekarskich, szczególnie w okresie zaliczeń. Każdy lekarz sportowy wie, że kontuzje mnożą się, gdy student bądź zawodnik nie jest dobrze przygotowany i rozgrzany. Nie umiałam o tym przekonać władz uczelni. Podobno nazywano mnie „dobrą ciotką”, ale to mi nie przeszkadzało.

Pierwsze obozy zimowe

Bazą zimową uczelni matki, czyli AWF w Warszawie, naszej Filii w Białej Podlaskiej był Zieleniec. Uroczy zakątek w górach, gdzie było kilka domków rozsianych po obu stronach jedynej drogi. Każdy dom miał swoją nazwę. Największy, będący bazą studentów to „Straszny Dwór”, stary i piękny w zimie z sopłami lodu do ziemi. Ambulatorium zwykle mieściło się w „Białym Domku”, ale czad nas stamtąd „wykurzył”. Obok małego kościółka stał „Czerwony



Apel – zdający raport Stanisław Pawłowski, w szeregu od lewej: Grzegorz Tarantowicz, ja, Krystyna Zaręba i Mietek Zaręba-studenci, Andrzej Piasecki, Waldemar Nieleszczuk, Janusz Wyciszekwicz, Józef Starzyński, Tadeusz Żmirek

Kapturek” zarezerwowany dla kadry. Na nabożeństwa zjeżdżało się z góry na nartach, potem w stroju „obozowym” odwiedzało się świątynię.

Zima w Zieleńcu trwała długo, czasem do maja. Obok strażnicy WOP był ośrodek, gdzie narciarze szkolili komandosów. Wyciągi były skromne – słynny pan „wyciągowy” ze swoją żoną „żołnierką” chętnie użyczyli herbaty „po góralsku”. W tym roku wypadł nam karnawał w Zieleńcu. Pogoda była wspólna. Dzieci kadry jeździły z góry na płytkach PCV głowami na dół albo na ramionach przybranych „wujków”. Wieczory były długie i miłe towarzysko – sałatki z resztek świątecznych robiliśmy w kloszach od żarówek, bo nie mieliśmy naczyń. Słoneczny poranek nie wróżył nic złego, ale dobra widoczność dodawała odwagi narciarzom. Tym razem, na drodze naszego kolegi instruktora Rysia Kapicy stanął słup. Efekt – pogotowie – szpital – RTG – decyzja – operacja. Moja rozmowa z ordynatorem szpitala w Dusznikach była mało ciekawa. Odważny chirurg, który niedawno wrócił z zagranicy, miał dla mnie dwie propozycje: widząc młodą, upartą lekarzkę pytał wprost: „Czy chcesz dzisiaj spać ze mną?, bo tam, gdzie byłem tak się sprawy stawia”, po drugie „zaraz go będę operował”. Na obie propozycje odpowiedź brzmiała: Nie. Złamanie uda było skomplikowane. Poszkodowany to narciarz i tancerz. Moje skromne doświadczenie podpowiadało mi inne rozwiązanie. Ordynator demonstrował mi zdjęcia operowanych komandosów, a ja żądałam transportu do kliniki we Wrocławiu. Po wielu targach otrzymałam transport i bez problemu

przyjęto nas na oddział ortopedyczny. Rysio leżał kilka tygodni na wyciągu, aby złamane udo wróciło do swojej osi i zrosło się. Operacja zespolenia gwoździami nie dałaby tego efektu. Pacjent nie był zadowolony z takiego rozwiązania i długiego pobytu w klinice. Po powrocie z leczenia do Białej nie rozmawialiśmy na ten temat. Z ordynatorem z Dusznik na szczęście nie musiałam się już nigdy więcej spotykać.

Uroczy Zieleniec odwiedziłam po wielu latach ze swoimi wnukami. To był już inny świat, niespokojny, czasem niebezpieczny, pełen spalin – tylko żołnierz na granicy przy strażnicy wiernie trzymał straż.

Niespokojny Sylwester w górach – Duszniki Zdrój

W pierwszych latach istnienia uczelni na obozy letnie i zimowe wyjeżdżało się rodzinnie. Kadra była młoda, chętna do pracy; służba zdrowia czyli lekarz i pielęgniarka jechali na obóz z dużą skrzynią pełną bandaży i leków. Służyliśmy pierwszą pomocą przy anginach lub innych stanach zapalnych. Dotknięci chorobą studenci – zapaleni narciarze prosili, aby na pamiątkę robić im zastrzyki w linii slalomu. Tego roku (lata 70-te) administracja przegapiła rezerwacje noclegów w uroczym Zieleńcu. Oddalony o kilkanaście kilometrów od Dusznik Zieleniec to dawny ośrodek przygotowań olimpijskich (czasy okupacji) pełen falistych, łagodnych stoków, ciszy i specjalnego klimatu. Jedna droga prowadziła w górę obok strażnicy WOP-u i rezerwatu tundrowego w lesie, drugą zjeżdżało się w dół. Hotel w Dusznikach w centrum ryneczku rozwiązał problem noclegu i żywienia, lepsze to niż nic, a autokar zakładowy mieliśmy do dyspozycji. Dzień zapowiadał się normalnie chociaż 31-ego grudnia zajęcia skrócono, a wieczór miał być miły... Obiad w restauracji hotelowej jak co dzień oszukany w kaloriach przebiegał normalnie, ale lotem błyskawicy rozniosła się wiadomość, że nie ma kierownika obozu. Rozesłano wici na wszystkie strony (nie było przecież telefonów komórkowych), ale bez skutku. Mieszkaliśmy w małych pokojkach, obok kadry – na wieczór sylwestrowy zostały „rozważania” przy herbacie. Instruktor Kazio R., pogodny człowiek o czarnych błyszczących oczach uspokajał wszystkich mówiąc: „Poczekajcie!”. Znał dobrze kierownika i jego słabości. Niestety cały Nowy Rok był niespokojny i zastanawiano się, co robić? Nowe oczekiwania nie przyniosły rezultatu. Rozpatrywano różne wersje: – Zawiadomić żonę, rodzinę? – Nie. – Zawiadomić władze uczelni w Białej? – Nie. – Zawiadomić milicję? – Nie. – Wznović poszukiwania. Każda była niedobra. Zima była sroga, a dojście do Zieleńca przez góry niemożliwe.

Następnego dnia zajęcia odbyły się według planu – tylko studenci w naszych oczach odczytywali niepokój... Kolacja przyniosła ożywienie i radość, „Jest kierownik!”. Mina jego nietęga, twarz zmęczona i ani słowa „przepraszam”. Sprawę okryła tajemnica – nikt nie miał odwagi zapytać dlaczego? Były to czasy trudne, a co przeżyliśmy to było nasze. Na szczęście, nasz kierowca

pan Kazio Szydłowski opanował trudną sytuację, gdy przy zjeździe z góry wysiadły w autokarze hamulce. I tak radość i smutek – jak w piosence – jechały ze sobą w parze.

Obóz zimowy Ustrzyki – Laworta

Kolejny obóz zimowy odbył się w Ustrzykach. Zakwaterowano nas w hotelu „Laworta”, typowym socjalistycznym, ale wygodnym, ciepłym, luksusowym jak na warunki obozowe. Część studentów mieszkała na kwaterach. Ambulatorium ulokowano w jednym z pokoi hotelowych. Przyjęcia były zawsze przed apelem, rano i po kolacji. Większość pacjentów to typowe skręcenia narciarskie, otarcia z powodu złego obuwia, przeziębienia i drobne niedyspozycje. Apteka i środki opatrunkowe mieliśmy jak zwykle w skrzyniach. Kelnerki w restauracji były sympatyczne. Żywnienie pełne według taryfy – nawet sałatki i pomidory. Na owe czasy byliśmy mile zaskoczeni. Wszystko, co dobre powinno dobrze się kończyć, ale... ostatniego dnia przed śniadaniem kilka osób zgłosiło się z niedyspozycją żołądkowo-jelitową. Chorzy otrzymali leki i pobiegli na stok, bo był to dzień zaliczeń i o godzinie 10.00 rozwiązanie obozu i wyjazd do domu. Ambulatorium zostało „zwinięte” i autokarem wracaliśmy do Białej. Pierwszy dzień po powrocie w przychodni AWF rozpoczął się od groźnego telefonu. Poznałam głos „Madame Nervosan” – dr J.A. dyrektora sanepidu. „Co Ty narobiłaś? Czy Ty wiesz co Ci grozi?” – krzyczała. „- Nie wiem, o co chodzi”. „- Rozesłałaś epidemię na całą Polskę!”. „- Nie rozumiem”. Po kilku dniach wyjaśniła się sprawa epidemii. Liczne niedyspozycje jelitowe ujawniły się na stoku przy zaliczeniach. Sytuacja była tragikomiczna. Krzaki bez liści, świerki daleko, został „sedes syberyjski”. Ustalono później przyczynę zatrucia w sałatce z kolacji. Na szczęście była to prosta bakteria e-coli – zaniedbanie sanitarne kuchni. Posiewy nie wykazały czerwonki ani salmonellozy, a objawy były typu „chabra nostra”. Nie miałam orientacji o rozmiarach zatrucia, ponieważ studenci indywidualnie przyjeżdżali na obóz ze swoich domów i tam wracali. Przy rozwiązaniu obozu nie byłam i nikt z opiekunów niczego mi nie zgłaszał. Z późniejszych opowiadań kadry wiem, że ocaleli od zatrucia ci, co uroczyście spędzali zieloną noc, obficie ją zakrapiając. Czasem tak bywa „szczęście w nieszczęściu”, a środki dezynfekcji jelitowych bywają rozmaite. Ja ocalałam od groźnych telefonów, strachu bez winy, a może i kary. W takich wypadkach zawsze trzeba było znaleźć winnego. Moja koleżanka dr J.A. miała dobry układ – męża w KW PZPR, a ja tylko na świadka moją pielęgniarkę.

Wspomnienia obozowe, Pisz – „Nigdy więcej takiej nocy”

Było piękne upalne lato. Las szumiał kołysanki. Ryby pluskały w szuwarach. Raki pokazywały swą urodę, a pszczoły i osy urządzały nam koncerty – pachniało życiem. Mieszkaliśmy wszyscy w namiotach, tzn. kadra i studenci.

Murowana była tylko kuchnia. W tym roku naszymi sąsiadami bliskimi byli młodzi asystenci S.T. i B.T. z dwoma uroczymi synkami w wieku przedszkolnym Bastkiem i Konradem. Żyliśmy wszyscy jak w rodzinie, solidarnie pomagając sobie nawzajem. Pierwszego wieczoru zła wiadomość dotarła do obozu, że w rodzinie S.T. ciężko zachorowała mama. Pilny wyjazd w daleką drogę w okolicy Hrubieszowa był konieczny. Po konsultacjach z kadrą zaplanowano wyjazd na noc – mąż mój, jak zawsze chętny do pomocy, użyczył swego 10-letniego Wartburga i siebie jako kierowcę. Noc była piękna, cicha i gwiazdzista, pachnąca sosną, bo to przecież upalne lato. Ciszę tej nocy przerwał płacz dziecka i wielokrotne wołanie: „Mamo!”. Wskoczyłam ze swego namiotu czując, że chłopcy są sami. Ugłaskałam ich jakoś i zasnęli. Namioty stały obok siebie w promieniu kilku metrów. W drodze powrotnej do swego namiotu miałam problem – byłam w stroju „niedbałym”; byłam wściekła na ojca dzieci, posądzając go o dziwne rzeczy. W sumie było to wszystko nieprawdopodobne. Pomyślałam, jaka byłaby sensacja gdyby dyżurny „obozowy” zobaczył mnie w tej akcji. Reszta nocy trwała długo – sen nie chciał zmrzążyć moich powiek i pytanie drażące duszę dlaczego? Poranek wydawał się radosny, jak co dzień, a ja obmyślałam jak zapytać sąsiada o jego nocną nieobecność. Kiedy spotkały się nasze oczy i otworzyły się moje usta, pokazał mi wiszące na sznurze obok namiotu mokre ubrania. Zobaczyłam jego bardzo zmęczoną twarz i tylko powiedział: „Nigdy więcej takiej nocy”. Zrozumiałam szybko – był przecież ratownikiem. Była to ciężka noc jego pracy, na szczęście udana. Wszystko zamknęła tajemnica wydarzenia. Mnie pozostały wyrzuty sumienia. Człowiek jest tak słaby – jak szybko można źle osądzić drugiego człowieka.

Z pracy w AWF odeszłam wraz z mężem w 1983 roku.



Wspomnienia „starego belfra”

Bagaż przeszłości

JEST rok 1970, pracujemy z żoną od 20 lat w Janowie Podlaskim. Rodzina się powiększa, córki dorastają, pragniemy im zapewnić wykształcenie, nie tylko ogólnokształcące, ale również muzyczne. Z władzami samorządowymi i politycznymi (PZPR) nie układa nam się współpraca. Jesteśmy „obcy klasowo”. Ojciec mój skazany został w 1940 roku na 8 lat łagrów za to, że wychowywał dzieci w duchu polskim. Był kierownikiem szkoły koło Brześć n/Bugiem (obecnie Białoruś). Teść – przedwojenny podoficer zawodowy, uczestnik III Powstania Śląskiego, walczył w kampanii wrześniowej w 1939 roku z Niemcami, działacz aktywny Armii Krajowej w okresie okupacji i za to deportowany przez NKWD w 1944 roku do ZSRR, gdzie przez trzy lata przebywał w obozach w Ostaszkowie, Kozielsku oraz w łagrach koło Workuty (na północy). My, na dodatek, byliśmy rodziną praktykujących katolików, co nie było mile widziane przez „przewodnią siłę narodu”, jaką była partia. Moja żona Krystyna też wycierpiała nie za swoje winy. Po ukończeniu liceum ogólnokształcącego przez trzy lata starała się dostać na studia medyczne i za każdym razem otrzymywała odpowiedź: „nie przyjęta ze względu na brak miejsc”. Dopiero po „względnej odwilży” w 1954 roku, z odwołania, z miesięcznym opóźnieniem pozwolono Jej studiować na Akademii Medycznej w Szczecinie. Akademii położone bliżej Jej miejsca zamieszkania nie wyraziły zgody na studiowanie, bo rok akademicki rozpoczął się w październiku, a ministerstwo rozpatrzyło odwołanie w listopadzie. Po roku 1957, kiedy można było ujawnić dokumenty z rekrutacji przeczytaliśmy opinię tej treści: „Córka przedwojennego oficera, internowanego do ZSRR, nosi chorągiewki w kościele, nie zasługuje na dalsze kształcenie w szkołach wyższych”.

Ze wsi do miasta

Dowiedzieliśmy się od kolegów, że w Białej Podlaskiej powstaje uczelnia i że poszukują pracowników. Po krótkiej naradzie rodzinnej podjęliśmy szybką decyzję – przenieśmy się. Mieliśmy dość nieustannych kłopotów wynikających z naszego „bagażu przeszłości”. Mieliśmy nadzieję, że zmiana miejsca zamieszkania umożliwi normalne funkcjonowanie bez utrudnień ze strony władz politycznych i aparatu bezpieczeństwa. Na szczęście dobór kadry w uczelni był w gestii jej władz. W strukturze uczelni była przewidziana przychodnia

akademicka, a żona była lekarzem z dziesięcioletnią praktyką na stanowisku kierownika ośrodka zdrowia. Posiadała też specjalizację lekarza ogólnego. Rozmowa kwalifikacyjna z doc. dr. Erazmem Wasilewskim i doc. dr. Władysławem Romanowskim wypadła pomyślnie i od 1 września 1970 roku żona podjęła pracę na uczelni. Mnie koledzy poradzili, abym zaczął się o wojsko. Zgodnie z systemem powszechnego szkolenia żołnierzy i rozbudową naszej armii w ramach Układu Warszawskiego do 5 tysięcy żołnierzy, szkoły wyższe m.in. miały przygotować korpus oficerów rezerwy poprzez obowiązkowe szkolenie studentów w ramach studium wojskowego, które funkcjonowało we wszystkich szkołach wyższych. Moje kwalifikacje w tym zakresie były wystarczające, odbyłem 2-letnią zasadniczą służbę wojskową, z której wyszedłem w stopniu oficerskim, w jednostce wojskowej, w której służyłem prowadziłem zajęcia na kursie oficerów rezerwy, miałem ukończone studia wyższe magisterskie i doświadczenie w pracy pedagogicznej (20 lat w zawodzie nauczycielskim). Zatrudnienie mnie leżało w gestii komendanta Studium Wojskowego AWF w Warszawie, którym był płk Mieczysław Podgórski. Zameldowałem się u niego i w naszej rozmowie merytorycznej wyjaśniłem motywy zmiany miejsca pracy. Uznał je za wystarczające i jako „kresowiak” pomógł mi, również „kresowiakowi”, zatrudniając na stanowisku kierownika Studium Wojskowego AWF ds. Filii, z zadaniem tworzenia bazy dla mającego powstać Studium Wojskowego w Białej Podlaskiej. W taki to sposób znaleźliśmy się z żoną w kadrze uczelni. Komitet PZPR nie był z takiego stanu rzeczy zadowolony, ale nie postawił weta; warszawskie władze uczelni były poza ich kompetencjami, co było dla nas rzeczą bardzo ważną.

Życie jak w rodzinie

Kadra w większości była młoda i na początku wielu mieszkało w Domu Studenta, zajmując drugie piętro. Pokoje były 2 osobowe, umeblowane standardowo. Wspólna była łazienka i kuchnia, a ciepła woda była zależna od palacza Pana Bochenka, który „serwował” zazwyczaj ciepłą wodę przez 1 godzinę na dobę.

Pomimo takich spartańskich warunków, życzliwość do siebie była powszechna. Z żoną i dwiema córkami zamieszkaliśmy na końcu korytarza w 2 pokojach bez kuchni, a z sanitariatów korzystaliśmy wspólnych dla całego piętra. Inni pracownicy, którzy mieli rodziny zamieszkali w budynku asystenckim. My natomiast obiecaliśmy przed podpisaniem umowy o pracę, że nie będziemy starali się o mieszkanie służbowe.

Zespół pracowniczy szybko się zintegrował.

Kwitło życie towarzyskie: imieniny, śluby, chrzciny świętowano wspólnie i pomagano sobie wzajemnie, kiedy tylko zachodziła taka potrzeba. Poprzez wyjazdy do teatru, na grzyby, jagody, turystyczne wycieczki, obozy zimowe i letnie poznawaliśmy się wzajemnie i naprawdę, chociaż „goło, ale było wesoło”.

Do tradycji szybko weszło świętowanie urodzin. W tym dniu rano solenizantowi należało podarować kwiatek i złożyć życzenia i z tej okazji wypić kawę i degustować ciasto sporządzone przez Panię. Solenizantki prześcigały się w wypiekach. Zazwyczaj jedną z pierwszych osób, które spieszyły z kwiatkiem, był zazwyczaj mgr Adolf Mironiuk. Wystarczyło rano stanąć w holu i już się wiedziało, kto dzisiaj stawia kawę i serwuje domowe specjały. Sympatyczne też były spotkania na drugim śniadaniu w barku. Menu było urozmaicone i bardzo dobrej jakości. Niektórzy zgodnie z porzekadłem spożywali „za jednym zasiadem śniadanie z obiadem”.



Pewnie jakiś „półmetek”



Od lewej: ja, moja żona, dyrektor H. Czarkowski

Na obozie letnim, przy obfitym wysypie grzybów, zapach gotowanego octu do marynat czuć było w całym ośrodku. Kiedy brały ryby zapaleni wędkarze, wśród których prym wiodli „Wujek” i „Niuniek” dostarczali takie ilości ryb, że panie robiły kotlety, smażyły nad ogniskiem i „uczta Baltazara” trwała do późnych godzin nocnych. Na obozach oprócz kadry prowadzącej zajęcia, były całe rodziny. Dzieci „podrzucane” były osobom towarzyszącym, gdy rodzice mieli zajęcia programowe. Dzieci czuły się w takim środowisku wspaniale i co jakiś czas dawały rodzicom znać, że mają nowe pomysły, np. pewnego razu Sebastian i Konrad Trośczyńscy przywiązali Dorotę Wyciszkiewicz do drzewa i wokół niej urządzili taniec wojenny. Innym razem Szostakówna poszła zbierać poziomki i pracownicy ze studentami szukali 4-letnie dziecko w lesie. Poobijane kolana, dolegliwości żołądkowe, uczulenia itp. były na porządku dziennym i lekarz obozowy miał z tym towarzystwem sporo roboty nie tylko w dzień.

Studium wojskowe

Poinstruowany przez kierownika Studium warszawskiego przystąpiłem do wykonania zadania, które nie było łatwe. Zajęcia ze studentami miały odbywać się w drugim semestrze, a pierwszy przeznaczony był na sprawy organizacyjne i przygotowanie warunków do pracy ze studentami. Pierwsze miesiące pracy upływały na tworzeniu „bazy”. Polegało to na „załatwieniu” biurka, szafek, fotelików i stolików okolicznościowych. Kto miał lepsze układy z zapatrzeniem, ten otrzymywał sprzęt biurowy lepszy (nawet na wysoki połysk i wykładziny dywanowe na podłogę). Kierownicy i dyrektorzy mieli w swoich pokojach biblioteczki ze szklanymi szybami i barkami zamykanymi na klucz. Były to dziwne czasy, zakupy w większości dokonywane poprzez przydział, który nie rzadko zlecał komitet PZPR. Administracja i dydaktyka mieściły się w północnym skrzydle budynku głównego uczelni. W południowym skrzydle trwały prace wykończeniowe, kładziono instalacje, tynki, posadzki. Ponaglany przez płk. Podgórskiego na czas zdążyłem przygotować kancelarię, salę wykładową, magazyn broni, zakupić broń małokalibrową, podręczniki i mapy topograficzne. Ranga Studium Wojskowego w AWF warszawskim była duża. Niektórzy żartowali, że AWF jest przy Studium Wojskowym. Trochę w tym było racji, bo w tym czasie szkolenie wojskowe rządziło się odrębnymi przepisami i było w gestii Ministerstwa Obrony Narodowej. Militaryzacja kraju była powszechna i uczelnie również były zobowiązane do realizowania tego programu. W teorii wszystko miało działać bez zarzutu, ale praktyka była nieco inna. Brakowało środków finansowych, toteż „łatano dziury”, czym się dało. Szkolenie wojskowe odbywało się w jednym semestrze, jeden dzień w tygodniu dla całego rocznika. Na zajęciach studenci powinni występować w mundurach. Ze względów oszczędnościowych zaniechano tego wymogu i wszyscy przychodzili w różnych strojach. Pstrokacizna ubiorów była groteskowa. Nie-

kiedy grupa studencka na zbiórce wyglądała jak uczestnicy balu kostiumowego. Studentki podlegały szkoleniu w zakresie samoobrony i zostały „umundurowane” w czarne kombinezony. Ubaw był duży, gdy taka „czarna brygada” pojawiła się w uczelni. Początkowo wykładowcy przyjeżdżali z warszawskiego Studium Wojskowego AWF pod dowództwem płk. Podgórskiego, byli to: ppłk. Zaorski, mjr Roź, mjr Lis i kpt. Karnaś. Niektórzy z nich byli jeszcze frontowymi żołnierzami, toteż praca ze studentami nie była dla nich zbyt atrakcyjna. Często dochodziło do humorystycznych sytuacji. Podobno jeden z oficerów, chcąc zaimponować studentkom przed rozpoczęciem zajęć przedstawił się podając stopień wojskowy, imię i nazwisko oraz długość penisa w centymetrach. Nie wiem, czy taka prezentacja podniosła jego prestiż na zajęciach?

Zwiększająca się liczba studentów wymagała powiększenia kadry wojskowej, stąd trzeba było sięgnąć do lokalnych oficerów z jednostki wojskowej i WKU. Początkowo dorywczo szkolili studentów por. Badach (szkolenie sanitarne), por. Baj (szkolenie chemiczne), mjr Jakubowski, płk. Marcinek, który w końcu przeszedł na etatowego Komendanta Studium Wojskowego w uczelni.

Temat wojska, to oddzielna historia na grubą książkę. Myślę, że studenci w swoich wspomnieniach przytoczą wiele zabawnych sytuacji...

Wojsko, jako przedmiot obowiązkowy po raz ostatni był realizowany w roku akademickim 1989/90 (przyp. red.)

Na naukę nigdy nie jest za późno

Tak brzmi ludowe porzekadło i w tej przypowieści jest dużo prawdy, która zaczęła się realizować w uczelni od 1971 r. Na mocy zarządzenia Ministra Oświaty wszyscy nauczyciele, którzy chcieli pracować w szkole musieli posiadać wyższe wykształcenie. Dotychczas, do pracy w szkole upoważniały studia akademickie, studia nauczycielskie, dyplom liceum pedagogicznego oraz różnorakie kursy pedagogiczne po szkole średniej. Na mocy nowego zarządzenia uczelnia nasza została zobowiązana do organizacji kształcenia, czynnych zawodowo nauczycieli w systemie zaocznym. Było to przedsięwzięcie trudne, bo i tak mieliśmy dużo pracy przy realizacji programu studiów stacjonarnych. Przygotowanie organizacyjne szkolenia w tym zakresie powierzył mi rektor. W Studium Wojskowym szkoleniem zajęli się zawodowi oficerowie. Było mi to na rękę, gdyż praca „na baczność” i wedle rozkazu nie bardzo mi odpowiadała.

Miałem doświadczenie ze studiów zaocznych, ponieważ sam zaocznie studiowałem w poprzednich latach w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku, na kierunku geograficznym. Znałem z autopsji założenia systemowe, a zdobyte doświadczenia pomogły mi odpowiednio przygotować i realizować cały proces dydaktyczny. Współpraca z dziekanem doc. dr. hab. Włodzimierzem Starostą układała mi się bardzo dobrze, wiedziałem, co do mnie należy, jakie mam kompetencje i zadania.

O zakresie i trudności pracy mogą świadczyć liczby; w latach 1973-1977 liczba studentów zaocznych przewyższała liczbę studentów stacjonarnych:

rok akad.	1973/74	stacj.	457	zaocz.	644,
1974/75		„	534	„	718
1975/75		„	548	„	781
1976/77		„	539	„	670

Mieliśmy studentów z Łodzi, Pruszkowa, Olsztyna, Augustowa, Suwałk, Zamościa i Hrubieszowa. Największe nasilenie pracy dydaktycznej było w okresie ferii i wakacji. Olbrzymie trudności były z zakwaterowaniem, a uczelnia była zobligowana do jego zapewnienia studentom zaocznym. W Białej, w owym czasie, był jeden hotel, mieszczący się w baraku przy bazarze i posiadał 5 pokoi 4-osobowych. To była kropla w morzu potrzeb. Bazowaliśmy głównie na akademikach, ale tak dużej liczby osób nie mogliśmy pomieścić. „Zagęszczaliśmy” pokoje wstawiając piętrowe łóżka, kwaterowaliśmy niekiedy w internatach, a nawet urządziliśmy noclegi w szkole podstawowej w Sielczyku, oddalonym 6 km od Białej, skąd dowoziliśmy studentów do uczelni. Studentami, w przeważającej części byli czynni nauczyciele, w różnym wieku, „obarczeni” często rodzinami. Wielu z nich pracowało w miejscowościach, gdzie nie było porządnej biblioteki i odpowiednio wyposażonych obiektów sportowych. Należy im się uznanie za wysiłek, który podjęli w czasie studiowania. Na sesjach otrzymywali głównie wiedzę teoretyczną w formie skondensowanej, a gro pracy musieli sami wykonać w domu. Ogromne trudności sprawiały studentom często zajęcia praktyczne z gimnastyki, pływania i lekkiej atletyki. Prowadzący te zajęcia, niekiedy w wieku ich dzieci, odnosili się do studentów z wyrozumiałością, lecz bez taryfy ulgowej. Na pewno było w czasie zajęć wiele groteskowych sytuacji, ale ujawnić je mogą sami studenci lub nauczyciele. Ja prowadziłem zajęcia z turystyki i zachowałem mi się z tamtego okresu w pamięci taki epizod. W programie studiów był obowiązkowy obóz wędrowny. Miałem grupę rowerową na trasie Biała Podlaska – Rybitwy k/Pisza. Uprzednio wyznaczyliśmy trasę, omówiliśmy organizację imprezy, sprzęt itp. Zwróciłem uwagę na konieczność przygotowania kondycyjnego, bo trasa nie była krótka (ok. 300 km). Uczelnia zapewniała studentom sprzęt w postaci rowerów marki „Romet” bez przerzutek, z sakwami na tylne koło, materaców gumowych i kuchenek gazowych. Wszystko to, wraz z osobistym ekwipunkiem, trzeba było zmieścić na rowerze i jechać około 40 km dziennie. Dodatkowe obciążenie stanowiły wiktuały; były to czasy, kiedy konserwy i wędlina były towarami reglamentowanymi i zgromadzenie ich było dosyć trudne. Po załadowaniu całego „majdanu” rower prawie „stawał dęba”, tak obciążone było tylne koło. Aby zmniejszyć obciążenie roweru, nie braliśmy materaców, a noclegi zaplanowaliśmy w szkołach na trasie.

No i w drogę. Pierwsze kilometry w regulaminowym szyku wężykiem, słabsi na czele dyktują tempo, ale co raz coś się dzieje: spada łańcuch, obluzuje się torba, urywa pedał, schodzi powietrze z dętki. Słońce zaczyna coraz bardziej przygrzewać, siodełko ociera uda, mięśnie nóg pracują intensywnie. Jazda z góry to frajda, ale pod górę ... niektórzy schodzą i prowadzą swoje „wehikuły”. Wiatr też daje znać o sobie; rzadko wieje w plecy, jak gdyby na przekór. Na trasie nocujemy głównie w szkołach, gdzie jest woda, sanitariaty oraz życzliwość kolegów nauczycieli.

Po jednym z etapów słyszę rozmowy, które obrazują w pełni kondycję fizyczną uczestników. Męski głos: „Słuchajcie, jaja bym urwał temu, kto wymyślił rower”; „Czuję się tak, jakby mnie pluton wojska przerzynał”. Dopiero na własnej skórze trzeba było doświadczyć i zrozumieć, że wykładowca miał rację mówiąc o konieczności wyrobienia kondycji, technice jazdy, dopasowania ekwipunku i sprzętu.

Pomimo tych trudności cała grupa dotarła do naszego ośrodka w Rybitwach k/ Pizsa i potem, przy ognisku wspomnieniom nie było końca.

Zdobyte doświadczenia na pewno pomogły w dalszej pracy z młodzieżą w szkole przy organizowaniu biwaków, wycieczek i obozów.

Akcja Rybitwy

Moja grupa wędrowną wzięła również udział w budowie Ośrodka Sportów Wodnych w Rybitwach. Trzeba było wszystko budować od podstaw. Na początku nie było nawet studni i po wodę chodziliśmy do ośrodka „Leda”, który sąsiedował z nami. Studenci i kadra mieszkali w namiotach, posiłki gotowaliśmy na dwóch kuchniach „Westfalkach” lub na ognisku. Sanitariatami były latryny (dół podłużny, nad którym była żerdź służąca za sedes, zamiast wody – piasek, którym przysypywano odchody).

Kuchnię i stołówkę, pod okiem brygady remontowej budowano od podstaw. Spożywano posiłki pod daszkami zrobionymi z trzciny własnym sumpem.

Olbrzymią pomysłowością i pracowitością wykazał się „Bolo” – Bogdan Troszczyński. Wykonał slalomowe zejście na pływalnię, pomosty, wiatę na sprzęt, port kajakowy, a nawet ze sklejki deski windsurfingowe. Zejście do portu żeglarskiego, wycinkę trzciny, moło dla Omeg robili „Wujek” – Janusz Wyciszkiwicz i „Jery” – Jerzy Jackowski, który w następnych latach zbudował nawet wiatę na Omegi z kapitanatem na górze. Wszystko z pomocą siły fachowej i studentów.

Zła pogoda, deszcze utrudniały pracę, ale budowa ośrodka szybko posuwała się naprzód. Stołówka z kuchnią i zapleczem też budowana była z pomocą studentów. Kierownikiem ośrodka był „Mrówa” przezywany tak, bo kazał przenosić kopce mrówek z terenu budowy.

Drewniane Omegi po sezonie były przenoszone rękami studentów do stółki, gdzie były zabezpieczane na zimę. Ważnym wydarzeniem było wybicie studni i zelektryfikowanie terenu. Z każdego wykonywanego obiektu cieszyli się wszyscy i rzeczywiście ośrodek rósł szybko i pozwalał na realizację programu.

Dyscyplina na obozach była duża i wypadki do ośrodka MZK czy „Energetyk” po piwo, kończyły się wydalaniem z obozu.

Ach jak przyjemnie kołysać się wśród fal

Następnym etapem mojej pracy w uczelni była Pracownia Turystyki i Rekreacji, ponieważ zmieniła się struktura uczelni, a wraz z nią nastąpiły przetasowania kadrowe.

Wreszcie znalazłem się na miejscu, w którym czułem się najlepiej. Z turystyką szkolną zetknąłem się jeszcze w liceum pedagogicznym, gdzie aktywnie działałem w harcerstwie (rok 1946), jeszcze opartym na skautingu.



Ja i moja żona Krystyna

W szkole podstawowej, a następnie w średniej zapaliłem dzieci do wędrowania. Pracując w liceum, w którym 90% młodzieży pochodziło ze wsi postawiłem sobie zadanie, że muszę pokazać to, o czym uczyli się z podręczników. Wycieczki i obozy wędrowne w Tatry, Sudety, Góry Świętokrzyskie i Wybrzeże były wpisane do planu dydaktyczno-wychowawczego i realizowane w 100%.

Do dzisiaj jeszcze, gdy przypadkowo spotykam młodzież z tamtych lat, wspominają oni wędrowki i często powielają szkolne trasy ze swoimi dziećmi

i przyjaciółmi. Program studiów na Uczelni przewidywał obozy zimowe, narciarskie, obozy letnie stacjonarne oraz obozy wędrownie. Te ostatnie leżały w mojej gestii.

Zasady organizowania tego rodzaju turystyki zależały od dobrowolnego zgłaszania się na jeden z kilku, np. pieszy nizinny, pieszy górski, rowerowy, kajakowy żeglarski. Sprzęt zapewniała uczelnia i stąd, na poszczególne typy obozów była określona liczba osób. W celu zapoznania z różnymi formami wędrowania dwutygodniowy obóz łączono najczęściej w rowerowo-kajakowy i takie najczęściej prowadziłem. Rowery były typu „Romet”, a o ich zaletach i wadach wspominałem omawiając wędrowniki studentów zaocznych, więc nie będę się powtarzał.

Kajakowe wędrowniki realizowaliśmy na składanych kajakach „Neptun”. Były to bardzo dobre kajaki turystyczne. Posiadały burty pompowane powietrzem, co zwiększało ich wyporność i przez to była możliwość zabrania większego bagażu, a takowego nie było mało dla dwóch osób (bo były to kajaki dwuosobowe). Obowiązkowym wyposażeniem były namioty, materace gumowe „dmuchane”, śpiwory, kuchenki gazowe, kapoki, garnki i ekwipunek osobisty. Na teoretycznych zajęciach zwracało się uwagę na zasady bezpieczeństwa, strój, technikę i prawidłowe ładowanie sprzętu.

Do teorii, jak zwykle studenci odnosili się z rezerwą uważając, że pływanie kajakiem, to „pestka”, bo mieli już zajęcia z kajakarstwa na obozie letnim.

Rzeczywistość okazała się jednak nie taka różowa jak się zdawało. Na początku rozpoczęły się trudności z rozmieszczeniem sprzętu. Trzeba było poupychać w części rufowej i dziobowej wszystko, a że było tego sporo, nie obszło się bez trzymania między nogami zabranego ekwipunku. Obciążone kajaki stały się powolne i trzeba było, nawet płynąc z biegiem rzeki, ostro „robić” wiosłem. Po pierwszych kilometrach okazało się, że chłodzenie dłoni maczając w wodzie spowodowało powstanie pęcherzy. Płynięcie w słońcu bez koszulki dało zacerwienie bolesne skóry na plecach i barkach, brak czapki przysparzał bóle głowy i ogólnie złe samopoczucie.

Po pewnym czasie opracowano technikę pływania i co raz organizowano tzw. „tratwę”, w której połączone burtami kajaki pozwalały na pełen relaks, bo pracowały wiosłami załogi będące na bokach tratwy. Nazywano ich galernikami, bo musieli przez cały czas pracować wiosłami, żeby nie zbroczyć z kursu lub nie wpaść na mieliznę, a nasze kajaki miały duży balast.

Pod wieczór była wysyłana do przodu jedna załoga „szperaczy” w celu wyszukania dogodnego miejsca na biwak, który miał spełniać takie warunki, jak: wygodne miejsce na ładowanie, przestrzeń na rozbicie namiotów, drewno na ognisko, możliwość zabezpieczenia kajaków przed kradzieżą.

Po wyjściu na brzeg konieczne były ćwiczenia kończyn dolnych, bo trwanie w pozycji siedzącej przez kilka godzin dawało o sobie znać. Wieczorem ognisko integrowało całą grupę, przy nim z humorem przypominano różne

wydarzenia, które miały miejsce na wodzie, omawiano program następnego dnia, wyznaczano służbę. Na bezsenność nikt nie narzekał, woda, czyste powietrze i ruch powodowały to, że bractwo spało „kamiennym snem”.

Już po pierwszym dniu nabierało się doświadczenia w odpowiednim balastowaniu kajaka, dobieraniu załogi. W praktyce okazało się, że jeden kajak będzie miał załogę jednoosobową i na nim będzie ładowany podstawowy sprzęt i prowiant dla całej grupy. Usprawniało to znacznie załadunek i rozładunek sprzętu biwakowego i kuchennego.

Codziennie musieliśmy pokonać zaplanowaną ilość kilometrów, bez względu na warunki atmosferyczne, bo w określonym dniu zamienialiśmy się z grupą, która jechała rowerami.

Do tej pory pamiętam „etap prawdy” na Bugu. Przez cały dzień padał ulewny deszcz, wiał wiatr w twarz. Płynęliśmy tylko w podkoszulkach, bo woda była z góry i z dołu. Sprawdziły się wtedy zasady, że bielizna, ubrania, śpiwory trzeba włożyć do szczelnych worków nylonowych i po rozbiciu namiotów, można się wtedy przebrać w suchą odzież. Nie wszyscy o tym pamiętali i potem szczękali zębami w mokrym ubraniu.

Przepląnąłem ze studentami: Bug od Niemirowa do Wisły, Wisłę do Płocka, Brdę, Drwęcę, Czarną Hańczę, Jeziora Mazurskie od Wiertła do Rybitw oraz Poprad z Dunajcem, tzw. „Tydzień dzikich wód”.

Po tylu latach czas zrobił swoje, pozostały w pamięci tylko fragmenty wydarzeń.

Każdy spływ był inny i na pewno inaczej go wspominają studenci. Zachowało mi się w pamięci wydarzenie na Drwęcy, prawobrzeżnym dopływie Wisły. Rzeka o różnym nurcie. Odcinkami płynie leniwie, a często przecinając moreny czołowe staje się rzeką prawie górską. W górnym biegu płynęliśmy przez las, gdzie nurt był spokojny, ale raptem szybkość prądu zaczęła gwałtownie rosnąć, pojawiły się w korycie rzeki przeszkody w postaci zwalonych w poprzek drzew. Trzeba było szybko wymanewrować w poprzek rzeki, żeby ominąć przeszkody. Najprościej było położyć się i przepłynąć pod zwalonymi drzewami uważając na gałęzie wystające z pnia lub opłynąć pień, ale nurt znosił na przeszkodę. W jednej chwili dwie załogi miały wywrotkę, bo na czas nie zareagowały i nie podjęły dobrej decyzji. Wywrócone kajaki doholowano do brzegu, ale rzeczy osobiste, które nie były w workach nylonowych poszły na dno, a w najlepszym przypadku przemokły. Poszukiwania nie dały żadnych rezultatów, bo nurt był wartki i porwał bagaż. Poszkodowane załogi pełniły całą noc dyżur przy ognisku susząc śpiwory i wyłowione ubrania.

Na tej samej rzece pod Gołubiem Dobrzyniem nurt był spokojniejszy, świeciło słońce, był to ostatni etap spływu, płynęło się relaksowo, korzystając z pięknej pogody. Na końcu płynęła załoga „Puszek” i Sobkiewicz, którzy mieli zdawać w poprawkowym terminie egzamin z marksizmu i leninizmu u mgr. Krajewskiego. Mieli ze sobą notatki i korzystając ze sprzyjających wa-

runków, uczyli się do egzaminu. Zagapili się trochę i nie zwrócili uwagi, że nurt staje się szybki, bo koryto rzeki przed mostem się zwęża. Nie pomogły ostrzeżenia z czoła. Nie zdążyli chwycić wiosła. Kajak postawiony z poprzek, burtą uderzył w filar mostu, przełamał się i załoga wodowała. Cały sprzęt osobisty poszedł na dno. Wracali do domu w pożyczonych spodniach i koszulach, bez butów, jak prawdziwi rozbitkowie. Najgorzej żałowali notatek z marksizmu, bo czekała ich jeszcze sesja poprawkowa.

Szczególne uznanie należy się grupie, która brała udział w spływie „Dzikimi wodami” – Popradem i Dunajcem. W tym międzynarodowym spływie, w kategorii turystycznej zajęliśmy I miejsce i przywieźliśmy kryształowy puchar przechodni. Było to znaczące zwycięstwo, bo my płynęliśmy na swoich wysłużonych składakach „Neptunach”, a większość uczestników miała „plastiki”, które były bardzo zwrotne i odporne na uderzenia o skały, występujące w korycie rzek bardzo licznie.

Szczególne uznanie i podziękowania należały się Kaziowi Szydłowskiemu – kierowcy naszego autokaru. Po ciężkim dniu na górskiej rzece, kiedy przybliżyliśmy do brzegu, czekał na nas oznakowany plac na obozowisko, gorąca woda na przyrządzenie posiłku i narzędzia do reperacji sprzętu potrzebnego na następny dzień. O obozach zimowych nie będę wspominał, bo uczynili to w poprzednim numerze wspomnień uczestnicy obozów w Zieleńcu, Wiśle, Korbielowie, Stożku i Ustrzykach.

Czarna owca

W latach osiemdziesiątych sytuacja ekonomiczna kraju pogarszała się szybko. Aparat partyjny nadal działał zgodnie z tezą „dyktatury proletariatu” i zasadą, że partia jest nieomylna. Urząd Bezpieczeństwa penetrował wszystkie dziedziny życia gospodarczego, administrację i szkolnictwo. Pod szczególnym nadzorem było szkolnictwo wyższe, bo zawsze młodzież studencka była radykalna.

W naszej Uczelni byli na pewno informatorzy tajni, a etatowo nadzór pełnił „smutny Franio”. Jego szczupła, smętna twarz i czarna teczka były widoczne w różnych częściach uczelni. Węszył w akademikach i związkach studenckich.

Trzymał też „rękę na pulsie” aparat partyjny, a sekretarz podstawowej organizacji partyjnej PZPR przynajmniej raz w tygodniu odwiedzał „Kapliczkę”, tak nazywano budynek komitetu PZPR.

Chcąc podnieść „świadomość” załogi pracowniczej organizowano tzw. zebrania otwarte podstawowej organizacji partyjnej, w których uczestniczyli wszyscy pracownicy uczelni – partyjni i bezpartyjni.

Na jednym z takich zebrań, po zmianach personalnych „na górze” i ogłoszeniu błędów i wypaczeń „grupy kontrrewolucyjnej”, w dyskusji nad sytuacją

polityczną kraju zabrałem głos, chociaż nie byłem partyjny i powiedziałem, że cyklicznie występujące kryzysy w partii może wynikać z tego, że nie ma u nas partii opozycyjnej, która byłaby potencjalną siłą kontrolującą wykonanie obietnic wyborczych partii rządzącej.

Myślałem, że mój głos nie będzie miał żadnego znaczenia, bo była to tylko luźno rzucona myśl. Stało się jednak inaczej. Usłudni ludzie donieśli komu trzeba, ten do „Kapliczki” i powstał problem. Jak mógł podważyć nieomyślność partii pracownik dydaktyczny uczelni.

Do tej pory nie było do mnie żadnych zastrzeżeń. Za pracę w Studium Wojskowym otrzymałem nawet złoty i srebrny medal za zasługi dla obronności kraju.

Doceniono również moją pracę dydaktyczną srebrną odznaką Zasłużony dla Kultury Fizycznej i Złotym Krzyżem Zasługi.

Odnaczone zostałem też za trzydziestoletnią, szczególnie wyróżniającą się pracę dydaktyczno-wychowawczą, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. To ostatnie odznaczenie miałem otrzymać na inauguracji roku akademickiego w 1983 roku.

Przed inauguracją poprosił mnie Pan Rektor do gabinetu i wręczył mi wspomniane odznaczenie i poinformował, że mam wszelkie dane do tego, żeby przejść na wcześniejszą emeryturę. Niedwuznacznie dał do zrozumienia, że czynniki partyjne mają zastrzeżenia do mojego oportunistycznego poglądu na rolę PZPR. Skorzystałem z tej rady i od 1 stycznia znalazłem się wśród młodych emerytów.

Początkowo było mi żal pracy, ponieważ lubiłem pracować z młodzieżą, a będąc w Zakładzie Turystyki i Rekreacji spełniałem się zawodowo. Późniejsze zmiany polityczne i społeczne dały mi pełną satysfakcję, że miałem rację uważając, że prawdziwa demokracja musi mieć partię rządzącą wybraną w wolnych wyborach i opozycją.

Mieszkam blisko uczelni i z radością przechodzę prawie codziennie obok niej, widząc jak się rozbudowuje i pięknieje z roku na rok.

Szczególnie cieszę się z tego, że władze Uczelni pamiętają o swoich starych pracownikach.

Zapraszają na inauguracje i umożliwiają śledzenie życia uczelni. Miło się spotkać z dawnymi studentami, którzy obecnie pełnią odpowiedzialne funkcje w uczelni, ale mają zawsze dla nas emerytów uśmiech i życzliwość.

Patrząc z perspektywy czasu na to, czym jest obecnie uczelnia można z całą pewnością powiedzieć, że trzeba być dumnym z tego, iż w małym, położonym na kresach mieście, powstał piękny ośrodek akademicki, który niczym nie odbiega od standardów europejskich i rozwija się, tworząc nowe kierunki.

To, że uczelnia umacnia się i rozwija jest na pewno zasługą kadry, która w większości związana jest z Podlasiem i z niego się wywodzi.

Szczególne uznanie należy się prof. dr. hab. Jerzemu Sadowskiemu, który z roku na rok powiększa bazę uczelni, modernizuje i tworzy warunki rozwoju naukowego dla młodej kadry. Zasługi Jego są tym większe, że wywodzi się z tej Uczelni, bo jest jej absolwentem, a swoją pracą doszedł do stanowiska Rektora i kieruje uczelnią wyśmienicie.

Tradycje akademickie miasta zapoczątkowane przez ks. Wilskiego w XVIII wieku są obecnie kultywowane i oby Gaudeamus igitur rozbrzmiewał długo w murach uczelni, i Viwat academia, Viwat profesores głośiły wszem i wobec, że na Podlasiu, w mieście nad Krzną jest Uczelnia z prawdziwego zdarzenia, dająca wiedzę i popularyzująca region, w którym jest usytuowana.

P.s.

Spotkanie po wielu latach

W ostatnich dniach przypadkowo spotkałem pana mgra Mirosława Sobieszuka, absolwenta naszej uczelni, który studiował w latach 1973-1977. Odżyły wspomnienia. Przypomniały się wydarzenia z dawnych lat. Miło było pogwarzyć pod lasem w Serpelicach na płaszczyźnie partnerstwa, nauczyciel – nauczyciel. Postanowiliśmy dodać trochę humoru i przedkładamy listę „ksyw”, którymi operowali studenci. Nie chcę urazić nikogo, dlatego nie przyporządkowuję nazwisk, zostawiam to czytelnikowi:

Nauczyciele

„Pantarej” – A
„Chłopek” – D
„Dziadek” – B
„Farbowany Lis” – Cz
„Palarus” – J
„Miofibryl” – M
„Feuerbach” – K
„Niuniek” – S
„Balon” – Sz
„Kotlet” – T
„Przecinek” – W
„Wujek” – W
„Beniaminek” – K
„Piękny Tonio” – O
„Gogo” – T
„Rudek” – F
„Dicha” – L
„Zaradek” – Z

Studenci

„Diabeł” – W
„Hokej” – R
„Dyrektor talenciak” – S
„Chlebusek” – S
„Koń” – K
„Halabarda” – T
„Klameczka” – Sz
„Delbana” – P
„Rumian” – Z
„Bambuła” – M
„Fuiber” – J
„Gucmus” – M
„Stanley” – F

itd. itd.



Moje związki z Uczelnią w Białej Podlaskiej

WE wspomnieniach z dzieciństwa pozostał mi Janów Podlaski i Uroczysko Zaborek. To ostatnie było własnością rodziny Szummerów, moich dziadków. Pamiętam dworek modrzewiowy, wielkie drzewa, młyn, wielopoziomowe stawy, no i oczywiście stadninę koni w Janowie Podlaskim. Nigdy nie zapomniałam Bugu, który wił się w dolinie i urzekał swoim urokiem.

Gdy kilkadziesiąt lat później, będąc na Konferencji w Serpelicach, zobaczyłam zakale Bugu w dolinie – wszystkie wspomnienia z dzieciństwa odżyły. Po prostu chce się tutaj wracać.

40 lat temu, ówczesny Rektor AWF w Warszawie – Profesor S. Wołoszyn – uzgodnił z władzami Białej Podlaskiej powołanie Zamiejscowego Wydziału AWF. Był to jednocześnie mój profesor i kierownik Katedry Pedagogiki, w której pracowałam. Jego związki z Podlasiem sięgały dzieciństwa i domu rodzinnego i stąd emocjonalne więzi z tym środowiskiem. Był to częsty temat moich rozmów z Profesorem S. Wołoszynem – Podlasie.

Może i to trochę zaważyło na tym, że bardzo zaangażował się w organizację tego przedsięwzięcia – utworzenia uczelni wychowania fizycznego w Białej Podlaskiej.

Pierwsze egzaminy wstępne na I rok studiów współorganizował w Białej Podlaskiej mój mąż – Ryszard Żukowski, we współpracy z osobami tu zamieszkującymi. Wrócił do Warszawy pełen wrażeń i opowieści o tej naszej inicjatywie. Na czele Zamiejscowego Wydziału stanął wówczas dr Władysław Romanowski, którego wkrótce poznałam wraz z małżonką Danutą.

I tak rozpoczęła się nasza przyjaźń z osobami, które tworzyły zręby dzisiejszej Uczelni.

Od zawsze Uczelnię tę darzyłam ogromną życzliwością, uczestnicząc w wielu konferencjach naukowych, prowadząc okazjonalnie wykłady, promując do stopnia doktora 5 osób, recenzując prace doktorskie i habilitacyjne, proponując współpracę naukową w zespołach badawczych, którymi kierowałam. I tak na tej płaszczyźnie rozpoczęła się moja przyjaźń z Profesorem R. Cieslińskim, którego dokonania bardzo ceniłam i wieloma innymi osobami.

Cieszyłam się ze wszystkich osiągnięć pracowników tej Uczelni i z ich dokonań na rzecz rozwoju Białskiej Alma Mater, która pręźnie się rozwijała i „rosła w siłę”.

I nagle pojawiła się 5 lat temu propozycja ówczesnego Dziekana ZWWF w Białej Podlaskiej – Pana Profesora R. Cieślińskiego i prorektora AWF Pana Profesora Jerzego Sadowskiego, podjęcia pracy w tej Uczelni przez Zofię i Ryszarda Żukowskich. Trudno nam było podjąć nowe wyzwanie, znacznie oddalone od Warszawy, tym bardziej, że pracowaliśmy już w Wyższej Szkole im. Pawła Włodkowica na Wydziale Pedagogicznym w Płocku i praca ta bardzo nas satysfakcjonowała. Ale odżyły dawne wspomnienia z kontaktów z wieloma pracownikami tej Uczelni, odżył sentyment do Podlasia wraz z poczuciem, że coś możemy dla tej Uczelni zrobić. I tak podjęliśmy decyzję o związaniu się z Uczelnią w Białej Podlaskiej etatami profesorskimi.

I nie żałuję tych decyzji, cenię sobie aktywność i troskę o jej rozwój władz ZWWF. W Białej Podlaskiej, cenię sobie klimat, w którym studiują i kształcą się studenci, klimat partnerskich interakcji, opartych na wzajemnym zaufaniu i szacunku; klimat kampusu studenckiego, w którym uczą się, bawią, uprawiają sport i uczestniczą w kulturze. Troska władz Wydziału o rozwój infrastruktury owocuje w formie poprawy warunków studiów, rozwoju bazy badań naukowych i bazy do uprawiania sportu. Tu się ciągle coś dzieje. Ta uczelnia po prostu żyje. Ale o tym decydują wszyscy pracownicy – od pana, który troszczy się o porządek wokół uczelni, poprzez pracowników administracji, dziekanatu oraz Katedr do kierownictwa Uczelni i Rady Wydziału.

Piszę o tym dlatego, żeby na okoliczność Jubileuszu mieć świadomość przynależności do Uczelni i identyfikacji z Nią.

Kiedy Pani Teresa Jaślikowska-Sadowska – inicjatorka i realizatorka tego tomu – zwróciła się do mnie z propozycją wypowiedzenia się na okoliczność Jubileuszu – pierwszą moją reakcją była wątpliwość, że przecież ja tu pracuję tylko 5 lat. Ale odżyły dawne wspomnienia, wieloletnie kontakty i ostatnie doświadczenia, a nade wszystko szacunek dla dokonań tych, którzy tej Uczelni służą z pełnym poświęceniem.

Nie ukrywam jednak, że w klimacie życia Uczelni najważniejsi są studenci. To dla nich głównie tu przyjechałam i im chcę przekazać jak najwięcej wiedzy, kształtując ich postawy, które mogą przesądzić o ich sukcesie w zawodzie, a jeśli nie o sukcesie, to przynajmniej zadowoleniu z tego, co stanie się treścią ich przyszłej pracy. To im właśnie – moim studentom i magistrantom – dedykuję tę wypowiedź, aby pamiętali, co im dała Uczelnia, co z okresu studiów wynieśli, nad czym jeszcze warto popracować doskonaląc się, a jednocześnie pielęgnując najpiękniejsze wspomnienia z okresu studiów i identyfikując się ze swoją Alma Mater.

Marek Rzemek „Remuś”
absolwent 1974



To były czasy



ROCZNIK, który zaczynał studia w 1971 roku, był narażony na eksperymenty. Początkowo groziły nam 3-letnie studia zawodowe i 2 lata ewentualnego magisterium (dla najlepszych i ambitnych). Po 3 semestrach edukacji dowiedzieliśmy się, że będziemy studiować 4 lata, ale... Zdobędziemy tytuł magistra (każdy ma szansę – pełna demokracja już w czasach „początkowego Gierka”).



Inauguracja roku akademickiego

Nie wszyscy pamiętają, że oprócz wychowania fizycznego kierunkiem studiów było również, a jakże, nauczanie początkowe. Wspaniałe czasy, kiedy

prawie dwumetrowe chłopcy (Janusz Baran i Remi Fota) ślęczeli nad elementarzem – oczywiście nie ucząc się czytać, a analizując podręcznik przed kolokwium.

Niezapomniane czasy chodzenia na obserwacje do żłobka, gdy jeden z kolegów tak zainteresował dziecko, że aż wyciągnęło do niego rączki; od razu ktoś rzucił: „Tatę poznał.”



*Nasza grupa w pełnej okazałości, w środku w górnym rzędzie
dr Władysław Kudelski*

Piękne czasy, w których ciekawą próbą charakteru było małe „co nieco”.

Otóż w okolicach akademika był sklep spożywczy „Społem”, świetnie w owych czasach zaopatrzone. W godzinach rannych zamawiano przeto śniadanie studenckie:

1 bułka tzw. paryska

1 litr mleka (dopuszczalny był kapsel żółty – mleko tłuste i kapsel biały – mleko chude)

1 duży śledź z beczki

Dalej, wymieniając się uwagami na temat analizy anatomicznej stawu skokowego lub przebiegu mięśnia mostkowo-obojczykowo-sutkowego, należało te dobra spożyć.

Wszystko w zasadzie było smaczne, ale żołądki nie zawsze wytrzymały i na trasie sklep – Dom Studenta ustanawiano niebywałe rekordy w biegach...

W tych latach wzmocniano delikatną więź między studentami a mieszkańcami miasta. Oczywiście na początku był chaos – to jest, chciałem powiedzieć – sport. Organizowano różne mecze, między innymi w piłkę ręczną, gdzie królował niepowtarzalny „Budzik” czyli Andrzej Budziński, na którego podwójny zwód łapali się wszyscy.

Siłą sprawczą wielu akcji promujących uczelnię był mgr Mirosław Popczyk. Specjalista od koszykówki i tenisa ziemnego, prywatnie był znakomitym brydżystą. Organizował turnieje par, indywidualne, mistrzostwa uczelni – ze wspaniałymi nagrodami. Zorganizował nawet regularne rozgrywki ligowe (brydżowe oczywiście).

Mieliśmy zaszczyt gościć na turniejach ówczesnego J.M. Rektora doc. Erazma Wasilewskiego, życzliwego studenckim działaniom. Przychodzili pokibicować i pograć również inni wykładowcy i pracownicy uczelni, ze znającym chyba wszystkie gry Józefem Starzyńskim. Raz wygrywali studenci, raz mieszkańcy i powolutku pękały bariery uprzedzeń.

Pomagałem jak umiałem, sam często grałem i nieskromnie dodam, że owszem z sukcesami.

Te piękne studenckie czasy już nie wrócą, ale zostały w pamięci dramatyczne wyjazdy do Puław (tam był wtedy najbliższy basen pływacki!!!). Dlaczego dramatyczne? – dlatego, że odbywały się o 6.00 rano i nie wszyscy imprezowicze mogli zdążyć...

Zostaną w pamięci wędrówki kajakowe po Bugu (Serpelice – Wyszaków), podczas których non-stop padało, a ja z partnerem z kajaka mieliśmy tylko jedno wiosło (drugie zapomnieliśmy zabrać). Wszyscy „grzali” na 2 wiosła, a my z Irkiem Kutyłowskim dostojnie, przy pomocy jednego. Dobrze, że Irek był silny jak tur i dobrze, że płynęliśmy z prądem.



Obozowa rzeczywistość



Tratwa utworzona z kajaków, w środku mgr Grzegorz Tarantowicz



Tak to bywało

Nie zapomnę spartańskich warunków – ciepła woda z przerwami, ale co tam, była przecież jeszcze zimna. Prawdziwym wyzwaniem był jeden telewizor na 70 chłopa – co się działo na meczach piłki nożnej Anglia – Polska na Wembley, tego nie da się opisać.

Przede wszystkim jednak nie zapomnę profesjonalnej i bardzo przyjaznej studentom kadry naukowo-dydaktycznej.



Bezwzględnie to były wspaniałe czasy.

Arkadiusz Makaruk
absolwent 1975



Wspomnienia z okresu studiów w AWF i pracy zawodowej

PAMIĘTAM do dzisiaj taki wierszyk z lat młodzieńczych: „Wszystko się kończy, wszystko przemija i sen się skończy i marzenie. Lecz jest coś w życiu, co nigdy nie zginie, a tym jest wspomnienie”. Tak i to jest najpiękniejsze, że człowiek może i jest zdolny wspominać fakty z życia ciekawe, ważne i te gorsze, przykre, trudne chwile w życiu.

Urodziłem się we wsi Tłuściec, w rodzinie chłopskiej, mimo że matka po wojnie była nauczycielką przez kilka lat.

Automatycznie miałem w tamtych latach gorszy start życiowy niż moi rówieśnicy z miasta. Nauczyłem się ciężkiej pracy, odporności, wytrzymałości, co mi się w późniejszym życiu przydało. W latach szkoły podstawowej zetknąłem się ze sportem grając w piłkę nożną i biegając „przełaje”. Czytałem też dużo książek podróżniczych Arkadego Fiedlera oraz Aliny, Czesława Centkiewiczów. Marzyłem, aby wyrwać się z tego środowiska, coś w życiu zobaczyć i osiągnąć, dać przykład innym.

Po ukończeniu szkoły podstawowej w 1967 r. rozpocząłem naukę w liceum ogólnokształcącym w Międzyrzeczu Podlaskim. W okresie tym trenowałem lekkoatletykę w „Huraganie”, gdzie trenerem naszym był wspaniały szkoleniowiec i człowiek mgr Waldemar Szczepański (późniejszy pracownik FAWF w Białej Podlaskiej).

Z naszej lekkoatletycznej grupki kilku chłopaków miało bardzo dobre wyniki sportowe (sam brałem udział w zawodach wojewódzkich) i ukończyło później AWF, jak np. Jurek Samociuk, Waldek Czempiński, Stanisław Fedoruk, Sławek Kostecki.

Ale prawdziwym mistrzem i wzorem do naśladowania był mój starszy brat stryjeczny Tadeusz Makaruk, który w czasie studiów na AWF w Warszawie był w kadrze Polski z najlepszym wynikiem życiowym 2.04 m w skoku wzwyż. Już ponad 35 lat pracuje na AWF w Białej Podlaskiej.

W okresie tym ujawniły się też moje zdolności organizacyjne i chęć krzewienia kultury fizycznej i rekreacji wśród dzieci i młodzieży wiejskiej. Dlatego też założyłem, jako pierwszy we wsi, Ludowy Zespół Sportowy i byłem jego prezesem. Mieliśmy dużo sprzętu sportowego, ogromne chęci ćwiczenia i dużą popularność. Zawsze mówiłem: „Sport to zdrowie. Zapamiętaj to sobie” i dlatego też nigdy w życiu nie paliłem papierosów.

Była to szkoła życia, wyrabiania osobistego charakteru, wspólnego działania, wyjazdy na zawody i festyny.

Pamiętam taki fakt, że rowerem przywoziłem komplet strojów piłkarskich na stadion „Huraganu”, aby ubierać drużynę szkolną w rozgrywkach międzyszkolnych.

Za namową trenera Szczepańskiego i Jurka Samociuka, po ukończeniu LO złożyłem „papiery” do Filii AWF w Białej Podlaskiej.

Uważam, że byłem dobrze przygotowany skoro zdałem egzaminy już za pierwszym razem i otrzymałem upragniony indeks uczelni wyższej i do tego sportowej. Pamiętam, że byłem dumny, szczęśliwy i zadowolony. Byłem już „kims”, studentem AWF-u.

Trafiłem do akademika (blok „A” pokój 105 lub 106), gdzie zamieszkałem razem z kolegami z Międzyrzecza.

Jako ciekawy fakt należy podkreślić, że mieszkaliśmy razem przez 4 lata studiów w niezmienionym składzie: Jurek Samociuk, Józek Bergier, Sławek Kostecki i Arkadiusz Makaruk tworząc jakby drugą rodzinę, w drugim domu jakim był z pewnością akademik.



Od lewej: Sławek Kostecki, ja, Józek Bergier



Od lewej Jurek Samociuk i nasz gość Waldek Czempiński

Pokój nasz był udekorowany, jak inne; wisiały maty słomiane, a na nich mnóstwo kartek, zdjęć z wypraw turystycznych i żywe kwiatki na półce. Na mojej macie wisiały też pocztówki z Australii i Ameryki, które otrzymałem po wizycie rodziny w 1972 r. i już wtedy koledzy przepowiadali mi, że moje kolejne życiowe turystyczne marzenie spełni się i wyjadę do Ameryki.

Przepowiednie ich spełniły się w 100%, bo zwiedziłem „pół świata” i byłem 3 razy w Ameryce, o czym wspominam w dalszej części tego tekstu.

Razem z kolegami tworzyliśmy miłą, fajną wspólnotę w tym akademiku. Trudno to wszystko opisać, bo drzwi się nie zamykały. To kolega Staszek Kędra zajął, sprawdził jakie zapasy przywiozł się z domu po niedzieli, a to niezapomniany oryginał i dyskutant Leszek Mojsiejczyk, często też zaglądał Miłosz Żebrowski, z którym po latach spotkałem się w Szwecji, w mieście Lund i za Jego namową zakupiłem oryginalny niebieski dres i buty firmy „Adidas”, który był moim wizytowym garniturem w czasie pracy w szkole w Kielcach.

Nie sposób też pominąć kolegów: Wojtka „Bambułę”, Janka Wolaka, Mariana Szypra, Janusza Gałęckiego, Zbyszka Wojtiuka i... i przepraszam innych, że nie pamiętam nazwisk.

Rangę moją jako studenta podnosił fakt, że w 1973 r. do pracy w AWF w Białej Podlaskiej przyszedł, po warszawskiej AWF jako asystent, mój starszy brat stryjeczny mgr Tadeusz Makaruk, który notabene pracuje do dzisiaj na uczelni (jak on to robi, tyle lat).

Zaczęły się wizyty, spotkania, fachowe rady i porady z innymi asystentami, jego kolegami mgr. Markiem Juszczykiem, mgr. Kaziem Rybakiem i innymi.

Życie toczyło się pięknie, byłem zadowolony, zdobyłem wiedzę, doświadczenie, przebywałem z ludźmi o różnych zainteresowaniach, chodziłem na wykłady samych znakomitości, naukowców z dziedziny kultury fizycznej i sportu wyczynowego. Takich, jak np. nieoceniony, wspaniały pedagog, pełen życia i werwy doc. dr Kazimierz Czajkowski, ówczesny nasz dziekan, nieodżałowany i dostojny doc. dr Erazm Wasilewski – ówczesny rektor uczelni i następnici: doc. dr Antoni Olszewski, prof. Tadeusz Ulatowski, prof. Stefan Wołoszyn, prof. Kajetan Hądzelek i inni wykładowcy z AWF Warszawa.

W czasie studiów (należy pamiętać, że były to pierwsze lata nowej uczelni) nie mieliśmy wspaniałych warunków, hal sportowych, pływalni, bieżni tartanowej. Ale potrafililiśmy razem z kolegami zrobić lodowisko i utrzymać w porządku, rozgrywać mecze w hokeja między pokojami, pracować w Spółdzielni Pracy (słynne przeładunki na stacji kolejowej, co pozwoliło mi kupić pierwsze, własne narty zjazdowe).

Koledzy sportowcy ćwiczyli w KS AZS, którego prezesem był zawsze wesoły, ciekawy Józef Starzyński, działał już Zespół Tańca Ludowego „Podlasie”, a kapelą kierował p. Lech Tellos, działał chór akademicki mgra Zmirka, działał radiowęzeł, organizacja studencka SZSP z Januszem Gałęckim, no i na koniec wspomnę, że działało też kółko fotograficzne, którego byłem aktywnym członkiem wraz z Mietkiem Suteńcem.

Postanowiłem wszystko dokumentować, ale robiłem w tamtym czasie tylko zdjęcia czarno-białe, które teraz po 35 latach od tych wspaniałych wydarzeń mają wielką wartość historyczną (niestety, niektóre żółkną).

Mam tych zdjęć 6 dużych albumów z zajęć na uczelni, a to Spartakiada Międzyrocznikowa, a to występ kapeli zespołu tanecznego, kabaretu, rajdy i obozy studenckie, rozpoczęcie roku akademickiego, itd.

Razem ze Zbyszkiem Wojtiukiem tworzyliśmy na swój sposób dokumentację z życia uczelni, a w nagrodę, moje zdjęcie i tekst Zbyszka zamieszczone zostały w Kurierze Lubelskim w dn. 30.10.1973 r. (poniżej w/w artykuł).

W czasie studiów jest naprawdę mnóstwo ciekawych, wesołych i śmiesznych przeżyć. Pamiętam, jak jeździliśmy starym „Jelczem” na pływalnię do Puław (jeszcze nie było w Białej). Wyjazd około 5.00 rano, ale po trudach podróży było wesoło, jak np. mgr Marian Troszczyński na zbiórce mówi bardzo poważnym, spokojnym głosem: „Panowie, nie jest źle z waszym pływaniami”... i dalej męskie słowo jak wrzaśnie na cały głos: „jest tragicznie, co to jest? muchy sobie z nosa oganiacie?”, no i dalej już objaśnia spokojnie.



Artykuł z dnia 30.10.1973 r. Kurier Lubelski — „Gaudeamus” w białskiej uczelni



Od lewej: rektor AWF Warszawa doc. dr Tadeusz Ulatowski, drugi nasz rektor doc. dr Erazm Wasilewski i drugi od prawej w okularach doc. dr Antoni Olszowski, następny rektor po p. Wasilewskim.



W tańcu od lewej: doc. dr Kazimierz Czajkowski, doc. dr Antoni Olszowski i od prawej doc. dr Erazm Wasilewski, z tyłu doc. dr Tadeusz Ulatowski



Na widowni od lewej: mój pierwszy trener mgr Waldemar Szczepański i pierwszy od prawej mgr M. Krajewski



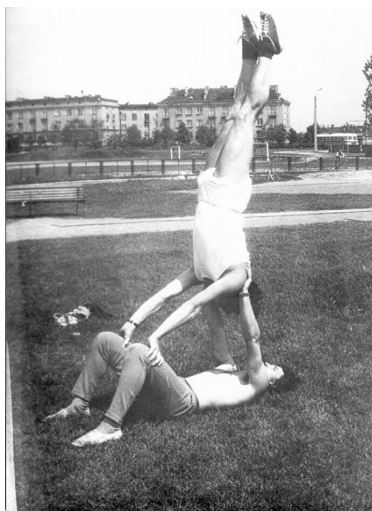
Młoda drużyna asystentów, od lewej: mgr Stanisław Arasymowicz, mgr Tadeusz Makaruk, mgr Marek Juszczyk, mgr Marian Rzędzicki, mgr Henryk Wyciszkievicz, mgr Kazimierz Rybak, mgr Stefan Litwiniuk.

Inna sytuacja, dla mnie poważna i humorystyczna zarazem wydarzyła się na wspaniałym obozie letnim, w ośrodku AWF Warszawa, w Pięknej Górze k/ Giżycka na jeziorze Kisajno. Prowadzący zajęcia z kajaków mgr Grzegorz Tarantowicz mówi, będąc na środku jeziora: „A teraz panowie wstajemy w kajaku i skaczemy do wody... tylko wszyscy naraz”. Myślę „o Boże, a jak z powrotem dostać się do kajaka, jak on ciągle odpływa... no, ale jakoś musiałem wejść do środka.



Ja na pierwszym planie, dalej Marek Krawczyk

Mimo różnych trudności, ale i przyjemności związanych z wyjazdami na obozy, rajdy wędrowne, piesze, obozy narciarskie w Zieleńcu - bazie AWF Wrocław, walczyłem z losem dalej i stawałem na głowie i rękach, cieszyłem się z osiągnięcia życia na sportowej uczelni.



Stoję na RR Janka Wolaka z Kolbuszowej.



Cieszę się z Wojtkiem „Bambułą” z pchnięcia kulą Grześka



Gonię Staszka Kędrę i Ewę Bielak, ale go nigdy nie dogonię, bo jest mistrzem w biegu na 100 m i wspaniałym pracownikiem uczelni (35 lat stażu).



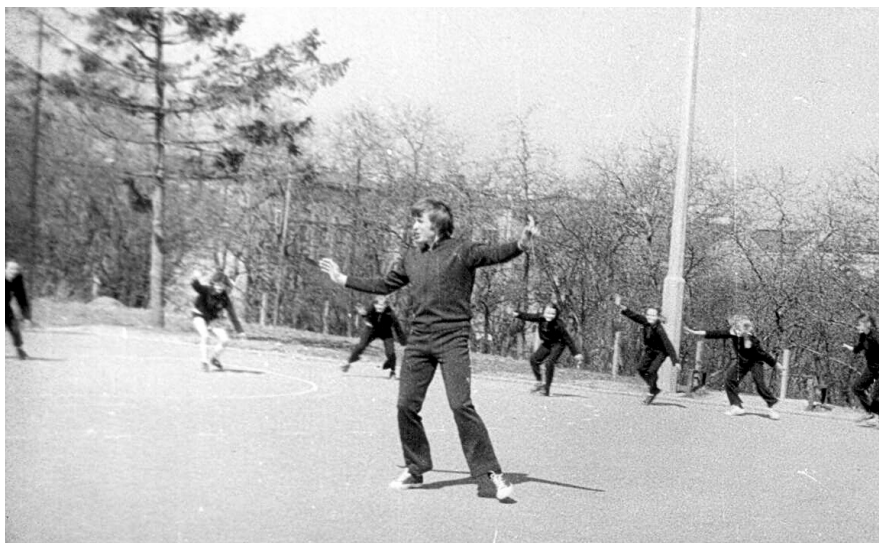
Moja grupa, od lewej: Leszek Mojsiejczyk, Grzesiek, Marek, Romek, ja, Janek Wolak, Janusz Gałeczki, Wojtek, Jan, Zbyszek Wojtiuk, Staszek Kędra... i Tobiasz... przepraszam dalszych kolegów, że nie pamiętam nazwisk.

Patrząc na moje pamiątkowe zdjęcia z lat studenckich w Białej Podlaskiej doliczyłem się aż 17 wyjazdów w kraju (jedna wycieczka do Leningradu z Biurem Podróży „Almatur”), na obozy, rajdy, wycieczki, kolonie, na których już wtedy byłem instruktorem wf.

Wiosną 1974 r. byłem na praktyce pedagogicznej razem z Maćkiem Kasprzyckim w jego rodzinnych Kielcach, w SP nr 6, gdzie były już klasy o profilu sportowym. Następnie drugą praktykę pedagogiczną 6 tygodni (wrzesień – październik w 1974 r.) odbyłem również w Kielcach w I L.O im. Żeromskiego.

Tam spotkałem bardzo dobrych, ciepłych, życzliwych, doświadczonych nauczycieli wf, między innymi mgr Helenę Sztolń i mgra Włodzimierza Sabata, późniejszych wizytatorów Kuratorium Oświaty i Wychowania w Kielcach.

Bardzo dobrze zostałem oceniony jako praktykant i powiedziano mi, że jestem dobrym materiałem na nauczyciela wf, zaproszono mnie do pracy po skończeniu studiów w sąsiedniej szkole – Technikum Budowlanym, gdzie miałem się wykazać wiedzą, jaką wyniosłem z AWF.



Pierwsze praktyki w SP nr 6 w Kielcach i zajęcia z wf

Tak w wielkim skrócie zaliczamy jeszcze jeden obóz narciarski uczelniany, robiąc specjalizację z biegów narciarskich u jakże cenionego pedagoga – specjalisty, który potrafił mnie nauczyć ś.p. mgra Grzegorza Tarantowicza, dobiegamy do końca studiów.

Na poważniej zająłem się turystyką, bo pracę magisterską napisałem z turystyki i obroniłem ją 16 czerwca 1975 r.

W 1975 r. po raz pierwszy otwarto w Polsce wydział turystyki i rekreacji na AWF w Poznaniu i ja, mając braki w wykszoleniu (nie było na moim roczniku zajęć z j. angielskiego – niestety, były to czasy komuny) postanowiłem zrobić drugi fakultet i zdawać tam egzaminy.

Chciałem być specjalistą turystyki z językiem angielskim. Po zdaniu kilku egzaminów (ze sprawnościowego byłem zwolniony) myślałem, że to tylko formalność. Niestety, nie było mnie na liście, więc natychmiast napisałem odwołanie do dziekana, który mi grzecznie wyjaśnił, że pamięta, że jako jedyny mgr wf chcę być jeszcze magistrem turystyki, ale brakuje 35 tysięcy nauczycieli wf w Polsce i proszę iść do pracy. Odwołanie do rektora też nic nie dało, no ale mi zaproponowano studia zaoczne, z których nie skorzystałem. Następne odwołanie znów napisałem, tym razem do GKKFiT, do mgra Włodzimierza Reczka... i wyjechałem na daleką wycieczkę samolotową z „Almatorem” do: Moskwy, Ałma-Aty, Duszanbe, Taszkientu, Samarkandy.

Po powrocie zastałem w domu odpowiedź z ministerstwa, że podtrzymują decyzję uczelni w Poznaniu... i proszą, aby iść do pracy w wyznaczonym kierunku, jako nauczyciel wf.

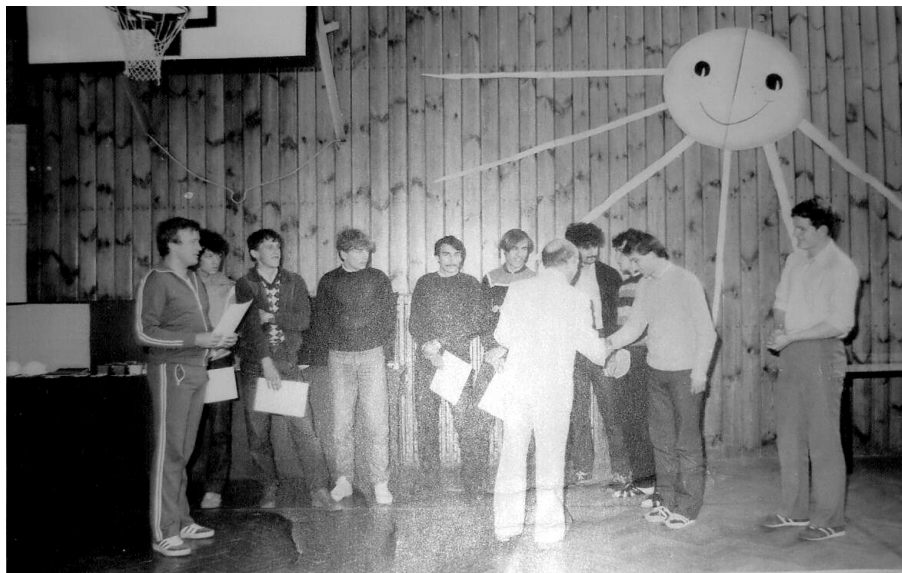
Po tym wszystkim zostałem w Kielcach i podjąłem wcześniej załatwioną pracę w Technikum Budowlanym. Ciekawostką jest fakt, że z mojego rocznika 6 asystentów zostało w pracy na uczelni: J. Bergier, S. Kędra, A. Piasecki, J. Gałęcki, M. Szyper, M. Bytniewski.

Pierwsza praca zawodowa

Pomyślałem, przeciwności losu ciąg dalszy... mimo że bardzo lubiłem być nauczycielem i przekazywać swoje umiejętności młodym uczniom.

Będąc jeszcze uczniem w LO pamiętam, jak mój nauczyciel profesor od fizyki i chemii (prywatnie to rodzina, bo to rodzony brat ojca) ciągle chciał ze mnie zrobić fizyka i powtarzał (gdy patrzyłem przez okno, jak starsi koledzy grają w piłkę siatkową), powtarzał słowa – „nieważne, kto ile podskoczył, bo to Ci nie da chleba”, okazało się później, że dało mi to dobry chleb. Zostałem nauczycielem wf w szkole średniej i z miejsca zabrałem się do ciężkiej pracy. Miałem twardy, zadziorny charakter, być lepszym od innych, starszych nauczycieli starszych szkół. Najpierw tworzyłem sobie, przy współpracy z warsztatami szkolnymi swój warsztat pracy: nową skocznię w dal, bieżnię 60 m, zieloną salę gimnastyczną, bramki na boisku asfaltowym do piłki ręcznej, słupki do siatkówki, linie do kortu tenisowego na asfalcie i zakupiłem dużo sprzętu sportowego. Po raz pierwszy chyba w Kielcach dostałem 100000 zł i samochód, pojechałem do Szaflar, zakupiłem narty biegowe do nowej sekcji. Wznowiłem działalność szkolnego klubu sportowego, rozpocząłem rozgrywki międzyklasowe we wszystkich możliwych dyscyplinach. Wprowadziłem plebiscyt na 10 najlepszych sportowców szkoły, zawsze z uroczystym podsumowaniem i wręczeniem pucharów i nagród w czasie święta sportu szkolnego.

Zorganizowałem atrakcyjne mecze piłki nożnej „nauczyciele szkoły kontra nauczyciele warsztatów”, wprowadziłem kronikę sportową i drugą kronikę „Na Olimpijskim Szlaku” z okazji Igrzysk Olimpijskich Moskwa 1980.



Od lewej: ja, 10 najlepszych sportowców szkoły, tyłem dyrektor wręcza nagrody.

Wyniki osiągałem na skalę wojewódzką i całą szkołę w ciągu 5 lat pracy wywindowałem w wielu dyscyplinach na wyżyny, miałem też bardzo życzliwego i wspaniałego dyrektora inż. Henryka Piotrkowskiego, miałem też życzliwych redaktorów sportowych z lokalnej prasy: Mieczysław Kaleta ze „Słowa Ludu”, Antoni Pawłowski z „Echa Dnia”, potrafili bardzo ładnie przedstawić osiągnięcia moje i moich uczniów, zamieszczając również zdjęcia i opisując od podszewki jak o 6.00 rano polewam lodowisko i jak kończę zajęcia w SKS o 20.00 wieczorem, jak maszeruję w dresie z młodzieżą na 1 Maja, mimo że nigdy do partii nie należałem. Faktem też jest, że najlepsze osiągnięcia sportowe przysłyły w roku olimpijskim 1980 i otrzymałem nagrodę z kuratorium w Kielcach i zapytanie na uroczystej akademii w dużej hali widowisko sportowej, czy chcę nagrodę pieniężną czy wycieczkę na 12 dni na igrzyska do Moskwy. Oczywiście, że wybrałem wycieczkę i razem z dwoma uczniami piątej klasy technikum (Andrzej Łęczyński i Andrzej Witkowski) byłem w Moskwie. Uczniowie Ci wygrali wojewódzki finał konkursu wiedzy olimpijskiej „Na Olimpijskim Szlaku”. Wtedy też na żywo zobaczyłem odważny i wymowny gest Władysława Kozakiewicza w skoku o tyczce. Mimo że igrzyska były

okrojone (nie brały udziału ekipy państw zachodnich), można było podziwiać wyczyny na światowym poziomie w wielu dyscyplinach. W czasach tych byłem trzykrotnie na wakacjach w Szwecji, Norwegii skąd przywiozłem pierwszy w życiu samochód, bo do tej pory jeździłem rowerem Wigry 3 i czułem się zdrowo. Już mi się wydawało, że jestem „kims”, że znanym w kuratorium i poprosiłem w marcu 1983 r. o miesięczny urlop bezpłatny. Cel był jeden wyjechać i zacząć zarabiać pieniądze na utrzymanie rodziny. Niestety, nie otrzymałem od razu urlopu, ponieważ byłem wychowawcą klasy maturalnej, mimo że wfm nie ma na maturze. Od decyzji dyrektora Heronimskiego odwołałem się do kuratorium, dałem zastępcę na miesiąc pracy, również absolwenta AWF Biała Podlaska mgra Jerzego Okrzeję i tym sposobem pojechałem na wycieczkę, organizowaną przez Biuro Sport Turist w Katowicach, a była to rzecz wspaniała i niezwykła – ostatni rejs Transatlantykiem „Batorym” wokół Europy na trasie: Gdynia – Londyn – Gibraltar – Barcelona – Tunis (Tunezja) – Aleksandria (Egipt) i wycieczka autokarowa do Kairu i Piramid i dalej rejs na Kretę – Warna i powrót samolotem do Warszawy. W szkole było wielkie zdziwienie, bo wszyscy wiedzieli jak trudno było otrzymać paszport w 1983 r. W pierwszym porcie – Londynie zeszły ze statku 33 osoby z myślą o Ziemi Obiecanej czyli Ameryce.

Wrażenie, zabytków i przygód nie jestem teraz w stanie opisać, to po prostu było cudowne wydarzenie w życiu.

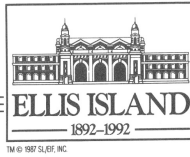
W 1984 r. po trudach pisania, wziąłem urlop bezpłatny w szkole i pierwszy raz poleciałem do Ameryki, konkretnie do Nowego Jorku. Wcześniej objaśniłem konsulowi w Krakowie, że byłem kibicem na Olimpiadzie w Moskwie, a teraz chcę być kibicem na Olimpiadzie w Los Angeles. Ameryka to był dla mnie wielki szok, wyzwanie i niesamowite przeżycie, które zostanie w pamięci na całe życie. W grudniu 1985 r. na Boże Narodzenie wróciłem do Kielc i od drugiego semestru podjąłem pracę w szkole. Te niezwykle doświadczenia z wielokrotnych pobytów w bardzo znanej i potężnej, na 20000 ludzi hali sportowej Madison Square Garden w Nowym Jorku, przekazywałem młodzieży. W czasie 12 letniej pracy w Technikum Budowlanym wyuczyłem sportowo 5 uczniów, którzy później ukończyli AWF (Krzysztof Józwik, Krzysztof Domała – który był na praktyce w mojej szkole i kadrze Polski juniorów w biegach narciarskich, Marian Sikora, Andrzej Marczewski i Andrzej Nawrot).

W 1988 r. na dobre poszedłem do turystyki i przenieśliem się do pierwszego prywatnego biura turystycznego w Kielcach „Kieltour” mgra Leszka Papaja. Zrobiłem kurs pilota wycieczek zagranicznych w języku angielskim w biurze Logos Tour w Krakowie. Zacząłem jeździć jako pilot z Orbisu i Harcturu po Europie. Już w pierwszym roku pracy byłem 3 miesiące w Kołobrzegu, jako rezydent biura na obozach, koloniach i wczasach.

W 1990 r. wyjechałem drugi raz w życiu do Ameryki, zostałem w Nowym Jorku. Dostałem też pracę w polonijnym biurze turystycznym jako kierowca i pilot wycieczki dookoła USA.

Był to mikrobus Chevrolet Lumina i zabrałem 7 osób w miesięczną podróż. Było to kolejne niepowtarzalne wydarzenie w moim życiu, ponad 7000 mil (11000 km) w ciągu miesiąca. Mijamy 4 strefy klimatyczne, Góry Skaliste, pustynie, prerie i potężne amerykańskie miasta. Zwiedziliśmy 12 Parków Narodowych, z najstarszym i największym Parkiem Yellowstone. Godne wspomnienia jest: rzeźba w Górach Black Hills, monument przedstawiający wodza indiańskiego Crazy Horse, którą rzeźbił przez 33 lata Polak z pochodzenia Korczak Ziółkowski. Na wycieczce tej od Atlantyku do Pacyfiku jechaliśmy północną stroną, 5 dni w Kalifornii, dzień w Las Vegas, dzień w Arizonie i dalej południową trasą przez Teksas, Florydę, Waszyngton do Nowego Jorku. W grudniu 1992 r. wróciłem do kraju i pracowałem w Orbisie w Skarżysku Kamiennej jako specjalista do spraw turystyki krajowej i zagranicznej. Podjąłem się wyzwania, aby pokazać turystom z zagranicy piękno Gór Świętokrzyskich (wycieczki polonijne jadące z Warszawy do Krakowa nie zatrzymują się w Kielcach). W tym celu zjeździłem całą Kielecczynę wzdłuż i wszerz i swoją prywatną kamerą Sony nakręciłem 6 godzinny materiał filmowy, z którego zrobiłem godzinny film o walorach turystycznych pt. „Ziemia Kielecka”. Film ten prezentowałem u wojewody, w ministerstwie turystyki, biurach turystycznych, WDKU i domach kultury na wsi. W 1993 r. ówczesny wojewoda kielecki dr Józef Płoskonka wystąpił do konsula generalnego USA w Krakowie z pismem o przyznanie mi wizy biznesowej do USA na wyjazd stażowy, organizowany przez ORBIS Warszawa i agencję turystyczną AMTA. W 1994 r. wyjechałem do Ameryki trzeci raz w życiu. Dobrze przygotowany wytrzymałościowo, psychicznie i turystycznie i zostałem tam aż do 2008 r. Zrobiłem zawodowe prawo jazdy kat. „A” i ostatnie 10 lat jeździłem potężnym 18-kołowym truckiem, zaliczając 48 stanów i setki tras po całej Ameryce. To jest ponad 800 tys. mil, czyli ponad 1.200000 km. W tym okresie miałem niezliczoną ilość wrażeń, przeżyć, cudownych spotkań, zobaczyłem Parki Narodowe, zabytki i potężne miasta od podszewki. Wystarczy na grubą książkę, którą zamierzam napisać.

W czasie długich lat pobytu udzielałem się też turystycznie, w biurach polonijnych, gdzie miałem kilkakrotnie wycieczki do amerykańskiej Częstochowy (Pensylwania). West Point – słynna akademia wojskowa, wodospad Niagara, Waszyngton, Kongres i Biały Dom. Zostałem też członkiem „National Geographic Society”, „Sierra Nevada National Park” i klubu zawodowych kierowców, ale najważniejszą rzeczą jest, że fundacja w muzeum Emigrantów, na wyspie Ellis w Nowym Jorku umieściła (wyrzyła) na Honorowym Murze Imigrantów.



The Statue of Liberty-Ellis Island Foundation, Inc.

proudly presents this

Official Certificate of Registration

in

THE AMERICAN IMMIGRANT WALL OF HONOR

to officially certify that

Arkadiusz Makaruk

came to the United States of America from

Poland

joining those courageous men and women who came to this country in search of personal freedom, economic opportunity and a future hope for their families.

Lee A. Iacocca
The Statue of Liberty-Ellis Island
Foundation, Inc.



Amerykańska Honorowa Ściana Imigrantów

Aktualnie, gdy wróciłem do Białej, zwiedziłem w towarzystwie Staszka Kędry i Tadka Makaruka, nowoczesne obiekty AWF i znów byłem w pozytywnym szoku. Jestem pełen podziwu i uznania dla władz uczelni. Cieszę się, że dane mi było wyjść dobrze przygotowanym w świat.

W dniu 10.08.2010 r. „Słowo Podlasia” zamieściło obszerny artykuł pt. „Spełnił swój sen o Ziemi Obiecanej”, dokumentując to czternastoma zdjęciami. I to jest jakby uhonorowanie moich podróży, które rozpocząłem, będąc studentem AWF Biała Podlaska.



Artykuł w „Słowie Podlasia” 10.08.2010 r.



Spotkanie po długich latach rozstania. Od lewej Tadek Makaruk, Mirek Makaruk, Staszek Kędra i ja.



Od prawej: Leszek Siejwa, Tadek Makaruk, Marian Szyper, ja

ZACHOWANE W PAMIĘCI...

Składam tą drogą serdeczne podziękowanie Teresie Jaślikowskiej-Sadowskiej za umożliwienie mi umieszczenia moich wspomnień w wydaniu książkowym.

Waldemar Antoni Kozłowski
absolwent 1976



„Kiedy więc dzieci żyjące swobodnie kształtują swoje ciało i utwierdzają zdrowie, kształcą tym samym i swój umysł i wzbogacają coraz nowymi wiadomościami. Cała zatem sztuka rodziców i mistrzów na tym polega, ażeby je takimi rzeczami zaprzętać, takimi bawić i przyjemnie zajmować, które by zatrudniając ciało i kształcąc zajmowały umysł i nowymi wyobrażeniami wzbogacały”.

„A lubo w doświadczeniu wychowania fizycznego czyli cielesnego, od umysłowego albo moralnego oddzielać nie należy i nie można, wszelako w nauce i rozumowaniu można je uważać osobno”

Jędrzej Śniadecki (1805)

Z archiwum mej pamięci – notatek kilka z niezapomnianych studenckich lat 1972 – 1976



Ja... Waldemar Antoni Kozłowski, z Bożej łaski trzecie z kolei dziecię płci męskiej z ojca Witolda z rodów Kozłowskich i Soborskich i z matki Danuty Bieleckiej z rodów Bieleckich i Zawadzkich herbu Rogoła, urodzony szlachetnie roku pańskiego 10 czerwca 1948 r., spod znaku bliźniąt. Ogłaszam wszem i wobec, że jestem władcą samego siebie i tego wszystkiego dobra, które w sobie posiadam od Boga etc., etc., etc., i piszę co następuję...!

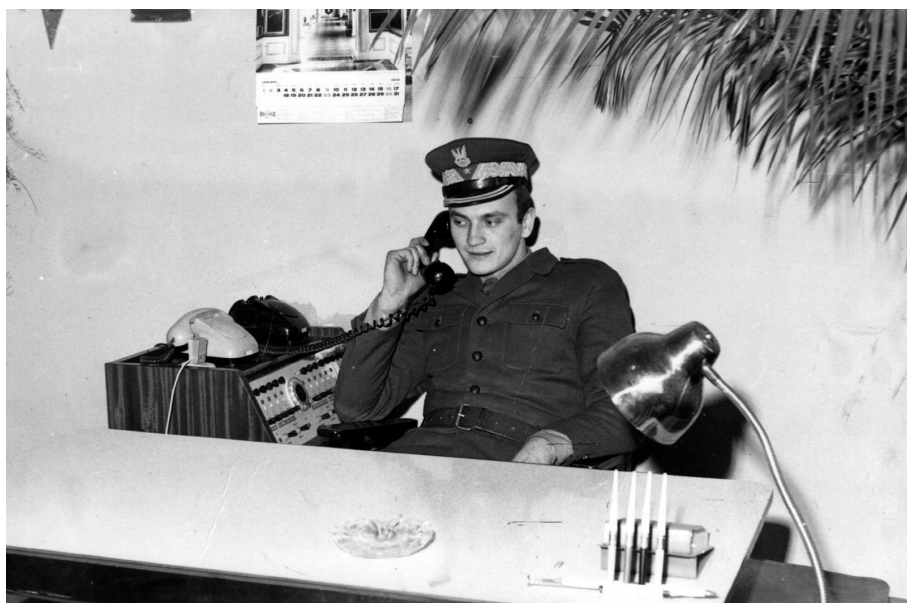
DZIECIŃSTWO. Wiosną 1954 r. los – (PRL) rzucił nas do Chełma (rodzice, 4-synów i niania-guvernanka ojca). Zamieszkaliśmy przy ul. Tubakowskiej w dzielnicy Pilichonki, jednym z bardziej niebezpiecznych miejsc w Chełmie. Pomimo ścigania ojca przez UB, że był Polakiem i miał nianię, a mnie przez oprychów z Pilichonek, nie daliśmy się. Tu przeszedłem dzieciństwo i szkołę radzenia sobie. Edukowałem się w SP przy ul. Szpitalnej 14. Byłem talentem sportowym, reprezentowałem szkołę we wszystkim, prawie w niej nocowałem, pomagał mi w tym nauczyciel wf mgr Edward Szałaj. Przez dwa lata wygrywałem w woj. lubelskim czwórbój lekkoatletyczny o puchar „Świata Młodych”, (byłem też powołany do krajowej reprezentacji 4-boju). Ojciec siedział 2-lata w obozie pracy bez wyroku. Promykiem rodzinnej egzystencji w PRL, tego

okresu były wizyty, przemycanego potajemnie, przyjaciela domu księdza Zygryda Berezeckiego; uwielbiał pierogi mamy i ojca nalewkę, wspaniała osobowość, nieskażony pazernością kleru.

MŁODOŚĆ. Po 1958 r. ojcu dali spokój, a w 1963 r. dostaliśmy mieszkanie przy ul. Mickiewicza (z wc i łazienką!). Karą za mój sport od ojca była dla mnie szkoła zawodowa, prawie bez lekcji wf, następnie technikum dla pracujących. Jednak w piwnicy urządziłem siłownię, przychodzili koledzy i oprychy, chyba czuli do mnie respekt, sportem uszlachetniałem ich, a na osiedlowym placu organizowałem dla dzieci zabawy. Miewałem motory m. in. „Jawę”, „MZ” i paczką hulaliśmy po okolicy, a romantyczne prywatki tamtych lat koily smutną szarą rzeczywistość PRL. Muszę tu perswadować, że moja natura permanentnie promieniowała w stronę kultury fizycznej – swobody i przyrody.

*

PRAWIE DOROSŁY. Pomysłem ojca na moją życiowo-polityczną stabilizację był start na Wojskową Akademię Techniczną. Zdałem, ale rygory sowieckiego wojska PRL, a moja swoboda osobista, doprowadziły do szybkiej stamtąd „ewakuacji”. W rezultacie 27 października 1970 r. trafiłem na dwa lata do jednostki Wojsk Ochrony Pogranicza Oddział w Chełmie.



Na służbie

Gdy przekraczałem bramę zobaczyłem wielki napis: „Witamy was”, a w koszarach „Mamy was” (te hasła moralności PRL utkwily mi w pamięci). Wojska nie da się opowiedzieć, to trzeba przeżyć. Tu rozpoznali mnie, za karę zostałem super żołnierzem, prowadziłem zajęcia sportowe z młodym rocznikiem. Reprezentowałem Oddział na Mistrzostwach Polski WOP i KBW w finałach: Rzeszów – piłka ręczna, Olsztyn – strzelanie, Kraków – wieloboje i Szczecin – ła i biegi terenowe. Od listopada 1971 r. (typowany przez ppłk Wiaka, szefa politycznego) zostałem tzw. osobistym pisarzem-adiutantem dowódcy Oddziału WOP płk dyp. E. Gumbarewicza (obaj Polacy, wspaniali humaniści, oddani sprawie żołnierzy). Dzięki nim zdawałem na AWF, krótko – kazali mi. Służąc dowódcy w sztabie, nie da się opisać jaką posiadałem władzę i wiedzę o wojsku PRL; właściwie mogłem do dowódcy wpuścić, kogo chciałem, chyba że stawał się na rozkaz dowódcy. Przez mój pokój wchodziło się do gabinetu dowódcy, przed drzwiami wielkie lustro, każdy musiał się przejrzeć, nie zapięty guzik, zmięty mundur itd. i delikwenta mogłem odesłać albo wpuścić. Posiadałem też wiedzę tajno-wywiadowczą: granica, przekroczenia, zapory, pościgi (ale i tak ruscy towarzysze-pogranicznicy wszystko kontrolowali). W cywilu przez jakiś czas służby PRL mnie sprawdzały.

FAWF... STUDIA... MGR... prawie „Super-Men”!

EGZAMINY. Prosto z koszar, zakompleksiony żołdak, jesienią 1972 r. z torbami (no chyba byłem wtedy kawał byka) wylądowałem z PKS na Placu Wolności w Białej Podlaskiej. Rozglądałem się i dumałem, no to chyba najdzikszy wschód, albo przyjechałem na poligon albo na zapory przy przekroczeniu granicy. Widok jak z twórczości Konopnickiej, wkoło kurne chaty i bida. Złapałem azymut i kierunek uczelnia FAWF, tu całkowity folklor wkoło zboża, kartofle i koszary ruskich. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ten rozbudowujący się AWF, jego idee i zdobyta tu wiedza, tak mnie w przyszłości unobilituje i też tu zdobyta przyjaźń wielu osób. Do dziś jest moją dewizą „My nie, my nie, my nigdy nie poddamy się AWF”. Może tak chciał los, że mistrzowie wykuwają się w męce, bez względu na warunki. Zakwaterowałem się, zwiedziłem swoją AWF, uczelnię, akademik itd., a tu pokaz mody, większość zdających miała firmowe dresy, napisy Polska, kadra, kluby – a ja w dresie żołdaka z biednego Chełma. Spotkałem kilku znajomych, pili (ja nie).

Pływanie – pływaniami rozpocząłem swoje kilkudniowe egzaminy. Ktoś raniem wpadł do pokoju, krzyknął egzaminy pływanie, skacowany chaos, ja spakowany wieczorem, chwyciłem torbę i do podstawionego autobusu. Większość kandydatów już była, reszta dosiadała się w biegu – to był „wesoly autobus,” niektórzy nawet serwowali kielicha. Stacja końcowa Janów Podlaski, Jezioro „Szczerebacz”. Było bardzo zimno, warunki dla twardzieli jak na poligonie, a nie na uczelni, byliśmy pionierami FAWF Biała Podlaska. Wysiadka,

przebieranie, zbiórka około 60 osób. Naprzeciw komisja – kobieta i dwóch mężczyzn; jeden z komisji podszedł do nas, krok wprzód kto umie pływać, były jeszcze 3 zapowiedzi i 3 kroki, m.in.: pijani nie zdają, tu jest bardzo głęboko i topielców nie będziemy wyciągać. Spojrzałem za siebie, z tyłu grupka chyba nie zdających; do egzaminu zostało nas z 40 osób. Start ze skarpy, około 20 m, pomost połączony z brzegiem liną, nawrót, a obok „bączek” z asekuracją. Skoczyłem, zimna woda, płynę jak mogę, szybko podpłynął do mnie „bączek” i słyszę głos pomocy: „Spokojnie, nie szarp się, ja też tu zdawałem, jest lina cichaczem jej się chwytaj” – i tak zaliczyłem.

Lekka atletyka – Stadion obok, po drodze szkoła pielęgniarek, dziewczyny miały przegląd. Biegi poszły dobrze, nie wiem dlaczego kulą pchałem ostatni. Wyczytany, wziąłem kulę, wytarłem i od tyłu do koła do pierwszego pchnięcia (jesteś mistrzem WOP – pomyślałem), koncentracja i..., byłem dumny „rzut” mi wyszedł, zmierzono 10 m i 20 cm. Ktoś z komisji powiedział: „Panu już dziękujemy, chce pan trenować w AZS?” Oniemiałem, byłem wszechstronny, ale nigdy niczego nie trenowałem wyczynowo, później pchnąłem 11.40 m.

Siatkówka – gimnastyka, tor, przedmioty, rozmowa, badania zaliczyłem dość dobrze, nic szczególnego mi nie utkwilo w pamięci, jedynie dużo mówiłem o Kusocińskim, ojciec nieźle biegał w wojsku i w latach 30-tych utrzymywał z „Kusym” kontakty. Sala, zbiórka, siad na ławeczce, pod oknem stolik z komisją, obok stos różnych piłek, jeszcze pokaz testu-egzaminu. Siatkówkę jako ostatni egzamin na FAWF zaliczyłem dobrze. Utkwiły mi dwa epizody (bez nazwisk, obaj ukończyli FAWF). Pierwszy (Jurek). Egzaminator pyta: „Co pan zdaje, siatkówkę? Proszę wziąć piłkę na środek i do zaliczenia.” Poszedł, przebierał, szukał, wziął piłkę i na środek sali. „Dobrą pan wybrał piłkę?” – głos z komisji. „Tak”. Zaczął odbijanie, jakoś mu nie wychodziło. Patrzę, a to piłka do „nogi”. Podszedł ktoś z komisji, coś mu powiedział, zmienił piłkę, śmiech na sali, jakoś dokończył. Zdających około 40 osób, kilku nie było, kilku do poprawki. Drugi (Miecio), wywołany z końca listy: „Co pan zdaje?” „Siatkówkę”. Podszedł, wziął piłkę i na środek sali. Piłka była do koszykówki. Śmiech na sali. Ktoś z komisji. „Może pan weźmie inną ładniejszą piłeczkę, będzie łatwiej?”. Stał i zastanawiał się. Głos z komisji: „A włosy panu nie będą przeszkadzały”? No, ten to miał „kudły”. „Nie”. „Czy grał pan kiedyś w siatkówkę”? „Nie raz”. „To pan wróci i weźmie piłkę do siatkówki, ta jest do koszykówki”. Nie wiem, jak to się skończyło, bo odezwał się głos z komisji „Kto zaliczył, może opuścić salę”. Wyszedłem jak wielu innych.

Rozmowa końcowa wiele lat śniła mi się. Wezwany, wszedłem do pokoju, usiadłem, nawet nie myślałem o alternatywie; jestem wzrokowcem. Wrodzona dedukcja i pedanteria często mnie wykańczała. Za stolikiem kilka osób, wzrok mój padł na teczkę z moim nazwiskiem, była jakaś cienka, leżały inne, grubsze. Głos z komisji: „Byłoby dobrze, gdyby nie pływanie”. Tłumaczyłem, że w Chełmie brak wody. Wstałem, serce mi waliło, przypomniał mi się satyryk Żałuski

cyt. „Stoję przed państwem, bierze mnie trema, przez chwilę jestem, a za chwilę mnie nie ma”. Z komisji: „Niech pan siada, nie wszystko stracone, po podliczeniu wszystkiego itd.” To, co usłyszałem wtedy, logiczne w chaosie głowy, to: „Gratuluję, jest pan przyjęty i czy dobrze się pan czuje”, dalej pustka... byłem oszołomiony. Przypomniały mi się słowa ppłk Wiaka, wierzę w ciebie, zdawaj na AWF, bo się marnujesz. Wtedy jeszcze nie umiałem się nawet cieszyć, jest pan wolny, wyszedłem.

Nie pamiętam, abym z kimkolwiek rozmawiał, spakowałem się i popołudniem PKS do domu. W autobusie, patrząc przez okno na uciekające sielankowe widoki soczystej zieleni lasów i łąk Macierzy, myśli kłębiły mi się w głowie – wojsko, marzenia osobiste, PRL – prześladowania, student dumnie AWF świątynia kultu i wiedzy, a tu Biała Podlaska, ubóstwo, chałupy, wozy drabiniaste i ja doświadczyłem jakiegoś wyróżnienia, chyba coś zaczęło się zmieniać w moim życiu, może PRL się rehabilituje itd. – gdzieś za Wisznicami pustka. W Chełmie, na głównym, kierowca mnie obudził: „Co, z woja, rezerwa?”. Tego nie zapomnę, tylko nie rezerwa, a koniec z wojem. Ocknąłem się i zerwałem z miejsca. Kierowca – spokojnie, spał pan, a ja patrzyłem przez lusterko, aby jako rezerwiście nic panu nie zginęło. W domu nie da się opisać mojej radości. Przez 4 lata ta trasa „najdłuższych kresów” była moją drogą do wiedzy w FAWF i wyrocznią losu, ba, nawet wyboru życiowego „amen”.

STUDIA rozpocząłem w październiku 1972 r. Dopiero po ślubowaniu, „Gaudeamus” i otrzymaniu indeksu, uwierzyłem, że to prawda. Czas nas weryfikuje, a nasze dokonania budują nam alibi na dobroć „Boską” i lepszy los. Dajesz dobroć i ona do ciebie wraca – i nie kuś losu, bo lubi się mścić, a czynami budujemy swój autorytet. Byliśmy rocznikiem pionierskim i my wszyscy, wtedy cała FAWF Biała Podlaska wspólnie uczyliśmy się i tworzyliśmy tradycje obyczajowości życia w tamtym czasie i na przyszłość.



W latach studiów 1972-1976 byłem mieszkańcem Domu Studenta – akademika, który stał się moim drugim domem – egzystencję rozpocząłem na parterze bloku A, pokój 6. Byłem częścią tego organizmu na dobre i złe. Byłem świadkiem tworzącej się tu pionierskiej historii obyczajowości braci studenckiej FAWF Biała Podlaska, a wiele aspektów tej historii sam tworzyłem. Mój rocznik 1972 był pionierski, najliczniejszy i jako pierwszy szedł kursem magisterskim. Dom Studenta powinien być jak dom rodzinny dla prawdziwego poczciwego studenta. Jednak dzięki naszym ciągłym twórczym modyfikacjom był okresowo: domem rodzinnym, w którym świętowaliśmy wszystkie polskie święta rodzinne, narodowe i kościelne, świetlicą, biblioteką, gabinetem nauki, kinem, kabaretem, restauracją, nocnym klubem, kasynem a też i domem rozputy – mimo ciągłego nadzoru i tak musi być totalne wyszumienie się na I roku, żeby później było już tylko bardzo dobrze. I pomimo tego, że indywidualnie, grupowo i w swoim gronie robiliśmy w akademiku „orgie obyczajowe”, to jak przyszło bronić honoru studenta FAWF na zewnątrz, to cały stan – zbiórka przed akademikiem i bić wroga, kultura musi być, a naszym mistrzom nauczycielom FAWF zawsze należyty szacunek.

Właściwie to I rok mignął, nie wiem jak, nic się nie uczyłem, czasami coś bąknąłem inteligentnie, a mimo to moi mistrzowie-nauczyciele FAWF dawali mi swoją życzliwość, wiedzę i szacunek do pracy. Muszę stwierdzić, że to oni swoją osobowością zachęcali mnie i innych do dalszej pracy. Od II roku wzięłem się do pracy.

W czasie I roku poznawaliśmy się i docierali, żyliśmy jak w rodzinie, jednak rozpusta w akademiku sięgała zenitu, nie byłeś pewien ani chwili. Kładłeś się spać sam i trzeźwy, a wstawałeś pijany, a nawet dziewczica koło ciebie, albo jeszcze biesiada w pokoju, a między blokami akademika rankiem zobaczyłeś romantyczne części garderoby żeńskiej: majteczki, biustonosze itd. Robiliśmy sobie najróżniejsze psikusy. Nie powiem, w kilku dobranych pokojach celibat był całkowity i konspiracyjne kucie wiedzy.

Jako pionierzy spragnieni mocniejszych romantyczno-procentowych wrażeń robiliśmy często turystyczno-rekreacyjne wypady w teren, po jeszcze nie-ujarzmionych, jakże dzikich zakątkach i dziewiczych enklawach bialskiej, prymitywno-wiejskiej metropolii. Nie powiem, nie przygotowana na takie nagłe i natychmiastowe wyzwania, „biznesowa”, biedna społeczność tubylcza w szybkim tempie organizowała braci studenckiej, w miarę higieniczne, punkty rozputy: lodziarnie, lokale piwne, jadłodajnie z alkoholem itd. A miejscowe dziewczoje rozpozczęły „dzikie ataki” na dzielnych adeptów AWF.

Wprost uwielbiały nas i przyjmowały bardzo gościnnie i rodzinnie. Życie towarzyskie kwitło w „Stylowej”, „Podlasiance” i „Ludowej”.

Niejednokrotnie tubylcza męska nacja sprzeciwiała się temu i napadała na naszą brać studencką siłami ogromnymi. Gdzieś na przełomie III semestru, w 1973 r. cierpliwość nasza się skończyła i nasza pierwsza 60-osobowa grupa

rocznika 1972 (kilkunastu było z innych roczników), ruszyła spod akademika i udała się na miejsce „egzekucji”, krzewiąc kulturę siłowo-karną wśród tubylczej męskiej ludności. Kruczjata była prawna i natychmiastowa, i odbiła się szerokim echem. Tak zapanował spokój na wieki i pojednanie. Dochodzenie wychowawczo-kryminalne w tej sprawie dzielnie prowadził sam doc. K. Czajkowski, wielokrotnie mnie wzywał, były też wezwania na MO.

W akademiku pokoje 4-osobowe, warunki spartańskie, często brakowało na wszystko, jakoś sobie radziliśmy, rozpusta kosztowała. Głośnik-kołchoznik na ścianie był jedynym codziennym tajemniczym promykiem, przypominającym nam o rzeczywistości, informacji i muzyce. Wałówki żywnościowe przywiezione z domu konsumowaliśmy wspólnie. Czasami po przyjeździe z hulanki do akademika wieczorem, suchy chleb, stary smalec, cebula itd. była rarytasem, a jeszcze popita mlekiem ze szklanej litrowej butli albo inne napoje itd. Niektórzy dla nauki i pozyskania wiedzy stosowali różne metody: trening autogeny, picie drożdży itd., niektórzy kuli strasznie, a ile wysiłku wkładali w sprawnościowe przygotowanie, niekiedy do północy. W konspiracji królował poker i „oko”, a oficjalnie na holu gra w tzw. „piłkarzyki”, były też mistrzostwa drużynowe.

Organizowaliśmy emocjonalne, zacięte i pełne zaangażowania ligi, turnieje, zawody i rozgrywki między rocznikowe z lekkiej atletyki, gier zespołowych, hokeja na lodzie, brydża, a nawet z tenisa ziemnego. Trwały niekiedy do północy, kibice, flagi, transparenty, trąbki itd., dyskusjom nie było końca. W pełnym godności stylu oraz wytworności studenckiej organizowaliśmy półmetek i „Juwenalia”, były to wielkie nasze studenckie święta, i demonstracja naszej kultury i tradycji – to trzeba było zobaczyć i przeżyć.

AKADEMIK – pierwszym punktem strategicznym w akademiku była PORTIERNIA – był to pierwszy kontakt „żywym towarem”. Był tu telefon i źródło wszelkiej informacji, tu też był punkt zbiórek. Jak przyszedłeś późno z hulanki, procentowy itd., trzeba było panie uprosić o dobroć, chciałeś puścić anons przez głośnik, to pani zaciągająca z ruskiego wszystko przetworzyła i powiedziała. Drugi, to obok portierni RÓG wejścia do bloku A w lewo, a dalej szło się do naszych kobiet. Tu pod ścianą kaloryfer, było ciepło i miałaś punkt towarzysko-obszerny i przegląd wszystkich dziewczyn. Dalej ŚWIETLICA – był telewizor, tu odbywały się



Bal naszego roku, od lewej Antek Pogorzelec i ja



Juwenalia – bal największe sex-bomby roku, a ja w środku

dyskoteki i zebrania. Dalej STOŁÓWKA, no jedzenie było mierne, ale na „sępa” można było czasami coś dostać. Było też biuro DS i super kierowniczką i Rada Uczelniana, później był obok sklepik. Chyba w ciągu bloku żeńskiego C był gabinet lekarski – kierownikiem przychodziła p. doktor Krystyna Trzeciak, żona prowadzącego turystykę szkolną. Była ciągle poszukiwana, dla informacji na drzwiach gabinetu ulokowała kolorowe koło podzielone napisami: jestem w barku, na uczelni, w sali itd., a na środku strzałka, postawiona na poszczególne pole, wskazywała – tu jestem. Akademik mieścił prawie wszystkich studentów. Obiekty sportowe były skromne, wszystko było w rozbudowie a myśmy wspomagali budowanie swoimi fizycznymi czynami z łopata, grabiami itd. – jako przyszli mistrzowie-nauczyciele tak hartowaliśmy ciało i ducha, dla dobra przyszłej pracy i Najjaśniejszej RP.

Koledzy prowadzili też radiowęzeł, a w nim muzykę i różne wieści. Bochenek „wyginał” z ciepłą wodą, był alkoholowy, były i na niego sposoby.

Pod koniec I roku niejaki „Proncio” wszedł do mego pokoju i powiedział do mnie „Czacha”, coś tam chciał. Mnie zaszokowało, że tak się do mnie zwrócił. Od tej pory moja ksywka „Czacha” funkcjonowała nawet na ćwiczeniach i wykładach, od mgr do profesora; nawet to nobilitowało, bo nie każdy mógł sobie pozwolić na to, aby tak się do mnie zwracać. Dochodziłem genezy „Czachy”. Mówili, że jak mnie pytali o coś, to wszystko wiedziałem. Właściwie z nauki byłem prawie, a z zajęć fizycznych byk. Fakt, znałem dobrze medycynę ludową i potrafiłem z użytkowego prowiantu zmontować mikstury i medykamenty



Czyny społeczne na rzecz uczelni, od lewej: Edmund Lenz, Bronek Proskura, dalej nie wiem, pierwszy od prawej to ja.

na przeziębienia, kaca itd., i postawić w kilka godzin klienta, chwilowo procentowego na nogi (odpowiednio mieszane, spirytus, piwo, mleko, mleko zsiadłe, masło, czosnek, cebula, miód, mięta, lipa, siemię lniane, herbata itd.) i oto im chodziło! Mam dar Boski i umiejętności manualne. Przypomniał mi się pokój super-laski Zosi Serafin, później Cicirko, jedna z lokatorek miała coś tam, jakąś kontuzję nogi, komplikacje itd., nie wiem, jak tam trafiłem, ale po serii terapii i masaży doszła do sprawności, byłem dumny.

Wspomnę o najbliższych kolegach mego roku, z którymi współtworzyliśmy historię FAWF tamtych lat (ksywa i co uprawiał w AZS): Jerzy Białczak, Gienek Bochenek, Piotrek Brzozowski, Piotrek Chabroszewski, Wojtek Chyliński (piłka ręczna), Jasio Grabiński, Jasio Kostrzewa (siatkówka), Fredek Królikowski „Czarny” (piłka ręczna), Waldek Nieleszczuk (piłka ręczna), Edmund Lenz, Józek Olechnowicz, Bronek Proskura (dysk), Antoś Pogorzelec (zapasy), Stefan Przybysz „Stiw” (piłka ręczna), Mirek Puszek (ciężary), Adaś Rozwadowski (tenis stołowy), Miecio Sar (oszczep, piłka ręczna), Krzysio Siedlecki „Małpa”, Rysiek Soćko (ciężary), Andrzej Szajdziński, Sławek Szczerbiński (narty wodne), Marek Tracz „Siwy”, Wiesio Watras (biegi średnie), Waldek Widerski „Wery”, Karol Wiśniewski (piłka ręczna), Krzysio Wróbel „Czigas” (piłka ręczna) i ja Waldemar Kozłowski „Czacha” (400m, kula, piłka ręczna) i „Mufka”.

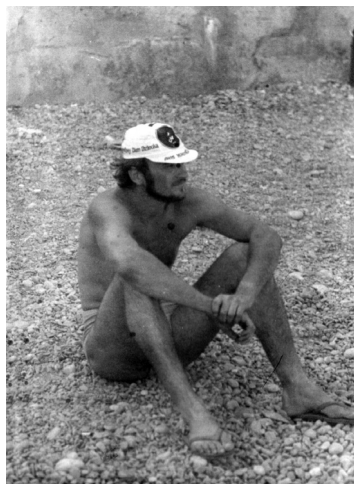


*Od lewej 1,2 nie wiem, trzeci to ja, czwarty Broniek Proskura,
doc. K. Czajkowski, mgr A. Kuźmicki*

Z natury jestem samotnikiem i indywidualistą dużej wiary (na to pozwalała mi chyba moja siła fizyczna i psychiczna), choć też z natury jestem wrażliwy i czuły na potrzebujących.

Czuję wstręt do chamstwa, alkoholu i papierosów. Aby się dobrze bawić, posiadam sztukę kamuflażu picia i udawania pijanego. Ale jak ktoś mnie zaprosił do pomocy, nigdy nie odmówiłem. Właściwie to udzielałem się wszędzie: w Radzie Uczelnianej, w AZS, w SZSP itd. Otrzymywałem stypendium socjalne i o szczęście przez 3 semestry stypendium naukowe. Wyspecjalizowałem się też w pracach na rzecz rozbudowy mojej ukochanej uczelni.

Trenowałem u trenera mgra Wojtka Jankowskiego piłkę ręczną, na III roku, z jego „rozkazu”, przez 3 semestry prowadziłem grupę młodzików w AZS; u trenera mgra Grzesia Tarantowicza trenowałem 400m i kulę; u trenera mgra Bola Troszczyńskiego judo i jako zawod-



Sam na plaży

nik tych dyscyplin uczestniczyłem w zawodach rangi uczelni, AZS i AWF. Fakt, byłem silny. Kolega z młodszego rocznika, Chełmianin – typ spod ciemnej gwiazdy, niejaki Marian Skrajnowski (ciężarowiec), brakowało im chyba do ciężkiej wagi, podpuścił „Dziadka” czyli doc. Czesława Borejszę, ten kazał mi chodzić na specjalizację z podnoszenia ciężarów; tego mi jeszcze brakowało, znęcali się nade mną, a ja musiałem ćwiczyć tzw. układy i brać udział w zawodach. Od IV semestru (1973/74) wprowadzono tzw. zajęcia fakultatywne – specjalizacje, to było fantastyczne dla mnie i innych. Zamiast rozpusty, od razu zapisałem się na wszystkie i, poza lekką atletyką, piłką ręczną i judo, uczęszczałem jeszcze na treningi do trenera mgra Kazia Rybaka z siatkówki, do trenera mgra Mirka Popczyka z koszykówki i do trenera mgra Henia Wyciszkwicza z akrobatyki – batut; zajęcia z nimi to poezja i klasyka. Tak miałem naukowo i racjonalnie zagospodarowany czas, a i na przyszłość poznanie tajników tych dyscyplin.

Uczelniana drużyna piłki ręcznej KS AZS, której byłem zawodnikiem, krzewiła i propagowała kulturę i sport na zewnątrz.



Drużyna piłki ręcznej KS AZS

Autobusem na mecze, cała fantastyczna otoczka, wspomnienia. Trener Wojtek Jankowski i jego: „Kurde chłopki, co jest? do roboty!”, my byki, a on małuch, a posłuch był jak cholera (wyżej wymieniłem, kto grał w piłkę ręczną).

Mistrz mgr Mieczysław Krajewski wykładał nauki polityczno-filozoficzne. Napadła raz na mnie w akademiku przestraszona blond Miła z Milanowa, zawsze miała seks w oczach, „Czacha” masz chody u „Feuerbacha” (tak nazywaliśmy mistrza Krajewskiego), trzeba nam wpisy do indeksu, bo będzie poprawka. No dobra, przygotowałem plan, wyszpiegowałem, kiedy będzie w pokoju. Pukam, cisza. Po chwili chrapliwy głos, wejść. Wchodzę, a tu mistrz w slipach ćwiczy pompki na piąstkach i to na 3 krzesłach. Stoję i patrzę, on dalej ćwiczył, po chwili wstał. Rozejrzałem się po pokoju, wyglądał jak sala tortur z okresu Spartan, wszędzie jakieś przyrządy, łóżko metalowe, biurko. On sam jak gladiator albo jak druh-przodownik „Sokoli”. „Siadaj”. Wziął prysznic, przyszedł w dresie. Po chwili graliśmy w szachy popijając koniak (jak się wzbraniałem od picia). Zakład: „Podpiszę tyle indeksów ile wygrasz partii”. Wygrałem tylko dwie. Rewanż za dwa dni. Do pomocy wziąłem kompana – siłacza Bronka Proskurę. Pukamy, otworzył mistrz, miał bardzo dobry humor, musieliśmy przejść jego testy siłowe, dalej Broniek zajął się koniakami, a ja szachami. Wygrałem wszystkie partie, dyszał ze złości, mało mi nie przysunął. „Mistrzu” mówię, ja naprawdę dobrze gram w szachy”. Były dalsze spotkania, to już tajemnica. Mistrz Krajewski był porywczy, jak mówił to się ziemia trzęsła, do dziś mam gdzieś w uszach jego powiedzonko: „Waldek, najpierw trzeba pomyśleć, a później strzelać – kowboj najpierw strzela, później myśli”. Z Bronkiem pomagaliśmy jeszcze w wielu takich akcjach u innych – to już tajemnica.

Mistrz mgr Stanisław Arasymowicz od teorii i metodyki wychowania fizycznego, stosował niekonwencjonalne metody przekazywania wiedzy. Czasami nie wiedziałem w ogóle, o co chodzi, myślałem, że to chyba tak ma być, inni nie reagowali, skoro wychodziło na dobre. Kiedyś podsumowywaliśmy jakieś badania, testy, nagle mistrz powiedział na koniec zajęć: „Jest dobrze i wszystko płynie, jak to mówił – pan Tarej” i możecie wychodzić. Wyszliśmy z sali, na korytarzu zawrzało, a w świat studencki poszła fama tego powiedzenia.

Mistrz mgr Henio Lenart – super osobowość, działacz GOPR, taternik i alpinista. Z początkiem 1975 r. zebrał nas – 20-osobową grupę (jak mówił zauważył nas) i przeskokił w poruszaniu się po górach – stworzył super-grupę i wszczepił w nas bakcyła gór. Pod koniec sierpnia wywiózł nas do Zakopanego i od 3 września ruszyliśmy na podbój Tatr. Wymarsz o 6.00, powrót do schroniska nocą. Prowiant i sprzęt w plecakach na plecach, gotowanie, jedzenie w trasie. Jak nie było miejsca w schronisku, spaliliśmy w śpiworach, na zewnątrz –5 stopni, myliśmy się, kąpaliśmy się w górskich stawach i potokach. Zdobywaliśmy Rysy i inne szczyty, na Świnicy przeżyliśmy burzę. Przeżycia, widoki na całe życie, rozmiłował nas w Tatrach. Na koniec wyprawy załatwił nam z ZG PTTK Zakopane specjalne wydanie map pt. „Szlaki Turystyczne Tatr Polskich” 1975 r., mam je do dziś i palcem przebywam trasę, wspominam tamte czasy.

Mistrz mgr Leon Trzeciak – turystyka szkolna. Na koniec III roku zorganizował obóz letni wędrowny kajakowy po rzece Drwęcy; dziewiczy nurt, cudowne okolice, soczysta trawa. Namioty, plecaki, 10 kajaków, chłopaki, dziewczyny. A mnie zaszczycił funkcją kierownika wyprawy, na koniec mnie pochwalił – byłem dumny. Wspomnienia, marzenia pozostały w pamięci do dziś!

Mistrzyni mgr Krysia Górniak – ćwiczenia korektywne. Zawsze pogodna, uśmiechnięta, taktowna i natchniona. Nas grupa byków i rozrabiaków, a ona zawsze panowała nad nami. Nauczała jak korygować wady postawy, ale i nasze kręgosłupy moralne. Niezapomniane były z nią grupowe wycieczki do szkół i ćwiczenia z dziećmi, a i sposób jej przekazu.

Mistrz doc. Bogdan Tuross – medycyna wf i sportu. Był bardzo lubiany, miał ksywę „Kotlet”. Mimo swej puszystości chodził tak wdzięcznie, jakby nie dotykał podłoga. Prowadził ćwiczenia i miał sexi-asystentkę. Dzień był słoneczny, tłumaczył jak wyglądają badania EEG i EKG, nagle docent wyszedł, dalej prowadziła asystentka, powiedziała może ktoś z panów na ochotnika do badania EKG, tylko trzeba uważać, bo tu prąd itd., cisza... Mirek Puszek, „Czacha” nudzi się... to ja, mnie tam na życiu nie zależy, prąd to prąd. Położyłem się na leżance, asystentka mnie podłączyła, opanowałem brzuchomówstwo, gardłowe bicie serca, przewracanie powiek, nawet nie wiedziałem, co za numer wtedy wytnę. Leżę, wykres EKG leci, ona relacjonuje, tymczasem ja wywróciłem powieki, gardłowe bicie serca i dusząc się wstaję, prąd mnie itd.... (chyba wyglądało to okropnie), chłopaki zareagowali, jedni śmiechem, drudzy – „Niech pani patrzy”. Asystentka biedna w krzyk, chciała to rozłączyć, nagle zobaczyłem nad nią twarz doc. Turossa, ja zdrętwiałem, docent wyrwał kable z kontaktu, zaczął mnie reanimować, wtedy mi to było potrzebne, dyszał ze złości (ukończyłem Technikum Elektroenergetyczne), wszystko naprawiłem.

Jeżeli chodzi o żaków Mirka Puszkę i Piotra Chabroszewskiego. Kiedyś z Piotrusiem byłem semestr w grupie. Koniec świata, nasze „humor-numery” doprowadzały do tego, że prowadzący przypominał sobie na końcu zajęć, że jest prowadzącym właśnie te zajęcia. Mireczek – miejscowy, ciężarowiec pytany, miał twarz, jakby był wyrwany z marzeń. Anatomia nas prześladowała. Aby zaliczyć, Mireczek uczył się na pamięć książki. Pytany wstawał, ktoś wtajemniczony mówił Mirkowi numer strony, wiersza, no i Mirek recytował; raz Mirek mówił dobrze, ale nie przerwał, „wali” dalej, prowadzący patrzy i pyta: „Co pan książkę recytuje? Dziękuję” Mirek siadając: „Durniu, czego mi nie przerwałeś? Później się wydało, ale za pomysł dostał zaliczenie.

1 maja 1973 r., był to mój pierwszy udział w tej manifestacji i siłowo narzucony ogólnie.

Kolumna nasza prezentowała się wspaniale. Pochód się włókił, postój – marsz itd. W głośniku ktoś, coś... nudziło się. Najbardziej nadzorował porządek wśród nas Bolo i doc. Kazio. Przechodziliśmy obok trybuny, cisza, spokój i nagle ktoś z towarzyszy spod trybuny ryknął: „Niech żyje czerwona Moskwa!” aż



Zmęczeni pochodem

nas obudził i przestraszył, to ja krzyknąłem: „I Biała Podlaska”. Byłem wzywany.

W lipcu 1973 r. z Krzysiem Wróblem wybraliśmy się na wycieczkę do NRD, do brata. Warszawa, pociągi nam uciekły, więc my na Okęcie i lot do Berlina. W samolocie można było palić, Krzysio zapalił „sporta”, smród na cały samolot, naprzeciw nas dwie matrony do Belgii, nawymyślały nam, to ja wziąłem od Krzysia 8 sztuk, wsadziłem do ust, zapaliłem i zrobiłem zadymę papierosową, no i wtedy była draka, ale nic z tego złego dla nas nie wyszło, one już milczały. Po wielu perypetiach przybyliśmy do brata. Zwiedziliśmy Schonebeck, Magdeburg, Berlin i hulaliśmy po okolicy, a „Helgi” – Niemki nas rwały, przystojniak Krzysio miał super wzięcie, ja byłem w jego cieniu, wtedy nasza miłość do Niemek miała granice na Odrze i Nysie. Z Berlina do Warszawy pociągiem, przed odjazdem spacerowaliśmy obok Berlińskiego Muru, popijaliśmy sznapsa, gapiliśmy się i dumali, jak tam za tym murem jest? Byliśmy chyba za blisko, bo zainteresował się nami jakiś ruski – oddaliliśmy się.

Od 1973 r. letnie obozy szkoleniowe, pływanie, kajakowanie, żeglowanie mieliśmy w bazie letniej Piękna Góra k/Giżycka nad Jeziorem Kisajno.

Wtedy jeszcze nie mieliśmy swojej bazy i jako filia korzystaliśmy z bazy AWF w Warszawie; oni obozowali latem, a my po nich, jesienią; zimno i komary. Ale mimo ogólnego zimna – do 15 stopni, gdzie w wodzie było cieplej niż na powierzchni, to były niezapomniane czasy, rozbijanie namiotów, w nich spanie, obozowe życie, hartowanie ciała i duszy. O 6.00 pobudka, bieganie po



Centralny plac obozowy

lasach i jarach, 22.00 cisza nocna, przed snem myślałem, że komary nas zjedzą, raniem byłem cały pogryziony, patrzę wszystkie komary leżą, a to uwalił ich mocny aromat piwny, ale zawsze była kultura. Kursy na żeglarza, sternika, szkwały, kilwatery, ciągle nasz wzrok padał gdzieś na Omegi z „laskami”, a naszą łajbą w sitowia, a Wojtek Jankowski: „Gdzie się gapić, do roboty”. Okropnie zimno, my 15 osób w slipach trzęsiemy się na pomoście, z „bączka” głos mistrza Bogajewskiego: „Skaczesz, dopływasz do mnie i z powrotem”. Skoczyłem, szok... „Jak się nazywasz?” głos mistrza. Zimno ścisnęło, tylko bełkot, taka była nauka pływania, ale była. Niezapomniane były nocne regaty niezapalnymi jachtami aż na Jezioro Mamry. Na obóz przyjechaliśmy autobusami.

Z braku pływalni na uczelni, nasz rocznik jeździł autokarem na naukę pływania do Puław. Były to niezapomniane turystyczno-rozrywkowe ranne wyjazdy, prowiant, stroje itd. Dopiero z początkiem IV roku wybudowano mały basen, nie do pływania, ale tzw. strażacki i tak w nim pływaliliśmy – takie były czasy.

Zimowe obozy szkoleniowe, narty zjazdowe, biegowe mieliśmy w pięknej bazie zimowej w Zieleńcu. Mieszkaliśmy w super schronisku „Orlica” na granicy z Czechosłowacją. Jechaliśmy tu do Zieleńca dwa dni koleją – to było kino objazdowe, tu „Bolo” zrobił mnie grupowym i tym ukrócił mi rozpustę.



Od lewej stoją: nie wiem, Piotrek Chabroszewski, Karol Wiśniewski, Waldek Nieleszczuk; od lewej siedzą: Gieniek Bochenek, nie wiem, ja



Ja i Micio Sar



Autor



*Zieleniec, od lewej: nie wiem, Jurek Biańczak, ja, Waldek Nieleszczuk,
Krzysio Wróbel, mgr Grzegorz Tarantowicz, klęczcy W. Chyliński,
siedzi od prawej S. Szczerbiński*

Latem 1974 r. wycieczkę do brata do NRD powtórzyłem z Marianem Skrajnowskim. Tym razem zwiedzaliśmy także Lipsk i słynne targi. Kilka razy biliśmy Niemców, bo nas zaczepiali.

W tym samym roku (lipiec-wrzesień), w nagrodę z uczelni odbyłem wycieczkę: Moskwa, Krym, Morze Czarne, Mały Kaukaz, Gruzja, Odessa, Kijów oraz Symferopol, Jałta, Soczi, Batumi, Suchumi, Tbilisi. Organizator Lublin „Almatur” 60 osób, byłem jedyny z AWF, zrobiono mnie „szefem” ds. polityczno-sportowych. Gospodarzem był CCCP Krym „Sputnik” – bazę mieliśmy na Krymie w międzynarodowym obozie pionierskim Artek (młodzież z państw socjalistycznych i z RFN). Tam zobaczyłem, że Polska dla ruskich była niczym. Każde państwo miało strefę spania, kąpieli, morza. Kiedyś pomyliliśmy stołówki i weszliśmy tam, gdzie żywiono zachodnich Niemców. Co za jedzenie, siadamy, jemy, po chwili wyproszo nas, to pomyłka. Widoki na całe życie, ale ludzie przestraszeni i ujarzmieni. Sport u ruskich to prestiż, medale na klapach itd., z okazji tego zlotu zorganizowano tzw. „małe olimpijskie zabawy”; konkurs tańca wygrałem ze studentką z Lublina, zdobyłem też 2 złote medale i piękne dyplomy: w koszykówce i na 50 m, które wygrałem z pupilem Saszą – synem dyrektora Krym „Sputnik”, po tym byłem prawie sławny. Zapraszany tu i tam, wykorzystałem to i z Saszą zwiedziłem zamknięty port wojenny Sewastopol. Gdy wyjeżdżaliśmy z Krymu, dyrektor „Sputnika” uściśnął mnie, popłakaliśmy się nawet, dał mi też wizytówkę. „Aeroflotem” do Kijowa i trzy dni zwiedzania. Ostatnia noc, kolega z Lublina namówił mnie na dyskotekę, a tak było spokojnie). O 23.00 wymknęliśmy się, on dobrze mówił po angielsku, ja dukałem po niemiecku. Lokal, muzyka, wchodzimy, pytamy po polsku, ochrona poinformowała nas, że tylko dla zagranicznych; wyrzucili nas. Nie pękaj, nie daruję, dawaj marynarki na drugą stronę, czapeczki „Sputnik” na głowy i wchodzimy, on „zagał” po angielsku, bawimy się, po czasie idziemy do wc obok wyjścia, nikogo nie ma, my rozmawiamy po polsku, a tu spod ziemi wyłania się ochroniarz, ja go... on upadł, a my w nogi. Po drodze sikaliśmy, biegiem do hotelu, cisza, śpimy. Rano przyszli tajniacy; rozpoznał nas portier, dochodzenie trwało ze dwie godziny, pomogła wizytówka, dali nam spokój. Za największe przestępstwo uznali wtargnięcie na zabawę i to, że wysikaliśmy się pod domem partii. Ze strachu schudłem z 50 kilo. W krótkim czasie, po przyjeździe do kraju, miałem



rozmowę w Lublinie z SB i dyrektorem „Almaturu”. O tym nikomu nie mówiłem i z nikim nie rozmawiałem, wtedy bałem się PRL (to mój pierwszy wywód). Na uczelni był spokój, za każdym razem jak doc. Czajkowski dziwnie na mnie spojrzał, podejrzewałem, że coś wie. Jakoś w akademiku napisałem wierszyk, może to skutki mojej wizyty na „Ajudahu”, gdzie Adaś Mickiewicz pisał sonety krymskie:

„Aby podróżować musisz mieć pasję i duszę romantyka,
Wtedy dusza jak ptak zanieś cię na kraniec świata,
Lepiej zrozumiesz filozofię natury i obcowania z przyrodą,
A moc przyrody da ci siłę tworzenia...”!

W dniach 16-19 października 1974 r. uczestniczyłem w rajdzie pieszym po Beskidzie Niskim (nie pamiętam kto zorganizował). Na okolicznościowej mapie z 1974 r., którą mam do dziś, widnieją podpisy uczestników i fragmenty incydentu, m. in. Tomka Cygana, Gienka Bochenka, „Marchewy”, „Sandała” i innych niewyraźnie podpisanych – razem 15 osób. Było wspaniale, piękne widoki, przyroda, noclegi w stodołach. Koniec trasy Barwinek-granica, wracamy; w Jasłiskach nocleg, część przygotowywała nocleg w stodole, część robiła zakupy, a część udała się do lokalu napić się piwa. Siedzimy, degustujemy, jakiś podpity tubylec chamsko odezwał się do „Marchewy”, wyszła mała szarpanina, nie wiem, kiedy pojawiły się MO i WOP. Wychodzimy, podszedł do mnie jeden z nich pijany, mamrocząc: „ My tu nie baliśmy się band i z wami sobie poradzimy”. Całą noc nie spałem, bałem się, żeby stodołę nie podpalili, gospodarz był super. Rankiem wyruszyliśmy w dalszą drogę.

BOŻE, ŻYCIE JEST CUDOWNE!!! Po raz drugi, w okresie sierpień-wrzesień 1976 r., w nagrodę z uczelni wyjechałem na wycieczkę, organizowaną także przez „Almaturu”: Lublin do Pragi, Budapesztu, nad Balaton, Wiednia, Postojnej, Klagenfurtu, Triestu, Villach – Alpy, Udine, Wenecji, Florencji, Rawenny, Rzymu, Padwy, Bolonii, Watykanu (audiencja u papieża), Monte Casino, San Marino. Tydzień przed wycieczką nastąpiło trzęsienie ziemi we Włoszech, epicentrum w Udine – 250-tysięczne miasto w ruinie; myśłano o zmianie trasy. Zaryzykowaliśmy. Podczas wycieczki doszły nam nowe wrażenia, kilka razy (to się nie da opisać) przeżyliśmy trzęsienie w Alpach, koło Udine i szok w Wenecji. Co zobaczyłem i przeżyłem na wycieczce, do dziś o tym śnię.

Mała refleksja o pokoju w akademiku. Właściwie, co roku zmieniała się obsada. Od III roku zamieszkałem z Markiem Traczem „Siwy” (był romantykiem z Lublina chyba tak jak ja, nawet go polubiłem). Jestem z natury spokojnym współmieszkańcem, żyję cicho i poruszam się bezszelestnie, pilnowałem, aby w pokoju nie pili i nie palili. Na IV roku mieszkaliśmy w bloku A, ostatnie piętro, pokój pierwszy po lewej stronie, widok na uczelnię. Często z „Siwym” wyruszaliśmy w otchłań beztroskiej szarej, biednej rzeczywistości białskiej „metropolii”. Ale co tu zwiedzać, co podziwiać? Kiedyś poderwały nas dwie

miłe siostry, mieszkały obok lotniska, taki kawał drogi, jak się okazało. Ojciec ich miał fermę kur, no i było żarcie. One myślały o ślubie, a my o miłości i wolności, i tak się skończyło. Bywaliśmy też w „Stylowej”, nie żeby się uwalic, ale degustować, najczęściej niedzielnym rankiem, jaja po wiedeńsku i piwko z soczkiem, miodem lub ubitym żółtkiem. Ze „Stylowej” pamiętam złote patelnie za gotowanie i jaśnie-kelnera z manierami, chyba pan Józio, wysoki, łapa jak bochenek chleba. Razu pewnego widziałem, jak pomagał chamstwu szybko wyjść z lokalu. Wydawało mi się czasami, że nas obserwuje, ale my zawsze kultura. Pewnego razu, była to sobota, biesiadowaliśmy grupą. Na koniec zostałem z „Siwym”, byłem trzeźwy. Jeszcze herbata i ruskie, i do zapłaty zabrakło kasy, kelnerka krzyczała, nagle podchodzi pan Józio, ja tych panów obsłużę, to są bardzo porządni nasi klienci, zresztą jutro jest niedziela, a oni zawsze rano w niedzielę przychodzą i mają swoje zachcianki i resztę doniosą – jak wyszliśmy, powietrze ze mnie zeszło, myślałem, że nam przyłoży. Boże, jak dobrze być porządnym człowiekiem. Czasami w „Stylowej” i w pokoju rozmyślaliśmy z „Siwym” ba, jakieś dziewczyny zostawiliśmy w swoich miastach, i razu pewnego w „Stylowej” powstał, a w akademiku dokończyłem ostry procentowy erotyk:

Krzyczę do ciebie bo mi żal,
Cholernie serce ściska,
Patrzę codziennie w twoją dal,
I wciąż nie widzę twego pyska.
Melancholia erotyzuje,
Alkohol ma aromat ciała,
Twój, więc improwizuję,
Abyś z kielicha coś wyszeptała.

Nie powiem, chodziliśmy czasami do kina „Merkury”, do muzeum, do parku itd., niekiedy do kościołka. Kilka razy byliśmy na indywidualnej wycieczce w Stadninie Koni w Janowie na „Wygodzie”. Podziwialiśmy cudowną nadbużańską przyrodę i biegające koniki-araby na okólnikach, a nawet stojące w boksach. Dyrektorem stadniny, słynnej na cały świat, był mój kuzyn inż. Andrzej Krzyształowicz. Kilkakrotnie „Siwy” odwiedzał mnie w Chełmie, a ja jego w Lublinie – później się jakoś urwało.

Praktyki, obozy, kolonie miałem w Pszczelej Woli, razem ze mną miał żak Miecio Sar, natomiast praktyki szkolne odbywałem w Chełmie w Szkole Podstawowej Nr 9 i I LO im. St. Czarnieckiego. Razem ze mną był na praktykach Andrzej Szajdziński, mieszkaliśmy u mnie w domu. Dyrektorem I LO był wówczas Leszek Kulikowski, który jednocześnie pełnił funkcję „szefa” sportu przy kuratorium. Powiedział do mnie: „Waldek jesteś super, ja poczekam, jak skończysz studia, chcę powołać szkołę sportową o profilu piłki ręcznej (i może lekka atletyka) i ciebie widzę jako prowadzącego, jasne”.

Z TAJEMNICZY INDEKSU Nr albumu 522, Akademia Wychowania Fizycznego w Warszawie Filia w Białej Podlaskiej, Wydział – Wychowanie Fizyczne.

Rok studiów I (1972-1973) Semestr I – 1. doc. dr hab. T. Margul – logika; 2. mgr A. Kuźmicki – ekonomia polityczna; 3. doc. dr E. Wasilewski – psychologia (ćw. M. Juszczak); 4. doc. dr hab. M. Chicewicz – anatomia funkcjonalna; 5. mgr M. Szostak – piłka siatkowa; 6. mgr G. Tarantowicz – lekka atletyka; 7. mgr H. Wyciszkievicz – gimnastyka; 8. doc. dr Cz. Borejsza – zabawy i gry ruchowe; 9. mgr B. Troszczyński – sport do wyboru judo; 10. mgr D. Burdzicka – lektorat j. rosyjskiego; 11. mgr M. Troszczyński – sucha zaprawa pływacka; 12. mgr D. Żbikowska-Romanowska – propedeutyka zajęć kulturalno-rozrywkowych; 13. mgr E. Margul – lektorat j. angielskiego; Okresowe badania lekarskie. Semestr II – dalej: ekonomia polityczna; psychologia; anatomia funkcjonalna; lekka atletyka; gimnastyka; gry i zabawy ruchowe; lektoraty rosyjski i angielski; 14. doc. dr hab. M. Chicewicz – antropologia rozwojowa; 15. mgr H. Chołoniewska – metodyka wychowania fizycznego i sportu; 16. mgr W. Jankowski – piłka ręczna; 17. mgr R. Kapica – ćwiczenia muzyczno-ruchowe i tańce ludowe; 18. M. Troszczyński – judo (propedeutyka sportów różnych); 19. mgr L. Trzeciak – turystyka szkolna; 20. mgr M. Troszczyński – pływanie; obóz letni.

Rok studiów II (1973-1974) Semestr III – dalej: gimnastyka; lekka atletyka (mgr T. Makaruk); lektorat j. rosyjski; ćw. muzyczno-ruchowe i tańce ludowe; 21. mgr M. Krajewski – marksistowska filozofia i teoria ustroju społecznego; 22. doc. dr hab. K. Czajkowski – pedagogika; 23. dr J. Czaplicki – biochemia; 24. mgr M. Popczyk – koszykówka. Semestr IV – dalej: pedagogika; marksistowska filozofia itd.; gimnastyka; koszykówka; lekka atletyka; 25. mgr J. Starczyński – piłka nożna; 26. doc. dr A. Olszowski – teoria i metodyka wychowania fizycznego (ćw. S. Arasymowicz); 27. dr J. Czaplicki i doc. dr B. Turowski – fizjologia (ćw. F. Tarantowicz); 28. doc. dr K. Hądzelek – historia kultury fizycznej (ćw. S. Wilk); 29. doc. dr Cz. Borejsza – zajęcia fakultatywne podnoszenie ciężarów; 30. mgr W. Jankowski – zajęcia fakultatywne piłka ręczna; 31. mgr M. Popczyk – zajęcia fakultatywne koszykówka; 32. mgr G. Tarantowicz – zajęcia fakultatywne lekkoatletyka.

Rok studiów III (1974-1975) Semestr V – dalej: piłka ręczna; fizjologia; gimnastyka; lekka atletyka; teoria i metodyka w-f; lekka atletyka (mgr W. Kudelski); 33. mgr Krajewski – podstawy nauk politycznych (ćw. mgr R. Cieśliński); 34. dr L. Bukała – biomechanika; 35. mgr A. Mironiuk – organizacja i zarządzanie; 36. doc. dr K. Czajkowski – metodologia pracy naukowej; 37. mgr H. Górniak – zajęcia fakultatywne ciężary; 38. mgr M. Popczyk – zajęcia fakultatywne koszykówka; 39. dr J. Drabik – zespołowe gry sportowe; okresowe badania. Semestr VI – dalej: gimnastyka; podstawy nauk politycznych; teoria i metodyka w-f; biomechanika; metodologia pracy naukowej; sport do wyboru ciężary; 40. mgr D. Romanowska – turystyka i rekreacja; 41. mgr A.

Popczyk – problematyka biologiczna; 42. mgr A. Kuźmicki – podstawy statystyki; 43. mgr M. Krajewski – seminarium magisterskie; 44. mgr W. Jankowski – specjalizacja piłka ręczna; badania okresowe; mgr L. Trzeciak obóz letni wędrowny; mgr G. Tarantowicz obóz zimowy.

Rok studiów IV (1975-1976) Semestr VII – dalej; teoria i metodyka wf; turystyka i rekreacja; podstawy statystyki; seminarium; specjalizacja piłka ręczna 45. mgr M. Krajewski – problematyka społeczno-polityczna; 46. doc. dr B. Turowski – medycyna wychowania fizycznego i sportu; 47. doc. dr J. Szczepański – higiena i wychowanie zdrowotne; 48. mgr B. Troszczyński – judo sport do wyboru; 49. dr J. Drabik – teoria i metodyka sportu; 50. mgr K. Górniak – ćwiczenia korektywne; 51. mgr B. Troszczyński – pływanie. Semestr VIII – dalej; medycyna wf i sportu; higiena i wychowanie zdrowotne; teoria i metodyka sportu; ćwiczenia korektywne; gimnastyka; pływanie; specjalizacja piłka ręczna; 52. inż. Z. Jobda – urządzenia sportowe i sprzęt; 53. mgr A. Mironiuk – techniczne środki nauczania; 53. doc. dr W. Starosta – żyźwiarstwo; 54. mgr G. Tarantowicz – narciarstwo; 55. mgr W. Popiołek – angielski; badania okresowe.

ODTAJNIONE na koniec – a niech tam:

Najbardziej wspominam kolegów ze studiów: starszy rocznik: Jasio Gałęcki, Stasio Kędra (sprinter), Marian Szyper (gimnastyk), Marian Rzędzicki, Miecio Bytniewski (biegi), Marek Rzemek (ping-pong), młodszy rocznik: Teresa Plizga, Andrzej Sadlak (1a), Marek Ostrowski (bramka piłka ręczna), Leszek Siejwa (piłka ręczna), Waldek Kubik (sprint) i Jarek Pasieczny (koszykówka).

mgr Józef Starzyński prowadził z nami pływanie, w zastępstwie też wiele zajęć z gier zespołowych, a przeważnie piłkę ręczną i nożną. Specyficzne usposobienie, miał też duże braki ruchowo-techniczne. Czasami jak pokazywał ćwiczenie, to w tym miejscu powinno się powiedzieć, tak nie powinno się wykonywać tego ćwiczenia, myśmy to rozumieli, nawet go lubiliśmy.

mgr Józef Gryc (młodzik) przyszedł do FAWF do piłki ręcznej po odejściu super-trenera mgr Wojtka Jankowskiego i przejął naszą drużynę piłki ręcznej. Był smutasem, grał waźniaka, niepotrzebnie prowokował, kiedyś mnie obraził (najspokojniejszego człowieka pod słońcem na FAWF), powiedziałem mu co o tym myśle, za to Józef wykreślił mnie z kursu.

dr Zbigniew Danilkiewicz i jego żona; miał ksywę „Chłopek”. Prowadzili z nami ćwiczenia z anatomii. Nie wiem czego, był smutas i cięty, często nas, poza programowo katował na ćwiczeniach i egzaminach, przeważnie z anatomii – sen nam odbierał; dlaczego to robił, przecież życie jest takie piękne.

*mgr Sławomira Suchożębska, nasza jedyna i przeurocza agent-psycholog „Sławcia”. Kiedy ją spotykałem zawsze miała jakby płaczący i przestraszony wyraz twarzy, jeszcze z grymasem ciągłego eksperymentu i zakłopotania – wydawało mi się zawsze, że jak z nią rozmawiałeś to cię już testowała, nawet może sama o tym nie wiedząc. „Sławcię” bardzo lubiliśmy. Jak prowadziła zajęcia i jak mówiła, to była całym ciałem zaangażowana.

WIZYTÓWKA FAWF Biała Podlaska

Z perspektywy czasu nieśmiało, ale raczej stanowczo twierdzą, że jestem produktem FAWF chyba najwyższej jakości. To Wy wszyscy, moi mistrzowie, stworzyliście mnie jako super nauczyciela wychowania fizycznego, a nawet może – mistrza zawodu. Przez okres studiów 1972-1976 Was obserwowałem, szpiegowałem i kodowałem w swej pamięci przekazywaną przez Was wiedzę.

Dzięki Wam (i mojemu talentowi i ciężkiej pracy) posiadałem tytuły: mgra WF, trenera II klasy z piłki ręcznej, instruktora dyplomowanego koszykówki, piłki nożnej, lekkiej atletyki, tenisa stołowego. Najwyższy III stopień specjalizacji zawodowej w zakresie wychowania fizycznego, tytuł nauczyciela dyplomowanego, animatora kultury fizycznej i kierownika wypoczynku, wycieczek szkolnych i obozów wędrownych.

Przywołując wielkie idee Komisji Edukacji Narodowej i wielkich prekursorów wychowania fizycznego w Polsce i Europie: Jędrzeja Śniadeckiego, Henryka Jordana, Władysława Osmolskiego, Macieja Demela i Henryka Grabowskiego, należy w tym miejscu skonkludować, że kultura fizyczna jest jedną z trzech składowych kultury ogólnej, dwie pozostałe to kultura duchowa i kultura materialna. Dalej, że kultura fizyczna jako dziedzictwo narodowe i system wychowawczo-zdrowotny oddziałuje na nas poprzez podstawowe swoje formy: wychowanie fizyczne, sport, rekreację i rehabilitację oraz turystykę. Dlatego też trzeba hartować i ciało, i ducha. A ja jako nauczyciel – stałem się animatorem właśnie kultury fizycznej.

Od 1976 r. byłem nauczycielem wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej Nr 6, pierwszej sportowej szkole w Chełmie (chłopcy piłka ręczna, dziewczęta la), współtworzyłem ją i opracowałem specjalistyczny program. Stworzyłem nowoczesny szkolny system kultury fizycznej i bazę nowoczesnej piłki ręcznej, liczącej się w kraju, kat. młodzik. Od 1977 r. wprowadziłem gimnastykę korekcyjną do szkoły na stałe oraz zajęcia sportowo-rekreacyjne i gimnastykę odchudzającą na terenie miasta. W latach 1977-1983 prowadziłem cykl lekcji pokazowych z organizacji lekcji wychowania fizycznego, metodyki i techniki piłki ręcznej dla nauczycieli WF z Chełma i powiatu. W latach 1977-1983 stworzyłem w Chełmie drugi, po Lublinie ośrodek piłki ręcznej kat. młodzik i junior młodsi, liczący się w kraju i byłem w grupie trenerów kadry Polski SZS-MKS z siedzibą w Tarnowie, a moi zawodnicy byli powoływani do kadry. W tym czasie moja szkoła i moi wychowankowie byli identyfikowani z moim nazwiskiem – a to oznaczało najwyższy kunszt sportowy, kultura i wiedza, tzw. „szkółka Kozłowskiego”. Po moim odejściu w 1988 r., SP Nr 6 przestała się liczyć. Byłem też trenerem męskiej sekcji piłki ręcznej MKS. W 80-latach grałem w finałach ZNP w tenisie ziemnym i stołowy, tu spotykałem się z A. Rozwadowskim.

REFLEKSJE młodego nauczyciela tamtych lat. SP Nr 6 była środowiskowa, rządziło tu zakłamanie i ideologia PRL a nie świadomy system wychowawczy. Zastana tu rzeczywistość znokautowała mnie. Dla mnie liczyła się tylko młodzież i tworzyłem swój świat idei kultury fizycznej, a łobuzów „zaorałem” sportem. Mój perfekcjonizm załamał dyrekcję i sekretarzy, którzy nie mogli mnie wziąć „za mordę”. W 1979 r. byłem w Gdańsku na studiach podyplomowych, w tym czasie była ministerialna wizytacja szkół chełmskich. Gdy wróciłem, wezwwała mnie dyrektor i w obecności towarzyszy z ironią powiedziała, panie Waldku komisja stwierdziła, że trzecia część szkoły chodzi inaczej, sprawdziliśmy, to pana uczniowie; teraz czekamy na oficjalny raport z ministerstwa, bo na razie nie wiemy, za co pana ewentualnie ukarać. Wyszedłem. Za miesiąc przyszedł raport, właśnie ta młodzież chodzi zdrowiej ze wszystkich szkół w Chełmie, dali mi wreszcie spokój. Dostałem nagrodę i propozycję stanowiska kierowniczego. Odmówiłem, nie mogłem być na żadnym stanowisku kierowniczym, bo bym część zwolnił, a reszcie kazał się dokształcać.

1983-1988 byłem w Chełmskiej Spółdzielni Mieszkaniowej organizatorem sportu i rekreacji, stworzyłem dla mieszkańców osiedli nowoczesną bazę do tenisa stołowego i masowej rekreacji ruchowej.

Od 1988 r. byłem nauczycielem wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej Nr 8 w Chełmie, podniosłem sportowy poziom szkoły, rozbudowałem SKS i SIS, powołałem sekcję piłki ręcznej i tenisa stołowego w krótkim czasie już SP Nr 8 była najlepsza w Chełmie i regionie. Współtworzyłem w Polsce ruch mini-piłki ręcznej, w 1995 r. wraz z uczniami IV kl. grałem finałach w Ciechanowie w Ogólnopolskim Turnieju Mini Piłki Ręcznej uważanym za pierwsze Mistrzostwa Polski. Natomiast tenisiści stołowi wygrywali w tym czasie wszystkie strefy i grali w finałach igrzysk młodzieży szkolnej. Mieli do dyspozycji siłownię, saunę, pływalnię itd. Studenci z białskiej AWF, odbywający praktyki pod moim okiem, należeli do wyróżniających się. W 1999 r. odszedłem na emeryturę i skończyła się szkolna piłka ręczna i tenis stołowy w Chełmie.

Dalej się udzielałem sportowo. Podczas wakacji prowadzę przy MOSiR zajęcia sportowo-rekreacyjne. Od 1998 r. wprowadziłem i spopularyzowałem grę tzw. „siatko-nogę”, która weszła do tradycji cyklu zawodów.

Moją pasją jest MOJA RODZINA, tenis ziemny i stołowy, turystyka, rower i pływanie oraz pisanie i filantropia. Jako „Masters” jestem też medalistą Mistrzostw Polski w pływaniu w stylu klasycznym.

ZA PRACĘ – w 1990 r. w Warszawie z rąk szefa ZG SZS otrzymałem „Honorową Odznakę za Zasługi w Sporcie Szkolnym”, natomiast w 1995 r. w Warszawie z rąk Ministra Edukacji Narodowej „Medal Komisji Edukacji Narodowej”.

HISTORYK KULTURY FIZYCZNEJ – AUTOR KSIĄŻEK
POPULARNO-NAUKOWYCH

Jako jedyny, od 1973 r. zgłębiał wiedzę o historii kultury fizycznej Chełma i Ziemi Chełmskiej (kresów wschodnich), praca magisterska była z tym związana. Penetracje i kwerendy dotyczą wszelkich dostępnych źródeł na obszarze kraju. Sięgają odległych czasów, niektóre prowadzą do XV w. Każda moja kolejna książka zawiera jedną z form kultury fizycznej, jeśli uznaję, że źródła i wiedza w niej zawarta są wyczerpujące. W 1982-83 r. kilka razy służby mnie przesłuchiwały, czego szukam, po co itd., przerwałem badania. W 1993 r. (nowa władza „Solidarność” itd.) zaproszono mnie do Ratusza, promowali mnie sportowi koledzy trenerzy Krzysio Grabczuk i Stasio Gołub, polecono mi opracować pierwszą sportową monografię Chełma w ramach obchodów 600-lecia nadania praw miejskich, byłem oszołomiony, komisja miała sprawdzać treść książki i moje przekonania. Oburzony powiedziałem, że takie głąby nie będą oceniać, mało mnie nie wyrzucono, powiedziałem też, tą moją makulaturę trzeba uporządkować w formę książki, a godnym jej oceny będzie ktoś z Zakładu Historii Kultury Fizycznej w AWF Biała Podlaska. Delegacja Chełma i ja pojawiliśmy się na mojej uczelni; ciepłe spotkanie z prof. Henrykiem Mierzwińskim, był recenzentem, Jak mnie tu przyjęto i zacząłem współpracować, ci z Chełma byli zszokowani, a ja byłem dumny. Powróciły wspomnienia i tęsknoty.

W 1994 r. wyszła moja pierwsza książka, a w 2009 kolejna – dziewięta, inne czekają na wydanie. Od 1994 r. kontakty z moją uczelnią stały się „nawykiem”, a konsultacje autorsko-wydawnicze zdarzają się nadal. Mam tu grono przyjaciół, tu też ładuję swoje akumulatory, tu czerpię wszelką wiedzę, weryfikując własną. Jest to moja dalsza nobilitacja z Boskim zwierzchnictwem.

W 1979 r. AWF Gdańsk szkolenie, niespodzianie spotkałem tu mistrza z lat studenckich dra J. Drabika – co za przyjacielskie spotkanie.

W 1995 r. w Warszawie zdawałem egzaminy na III stopień specjalizacji. Na koniec szefowa komisji, prof. Żukowska zapytała mnie, czy nie myślę o doktoracie, takie osiągnięcia itd. Byłem oszołomiony. Po rozmowie z prof. Henrykiem Mierzwińskim (wtajemniczył mnie), w tym czasie tu doktorat był niemożliwy. Następnie była rozmowa z „przyjacielem duchowym” prof. Henrykiem Grabowskim, szefem Katedry Teorii i Metodyki WF w AWF w Krakowie, po której był nawet „rozkaz”. W 1995/96 r. gościłem na zaproszenie w AWF w Krakowie u prof. Grabowskiego. Przyjął mnie także prof. Kazimierz Toporowicz, szef Instytutu Nauk Humanistycznych, chyba mu się spodobałem, bo szybko przystąpił do spraw organizacyjnych, nawet omówiliśmy temat – Boże, jakie ja miałem wtedy plany. A tu szok, w 1996 r. w Niemczech miałem wypadek, a w 1997 r. choroba ukochanej osoby i koniec z doktoratem, okrutny brak czasu, życie nas weryfikuje, a Bóg doświadcza – mimo tego dalej piszę.

W 2000 r., z cyklu wydałem pierwszą biografię i wysłałem (jak inne książki) m. in. do profesorów Grabowskiego i Toporowicza, dostałem piękne opinie, płakałem jak szczeniak, a prof. Toporowicz odesłał mnie do doc. Kajetana Hądzelka z-cy red. nac. kwartalnika Wychowanie Fizyczne i Sport na AWF Warszawa, jako biografię do słownika. Tak nastąpiła współpraca z doc. Hądzelkiem, moim mistrzem z lat studenckich, a moje biografie do 2004 r. ukazywały się na łamach tego jakże nobilitującego kwartalnika w dziale: Słownik Biograficzny Wychowania Fizycznego i Sportu – byłem dumny. 10 grudnia 2004 r. otrzymałem pismo z AWF Warszawa, już od nowego red. nac. kwartalnika prof. Romualda Stupnickiego: – Szanowny panie, kwartalnik zmienia profil na czytelników zagranicznych i likwiduję m. in. słownik biograficzny itd. Chwyciłem telefon i zapytałem, jak śmiał pan to zrobić, taki dorobek doc. Hądzelka i ludzi z terenu, którzy z pietyzmem tworzyli ten słownik itd. – i nic.

Zawsze, jak jadę do „swojej dzikiej” Białej Podlaskiej na swój AWF i do ludzi-przyjaciół, to mi w uszach dudni i „znowu sobie zadaję pytanie czy to jest miłość, czy to jest kochanie?”. Zawsze moją bazą na uczelni jest przeuroczy gabinet kierownika praktyk – jego skromnej wysokości mgra Krzysia Wróbla i też gabinet mojej wiedzy dra Tomaszka Demidowicza. Odwiedzam także innych znajomych, m. in. mgr Tereskę Jaślikowską-Sadowską, dr Zosię Serafin-Cicirko, dra Jasia Gałęckiego, mgra Mariana Szypra itd., pracuje tu też mój uczeń-szczypiornista mgr Mariuszek Lichota,. Lubię tu wszystkich i bardzo cenię sobie z nimi rozmowy, które mnie zawsze wzbogacają. Kilka razy miałem zaszczyt odwiedzić w gabinecie dra hab. prof. nadzw. Jerzego Sadowskiego, dziekana AWF – bardzo cenię sobie jego koleżeńskie uwagi.

Latem 2009 r. dostałem wieści od prof. Grabowskiego z Krakowa w sprawie ewentualnego powrotu do doktoratu. Rozmawiałem nawet z nowym prof. (do rozprawy) – wszystko ładnie, tylko powalają mnie finanse – nie wiem, co dalej (moja mądrość jest we mnie, ale doktorat mógłby być).

Każda wizyta na „mój AWF” to dla mnie szok, wszystko tu się ciągle zmienia i pięknieje. Widać dobrego gospodarza. Jestem dumny, że moje kolejne książki zasilają nie tylko najważniejsze biblioteki w kraju, ale i m.in. „mój AWF”.

Zawsze powtarzam „My nie, my nie, my nigdy nie poddamy się AWF” i robię swoje – bo to moja pasja, sposób na życie i dalej będę odwiedzał „swój AWF”.

Bawiąc jesienią 2009 r. w „swoim AWF”, odwiedziłem też gabinecik jak zawsze zapracowanej mgr Tereski Jaślikowskiej-Sadowskiej. Po prostu kazała mi napisać wspomnienia ze studiów; nie miałem wyjścia i napisałem. Byłem w transie, wracając do Chełma autobusem PKS, powtórzył mi się film z mojego powrotu z egzaminu w roku 1972. W głowie kłębiły się różne myśli. Czuję się jak Kmicic, pędzący po dzikich kresach do swej Oleńki.

Za zaproszenie do napisania powyższych wspomnień bardzo dziękuje Teresce.

PS.

Szukaj mnie – www.waldemark.hostil.pl (moja strona internetowa).

Można też – www.chelm24.pl (naciśnij stopkę pn. Chełm i okolice i tam wyświetli się Waldemar Antoni Kozłowski, kliknij.)

Można też – Google (wpisz waldemar kozłowski chelm, i żeby mnie szukać naukowo

patrz całe nazwisko Waldemar Antoni Kozłowski).

Teresa Plizga
absolwentka 1977



Z pamiętnika absolwenta



*Autorka wspomnień
Teresa Plizga*

OKRES studiów zaliczam do jednego z lepszych w moim życiu. Po zdaniu egzaminów i przyjęciu mnie w poczet braci studenckiej AWF Biała Podlaska, pojechałam do Terespolu w celu odbycia tzw. robotniczych praktyk studenckich w Zakładach Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego. Na miejscu okazało się, że przyjechały same dziewczyny, natomiast chłopcy praktyki odbywali na budowie w Białej Podlaskiej. Zadaniem naszym było równiutkie ułożenie ogórków w słoikach. Wbrew pozorom nie było to wcale łatwe, wymagało sporego wysiłku i misternej pracy paluszków, aby ułożone w słoiku ogórki mogły zostać zatwierdzone przez brygadzystę. Wcześniej trzeba było je przebrać i wybrać te odpowiedniej wielkości, a krzywe odrzucić. Praca była wykonywana na tzw. akord. Kto więcej ułożył (ilość ułożonych słoików była zapisywana), ten więcej zarobił.

Były to jednak niewielkie pieniądze. Pożytek z tego był taki, że po dzień dzisiejszy mało kto potrafi tak ładnie ułożyć ogórki w słoiku jak ja. Moja teściowa nie mogła wyjść z podziwu. Zakwaterowane byliśmy w szkole w sali gimnastycznej, do której pewnego dnia, gdy byliśmy w pracy wszedł miejscowy złodziejasek i niektórym dziewczynom ukradł pieniądze. Od tego momentu pełnione były dyżury. W sobotę, po pracy przyjechali do nas z opiekunem chłopcy. Mogliśmy się wzajemnie poznać, potańczyć, pośpiewać. I tak przez miesiąc z niecierpliwością czekałyśmy na sobotę. Wtedy zawiązywały się pierwsze przyjaźnie i sympatie. Zaprzyjaźniłam się z Alą Bielak, z którą przez okres studiów mieszkaliśmy w jednym pokoju.

Rocznik studentów liczył 120 osób. Nie mieliśmy większych problemów z zajęciami sprawnościowymi. Pomagaliśmy sobie nawzajem, byliśmy ambitni. Pamiętam zostawione celowo otwarte okno w sali gimnastycznej, aby w nocy wejść przez nie i ćwiczyć. Problem sprawiała mi poręcz, nigdy wcześniej na nich nie ćwiczyłam. Strasznie trudne wydawały mi się elementy wykonywane na górnej żerdzi, ale po kilku nocnych wypadach na salę i pomocy kolegów przy asekuracji i ten problem został pokonany.

Postrach siały zaliczenia i egzaminy z biologii i anatomii. Jedyne egzamin, który musiałam poprawiać w czasie studiów to biologia, z której wcale nie byłam taka zła. Ale wielu moich kolegów i koleżanek wyłożyło się na tych przedmiotach. Musiało powtarzać rok, a to nie było proste. Należało jeszcze raz zdać egzaminy wstępne na studia i być ponownie przyjętym. Niektórzy rezygnowali w ogóle z dalszej nauki.



Mój rocznik był pierwszym, który pod opieką wspaniałego Pana mgra Grzegorza Tarantowicza przygotowywał teren pod Ośrodek Sportów Wodnych w Rybitwach k/Pisza. Chłopcy zbudowali wraz z pracownikami uczelni szopę, widoczną na powyższym zdjęciu, karczowali krzaki, aby mogła powstać droga. Moją natomiast rolą było wraz z koleżanką przygotowywanie posiłków dla tak licznej grupy. Chłopcom smakowało wszystko, nic nie komentowali. Natomiast jedna z moich koleżanek nieraz negatywnie wyrażała się o moich umiejętnościach kucharskich.

W okresie wakacyjnym należało zaliczyć tzw. wędrowniki kajakowe. Moja grupa wybrała się na nie do Pizsa. Byłam w załodze z Krzyskiem Szycho-wskim. Codziennie inna załoga pełniła dyżury i przygotowywała obiad. Pamiętam, że Krzysztof wymyślił zupę pomidorową z ryżem. Gdy woda się zagotowała, sypnęłam ryż, zamieszałam i mówię do kolegi, że niezbyt gęsta ta zupa. Odpowiedział, abym więcej sypnęła tego ryżu. Jak to się wszystko zaczęło gotować, zrobił się kit. Byłam przerażona..

W niedługim czasie głodne koleżeństwo miało wrócić na obiad. Cały gar zupy wylądował w specjalnie wykopanym dołku, a Krzysztof rowerem pojechał po zakupy i kupił już nie ryż, a makaron. Z przygodami, ale udało się



uratować obiad. Zgłodniałe towarzystwo zjadło go z apetytem, nic nie wiedząc o naszych perypetiach z jego przygotowaniem.

Niezapomnianych wrażeń dostarczały obozy narciarskie. Na jeden z nich, w Korbielowie przyjechałam dwa dni później, ponieważ byłam chora. Umiejętnościami narciarskimi nie grzeszyłam. Był to mój pierwszy obóz narciarski.

Następnego dnia po moim przyjeździe wybraliśmy się wraz z instruktorami na Halę Miziową. Tam, po odpoczynku, nastąpił zjazd. Patrząc wokół jodły, świerki i wielka śnieżna góra, po której należało zjechać w dół. Zaczęły mnie nieść narty, myślę, zaraz się zabiję, co robić?! Upadłam na tyłek i jadę. Z tyłu słyszę głos kolegów: „Zejdź z trasy”! A ja: „To mnie omiń jakżeś taki mądry!” Myślałam, że nigdy nie dojadę. Czas dłużył się strasznie. Wreszcie jakoś dobrnęłam do końca trasy, szczęśliwa, że to już meta. Dopiero na miejscu zakwaterowania poczułam ból pośladków i przetarcia na tyłku oraz zniszczone spodnie. W nocy, bez pozwolenia wraz z kolegą wzięliśmy narty i na osłej łączce przy księżycu uczył mnie podstawowych umiejętności narciarskich, które później już odważnie doskonaliłam z instruktorem. Jazda na nartach sprawiała mi przyjemność. Na następnych obozach, w Wiśle Malince było o wiele przyjemniej, o czym informują poniższe zdjęcia, m.in. z Prorektorem doc. Antonim Olszowskim.



Mam wiele sympatii i szacunku do wszystkich moich nauczycieli, z którymi się zetknęłam. Wyposażyli nas w wiedzę, której dziś może nam pozazdrościć wielu młodszych kolegów. Z wielką sympatią wspominam m.in. pana Popczyka i jego zajęcia z koszykówki, niezwykłych i wyjątkowych ludzi Tadeusza i Jadwigę Zaradkiewiczów, panią Kwiecińską od gimnastyki sportowej, nauczycieli z Zakładu Lekkoatletyki. Z wielką sympatią wspominam też pana Bogdana Troszczyńskiego, który prowadził ciekawe zajęcia i miał dar niesamowitego tłumaczenia, i zademonstrowania określonego ruchu, że nawet największy nieuk potrafił go opanować. To on nauczył mnie pływać, jeździć na nartach i judo.



Wielu z nas wspomina doc. Kazimierza Czajkowskiego. Ja zaś miałam okazję wraz z koleżanką Gosią Góral spędzić z nim miesiąc wrzesień (1976 r.) na praktykach z turystyki i rekreacji, w Domu Nauczyciela w Ustroniu Jaszowcu. Pan Dziekan grał codziennie rano na fortepianie, a ja z koleżanką prowadziłam dla wszystkich chętnych wczasowiczów poranną gimnastykę. Oprócz tych zajęć organizowałyśmy, pod czujnym okiem docenta, wycieczki, ogniska itp. Była to dla nas doskonała nauka, a zarazem przygoda. Pan Dziekan miał nowego dużego Fiata (luksus jak na tamte czasy), którym zabierał nas na wycieczki. Dzięki temu poznałyśmy Beskidy.

W okresie moich studiów prężnie działały koła naukowe Medycyny Sportu, Esperanto i Teorii Sportu.

Osobiście zaangażowana byłam w prace Koła Teorii Sportu, którego opiekunem był prof. dr hab. Włodzimierz Starosta. W kole pracowali m.in. Krzysztof Szychowski, Stanisław Jachimczuk, Aleksander Ziarko. Przeprowadziliśmy szereg badań, które były przedstawiane na konferencjach uczelnianych oraz ogólnopolskich. Z rozrzewnieniem wspominam wykłady i zajęcia prowadzone przez Pana Profesora Starostę, wspólną pracę w kole naukowym, która zaowocowała napisaniem przeze mnie niezłej pracy magisterskiej pod jego kierunkiem oraz wydaniem kilku publikacji. Obowiązki rodzinne i praca w szkole przerwały moją dalszą karierę naukową. Nadal jednak mam bliski kontakt z Panem Profesorem i wiem, że po dziś dzień mogę liczyć na jego wsparcie. Był nie tylko naszym nauczycielem, ale i przyjacielem. Jest osobą, do której mogę się zwrócić, gdy życie staje się trudne... Zawsze powtarzał, że należy robić nie to, na co się ma ochotę, ale to, co w danym momencie jest konieczne. Ta dewiza towarzyszy mi do dnia dzisiejszego.



*Dziekan Czajkowski wraz ze mną, Gosią Góral i Andrzejem Kowalskim
przed Domem Nauczyciela w Ustroniu Jaszowcu.*

Miałam też szczęście mieszkać ze wspaniałymi koleżankami z roku: Alą Bielak, Teresą Ostrzygało i Marysią Żyrą.

Warunki mieszkaniowe nie były najlepsze. Wtedy jednak nikomu to nie przeszkadzało. Upiększałyśmy ten nasz pokój jak tylko się dało, zresztą wszyscy to robili. Nikt nie narzekał, że nie ma ciepłej wody, że w zimie w pokoju było chłodno, że o piątej rano był wyjazd na basen do Puław... Każda z nas w terminie zdawała egzaminy. Nie pamiętam, żeby którejś coś przeszkadzało. Często uczyłyśmy się wspólnie, dzieliłyśmy posiłkami itp. Tamten klimat pozostał do dziś w naszych sercach. Aż nie chce się wierzyć, że od tego czasu upłynęło tyle lat, że niektórych przyjaciół i niektórych naszych profesorów nie ma już wśród nas. Żal ściska za serce...

Moi koledzy z roku Marian Skrajnowski i Tadzio Kudelko pracują w Zespole Szkół Budowlanych w Chełmie, a ja w II LO. Wspieramy się wzajemnie.



Spotkanie uczestników Koła Esperanto, w którego działania w szczególności zaangażowani byli Olek Ziarko, Włodzimierz Świętek, Krzysztof Zimnicki i inni.



Wspólne zdjęcie na ławce między akademikiem a uczelnią

Takim dobrym duchem jest Marian. Potrafi w trudnych momentach wesprzeć, zarazić optymizmem. Wspólnie wybieramy się na zjazd absolwentów i oczekujemy, że ludzie, z którymi przeżyliśmy jeden z najważniejszych i najwspanialszych okresów w życiu również przyjadą i będziemy mogli się spotkać, wspomnieć tamten klimat oraz poznać losy każdego z nas.

Marian Skrajnowski
absolwent 1977



Ze studiów na AWF w Białej Podlaskiej wspomnień kilka...

OSTATNIE dni moich studiów. Stałem w holu akademika i oparty o kaloryfer, rozmyślałem. Uświadomiłem sobie, że mój świat, świat zwariowanych, nieprzespanych nocy, zagranicznych podróży, sportowej rywalizacji, ten cudowny, beztroski świat przygód nagle runął! Zrozumiałem, że właśnie teraz, kiedy moi koledzy ze studiów rozjeżdżają się z dyplomami magistrów po całej Polsce, mnie za kilka dni czeka to samo i zostanę sam, sam przed kolejnym, ogromnym wyzwaniem, które po prostu mnie przerażało! Najgorsza i najbardziej przygnębiająca była jednak świadomość, że oto w jednej chwili skończyła się niepowtarzalna przygoda, jaką były studia na Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej.

Tyle zdarzeń... tylu wspaniałych wykładowców... tyle pięknych dziewcząt... tylu kolegów... Jak w przyśpieszonym filmie odtwarzane w pamięci najpiękniejsze i najbardziej zwariowane chwile czterech studenckich lat.

Czerwiec 1974. Obóz letni nad jeziorem Kisajno w Pięknej Górze k/Giżycka. Czas mistrzostw świata w piłce nożnej w Monachium ze znakomicie dysponowanymi Polakami...

Któregoś wieczoru, jeden z wykładowców z Warszawy (na obozie, poza wykładowcami z Filii AWF w Białej Podlaskiej, opiekowali się nami także nauczyciele akademicki z macierzystego, warszawskiego AWF-u) zabronił nam oglądania transmisji z meczu naszej reprezentacji. Nie pomogły błagalne próby o przedłużenie terminu ciszy nocnej... Pan „Ktoś”, bo nie znaliśmy tego wykładowcy, reprezentował bowiem uczelnię warszawską, był nieugięty, a na dodatek najbardziej upartych studen-



*Ja i dyrektor administracyjny
Zdzisław Jobda.*

tów – kibiców, z Banasiakiem na czele (nota bene późniejszym prezesem Polskiego Towarzystwa Wioślarskiego) ostrzegł, że wydali z obozu... Tak też się stało... Nazajutrz, na apelu ogłoszono relegowanie niesubordynowanych, ale nic z tego nie wyszło, bo za swoimi kolegami stanęli murem wszyscy pozostali studenci. Oznajmiliśmy, że jak kadra nie zmieni decyzji, nie przystąpimy do zajęć! Opiekunowie – wykładowcy próbowali z nami negocjować, później straszyc... nawet usunięciem z uczelni. Sam nie wiedziałem jakimi konsekwencjami ten strajk się zakończy. I bałem się, bo bardzo zależało mi na studiach. Ale wytrwaliśmy i... wygraliśmy! Ten pierwszy, trochę może przypadkowy chrzest bojowy bardzo nas zintegrował, zjednoczył do tego stopnia, że później, nawet w najtrudniejszych momentach, zawsze siebie wspieraliśmy, mogliśmy na sobie polegać.



*Silna grupa studentów I roku na obozie letnim nad Jeziorem Kisajno k/Giżycka.
Czerwiec 1974*

Na tym samym obozie wydarzyła się zabawna sytuacja. Otóż moi koledzy, z Tadzkiem Kudełko na czele, zapragnęli dania z pieczonego węgorka. Postanowili więc, po zachodzie słońca wypłynąć na środek jeziora i wybrać sieci, zastawione przez rybaków. Kłusowników przepłoszyła jednak straż. Mimo problemów z przeciekającym kajakiem, ci zdążyli jednak w porę uciec i szczęśliwie dopłynąć do brzegu. Pamiętam, że w pewnej chwili do naszego namiotu wślizgnął się zadyszany i kompletnie przemoczony Tadzio. Wskoczył szybko w śpiwór na pierwszym łóżku, a w międzyczasie rzucił mi jakiś wilgotny

woreczek krzycząc, abym to szybko schował. W chwilę później obok namiotów pojawili się już jacyś złorzeczący ludzie z latarkami, zapewne straż, ścigająca konsekwentnie wystraszonych studentów-kłusowników. Udawaliśmy, że śpimy. Ktoś częściowo rozsznurował wejście do naszego namiotu, poświecił latarką. Trwało to chwilę. Na szczęście oświetlał tylko tych, którzy leżeli na dalszych łózkach, a trzęsącego się z zimna, przemoczonego do suchej nitki, leżącego dosłownie tuż przy nich Tadzia, na szczęście nie dostrzegli. „Tu już śpią, trzeba szukać gdzie indziej” – usłyszeliśmy jakiz obcy głos. Postali jeszcze chwilę, pokonwersowali bluźniąc i w końcu poszli sobie, a my odetchnęliśmy z ulgą. Niestety, ja nie, bo w pewnym momencie, schowany do śpiwora worek zaczął się ruszać i poczułem, że po moich udach ślizga się jakieś wilgotne, bliżej nieokreślone stworzenie. „Tadziu, co to do cholery?” – zapytałem szeptem... na tyle jednak cicho, aby nie usłyszano nas na zewnątrz. – „Spokojnie... to tylko ryby!” Uspokoilem się, ale za chwilę nie jedna, ale już kilka tych niby ryb buszowało po moim ciele wewnątrz śpiwora. Miałem wrażenie, że oplatają mnie jakieś węże, czułem nieprzyjemne mrowienie na plecach, spałem przecież w samych spodenkach! „Tadziu, co to jest?!” – krzyknąłem głośnie, pewny, że strażników sieci nie ma już w pobliżu.

– „Nie bój się, to węgorze” – uspokoił mnie, a ja, nie mogąc już ścierpieć tych wątpliwych doznań, wyskoczyłem ze śpiwora – „Zbieraj sam te węże, bo powyłaziły z worka!”

W końcu nie ukrywam, z niemalym trudem, ale jednak, poradziłem sobie z niesfornymi węgorzami, pozbieraliśmy je do worka a nazajutrz upiekliśmy je nad ogniskiem i wspólnie z dziewczynami degustowaliśmy ich wyjątkowe mięso.

Każdy dzień pobytu nad przepięknym jeziorem Kisajno w Pięknej Górze k/ Giżycka miał tak wypełniony program, że na nudę z pewnością nie mogliśmy narzekać. Kajaki, żaglówki, pływanie, zajęcia ogólnorozwojowe, teoretyczne a do tego towarzyskie spotkania wieczorem. Któregoś dnia, na tak zwanym rozruchu porannym prowadzonym przez niespotykane spokojnego człowieka, mgra Tadeusza Zaradkiewicza, jeden z naszych kolegów, Stach K. biegnący nieco z przodu i forsujący tempo, w pewnej chwili, zupełnie nieoczekiwanie, puścił głośno i na dodatek bardzo śmierdzącego bąka. Naszą konsternację rozładował jednak wykładowca swoim zrównoważonym, ale jednak stanowczym głosem:

– „Panie K. jak się panu wyrywa, to niech pan biegnie na końcu! Wszyscy nie muszą tego wachać!”

Na innych zajęciach z ratownictwa mgr Józef Starzyński podpowiadał, jak należy zachowywać się w ekstremalnych sytuacjach, które mogą przydarzyć się podczas przebywania w wodzie, m.in. pomoc tonącym, skurcze mięśni.

– Panie magistrze, a co robić, jak wpadniemy w wir? – zapytał w pewnej chwili, jak zawsze dociekliwy Andrzej Pszczółka.

- Ręce do góry i dać się wciągnąć... Wir najpierw wciągnie, a później sam wyrzuci! – doradzał wykładowca.

- A może nie wyrzucić? – z niedowierzaniem dopytywał student.

- No... może.

- I co wtedy ?!

Magister Starzyński nie odpowiedział tylko uśmiechnął się i bezradnie rozłożył ręce.

Sporo zabawnych sytuacji miało miejsce na zajęciach studium wojskowego. Fantastyczni wykładowcy – pułkownik Marcinek i kapitan Jakubowski znakomicie znali się na studenckich żartach, ale niestety, czasem i oni dawali się nabrać. Wsparci takimi tuzami studenckiego kabaretu jak „Misiek” czy „Rumian” praktycznie nie mieli z nami żadnych szans.

I tak oto któregoś dnia pułkownik Marcinek przyniósł jakąś archaiczną, pewnie jeszcze z I roku listę obecności. Wszyscy szybko zorientowaliśmy się w jego pomyłce, on sam jednak konsekwentnie łąał za dużą liczbę nieobecności, zwłaszcza tych studentów, o których nie wiedział, że już dawno pożegnali się z uczelnią. Najwięcej uwagi poświęcił jednak Gieniowi Bołzanowi, który rozstał się z naszą uczelnią jeszcze na I roku, na obozie zimowym w Korbiewowie.

- A taki... Bołzan na przykład.. ten to w ogóle nie chodzi! – stwierdził pułkownik i zaraz dodał: – Powiedzcie mu, że student może nie zdać, że tak powiem!

- Zda, zda, poradzi sobie! – przekonywaliśmy.

- Nie poradzi! – oponował wykładowca – za dużo ma do odrobienia!

- Ale on jest bardzo zdolny! – rzucił ktoś z sali.

- I zdolności nie wystarczą – pułkownik Marcinek obstawał przy swoim.

- Bołzan powiedział, że się Pana nie boi, Panie Pułkowniku!

To był strzał w dziesiątkę. Pan Marcinek dał się ponieść emocjom, podejmując na dobre tę bezsensowną polemikę.

- Przestraszy się przestraszy.

- Nie przestraszy, ma znajomości.

- I znajomości nie pomogą.

- Matka mu załatwi!

- Nie załatwi, nie załatwi – oponował Pan Marcinek

- Ale ona zna pana dziekana!

- Jakiego dziekana?

- Dziekana Czajkowskiego! – zaryzykowaliśmy, doskonale wiedząc, że pułkownik z dużym respektem traktuje władze uczelni.

- Dziekana Czajkowskiego, mówicie? No nie wiem, może coś, że tak powiem, załatwi, ale będzie ciężko! – poddał się w końcu, a my nie byliśmy już w stanie powstrzymać się od śmiechu.

Gienek Bołzan, który tak jak już wcześniej wspomniałem, zniknął z uczelni po jednym z obozów sportowych, stał się swoistą legendą białskiej uczelni. Mówiono o nim tak często i w różnych sytuacjach i na tyle dużo, że wielu wykładowców, a także i nowych studentów miało wrażenie, że wciąż studiuje i mieszka razem z nami w akademiku. Zasadą stało się więc, że w przypadku jakiegokolwiek zagrożenia, czy wypadki, podawano się właśnie za niego. I Bogu ducha winny Gienek Bołzan, nie wiedząc o niczym, będąc być może gdzieś daleko od Białej obrywał.

Drugi z naszych ulubionych wykładowców studium wojskowego kapitan Jakubowski był wytrawnym kawalarzem i praktycznie na każdych zajęciach mieliśmy okazję do usłyszenia czegoś nowego i dowcipnego. Nie pozostawaliśmy dłużni, a „Rumian”, który kawałami sypał jak z rękawa, prowadził z kapitanem otwartą bitwę na ich opowiadanie. Zdarzało się, że nawet zapowiadane kolokwium nie odbyło się, bo zaproponowaliśmy sympatycznemu wykładowcy wysłuchanie nowych żartów. Ten wahał się, w końcu jednak przystał, stawiając ostre warunki – Ok, ale jak dowcip będzie mi znany, przystępujemy natychmiast do sprawdzianu. Co z tego wyszło? „Rumian” rozpoczął wątek, kapitan przerywał mu twierdząc, że ten kawał zna, ale sprytny student natychmiast go zmieniał i dodawał wymyśloną przez siebie nową puentę. I tak przez całe zajęcia!

Pewnego razu kapitan Jakubowski opowiadał nam o środkach masowego rażenia i oczywiście najwięcej czasu poświęcił bombie atomowej. Kiedy wojskowy z wielkim przejęciem podkreślał makabryczne jej skutki, my, studenci – pacyfiści, nie znoszący jakiegokolwiek przemocy, udając pełną powagę, próbowaliśmy polemizować. A najbardziej, jak zawsze śmiertelnie poważny, Andrzej Bajan.

– A gdyby, panie kapitanie taka bomba spadła na Białą Podlaską, to co by się stało?

– Zmiotła by całe miasto! – oświadczył z determinacją kapitan.

– I nasz AWF też? – dopytywał Bajan.

– Ty student? Ty nie rozumiesz? Jak całe miasto, to całe miasto, to i nasza uczelnia też! – denerwował się wojskowy.

– To znaczy, że i my byśmy zginęli? – udawał nie zorientowanego student.

– To oczywiste!!!

– No, a pan, panie kapitanie? Pan by też zginął?

– Student głupi? Nie rozumie? A co to ja, ja też tak samo jak inni!!! – podniecenie wykładowcy sięgało zenitu.

– To niemożliwe panie kapitanie, to niemożliwe, ale jeśli pan twierdzi, że i pan sam też by zginął, to musi to być jakaś naprawdę straszna bomba! – zakończył ten daremny dialog Bajan, a głośny śmiech całego zgromadzenia uświadamiał kapitanowi Jakubowskiemu, że to tylko zwykła studencka podpucha, na którą mimo woli dał się jednak nabrać!

Nie ukrywam, że pozostawaliśmy w całkiem dobrych relacjach z wieloma wykładowcami. Układy te były na tyle dobre, że kończyły się czasem, mówiąc ogólnie, wspólnymi spotkaniami, w naszych pokojach w akademiku. Rzecz jasna, że takie praktyki nie mogły ująć uwadze czujnego „Czai” – dziekana Czajkowskiego, który bardzo szybko przywracał nadwyrażony porządek.

Tak też stało się z naszym ulubionym lektorem języka niemieckiego „Hungriem”, często goszczącym w Domu Studenta. Zaprzyjaźniony z nami na dobre, traktował nas jak kolegów, nie odpytywał, nie sprawdzał nawet listy obecności na zajęciach. Ale po dyscyplinującej rozmowie z dziekanem Czajkowskim zmienił się diametralnie. Pamiętam, że leżeliśmy sobie spokojnie w pokoju 8B, na swoich łóżkach i żartowaliśmy. W pewnej chwili wpadł do nas – „Putemans” – Maniś Iwanowski i krzyknął: – Panowie gleba! Wszyscy na wykład! „Hungriś” sprawdza listę! Już po jego minie zorientowaliśmy się, że to nie są żarty, więc czym prędzej wystartowaliśmy na wykład. „Niemiec” przywitał nas tym razem zupełnie innym, zimnym i pretensjonalnym spojrzeniem. Czuliśmy, że coś wisi w powietrzu...

– Od dzisiaj, drodzy państwo – oznajmił „Hungriś” – sprawdzamy listę na wykładach. Dwie nieobecności – nie zaliczenie przedmiotu. A poza tym... – kontynuował nakręcając się coraz bardziej – w kwestii formalnej, dotyczącej denuncjatorów. Podzielimy państwa na dwie grupy. Pierwsza, nieliczna, może pięć, sześć osób, będzie miała praktycznie egzamin z głowy, druga, grupa tak zwanych konfidentów-lizusów, będzie zdawała egzamin przy magnetofonie, tak, aby jego eminencja dziekan mógł sam ocenić, jakich ma zdolnych informatorów.

Błady strach padł na cały I rok, tym bardziej, że wykładowca nie określił personalnie, kogo zaliczy do pierwszej, a kogo do drugiej grupy. Na wszelki wypadek, od tej pory, wszyscy w komplecie stawialiśmy się na ćwiczeniach i wykładach, uczyliśmy się, staraliśmy się, ale mimo upływu czasu „Hungriś” był wciąż niezmiennie chłodny i zdystansowany. Żadnych żartów, uśmiechu, żadnego słowa poza programem przedmiotu.

A jednak zaryzykowałem. Pomyślałem, że wystartuję do egzaminu w terminie zerowym. Co tam, do odważnych świat należy. Powiedziałem o tym innym, ale tylko „Soczek” – Zbyszek Sieczko – smakosz pomarańczowych soków Dodoni (stąd ten pseudonim), późniejszy asystent trenera naszej męskiej złotej reprezentacji Huberta Wagnera, zgodził się na taki wspólny atak.

Zapukałem do pokoju lektorów. „Hungriś” spojrzał na mnie dosyć przyjaźnie i zapytał z czym przychodzę?

– Ja... panie magistrze... chciałbym zapytać, czy mógłbym zdawać w zerówce?

– Pan? – uśmiechnął się nieoczekiwanie przyjaźnie wykładowca i dodał – do Pana nic nie mam, więc jak najbardziej!

– To na kiedy moglibyśmy się umówić?

– Jak to na kiedy? Na teraz!

Pomyślałem, jest dobrze, ma humor, trzeba ryzykować. Przynaję jednak, że „bryłą” to ja jednak z tego niemieckiego nie byłem i jakoś tak nie zdążyłem się jeszcze lepiej wyedukować. A poza tym musiałem mu powiedzieć, że na tym egzaminie poza mną będzie Zbyszek. I tu miałem wątpliwość, do której grupy zakwalifikuje go „Hungriś.”

– Panie magistrze, ale ja jestem – trochę się jąkałem – ja jestem z „Socziem”!

„Hungriś” spojrział na mnie zdziwiony i chyba już lekko zniecierpliwiony dodał:

– Z sokiem? Pan sobie chyba kpiny robi? Na egzamin z napojem? Proszę wchodzić, ale butelkę zostaw Pan za drzwiami!

Moje kolejne wyjaśnienie było na tyle wyczerpujące, że wykładowca, nie znający przecież naszych pseudonimów, zrozumiał całą tę sytuację i nawet nie-że się nią ubawił. Później zaprosił nas obu do środka, oświadczając, że nale-żymy do tej pierwszej, porządnej, nie denuncjatorskiej grupy. Jak się już można było dalej domyśleć, egzamin był tylko formalnością.

Cieplejsze pory roku inspirowały nas zawsze do niekonwencjonalnych, humorystycznych przedsięwzięć, które jednak nie zawsze były wszystkim do śmiechu. Do tradycji należało między innymi rzucanie foliowych woreczków wypełnionych wodą na wychodzących przed akademik studentów, szczególnie na tych z młodszych roczników. Ponieważ ci szybko zorientowali się, w czym rzecz i zaczęli zręcznie omijać te bomby – niespodzianki, my starszyzna, musieliśmy za wszelką cenę zmienić formułę. Jeden z nas, z ławki przed akademikiem, określonym gestem sygnalizował ukrytym za firanką okna pokoju 101 A kolegom, moment otwierania drzwi. W tej samej chwili, rzucona sprawnie torebka z wodą skutecznie trafiała każdego wychodzącego na zewnątrz. Z czasem, jakby i tego było mało, torebkę foliową zamieniono na znacznie pojemniejszy kondom, a zwykłą wodę zabarwiono silnie atramentem. Pionierski rzut w wykonaniu „Czachy” – Waldka Kozłowskiego okazał się jednak fatalny w skutkach.

Po latach tak wspominał tę dramatyczną sytuację. Dostałem znak z ławki i natychmiast cisnąłem bombę przez okno, a później szybko schowałem się za kotarę. Nie trwało długo, jak do mojego pokoju wtargnął dziwny stwór przypominający raczej niebieskiego diabła niż człowieka, w którym w końcu roz-poznałem swojego wykładowcę z gier zespołowych. Ów nieszczęśnik, sądząc po ubiorze, kiedyś z pewnością białym, wybierał się właśnie na ulubionego tenisa i nawet przez myśl mu nie przeszło, że ktoś taki jak ja, może mu po-krzyżować plany. – Panie Kozłowski – dyszał wściekły – Pan ma u mnie jutro egzamin trenerski?

Tak – odpowiedziałem przerażony, a on szybko dodał: – To niech Pan już nie przychodzi! Pan go dzisiaj zda!!!

Od tego fatalnego wydarzenia skończyły się w akademiku głupie, śmigusowo-dyngusowe kawały.

W swoich wspomnieniach chciałbym oddać hołd i pochylić się przed tak zacnym i niepowtarzalnym wykładowcą, jakim był doc. dr Czesław Borejsza – pionier i twórca, nie tylko potęgi polskiej reprezentacji w podnoszeniu ciężarów, ale również pierwszej sekcji tej dyscypliny sportu w Białej Podlaskiej.



*Założyciele sekcji podnoszenia ciężarów w Białej Podlaskiej
z doc. dr. Czesławem Borejszą, mgr. Henrykiem Górniakiem, działaczami LZS
i pierwszymi zawodnikami (ja stoję pierwszy z prawej)*

„Dziadek”, bo tak Go życzliwie nazywaliśmy, mimo osiągniętego, słusznego już wieku, dysponował fantastyczną kondycją fizyczną i ogromną, niezwykle ciekawą wiedzą z historii kultury fizycznej. Podziwialiśmy Go również wtedy, gdy korytarzem akademika, w którym mieszkał, prowadził gromadkę swoich ślicznych, zdyscyplinowanych dzieciaków. A studenci, powracający z zajęć, często ze szczerą sympatii wyśpiewywali mu pod oknem. „Dziadek” Borejsza naszym przyjacielem jest!

Wśród nauczycieli wychowania fizycznego często słyśmy się zabawne określenie jednej z form ruchowych: „zabawy na macie”, czyli, macie dzieci piłkę i grajcie! Mało kto wie, jednak jaka była geneza tego dowcipnego powiedzonka. Otóż doc. Czesław Borejsza, prowadzący z nami w I semestrze przedmiot

gry i zabawy ruchowe, ciągle motywował nas do poszukiwania nowych, atrakcyjnych zabaw dla dzieci. Większość zajęć realizowaliśmy w tzw. wiacie, w której trenowali ciężarowcy. Połowę sali zajmowała rozłożona na stałe dźwudocko-zapaśnicza mata. Kiedy wyczerpały się nam pomysły na nowe zabawy, „Dziadek” Borejsza zaproponował, abyśmy w kolejnych zabawach wykorzystali właśnie matę. Wtedy któryś z nas – już nie pamiętam... może ja, może Misiek Stęgierski, może „Rumian”, nie ważne, szybko spuentował tę propozycję wykładowcy:

– A czy Panie docencie może być na przykład taka zabawa na macie? Macie dzieci piłkę i pograjcie sobie?!

Teraz już wiecie, że to uszczypliwe określenie dla rzucających piłkę uczniom nauczycieli wychowania fizycznego, narodziło się w Białej Podlaskiej jesienią 1977 roku!

Dumny jestem, że doc. Czesław Borejsza – niekwestionowany autorytet, symbol białskiej uczelni był przewodniczącym komisji mojego egzaminu magisterskiego. Utrzymywałem z nim przyjacielskie kontakty do końca.



W środku doc. dr Czesław Borejsza, z prawej dr Stanisław Arasymowicz

Najwięcej śmiesznych i zaskakujących zdarzeń kojarzyłem jednak z nieodżałowanym dziekanem doc. Kazimierzem Czajkowskim. Bywało, że jednego dnia wyrzucał studenta z uczelni, ale już następnego miękło Mu serce i ponownie przywracał go do łask. W przypadku Darka Wojny, który jako pierwszy

dokonał nieoczekiwanego zamachu na I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Białej Podlaskiej, był jednak bezwzględny. Jak do tego doszło? Otóż, waletujący w naszym pokoju Darek, świetny piłkarz Motoru Lublin, mistrz Polski juniorów, kolega klubowy Władka Żmudy, był także filarem uczelnianego zespołu tanecznego. A jednak zdarzyło mu się, że kiedyś, w ferworze świętowania jakichś imienin, kompletnie zapomniał o swoim występie. Kiedy jednak sobie przypomniał, było już za późno. Odradzaliśmy mu występ, ale on był nieugięty. – Nie martwcie się o mnie! – zapewniał – poradzę sobie!

Z tzw. „jaskółki” w uczelnianej auli, z niepokojem obserwowaliśmy to, co wyprawiał nasz kompan. Dość dobrze trzymał się jeszcze przy pierwszych, wolniejszych tańcach, później, gdy zaczęły się oberki i inne kręcone figury, stracił całkowicie orientację, przechodząc na indywidualne, raczej dyskotekowe popisy. I właśnie one przegrzały go i powodując pogorszenie orientacji, niebezpiecznie przybliżyły do skraju sceny, gdzie w ramach dekoracji ustawiony został szereg tradycyjnych „partyjnych paprotek”. Widząc, co się dzieje, modliliśmy się, aby ten spektakl jak najszybciej się skończył bez szkody dla naszego kolegi, ale stało się jednak inaczej. W pewnej chwili rozluźniony i nie kontrolujący się już w ogóle Darek, podbił butem doniczkę, a ta, „frunąc” w głąb widowni, wpadła wprost w ręce siedzącego z przodu, w łoży honorowej, I sekretarza KW PZPR. Za chwilę Darka ewakuowano za kulisy, a my, wystraszeni jak rude myszy, czym prędzej opuściliśmy aulę.

Pamiętam, jak po tym głośnym i smutnym dla Darka wydarzeniu, po którym został wydalony ze studiów, pani kierownik pytała dziekana Czajkowskiego, jaką ma mu napisać opinię.

– Jak najgorszą! – wyrokował dziekan.

– To znaczy?

– Że pijak!

– Ale dobry tancerz – pani kierownik próbowała bronić studenta.

– Ale pijak! – upierał się dziekan – a nam nie potrzeba pijanych tancerzy, nam trzeba trzeźwych pedagogów!!!

O ile sobie przypominam, po pewnym czasie, kiedy już sprawa przycichła na dobre, pan dziekan Czajkowski, jak przystało na człowieka o gołęmbim sercu, przywrócił Darka do łask i ten, chociaż nieco później niż my, ukończył białą uczelnię.

O dziekanie Czajkowskim krążyło wiele anegdot, ale jedną z nich w formie dowcipu wymyślili sami studenci. Miało to ścisły związek z naszymi uciążliwymi wyjazdami do odległych Puław na zajęcia z pływania. Zawsze wyjeżdżaliśmy wczesnym rankiem, a w zimie w kompletnych ciemnościach.

Dziekan Czajkowski powracał z dworca PKP po przyjeździe z Warszawy. Mimo wczesnych godzin porannych do AWF szedł pieszo. W pewnej chwili pojawiły się przed nim czerwone duchy – Duchy, duchy, dlaczego jesteście takie czerwone? – zapytał odważnie dziekan, a duchy odrzekły. My duchy jesteśmy takie czerwone, bo jesteśmy chore na czerwoność!

Dziekan poszedł dalej, ale po chwili zastąpiły mu drogę kolejne duchy. Tym razem żółte. I znów zapytał – duchy, duchy, dlaczego jesteście takie żółte? A te odpowiedziały – My duchy jesteśmy takie żółte, bo jesteśmy chore na żółta-czkę!

Dziekan znów się oddalił, ale tuż przy budynkach AWF zastąpiły mu drogę nowe duchy, tym razem szare. I znów dziekan odważnie zapytał – duchy, duchy, dlaczego jesteście takie szare? I co usłyszał? – Co pan, co pan, panie dziekanie?! Nie poznaje nas Pan? To my, pańscy studenci, właśnie wyjeżdżamy na pływanie do Puław!!!

Docent Czajkowski mieszkał, podobnie jak my, w Domu Studenta, w bloku B. Dzięki nagłośnieniu wszystkich pokoi, mieliśmy okazję wielokrotnie wysłuchiwać jego, często dramatycznych komunikatów.

Pamiętam jednak sytuację, kiedy nowa portierka przez pomyłkę wydała studentom I roku studiów zaocznych klucz do pokoju dziekana. Ci, przyzwyczajeni do różnych szpargałów, które studenci studiów dziennych zawsze zostawiali w pokojach wyjeżdżając czasem do domu, święcie przekonani, że przejmują ich pokój, pozgarniali je na bok, otworzyli konserwy, pokroili chleb, napili się piwa i poszli spać. Późnym wieczorem do swojej „służbówki” dotarł dziekan i co zobaczył? Porozrzucane wokół książki, notatki i chrapiących, podejrzenie cuchnących alkoholem, obcych ludzi. Zdenerwowany zaczął szarpać jednego z nich

– Co się tu dzieje, co się tu dzieje?

Najwyraźniej zaskoczony niespodziewaną pobudką, wąsaty student wybełkotał.

– Nic się nie dzieje, śpimy!

– A pan kim jest do cholery?

– Ja...? Student!

– A który rocznik? – dopytywał się kompletnie zdezorientowany i już porządnie zbulwersowany dziekan Czajkowski

– Jak to który...? Czterdziesty czwarty! – odparł student i odwracając się tyłem, do nieznanego mu wtedy jeszcze dziekana, kontynuował drzemkę.

Filar studenckiego kabaretu „Misiek” Stęgiński, którego rodzice, gdzieś w okolicach Kraśnika zajmowali się hodowlą drobiu, od czasu do czasu przywoził z domu kilka pieczonych kaczek. Zazwyczaj dość szczerze i nader chętnie częstował nimi kolegów, ale zdarzyło się, że pewnego razu zamknął się w pokoju akademika tylko ze swoimi współlokatorami i najwyraźniej zamierzał spałaszować pieczone wyłącznie w ich gronie. Szybko wyniuchaliśmy jednak tę niecną, egoistyczną zagrywkę i na siłę próbowaliśmy dołączyć do tego zakamuflowanego towarzystwa. Ci, ukryci za zamkniętymi drzwiami siedzieli cichutko jak trusia i nie reagowali na nasze dość głośne dobijanie i nawoływania. W końcu daliśmy spokój, już sami nie będąc do końca przekonani, czy w pokoju ktoś tam naprawdę jest. Idąc w kierunku holu niespodziewanie natknęliśmy się na dziekana Czajkowskiego.

- No, co tam panowie, wszystko w porządku? - zagadnął zyczliwie

- Tak, tak panie dziekanie, ale wydaje nam się, że w piętnastce ktoś pije wino! - wystrześlił któryś z nas, chyba tylko dlatego, aby zażartować i popatrzeć jak wykładowca podenerwuje się trochę, pukając przez kilka chwil do opuszczonego pokoju. Dziekan natychmiast podjął temat.

- W piętnastce mówicie? Idziemy!

Nie mieliśmy wyjścia, poszliśmy z „Czają” pod wskazane drzwi i ten zapukał kilka razy. Nikt nie odpowiedział, zaczął więc stukać głośniejsze, a kiedy i to nie przyniosło skutku wykrzyknął:

- Proszę natychmiast otworzyć. I to szybko!

Po chwili ciszy, ze środka, ktoś najwyraźniej zaniepokojony, wreszcie odezwał się:

- A kto tam?

Przyznaję, że głos z pokoju kompletnie nas zaskoczył. Dziekan natomiast triumfował:

- Jak to kto tam, jak to kto tam?! To ja - Czajkowski!!!

- Jaki Czajkowski? - zamknięci za drzwiami nie dawali za wygraną, domyślając się już, kto jest ich nieoczekiwanym gościem.

- Docent Czajkowski! - dziekan powoli tracił cierpliwość.

Znów zapanowała cisza, ale po chwili zgrzyt zamka oznajmił kapitulację „skrytożerców”. Dziekan energicznie wtargnął do środka, my natomiast pozostaliśmy za lekko uchylonymi drzwiami i z poczuciem winy, pełni obaw o losy kolegów śledziliśmy dalszy tok zdarzeń.

- No i gdzie macie to wino? - zapytał „Czaja”.

- Jakie wino? Jakie wino? - chłopcy byli najwyraźniej zaskoczeni.

- Normalne... do picia!

- Ależ panie dziekanie ... my mamy tylko... kaczkę!

- Co za kaczkę, jaką kaczkę?

- Normalną, pieczoną, do jedzenia!

- I dlatego się zamknęliście?

- Zamknęliśmy się, bo mamy tylko jedną, ledwie wystarczy dla czterech.

- Bzdura. Jest kaczka, musi być i wino, sama kaczka bez wina? To niemożliwe! I to u studentów? Otwierać szafki!

Przeszukanie pokoju i groźby dziekana nic jednak nie dały, a namówiony na degustację kawałka kaczego udka dał w końcu chłopakom spokój. Wychoząc nie omieszkał zaznaczyć, że na przyszłość zawsze przyjmie każde zaproszenie studentów na pokojową imprezę, nawet z symboliczną lampką wina!

Dziekan Czajkowski zawsze solidny i punktualny, przez dłuższy czas miał z nami wykłady z pedagogiki od godziny 12.00. Często widzieliśmy, jak pół godziny wcześniej, najwyraźniej koncentrując myśli, wolno spaceruje sobie tuż przed blokiem A. Długo zastanawialiśmy się, czym tu naszego sympatycznego dziekana zaskoczyć i... wymyśliliśmy! Nagraliśmy na magnetofonie

hejnał z Wieży Mariackiej w Krakowie i pewnego razu, widząc spacerującego jak zwykle po jedenastej, wykładowcę, otworzyliśmy szeroko okno i puściliśmy na pełny gaz nagrany wcześniej hejnał. Docent Czajkowski zatrzymał się, nerwowo spojrzął na zegarek, podkreślił wskazówki i pędem ruszył w stronę uczelni. Dziekan należał do ludzi witalnych, niezwykle aktywnych i energicznych, ale tak szybko biegnącego, jeszcze go nie widzieliśmy.

Tego samego dnia rozpoczynając wykład dał nam jednak do zrozumienia, że zorientował się, w czym rzecz.

- A z tym hejnałem o jedenastej, dobre, dobre, nawet inteligentne!

Zradiofonizowane pokoje akademika były okazją do wielu bardziej lub mniej śmiesznych żartów. Często wykorzystywaliśmy nieznajomość naszych nazwisk i prosiliśmy portierki - aby na przykład poprosiły pana „Kopulanta” do telefonu, czy ogłosiły jakiś głupi, niedorzeczny konkurs.

Ale to, co zrobił nasz przyjaciel „Uwe” ogłaszając przez radiowęzeł, że w pokoju 6B o godzinie osiemnastej w piątek odbędzie się zbiorowe walenie gruchy, przeszło już wszelkie granice bezczelności. Ten komunikat wychwycił błyskawicznie dziekan; bez problemu ustalił winowajcę i wezwał „Uwe” do siebie.

- No i co tam Panie „Uwe”, co tam pan za durnoty ogłasza publicznie?

„Uwe” próbował udawać zdeorientowanego.

- Jakie durnoty, ja? Jakbym śmiał panie dziekanie, gdzie ?

- Jak kto gdzie? W akademiku!!! Namawia pan wszystkich do walenia gruchy!

- Aaaa... o to chodzi. Panie dziekanie, ale przecież to nic złego.

- Nic złego? - na dobre denerwował się już „Czaja”.

- A co w tym złego? Konsekwentnie, przy pełnej powadze, ciągnął „Uwe” - A co my, nie mający żadnych rozrywek, nudzący się w akademiku, studenci, co my mamy robić? Sami więc próbujemy się organizować i wymyślamy takie różne zabawy - Jak na przykład walenie gruchy?! - dokończył docent.

- No właśnie, nie dawał się zaskoczyć „Uwe” i z pełną powagą kontynuował - Rysujemy na stole boisko, stawiamy z zapalek bramki, kładziemy dwie monety jednakowe, jedną mniejszą i grzebykami, raz po raz trącamy te monety tak, aby ta mniejsza uderzona większą wpadła do bramki... I wtedy jest gol!

Dziekan Czajkowski nie dawał jednak za wygraną.

- Panie „Uwe”... Kto tu jest wariat? Ja, czy Pan? Co mi Pan tu za durnoty opowiada? To, co pan mi tu przed chwilą opowiedział, to za moich czasów nazywało się cymbergaj, a to, co pan ogłosił przez głośniki to najzwyklejsze pod słońcem - bicie konia!!!

Do wykładowców, których darzyliśmy wyjątkowym autorytetem i przed którymi mieliśmy wyjątkowy respekt, należał doc. Włodzimierz Starosta. Jego nieprawdopodobna wręcz wiedza onieśmiała nas, a znając jego konsekwentny charakter i wymaganie, zastanawialiśmy się jak w ogóle zdamy u niego



Historyczne otwarcie barku w stołówce akademika

trudny egzamin z teorii sportu. Wiedzieliśmy, że jest fachowcem ogromnego formatu, przy tym niezwykle sprawnym i wszechstronnym sportowcem. Ale zdarzyło się, że na jednym z wykładów nieśmiało zaproponowałem, wówczas docentowi, a dzisiaj już światowej sławy profesorowi, inną niż podawał formę obliczania intensywności obciążenia treningowego. Był tą propozycją nieco zaskoczony, ale w końcu zgodził się. Kiedy jednak podałem swój sposób określania tego parametru treningowego w podnoszeniu ciężarów, doc. Starosta pokiwał głową i zażartował, że to, co zaprezentowałem jest po prostu śmieszne i nie ma niestety, żadnego sensu! Można sobie wyobrazić jaką radochę sprawiłem swoim koleżankom i kolegom. Wracałem na miejsce i zewsząd słyszałem uszczypliwe uwagi – No i po coś się Marianku wychylał? Fajnie się popisałeś!

Czułem się głupio, byłem jednak przekonany, co do swoich racji. Ale opinia, takiej wybitnej postaci świata nauki, nie ukrywam, spowodowała, że mimo wszystko sam zacząłem zastanawiać się, czy przypadkiem czegoś nie pokręciłem. Moja niepewność i powszechna deprecjacja trwała jednak tylko do kolejnego wykładu. Schowany, gdzieś na tylnych siedzeniach w uczelnianej auli chciałem być jak najdalej od autorytetu, który mnie tak dotkliwie pograżył. Sądziłem, że pan doc. Włodzimierz Starosta podejmie jakiś nowy temat i sprawa z czasem rozejdzie się po kościach. Ten jednak, wyraźnie spoglądając



w moją stronę oznajmił, że dzisiejszy wykład rozpocznie nietypowo, bo od przeprosin.

– Przestudiowałem odpowiednią literaturę i ze zdumieniem, a jednocześnie uznaniem muszę stwierdzić, że faktycznie istnieje taki prosty, a zarazem genialny sposób określania intensywności obciążenia treningowego w podnoszeniu ciężarów, jaki podał na ostatnim wykładzie pan Marian Skrajnowski. A ponieważ podważyłem jego racje wobec państwa, wobec państwa chciałbym także Pana Skrajnowskiego przeprosić i w ramach zadośćuczynienia zwolnić z egzaminu.

Co ja wtedy czułem? Trudno opisać. Ulgę, wielką satysfakcję, radość i podziw dla odwagi i postawy pana docenta. Moje towarzystwo z roku, patrzyło na mnie tym razem z szacunkiem i chyba lekką zazdrością. Wątpię, czy którykolwiek z wykładowców przyznałby się do błędu i to właśnie w sporze ze studentem? Od tego momentu, pan doc. Włodzimierz Starosta stał się dla mnie nie tylko autorytetem naukowym, ale przede wszystkim niepodważalnym wzorcem pedagogicznym.

Prawdziwą bolączką studentów AWF była zawsze anatomia. Na naszej uczelni wykładał ją dr Zbigniew Danilkiewicz, prawdziwy postrach wszystkich studentów. Kiedy egzaminował, zachowywał kamienną twarz i patrzył prosto w oczy charakterystycznym, beznamiętnym wzrokiem. Ani śladu akceptacji czy krytyki, chociażby małego wsparcia. Nic, dosłownie nic. Podczas egzaminu jego źrenice poszerzały się wprost proporcjonalnie do kolejnych, błędnych

odpowiedzi. W momencie, kiedy jednak uznał, że student stanowczo przesadził, przerywał mu, podnosząc rękę.

– Stop ! Stop! Przyznaję, że zabrnął Pan w ślepy kąt, ale... jestem ciekawy jak pan teraz z niego wybrnie !?

Kiedy jednak dalsze próby ratowania sytuacji nie dawały skutku, „Chłopek” z zimną krwią dokonywał ostatecznej egzekucji.

– Z przykrością muszę panu przerwać. Mówiąc krótko, stworzył pan nową teorię anatomii, z którą, jako naukowiec, niestety, nie mogę się zgodzić!

Dr Zbigniew Danilkiewicz już po kilku miesiącach edukacji uprzedził nas, że poziom naszej wiedzy jest mniej niż mizerny i że zaliczenia i końcowy egzamin z tego przedmiotu jest niezwykle trudny. Dopiero listopad – ostrzegwał wykładowca – i na razie są tylko kości. A państwo nic nie wiecie, a co będzie jak przyjdzie maj, jak przyjdą mięśnie i trzeba będzie te mięśnie przyczepić i nie będzie do czego przyczepić? Dopiero wtedy pojawi się problem!

Jego kultowe już powiedzenie... Konia z rzędem temu, kto w pierwszym terminie zaliczy anatomię, rzetelnie potwierdzała rzeczywistość. Tylko nielicznym udawało się precyzyjnie przez skomplikowane sito pytań za pierwszym podejściem. Większość, w tym i ja, męczyła się z tym przedmiotem do ostatniej chwili. Ale jak bardzo smakowała ta wywalczona w końcu trójka!

Z Panem dr. Danilkiewiczem, mimo dramatycznych, pełnych emocji chwil, przez które niemalże nie wyleciałem ze studiów, łączy mnie także wiele sympatycznych wspomnień. Kiedy władze uczelni awansowały Go na dziekana do spraw studenckich, a ja w tym czasie pełniłem funkcję przewodniczącego Rady Mieszkańców, owocnie i sympatycznie współpracowaliśmy. A poprawkowy egzamin z anatomii przydał mi się na całe życie i do dzisiaj pamiętam wiele z wykutej wtedy wiedzy.

W pamięci zachowuję wiele zdarzeń kojarzonych z moimi studiami w Białej. Czasem myślę, że ich opisanie wystarczyłoby na kilkutomową, z pewnością interesującą książkę. Być może kiedyś, kiedy dysponować będę większą ilością wolnego czasu. Teraz nie jest to, niestety możliwe. Pracuję jako tłumacz specjalistycznych materiałów szkoleniowych w Polskim Związku Podnoszenia Ciężarów, jako ekspert w Ministerstwie Edukacji Narodowej, jako Prezes Chełmskiego Stowarzyszenia Budowlanych, jako wykładowca w Wyższej Szkole Stosunków Międzynarodowych i Komunikacji Społecznej i w Zespole Szkół Budowlanych w Chełmie, jako trener sekcji podnoszenia ciężarów, organizuję imprezy sportowe dla dzieci, młodzieży i dorosłych, piszę wiersze i monografie, podjąłem dodatkowe studia w zakresie umiejętności pisania projektów europejskich. Jest tego dużo, bardzo dużo. Zdarza się, że brakuje mi czasu nawet na sen. A przecież uprawiam w dalszym ciągu i to z niezłym skutkiem podnoszenie ciężarów, zdobywając już kilka medali na mistrzostwach świata i Europy w kategorii masters.



Stadion, ponad 30 lat temu.

Jestem przekonany, że osiągnięcia w pracy z młodzieżą, sukcesy ogólnopolskie i międzynarodowe, liczne publikacje i prace naukowe są najlepszym świadectwem jakości mojej pracy, a przede wszystkim efektem wysiłku i zaangażowania tych, którzy tę jakość we mnie ukształtowali i których zawsze będę wspominał z ogromną wdzięcznością: doc. dra Czesława Borejszę, doc. dra hab. Kazimierza Czajkowskiego, prof. dra hab. Włodzimierza Starostę, prof. dra hab. Ryszarda Cieślińskiego, doc. dra Antoniego Olszowskiego, prof. dra hab. Juliusza Czaplickiego, prof. dra Bogdana Turosa, dr Krystynę Górniak, mgra Tadeusza Zaradkiewicza, Państwa Danilkiewiczów, dra Stanisława Arasymowicza, dra med. Lucjana Bukalę, dr Danutę Nałęcką, mgr Sławomirę Suchożebrską, mgr Danutę Burdzicką, mgr Danutę Tymoszuk, mgra Andrzeja Kuźmickiego, mgra Kazimierza Rybaka, mgra Janusza Charytoniuka, mgra Henryka Wyciszkiwicza, mgra Rudolfa Mironiuka, mgra Mirosława Popczyka, mgra Józefa Starzyńskiego, mgra Mariana Rzędzickiego, dra Władysława Kudelskiego, mgra Jana Złomańczuka, mgra Tadeusza Żmirka, mgra Mariana Trosczyńskiego, mojego trenera mgra Henryka Górniaka i wielu, wielu innych.

Dusza się raduje i serce rośnie, gdy zwiedza się dzisiaj obiekty sportowe AWF.

Nie byłbym więc sobą, gdybym nie pochylił się nad tytaniczną pracą, jaką włożył w rozwój uczelni jej obecny dziekan prof. Jerzy Sadowski. Podróżując po świecie i przypatrując się tam obiektom sportowym: w Toronto, Londynie,

Barcelonie czy Glasgow mogę z pełnym przekonaniem i satysfakcją stwierdzić, że Biała Podlaska to obecnie akademicki ośrodek sportowy o najwyższych, światowych parametrach.



Co zostało w pamięci z tamtych lat ?...

S PORTEM interesowałem się od najmłodszych lat. Pierwsze Igrzyska Olimpijskie, jakie pamiętam, to Rzym 1960. Słuchałem relacji, jako mały „brzdąc” w radiu i do dziś pamiętam konkurs trójskoku i zwycięstwo Józefa Szmita, przegraną walkę skrzywdzonego przez sędziów Tadeusza Walaska oraz wspaniały bieg Zdzisława Krzyszkowiaka. Innych dyscyplin nie pamiętam, słuchałem tylko te relacje, których przebieg mogłem sobie wyobrazić. Dopiero od grudnia 1960, po tym jak rodzice kupili telewizor, mogłem oglądać sport w telewizji i dokładnie obserwować jak wyglądają poszczególne dyscypliny sportu w rzeczywistości.

Od IV klasy szkoły podstawowej (1963 r.) skakałem w dal i wżwyż na zaimprovizowanych skoczniach w pobliżu domu, pamiętam pierwsze wyniki – 4.25 w skokach dal, 115 wżwyż i 10.50 w trójskoku. To był mój początek aktywnego uczestnictwa w sporcie.

Przez cały okres (szkoła podstawowa i średnia) uprawiałem różne dyscypliny sportu. Wybór kierunku studiów był więc oczywisty, a tak naprawdę dokonałem go właśnie wtedy.

Rok przed maturą w 1972 roku przyjechałem do Białej Podlaskiej przy okazji wyjazdu służbowego ojca i szczerze mówiąc byłem poirytowany tym, co zobaczyłem. Wcześniej oglądałem uczelnie lubelskie, a tu obiekt wielkości dużej szkoły średniej. Mocno zacząłem się zastanawiać – czy oby na pewno to jest to? Przekonali mnie starsi koledzy z naszego LO, którzy już kończyli studia argumentując, że FAWF to fajna uczelnia i są warunki do treningu.

Egzaminy zaczęły się w czerwcu 1973 r. Przyjechało nas około 600 osób, a miejsc oficjalnie było 120.

Na egzaminach czułem się dosyć swobodnie. Ze sportu znałem dużo zdających, a ponadto było kilka osób z naszego Liceum Ogólnokształcącego w Hrubieszowie. Wiedziałem również, że na uczelni pracuje duża grupa prowadzących, którzy byli bardziej lub mniej związani z naszymi terenami. To wszystko pomogło mi pozbyć się tremy i stresów podczas egzaminów.

Zdawaliśmy pierwszy egzamin z przedmiotów praktycznych, a po pozytywnym wyniku teorię. Ciekawostką egzaminów był zaliczany na czas sprawnym

ściowy tor przeszkód, przeprowadzony w pobliskim Technikum Ekonomicznym oraz pływanie, które odbyło się w jednostce wojskowej w basenie przeciwpożarowym.

Egzaminy trwały dość długo, więc już na czasie ich trwania zawarliśmy wiele znajomości, a podczas wakacji utrzymywaliśmy ze sobą kontakty pisząc i odwiedzając się wzajemnie. W lipcu otrzymałem zawiadomienia: o przyjęciu na studia do akademika i odbyciu miesięcznych obowiązkowych praktyk robotniczych. Podczas „zaliczania” praktyk mieszkaliśmy w hotelu robotniczym na Sidorskiej, a do pracy dojeżdżaliśmy 60 km do Kopytowa pod plandeką Żuka skrzyniowego na tzw. „pace”. W zasadzie to niewiele pracowaliśmy ponieważ połowę czasu pracy pochłaniały dojazdy, przerwy regeneracyjne i totalny bałagan organizacyjny – majster budowy kompletnie nie wiedział jak nam zorganizować pracę, głównie opalaliśmy się i organizowali różnego rodzaju zawody w stylu „rzut gumowcem na odległość”.



Czasami w wolnych chwilach odwiedzaliśmy FAWF i właśnie wtedy dowiedziałem się o zawodach lekkoatletycznych w Puławach. Dostałem sprzęt sportowy AZS i pojechałem na zawody już jako zawodnik AZS – AWF Biała Podlaska. (Ostatecznie jednak ze względów formalnych reprezentowałem mój poprzedni Klub Sportowy LKS „Świt” Hrubieszów.)

W autokarze poznałem kilku lekkoatletów z FAWF na czele ze „świeżo upieczonym” magistrem WF Tadeuszem Makarukiem, jak się później okazało – serdecznym moim kolegą na długie lata spędzone w FAWF-ie, w AZS-sie i stadionach lekkoatletycznych. Z Tadeuszem zawsze mieliśmy wspólne treningi



*Pierwszy start w dresie AZS – AWF Biała Podlaska, I miejsce w mityngu
„O Błękitną Wstęgę Wisły” w Puławach*

na wiacie, stadionie i salach sportowych. Pamiętam, jak któregoś popołudnia przyszedł na trening Jurek Sadowski, wysoki szczupły blondyn, uczeń szkoły podstawowej. Początkowo był skoczkiem wzwyż, później skakał w trójskoku, a po latach studiów i pracy został najważniejszym i najlepszym gospodarzem w 40-letniej historii naszej Uczelni. To on doprowadził skromną Uczelnię z kresów wschodnich do rozkwitu i zadbał o jej znaczące miejsce wśród innych w Polsce.

Na początku lat 70-tych głównym koordynatorem lekkiej atletyki był mgr Waldemar Szczepański, wychowawca znaczącej grupy międzyrzeckich lekkoatletów, w tym olimpijczyka z Monachium Jerzego Homziuka. Pierwsze kroki sportowe w AZS-ie zawdzięczam właśnie panu Waldemarowi, później moim przewodnikiem był Tadzio Makaruk.

Minęły wakacje przyszłego studenta. W sobotę zakwaterowaliśmy się w Domu Studenta w pokoju 2A ze Stasiem Jachimczukiem, Olkiem Ziarko i jeszcze jednym kolegą, którego nie pamiętam. Początek roku akademickiego to największe przeżycie w 1973 roku. Gaudeamus, indeks i zaczęliśmy wielką przygodę studencką. Dzięki temu, że uprawiałem sport i zostałem reprezentantem FAWF w lekkiej atletyce, szybko zaaklimatyzowałem się i byłem rozpo-

znawalny przez starsze roczniki, co w tym czasie było nie bez znaczenia. Istniała hierarchia rocznikowa odczuwalna na wielu płaszczyznach życia studenckiego – począwszy od zakwaterowania w DS. – parter I rok, starsze roczniki zajmowały wyższe piętra – na ostatnim najstarszy rocznik.

Po kilku tygodniach pokój 1 i 2 A zostały przeniesione do bloku B na I piętro do pokoi 104 i 105. Piętro to zajmowane było przez kadrę nauczającą – asystentów, doktorów i docentów. Nasz pokój 105 położony był naprzeciwko pokoju docenta Bogdana Turowsa, na piętrze mieszkał również powszechnie lubiany przez studentów dziekan Kazimierz Czajkowski. Mimo że byliśmy pod „ściśłą” kontrolą, nie czuliśmy specjalnego skrupowania, a nawet zdarzyło się kilka zabawnych sytuacji wynikających z faktu korzystania ze wspólnej łazienki. Na parterze mieszkała męska część naszego rocznika i tam też spędzaliśmy czas wolny. Poza zajęciami najważniejszy dla nas był sport. Na I roku tylko nieliczni nie byli czynnymi sportowcami. Na treningi chodziliśmy „całymi pokojami”.

Na roczniku byli przedstawiciele: piłki nożnej, ręcznej, siatkówki, koszykówki, podnoszenia ciężarów, lekkiej atletyki, zapasów, hokeja na lodzie, gimnastyki, kolarstwa, dżudo, wioślarstwa i żeglarstwa.

Wszyscy staraliśmy się na różne sposoby uprawiać nasze dyscypliny sportu, ale warunki i możliwości FAWF były bardzo skromne. Do dyspozycji była mała sala gimnastyczna, sala do koszykówki, boisko asfaltowe do piłki ręcznej i „siłownia” w budynku Uczelni w obecnej sali ćwiczeń na niskim parterze w końcu korytarza. Piłkarze nożni i lekkoatleci korzystali głównie ze stadionu miejskiego dzięki uprzejmości zarządzającym MOSiR-em. AZS nie miał zbyt



Popołudniowe zajęcia na stadionie miejskim z koleżankami ze starszych roczników.

licznej kadry trenerskiej i większość trenowała indywidualnie. W szkole średniej uzyskałem na kursie uprawnienia instruktora lekkiej atletyki, więc służyłem potrzebującym radami i planami treningowymi, nie tylko zawodnikom, ale również tym, którzy mieli zaliczenia poprawkowe z lekkiej atletyki

Pierwszy rok studiów to poza zajęciami – sport i życie akademickie w domu studenta.

Pierwsza wspianała masowa i spontaniczna impreza związana była z historycznym awansem 17 października 1973 r. polskiej reprezentacji w piłce nożnej do Mistrzostw Świata w Monachium. W tym dniu już od rana, a nawet dzień wcześniej, rezerwowane były miejsca w świetlicy DS. Na krzesłach leżały kartki z nazwiskami rezerwujących. Były transparenty, flagi, trąbki i inne akcesoria kibica. Po zwycięstwie nastąpiła radość. Wszyscy zebraliśmy się przed akademikiem i ze śpiewem pomaszerowaliśmy na Plac Wolności. Po kilku śpiewnych kółkach wracaliśmy ulicą Warszawską do akademika i wtedy z niezrozumiałych powodów próbowała interweniować milicja. Szybko daliśmy im do zrozumienia (silnie kołyszając Nysą milicyjną), że im szybciej się oddalą, tym będzie lepiej. Wróciliśmy na plac przed akademikiem i hucznie bawiliśmy się do rana.

Zimą 1973/74 w całości poświęciliśmy adaptacji do zmiany sposobu uczenia się – ze szkolnego na akademicki i na treningi.

Klub AZS od momentu powstania zawsze miał problemy finansowe. W Polsce w tym czasie zapanowała moda na tzw. fuzje klubów sportowych i jak „grzyby po deszczu” zaczęły powstawać kluby ponad środowiskowe. W marcu 1974 również AZS stał się RAKS-em (Robotniczo-Akademicki Klub Sportowy) po połączeniu z KS „Podlasie”. Przyniosło to okresową poprawę sytuacji finansowej klubu. Otrzymaliśmy nowy sprzęt, dożywianie, zapewniono nam pieniądze na obozy szkoleniowe, mityngi i starty w rozgrywkach ligowych.

Na Uczelni w tym czasie w ciągu całego roku akademickiego odbywała się Spartakiada Międzyrocznikowa w różnych dyscyplinach sportu. Swoją reprezentację wystawiła również Kadra. Nasz rocznik wygrał w lekkiej atletyce, ale ogólnie wyładowaliśmy w środku „tabeli”. Ja startowałem w lekkiej atletyce, podnoszeniu ciężarów i piłce siatkowej (zdjęcie poniżej – zrobione na II roku – skład praktycznie był taki sam).

Wiosną 1974 zaczęła się niefortunnie – zachorowałem „na własną prośbę” na ciężkie zapalenie płuc. Chorowałem w akademiku pod bacznym okiem pani doktor Krystyny Trzeciak, w ciągu 14 dni straciłem na wadze 10 kilogramów i była to moja najcięższa choroba w „dorosłym życiu”.

Zbliżał się sezon startowy, a ja nie miałem siły przejść więcej niż 50 m bez odpoczynku. Jednak powoli wróciłem do zdrowia, choć pozostał ślad na całe życie w postaci obniżonej odporności na przeziębienia. Pierwsze starty to rekordy życiowe w kuli, dysku, skoku wzwyż, trójskoku i 60 m, później było gorzej – ciągle chorowałem, mimo iż było ciepło.



Po tym był 1 Maja i Plac Wolności, umundurowano nas na potrzeby manifestacji i maszerowaliśmy całym rocznikiem głównymi ulicami Białej Podlaskiej.



Plac Wolności – 1 Maja 1974 – defiluje cały nasz rocznik (choć to było lepsze niż niesienie czerwonych flag – kolumna za sportowcami)



Po zakończeniu zajęć rocznik pojechał do Piękną Górną nad jezioro Kisajno na letni obóz szkoleniowy – ja oczywiście byłem chory i zostałem w domu. W lipcu zorganizowano nam obóz sportowy, a jego celem było przygotowanie się do Spartakiady XXX-lecia PRL w Warszawie. Było to wielkie święto propagandowe ówczesnych władz. Cały nasz rocznik skoszarowany był w Warszawie i przygotowywał pokazy gimnastyczne do prezentacji na głównej defiladzie obchodów.

Sportowcy zakwaterowani byli na Szczęśliwicach niedaleko stadionu „Skra” (miejsce startu lekkoatletów). Nie byliśmy zbyt silną i liczną reprezentacją, ale było kilka miejsc finałowych i w tamtym okresie był to wielki sukces naszej FAWF. W czasach, gdzie pytano nas na zawodach, gdzie leży Biała Podlaska, a często nas mylono z Bielsko Białą, bo nikt nie sądził, że może istnieć coś takiego jak AWF i AZS w Białej Podlaskiej. Na wyposażeniu zawodniczym mieliśmy torby z napisami AZS Biała Podlaska i część szczególnie młodych zawodników namiętnie zdrapywała napis Biała Podlaska zostawiając tylko AZS. Nie traktowano nas jak rywali, byliśmy w sporcie „ubogimi krewnymi” z kresowej prowincji, tak w tym czasie postrzegani byliśmy na stadionach w Polsce.

Zajęcie kilku miejsc w finałach na Spartakiadzie XXX-lecia było wielkim sukcesem.

Niestety, nie pamiętam miejsc naszych reprezentantów. Mnie zgłoszono do pchnięcia kulą i rzutu dyskiem, no i oczywiście w przeddzień startu dało o sobie znać przebyte zapalenie płuc – znowu miałem temperaturę i źle się czułem.

Eliminacje do kuli były rano o 10.00. Szczęśliwie mimo gorączki byłem 10-ty i zakwalifikowałem się do finału. Finał był po południu tego samego dnia. W przerwie naszpikowałem się witaminą C i polopiryną i wskoczyłem do łóżka. W finale poprawiłem się znacznie i ostatecznie zająłem bardzo dobre 5-te miejsce. W rzucie dyskiem start zakończyłem na rozgrzewce, a w zasadzie wyeliminował mnie konkurent. Rzucił dyskiem w czasie rozgrzewki znacznie poza promień rzutu właśnie tam, gdzie ja prowadziłem rozgrzewkę około 40 m od koła do rzutów. Zareagowałem na krzyki sędziów i odwróciłem się w stronę koła, ale było za późno, żeby zrobić unik. Oberwałem 2 kilogramowym dyskiem w klatkę piersiową w okolicach serca. Początkowo nie czułem specjalnie bólu, wykonałem nawet jakiś pokraczny rzut, ale po chwili odczułem potworny ból w klatce piersiowej i niedługo po tym pojawił się największy krwiak jaki widziałem w życiu. Koniec mojego startu i szans na medal w mojej „lepszej” konkurencji jaką był dysk.



Spartakiada XXX-lecia PRL (Warszawa, koniec lipca 1974).

Na trybunach po prawej autor wspomnień (po prawej w środkowym rzędzie), obok Izydor Wiejak (młociarz AZS), po lewej Andrzej Pszczółka (młociarz AZS) – obaj trenowali w naszej grupie rzutów.

W głębi widoczny jest późniejszy rekordzista świata i Mistrz Olimpijski z Moskwy 1980 w biegu na 3000 m z przeszkodami Bronisław Malinowski w towarzystwie Kazimierza Zimnego, byłego rekordzisty świata i Wicemistrza Olimpijskiego z Rzymu 1960 w tej samej konkurencji.

We wrześniu pojechaliśmy z kilkoma kolegami na zaległy obóz szkoleniowy letni do Pięknej Góry nad jezioro Kisajno koło Giżycka (do ośrodka AWF Warszawa). Na obozie programowo był rocznik zerowy, więc czuliśmy się „panami” sytuacji. Do naszego obozu doklejona była spora grupa „rozbitków” z różnych roczników, w tym również z Warszawy. W namiocie obok mieszkał między innymi Mistrz Olimpijski we florecie z IO w Monachium w 1972 Lech Koziejowski oraz kilku reprezentantów Polski w różnych dyscyplinach sportu.

Z „seniorów” utworzono oddzielne grupy szkoleniowe, więc atmosfera była bardzo „luźna” z dużą dozą humoru na każdych zajęciach i poza nimi.



*Widok na stołówkę i plac apelowy w Ośrodku Sportów Wodnych
AWF Warszawa w Pięknej Górze*

Pogoda była wspaniała, a ponieważ nie uczestniczyliśmy we wszystkich zajęciach, spędzaliśmy czas na różnych bardzo atrakcyjnych zajęciach – to był wspaniały obóz. Był koniec sierpnia, ale wróciliśmy opaleni bardziej niż murzyni z Sudanu.

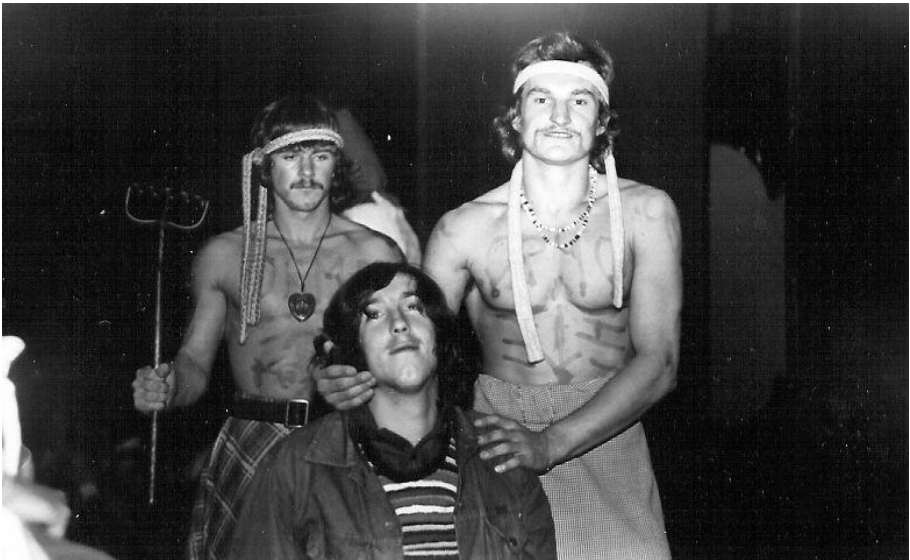
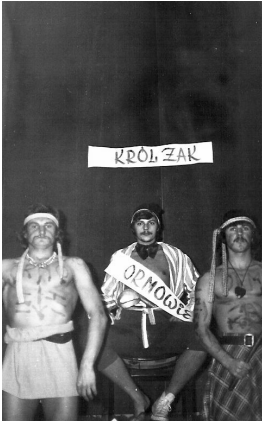
Koniec pierwszych studenckich wakacji – jesteśmy na drugim roku i awansujemy z B do A bloku do pokoju nr 12. Do naszego składu dołącza kolega z grupy dydaktycznej Czarek Wnuk, jak się później okazało mój najlepszy kumpel na studiach. W pokoju przez długi czas mieszkamy z „waletem”. Pomagamy naszemu koledze z Hrubieszowa Januszowi Wilczkowi – nie przyznano mu miejsca w Domu Studenta. Do ukończenia studiów już nie zmienia się nasz



Zajęcia z żeglarstwa prowadziła z nami również Ewa Wasilewska, córka ówczesnego Rektora FAWF doc. Erazma Wasilewskiego.

skład pokoju, stanowimy bardzo zgraną i wzajemnie się wspierającą grupkę koleżeńską. Z Czarkiem również bierzemy czynny udział w otrzęsinach I roku organizowanych wspólnie z III rocznikiem (zdjęcia poniżej).

W październiku zostałem zatrudniony w AZS-sie na 1/2 etatu jako trener lekkiej atletyki i rozpocząłem treningi z dosyć pokaźną grupą miotaczy zarówno pod względem ilości, jak i jakości. Atmosfera w grupie jest wspaniała, intensywnie pracujemy przez całą zimę. Wiosną prawie wszyscy poprawiają rekordy życiowe i stają się reprezentantami naszej II-go ligowej drużyny. W zimie z zaoszczędzonych poborów kupiłem 8-milimetrową kamerę i projektor filmowy do celów szkoleniowych. Filmowaliśmy, wyświetlaliśmy i poprawialiśmy błędy techniczne. Do leczenia kontuzji i urazów kupiłem lampę sollux, aparat do masażu, poduszkę elektryczną i lampę kwarcową z promiennikiem infrared. W pokoju mieliśmy mały gabinet zabiegowy, z którego korzystali nie tylko trenujący, ale wszyscy potrzebujący pomocy. Po zapoznaniu się z zasadami masażu leczniczego wg J. Jankowiaka i masażu sportowego wg A. Biriukowa i przeczytaniu wielu innych pozycji medycznych robiliśmy masaże i naświetlania nie tylko zawodnikom, ale również naszym koleżankom



i kolegom ze studiów. Właśnie w takich okolicznościach poznałem Teresę Plizgę, moją studencką miłość na cały okres studiów. Po studiach, niestety z powodu różnicy poglądów co do wyboru przyszłego miejsca pracy, nasze drogi życiowe rozeszły się.

W tym okresie sportowi poświęcam bardzo dużo czasu, trenuję i intensywnie doksztalam się z teorii treningu sportowego, fizjologii, biochemii i innych nauk związanych z wysiłkiem fizycznym. Jeżdżę do Warszawy do księgarń (głównie Radzieckiej), kupuję wszystko co się wiąże ze sportem i dużo czytam. W czytelni z Izkiem Wiejakiem spędzamy całe dni czytając „Sport Wyczynowy” oraz polskie, radzieckie, czeskie i niemieckie czasopisma poświęcone lekkiej atletyce. Staram się z tych wiadomości zbudować własny pogląd

na metody treningowe dostosowane do warunków i osób trenujących w grupie. Zaczynam pisać coś na kształt rozprawy naukowej o środkach i metodach treningowych w rzutach lekkoatletycznych. Trenowałem, filmowałem, czytałem i opisywałem spostrzeżenia, wyciągałem wnioski i stosowałem w praktyce trenerskiej.



Któregoś wieczoru odwiedził mnie Włodek Świątek i zaproponował mi spotkanie z nowym pracownikiem naukowym docentem Włodzimierzem Starostą. Zabrałem wszystkie moje opracowania i udałem się na spotkanie. Tak powstało Studenckie Koło Naukowe Teorii i Metodyki Sportu. Docent Włodzimierz Starosta okazał się wspaniałym człowiekiem i szybko skupił wokół siebie grupę zainteresowanych nauką studentów. Nasz SKN ściśle współpracował z prowadzonym przez docenta Bogdana Turossa Studenckim Kołem Naukowym Medycyny Sportu. Dużo czytaliśmy literatury naukowej i w każdej wolnej chwili spotykaliśmy się z naszymi opiekunami naukowymi. Słuchaliśmy cennych wywodów naukowych i wskazówek, stopniowo wdrażając się i przygotowując do prowadzenia badań naukowych. Wspólnie z Włodkiem Świątkiem prowadziliśmy badania naukowe na pograniczu teorii, fizjologii psychologii i medycyny sportu.

Wspólnie z Włodkiem pod kierunkiem naszych opiekunów naukowych prowadziliśmy kilka kierunków prac badawczych: wrażenia kinestetyczne w sporcie wyczynowym, reakcje organizmu na wysiłki fizyczne i techniki relaksacyjne w różnych aspektach.

Nasz rocznik był dość kreatywnym w czasie całych studiów. Większość z nas poza zajęciami aktywnie uczestniczyła w życiu studenckim Uczelni. Największa część trenowała w klubie sportowym w sekcjach: lekkiej atletyki, piłki nożnej, piłki siatkowej, piłki ręcznej, podnoszenia ciężarów, inni tańczyli w zespole tanecznym AWF, śpiewali w chórze uczelnianym, udzielali się w pracach organizacji studenckich takich jak SZSP czy w założonym przez nasz rocznik kabarecie studenckim „Ju-8”.

Kabaret zajmował szczególne miejsce w życiu naszego rocznika i Uczelni. Występował nie tylko w środowisku studenckim, ale również w różnych miejscowościach naszego nowo powstałego województwa Białkopodlaskiego. Program kabaretu wyraźnie nawiązywał do absurdów politycznych i społecznych tamtego okresu i z tego właśnie powodu miał stałego „obserwatora” z ramienia Służby Bezpieczeństwa, a program poddawany był cenzurze specjalnej komórce Urzędu Wojewódzkiego. Mimo to zawsze na występach dostawaliśmy coś więcej niż to, co zaakceptowali „towarzysze”. Z tego względu stało się jasne, że dni kabaretu są policzone i tak się w końcu stało. Działalność kabaretu została zawieszona, a po pewnym czasie rozwiązana – pozostały tylko niezapomniane sceny i skecze.

W zimie wyjechaliśmy do Korbielowa w pobliże góry Pilsko na programowy obóz szkoleniowy z narciarstwa biegowego z elementami narciarstwa zjazdowego. Z naszego rocznika tylko nieliczni zetknęli się wcześniej z nartami, większość założyła po raz pierwszy w życiu buty i narty na nogi w Korbielowie.



Korbielów. Od lewej Staś Jachimczuk, prowadzący Rudolf Fober, K. Szychowski, Czarek Wnuk i Jacek Górski



Nasza grupa początkujących na zajęciach w Korbielowie



Po zejściu z gór na nizinach

Sytuacje zabawne zdarzały się co chwilę, szczególnie w pierwszych dniach obozu, więc wieczorem opowieściom nie było końca. Sprzęt, który można było oglądać na naszych nogach, to przegląd wszystkich modeli butów i nart wyprodukowanych w powojennej Polsce. Przed wyjazdem pożyczyłem od Wiesia Watrasa drewniane „narty” o długości 220 z zamontowanym czymś, co miało pełnić funkcję wiązań.

Już na pierwszych zajęciach puściły wkręty i „narta” pomknęła ze sporą prędkością do położonego poniżej górskiego potoku. Do końca obozu „zjeżdżałem” na prawdziwych nartach z wypożyczalni.

Po obozie wróciliśmy do zajęć na Uczelni i realizacji naszych zainteresowań. Często też bywamy na dyskotekach, imieninach i podobnych imprezach okolicznościowych.

Okres przedwakacyjny to liczne starty naszej grupy miotaczy – mistrzostwa różnego szczebla, mityngi, starty kontrolne i II liga w lekkiej atletyce. Wspaniały i niezapomniany start w Rzeszowie, pierwsze zawody, w których znacząco zaistnieliśmy wśród liczących się w kraju klubów sportowych. Zdobyliśmy kilka czołowych miejsc w różnych konkurencjach. Obowiązujący wówczas regulamin nie uprawniał mnie do startu w lidze, zadowolili się musiałem startami w innych zawodach. W czerwcu na jednym ze startów ustanowiłem rekord województwa i AWF w rzucie dyskiem

Zakończyliśmy II rok i zaczęły się wakacje, postanowiliśmy z Teresą zalegalizować nasz związek i stać się parą małżeńską. Ślub zaplanowaliśmy na wrzesień. Mieliśmy dużo czasu i ostatecznie po wielu przemyśleniach stwierdziliśmy, że to jest zbyt wcześnie na taki krok życiowy i ostatecznie nie stawiliśmy się w USC i tym samym odwołując uroczystość. Jak się później okazało, mimo iż do końca studiów byliśmy parą, to do małżeństwa nie doszło. Do dzisiaj nie potrafię jednoznacznie ocenić, czy był to nasz błąd czy też nie.

W domu zająłem się odbudową zabytkowego Citroena BL 11 z 1948 roku. Ciekawy i bardzo prestiżowy samochód w latach 50-tych XX wieku. Używały go służby bezpieczeństwa w okresie stalinowskim. Odrestaurowany samochód miał nam posłużyć na wakacyjny wyjazd na Mazury w składzie naszego pokoju: Czarek Wnuk, Olek Ziarko i Staś Jachimczuk.

Po kilku tygodniach nieprzerwanej pracy samochód był wyremontowany i wyglądał bardzo interesująco.



*Na zdjęciu z Teresą
Techmańską, najlepszą
studentką na naszym roczniku*



Citroen BL 11 po renowacji

W efekcie z powodu opóźnień w remoncie Citroena wyjazd nie doszedł do skutku, mimo że w wyznaczonym czasie i miejscu na trasie czekali na mnie i Stasia Jachimczuka: Czarek Wnuk i Olek Ziarko. Nawet nie mieliśmy możliwości powiadomienia ich o zmianie planów – telefony w tych czasach to abstrakcja, niestety nie było nam dane odbyć ciekawie zapowiadającego się rajdu po Polsce zabytkowym samochodem – szkoda.



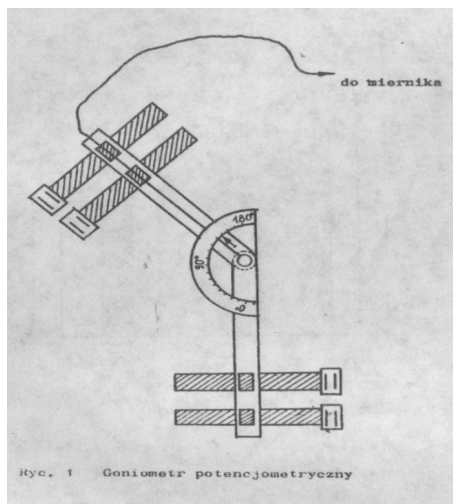
Wspólna kolacja najbardziej zżytych ze sobą kolegów zajętych konsumpcją „Kury w rosole” Made in DDR – jeden z rarytasów socjalizmu. Od lewej: Olek Ziarko, tyłem Włodek Świątek, Czarek Wnuk, K. Szychowski i ręka Michała Dąbskiego

Drugie studenckie wakacje minęły bardzo szybko, treningi w rodzinnym domu i na obozie w Białej Podlaskiej. W czasie żniw praca kombajnisty przy zbiorach zbóż i grochu oraz kilka ciekawych spotkań towarzyskich z kolegami ze studiów i szkoły średniej. Intensywnie i bardzo dynamicznie spędzone wakacje.

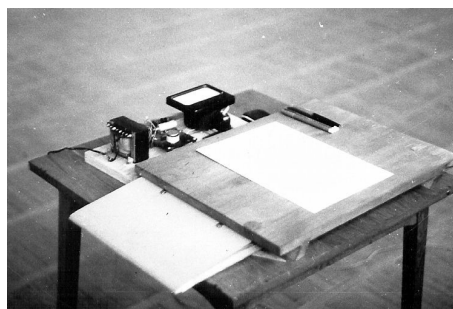
Październik 1975 zaczęliśmy III-ci, najbardziej pracowity rok na studiach.

Na drugim roku w czasopiśmie „Młodym Technik” przeczytaliśmy artykuł o udanej i ciekawej studenckiej wyprawie traktorem Ursus do Kuwejt. Po wielu spotkaniach dyskusyjnych postanowiliśmy zorganizować w następnym 1976 roku podobną wyprawę do Skandynawii. Wyprawa miała mieć charakter badawczo-poznawczy. Skandynawowie słyną z wyjątkowej aktywności fizycznej i zdrowego trybu życia. Tam narodziły się różne formy ćwiczeń fizycznych, a przede wszystkim niespotykana popularność sportu masowego. Opracowaliśmy program wyprawy, zaczęliśmy uczyć się języków obcych, nawiązaliśmy kontakt z ówczesnymi władzami partyjnymi, wstępnie rozpoczęliśmy starania o pozyskanie samochodów terenowych marki „Star 66” i przyczep osobowych „Jelcz P01”. Uzyskaliśmy również deklarację uczestnictwa w wyprawie naszych opiekunów naukowych. Byliśmy bardzo zdeterminowani, ale nastał 1976 rok – początek załamania gospodarczego PRL i protestów robotniczych. W tych warunkach nie było mowy o wsparciu ze strony „przewodniej siły narodu” – PZPR, która wpadła w niemałe tarapaty zapowiadające bliski koniec systemu polityczno-gospodarczego Polski. Pozbawieni wsparcia, które w tamtym czasie było podstawowym warunkiem powodzenia każdego przedsięwzięcia, postanowiliśmy zrezygnować z realizacji pomysłu, a całą uwagę i energię skoncentrować na pracy naukowej.

Jesienią 1975 rozpoczęliśmy kilka prac eksperymentalno-badawczych. Mieliśmy wiele ciekawych pomysłów, ale ograniczały nas możliwości aparaturowe. We własnym zakresie staraliśmy się z pomocą pracowników technicznych FAWF wykonywać proste urządzenia pomiarowe. Ciekawym pomysłem docenta Włodzimierza Starosty było koło do pomiaru stopnia koordynacji ruchowej, użyte w wielu późniejszych badaniach SKN. Do badań wykorzystywałem goniometr potencjometryczny własnej konstrukcji i wykonania – elektroniczny przyrząd do pomiaru wrażeń kinestetycznych. Oparty na zasadzie mechanicznej zaprezentowanej przez docentów W. Starostę i B. Turosa. Z pomocą tego prototypowego urządzenia zrealizowaliśmy cały szereg badań i eksperymentów.



Rysunek pochodzi z Monografii wydanej przez AWF Poznań w 1978 roku z okazji zorganizowania przez Komisję Podstawowych Problemów Kultury Fizycznej Polskiej Akademii Nauk II-giej Konferencji o przyrodniczych podstawach kultury fizycznej.

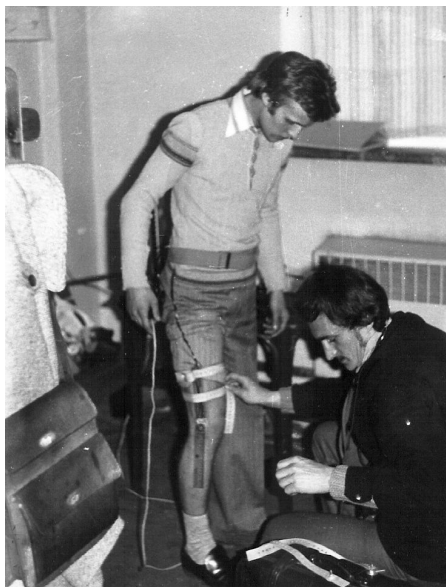


Tak wyglądało jedno ze stanowisk badawczych (pomiar zdolności odtwarzania ruchu w różnych fazach rozgrzewki). Poniżej osnowa treningowa wg której badani wykonywali program eksperymentu.

OSNOWA TRENINGOWA			
WIDZ	TYTUŁ TRENINGOWY	NAZWA I OPIS ĆWICZENIA	POCZĄTEK CZAS KOŃCZ
CZĘŚĆ GŁÓWNA	1. ROZGRZEWKA SPECJALISTYCZNA	1. TRYGON - LEWA RĘKA	4'00"
		2. WYBIEG - PRAWA RĘKA (10m - 10')	4'
		3. DWIE RÓŻNOCYŚNIE I SZYSTANIE (1. P.)	0'05"
		4. PODCIĄG NARZĘDZIOWY	0'05"
		5. W MARSZU SKŁONY DO L. I P. N.	0'05"
		6. KAZDAJA SKŁONY TĘCZNY, KROK	0'05"
		7. W RÓZKROKU SKŁONY I PRZOD	5'00"
		8. WYPIACZY I Z. W OPADZIE I W PRZOD	0'01"
		9. PRZYSIADY, HODOWA I L. T. K.	0'01"
		10. W SIADZE RÓZKROKOWE SKŁONY I. A. P.	4'00"
		11. SIADKI W SIADZE I PRZYSIADKI (W PRZOD)	0'05"
		12. WSIADKI Z OBROTEM CIĄGA (W PRZOD)	0'05"
		13. SKOKI „ZABKA”	0'05"
		14. 2 MIN. PRZEREWY	0'05"
15. PRZYSIADY ZE SZTANGĄ	4'		
16. PRZYSIADY ZE SZTANGĄ	4'		
CZĘŚĆ GŁÓWNA	1. ĆWICZENIA SIŁY OGÓLNEJ	1. PRZYSIADY ZE SZTANGĄ 50% 6 x 8	15'00"
	2. ĆWICZENIA SIŁY OGÓLNEJ	2. PRZYSIADY ZE SZTANGĄ 60% 6 x 7	15'00"
	3. ĆWICZENIA SIŁY OGÓLNEJ	3. PRZYSIADY ZE SZTANGĄ 70% 6 x 6	15'00"
CZĘŚĆ GŁÓWNA	1. ĆWICZENIA WOLNOCIĄTAJĄ WYKONKA 10 x 5 x 5 x 5	4. WYKONKA 10 x 5 x 5 x 5 W POKOJU, WYKONKA 10 x 5 x 5 x 5	2'

W 1976 r. 9 i 10. kwietnia dzięki docentowi W. Staroście mieliśmy możliwość przeprowadzenia badań podczas Mistrzostw Polski w łyżwiarstwie figurowym na lodzie na warszawskim „Torwarze”.

Datę tą pamiętam szczególnie dobrze, gdyż 8-go kwietnia w Katowickim Spodku stał się cud: Polska pierwszy i ostatni raz w historii pokonała w czasie Mistrzostw Świata w hokeju na lodzie reprezentację ZSRR 6:4. Niestety, nie oglądałem, gdyż w roku 1976 podróż pociągiem z Krasnegostawu – miejsca moich praktyk studenckich – do Warszawy pociągiem z lokomotywą opalaną węglem trwała około 12 godzin. Wyjechałem wieczorem, żeby zdążyć na godzinę 10.00 na Torwar w dniu następnym.



Kwiecień 1976. Badania uczestników Mistrzostw Polski w łyżwiarstwie figurowym. Na zdjęciu badany jest Jacek Żylski – Mistrz (1974) i reprezentant Polski



Włodek Świątek przeprowadza badanie 9-cioletniego wówczas Grzegorza Filipowskiego, najlepszego Polskiego solistę w historii łyżwiarstwa figurowego na lodzie. Największy sukces osiągnął w czasie mistrzostw świata w 1989 w Paryżu. Zajął trzecie miejsce (najlepsze z Europejczyków), ustępując jedynie Kanadyjczykowi Kurtowi Browningowi i Amerykaninowi Christopherowi Bowmanowi.

Ze szczególnym sentymentem wspominam eksperyment z modyfikacją treningu autogenego Schultza. Do uczestnictwa w tym programie zaprosiliśmy 12 najwspanialszych i najmilszych dziewcząt z I roku studiów. Wtedy poznaliśmy „dobrego duszka”, który tak naprawdę zorganizował nam tę grupę badawczą i już do końca studiów wspierał naszą działalność. Duszkiem tym była Teresa Jaślikowska – zawsze i w każdej sytuacji mogliśmy liczyć na jej pomoc, tym bardziej, że była wszechstronnie uzdolniona – potrafiła we wszystkim i każdemu pomóc. Bardzo serdecznie dziękuję w imieniu swoim i Włodka za wspianą atmosferę i pomoc, której nam zawsze udzielałaś w czasie naszej studenckiej pracy naukowej.

Zima i wiosna 1976 to bardzo „gorący” okres studiów, treningi, wyjazdy na zawody, badania naukowe, organizacja II Uczelnianej i XII Ogólnopolskiej

Konferencji Studenckich Kół Naukowych, obszerne przedmioty do zaliczenia, no i bogate życie towarzyskie. W programie studiów mieliśmy również kwietniową praktykę w szkole podstawowej. Postanowiłem wykorzystać tę możliwość na zarobienie dodatkowych pieniędzy. Namówiłem Olka Ziarko na wyjazd do Krasnegostawu i założenie plantacji buraków cukrowych na polu dziadka położonym w pobliżu miasta. Z pomocą rodziny zostaliśmy właścicielami 2-hektarowej plantacji buraków i kłopotów z tym związanych. Szybko okazało się, że teoria bardzo różni się od praktyki- a praca rolnika od życia studenckiego. Mimo braku maszyn i narzędzi w wakacje i w czasie jesiennych praktyk w szkole średniej doprowadziliśmy nasz „biznes” do końca. Zysk był niewielki, ale przy okazji okazało się, nieprawdą jest twierdzenie, że „rolnik śpi i samo mu rośnie”.

Dowodem naszej plantatorskiej działalności był pierwszy prywatny telewizor w DS. „Spartanin”, dzięki któremu mogliśmy w komfortowych warunkach oglądać transmisje sportowe.

Po powrocie z praktyk w szaleńczym tempie przygotowywaliśmy prace na konferencję SKN. W maju 1976 r. w Serpelicach odbyła się bardzo udana i wysoko oceniona przez uczestników i naukowców XII Ogólnopolska Konferencja Studenckich Kół Naukowych.



*Serpelice 1976. Ogólnopolska Konferencja Studenckich Kół Naukowych.
Na zdjęciu od lewej: K. Szychowski, dr Danuta Nałęcka, dr Z. Danilkiewicz,
doc. B. Tuross, doc. W. Starosta, doc. K. Czajkowski*

Wraz z Włodkiem Świątkiem zaprezentowaliśmy dwie prace naukowe w dwóch działach: Teorii i Metodyki Sportu oraz Medycyny Sportu. Obydwie zostały wysoko ocenione, a praca pt. „Wpływ obciążeń treningu siłowego na wyrazistość wrażeń kinestetycznych” zajęła I miejsce w dziale i uznana została za najbardziej zaawansowaną naukowo. W czasie obrad okazało się, że jesteśmy najsilniejszym ośrodkiem studenckiego ruchu naukowego w Polsce wśród uczelni wychowania fizycznego zarówno pod względem ilościowym jak i zaawansowania naukowego. Zawdzięczaliśmy to przede wszystkim naszym opiekunom naukowym, a w szczególności docentom: Włodzimierzowi Staroście i Bohdanowi Turosovi. Po zakończeniu konferencji jury przeprowadziło kwalifikację najlepszych prac na Międzynarodowe Sympozjum Naukowe Studentów we Wrocławiu. Wśród wytypowanych znalazły się cztery z Białej Podlaskiej, w tym również i nasze. Sympozjum miało się odbyć w grudniu, do tego czasu mieliśmy przygotować wersję obcojęzyczną w jednym z trzech obowiązujących języków: angielski, niemiecki, rosyjski. Przygotowania do wystąpienia na międzynarodowej konferencji przeprowadzaliśmy jesienią już na IV roku. Wystąpienie przygotowaliśmy w języku rosyjskim z tłumaczeniami wykonanymi przez panią znającą specyfikę języka techniczno-naukowego.

W grudniu do Wrocławia pojechała 8-osobowa grupa z czterema referatami pod naukowym kierownictwem doc. Włodzimierza Starosty. Wśród uczestników największą grupę stanowili przedstawiciele krajów z ówczesnego ZSRR: Azerbejdżan, Armenia, Łotwa, Estonia, Rosja oraz innych krajów: Czechosłowacja, Węgry, NRD, Finlandia, Anglia, RFN.



Prócz oficjalnych obrad zawarliśmy wiele znajomości i wymieniliśmy poglądy i doświadczenia praktycznie ze wszystkimi uczestnikami. Szczególnie mile wspominam rozmowy z doktorem z Pragi i pani doktor z Lipska. Atmosfera była wspaniała, a treść rozmów pamiętam do dnia dzisiejszego. Bardzo miłe chwile.

Po konferencji ukazała się publikacja w trzech językach z referatami wygłoszonymi w czasie sympozjum.

W październiku na czwartym roku studiów zostałem społecznym asystentem w Zakładzie Teorii i Metodyki Sportu. Asystowałem docentowi W. Staroście w zajęciach i raz w tygodniu prowadziłem ćwiczenia z tego przedmiotu. Głównie jednak kontynuowałem badania i przygotowywałem opracowania naukowe także pod kątem pracy magisterskiej. W jesieni również otrzymaliśmy tapczany w miejsce żelaznych łóżek i materaców z siana. Przemebłowaliśmy pokój przedzielając go zasłoną na dwa mniejsze, wstawiliśmy ławę, zainstalowaliśmy intymne oświetlenia boczne i dodaliśmy przy pomocy przystawki 2 program do telewizora. Mieszkaliśmy w bardzo miłym i przytulnym „mieszkanku”, które podczas ciekawych audycji i transmisji zmieniało się w salę telewizyjną. Szczególnie w czasie transmisji sportowych atmosfera była gorąca i głośna.

Na Uczelni zaliczaliśmy „czarne dziury” wypełniając indeks wszystkimi brakującymi podpisami z różnych przedmiotów. Pamiętam, że brakowało mi kilku podpisów, w tym niektóre mocno „przedawnione”.

W zasadzie do zaliczenia semestru ważne były tylko karty egzaminacyjne, ale do obrony pracy konieczny był uzupełniony indeks. Większość z nas uczestniczyła w „polowaniu” na prowadzących, żeby uzyskać brakujący podpis.

Wiosna 1977 aż do wakacji to praktycznie okres pisania i obron prac magisterskich. Bardziej obowiązki uporali się wcześniej z obroną, ale zdecydowana większość broniła się przed wakacjami.

Największym problemem podczas pisania pracy było statystyczne opracowanie wyników. W tym czasie nie było kalkulatorów, a dostęp do tzw. maszyn



liczących był ograniczony. Udało mi się pożyczyć 4 kilogramową radziecką maszynę do liczenia „Iskra 111” (odpowiednik dzisiejszych kalkulatorów), zabrałem karty badań i wyjechałem na wieś opracowywać i pisać pracę.

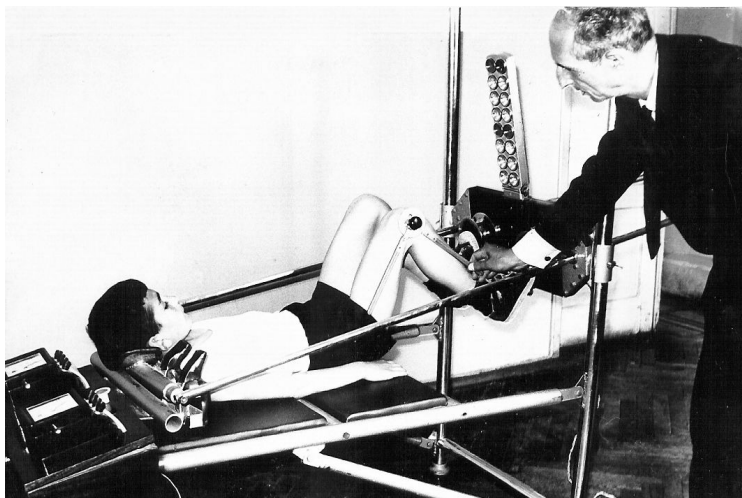
„Kalkulator”, na którym obliczyłem wyniki badań do pracy magisterskiej

Wróciłem po tygodniu z kompletem obliczeń. Na uczelni czekała na mnie przyjemna niespodzianka: za pracę naukową otrzymałem nagrodę rektorską i zostałem wytypowany na wyjazd stażowy do Związku Radzieckiego. Organizatorem był GKKFiT, ówczesny odpowiednik obecnego Ministerstwa Sportu. Program obejmował wizyty w Instytutach Kultury Fizycznej: Białorusi, Rosji, Ukrainy i Gruzji. Wyjazd miał nastąpić we wrześniu. Zasadą tego typu wyjazdów było wytypowanie jednego pracownika i jednego wyróżniającego się studenta. Początkowo miałem jechać z Marianem Rzędzickim, ale miał inne plany wakacyjne i w efekcie pojechałem z Tadzim Makarukiem. Obaj zostaliśmy fotoreporterami dokumentującymi pracę poszczególnych grup tematycznych. Nasze zdjęcia znalazły się w albumie wydanym po zakończeniu wyjazdu stażowego.



*Krym 1977 podczas wyjazdu stażowego do ZSSR.
Na zdjęciu z malarką z Kijowa podczas pleneru artystów z Ukrainy*

Tbilisi 1977 podczas wyjazdu stażowego do ZSSR w stolicy Gruzji odwiedziliśmy tamtejszy Instytut Kultury Fizycznej i jednego ze znaczących na świecie naukowców pracujących w sporcie, profesora Joselianiego, wspaniałego człowieka i trenera trzykrotnego mistrza olimpijskiego w trójskoku Wiktora Saniejewa. Wraz z Tadzim Makarukiem w pewnej konspiracji spotkaliśmy się prywatnie bez czujnego oka KGB. Rozmowa była długa, miła i z dużą dozą otwartości. Profesor Joseliani był wyjątkowym człowiekiem.



Po powrocie ze spotkania zauważyliśmy, że mieliśmy nieproszonych „gości”, którzy skrupulatnie przeglądali nasze rzeczy, wyraźnie zostali zaskoczeni, ponieważ uciekając nie zdążyli zamknąć pokoju.

Po chwilach radości związanych z niespodziankami wróciłem na ziemię i dalej kontynuowałem pisanie pracy. Po kilku tygodniach, konsultacji i poprawek 12 lipca 1977 roku byłem już magistrem. Dalej jednak pracowaliśmy w SKN Teorii i Metodyki Sportu. Prowadziliśmy również działalność popularyzatorską poprzez spotkania z ludźmi związanymi ze sportem.



Jedno ze spotkań, Klub „Meta” rok 1980. Od lewej doc. Włodzimierz Starosta, Zygmunt Zabierzowski – trener dwukrotnego Mistrza Olimpijskiego z Moskwy w 1980 roku na 400 i 800 metrów kubańczyka Alberto Juantoreny.

Trener wraz z innymi zbudował Polski Wunderteam – wychował między innymi Wiesława Maniaka (najszybszy biały sprinter na 100m na IO w Tokio 1964 – 10,1s), Mariana Dudziaka, Jerzego Juskowiaka, Mariana Foika. Pracował w Polsce i na Kubie. Sam był zawodnikiem Polonii Warszawa: 2-krotny medalista Akademickich Mistrzostw Świata w 1939: 3 miejsce na 400 m (50.1) i 2. miejsce w sztafecie 800 x 200 x 200 x 400 m (3: 32.9), 3-krotny mistrz Polski na 400 m, 4 x 400 m i w sztafecie olimpijskiej (1937-39). Rekordy życiowe: 100 m – 11,1 s, 200 m – 22,8 s, 400 m – 49,7 s, 800 m – 2:00.8, 400 m ppł. – 59,9 s. W czasie II wojny światowej żołnierz AK w batalionie „Żmija” na Żoliborzu, uczestnik powstania warszawskiego, jedna z najwybitniejszych postaci polskiej lekkiej atletyki.

INTENSYWNOŚĆ PRACY SZKOLENIOWEJ ROK 1976 ALBERTO JUANTORENY

1000 m						400 m						200					
LP	DATA	WYŚCIG	PRESTĘGI	SUMA	m/s	LP	DATA	WYŚCIG	PRESTĘGI	SUMA	m/s	LP	DATA	WYŚCIG	PRESTĘGI	SUMA	m/s
1	10-1	3	2:35:35	3000	6.40	1	20-3	2	48:25"	700	8.99	4	3-2	15	24:54"	3000	8.15"
2	20-1	4	2:31:17"	4000	6.54	2	10-4	2	46:55"	800	8.54	2	10-2	15	23:54"	3000	8.39
3	4-2	4	2:37:54"	4000	6.24	3	4-5	3	51:01"	1200	7.83	3	13-2	15	23:43"	3000	8.44
4	11-2	4	2:35:15"	4000	6.44	4	19-4	1	44:50"	400	8.93	4	20-2	15	23:15"	3000	8.44
5	14-2	5	2:41:35"	2000	6.20	5	23-4	4	51:30"	1600	7.74	5	26-2	10	23:18"	2000	8.63
6	21-2	4	2:33:34"	4000	6.52							6	16-3	10	23:16"	2000	8.45
						350											
600 m						700											
1	17-3	5	1:25:04"	2000	7.00	1	16-5	2	39:20"	700	8.93	7	19-3	5	23:18"	1800	8.63
2	20-3	3	1:21:40"	1200	7.33	2	25-5	2	43:15"	700	8.11	8	21-3	6	23:41"	1500	8.52
3	24-3	2	1:17:35"	1200	7.33	3	31-5	2	40:15"	700	8.79	9	23-4	6	23:47"	1200	8.41
4	8-4	2	1:24:45"	1200	7.06	4	19-6	2	39:30"	700	8.82	10	6-4	4	22:10"	900	9.05
5	14-4	2	1:16:50"	1200	7.84	300						11	24-5	4	21:47"	800	9.23
6	24-4	3	1:19:23"	1800	7.57	1	23-3	3	34:30"	900	8.65	12	15-6	2	21:45"	400	9.20
7	16-4	3	1:20:33"	1800	7.41	2	8-4	2	34:45"	600	8.71	13	18-6	3	21:10"	600	9.48
8	7-5	3	1:20:32"	1800	7.48	3	13-4	3	33:13"	900	8.90	14	27-6	10	24:35"	2000	8.24
9	17-5	3	1:20:35"	1800	7.46	4	20-4	3	33:20"	900	8.04	15	24-4	10	23:33"	2000	8.43
10	20-7	2	1:17:50"	1200	7.74	5	19-7	1	34:00"	300	8.83	16	15-7	6	21:41"	1200	9.14
												17:17:7 1 21:40 200 9:38					
500 m												X ODCINI MLEZANE					
1	14-2	1	1:4:35"	500	7.77												
2	21-4	2	1:1:10"	1000	8.15												
3	28-5	3	1:4:06"	1500	7.81												
4	13-4	4	1:4:37"	2000	7.71												
5	20-4	3	1:4:23"	1500	8.13												
6	14-7	3	1:3:33"	1500	7.84												

Poniżej plan treningowy w roku olimpijskim do startu w Igrzyskach Alberto Juantoreny.

Pierwszym moim pełnoetatowym zatrudnieniem była praca na stanowisku asystenta w Samodzielnej Pracowni Teorii i Metodyki Sportu kierowanej przez docenta Włodzimierza Starostę. Prócz mnie zajęcia prowadził również mgr Józef Bergier. Z początkiem października Dyrektor Administracyjny wykorzystując swoje niemieckie znajomości i biegłą znajomość języka zorganizował wyjazd uczelnianym autokarem do NRD. Głównym celem był słynny wówczas Lipski Instytut Sportu – kuźnia NRD-owskich sukcesów i „fabryka” sportowców z próbowki. W efekcie niewiele nam pokazano. Obejrzeliśmy kilka wspólnych obiektów sportowych, z których najbardziej wycieczkę z „prowincjo-

nalnej uczelni” (FAWF liczył wówczas około 500 studentów stacjonarnych) zaintrygował przesuwany dach nad krytą pływalnią olimpijską. Z wyjątkiem treningu szermierzy, zajęć studentów w bibliotece i omówienia systemu banku informacji naukowej, nie mieliśmy okazji do zaobserwowania innych treningów i zajęć w Instytucie.



*Lipsk 1977. Autor wspomnień na tle obiektów Instytutu
– po prawej pływalnia z ruchomym dachem.*

Z naszego rocznika po studiach jako asystenci zatrudnieni zostali: śp. Stanisław Kozłowski, Leszek Siejwa, Krzysztof Szychowski, Włodzimierz Świątek i Krzysztof Zimnicki.

W trakcie pierwszego roku naszej pracy jako asystenci ściśle współpracowaliśmy z Studenckimi Kołami Naukowymi. W tym czasie istniała duża grupa studentów pracujących w SKN-ach, był to wśród uczelni wychowania fizycznego najsilniejszy ośrodek studenckiego ruchu naukowego w Polsce. Na konferencji SKN w FAWF-ie studenci zaprezentowali ponad 30 prac i referatów naukowych, a na konferencjach ogólnopolskich zajmowali czołowe miejsca.

Wspólnie z Radą Uczelnianą SZSP w 1978 organizowaliśmy w powstającym wówczas ośrodku w Pieszcu letni obóz naukowy. W efekcie nasz zamiar nie został zrealizowany. Powodem stała się różnica zdań między JM Rektorem a SKN-ami w doborze opiekunów naukowych. Naturalnym był wyjazd opiekunów wraz z członkami poszczególnych Kół Naukowych. Propozycja Pana

Rektora była zupełnie inna i do przyjęcia w założeniach obozu. Miał to być czysto naukowy połączony z wypoczynkiem. Skończyło się na nasz wniosek przyjazdem redaktorów centralnej prasy (pisma „Razem”) i artykułem interwencyjnym pt. „Na pomoc”.

Na konsekwencje tego samobójczego kroku nie czekaliśmy długo. Wszystkim młodym naukowcom: S. Kozłowskiemu, mnie, Włodkowi Świątkowi i Krzyškowi Zimmickiemu nie przedłużono umów asystenckich. Zapłaciliśmy więc najwyższą cenę za dążenie do normalności.

Nie byłem już asystentem, ale nadal pracowałem jako trener lekkiej atletyki w AZS-ie i współpracowałem z doc. Włodzimierzem Starostą. Prowadziłem badania, pisałem prace naukowe, dużo czytałem opracowań naukowych z dziedzin dotyczących sportu i pracy trenerskiej. W okresie i po ukończeniu studiów napisałem w sumie 16 prac, z czego 4 zostały opublikowane, w tym jedna w znaczącym piśmie „Sport Wyczynowy” w 1979 roku.

W końcu lat 70-tych i początku 80-tych rosła w siłę lekka atletyka w naszym środowisku pod duchowym i organizacyjnym przywództwem trenera i szefa Tadeusza Makaruka. Potrafił stworzyć wyjątkową atmosferę pracy i zaangażowania w treningi, zawody i obozy szkoleniowe. Najpierw awans do II, a następnie do I ligi lekkoatletycznej. Był okres, że byliśmy w stanie wystawić dwa równorzędne zespoły ligowe. Pierwszy był na tyle silny, że wiele ówczesnych gwiazd LA nie miało miejsca w pierwszym zespole. Trenowaliśmy intensywnie, a specjalne pozareglamentacyjne przydziały wędlin otrzymywaliśmy od Prezydenta Białej Podlaskiej przez okres istnienia systemu kartkowego w Polsce. Jeździliśmy na obozy i zgrupowania zarówno zimowe krótkie jak i letnie obejmujące praktycznie cały okres wakacji. Trzon trenerski stanowili: Tadeusz Makaruk – skoki, Stanisław Kędra – sprinty, Janusz Wilczek i Stanisław Borowicz – biegi średnie i długie, Krzysztof Szychowski – rzuty.

Grupa miotaczy w latach 80-tych zdobyła kilka tytułów Akademickiego Mistrza i Wicemistrza Polski, a w czasie zawodów ligowych wносиła znaczący wkład punktowy w ostateczny wynik drużyny.

W latach następnych pracowałem w wielu różnych zakładach: Wojewódzkiej Federacji Sportu, Urzędzie Wojewódzkim i najdłużej w Niemczech, by ponownie powrócić do AWF-u, z którym związany jestem od 37 lat. Teraz po latach zdałem sobie sprawę jaką rolę w życiu każdego z nas odegrały studia w Akademii Wychowania Fizycznego. Choć w społeczeństwie funkcjonuje opinia biegowa o „magistrze od fikołków”, to praktyka wykazuje, że absolwenci uczelni wychowania fizycznego są wszechstronnie przygotowani do życia pracując na różnych stanowiskach i pełniąc wiele znaczących funkcji w sportowym i codziennym życiu nie tylko lokalnych środowiskach, ale i kraju. Przez ten okres przewijał się częściej lub rzadziej wątek związany z Naszą Uczelnią. Spotykałem kolegów i koleżanki w różnych częściach kraju i za granicą. Jest jedna cecha, która wyróżnia absolwentów białskiej AWF – wzajemna serdecz-

ność i silne niegasnące więzi międzykoleżeńskie. Gdybym teraz po prawie 40 latach stanął przed ponownym wyborem kierunku studiów, wybrałbym bez wahania Akademię Wychowania Fizycznego i TYLKO w Białej Podlaskiej, ze względu na wyjątkowy klimat studiowania i doskonałą kadrę nauczycielską.



Grupa miotaczy podczas treningi na siłowni w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich w Limanowej. U dołu od lewej: Danuta Drelich (obecnie mieszka w Sofii), Ryszard Majewski (obecnie masażysta w sekcji piłki nożnej w Górniku Łęczna), Jolanta Kredens (nauczycielka wf), Antoni Czerniak (obecnie trener młodzieżowej kadry Polski kobiet w podnoszeniu ciężarów), w górnym rzędzie od lewej: Mirosław Dziemiach (nauczyciel wf i zastępca dyrektora w szkole średniej w Hrubieszowie), Krzysztof Stipura (obecnie trener kadry Polski w rzucie dyskiem mężczyzn), Iwona Kowalczuk (nauczycielka wf w Białej Podlaskiej).



Spacer po molo w Pucku podczas wolnego czasu od zawodów II ligi w 1980 roku. Jako trener i zaawansowany senior po latach przerwy w treningach przygotowałem się do zawodów i zająłem III miejsce w rzucie dyskiem. Konkurencję wygrał zawodnik AZS Biała Podlaska Mirosław Dziemiach. Na zdjęciu: od lewej Waldemar Antolak, Krzysztof Szychowski, Kazimierz Chmielewski, Jerzy Hryniewicz, Marek Watras, Janusz Krzywosz.

Cezary Wnuk
absolwent 1977



Kilka słów 55 latka pisanych prozą o Białskiej AWF z lat 70-tych

1. Krótkie słowo wstępne z elementami nostalgii.
2. Bunt w Pięknej Górze VI – VII 1974 roku.
3. Pierwsi osadnicy nad Jeziorem Roś w 1976 roku

JEST rok 2010, ale wciąż wracają wspomnienia sprzed ponad 30 lat. Należę do pokolenia pięćdziesięciolatków i twierdzę, że czas spędzony w białskiej uczelni to cudowne chwile i przeżycia. Odwiedzając AWF patrzę i porównuję obecną rzeczywistość z przeszłością. Każda sala w budynku uczelni, pokój w akademiku czy obiekty sportowe przywołują w pamięci to, co już odeszło i nie wróci. Czasem łąza się w oku zakręci, gdy widzę starych znajomych lub wspominam tych, którzy odeszli na zawsze. Pewnie gdzieś w niebie prowadzą swoje wykłady, ćwiczenia czy zajęcia sportowe. Spotkamy się przecież z nimi, ale jeszcze nie teraz. Kreśląc te ulotne zdania na kartce papieru, towarzyszą mi delikatnie wpadające w ucho przeboje lat 70-tych, przy których bawiliśmy się na dyskotekach w akademiku tonąc w ramionach swoich dziewczyn i koleżanek. Całymi godzinami mógłbym słuchać klasyki rocka w wykonaniu takich mistrzów, jak: grupa THE BEATLES, ROLLING STONES, DEEP PURPLE, LED ZEPPELIN, BLACK SABBATH, URIAH HEEP, NAZARETH, SLADE, SWEET, JETHRO TULL, THE DOORS, PINK FLOYD, T-REX, SMOKIE, TEN YEARS AFTER, CREDENCE CLEARWATER REVIVAL, czy wreszcie J. JOPLIN, SUZI QUATRO, JIMIEGO HENDRIXA, CARLOSA SANTANY, GAREGO GLITTERA i RODA STEWARDA. Inna muzyka dla mnie nie istnieje. W chwilach refleksji i zadumy wracam myślami do momentów pełnych uniesień i przelotnych miłości, do zdarzeń przykrych i komicznych, w końcu do wydarzeń sportowych, w których osobiście brałem udział lub byłem ich kibicem.

Przez ponad 20 lat grałem wyczynowo w piłkę ręczną. Barw AZS Biała Podlaska broniłem 4 lata. W tym czasie mecze III, ligi przy licznej widowni, toczyły się na boisku asfaltowym. Graliśmy z zespołami ze Śląska i Krakowa oraz z południowo-wschodniej Polski.

W drużynie piłki ręcznej oprócz mnie występowali: Waldek Nieszczuk, Mietek Sar, Marek Ostrowski, Karol Wiśniewski, Fredek z Lublina, Andrzej



Banasiak, Zbyszek Trzciniński, Roman Mazurek, Janusz Janek, Stefan Przybysz, Leszek Siejwa, Krzysiek Sobieszczak, Leszek Rejter, Janek Stankiewicz, Nieściór Wojtek, Rysiek Ślepowroński, Esiek Dembowski, Adam Rozwadowski, Paweł Gryc, Mietek Zaremba, Maciek z Piaseczna i Zygmunt Piwowski. Nazwiska innych kolegów gdzieś uleciały z pamięci. Z wieloma utrzymuję kontakt do dzisiaj. Trenerami naszej drużyny w latach 1973- 1977 byli mgr Wojciech Jankowski i mgr Józef Gryc.





Piszę te wspomnienia trochę chaotycznie, gdyż nie sposób wszystko ująć, o wszystkim napisać i wszystko opowiedzieć. Postaram się przypomnieć dwa epizody według mnie dość znaczące w historii białskiej uczelni, których byłem uczestnikiem.

Pierwszy z nich to BUNT studentów I rocznika na obozie żeglarskim w Piękną Górze k/Giżycka w czerwcu 1974 roku.

Było to tak. Zaraz po ostatnich egzaminach w sesji letniej (anatomia i psychologia) kilku studentów ochotniczo zgłosiło się do tzw. grupy kwatermistrzowskiej, by już w połowie czerwca wyjechać do Piękną Góry i przygotować ośrodek na przyjazd całego rocznika. Oprócz mnie do wyjazdu zgłosił się Stach Jachimczuk, Mietek Zaremba i kilku kolegów, których nazwisk po prostu nie pamiętam. Opiekunem naszym był mgr Kazimierz Rybak. Tydzień pobytu w ośrodku minął szybko. Przez ten czas sprzątaaliśmy domki i stołówkę, zwoziliśmy zaopatrzenie z Giżycka, malowaliśmy nowe OMEGI, budowaliśmy pomosty i rozbijaliśmy namioty dla przyszłych uczestników obozu. Wieczorami, siedząc przy ognisku nuciliśmy znane nam piosenki przy dźwiękach gitary oraz sączyliśmy napój piwny, marki ŁOMŻA.

Wczesnym rankiem ze Staśkiem Jachimczukiem wyciągaliśmy ukradkiem ryby z „żaków” zastawionych przez miejscowych rybaków oraz, wstyd się przyznać, odhaczaliśmy węgorze ze sznurów własnej produkcji.

Pierwsze dni po przyjeździe wszystkich uczestników minęły błyskawicznie.

W tym czasie na boiskach RFN rozpoczęły się sławne mistrzostwa świata w piłce nożnej. Nasza drużyna z Deyną, Szarmachem, Lato, Gadochą i Tomaszewskim w bramce robiła furorę. Jedyne czarno-biały telewizor stał pod wiatą w stołówce. Podczas którejś z wieczornych transmisji do odbiornika podeszła mgr Zielińska, wyłączyła go twierdząc, że jest cisza nocna i musimy udać się do namiotów. Nastąpiła konsternacja. Każdy z nas patrzył z niedowierzaniem i myślał chyba to samo: Jak to, pełnoletni studenci sportowej uczelni nie mogą oglądać Mistrzostw Świata z Polakami w roli głównej? Po chwili, jeden z kole-



gów ponownie włączył telewizor i zaczęło się. Taka przepychanka trwała przez dobrych kilka minut, gdzie już w słownej dyskusji wzięli udział między innymi nasi koledzy Andrzej Banasiak i Jurek Mitura. Nazajutrz, na porannym apelu oznajmiono nam, że studenci – buntownicy muszą opuścić obóz i są skreśleni z listy studentów. Jednocześnie w rozmowach kularowych jeden z członków kadry, nie będący pracownikiem uczelni a prawdopodobnie agentem SB, stwierdził, że taki bunt kwalifikuje się do odsiadki. Po tym oświadczeniu zapadła cisza. Upływały, ciągnące się jak wieczność, minuty. Zdawałoby się, że to już koniec. Nagle, pełna mobilizacja i jak jeden mąż odmówiliśmy śpiewu hymnu obozowego, pójścia na śniadanie i zajęcia obowiązkowe. Usiedliśmy na trawie oczekując rozwoju sytuacji. Po krótkiej naradzie i wobec naszej nieugiętej postawy postanowiono z nami rozmawiać. Delegatami do rozmów z kadrami obozu zostali Stach Jachimczuk i Jurek Mitura. Następnego dnia w Piękną Górę pojawili się dziekan doc. dr Kazimierz Czajkowski i rektor doc. dr Antoni Olszowski. Rozmowy trwały dość długo, aż w końcu postanowiono, że do sprawy buntu powrócimy w nowym roku akademickim w październiku.

Cała sprawa skończyła się na szczęście tylko naganą dla naszych kolegów, mimo tego całe to zajście pozostało w pamięci do dzisiaj.

Drugie zdarzenie, o którym chciałbym napisać kilka zdań to tygodniowy epizod z historii białskiej AWF z maja 1976 roku. W tym miejscu pozwolę sobie na małą korektę ostatniego wydania wspomnień o naszej uczelni. Otóż w kalendarium przy informacji o rozpoczęciu budowy Ośrodka w Piszcu widnieje data 1977. Jest to niezgodne z prawdą historyczną. Nasza grupa jako pierwsza pojawiła się tam już w maju 1976 roku.



Od pewnego czasu było wiadomo, że białska uczelnia pozyskała grunt pod budowę własnego ośrodka sportów wodnych, gdzieś w okolicach Pizsa nad jeziorem Roś.

Trzeci rok nauki i VI semestr to czas planowych wędrowek i obozów wynikających z programu studiów i również czas zdawania biomechaniki u doc. dra Lucjana Bukały. Doprawdy trzeba było mieć dużo odwagi i żelazne nerwy, żeby bezstresowo podejść do zdawania tego przedmiotu.

Wróćmy jednak do Pizy. Grupa nasza, składająca się z ponad 20 osób, już w połowie maja szykuje się do wyjazdu w nieznane. Po zabranii niezbędnych rzeczy osobistych i zapakowaniu ich do samochodu produkcji NRD marki ROBUR, pomagamy wspólnie ładować sprzęt biwakowy, narzędzia, materiały budowlane, prowiant oraz namioty wojskowe na skrzynię samochodu ciężarowego STAR. Któryś z kolegów wspólnie ze mną maluje grubymi „wołami” na całej długości Stara napis: PISZ – 1976 i wyruszamy.

W ostatniej chwili, jedna z koleżanek pozostających w akademiku wykorzystuje naszą nieuwagę i zabiera sprzęt osobisty, którego brak dał się we znaki w czasie podróży i w pierwszym dniu pobytu. Był to bowiem cały wianuszek papieru toaletowego, składającego się z 10 rolek.

Podróż do Pizy minęła dość szybko. Jeszcze tylko po drodze kupiliśmy 60 jaj w wytłoczkach i ruszamy dalej. Mijamy wieś Łupki i prawie jesteście na miejscu. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie wyboista droga oraz szybka jazda kierowcy. Na którejś z ostatnich dziur w drodze 60 jaj podskoczyło do góry i rozbiło się. Nam pozostało tylko oblizać się po jajecznicy i szybko sprzątać samochód, gdyż majowa temperatura robiła swoje.

Gdzieś w okolicach przyszłego umiejscowienia obozu czekał na nas leśniczy i pilotując prowadził w las. Ciężki samochód piął się pomiędzy drzewami lekko w górę, by zatrzymać się bez możliwości dalszej jazdy. Cała ekipa wyszła z Robura, by rozpoznać teren i odetchnąć świeżym powietrzem. Przed nami ciemna ściana zieleni. Staliśmy w gęstym lesie pełnym grubych sosen, jałowców oraz innych krzewów i drzew. Gąszcz jak w puszczy nad Amazonką. Przedzieramy się w kierunku jeziora, którego jeszcze nie widać. Gęste jałowce, dzikie jeżyny, wrzosi i jagody pod nogami są przeszkodą, którą pokonujemy z niemalym wysiłkiem. Wreszcie stojąc na wysokiej skarpie oczom naszym ukazuje się cudowny widok. Błękitna tafla jeziora, czyste niebo, lekki wiatr kołyszący łany zielonych trzcin robią niesamowite wrażenie. Z trudem schodzimy w dół i niestety 50 metrowy pas przybrzeżnych trzcin i oczeretów zagradza dojsie do otwartej wody. Szybko wracamy, bo pracy jest mnóstwo. Trzeba gdzieś w końcu spać. Błyskawiczna decyzja, siekiery oraz piły idą w ruch i robią swoje. W ciągu godziny jest miejsce na namioty i ognisko. Po rozpakowaniu czeka nas zasłużony sen.

Tak minął pierwszy dzień w całej dotychczasowej historii Ośrodka AWF w Rybitwach nad Jeziorem Roś.

Nie wspominałem, że naszymi opiekunami byli mgr Grzegorz Tarantowicz i mgr Rudolf Fober.

W składzie pierwszej, dziewiczej wyprawy znalazły się, oprócz mojej skromnej osoby: Natalia Wołczek, Jolka Kowalska, Halinka Staniewicz, Ewa Kapczyńska, Krysia Świstowska, Maria Żyra, Maria Kamińska, Grażyna Martys, Mirka Waclawek, Małgosia Góral, Tereska Gibas oraz Andrzej Banasiak, Krzysiek Sobieszczak, Zbyszek Sieczko, Leszek Siejwa, Zbyszek Chmura, Lech

Stęgierski, Janusz Tkaczyk i Krzysiek Tereszczuk. Niech mi wybaczą te osoby, które pominąłem, a wiem, że były na pewno.

Mijają kolejne dni pobytu i powoli przybywa infrastruktury obozowej. Pracownicy z AWF, którzy przyjechali razem z nami budują ujęcie wody oraz latryny. My karczujemy las rozpoznając najbliższą okolicę.

Okazuje się, że obok nas, niby stwory z filmu WOJNA ŚWIATÓW, stoją okrakiem słupy wysokiego napięcia zasilające ten teren, a po sąsiedzku znajduje się ośrodek wypoczynkowy Domu Mody LEDA – modelak niestety nie było. Następne dni wypełnione pracą miały dość szybko. Upał był niemiłosierny. Wojskowe namioty i drzewa dawały cień, lecz brak wiatru powodował olbrzymią duchotę, w której to musieliśmy niemałym wysiłkiem budować pierwsze zejście do jeziora. Łopaty, szpadle i proste pomysły sprawiły, że po trzech dniach można było łagodnie zejść nad brzeg. Zepchniętą ziemię wywoziliśmy taczkami wprost do jeziora robiąc pierwszą ziemną groblę, dzięki której mieliśmy pod koniec pobytu dojście do otwartej wody. Kąpieli zażywaliśmy korzystając z niewielkiej plaży we wspomnianym ośrodku LEDA. Tam też próbowaliśmy szczęścia w połowach ryb na wędki Krzysia Sobieszcza z Siedlec. Efekty okazały się mizerne. Niewątpliwym zwycięzcą w zmaganiu z wielką rybą został Krzysiek Tereszczuk z Włodawy, który pewnego ranka przyniósł ważącego kilka kg szczupaka.

Warto wspomnieć o naszych talentach kulinarnych. Otóż śniadania i kolacje składały się z kanapek i herbaty, za to obiady gotowaliśmy na gazie propan butan. Ciągły dyżur w kuchni miała nasza wspaniała koleżanka Grażynka Martys. Zwolniliśmy ją z prac fizycznych, gdyż stan błogosławiony nie pozwalał jej na zbytne forsowanie się. Być może dlatego, któregoś pięknego dnia gar pomidorowej z makaronem wylądował w trawie, zsuwając się z palnika kuchenki gazowej.

Lata 70-te to okres realnego socjalizmu, w którym to wszędzie królowały sklepy PSS Społem i GS. Dużym wyzwaniem dla studentów AWF, siedzących w dzikiej guszy, a pragnących ugasić pragnienie i napełnić żołądki, była wyprawa właśnie do sklepu GS w Łupkach po na-





poje i prowiant. Właśnie po kolejnej takiej wyprawie zafundowaliśmy sobie grzańca z wina marki Wino z dodatkiem wysokoprocentowego napoju. Kadra, w osobach Grzegorza Tarantowicza i Rudolfa Fobera, po naszych prośbach zezwoliła na ucztę przy ognisku, trwającą prawie do białego rana. Nazajutrz postanowiliśmy pozostawić po sobie pamiątkę na znak pobytu pierwszych

osadników nad Jeziorem Roś. Po napisaniu listu i złożeniu podpisów zapakowaliśmy go do butelki i zakopaliśmy 10 m od słupa wysokiego napięcia pod linią przesyłową. Zrobiłem to osobiście z Krzysiem Sobieszczakiem, Andrzejem Banasiakiem, w towarzystwie kilku koleżanek.

Tygodniowy pobyt nad jeziorem zbliżał się do końca. Jeszcze tylko rozegraliśmy mecz piłki nożnej w Łupkach i następnego dnia, z żalem żegnając piękną okolicę i Jezioro Roś, udaliśmy się w drogę powrotną do Białej, by już za dwa tygodnie wyjechać z rektorem doc. dr. Antonim Olszowskim na Międzynarodowy Spływ Kajakowy Dunajcem. Przyznam, że sam spływ to już całkiem inna opowieść.

Po latach dwukrotnie odwiedziłem Ośrodek w Rybitwach. Pierwszy raz, gdy w 2003 roku odwoziłem swoją córkę na obóz a drugi, gdy zorganizowałem w porozumieniu z Marysią Żyrą oraz władzami uczelni spotkanie po latach absolwentów naszego rocznika. Mini zjazd odbył się w dniach 30 V- 01 VI 2008 roku. Niestety było nas tylko kilkanaście osób. Z przykrością muszę przyznać, że butelki nie odkopaliśmy, gdyż kilka lat wcześniej wymieniono słupy wysokiego napięcia a nowe posadowiono w innym miejscu. Oczywiście zachowując dobrą tradycję ponownie ukryliśmy list w butelce po szampanie i komisyjnie złożyliśmy w ziemi za jednym z domków. Być może kiedyś znów się spotkamy by go odnaleźć.

Do moich wspomnień dołączam pismo przewodnie, które przesłałem na ręce dziekana prof. dra hab. Jerzego Sadowskiego prosząc o udostępnienie ośrodka na okres naszego spotkania.

Radzymin, 19 V 2008r.

Dr hab. Prof. AWF Jerzy Sadowski

ZWWF w Białej Podlaskiej

Absolwenci białskiej uczelni, będący studentami w latach 1973-1977, zwracają się z gorącą i serdeczną prośbą o umożliwienie skorzystania z Ośrodka Sportów Wodnych „Rybitwy” koło Pisz, w dniach 30 maja- 1 czerwca b.r. w celu przeprowadzenia badań archeologicznych na tym terenie. Badania te mają na celu potwierdzenie informacji o pierwszym osadnictwie w tym rejonie z roku 1976.

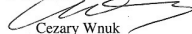
Ostatnie badania przeprowadzone metodą węgla C-14 potwierdzają tę hipotezę. Będziemy ogromnie wdzięczni za otrzymaną zgodę, a efekty penetracji stanowiska przedstawimy na zjeździe absolwentów w 2010 roku.

Gdyby okazało się, że praca nasza nie przyniosła zamierzonych efektów, to i tak sukcesem będzie nasze spotkanie, które potwierdza dożgonny szacunek, sympatię i wierność białskiej uczelni.

Kończąc, chciałbym przypomnieć, że byliśmy pierwszą grupą studentów, która w ramach wędrowek po III roku studiów, rozpoczęła budowę ośrodka „Rybitwy”.

Będzie nam również miło, gdy w okresie naszego pobytu zaszczyci nas Pan swoją obecnością wraz z Małżonką.

Z wyrazami szacunku,
w imieniu absolwentów


Cezary Wnuk

ZACHOWANE W PAMIĘCI...

W tym miejscu składam podziękowania swoim wspaniałym koleżankom i kolegom. z rocznika 1973- 1977 za wspólnie spędzone lata.

Doskonale Was wszystkich pamiętam i nigdy nie zapomnę. Co prawda przez te ponad 30 lat część nazwisk umknęło z pamięci, ale twarze się nie zapomina.



W czasie studiów mieszkałem w bloku A w pokojach 12 i 106 wspólnie z Krzyśkiem Szychowskim, Olkiem Ziarko i Stachem Jachimczukiem.

Szczególne podziękowania składam Teresce Jaślikowskiej-Sadowskiej za wszystko, co zrobiła do tej pory, by pamięć o naszym kochanym AWF-ie trwała wiecznie.

Pozdrawiam serdecznie.

P.s. Właśnie słucham grupy LED ZEPPELIN w utworze KASHMIR. Do zobaczenia we wrześniu na zjeździe.

Katarzyna Cepryńska-Ciekawa
absolwentka 1979



Wspomnień czar...

MOJE wspomnienia z okresu studiów w Akademii Wychowania Fizycznego mogę zaliczyć do jednych z najszcześniejszych i radosnych chwil. Ale zacznę od początku; po zdanym egzaminie wstępnym – oczywiście – nie otrzymałam miejsca w akademiku, ponieważ mój ojciec był lekarzem, co w komunie oznaczało dobrobyt. Taki sam los przypadł w udziale mojej koleżance Basi Grasińskiej, która również nie dostała akademika i razem ruszyliśmy na obskurną stancję.

Zazdrościłyśmy naszym koleżankom akademika, bo tam życie kwitło pełną parą. Tak więc codziennie wpraszałyśmy się do jakiegoś pokoju, żeby choć trochę „poimprezować”.

Najgorszy moment był zimą, kiedy Baśka złamała nogę na obozie narciarskim i z gipsem udowym, o kulach musiałyśmy maszerować na uczelnię. Był to heroiczny wyczyn, ślisko, pełno śniegu i my, „sunące” na zajęcia.

Na II roku, już jako „pełnowartościowa” studentka, otrzymałam miejsce w akademiku. Momentów zabawnych i wesołych było mnóstwo, ale najbardziej utkwił mi w pamięci „wyczyn” kolegi z wcześniejszego rocznika „Miśka” Stęgierskiego, przekazywany w formie anegdoty, braci studenckiej z „pokolenia na pokolenie”, który postanowił udowodnić, że wprowadzi do akademika konia! Najdziwniejsze było to, że przy wejściu głównym było do pokonania kilka schodków, ale koleżdze udało się tę przeszkodę pokonać. Koń zagościł w Domu Studenta!

W akademiku zamieszkałam w pokoju 202 C z Teresą Jaślikowską, Majką Rajchenbach i Marysią Żmigrodzką.

Nasz pokój należał do najbardziej zadbanych i estetycznych. Majka była osobą pedantyczną, jeśli chodzi o porządek i ład. Ja natomiast byłam od najprostszych robót, ponieważ niewiele umiałam, jeśli chodzi o czynności domowe. Więc Majka wydawała polecenia: „Idź, pożycz mąkę lub cukier”. „Załatw patelnię” itp. Bardzo ambitnie podchodziliśmy do rywalizacji o najładniejszy pokój i piętro w akademiku (z dobrym skutkiem). W „początkowym” stanie osobowym przetrwałyśmy prawie do końca studiów.



Od lewej Teresa, Marysia, Basia Kowalczyk – gościnnie w naszym pokoju, Majka, Basia Juszczyk – gościnnie, i ja – zaimprovizowane do zdjęcia imieniny



W pokoju 202 C – ja, Danka Dmitroca, Basia Kowalczyk, Basia Juszczyk, Teresa Jaślikowska i nasz pies

Zajęcia na uczelni prowadzone były na bardzo wysokim poziomie i, muszę przyznać, wymagały ode mnie dużego nakładu pracy, zwłaszcza z gimnastyki przyrządowej i koszykówki.



„Doborowe trio”, od prawej: ja, Majka i Teresa.

Koszykówka spędzała mi sen z powiek – dosłownie mówiąc! Nocą zakradałiśmy się na salę gimnastyczną (przez uchylone okno) i na zmianę ćwiczyliśmy tor, składający się ze wszystkich elementów technicznych z koszykówki, na czas. *(Dziś studenci nadal zaliczają ten sam tor – przyp. red.)* Pozostałe osoby układały się na materacach do snu i tak kolejka szła, a następny budził „delikwenta” do przeciwiczenia toru. Na niewiele zdały się moje starania, gdyż podchodziłam do tego sprawdzianu u mgra Mirosława Popczyka i Jego asystenta mgra Waldemara Nieleszczuka kilkanaście razy!!! Czasami śmieję się, że musiałam wyjść za mąż za Waldka, żeby w końcu zaliczyć tę koszykówkę. A On mówi: „Może warto było przymknąć oko...” I tak moja najmniej lubiana dyscyplina towarzyszy mi przez całe życie. Mąż, wielki fanatyk koszykówki, starszy syn Łukasz, były zawodnik I ligi koszykówki, a młodszy też grający w lidze TKKF.

Na zajęciach teoretycznych czułam się zdecydowanie lepiej. Pamiętam śp. doc. Lucjana Bukałę i Jego wykłady z medycyny sportu, które właściwie były wykładami na temat: „Przygotowanie do życia w rodzinie”, co zresztą bardzo nam się podobało! Na Jego wykładzie, w pierwszej ławce siedziała nasza



*W szatni po konsultacjach z gimnastyki, „wesola gromadka” od góry:
Elka Chachaj, Teresa Jaślikowska, Ja, Elka Królikowska, Grażyna Grudzińska,
Majka Rajchenbach, Bożena Stromecka, Ewa Mikielewicz, Marta
Mioduszevska, Baśka Starzyńska, Bożena Borowska – 3.02.1978.*

koleżanka Marta M., która była bardzo seksowną dziewczyną z ładnym biustem. Doc. Bukała, na ten widok, zawsze zmieniał treść wykładu na bardziej życiowy.

Anatomia z dr. Danilkiewiczem spędzała sen z powiek prawie wszystkim studentom. Jego „rymowanki” z drobnymi kosteczkami i układanie z nich kości śródrezcza należało do jednych z trudniejszych zadań. Ponieważ ukończyłam liceum medyczne, nie stanowiło to dla mnie większego problemu. Zresztą fakt ten umożliwił mi wielokrotnie wyjazdy z Marysią Żmigrodzką, jako pielęgniarki na zimowe obozy studenckie. Jechałyśmy wtedy z wielką skrzynią „medykamentów” i stanowiłyśmy punkt medyczny dla wszystkich poszkodowanych. A było tego sporo, najczęściej otarte stopy od fatalnych butów narciarskich, skręcenia stawów skokowych i nadgarstków. Radziłyśmy sobie z Marysią całkiem dobrze, chociaż teraz, jak sobie pomyślę, jakie byłyśmy niedoświadczone, podejmując się takiego zadania...



Czasem, w przerwach intensywnej nauki uczestniczyłyśmy w zabawach tanecznych – bal inauguracyjny 1976 r. Siedzimy przed aulą, od prawej: ja, Irena Makaruk, Teresa Jaślikowska.

Teraz jestem pracownikiem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Obroniłam pracę doktorską w Warszawie (1990) i prowadzę zajęcia z metodyki wychowania fizycznego i edukacji zdrowotnej. Mamy dwóch synów (z Waldkiem Nieleszczukiem) – Łukasz, starszy też jest nauczycielem wf i nadal (pomimo ukończenia 30 lat) gra zawodniczo w koszykówkę. Młodszy –

Mateusz, poszukuje sposobu na dalsze życie, wiążąc swoje plany również ze sportem (tenis).

Pomimo wielu lat, jakie minęły od naszego wyjazdu z Białej Podlaskiej (1988), nadal utrzymujemy bardzo bliskie kontakty z wieloma osobami, które tam mieszkają. Nasze największe przyjaźnie i nasze miłe wspomnienia zostały w Białej, gdzie chętnie wracamy.

P.S.

W niniejszych wspomnieniach Kasia przypisała zdarzenie z koniem „Miśkowi” Stęgierskiemu. W mojej pamięci ten fakt wiązał się z osobą Remiego Foty. Natomiast w przypadkowej rozmowie z Panią Dziekan Krystyną Górniak dowiedziałam się, że prawdziwym sprawcą wprowadzenia konia do akademika był student Chamot. Nie wiem, gdzie leży prawda? (przyp. red.).

Andrzej Nowowiejski
absolwent 1980



AKADEMIK LAT 70-tych

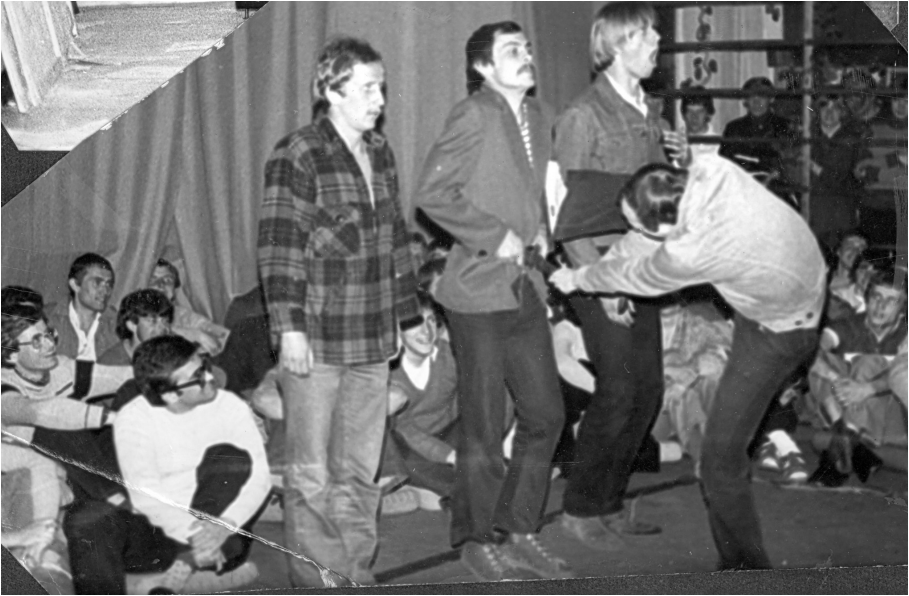
MIESZKALIŚMY po czterech, idealny skład do brydża. Typowy wystrój pokoju stanowiły: cztery szafy duże, cztery szafki małe na książki i na kosmetyki, cztery krzesła, duży długi stół taki jak w sali do ćwiczeń z anatomii. Obowiązkowo nad łóżkiem znajdowała się słomiana mata, na której wisiało kilka zdjęć, kilka widokówek i kilka fotografii idoli sportowych wyciętych ze sportowca. W rogu nad łóżkiem usytuowana była półka na książki, sporadycznie stało na niej radio marki „ślazak”. Nie było żadnych telewizorów, komputerów, video. Większość informacji podawana była przez wszędobylski radiowęzeł, prowadzony przez studentów i ze względu na usytuowanie, zapewniający trochę prywatności. Była jedna łazienka na całe piętro, ogólnie dostępna z prysznicem bez ciepłej wody, ale za to z grzybem od posadzki po sufit. Obok znajdowało się pomieszczenie z pięcioma latryunami wiecznie zapchanymi, bez papieru toaletowego. Jedyne telewizor znajdował się w klubie „Meta” i czasami był sprawny.



Mieliśmy jednak coś, czego nic dziś nie zastąpi – niespotykaną rodzinną atmosferę. Rocznik nie liczył więcej niż 120 studentów – dwie grupy męskie, jedna żeńska. Wszyscy znaleźmy się z imienia i nazwiska.



Często bywało, że imieniny jednej osoby przeradzały się w imprezę całego korytarza. Ponieważ pokoje były zbyt małe, wystawialiśmy stoły na korytarz i impreza przekształcała się w „bal korytarzowy”. Dyskoteki odbywały się w dawnej auli lub w klubie „Meta”. Aula – to była przestrzeń, pełny luz, możliwość pokazania się z jak najlepszej strony jeżeli chodzi o sztukę taneczny. W trakcie dyskoteki organizatorzy wyświetlali filmy rysunkowe z kaczo-rem Donaldem w roli głównej, co dawało dodatkowego smaczku imprezie. Z „Metą” wiązała się adrenalina, ciasnota, fluidy krążące w powietrzu, możliwość zbliżenia się do ukochanej osoby. Czasami było tak ciasno, że jakkolwiek taniec był niemożliwy. Zmuszało to pary do szybkiego zbliżenia, a o to przecież chodziło. Żeby się dostać z miasta na dyskotekę do AWF-u, trzeba było mieć duże znajomości albo trzeba było być dziewczyną. Panienki z Białej miały duże branie. Dało się odczuć wówczas wyraźny wpływ tatarskiej krwi – mnóstwo dziewczyn o długich kruczoczarnych włosach i śniadej cerze. Bardzo wielu z nas dla tych piękności poświęciło resztę życia i zostało w Białej. Co jakiś czas w tygodniu, w „Mecie” odbywały się niezapomniane przedstawienia kabaretu „Chata za wsią”.



Miłośnikiem tych spektakli był nieodżałowany i bardzo lubiany przez studentów, nieżyjący już dziekan Kazimierz Czajkowski. Trudno było sobie wyobrazić premierę bez Pana Dziekana, a jeszcze trudniej było załatwić miejscówkę na przedstawienie. Było to jednak wydarzenie kulturalne i towarzyskie. Z dziekanem Czajkowskim kojarzy mi się jedna dość zabawna historia. Dwóch naszych starszych kolegów, lubiących robić dowcipy innym, postanowiło zadrwić sobie z Dziekana, który lubił spacerować po obiektach na powietrzu. Schowali się za żywopłot i gdy Dziekan pojawił się na horyzoncie, dyskretnie zaczęli wołać „rudę pędzel”. Pan docent znany był z rudawego odcienia włosów, ale miał ich niewiele na głowie. Rozpoznał dowcipnisiów po głosie i następnego dnia wezwał ich na rozmowę do gabinetu. Studenci wystraszeni i przekonani, że wylecą ze studiów z duszą na ramieniu udali się na spotkanie. Pan Dziekan jednak z uśmiechem na ustach zapytał: – „Panowie, rozumiem że rudy, ale powiedzcie mi, dlaczego pędzel?” Ponieważ dowcipnisie nie potrafili wytłumaczyć logicznie dlaczego, dostali po kopniaku i cała historia rozeszła się po kościach. W kabarecie występował jeden ze słynnych studentów, który studiował długo i dokładnie, ale studiów nie ukończył.



Gdy po czterech latach studiowania odwiedził go na uczelni ojciec przekonany, że syn jest już na czwartym roku, „Dziako” poprosił tatę, aby chwilę



począł przy portierni, bo musi coś pilnego załatwić w pokoju w akademiku. Ojciec czekał, a syn, aby uniknąć kompromitacji i szykan, dyskretnie przez okno w łazience udał się w dłuższą podróż bez powrotu. Sprawa wydała się, a tata musiał pogodzić się z faktem, że syn po raz czwarty był na I roku. „Dziako” był współorganizatorem jednych z najwspanialszych „Juwenaliów”, w jakich udało mi się uczestniczyć na białskiej uczelni. Jednocześnie był współauto-

rem skandalicznego, jak na tamte czasy, hasła otwierającego święto studenckie, wywieszzonego nad wejściem do akademika. Brzmiało ono mniej więcej tak: „Juwenalia, Juwenalia – myj studencie genitalia”. Akcja skończyła się wielkim skandalem, ale juwenalia były wspaniałe. Po latach spotkałem „Dziaka” na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie, sprzedawał warzywa w zielniaku, studiów nie skończył, a szkoda.

Kilka lat później „Dziako” skończył inne studia z wynikiem bardzo dobrym. (przyp. red.)

Zimy bywały w akademiku czasami bardzo srogie. Dogrzewaliśmy się na wiele sposobów. Jednym z nich było załatwienie sobie na zimowe wieczory i ranki panienki, wiadomo wszystkim, że razem cieplej. Innym sposobem było zrobienie grzałki z pustaka i kupionej w sklepie spirali. Prąd był tani, nikt się nie czepiał, współmieszkańcy mieli ciepło. Byli jednak tacy, którzy dogrzewali się okowitką. Nasz kolega Jaś R. dogrzewał się grzałką z pustaka i okowitką. Tak się sponiewierał, że w nocy spadł biedak z łóżka na rozgrzany pustak. Zanim się ocknął spalił sobie cały bok, a spirala wypaliła mu obrzydliwą bliznę, którą ma chyba do dziś. Pokój Jasia słynął jeszcze z jednej rzeczy, był to chyba najbardziej niechlujny lokal, jaki był w akademiku. Czterech panów mieszkało w pokoju, ale nikomu nie przyszło do głowy, że trzeba czasami sprzątać. Jedli dużo konserw, a puste puszki rzucali w kąt. Po kilku dniach powstawał taki fetor, że nie dało się wytrzymać na korytarzu, a co dopiero w pokoju. Jeżeli sprząтали, to pod dużym naciskiem współmieszkańców lub w obawie przed kontrolą kierownika akademika, co mogło skończyć się usunięciem z domu studenta. Chodzili jednak dumni jak pawie, jacy to oni są luzacy.

Zabawna historia przydarzyła się mojemu „współspaczozi” z pokoju – Mariuszowi. Mieszkaliśmy w pokoju nr 5 na parterze w bloku A. Przez kilka dni jakiś dowcipniś około północy zaczynał grać na kaloryferach. O spaniu nie było mowy. Sprawca był nieuchwytny, bo trudno było zlokalizować pokój, w którym grał jakimś metalowym przedmiotem po żeberkach. Kilku z nas

postawiło sobie za punkt honoru złapanie złoczyńcy. Polowanie trwało kilka nocy, ale bezskutecznie. Pewnej nocy Mariusz, przy zgaszonym świetle, wychylił się przez okno na zewnątrz patrząc w górę, aby łatwiej zlokalizować sprawcę. W pewnym momencie łapie go ktoś za głowę z okrzykiem „mam cię w końcu”. W trakcie szarpaniny okazało się, że inny kolega z pokoju obok, wyszedł na zewnątrz i również próbował zlokalizować sprawcę. Mariusz nawinął mu się prosto w ręce. Historia była bardzo zabawna, wszystko się wyjaśniło, ale dowcipnisia nie złapaliśmy. Być może dokonał tego ktoś inny, bo po kilku dniach muzykant zamilkł na wieki.

W pokoju mieliśmy innego przesympatycznego kolegę o imieniu Józek, byłego zapaśnika, który wskutek dużej ilości wykonywanych „wózków” na macie, szybko zaczął tracić włosy. Była to jego słabość, z której koledzy nie omieszkali zażartować. Józek był bardzo cichy i spokojny a czasami nawet zabawny. Kupował sobie odżywkę lub maść do wzmacniania włosów i wieczorami specjalną szczoteczką wklepywał w miejsca pozbawione włosów. Nasz wspaniały kolega uwielbiał chodzić w czapkach ze względu na swoją wyimaginowaną przypadłość. Ponieważ maść zazwyczaj jest tłusta, wkładał pod czapkę kawałek papieru, żeby nie pobrudzić nakrycia głowy. Bywało czasami zabawnie, gdy po dłuższym chodzeniu spod czapki wystawał mu nad czołem kawałek dekoracji gazetowej. Staraliśmy się nie zwracać na to uwagi i nie dokuczać Józkiowi z tego powodu, ale było zabawnie. Jeden z moich współlokatorów nie wytrzymał i wyciął kiedyś Józkiowi numer i to bardzo brzydki. Do maści wlał mu atrament albo tusz. Gdy kolega po nocnym wcieraniu maści wyszedł rano z pokoju prawdopodobnie do łazienki, wrócił jak poparzony. Zbudził nas wrzask Józka, a na jego widok oniemieliśmy. Powyżej czoła na czubku głowy widniała ogromna granatowa plama. Wyglądał przekomicznie, na nasze szczęście złość mu szybko przeszła. Wykąpał się, a plama dała się zmyć. Przez kilka dni mieliśmy ciche dni, bo nikt nie przyznał się do numeru. Do dziś nie wiem, kto to zrobił.

Okres wiosenno-zimowy to był czas rozgrywek. Graliśmy we wszystkie gry, zaczynając od wszechwładnej piłki nożnej a kończąc na kartach i szachach. W pokoju na I roku dominował brydż. Moi koledzy „Płachetka” i „Ptaszek” grali w lidze zawodowej. W soboty i w niedzielę pokój zamieniał się w salon brydżowy. Z konieczności i my, młodszy zaczęliśmy uczyć się grać w tę królewską grę. W tygodniu, gdy brakowało czwartego z przyjemnością siadałem do stołu z kolegami i rozrzucałiśmy do późnych godzin nocnych. Gdy brydżyści ukończyli studia przerzucili się na kierki i „trzy, pięć, osiem”. Prawdziwi mężczyźni grywali w pokera. Bywali tak zawzięci, że potrafili grać całą noc, a gdy przyszedł poranek, zakrywali okno kocem i grali dalej. Zajęcia były nieważne. Niektórzy przegrywali przy jednym posiedzeniu wszystkie pieniądze. Później był problem z opłaceniem akademika i wykupieniem wyżywienia. Sępiłi po pokojach i waletowali. Ponieważ stołówkę prowadziła uczelnia,

wszystkie nadwyżki żywności były przez studencką komisję wystawiane na stołówkę i to był raj dla „sępów”. Można było przeżyć całkiem nieźle do końca miesiąca i czekać, aż rodzice prześlą następne pieniądze. Czasami trzeba było jednak szybko zarobić i wówczas chodziliśmy w kilka osób kopcować kapustę lub rozładowywać wagony. Ciężka praca, ale można było nieźle zarobić i wypłacali od ręki. Nie mieliśmy ubrań roboczych, więc chodziliśmy w dresach i kurtkach codziennego użytku. Łatwo można sobie wyobrazić jak wyglądały nasze ubrania po rozładunku 50 ton cementu. Dwóch braci Wysockich, po takiej właśnie pracy, postanowiło wyprać swoje niesamowicie brudne kurtki. Namoczyli odzienie i wrócili do gry, bo trzeba było szybko się odegrać. Gra się przedłużała, zapomnieli o kurtkach. Nad ranem jeden z nich poszedł do suszarni, rozwiesił kurtki i wrócił do gry. Następnego dnia, gdy kurtki wyschły, jeden pyta drugiego czy wyplukał. Oczywiście, że nie, bo nie było takiego polecenia. Chodzili w brudnych i wcale im to nie przeszkadzało, a towarzystwo miało niezły ubaw. Jeden z braci Wysockich (nie tak bystry jak Wiesiek) zasłynął z tego, że całą zimę oszczędzając, spał na korytarzu, na materacu pod kaloryferem i nawet się nie zaziębił, a pożyczanie szczoteczki do umycia zębów od kogoś obcego było dla niego normalnością – fe... .

W wolnych chwilach, gdy nie było składu do kart, grywaliliśmy ze „Stanleyem” w szachy. Niezapomniane chwile ćwiczenia umysłu, muszę przyznać, że Stachu był dobry. Tak dobry, że egzamin z filozofii i polityki wygrał z „Feuerbachem” w szachy. Pan Mieczysław był zagorzałym graczem, ale nie najlepszym. Później, żeby się od niego uwolnić, Stacho wpadł na genialny pomysł, szybko przegrywał, wymyślał coś ważnego do załatwienia i szybko przybiegał na boisko, bo na boisku królowała najważniejsza grana na świecie – piłka nożna. Zimą grywaliliśmy w sali gier, hali jeszcze nie było. Przychodziliśmy po wszystkich treningach poszczególnych sekcji, czyli około północy. Dziś byłoby to absolutnie



niemożliwe z wielu względów, wówczas graliśmy bez przeszkód. Organizowaliśmy rozgrywki trwające pół zimy, pokój na pokój. Czasami grywał z nami jeden z ciężarowców wagi ciężkiej, wybitnie uzdolniony muzycznie – Andrzej Kamiński. Miał tak ukształtowane nogi, że założenie mu „siatki” nie było żadnym problemem. Podczas gry po założeniu kolejnej, usłyszałem za sobą odgłos nadjeżdżającego, rozpalonego do czerwoności „parowozu”. Nawet się nie zastanawiałem, z prędkością światła skierowałem się w stronę najbliższych drzwi, żeby ocalić życie. Andrzej uwielbiał grać na perkusji. Zamykał się w pokoju socjalnym obok portierni i walił namiętnie w bębny. Nie chcę się wypowiadać na temat jakości jego gry, ale nikt nie śmiał się przeciwstawić osiłkowi, który na kilkadziesiąt minut zamieniał się w perkusistę z galery.

W wolne soboty i niedziele braliśmy lekcje tenisa u najslynniejszego wówczas tenisisty w Białej Podlaskiej Wiesia, zwanego „Fibakiem”. Drewnianymi rakietami i na boiskach asfaltowych - łoł nas, że aż miło. Czasami graliśmy dwóch na jednego i też sromotnie przegrywaliśmy. Wiesio gra do dziś, my już nie. „Fibaczek” miał jednak małą słabostkę. Po każdej alkoholowej imprezie, na koniec musiał zjeść kanapeczkę. Mozolne i długie robienie kanapki było tak męczące, że Wiesio zasypiał na stole z nosem w talerzu. Sytuacja powtarzała się cyklicznie i to było arcyzabawne i niewytłumaczalne.

Inny z moich sympatycznych współmieszkańców o ksywce „Stary” miał dużą zdolność do opowiadania kawałów. Sypał dowcipami i anegdotami na zawołanie. Taki człowiek na imprezie to skarb, potrafił rozruszać choćby najbardziej drętwe towarzystwo. Jednocześnie kupował kawały od innych, miał niesamowity dar zapamiętywania, ale pod jednym warunkiem. Obdarzony był też poważną usterką - miał słabą głowę do trunków. Nie dość, że szybko się wstawiał, to następnego dnia nic nie pamiętał. Większość kawałów zapominał i trudno było mu odtworzyć treść i fabułę. Jak położył się spać, to jeszcze szybciej wstawał, tak go „rwało”, a do łazienki było kawałek drogi. Znaleźliśmy na wszystko lekarstwo. „Stary” został wyposażony w zeszyt z długopisem i zapisywał wszystkie nowe kawały na bieżąco, dzięki czemu wzbogacał swój warsztat. Gdy w trakcie imprezy odpadł, nie kładliśmy go, tylko sadzali na z góry przygotowanym miejscu i tym sposobem unikał zawrotów głowy i biegania do łazienki. Często litując się nad nim, budziliśmy go z propozycją, aby może się położył, na co „Stary” odpowiadał - nie, bo będę zwracał - i spał w pozycji królów do rana.



Wieczory sobotnie, w które nie odbywały się dyskoteki, poświęcone były spotkaniem towarzyskim. Najpierw sprzątaliśmy pokój na cacy, włącznie z pastowaniem, tu brylował Jasio, czyścioszek z Wyszkowa mój serdeczny przyjaciel. Potem robiliśmy stosowne zakupy w postaci paluszków i kilku tanich win. Na wieczór zapraszaliśmy swoje dziewczyny. Podkład muzyczny w postaci gitary zapewniał „Ptaszek”, niezastąpiony w takich sytuacjach. Przypomina mi się powiedzenie budowlańców „po szklanie i na rusztowanie”. My też piliśmy szklankami, a nie wypicie duszkiem całej szklanki było dużym afrontem. Wypijaliśmy po butelce na głowę i zabawa zaczynała się dopiero na dobre. To, co teraz nazywa się piosenką biesiadną, my wówczas śpiewaliśmy na co dzień i jeszcze więcej. „Żmirkowanie” robiło swoje, a i nas do śpiewu nie trzeba było namawiać. Po imprezie dziewczyny odprowadzaliśmy do domów, bo członkowie samorządu studenckiego sumiennie pilnowali, aby żadna dziewczyna z miasta nie została na noc. Prym w ściganiu nas wiódł nasz kolega z roku,

zdolny długodystansowiec Jan Szwiec. Jak biegał, to nie wziął do ust kropli alkoholu, potem było już z tym gorzej. Jedna z tych imprez odbyła się z okazji moich imienin. Na początku było bardzo fajnie, ale im dalej w las, tym coraz ciemniej. To była typowo męska impreza, a więc trwała od rozpoczęcia do zaśnięcia, góra trzy godziny. Były życzenia ustne potem pisemne, które trzeba było gdzieś zapisać. Pisano wszędzie, gdzie tylko się dało, na ciebie i na przedmiotach. Potem nastąpiła ciemność. Rankiem, po przebudzeniu, byłem przerażony. Życzenia zapisywane były czerwonym flamastrem na stole i na wszystkich drzwiach, a na domiar, złego, ktoś puścił „wieloryba” na sufit. Nie dość, że kac, to jeszcze czekała mnie ciężka praca, żeby doprowadzić pokój do porządku. Na szczęście koledzy pomogli, sprzątnęliśmy szybko i poszliśmy grać w ukochaną grę, jaką była piłka nożna.

W pewnym okresie mieszkała w domu studenta kadra, w bloku B na drugim piętrze i nieliczni piętro niżej. Z młodą kadrami brataliśmy się często, ze starszą rzadko, dlatego niektórzy z nich denerwowali się i dawali powód do licznych psikusów. „Feuerbacha” wkurzały głośne imprezy, ale jak już wpadł do pokoju niby uciszać biesiadników, to zostawał na kilka godzin, tylko dla czego przychodził w rękawicach bokserskich. Pewnego razu wparował do nas na imprezę w szlafroku, niby uciszać towarzystwo i zasiadł na dłużej. Po pewnym czasie zorientował się, że dziewczyna, która siedzi obok niego to przebrany młodszy kolega z pracy „Paweł”. Skwitował to krótko „Pawełku, im to się nie dziwię, ale tobie” i został w różowym szlafroku, uszczęśliwiony do końca imprezy. Jeden z numerów, który wycinali koledzy (nie moi) poległ na tym, że z jednego końca korytarza puszczał ktoś kulę, która toczyła się z niesamowitym łoskotem po betonowej posadzce przez cały korytarz. Na końcu ktoś ją łapał i szybko chował się do pokoju. Było to niesamowicie denerwujące, zwłaszcza, gdy powtarzane było wielokrotnie z małymi przerwami. Wkurzeni goście szukali sprawców, włącznie z panem Mieczysławem, który biegał w rękawicach, odgrażając się, że urwie „jaja” dowcipnisiowi jak go złapie. Niestety, nie pamiętam, jaki był finał tych żartów.

Jedną z wielu imprez męskich poświęciliśmy ćwiczeniom PPOŻ. Niewtajemniczonym wyjaśniam, że były to ćwiczenia typowo strażackie z użyciem węży i hydrantów, które były zainstalowane na każdym korytarzu. Po spożyciu odpowiedniej ilości boskiego napoju, jakim był rozwodniony spirytus z dodatkiem miodu, uznaliśmy, że jesteśmy gotowi do ćwiczeń. Udaliśmy się na korytarz w kierunku hydrantu i tu niespodzianka. Sikawki zostały dokładnie zamknięte. Zmuszeni zostaliśmy przejść do planu B. Jeden z uczestników ćwiczeń udawał wóz strażacki przeraźliwie wyjąc, a drugi otwierał drzwi do jakiegoś pokoju. Wóz strażacki wjeżdżał na sygnale, budząc zaskoczonych i zdezorientowanych mieszkańców. Za pojazdy posłużyły rowery, stojące pod schodami. Ćwiczenia rozwijały się prawidłowo i zabawa była przednia. Postanowiliśmy przenieść manewry na blok A do dziewczyn. Kontynuowaliśmy

ćwiczenia, jeden otwierał, a drugi wjeżdżał. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że mój szanowny kolega w pijackim amoku wjechał do pokoju swojej aktualnej żony i to na dziecinnym rowerku. Dostał od razu w pysk i manewry w bloku A, w niechlubny sposób, zostały zakończone. Nastąpił natychmiastowy odwrót do bloku B. Pokoje na parterze były już przećwiczone, postanowiliśmy przenieść manewry na piętro. Tu nastąpił problem. W naszym stanie na rowerku dziecinnym wspiąć się po schodach to było ćwiczenie niewykonalne. Na domiar złego zainteresował się naszymi głośnymi ćwiczeniami, wchodzący na górę młody i ambitny asystent „Dziaszczyk”. Postawił nas na baczność od razu, „strażacy” wytrzeźwieli natychmiast. Panowie są pijani, jutro spotykamy się u dziekana, proszę podać nazwiska. W tamtych czasach to było bardzo poważne wykroczenie, skutki mogły być nieprzewidywalne. Byłem na IV roku i wiedziałem już, że będę się starał o pracę w uczelni. Skracając tę historię, nadmienię, iż udało się załagodzić całe zajście, wykonaliśmy w nagrodę inne prace niż ćwiczenia PPOŻ. Z Markiem zostaliśmy dobrymi kolegami w późniejszej pracy, ale co się najeździliśmy wozami strażackimi na trzech kółkach, to my tylko wiemy.

Po przeniesieniu dziewczyn z bloku C do bloku A nastąpiła pewna trudność. We wczesnych godzinach rannych trudno było się przedostać nieopstrzeżenie obok portierni. Portier to był ktoś. Nocą rządził niepodzielnie, a zlekceważenie go mogło skończyć się wydaleniem z akademika. Normalną



rzeczą było, że czasami odwiedzaliśmy koleżanki z naszego rocznika w bloku A. Zazwyczaj były to niewinne spotkania przy lampce wina, czasami dwóch butelkach na głowę. Bywało, że niekiedy zasiedzieliśmy się do wczesnych godzin rannych i tu był już problem. Jak wrócić niepostrzeżenie do swojego legowiska. Po jednej takiej imprezie na drugim piętrze śmiało podążam do schodów, a tu niespodzianka. Słyszę, że na schodach siedzi grupka ludzi nieświadomego pochodzenia, namiętnie dyskutująca, popalająca papieroski. Pomyślałem, że lepiej się cofnąć i chwilkę odczekać, wypalą po fajeczce i pójdą spać. Towarzystwo było mieszane, rozbawione i zupełnie niezainteresowane szybkim rozstaniem. Chwila oczekiwania zaczęła się wydłużać w nieskończoność. Świt zbliżał się wielkimi krokami, kac dawał znać o sobie, zaczął mnie morzyć sen, a ja utknąłem na drugim piętrze. Trzeba było natychmiast działać, aby uniknąć kompromitacji. Balkon – to było jedno z wyjść. Na szczęście był otwarty. Obok balkonu była rynna. Decyzję podjąłem natychmiast – należy zejść po rynnie w dół. Przeszedłem przez balustradę, chwyciłem się rynny i zacząłem zsuwać w dół. W pewnym momencie na wysokości pierwszego piętra usłyszałem niebezpieczny zgrzyt. Ta komunistyczna rynna zaczęła się wysuwać na złączu powyżej mnie i wolniutko oddalać od ściany. Dalej wypadki potoczyły się w zastraszającym tempie. Leciałem z rynną w dół trzymając się jej jak tonący brzytwy. Upadek na plecy może nie był tak bolesny jak niesamowicie głośny. Rozpadająca się na części rynna wydała tak przeraźliwy łomot, że byłem przekonany, iż obudziłem cały akademik. Jedną z części trzymałem dalej w dłoniach, tylko czort wie, po co. Poderwałem się z ziemi, odrzuciłem zbędny bagaż i zacząłem umykać. Przeskoczyłem przez jeden płot, potem przez drugi i ukryłem się w nadchodzącym leniwie poranku. Następnego dnia wróciłem dyskretnie na miejsce zbrodni po zgubione, wskutek upadku, części garderoby, ale oprócz rozwalonej na części rynny nic nie znalazłem. Popatrzyłem na wysokość, z której spadłem, miejsce lądowania i pomyślałem – chłopie, ty to masz szczęście.

Kluczowym miejscem akademika w tamtych latach był kaloryfer przy portierni. Przy nim zdobywało się najświeższe i najważniejsze informacje z życia uczelni. W mroźne zimowe wieczory, grzejąc przy nim plecy, mogłeś dowiedzieć się, kto z kim chodzi, sypia i gdzie wieczorem ustawiona jest najlepsza gra. Była to swego rodzaju giełda stworzona przez studentów i przekazywana sobie z pokolenia na pokolenie. Przy nim najczęściej można było spotkać „Ptaszka” w charakterystycznej postawie z łokciami na boki grzejącego plecy. Aby przeżyć, musiał mieć informacje z pierwszej ręki, przefiltrować je i wykorzystać na bieżąco. I ja tam stałem, plecy grzałem, ucha nadstawiałem i to, co usłyszałem w tym streszczeniu opisałem.

Wspomnienia z rajdu rowerowego

Studia w Akademii Wychowania Fizycznego mają jedną wielką zaletę, dają możliwość wszechstronnego rozwoju, w wielu kierunkach: fizycznym, psychicznym, etycznym, organizacyjnym, a zwłaszcza, gdy studiuje się na uczelni w Białej Podlaskiej.

Poznajesz dużo ciekawych ludzi na imprezach towarzyskich, obozach, wędrowniach, jednych akceptujesz innych odrzucasz od razu, bez żalu, nie wracasz do nich nigdy, nawet w myślach. Taka naturalna podświadoma selekcja. Chętnie wracamy jednak do chwil, które na trwałe zapisały nam się w pamięci. Pieścimy je ubarwiamy, pragniemy zachować jak najdłużej w pamięci także tych, z którymi je przeżywaliśmy. Dla mnie oraz grupy osób, związanych z Akademickim Klubem Narciarskim przy białskiej uczelni, takim wspaniałym przeżyciem był rajd rowerowy w sierpniu 1979 roku na trasie: Biała Podlaska – Balaton.

Inicjatorem i głównym pomysłodawcą był Adam Wilczewski. Na nim spoczywało wyznaczenie trasy, załatwienie wszystkich formalności związanych z wyjazdem. Trudne czasy, wszystkiego brakowało: pieniędzy, sprzętu, żywności, ale dla 14 moich przyjaciół to były żadne przeszkody. Trzynastego sierpnia wyruszyliśmy rano z Białej Podlaskiej.

Nie jest moim celem zanudzić Cię, kochany czytelniku, relacją z każdego dnia rajdu, który trwał 16 dni, ale podzielić się kilkoma przeżyciami komicznymi, towarzyskimi, estetycznymi, a czasami tragicznymi.

Pogodę trafiliśmy wspaniałą. Od pierwszego do ostatniego dnia towarzyszyło nam słońce i było wyjątkowo ciepło.

Rajd zaczęliśmy jednak od dość przykrego zdarzenia. Pod Krosnem, na jednym z licznych zjazdów, zaprzyjaźniona z naszą przedstawicielką służby zdrowia Haliną Wilczewską koleżanka Jola tak niefortunnie upadła, że wylądowała w szpitalu. Podejrzanie wstrząśnienia mózgu, rozbity łuk brwiowy, obrzęk głowy, ogólnie katastrofa. Oznaczało to powrót do domu, ale nie dla Joli. Dzielną dziewczyna oznajmiła nam, że jedzie dalej. Ukończyła rajd, ale później okazało się, że upadek był bardzo brzemienny w skutkach. Obrażenia okazały się na tyle poważne, że Jola wylądowała na przedwcześniejszej rencie. Pozdrawiamy Cię Jolu, jeżeli nas czytasz.



Na granicy w Barwinku spotyka nas przekomiczna sytuacja. Odprawiający pogranicznik stwierdza, że Rysiek Ptaszyński, popularny „Ptaszek” to nie Pta-

szczyński. Na zdjęciu w paszporcie nie ma brody, a w rzeczywistości jest zarosnięty jak mały „pupa”. Nie chcą przepuścić całej grupy. Nie pomogły żadne prośby. Biedny „Ptaszek” musiał tym, co było pod ręką zgolić brodę. Najpierw nożyczki, a potem zimna woda i tempa żyletka. Pociął się przy tym niemilosiernie. Poświęcił się dla dobra ogółu, ale grupę przepuszczono. Po krótkiej konfrontacji urzędnik–służbista stwierdził, że „Ptaszyńscy” są do siebie podobni i zezwolił na przekroczenie granicy. Niektórzy z nas, po raz pierwszy w życiu, przekraczali granicę PRL-u. Takie to były czasy.



W kraju zaczynało brakować wszystkiego. Student, aby napić się piwa, musiał nabiegać się po Białej za samochodem rozwożącym piwo i mieć dużo szczęścia, żeby je jeszcze kupić.

Na Słowacji przeżywamy szok w tej materii. Nocujemy w jednym z ośrodków, w którym była niewielka knajpka. Barman podaje bez ograniczeń półlitrowe, zmrożone, złociste piwko. Nasze zdziwienie jest jeszcze większe, gdy przed skończeniem pierwszego, barman przynosi następne i to się powtarza kilkakrotnie. Nam w to graj, ale nie znaleźliśmy tamtejszych zwyczajów. Barman podaje dotąd, dopóki nie powiesz mu dość. Nam wydawało się, że spotkaliśmy tajemniczego sponsora. Skutki były opłakane, za rachunek i tak trzeba było zapłacić, rano ból głowy, ale opłacało się. Opiliśmy się za wszystkie czasy.

Na trasie rajdu spotkaliśmy się z ogromną życzliwością, zarówno rodaków jak i miejscowej ludności. Mieliśmy, jako nieliczni, uczelniane koszulki z napisem „AWF Biała Podlaska”. Byliśmy rozpoznawalni i wszędzie serdecznie witani.

Na jednym z pól namiotowych spotkaliśmy grupę młodych rodaków, tak jak my, wędrujących tylko pieszo. Nam wydawało się, że znamy dużo piosenek i jesteśmy rozśpiewaną grupą, nic bardziej błędnego. Wieczorem przy ognisku zaczynamy swoje ciche pomruki przy piskliwym akompaniamencie „Ptaszka” a wokół nas zaczynają gromadzić się młodzi sympatyczni chłopcy. Jak skończył nam się repertuar, a świszczący „Ptaszek” się zmęczył, panowie grzecznie poprosili czy mogą razem z nami zaśpiewać i zaprezentować swój repertuar. Oniemieliśmy, trzydziestu gości wspólnie, nadzwyczaj głośno zaśpiewało nam kilkanaście piosenek, których większości nie znaleźliśmy, a mieliśmy przecież „zmirkowanie”. Zrobiło się nam trochę głupio i przykro, że nie jesteśmy tak dobrze przygotowani jak oni, ale w picu grzańca nie ustępowaliśmy im, przynajmniej niektórym.

Po dotarciu do Budapesztu w ramach odpoczynku siedliśmy nad brzegiem Dunaju i byliśmy świadkami przedziwnego dla nas zdarzenia. Kilku wędkarzy z zapalem próbowało złapać jakąś rybkę. Duża rzeka, ścieki jak wszędzie u nas, na pewno brud, smród i ubóstwo w rybach. Ku naszemu zdziwieniu, jeden z wędkarzy co pewien czas wyciąga ogromną rybę, mierzy ją i wrzuca do wody. Ślina nam ciekła, bo z przyjemnością byśmy zjedli nawet na surowo taką sztukę, a gość z premedytacją wyrzuca wszystko do Dunaju. Nie wytrzymał. Podchodzimy do wędkarza i w języku migowym pytamy, o co chodzi. Okazuje się, że ryba nie trzyma wymiaru. Jak 80 cm, to osiemdziesiąt i ani centymetra mniej. Dał nam „odholować” jedną z ryb, a z wszystkich złapanych zabrał tylko jedną. Byliśmy rozgoryчени, takie marnotrawstwo, w Polsce, większość wędkarzy o połowę mniejszą sztukę zawinęłoby w chusteczkę i schowało do kieszeni. Oblizaliśmy się i pojechaliśmy dalej. Okazało się, że Dunaj już wówczas był bardzo czystą rzeką; niestety, nasze rzeki przypominały najwyższej jakości ścieki, a po kąpieli w Krznie nawet psy leniały.

Jak Węgrzy dbają o czystość wód mogliśmy się przekonać po dotarciu do Jeziora Velence.

Dość duże, ale bardzo płytkie jezioro. Po upalnym i ciężkim dniu natychmiast wskoczyliśmy do wody z mydłem, szamponami, a że było płytko, to Madziarzy widzieli, co czynimy. Natychmiast rzuciła się w naszym kierunku



grupa osób wskazując palcem, gdzie można się umyć przed wejściem do wody. Spędziliśmy nad tym jeziorem przemiłe chwile i bardzo żałuję, że nie mogę umieścić w tych wspomnieniach fotografii.

Z Węgrami nawiązaliśmy kontakt bardzo szybko, bazując na utartym powiedzeniu „Polak-Węgier dwa bratanki”... Na wieczorku zapoznamy przy dźwiękach orkiestry daliśmy się poznać jako „fajna wiara”, szybko nawiązując kontakt. Rozkręciliśmy zabawę, używając do tego celu, z premedytacją najprostszego, „rozweselacza”, jakim było najtańsze węgierskie wino. Wszystko byłoby dobrze, gdyby Halina, tańcząc z „Ptaszkiem” nie wpadła w orkiestrę demolując wszystko, co natrafili po drodze. Na domiar złego dorwaliśmy się do mikrofonu i instrumentów próbując śpiewać, w nam tylko zrozumiałym języku, wzbudzając ogólną wesołość i aplauz licznych uczestników zabawy. Nie pamiętam jak dostaliśmy się do naszego obozu, ale następnego dnia staraliśmy się unikać wzroku współobozowiczów i nosić głowy niemalże przy ziemi. Ku naszemu zdziwieniu zewsząd pozdrawiano nas po imieniu, śląc w naszą stronę miłe uśmiechy i przyjazne gesty. To była „fest” zabawa.

Balaton, węgierskie morze przywitało nas niepogodą, mieliśmy spore kłopoty z rozbiciem namiotów i ze znalezieniem swobodnego dojścia do wody. Sesja zdjęciowa, krótka kąpiel i pojechaliśmy dalej, w drogę powrotną, przez Bratysławę i Cieszyn.

Zaczynało nam brakować żywności i pieniędzy. Niektórzy zjedli swoje zapasy i niestety czyjeś też. Najbardziej poszkodowana okazała się Jola, która po słynnym upadku koło Krosna przekazała swoje zapasy Tomkowi na przechowanie, a młody, dobrze zapowiadający się kulturysta, wiecznie głodny, uznał to za darowiznę i szybko przetrawił. Gdy Jola zażądała zwrotu żywnościowego depozytu, okazało się, że nic nie zostało. Smutna historia, ale prawdziwa.

Adaś zabronił nam handlować ostatnimi brudnymi ręcznikami, bo nie wypada. Zaczęliśmy więc używki stosować oszczędnie. Ale Polak potrafi. Pewnej soboty nie zrobiliśmy wcześniej zakupów, sklepy były już zamknięte i zabrakło chleba. Ruszyliśmy pieszo w podgrupach w różnych kierunkach, na poszukiwanie żywności. Tu kolejna niespodzianka.

W domkach, z wyglądu bardzo bogatych, z natury odmawiano nam pomocy. W posesjach wyglądających biednie zapraszano nas do domu, karmiono, poiono, zaopatrywano na drogę.

Z rozrzewnieniem wspominam jedną z rodzin, która zaprosiła nas na strych pokazując swoje wiszące zapasy wędlin, wśród których dominowała wędzona słonina. Biedni z wyglądu, ale bogaci duchowo i bardzo hojni. Zaopatrzyli nas we wszystko, co chcieliśmy i dzięki temu przeżyliśmy. Ot taka prosta ludzka życzliwość.

Pewnego pięknego wieczora, po rozbiciu obozu, poszliśmy z Haliną i może jeszcze z kimś do pobliskiej karczmy w celu spożycia jakiegoś normalnego posiłku i ogólnie „rozejrzienia” się.



Przyzwoita, dobrze zaopatrzona speluna, ale w alkohol, a nie w jedzenie. Na półkach stało kilkanaście olbrzymich słoików z różnego rodzaju okowitką. Dobrzy ludzie poczęstowali nas tylko po jednym małym kieliszeczku z każdego słoika. Efekt był z góry do przewidzenia. Na pusty żołądek okowitka dobrze wchodzi i piorunująco działa. Tubylcy mieli niezły ubaw, jak na miękkich nogach, pod rękę, od ściany do ściany, wracaliśmy do obozu. Jakie to szczęście, że już zapadł zmrok.



Rowery mieliśmy na pozór dobre, ale przy takiej ilości pokonywanych kilometrów i w tak różnym terenie, często psuły się a z częściami było coraz gorzej. Tu dominował Adaś, nie zjadł dopóki nie naprawił naszego taboru. Tak przywykliśmy do tej jego uczynności, że potem wykorzystywaliśmy go, zgłaszając tylko problem, a na rano rower był już sprawny. Duże dzięki, Adaśku.

Z trasy rajdu mieliśmy bardzo dużo zdjęć, dzięki dwóm zapalonym fotografom, Jurkowi i Piotrkowi. Utrwalali na kliszy dzień po dniu cały przebieg rajdu. Mamy zdjęcia i śmieszne i smutne. Są fotografie wspaniałych zabytków, miejsc historycznych kultowych dla krajów, przez które przejeżdżaliśmy. Uwieczniiliśmy przejazd przez Przełęcz Dukielską, na której Rosjanie podczas II wojny światowej zostawili trochę sprzętu wojskowego w postaci czołgów, dział i samolotów. Wpadli na chwilę z „przyjacielską” wizytą, dążąc z pomocą powstaniu słowackiemu i zostali do późnych lat osiemdziesiątych. Zachowaliśmy się jak młodzi adepti szkół podchorążych, którzy nigdy nie widzieli czołgu, włączając wszędzie, gdzie tylko się dało i uwieczniając to na fotografii. W podobny sposób zachowaliśmy się na prastarej granicy austro-węgierskiej przy przepięknym cokole, na szczycie, którego stał dostojny orzeł, a u podnóża olbrzymie działo. Jurek i Piotrek mieli mnóstwo pracy. Największą popularnością cieszyło się działo. Niemal wszyscy mają zdjęcie, siedząc okrakiem na armacie, ale czemu panie, zwłaszcza Danusia i Mirka ?



W trakcie rajdu zaiskrzyło, a nawet zawiązało się uczucie między niektórymi parami. Henio tak skutecznie pomagał i opiekował się słabowitą Ulą, że przyjaźń zamieniła się w związek małżeński, owocując po studiach małymi „heniutkami”. Pozdrawiamy Was i Wasze dzieci.

Halina z Adamem również przeszli ciężką próbę terenową. Trzeba mieć dużo cierpliwości i być bardzo wyrozumiałym, aby wytrzymać chrapanie dwóch gości w jednym namiocie. Anielskie usposobienie Halszki pomogło jej znieść tę ciężką próbę. Adaś tak ją omamił, że zakończyło to się związkiem małżeńskim.

Na ostatnim noclegu w Czechach, wspólnie ze swoim „współspaczem” Jasiem i innymi cyklistami, w pobliskim barze, nawiązaliśmy najpierw wzrokowy, a później bliższy kontakt z przepięknymi – tak nam się wydawało – przedstawicielkami płci odmiennej miejscowej społeczności. Trzeba uczciwie przyznać, że po okresie posuchy, byliśmy na etapie rzucania się na „czerwony tramwaj”. Nic nie zrobisz, z naturą nie wygrasz. Po bliższej konwersacji i wymianie płynów ustrojowych, sprawy były na dobrej drodze, ale... Do gry wkroczył barman. Na początku miły, niemal rozrzutny, ale im bliżej końca naszego i jego, upomniął się o „miedzę”, z roku 68. Czech to nie Węgier. Spotkanie skończyło się nieprzyjemnym zgrzytem. Trzeba było się katapultować, szlak trafił panienki. Do dziś spór nie został rozstrzygnięty, a mieliśmy dużą szansę zaistnieć w historii, zabrakło argumentów, a barman wyszedł na czeskiego „rudobrodego”.

Bardzo zabawne zdarzenie zarejestrował nasz nadworny fotograf Piotrek na jednym z etapów rajdu. Związane ono było z, nie zawsze dozwolonym, sposobem zaopatrywania się w owoce. Na Węgrzech, często po obu stronach drogi, rozciągały się plantacje słoneczników, winogron lub brzoskwiń, które w naszym kraju były rzadkością. Kilkoro z nas nie wytrzymało, pokusa była tak wielka, że zeskoczyli z rowerów i hajda przez płot. Ryzyko było duże, w razie wpadki policja, mandat i wstyd. „Ptaszek” na czatach. Słupki w płocie były tak mizerne, że przez płot mogły przeskoczyć głównie dziewczyny. Para, która idealnie współpracowała, jak ze zdjęć później wynikało, byli Grażyna, nasza miss obiektywu oraz „Ptaszek”. Owoce w tym miejscu były kiepskiej jakości, ale wytłumacz to spragnionemu. Darmowy, to i ocet smakuje. Zabawne było to, że kilkaset metrów dalej była bezpłatna degustacja owoców włącznie z arbuzami i młodym, ale jakże smacznym winem.

Ostatni etap z Cieszyna do Białej odbyliśmy już pociągiem. Wszyscy byliśmy cali i zdrowi, przepięknie opaleni. W Cieszynie doświadczyliśmy zderzenia dwóch kultur.

Wydawaliśmy tam ostatnie korony, panie na kosmetyki, panowie na piwo. Zmuszeni byliśmy, co pewien czas odwiedzić latrynę w wiadomym celu. Przed granicą były one schludne, czyściutkie. Po przekroczeniu granicy i skierowaniu się w polskim Cieszynie do „prewetu”,



odrzuć nas. To był szok, który do dziś pamiętam. Jest takie powiedzenie „pokaż mi swoją toaletę, a powiem Ci, kim jesteś”. Egzaminu nie zdaliśmy.

Mam nadzieję, że nikogo nie urażę szczyptą tych skromnych wspomnień, bo to i pamięć już nie ta, i oczy nie te. Pozostały mi w pamięci tylko miłe wspomnienia, a do złych nie chcę wracać.

Białe delfiny

Z Białej wyjechaliśmy pociągiem dużą grupą, zupełnie w nieznane. Był piękny lipcowy wieczór. Przemierzaliśmy się przez Łuków, dalej przez Warszawę, Olsztyn, do Pizsa, po drodze zbierając brać studencką z I roku. Jechaliśmy na swój pierwszy letni obóz do Rybitw nad Jeziorem Roś. Spuszczane ze smyczy, bez jakiegokolwiek kontroli, już w pociągu towarzystwo dało upust fantazji. Po całonocnej dyskusji, suto zakrapianej, na peron w Pisz wytoczyło się kilkudziesięciu żaków, niewyspanych, prawie niewidzących na oczy, w pośpiechu szukających jakiegoś podwozu do ośrodka AWF-u. Rzecz w tym, że czasy były nieco inne niż dziś. Ponieważ autobusy do ośrodka nie kursowały, taryfy były drogie, zdecydowaliśmy się na pieszą wycieczkę. Dla osób z bagażami, skacowanych, idących polnymi i leśnymi drogami, przebycie dwunastokilometrowego odcinka było nie lada wyczynem. Wkraczając na teren ośrodka byliśmy nieco zszokowani. Obóz znajdował się w środku lasu. Coś, co przypominało stołówkę, było w kompletnej rozsypce. W dali kilka wojskowych namiotów i to wszystko. Spytaliśmy o jezioro. Skierowano nas na północ. To, co ujrzeliśmy, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania, wynagrodziło nam wszystkie trudy i niewygody całodobowej podróży. Z wysokiej skarpy patrzyliśmy na przepiękne, długie i szerokie jezioro. W oddali nie było widać żadnych ośrodków i przystani żeglarskich. Kompletna dzicz.

Nie wszystkim moim kolegom udało się zakwaterować tego dnia. Dwóch zasnęło pod bramą wejściową i jeszcze tego samego dnia wyjechało do domu. Po podróży byliśmy tak zmęczeni, że nie zwracaliśmy uwagi na nic. Ani na żelazne, dziurawe sprężynowe łóżka, ani na komary, ani na kurz w namiotach, ani na brak szafek i podłóg. Sen mieliśmy stosunkowo twardy i długi. Ranek był koszmary. Niektórzy z nas byli uczuleni na komary. Opuchnięte twarze i oczy, wywoływały ogólny śmiech kolegów oczekujących na zewnątrz namiotów. Po kilku dniach wykupiliśmy w Pisz wszystko, co przypominało gazę lub firanki, a nad łózkami wisiały baldachimy chroniące nas przed komarami. Innym sposobem walki z komarami było palenie jałowca w namiotach. Efekt był taki, że z namiotu, ze względu na dym uciekły komary, ale razem z nami. Rankiem zaczęliśmy szukać czegoś, co przypominałoby „latrynę”. Okazało się, że jest to urządzenie nieco osłonięte, na którym może usiąść jednocześnie kilku gości, bez krępacji, za to z dużą dozą humoru. Ku uciesze użytkowników było to miejsce, w którym opowiadało się mnóstwo dowcipów i kawałów.

Pogoda niestety się zepsuła. W porcie czekało nas stawianie pomostów. Woda była tak zimna, że dłużej jak godzinę nie dało się w niej wytrzymać. Kochana pani doktor Trzeciak, aby nas zachęcić i dla zwykłej zdrowotności, po wykonaniu pracy, serwowała miarkę alkoholu. Chętnych od razu przybyło.

Na apelu dowiedzieliśmy się, że pobudka będzie o 6.00 rano. Potem rozruch, nie bardzo wiedzieliśmy na czym miał polegać. Szybko jednak zorientowaliśmy się, że zostaliśmy skoszarowani. Co ambitniejsi nauczyciele ganiłi nas po lesie kilometrami o 6.00 rano; do dziś nie bardzo wiem, po co. Tylko jeden prowadzący – Kazio, wymyślił stację „odlew”. Szliśmy wolniutko za stołówkę, tam w krzaki, każdy robił, co musiał, kilka głębszych westchnień i wolniutko do obozu. To był rozruch na miarę naszych oczekiwań, a Kazio zyskał ogólny szacunek. Spożywanie posiłków było arcyzabawne. Służyły do tego celu menażki i własne sztuczce, a w zasadzie wszelaki sprzęt, w którym można było zjeść posiłek. Siedzieliśmy na czym się dało, pustakach, pieńkach, skrzynkach, nielicznych krzesłach usuniętych z macierzystej uczelni. Zmywanie naczyń odbywało się w dużych wannach z płynem. Wcześniej należało wyczyścić menażki piaskiem. Na końcu było płukanie niby w czystej wodzie. Wszyscy przeżyli, nikt nie chorował. W trakcie obozu, który trwał 21 dni, wykonywaliśmy różne zadania. Jednym z nich był dyżur w kuchni. Zbiorowe obieranie ziemniaków dla kilkuset osób, przy słuchaniu audycji „Lato z radiem” było niezwykłą przyjemnością. Jeden z dyżurujących w kuchni musiał wstać o 5.00 rano i jechać po zaopatrzenie. Był on w zasadzie jedynym kontaktem ze światem zewnętrznym. Zbierał, wysyłał i przywoził listy oraz prasę, a czasami niezbędne napoje, dające dużo radości i pozwalające przetrwać ciężkie noce. Ponieważ nie było zbyt wielu możliwości rozrywki, większość wieczorów spędzaliśmy przy ognisku. Rocznikowe ogniska odbywały się poniżej aktualnego boiska do piłki plażowej. Byliśmy rocznikiem rozśpiewanym, dzięki zajęciom umuzykalniającym na uczelni tzw. „zmirkowaniu”. Zupełnie inaczej brzmi utwór śpiewany przez 120 osób, niżli chałturzenie w wykonaniu jednego grajka. Pamiętam jedną dość zabawną sytuację podczas takiego wieczoru. Po kolejnej piosence nastąpiła krótka cisza, a tu z głębi lasu odzywa się głos: „mówi lila do motyla, nikt nie widzi, pan zapyla”. Ogólny śmiech, a „Zibi”, syn muzyka z Warszawy, niezwykle uzdolniony sportowiec, wypijający dzieńnie pięć pryty, okazał się nieprzebraną skarbnicą dowcipów i kawałów. Ogniska w mniejszym gronie odbywały się na obecnym placu apelowym przy gitarze i obowiązkowo z udziałem „Adziusia”, warszawiaka z Pomiechówka, z którym wypiliśmy nie jedną cysternę piwa na trasie Warszawa Gdańska-Biała Podlaska.

Wieczory były coraz zimniejsze. „Bolo”, żeby zmusić nas do wejścia do wody na pływaniu, dyskretnie podgrzewał termometr zanurzany na krótką chwilę w wodzie. Zadaniem naszym było przepłynąć tylko od pomostu do pomostu, później zajęcia teoretyczne. Kolejne moczenie czekało nas na deskach

i tu nie było litości. Dochodziły do tego często mokre żagle lub kajaki. Suszenie odzieży mogło odbywać się tylko na własnym grzbiecie lub przy odrobinie szczęścia – na powietrzu. Dopiero po obozie okazało się jak wielu z nas później chorowało na korzonki, a panie miały kłopoty z jajnikami. Dużym zainteresowaniem w tym przypadku cieszyły się zajęcia w terenie, tzw. ogólnorozwojówka, z prostej przyczyny – nie trzeba było się moczyć. Bywało jednak zabawnie. Podczas wieloskoków jeden z kolegów tak ambitnie podszedł do postawionego zadania, że nawet jak „sprzęt” wypadł mu z „reformatek”, nie przerwał próby. Dostał duże brawa, ale kolejnej próby już nie wykonał. Problem był z myciem. O ciepłej wodzie należało zapomnieć. Mycie zębów odbywało się zbiorowo na pomostach, po apelu. Panowie myli się na pływalni, a panie w namiocie rozstawionym nad wodą. Po kilku dniach do namiotu dostało się tyle komarów, że po wejściu do niego słychać było jeno pisk i jęki dziewcząt. W ten sposób panie zmuszone zostały do korzystania z ogólnej pływalni. Ciekawe, co dziś powiedzieliby na to ekolodzy. W trakcie trwania obozu mieliśmy jeden wolny dzień. Każdy korzystał z niego jak potrafił. Jedni zostawali na miejscu i wygrzewali się na pomostach, inni wypożyczali sprzęt pływający i zwiedzali odległe porty, a jeszcze inni darli pieszo 12 kilometrów do tawerny zwanej Tramp w celu uzupełnienia płynów. Był z nami Mariusz zwany „Płachetka”, który powtarzał obóz już drugi raz. Tak fajnie wkomponował się w dobrze rozwijającą się imprezę, że zapomniał przybyć do ośrodka na czas i biedak wyleciał z obozu po raz drugi. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale później okazało się, że dopiero za piątym razem udało mu się zaliczyć obóz. W Trampie zawsze była fajna i swojska atmosfera. Dużo ludzi, mało miejsc siedzących, mało kufli. Opracowaliśmy kilka pomysłów. Kufle, zastąpiły puste butelki po mleku. Miały one wielką zaletę, ich pojemność była dwukrotnie większa. W kolejce non stop stał jeden człowiek, który czekał tylko na znak i puste butelki, aby złożyć kolejne zamówienie. Dużo wspomnień łączyło nas z Trampem, ale jakaś ekipa zorganizowała tak gorącą imprezę, że lokal spłonął.

Sprzątanie obozu zajęło nam prawie cały dzień. Kajaki oraz mniejsze łodzie, nosiliśmy na plecach schodami do stołówki. Omegi, bez osprzętu, spławiane były do „LEDY” (ośrodek *wczasowy graniczący z*



ośrodkiem AWF-u, przyp. red.), a stamtąd na barkach przenoszone do stołówki. Straszna katorga, zwłaszcza, że niektóre łodzie brały wodę i ważyły dwa razy więcej. Po skończeniu prac porządkowych poszliśmy z kolegą pożegnać się z jeziorem. Jakież było nasze zdziwienie, gdy w porcie żeglarskim zobaczyliśmy kilku osobników płci męskiej skaczących z pomostów „na waleta”. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, co to znaczy. Sprawiali wrażenie, jakby chcieli chociaż na moment zamienić się w „białe delfiny”, tyle tylko, że delfiny nie eksponują gołych tyłków. Z uśmiechem na ustach pożegnaliśmy Roś, delfiny, ośrodek. Mieliśmy nieskrywaną nadzieję, że może tu jeszcze wrócimy. Pozostało do pokonania pieszo 12 kilometrów, noc w pociągu i już byliśmy w domu.

Przez cały następny rok akademicki mieliśmy o czym dyskutować, wspominać i snuć plany na kolejne zbliżające się wakacje. Okazja nadarzyła się bardzo szybko. „Piacho” organizował pierwszy w historii kurs na instruktora żeglarstwa deskowego. Zgłosiliśmy się bez namysłu. Kilkunastu śmiazków dotarło do Rybitw, a dalej do ośrodka AWF-u, oczywiście pieszo. W ośrodku wiele się zmieniło. Wykończono stołówkę, zorganizowano suszarnię, przybyło kilka domków dla kadry, wybudowano nowe szalety. Tylko studenci spali normalnie. Czyli w wojskowych namiotach, na żelaznych łóżkach, bez szafek i podłóg. Ponieważ stołówka była już nieczynna, stołowaliśmy się w „Ledzie”. Żarcie było wystrzałowe. Pamiętam powiedzenie kierowniczkii „Ledy”: „gdybym miała waszą stawkę żywieniową, po każdym sezonie jeździłabym nowym polonezem”. W naszej stołówce dominował serek biały, topiony serek, żółty serek, paróweczki, jaja i dżem jako dopychacz. Doprowadziliśmy do stanu używalności nasze drewniane „uboty”, a potem pływaliśmy i „regaciliśmy” się bez opamiętania. Gorzej było, gdy deska zgubiła korek. Płynęło się na prawdziwej łodzi podwodnej, oczywiście na szarym końcu. Dowcipnisie dyskretnie luzowali korek konkurentowi i sukces był murowany. Ponieważ deskarze zawsze mieli problemy z miejscem do ćwiczeń, wpadliśmy na pomysł wycięcia części trzcin. Ciężka, żmudna praca. Szpadel i podcinanie korzeni trzcinek jedna po drugiej a później wywożenie łodziami w jezioro, aby nie daj Boże, ktoś nie posądził nas o dewastację środowiska. W dalszej kolejności żmudne wygrabianie dna z nieczystości. Wygląd dzisiejszej plaży i portu dla deskarzy, zawdzięczamy ówczesnej ciężkiej dwutygodniowej pracy kilku porąbanych żeglarzy. W połowie kursu odbył się chrzest „florków”, nowicjuszy, którzy uzyskiwali uprawnienia instruktorskie. W roli Posejdona wystąpił „Piacho”, a w roli Prozerpiny „Dzięcioł”, oszołom pierwszej klasy. W roli diabłów bliźniaczy, „Pieczka” i „Kowal”. Zabawa była przednia, przy non stop padającym deszczu, na tle rozstawionych żagli i wspaniałej charakteryzacji wszystkich uczestników. Wysoką temperaturę imprezy zapewniała nam okowitka i świszczące w powietrzu pagaje w dłoniach diabłów. Nie przypominam sobie, aby następnego dnia ktoś pragnął usiąść; dzień spędziliśmy na stojąco. Wieczory spędziliśmy przy nowym stole, nazwanym „czaja” w obozie męskim, z za-

daszeniem pokrytym trzcinową strzechą, podobno przypominającym fryzurę naszego kochanego Dziekana . Przy nim rodziły się nowe pomysły na następny dzień i sposoby ich realizacji. Henia, który zazwyczaj pierwszy odpadał, wynieśliśmy nocą nad skarpe razem z łóżkiem, twarzą w kierunku wschodzącego słońca, dociażając go połączonymi workami na śledzie namiotowe wielkości wiadra, wypełnionymi wodą. Aby mu miękko się spało wleliśmy mu kilka wiader wody do pościeli. Do dziś nie wiemy, jak się oswobodził i jakie miał odczucia po przebudzeniu. Innym razem wymyśliliśmy nocne regaty na cyrankach po całym jeziorze. Ponieważ przy wiosłach był „Kowal” i „Piecza” efekt był z góry do przewidzenia. Wszystkie wiosła i pagaje zostały połamane. Do portu wróciliśmy nad ranem, wiosłując siedziskami i to tylko dlatego, że wystraszyła nas zbliżająca się burza z piorunami.

W przeddzień zakończenia obozu wybraliśmy się do sąsiedniego ośrodka MZK. Fajny lokal nad samym jeziorem, dobrze zaopatrzony. Bawiliśmy się doskonale dopóki „Piecza” i „Kowal” nie rozgonili imprezy. Jak zabrakło turystów, zaczęli bić się między sobą. Usunięto nas z lokalu. Bliźniacy tłukli się przez całą drogę powrotną do ośrodka. Ranek był komiczny; tak brudnych i obitych gości nikt z nas dawno nie widział. Obmyli twarze, założyli na brudne ciało białe koszulki i wspólnie wyruszyliśmy jakimś podwozem w stronę Pizsa. Co chwilę jeden z nich krzyczał, żeby się zatrzymać, bo na drodze dostrzegał jakąś część swojej garderoby po wczorajszej bijatyce. Przy piwie na dworcu szybko się pogodzili, pocieszając się, że rachunki wyrównają na weselu, na które właśnie się udawali do rodzinnej miejscowości. Przed wyjazdem udaliśmy się do portu. Pomostów już nie było. Zrobiło nam się jakoś smętnie. Ktoś rzucił półzartem półserio, a może by tak na zakończenie „na waleta”. Krótkie porozumiewawcze spojrzenie i już po chwili biegliśmy na golasa w stronę głębi. Delfin był tu najodpowiedniejszym stylem. Oddawał i naszą radość i chęć powrotu do tego urzekającego miejsca. W następnym roku zorganizowaliśmy pierwsze Akademickie Mistrzostwa Polski w żeglarstwie deskowym. Przyjechali zawodnicy reprezentujący uczelnie z całej Polski. Nowe deski, nowe żagle, nowe wyzwania. Dzień przed zawodami strasznie „kuło”. My staliśmy na nabrzeżu, obserwując wysokie łamiące się fale, z szacunkiem spoglądając na wyjątkowo trudne warunki do żeglowania. Znalazło się kilku śmiałków zwłaszcza z Wrocławia, którzy zapragnęli spróbować się z żywiołem. Oglądaliśmy nieporadne próby kolegów utrzymania się na powierzchni wody, bo o pływaniu mogli tylko pomarzyć. Po godzinie moczenia się w wodzie i prezentacji żeglarstwa szuwarowo-bagiennego, „Piacho” rozwoził nas po całym akwenie motorówką szukając nieudolnych deskarzy, z którymi zamienialiśmy się miejscami. Po kilku minutach sprowadziliśmy wszystkie deski do portu, a goście oniemieli, zwłaszcza ci z Wrocławia. Dotarło do nich, że gdzieś tam w Białej są deskarze, o których nic nie wiedzieli, a którzy mogą pływać lepiej od nich. Usprawiedliwiali się tym, że nigdy jeszcze na tak wysokich

falach nie pływali, bo wiatry są u nich równie duże. Na regatach już tak nie wiało. Mimo to zdobyliśmy drużynowo tytuł Mistrza Polski, a indywidualnie nie ograliśmy tylko jednego deskarza z Gdańska, który prowadził w Pucharze Polski i zapewnił sobie zwycięstwo dopiero w ostatnim wyścigu. Ośrodek żegnaliśmy w doskonałych nastrojach, ale przy fatalnej pogodzie. Delfiny nie przyplęły.

Rok przed stanem wojennym zorganizowany został kurs na sternika. Dwudziestu kilku uczestników, kadra nauczająca z Białej i egzaminatorzy z Lublina. Trudne warunki, ciężka praca i tylko pięcioro z nas pomyślnie ukończyło kurs. Wyjątkowo wrednym egzaminatorem była Ewa z Lublina, sternik morski. Obryta teoretycznie, ale z praktyką było nieco gorzej. Raz skompromitowała się przy demonstrowaniu podejścia do kei, przecinając ją na dwie równe części jak „doktór pomost”. Drugi raz wywaliła grzyba przy wyjściu z kanału bez żagli. Prawdą jest, że wracaliśmy z Trampa, ze spotkania z przedstawicielami miejscowej ludności, gdzie zawarliśmy pakt o nie agresji po wsze czasy. Jednak sternik, tak doświadczony powinien sprawdzić, czy miecz jest opuszczony. Było głupio i mokro. Ewunia wzięła odwet na egzaminach, uwaliała wszystkich, którzy byli świadkami jej upodlenia. Nagrodą na zakończenie kursu i otarcie łez była przejażdżka największym jachtem na Mazurach, „Biegającą po fali”, który zawitał do naszego ośrodka. Imponujący jacht, z którego wyrzucono nas za burtę na dowód pomyślnego ukończenia kursu. Kąpiel w ubraniu we wrześniu, w deszczowy zimny dzień nie należała do przyjemnych. Tego sezonu delfiny nie rozebrały się. W stanie wojennym delfiny miały nieprawdopodobne trudności z dotarciem do Jeziora Roś, a opornych żeglarzy wywiało na roczne wczasy do ośrodka „Nalazki” w Elblągu. Przechodzili przeszkolenie wojskowe, „surfując” na bezkresnych poligonach w manewrach, pod kryptonimem „drużyna delfinów w natarciu”.

Następne lata były zdecydowanie lepsze. Bogatsze w doświadczenia i bezlitośnie obnażające wszelkie ułomności moich „Kumotrów”. Pierwsze świadome spotkanie z „białymi delfinami” nastąpiło na początku lat osiemdziesiątych podczas programowego obozu żeglarskiego I roku. Obóz rozpoczęliśmy tradycyjnym wieczorkiem rozpoznawczym. Przy flaucie, omegami, bez żagli, na pagajach ruszyliśmy w kierunku cypla. Na cyplu ognisko, śpiewy, opróżnienie menażek i powrót po „czternastej” do obozu, bo zaczynało dnieć. Na naszej omedze, po środku jeziora, ucieka nam fał do topu masztu. Pada komenda „Kwaki, na co czekasz, zapalaj na górę”. Kolega nawet się nie zastanawiał. Po maszcie do topu, a my pomagaliśmy mu wzrokiem. Wspina się, już blisko, łapie fał, a tu niespodzianka. „Kwaki” wraz z masztem, powoli, przechyla się na bok, łódź też. Zanim zorientowaliśmy się, co się stało, wszyscy znaleźliśmy się w wodzie. Omega przewrócona na bok, wokół nas pływające duże ilości kromek chleba, ogólna konsternacja. Zewsząd słyszymy zatroskane głosy za przyjaźnionych załóg. Dzięki orzeźwiającej kąpeli przyszło olśnienie, a prze-

cież wystarczyło tylko opuścić miecz i obyłoby się bez wywrotki. Do obozu wróciliśmy oczywiście w komplecie i pod żaglami, ale przeżycie było niesamowite.

Jako młoda kadra mieszkaliśmy w namiotach, nazywanych sułtańskimi – tylko „Piachowi” wiadomo, z jakich powodów. Bardzo często w godzinach rannych, jeszcze długo przed zajęciami, byliśmy odwiedzani przez „Prezesa”, zapalonego wędkarza. Niekoniecznie musiał coś złapać, ale chętnie sprawdzał, co mamy w barku. Po którejś z rzędu wizycie, siedzimy w trójkę, rozważamy, gdzie nas poniesie w ciągu dnia, a tu w przedsionku stoi żona naszego szanownego kolegi. Wrzawę, jaką uczyniła, można porównać tylko z wybuchem wulkanu. Skończyły się poranne wędkowania, a my z ulgą przyjęliśmy wiadomość o domowym areszcie naszego starszego kolegi.

Któregoś dnia mocno dmuchnęło. Szybciutko zbiegamy na dół. Wskakujemy na deski, bojki są już rozstawione wcześniej i „regacimy się.” W trakcie wyścigu przychodzi potężna burza z piorunami. Normalna rzecz na Rosiu. Jeden z naszych kolegów, prowadzący w wyścigu, nagle zmienia kurs i kieruje się prostu do portu. Po zakończonym biegu – trzeba przyznać w fatalnych warunkach, przy dużych wyładowaniach atmosferycznych – idziemy do kumpla, do namiotu z zapytaniem, co się stało, przecież nigdy nie odpuszczał. Okazuje się, że „Piacho” tak się wystraszył burzy, iż darł do portu i do namiotu ino furczało. Dużo stracił w naszych oczach, ale widocznie miał przykre wspomnienia z inną burzą. Na zakończenie obozu zostałem zaproszony na prawdziwe „białe delfiny”. Schodzimy schodami na dół do portu żeglarskiego, zrzucamy odzienie i wykonujemy skok do wolności. Po skończonych pokazach pytam starszego „kumotra” ,o co tu chodzi? Odpowiedź była prosta. Żebyśmy wrócili tu za rok. W komplecie razem z rodzinami.



Był to okres, kiedy na obozy jak i z obozów wracaliśmy autokarem. Całymi rodzinami, z dziećmi, z masą bagaży i zwierzętami. Podróż trwała pięć, sześć godzin z niezapomnianymi przerwami na obiad w Zambrowie oraz niesamowitą ilością śpiewanych piosenek po drodze. Masą opowieści z wydarzeń obozowych, aktualnych i tych sprzed lat. Był wśród nas jeden taki żeglarz Waldek, który miał ciągle problemy z pamięcią. Zazwyczaj był tą osobą, na którą ciągle trzeba było czekać. Wszyscy w autokarze, Waldus kończy pakowanie. Wyjeżdżamy z ośrodka, mijamy MZK, Waldus puka się w czoło i oznajmia, że nie zdał kluczy od domków. A żeby było śmieszniej proponuje, że pobiegnie przez las, na skróty, odda klucze a my mamy poczekać. Kto raz przebył drogę z MZK do naszego ośrodka wie, że tam nie ma żadnych skrótów. Wzbudził tą propozycją ogólną wesołość i zarazem wściekłość, bo musieliśmy zawrócić i straciliśmy kolejną godzinę wracając do ośrodka. W jednej sprawie miał rację, pośpiech jest złym doradcą. Waldus był zapalonym wędkarzem. Impreza do „piętnastej” a on wędkę i na rybki do „Ledy”. Po kilku kolejnych wieczorach był tak wykończony, że gdy go odwiedziliśmy na pomoście, spał na krzeselku z wędką między nogami. Zabraliśmy mu wędzisko, łowiliśmy dobre pół godziny, złowione ryby wrzuciliśmy do siatki, włożyliśmy kij między nogi i dyskretnie usunęliśmy się. Po przybyciu Waldusia do obozu, spytaliśmy dyskretnie, czy nie miał gości podczas wędkowania, kategorycznie zaprzeczał jakoby ktoś go odwiedził na pomoście, ale na wszelki wypadek, zrobił sobie dzień przerwy w wędkowaniu. Kolejny obóz był nieco inny od poprzednich. Zderzyliśmy się ze studentami zaocznymi. Inny świat, dorośli ludzie, lepiej zorganizowani. Mieli nosa, kadra w prawo, oni w lewo. Kiedy trzeba było potrafili się zgubić. Podczas jednej nocnej inspekcji licznych namiotów męskich, okazało się, że wszyscy są w namiotach. Siedzą na łózkach, przy świeczkach, nie narzekają, gościom serwują kanapki, dają coś do popicia, życzą miłego wieczoru. I tak w każdym namiocie. Dotarłem tylko do siódmego. Dalsze kontynuowanie inspekcji mogło mieć nieodwracalne skutki. Doszedłem do wniosku, że wszystko jest w należytym porządku i udałem się na zasłużony odpoczynek.

Zajęć z żeglarstwa było bardzo dużo. Pod koniec szkolenia, stać nas było na tzw. pływanie obserwowane. My siadaliśmy w „Ledzie” na, z góry upatrzonym miejscu, a studenci w niewielkiej odległości od portu, ćwiczyli wszystkie manewry. Do czasu. W okolicy pojawiły się piękne panienki, na niezłym jachcie. Panie zakreśliły się, zrobiły zwrot i popłynęły w kierunku cypla. Moja wachta – stare wilki morskie – popłynęła za panienkami. W przesmyku zaczęło dmuchać. Chłopcy zniknęli za cyplem. Zajęcia zakończyły się. Wszystkie wachty spłynęły do portu, a moich nie ma. Wstyd wracać pieszo i nie ma czym się chwalić. Na szczęście szybko szef szkolenia doliczył się braku jednej omegi. Łaskawie przypłynął do „Ledy”, zabrał mnie i udaliśmy się na poszukiwanie wachty. Mijamy cypel, dostrzegamy stojącą w trzcinach omegę, bez żagli,

a załoga stoi po pas w wodzie i trzęsie się z zimna. Omegę bierzemy na hol, a panów pytamy, co się stało. Okazuje się, że załoga zauroczona urodą pań, wybrała się w podróż, tyle że w jedną stronę. Tak zaczęło dmuchać, że panowie ze strachu wpłynęli w trzciny. Kobitki z ironicznym uśmiechem pozęgłowały w siną dal, a upokorzona wachta dla bezpieczeństwa w szuwały. Morał z tej opowieści wynika prosty – nie oglądaj się za „babą”, bo możesz stracić ogon.

Bywały dni kiedy kadra integrowała się z bracią studencką. Było takie miejsce, w którym organizowano ogniska i nazywało się „Łysą polaną”. Wymarsz zazwyczaj następował po apelu. Na miejscu przygotowane było już ognisko, do tego kielbaska i trochę okowitki. Zaczynaliśmy od chóralnych śpiewów, potem następowały indywidualne popisy sterników, a koncert życzeń kończył zazwyczaj nad ranem Kazio, jak nikt już nic nie słyszał. Powrót z takich ognisk był makabryczny. Zazwyczaj bywało bardzo ciemno, a do przebycia był pagórkowaty teren. Mocno zakrzaczony tuż nad skarpą. Ponieważ towarzystwo było już mocno zmęczone, to co pewien czas można było usłyszeć okrzyk padających osób, a za chwilę salwę śmiechu współtowarzyszy. Po powrocie do obozu, okazało się, że brakuje jednego „kumotra”. Musieliśmy wrócić. Zabraliśmy latarki i udaliśmy się na poszukiwania kolegi. Znaleźliśmy go. Stał biedak nieopodal polany. Żeby się nie przewrócić, obejmował olbrzymi jałowiec i oczekiwał świtu. Spytaliśmy – dokąd idziesz Jureczku. Odpowiedział – do obozu. Szedł jednak w złym kierunku. Zabraliśmy biedaka i udaliśmy się na zasłużony odpoczynek. Obóz kończyliśmy z ciężkim sercem, ale z dużym bagażem doświadczeń. Byliśmy mądrzejsi o kilka wspaniałych przeżyć i żeby wrócić tu za rok pobiegliśmy w męskim gronie do portu żeglarskiego. Tradycji



stało się zadość. Na chwilę zamieniliśmy się w białe delfiny. W następnych latach, na kolejnych obozach, toczyliśmy odwieczny bój z kierownictwem o prawo pobytu naszych rodzin na nabrzeżu podczas zajęć. Wzięliśmy sprawę w swoje ręce. Z pozostałych pomostów, na wysokości portu kajakowego, zbudowaliśmy port dla rodzin. Na płytkiej wodzie wycięliśmy trochę trzciny, ustawiliśmy pomosty, po jednym dla każdej rodziny. Szybko zorientowali się też studenci, że na pomostach można się wspaniale opalać. Było ciasno, ale wesoło. Przy flaucie, pomosty były oblegane. Dojście do nich było uciążliwe, bo skoszone trzcinki kuły w stopy. Na pomostach żartowano i oblewano się nawzajem wodą. Tadzio, chcąc uniknąć oblania zimną wodą, wykonał skok na głowę z pomostu. Zapomniał, że jest płytko. Wyskoczył w górę jak oparzony. Na jego torsie i poniżej, widać było czerwone pręgi, a po chwili, zaczęła płynąć cienkimi stróżkami krew. Trzcinki zrobiły swoje. W porcie kajakowym też bywało wesoło. Jeden z naszych kolegów – ochrzczony przez studentów „Kotlecik” – tak ambitnie podchodził do obowiązków, że byliśmy świadkami wielu pociesznych sytuacji. Zaproponował studentom wiosłowanie na sucho. Usadził ich kilku na pomoście kajakowym i nakazał wiosłować. Panowie tak się przyłożyli, że po chwili pomost zaczął się składać i wszyscy wylądowali po pachy w wodzie. Gdyby nie wbite w dno kołki, prawdopodobnie popłynęliby w siną dal. Innym razem, na tym samym pomoście podczas zaliczeń i instruktażu, pan instruktor tak niefortunnie manewrował między studentami, że wyrznął orla na wznak w trzcinki. Może nie byłoby w tym nic zabawnego, ale woda była płytka i było dużo błotka. Po wyjściu na pomost wyglądał niezwykle malowniczo. Podsumowaniem szkolenia na kajakach było zaliczenie toru przeszkód na czas. Ten sam prowadzący, na ostatnim pomoście, usiadł sobie na krzesełku i po kolei wypuszczał studentów na tor. Panowie ciekawi swoich wyników, zaczęli coraz bardziej zbliżać się w okolice prowadzącego. Efekt był z góry do przewidzenia. Zobaczyliśmy, jak w pewnym momencie pomost osuwa się w dół. Wszyscy wylądowali w wodzie, a nasz kolega, siedząc na krzesełku, zanurzył się nieco głębiej, list zaliczeniowych jednak nie zamoczył. Białe delfiny tradycyjnie wykonaliśmy w porcie żeglarskim. Ponieważ był bardzo niski stan wody, nasz „sprzęt”, tylko troszeczkę skrywał się poniżej linii wody. Był jednak wśród nas kumotr „Akibuła”, mierzący 202 cm wzrostu. To, co inni mieli pod wodą on miał na wierzchu. Nic nie byłoby w tym dziwnego, gdyby nie to, że z portu pływackiego byliśmy obserwowani przez młodzieżką niewiastę o imieniu Kasia. Była bardzo zażenowana a my dumni jak pawie. Trudno wyobrazić sobie obozy bez „Wujka i Prezesa”. Zarówno jeden jak i drugi byli obiektami wielu żartów i anegdot. Obaj byli miłośnikami wędkarstwa. Na jednym z obozów „Wujek” wybrał się na pomost żeglarski, na wędkowanie. Rozwinął wędki, rozłożył sprzęt i zanętę. W oddali pojawił się „Prezes” ze swoim nierozłącznym przyjacielem „Pimpkiem”. Piesek był niesforny i wyjątkowo nieposłuszny. Niezwykle żywy i wszędzie musiał wsadzić nos. Gdy

wędkarze wymieniali się spostrzeżeniami, „Pimpus” zaczął myszkować po pomoście. Niefortunnie strącił robaki do wody. W tamtych czasach, robaki to był skarb. Piesek natychmiast od „Wujka” otrzymał zasłużonego kopa. Po przepięknym locie, za który otrzymał 10 pkt, wylądował w wodzie. „Wujek” rzucił się do ratowania tonących robaków. „Prezes” z okrzykiem na ustach – on nie umie pływać – wskoczył do wody ratować psa. Wszystko to działo się na oczach wielu postronnych świadków, którzy ze śmiechu kładli się pokotem, obserwując zachowanie dwóch przyjaciół.

Ten pomost musiał być jakiś feralny. Innym razem, „Prezes” miał zamiar wybrać się ze swoją małżonką na przejażdżkę łódką, a może nawet na wędkowanie. Łódka, która zwała się „Brzydula”, była wyjątkowo wywrotna. Podpłynął do pomostu, „Pimpka” zapakował do łódki i zaczął się manewr wsiadania żony. W tym czasie trwały zajęcia deskarzy, przy kompletnej flaucie. „Dzięcioł”, aby uatrakcyjnić zajęcia, wsiadł na motorówkę i zaczął pływać pośród desek, robiąc dużą falę, co było przyczyną wielu wywrotek deskarzy. Zrobiło się wesoło, studenci ćwiczyli wchodzenie na deskę i wyciąganie żagla z wody. Nie wszyscy jednak byli zadowoleni. Kolejne próby wejścia prezesowej na „Brzydulę” kończyły się niepowodzeniem z powodu dużego „rozkołysu”. Przy następnej, wyzwała „Dzięcioła” od porąbańców, ale próbowała dalej. Gdy już była blisko celu, motorówka przepłynęła w tak małej odległości, że już nic nie mogło prezesowej uratować przed katastrofą. „Brzydula” zaczęła się oddalać od nabrzeża i niepokojąco przechylać w momencie, kiedy jedna noga niewiasty była na pomoście, a druga w łódce. Prezesowa, przy wadze kilkuset funtów z krzykiem – Józek ratuj – wykonała szpagat, wzbudzając tym samym podziw wśród obserwatorów. Przytrzymując się ramienia męża, walczyła o życie i o to, aby nie wpaść do wody. „Prezes” walczył o utrzymanie łódki na powierzchni i uspakajał non stop niesamowicie ujadającego „Pimpka” Kto żyw, rzucił się na ratunek. Tylko dzięki niezwykłej odwadze i woli walki udało się prezesowej nie wpaść do wody. Do dziś „Prezes” nie przyznał się, kogo by ratował – psa, czy żonę. Co dostało się później „Dzięciołowi”, to tylko on wie.

Każdy żeglarz ma w sobie chociaż trochę sportowej żyłki. „Wujek”, „regaciłby się” non stop. Zorganizowaliśmy sobie regaty wieczorne na omegach. Ile łódek, tylu sterników plus załoganci w postaci naszych rodzin. Trzeba przyznać, że „Wujek” często te regaty wygrywał. Nie dlatego, że był aż tak dobry, ale dlatego, że zawsze miał najlepszą łódkę. Ambicją innych sterników było dokopanie „Wujowi”. Regaty przeprowadził Jureczek. Tak to zorganizował, że „Wujek” znowu wygrał. Przy kompletnej flaucie, przycumowaliśmy do jednej z bojek zwrotnych. Zrobiliśmy przepiękną rozgwiadkę i zaczęliśmy topic smutek w szklance piwa, knując jednocześnie spiszek, jak dokopać jeszcze tego wieczoru „Wujowi”. Podpłynęliśmy wcześniej do pomostów i czekaliśmy na łajbę zwycięską. Był taki zwyczaj, że sternika, który wygrał, rzuca się do wody. My chcieliśmy więcej. Wiedzieliśmy, że aby wpłynąć do portu trzeba podnieść

miecz. Ustaliliśmy, że wyrócimy go razem z łajbą. „Wujek” podpływa, my jesteśmy przygotowani. Wskakujemy na omegę, robimy planowany przechył, a tu niespodzianka. „Wujek” po maszcie, który się wsparł o sąsiedni pomost, wyskoczył bez szwanku na keję, a my wszyscy, po pachy, stoimy w wodzie. Wyszliśmy na durniów, a „Wujek” zataczał się ze śmiechu.

Na zakończenie obozu, na białe delfiny zabrał się z nami nasz zaprzyjaźniony „wracz” Marian. Wszystko odbyło się jak zwykle, może trochę bardziej dostojnie, ze względu na gościa i dostojny trunek, który przyniósł ze sobą. Zanurkowaliśmy w lewo, potem w prawo i do pomostu. Po maluchu i surfowanie w przód i w tył. Jeszcze po dwa maluchy i surfowanie przodem do góry. Po ostatnim maluchu i ...słyszemy donośny głos z góry. Im to się nie dziwię, ale tobie Maniek, stary „capie” to bardzo. Od razu domyśliliśmy się, kto to był, ale cóż zrobić, tradycji musiało stać się zadość.

Wróciliśmy nad Roś w następnym sezonie, jeszcze bardziej liczni i zdeterminowani. Koniec z pokątnymi i skrytymi imprezami pod domkami. Koniec ze szlajaniem się po polanach i cyplach. Mamy rodziny, niektórzy małe dzieci, musimy zorganizować coś na miejscu. Postanowiliśmy zbudować konstrukcję, która na lata zagwarantuje nam w spokoju, organizację wszelkich imprez w jednym miejscu. Na czele komitetu organizacyjnego stanął Przemek, inżynier-elektryk, prawie że budowniczy. Niezbędne materiały zorganizował najlepszy i zasłużony magazynier PRL-u „Plaga”. W przeciągu dwóch dni zbudowaliśmy budowlę, którą nazwaliśmy „wiatą”. Był to szczytowy okres naszych wyjazdów rodzinnych do Pizsa. Wszystkie imieniny, uroczystości obozowe, wieczorki integracyjne, a potem i część zajęć odbywały się pod wiatą. Bywały pod nią ważne osobistości, profesorowie i ludzie biznesu, przyszli posłowie i senatorowie. Bywało gwarnie i wesoło. Czasami brakowało miejsca pod zadaszeniem i trzeba było cierpliwie czekać aż ktoś odpadnie. Służyła nam wiernie aż do pamiętnej burzy w 2002 roku, kiedy to młoda kadra, wchodząca dopiero w życie towarzyskie, zbagatelizowała tradycję i zaprzestała wykonywać taniec „białych delfinów”.

Nastały czasy, w których z życiem towarzyskim musieliśmy kryć się jak szczury po krzakach. Zeus wkurzył się i zesłał kataklizm nad ośrodek. Zniszczył wiatę, zatrul atmosferę i zasiał ziarno niezgody między przyjaciółmi. Stare delfiny przestały przypluwać do ośrodka. Tradycja zanikła. Ale kto wie, co los jeszcze nam zgotuje?



Bolesław Krawczyk
absolwent 1980



Odkurzone wspomnienia

WSPOMINAJĄC lata spędzone na uczelni, stwierdzam, że był to najwspanialszy okres w moim młodym życiu. Wiele było wesołych chwil, które czas pokrył nalotem zapomnienia i wiele tych chwil już nie pamiętam. Ale wracając do lat studiów, to utkwiło mi w pamięci jedno z ciekawszych wydarzeń, w które byłem zaangażowany osobiście. W czasie studiów trenowałem jeździectwo i po pochodzie pierwszomajowym pojechaliśmy na przejażdżkę konną. Prowadzącym zajęcia był, jak dobrze pamiętam Maciej Falkiewicz – miłośnik koni, a jednocześnie artysta – malarz. To, czego nauczyłem się od Niego, owocuje do dnia dzisiejszego.

Odjechaliśmy ponad 10 km od stajni i wtedy koń, na którym jeździłem, a lubiłem go bardzo, nazywał się Rulon, wysadził mnie z siodła; nim się obejrzałem, po koniu został tuman kurzu na drodze. Falkiewicz podjechał do mnie i powiedział: – Co się patrzysz ? Zasuważ po konia"! tylko powiedziane w innej formie... Można sobie wyobrazić, jak się wku... łem. Perspektywa marszu w upał, w butach oficerkach 10 km do stajni nie była obiecująca.

Moją „słabością” były zawsze kobiety. Ciągłe się zakochiwałem w różnych dziewczynach z mojego roku i nie tylko, co pozostało mi do dnia dzisiejszego.

W pokoju mieszkalem ze wspaniałymi kumplami, nie sposób ich nie wymienić. Byli to: Jacek Niećko, Waldek Dziaczkowski, Jan Szwiec, no i ja – „Don Vito Corleone”. Byliśmy ze sobą bardzo życzliwi. Każdy miał inne zainteresowania sportowe: Jacek – koszykówka, Waldek – 400m, Jan – maraton, a ja – konie. Całe dni nie widzieliśmy się, ale wieczorem rozmowom nie było końca. Powiem szczerze, byli dla mnie studencką rodziną. Ponadto miałem kumpła Marka Piekarskiego, z którym kłóciliśmy się 10 razy dziennie, a godziliśmy 20 razy.

Nie sposób nie wymienić Marka Jobdy, z którym łączyło mnie „świrowanie”. I nawet teraz, kiedy się spotykamy, to wygłupiamy się wspominając bez troski studenckie lata.

Uczelnia była dla mnie drugim domem. Chętnie wracam myślami do miejsc i ludzi, z którymi spędziłem 5 lat wspaniałego okresu mego młodego życia. Tu miałem kumpelki, w których pokoju spędzałem wiele, wiele godzin. Teresa Jaślikowska – obecnie żona rektora, Majka Rajchenbach, Basia Kowalczyk, która była żoną mojego kolegi śp. Tadzia Koperskiego, Bacha Kędra i Kaśka

Cepryńska, to dziewczyny, które znały moje dowcipy, mój „charakterek” i nie na wszystkie numery dawały się nabrać. *(Gdybyśmy dzisiaj miały tyle okazji do śmiechu, co wtedy dzięki wygłupom Bolka i innych „kabareciarzy”, byłybyśmy najzdrowszymi ludźmi na świecie – przyp. red.)*

Uczelnia, powiem szczerze przygotowała mnie do dorosłego życia i gdybym się jeszcze raz urodził, to też chciałbym tu studiować.

Po studiach wróciłem do Olsztyna i nadal jestem w sporcie. Przez wiele lat byłem zawodowym żeglarzem i pływałem na katamaranie klasy Tornado. Dzięki tej dyscyplinie objechałem cały świat, oprócz Australii.

W 2004, 2005 i 2008 roku ustanowiłem rekordy świata w jeździe 24-godzinnej non stop na rowerze. W 2008 roku „wyjechałem się” do bólu, ale regeneracja była szybka i skuteczna.



*2005 rok – bicie rekordu świata w jeździe 24-godzinnej non stop na rowerze
Olsztyn*



Obecnie jestem reprezentantem kraju w „smoczycach”. I właśnie w 2010 r. 11 sierpnia będę bronił, wraz z zespołem, w Amsterdamie, trzech złotych medali zdobytych w Budapeszcie.

Pochwalę się, bo jest czym. Jestem czterokrotnym mistrzem świata i siedmio- czy ośmiokrotnym mistrzem Europy.



Medale zdobyte na Mistrzostwach Europy w Petersburgu (2007 rok) w wyścigach smoczycach.

Niewielu jest absolwentów naszej uczelni, którzy mieli zaszczyt stać na najwyższym podium i słuchać Mazurka Dąbrowskiego. Jeżeli chcecie się dowiedzieć więcej o mnie, to zapraszam na moją stronę www.boleslawkrawczyk.pl

Pozdrawiam wszystkich swoich przyjaciół z lat studiów .



Zdobycie mistrzostwa Polski Nauczycieli w tenisie stołowym – 2007 rok

P.s. Powiem szczerze, że trochę mnie zawiódł kolega „Bolo”, bo najpierw wzbraniał się od napisania wspomnień, a gdy już napisał, to tak bardzo lakonicznie i oględnie... Czyżby się zestarzał i stracił poczucie humoru? Myślałam, że będę zrywać boki czytając Jego „dzieło”. No, cóż; może kiedyś sam napisze książkę i opisze „numery”, jakie kręcił z „Dziakiem”, „Dzięciołem, M. Jobdą i in.

Kto nie zna Bolka z czasów studenckich, to nie wie, że miał wiele talentów (i chyba ma do dziś): jest świetnym tancerzem, jeździł na łyżwach figurowych – z figurami, niezłe władał „nunczakiem”, grał w ping-ponga, uprawiał ski-skiing – to jazda na nartach za koniem i... miał jeden zeszyt „do awuefu”.

Maciej Niedźwiecki
absolwent 1982



FAWF 1977 – 1981

KIEDY w roku 2005 dostałem zaproszenie na rocznicowy zjazd absolwentów mojej uczelni wraz z zaproszeniem do napisania wspomnień, przyznam się szczerze, że po krótkim zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie ma się co wygłupiać. Kiedy otrzymałem w prezencie książkę z zebranymi opowiadaniem, natychmiast stuknąłem się w głowę, przecież ja też mogę opowiedzieć swoje przeżycia. Serdecznie dziękuję i gratuluję Teresie Jaślikowskiej-Sadowskiej wspaniałego pomysłu i uporu w dążeniu do zgromadzenia jak największej liczby wspomnień.

Egzaminy

Pierwszy raz próbowałem zostać studentem wybranej Akademii Wychowania Fizycznego w roku 1976. Niestety, moje przygotowanie motoryczno-sprawnościowe było dość marne i z marzeniami musiałem poczekać do następnego roku. Dyscypliną sportu, która przerosła moją wyobraźnię, okazała się gimnastyka. Trudno się dziwić, skoro wysoki drążek ujrzałem z bliska po raz pierwszy w życiu, a to, że skrzynię gimnastyczną można ustawić także wzdłuż dowiedziałem się na egzaminach wstępnych. Z moją „ulubioną” gimnastyką miałem problemy do końca studiów. Za rok byłem już przygotowany dość dobrze do egzaminów. Pływać umiałem, w koszykówkę grałem wycyznowo, do lekkiej atletyki przygotowywałem się przez rok nauki w studium policealnym, w Zespole Szkół Elektronicznych w Lublinie, w tamtych latach jednej z najlepszych szkół w Polsce w tej dyscyplinie sportu. Z gimnastyki mogłem mieć dwójkę (według wówczas obowiązującego regulaminu rekrutacji). Teorii się nie bałem, z biologii byłem mocny, z fizyki niezły, z rosyjskiego dostateczny, z propedeutyki i wiedzy o społeczeństwie poradziłem sobie na czwórkę. Jednak czekała mnie niemiła niespodzianka. Rok wcześniej (i rok później) było przygotowanych dla zdających 180 miejsc, dla nas tylko 120. W tym 40 zarezerwowano dla uczestników Studenckiego Hufca Pracy, 40 dla kobiet. Dla zdających z wolnej stopy pozostało tylko 40 miejsc. Pomógł mi sport wyczynowy, za II klasę sportową dostałem 10 punktów. Zostałem przyjęty na 36 miejscu mając tylko 4 punkty zapasu. Gdyby nie rugby i mój trener??

Może to i dobrze się stało, że dostałem się dopiero w roku 1977, bo miałem przyjemność studiować z jednym z najwspanialszych roczników naszej uczelni.

Gimnastyka

Moja pięta Achillesa, moja gehenna, moje utrapienie. Zawsze twierdziłem, że AWF to najpiękniejsze studia świata, gdyby nie gimnastyka. W pierwszym semestrze nie mieliśmy gimnastyki. W związku z tym zaliczyłem semestr w terminie (ostatni raz). W drugim semestrze już tak lekko nie było. Jurek S. z naszego roku, który uczestniczył w posiedzeniu Rady Wydziału (albo coś takiego) powiedział, że Pan magister P. nasz nauczyciel gimnastyki stwierdził, że ma jednego studenta, któremu nie daje żadnych szans na zaliczenie I roku; oczywiście chodziło o mnie. Na 12 elementów miałem niezaliczonych... 12. We wrześniu na zjeździe „naukowców” zameldowałem się bardzo wcześnie. Moi koledzy ze starszych roczników Krzysztof S. i Adam W. pracowali kładąc nowe pokrycie dachowe na gmachu uczelni. Oczywiście przyjęli mnie na „waleta”. Katowałem cały miesiąc. Największą satysfakcją miałem, kiedy magister P. powiedział na koniec trzydniowych zaliczeń: „- Przyznam się, że jest tu jeden student, któremu nie dawałem żadnych szans. Dzisiaj mogę powiedzieć, że się pomyliłem i z czystym sumieniem zaliczam semestr panu Niedźwieckiemu”.

Po studiach pracowałem przez kilka lat w szkole, powiem bez żadnych bajerów, bardzo lubiłem prowadzić lekcje z gimnastyki, a elementy które „wykatowałem” pokazywałem uczniom zgodnie ze wskazówkami naszych nauczycieli akademickich, „wzorowy pokaz”.

Koszykówka

Przed studiami troszkę grałem w koszykówkę. Jak już byłem studentem natychmiast zapisałem się do sekcji AZS AWF. Zespół był wspaniały, atmosfera fantastyczna, wyniki troszkę gorsze. Trenerami byli w kolejności: Krzysztof Siedlecki, Mirosław Popczyk, Krzysztof Hajduk. Z trenerem Popczykiem miałem dwa poważne zatargi. Byłem jeszcze studentem I roku. Obok reprezentowania barw AZS byłem czynnym zawodnikiem I ligi w rugby w KS Budowlani Lublin. Pewnego razu zdublowały się terminy rozgrywek. Wybrałem mecz w rugby. Nie mógł mi tego darować Pan Mirosław. Chciał zawiesić mnie w prawach studenta, kiedy to mu się nie udało, postanowił ukarać mnie inaczej. Mieliśmy po sezonie jechać na mistrzostwa Polski drużyny. Wstawili się za mną koledzy z drużyny, postawili warunek, albo jadę albo oni też rezygnują z udziału w tej imprezie. Byli to koledzy ze starszych roczników: Krzysiek Sugier, Jarek Pasieczny, Marek Wiciński, Krzysiek Hajduk, z mojego rocznika Krzysiek Gomółka i inni. Do Krakowa pojechałem, zajęliśmy tam 4 miejsce, będąc objawieniem zawodów.

Drugi incydent wydarzył się rok później. W czasie meczu w koszykówkę Kadra – I rok, którego byłem sędzią, Pan Popczyk, nie mogąc się pogodzić z moją decyzją, obrzucił mnie niecenzuralnymi słowami, za co chciałem usu-

nać Go z boiska. Dzięki interwencji innego nauczyciela akademickiego zawody udało się dokończyć. Następnego dnia, idąc na zajęcia, wielu nieznanymi mi dotąd studentów I roku zaczęło mówić mi „cześć”. Ktoś postawił się postrachowi młodego rocznika.

Największym przeżyciem koszykarskim były mecze z udziałem zawodników amerykańskich grających w polskiej lidze; Kent Waszyngton, pierwszy czarny zawodnik w Polsce gościł w naszej uczelni trzykrotnie. Organizatorem tych spotkań był niezawodny propagator koszykówki pan Mirosław Popczyk, z którym już do końca studiów żyliśmy w zgodzie.

Egzaminy

Generalnie egzaminy zdawałem skutecznie w pierwszym terminie, oczywiście poza gimnastyką. Kilka egzaminów zdałem fartem i o nich chcę opowiedzieć. Biomechanika u doc. Bukały niejednemu studentowi naszej uczelni spędzała sen z powiek. Krążyły legendy o tym egzaminie. Nasz rocznik miał to szczęście, że odbył go w formie pisemnej. Pisaliśmy całym rocznikiem w auli, przede mną siedział Krzysztof M., za mną Edward M. Prace były oczywiście identyczne, pisane z tych samych ściągawek, nie różniły się nawet przecinakami. Nadchodzi dzień ogłoszenia wyników i co się okazuje, otrzymaliśmy trzy różne oceny. Mówiło się, że docent położył pracę na stole, walnął w niego pięścią, co spadło – dwója, walnął drugi raz – co spadło trója, pozostałe prace – czwórka, moja spadła druga.

Kolejnym egzaminem nie do zdania była ekonomia polityczna. Tu pomógł mi ojciec, który był lekarzem w Lublinie. Egzaminujący musiał pilnie dostać się z dzieckiem do lekarza-specjalisty w Lublinie. Dziecko zostało przyjęte, ja zdałem „niezdawalny” przedmiot.

Jeszcze dwa egzaminy u mgra „Fauerbacha”. Podstawy Nauk Politycznych – był to jeden z przedmiotów, narzuconych przez ówczesny system polityczny, właściwie „nienauczalny”. W tamtych latach wszyscy musieli startować w tzw. „politykusie”, także studenci. Nie pamiętam, kto mi podpowiadał, ale uczynił to bardzo skutecznie, wszedłem do finału. Zająłem w nim zaszczytne piąte miejsce, na sześciu finalistów! Pewnego razu spotkałem idącego na uczelnię „Gruchę”. Zapytałem, gdzie idzie.

– Do „Fauerbacha”, wygrałem dwa politykusy z rzędu, niech mi wpisze piątkę z podstawy nauk.

– To ja też pójdę z Tobą, a co mi zależy?

Wchodzimy.

– Słucham Panów

– Panie magistrze, wygrałem dwa politykusy, prosiłbym, żeby pan wstawił mi za to piątkę.

– A Pan?

- A ja byłem piąty!

- Panu, panie G. bardzo proszę – bardzo dobry, a panu, panie Niedźwiecki, mogę postawić tylko czwórkę, rozumie pan, był pan tylko piąty.

- No trudno, niech będzie!

Po wyjściu za drzwi, radości nie było końca.

Kolejny egzamin, tym razem z filozofii marksistowsko-leninowskiej (tak, tak, był taki przedmiot, nie tylko na AWF, ale chyba na wszystkich kierunkach studiów w Polsce). Wszedłem na egzamin razem z Markiem B. On odpowiadał pierwszy. Niestety, nie mógł dogadać się z „Fauerbachem”, nie zdał. Przyszła kolej na mnie. Coś zaczynam mówić, udaję, że się na tym znam. Pan magister bierze mnie pod rękę, prowadzi do okna. Co to jest? – zadaje pytanie, pokazując na placyk przed akademikiem. Cholera, o co mu chodzi, co? Nie widzi, przecież to blok A. Klębią się myśli. **RZECZYWISTOŚĆ** – strzelam.

- Bardzo dobrze, świetnie!

Jeszcze jedno podobne pytanie i podobny strzał, wypadam z piątką w indeksie. Trzeba mieć fart.

Pozostałe egzaminy zdałem dzięki solidnej, systematycznej nauce!!!

Promotor

Promotora trzeba było wybrać dość wcześnie, chyba na II roku. Zapisałem się do doc. Sulisza. SeminaRIA były ciekawe, robiliśmy jakieś badania, przyszła pora na sprecyzowanie tematu. Rozbieg i odbicie w skoku wzwyż, albo coś podobnego, przypadło mi. Zapytałem nieśmiało, czy ja mógłbym pisać coś z rugby? Generalnie tak, ale tematu ciągle nie miałem. Docent Sulisz wyjechał do Warszawy. Zaczął się IV rok studiów, a mówiąc szczerze ostatni semestr, a ja byłem bez tematu pracy i właściwie bez promotora. Mieliśmy zajęcia z socjologii. Po ich zakończeniu podchodzę do prowadzącego i w obecności Jurka S. pytam:

- Czy mógłbym u Pana Docenta pisać pracę magisterską?

- A z czego chciałby pan pisać?

- Z rugby, jestem czynnym zawodnikiem tej dyscypliny sportu.

- Rugby, rugby? To taki sport, co to latają z kijami za taką małą piłeczką?

- Nie, nie, to tacy faceci, co to łapią taką krzywą piłkę pod pachę i lecą przed siebie, podpowiada z uśmiechem Jurek.

- Aaa, wiem, wiem. Może pan pisać.

Obroniłem się w lutym 1982 roku

Akademik

Na I roku mieszkałem na stacji, na II trafiłem już do akademika. Różnych śmiesznych zdarzeń było co niemiara, trudno wybrać te najfajniejsze. Opowiem cztery.

Mieliśmy, jako nieliczni w pokoju, telewizor i jako jedyni stojący, nakręcany na kluczyk zegar. Był maj, ciepło, okna pootwierane, duża grupa zaciekle trenuje rzut „dzidzą” lub podobne ekwilibrystyczne wyczyny. Ja leżę sobie na łóżku, czekam cierpliwie na serial obowiązkowy czyli „Czterej pancerni i pies”, Zaczynał się o 17.00. Nagle słyszę słynną pieśń „Deszcze niespokojne”, co jest? przecież dopiero za 15, może zegar się zatrzymał? Włączam telewizor, nie ma, co jest, telewizor zły? Wyglądam przez okno, na stadionie popłoch. Oszczepnicy wracają biegiem, inni też. Wpada „Pader” i „Stefan” (moi współlokatorzy) – zaczął się? Śmiejąc się pokazują na blok B, gdzie w oknie stoi głośnik. Nagrali na magnetofon i sprytnie wypłoszyli wszystkich ze stadionu.

„Stefan” ma zamiar wyjść z pokoju, coś trzyma w ręku.

- Co masz ?
- Oranżadkę w proszku?
- Daj trochę.
- Masz.

Odsypuje mi trochę w garść, spróbowałem. Miał szczęście, że stał przy samych drzwiach i zdążył bardzo szybko uciec. Był to proszek do prania.

Stoję przy słynnym kaloryferze przy recepcji, obok nie mniej słynny student starszego rocznika Bolek. W pewnym momencie podchodzi do pani w recepcji i spokojnie mówi:

- Niech Pani wezwie straż pożarną.
- Panie K., Pana to się zawsze żarty trzymają (Bolek spokojnie opiera się o kaloryfer, ale po chwili ponownie podchodzi do Pani).
- Niech jednak Pani wezwie straż pożarną.
- Panie K.. niech się Pan uspokoi, Panu tylko wygłupy w głowie (za chwilę krzyk pani recepcjonistki).
- Panie K., dlaczego Pan nie mówił, że się pali?

Spaliła się cała rozdzielnia prądu znajdująca się przy drzwiach wejściowych naprzeciwko recepcji.

Obóz letni

Na obóz letni pojechałem jako zawodnik AZS, w innym terminie niż mój rocznik. Byli tam studenci z różnych lat, czynnie uprawiający wyczynowy sport w naszym uczelnianym klubie, w związku z tym nie mogący uczestniczyć w obozach w wyznaczonych terminach.



Na dwa dni przed końcem obozu, delegacja poszła do kierownika, z prośbą o możliwość wcześniejszego wyjechania do domu. Prośba została kategorycznie odrzucona. Tej nocy miałem wachtę w porcie, razem z kolegą „Krujfem”. On szybko się ulotnił do sąsiedniego obozu, wrócił nad ranem, ja tradycyjnie wskoczyłem do omegi i poszedłem spać. O właściwej godzinie „wylazłem” z łódki i poszedłem do namiotu, po drodze spotkałem kilku magistrów, wracających do swoich miejsc zakwaterowania (jak się okazało na szczęście). Rano tradycyjny apel, zbiórka, meldunki i powitanie. Kierownik obozu wznosi

okrzyk: „Czołem studenci”, a tu zamiast głośnego: „Czołem panie kierowniku”, cisza. To bunt przeciwko odmowie naszej prośby. Prowadzący apel jakby nie zrozumiał, co się stało: jeszcze raz, kierownik jeszcze głośniej: „Czołem studenci”, a tu ... dalej cisza. Afera na całego. No i okazało się, że w nocy nie było wachty przy jachtach (ja w dziobie omegi, „Kruj” gdzieś tam), zostaliśmy wezwani do kierownika obozu, decyzja w sytuacji buntu mogła być tylko jedna: wyrzucenie z obozu, na jeden dzień przed końcem. Na drugi jechało się za rok na własny koszt. Za mną wstawili się prowadzący żeglarstwo, ponieważ będąc sternikiem jachtowym pomagałem w prowadzeniu zajęć. Dla mnie skończyło się naganą z ostrzeżeniem, dla „Krujfa” bez zmian – wyrzucenie. Ale to nie wszystko. Pod koniec semestru, około stycznia, trzeba było wpisać obóz do indeksu, biorę swój i „Krujfa” i idę do kierownika katedry obozów (nie mylić z kierownikiem tamtego obozu) i co? Obaj mamy po czwórce!

To tylko kilka opowieści, które po wielu latach pozostały w pamięci.

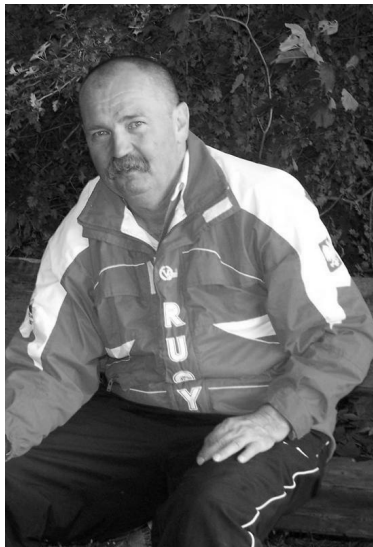
Po studiach

Po studiach moje losy były różne, ale generalnie na nudę nie narzekałem. Pracę rozpocząłem w Klubie Sportowym Budowlani jako trener juniorów rugby, później przez kilka lat pracowałem w szkole jako nauczyciel wychowania fizycznego. Pierwszego stycznia 1989 roku powierzono mi reprezentację Polski juniorów w rugby. Od tego dnia zdecydowałem się już tylko na pracę trenerską.

Do szkoły wróciłem po 15 latach w roku 2004. Kadre juniorów prowadziłem do roku 2000. Prowadząc nasz narodowy zespół do lat 19 dwunastokrotnie na mistrzostwach świata w tej kategorii wiekowej z najwyższym w historii polskiego rugby czwartym miejscem na świecie w roku 1993. W połowie roku 1994 „dołożono” mi jeszcze reprezentację Polski seniorów, prowadziłem ją także do 2000 roku, przez sześć lat opiekowałem się dwoma najważniejszymi reprezentacjami kraju w rugby.

Byłem trenerem klubowym w Budowlanych Lublin, Śląsku Ruda Śląska, Juventii Kraków, zdobyłem ze swoimi zawodnikami 6 medali mistrzostw Polski seniorów.

Podnosiłem kwalifikacje zawodowe, uzyskując w roku 2001 tytuł trenera klasy mistrzowskiej w rugby.



Przez lata pełniłem wiele funkcji w „polskim rugby”. Byłem członkiem Zarządu Polskiego Związku Rugby, kierownikiem wyszkolenia, prezesem Lubelskiego Okręgowego Związku Rugby i kilka innych.

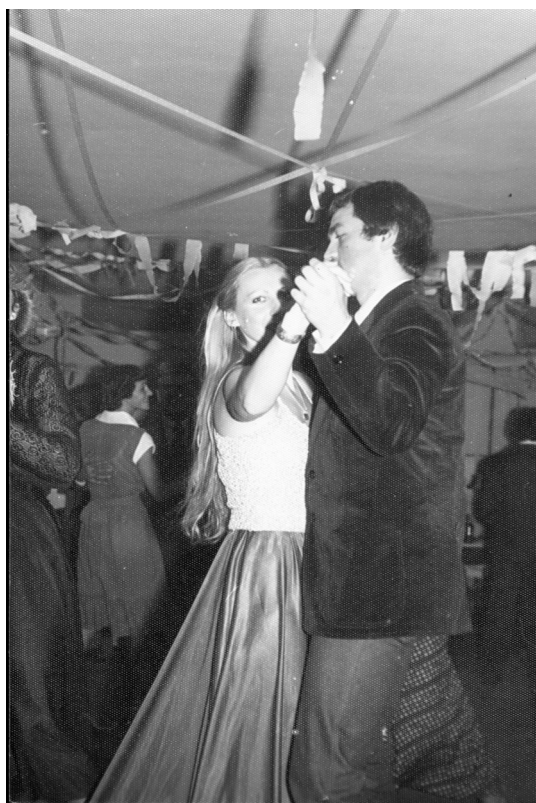
Jestem autorem lub współautorem 14 pozycji książkowych i kilkunastu publikacji, oczywiście głównie na temat rugby.

Aktualnie pracuję w Lubelskiej Unii Sportu i Lubelskim Centrum Edukacji Zawodowej jako nauczyciel wychowania fizycznego.

Pragnę zaznaczyć, że tę „samochwałkę” napisałem tylko i wyłącznie na wyraźną prośbę Teresy Jaślikowskiej-Sadowskiej.

P.S.

Pozwolę sobie na odrobinę „prywatny”. Szukając starych zdjęć, znalazłam w swoich zbiorach zdjęcie autora powyższych wspomnień, na którym widać, że Maciek był nie tylko dobrym zawodnikiem, żeglarzem, ale też tancerzem. Myślę, że żona nie będzie zazdrosna...



Półmetek, listopad 1979 (przyp. red.)

Urszula Parnicka (Rogała)
absolwentka 1985



Moje wczoraj i dziś

STUDIA w Akademii Wychowania Fizycznego nie były przypadkiem w moim życiu. Od dziecka fascynowały mnie wszelkie działania związane z aktywnością ruchową. Począwszy od wczesnych lat szkoły podstawowej kończąc na chwili obecnej mam sentyment do wszystkiego, co wiąże się z ruchem:

- najlepsza lekcja w szkole, to lekcja wychowania fizycznego,
- najukochańszy nauczyciel, to nauczyciel wychowania fizycznego, (Mietek Sawic – absolwent AWF – Białka Podlaska),
- miejsce, w którym czułam się najlepiej, to sala gimnastyczna bądź stadion,
- najwygodniejszy strój – to dresy,
- najwspanialszy mężczyzna, to trener (Zbyszek Pietruszyński – absolwent AWF – Białka Podlaska),
- najlepsi przyjaciele, to przyjaciele z boiska, itd.

Najwspanialszą porą roku była zima, ponieważ dyscypliną sportową, którą uprawiałam było narciarstwo klasyczne. Treningi wymagały dużo czasu. Byłam reprezentantką klubu sportowego „Roztocze” Szczecbrzeszyn. Po raz pierwszy stanęłam na narty w III klasie szkoły podstawowej. Przez czas nauki w szkole średniej godziłam naukę ze sportem – z niezłym skutkiem. Często zdarzało się, szczególnie w okresie zimowym, że nie miałam czasu chodzić do szkoły. Miałam wtedy obozy sportowe, zgrupowania, zawody, itp. Wszystko to, na szczęście, znajdowało zrozumienie wśród nauczycieli. Nie ukrywam, że starałam się nadrabiać wszelkie zaległości. Najgorzej było z grą na pianinie. W Studium Wychowania Przedszkolnego, w którym się uczyłam gra była obowiązkowym i ważnym przedmiotem. Na ocenę dostateczną trzeba było „swoje wysiedzieć” przy pianinie. Ja jednak wolałam trzy godziny biegać na nartach niż pół godziny ćwiczyć na klawiaturze. Stojąc przed wyborem treningu na nartach



Narty i ja

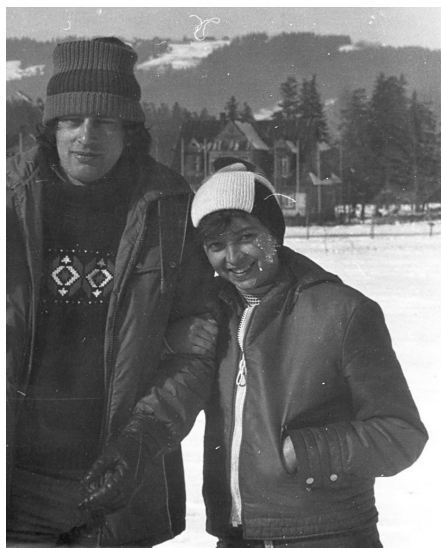
a „treningu na klawiszach”, zwykle wybierałam ten pierwszy, który wyraźnie zdradzał swoje uprzywilejowane miejsce w moim życiu. Wyrazem tego były wyniki sportowe.

W owym czasie należałam do ogólnopolskiej kadry nizin w narciarstwie biegowym, zainicjowanej i prowadzonej przez dr. Zygmunta Kurasia – AWF Warszawa, a potem przez dr. Grzegorza Sadowskiego AWF – Warszawa.

W pewnym momencie nadszedł czas wyboru studiów, a dokładniej miejsca studiowania, ponieważ kierunek, od zawsze, był jeden – AWF. W grę wchodziły dwa miasta: Warszawa, gdzie miałam możliwość kontynuowania swoich pasji sportowych i Białą Podlaską, gdzie już studiował „mój chłopak”. Jak widać „serce nie służy rozkazom”, wybrałam Białą Podlaską. Podejmując tę decyzję w jednej chwili narty zamieniłam na chłopaka.

Studiowanie nie sprawiało mi większych kłopotów. Lubiłam się uczyć, ćwiczyć, ale nie zawsze byłam wobec siebie uczciwa. Często z koleżankami z roku (Mariolka, Baśka, Krynia) kombinowałyśmy, co zrobić, aby zdać jak najlepiej i jak najtańszym kosztem. Lenistwo do nauki najczęściej wkradało się w trakcie intensywnych okresów zaliczeń bądź sesji. Wówczas ogarniał nas stan dość niebezpieczny, bowiem SESJA oznaczało System Eliminacji Studentów Już Aktywny. Byłoby trochę szkoda...

Bardzo często liczyłyśmy na łud szczęścia, a w sytuacjach podbramkowych pojawiały się w nas dziwne zachowania, np. zamiast usiąść do książek chodziliśmy po akademiku i robiliśmy rozpoznanie na temat, kto co robi przed egzaminem. Jak się okazało, grono koleżanek i kolegów, którymi się otaczałam, nie odbiegało od większości. Jedni zdradzali prorocze pomysły koncentrując swoją uwagę na zdobyciu pytań, podejmując w tym celu próbę wywoływania duchów, inni trzęśli się z przerażenia, nic nie robiąc, licząc na to, co już wiedzą, natomiast godnym pochwały zachowaniem było pisanie ściągawek. Jednak ja należałam do grupy dziewcząt o zupełnie innych inklinacjach w stresujących sytuacjach. W takich chwilach ujawniał się we mnie talent poetycki i nie ukrywam, że przy pomocy Mariolki Michalskiej i Ani Żychoń pisałam sytuacyjne wiersze. Oto jeden z nich przed egzaminem z psychologii:



*Mój najlepszy nauczyciel w/
Mieczysław Sawic i ja*

Bez tytułu

*Wieczór opadł nad miasteczko,
gdzieś w oddali płacze dziecko,
szemrzą trawy nad strumykiem,
groźba wisi nad akademikiem.*

*Introspekcja, behawioryzm,
psychologii to aforyzm,
psychologia głębi duszy,
nawet Sławka nas nie ruszy.*

*Wpada Ania przerażona,
roztrzępana i szalona,
płakać będziem – rzecze nam,
Sławka jutro pokaże Wam.*

*Czemu siedzisz jedna z drugą,
piszesz wiersze cienką strugą,
zamiast uczyć się przykładowie,
to czekasz aż z nieba coś spadnie.*

*Nagle chmury ustąpiły,
pokazał się lekarz miły,
i zwolnienia oferuje,
może któraś zachoruje.*

*My nie chcemy, Panie Bracie,
te zwolnienia włóż se w gacie,
bo my młodzi, silni, zdrowi,
Sławka nam nic nie narobi.*

*Koniec, finisz, dość tej gradki,
idźcie spać, dobranoc dziadki,
rzućcie barwne skojarzenia,
może ziszczą się marzenia.*

Wyrażam ogromny szacunek do Pani mgr Sławomiry Suchożebrskiej, ale w uproszczonym studenckim słownictwie nazywaliśmy Panią mgr po prostu „Sławka”.

Moje poetyckie talenty odzywały się nie tylko przed egzaminami, ale również w innych sytuacjach, związanych ze studenckim życiem towarzyskim.

W trakcie studiów tak się układało, że z roku na rok, raczej niezależnie ode mnie, zmieniałam towarzystwo „współlokatorek”. Bywało różnie, nie zawsze były to koleżanki z mojego roku. Z osób, które zaistniały w poniższej twórczości poetyckiej mogę wymienić: Krzysia Litwiniuka, Mariolę Michalską, Florka Parnickiego, Józka Sitka, Wieśka Chrostka („Młody”), Ewę Fijałkowską i Dankę Kamieniarz.

My

*Krzysio mądry, wielki, siwy,
Ciągłe plecie jakieś dziwy,
Rano wpada jak szalony
I poprawia sobie dzwony.*

*Wszystkich zaraz denerwuje,
Ale właśnie w tym góruje,
Nogi płącze, ręce składa,
I dla oka jest parada.*

*Za to Józek – człowiek wielki,
Ciągłe liczy nam butelki,
choć lubi tę zabawę,
I tak prosi nas o kawę.*

*Florek – chwyt nie byle jaki,
Ciągłe jeździ na kajaki,
A gdy czasem nie pojedzie ,
To uważa, że jest w biedzie.*

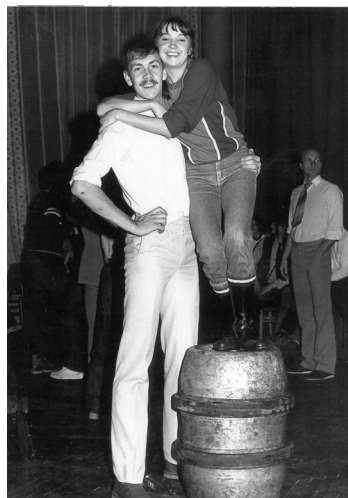
*Młody Dankę bajeruje,
a Danusię to rajcuje,
Ewa jako druga strona,
Patrzy na to zrozpaczona.*

*Ula dziewczę jest urocze,
Zdobią ją długie warkocze,
Umysł bystry, rozum jasny,
Dowcip ostry i też własny.*

*Długonoga Mariola,
Ciągłe ma jakiegoś mola,
Śmieży wszystkich swoją gadką,
I dla wielu jest zagadką.*

W trakcie studiów przeżyłam wiele sytuacji wartych opisu pamiętnikarskiego. Z perspektywy czasu nabierają one coraz większej wartości, a ulotna pamięć nie wszystko zachowuje, stąd tego typu wspomnienia ujęte w formie wydawnictwa zwartej mają sens.

Po ukończeniu studiów w 1985 roku zostałam na uczelni w charakterze pracownika naukowo-dydaktycznego. Droga zawodowa, tak jak u wielu, wypełnia mi dużo czasu, poza życiem rodzinnym i jest jedną z najważniejszych wartości w moim życiu. W międzyczasie obroniłam pracę doktorską. Z wdzięcznością przywołuję tu pamięć Pani Prof. Teresy Wolańskiej, która była inspiratorką moich działań naukowych. Jej niezwykła przychylność, zainteresowanie, cenne rady, merytoryczne wsparcie a często „matkowanie” przyczyniły się do mojego rozwoju nauko-



Połowinki – 2 metry Irka Chaliburdy i ja



Połowinki – 1981–1985, prawie wszyscy



Połowinki – znowu „Chali” i ja

wego. Samorealizacja na drodze zawodowej została uwieńczona wieloma innymi, satysfakcjonującymi mnie osiągnięciami, którymi każdy w swoim przypadku mógłby się pochwalić. Praca ze studentami daje mi wiele radości i zadowolenia, jednak w tym „pamiętniku” chciałabym się podzielić z absolwentami bialskiego AWF-u inną działalnością, która poza kontaktem ze studentami w znaczący sposób ubogaca moje życie. Od 15 lat pracuję z ludźmi starszymi prowadząc gimnastykę usprawniającą. Współpracę z nimi podjęłam ze względów społeczno-dydaktycznych. Prowadząc zajęcia dydaktyczne z gerontologii trudno sobie wyobrazić ich efektywność bez bezpośredniego kontaktu z osobą starszą. Pięć lat temu założyłam Ośrodek Terapii Ruchowej Ludzi III Wieku, w którym systematycznie prowadzę zajęcia ruchowe włączając w nie studentów ze specjalizacji kinezygerontoprofilaktyki. Przygotowując studentów do pracy w roli animatorów czasu wolnego uświadamiam im, że człowiek stary potrzebuje tak samo uwagi i zainteresowania jak każdy inny. Młodzi ludzie powinni zdawać sobie sprawę, że młodość to bardzo krótki etap życia, po którym znacznie szybciej niż sądzą nadchodzi starość. Włączenie środowiska akademickiego w kontakt z tą grupą społeczną obala tezę, że świat należy do ludzi młodych. Jednak społeczeństwo się starzeje. W naszej kulturze odczuwa się brak szacunku do starości, ceni się urodę i siłę. Szybki wzrost liczby ludzi starszych – spadek śmiertelności ludności i wydłużenie się średniej długości

życia, stawia większe wymagania przed nauką, służbą zdrowia, a przede wszystkim przed ludźmi promującymi zdrowy i aktywny styl życia, do których należą studenci i absolwenci Akademii Wychowania Fizycznego. Spotkania międzypokoleniowe na gruncie kultury fizycznej dają obustronną korzyść zarówno studentom jak i uczestnikom zajęć. Młody człowiek zdobywa doświadczenia. Przekazuje osobom starszym zdrowotne wartości aktywności ruchowej, a także pozytywne postawy wobec starości i ludzi starszych. Ważną sprawą w kontakcie człowieka młodego z ludźmi starszymi jest wyrobienie nowego spojrzenia na ich wartość w społeczeństwie. Istotne jest, by dostrzec wartości w nich samych. Ludzie starsi dysponują przede wszystkim doświadczeniem opartym na wartościach duchowych i moralnych, które we współczesnym świecie zanikają. Osoby złotego wieku z tym bagażem doświadczeń i wiedzą posiadają mądrość życiową, której nie znajdziemy w żadnej książce. Obserwacja i osobiste rozmowy z uczestnikami moich zajęć są najlepszym dowodem na to, że lata spędzane na emeryturze mogą być pogodne i ciekawe. Kierunki studiów w ZWWF w Białej Podlaskiej, a szczególnie Wychowanie Fizyczne oraz Turystyka i Rekreacja przygotowują studentów do specyfiki pracy w dziedzinie czasu wolnego i rekreacji ruchowej – między innymi z ludźmi starszymi. Zorganizowane z mojej inicjatywy zajęcia ruchowe dla osób starszych są sygnałem pozytywnych zmian w zakresie rozumienia potrzeb ludzi trzeciego wieku. Zauważam, iż młodzież akademicka deklaruje pozytywne postawy wobec ludzi starszych, o czym świadczy ich satysfakcja wyniesiona z każdorazowych zajęć w Ośrodku. Jestem przekonana, że taki międzypokoleniowy kontakt dla wielu młodych ludzi jest sprawdzianem samego siebie i mobilizacją do tworzenia w przyszłości warunków dla różnorodnych ofert i propozycji, które starsi, w zależności od potrzeb, mogliby wybrać.

Kształcąc studentów próbuję różnych metod, aby tych młodych ludzi zainteresować organizowaniem kontaktów międzypokoleniowych. Zamierzony cel udaje mi się realizować. Studenci zastanawiają się, od czego zależy godne przeżywanie „jesieni życia”, co mogą zrobić dla ludzi starych w swoim otoczeniu. Jednak jeszcze niewiele przewiduje, że praca ze starszymi może być ich przyszłą pracą zawodową.

Akceptacja starości jest rzeczą trudną, a reakcja na nią zależy, z jakiej perspektywy się na ten okres życia patrzy i jak się go ocenia. Na ogół niechętnie myślimy o starości, ale zwykle chcemy jej dożyć. Podejmowanie więc różnego rodzaju akcji, które mogłyby przyczynić się do poprawy jakości życia człowieka starszego wydaje się być nakazem dzisiejszych czasów.



Ćwiczenia w pozycji wysokiej przy parapecie



Seniorzy w ćwiczeniach w pozycji niskiej



Ćwiczenia z laskami



Zabawy integracyjne

Moje wychowanie w szacunku do nauczycieli, przełożonych i osób starszych znalazło swoje odbicie w działalności na rzecz tej grupy społecznej. Intuicja i jak widać skutki wychowania nie pozwoliły mi beczynn timer czekać – ta grupa wiekowa nie ma czasu na czekanie. Uważam, iż należałoby mocniej włączyć różnorodne środowiska i placówki do szerszych działań na polu nauki i praktyki, tworząc ofertę aktywizacji osób starszych.

Na zakończenie moich refleksji pragnę pogratulować mojej koleżance Teresie Sadowskiej pomysłowi, cierpliwości i wytrwałości w zachęcaniu i prowokacji autorów do podzielenia się swoimi wspomnieniami ze studiów, a także z innych sytuacji związanych z 40-letnią historią Białskiej Uczelni. A swoją drogą mam nadzieję, że mój pomysł pracy z ludźmi starszymi na gruncie kultury fizycznej uaktywni nie jednego absolwenta w tym kierunku.

Danuta Szpilewska-Kowczur
absolwentka 1985



A było to tak...

INFORMACJA o zjeździe znowu mnie zaskoczyła, podobnie jak krótki termin nadsyłania wspomnień; no cóż, spróbujemy w pigułce.

Na studia dostałam się za trzecim razem, koledzy z mojej klasy Andrzej, Antek i Włodek byli już na trzecim roku, na czwartym roku był „Wienius” i dlatego od razu miałam wysoko postawionych kolegów. Na drugim roku była Renatka, siostra mojej serdecznej przyjaciółki, a wszyscy znaleźliśmy się z przed-sionka AWF, tj. klasy sportowej I LO w Tomaszowie, z internatem w Spale. Każdy miał grono swoich kolegów i nagle na uczelni poczułam się u siebie.



Z rocznikiem moim pierwszym bardzo szybko nawiązałam kontakt, ale... były schody w postaci mojej piątki z pierwszego kolokwium z anatomii i to z czaszki; etykietkę kujona miałam przyklejoną, aczkolwiek przez tych, którzy nie wiedzieli, że o 22.00 odpływam w senny niebyt, a światło w moim pokoju świeci się z powodu imprez, a nie mojej długotrwałej nauki.

Oczywiście I rok to sadzenie lasu, bo „Chłopek” lubił przyrodę; to „Takuś” z Zambrowa, który do wszystkich dziewczyn zwracał się słowami: Miła, Piękna, a dopiero po jakimś czasie okazało się, że po prostu nie pamiętał imion, wieczorem krzyczał: „DOBRANOC, KOCHANKI WY MOJE”, a rano: „TLE-NU”!!! (z okien bloku B), to chyba po tych sennych ekscesach. Najbardziej zbliżył i zintegrował nas obóz żeglarski. Przez trzy tygodnie bajeczna pogoda, spanie w wojskowym namiocie, pływanie, żagle, ogniska i kajaki.

Po wakacjach zamieszkałam w nowym, stałym składzie Krasnystaw: Gocha i Ewa, i Danka z Radomia, a później: „Mała” z Kraśnika, no i stała dochodząca – „Rege”, z którą w Piszcu spałyśmy koło siebie i śniłyśmy wspólny sen, a po obozie zimowym mówiłyśmy równocześnie jednym głosem (po studiach „przejęłam” jej nazwisko wychodząc za mąż za jej brata, chyba takie fatum. Mieszkałyśmy w 115 A, tuż przy schodach, magiczny pokój, tramwaj, drzwi nie zamykały się. Znałam cały repertuar zespołu Podlasie, bo po każdym koncercie mieszkanki i zaprzyjaźnieni „artyści” wpadali do nas i śpiewali cudnie i porywająco.

Tu nie sposób nie wspomnieć o stałych bywalcach: Lesiu, który zostawiał u nas na przechowanie całe pęta kielbasy, a w czasach głodu zdobywał na piętrze jajka na naleśniki, o Tomku, który sprzedawał rower, kupił samochód i dowożąc nas na basen, sprawdzał naszą wagę, żeby nas nie pogubić przez niezbyt pewną podłogę (jezdnią prześwitywała), Jędrku z blond czupryną, nie-



bieskimi oczami, który przychodził do nas obowiązkowo raz dziennie i potrafił robić na drutach(!!!), o Stasiu – ciężarowcu, mierzącym 160 cm o poranku; to właśnie on był KRULEM otrzęsin (taki napis miał na czole), które organizował nasz rocznik, królową była Krynica o wzroście 196 cm, z pomalowanymi flamastrami na nogach kabaretkami, o Piotruku, który przywoził najbardziej pachnący na świecie chleb, masło i miód, o Basi z Terespoli, która motywowała nas do najbardziej szalonych przedsięwzięć: klepsydra jako zawiadomienie o pokazach gimnastycznych, wymiana proporczyków na meczach w koszykówkę, na tych meczach mieliśmy najbardziej zorganizowany klub kibica i najbardziej zdewastowany sprzęt gospodarstwa domowego, o Mariolce z bajkowymi oczyma, o Wiesiu z Łukowa z zawadiackim wąsikiem, o Mirku z Kraśnika, z którym tańczyło się przecudnie, o „Puzonie” z młodszego roku, który nie musiał kończyć dowcipu, a my już leżałyśmy pokotem ze śmiechu, o ...przecież musiałabym wymienić całe mnóstwo imion i przytoczyć setki historyjek, którymi do dziś przerzucamy się przy każdym spotkaniu.

O tym, że Aneczki z Wisznic w zaprzyjaźnionym pokoju 114, Wiola i Ala nie dopuszczały do gotowania (ja bym się cieszyła), o tym jak Waldemar, kiedy raz zabłądziłam na blok C, odgarnął troszeczkę resztki igliwia choinkowego (była wiosna), zrobił mi „herbię” i do cukru podał mi łyżeczkę, którą ukrywał w garniturze egzaminacyjnym, jako że była to jedyna czysta łyżeczka na specjalne okazje, o dwóch „Prezesach”, postawnych blondasach, którzy kiedyś, nie pamiętam dlaczego, trenowali z podziałem na role „rozmowę liryczną” Gałczyńskiego: „Powiedz mi jak mnie kochasz”?, o paniach z akwarium, które widziały wszystko, a wiedziały jeszcze więcej, o filmie szkoleniowym na wojsku pt. „Czterej pancerni i pies”, o balu piżamowym w „Mecie”, o tym, że o określonej, wieczornej godzinie, czytałam „Zapiski striptizerki”, żeby zapewnić słuchaczy radiowęzłowi, o tym jak „Rege” zapomniała obuwia na obronę pracy magisterskiej i dziwne, bardzo dziwne buty, które znalazłyśmy w akademiku, malowałyśmy czarnym mazakiem, żeby pasowały do całości stroju, o komisie z anatomii Gochy, po którym rąbnęła w plecy asystenta z okrzykiem: „no, zdałam!” i pobięła rąco do 115, żeby drzeć i palić anatomiczne zapiski, o portreciku naszej Ewy, który pojawił się w jej posiadaniu w dość dramatycznych okolicznościach, a później służył naszej artystycznej wyobraźni i Ewa pojawiała się na nim albo w bereciku, albo z owłosieniem bardzo rozległym, z papierochem, z flaszeczką albo i z miotłką, co tam kto chciał. Masz Ewa jeszcze ten portret, prawda? Jak Cię znam, to czyściutki i wypucowany. O pytaniu zadanym przez mgra Siejęw na piłce ręcznej: „Jaki powinien być bramkarz”? (chodziło o odwagę), a tu żeńska grupa marzycielsko: „Wysoki, przystojny, sympatyczny”... O wyjeździe na narty, kwatery załatwiała nam nasza góralka Ola i piwo w butelkach, którego nie było, więc do transportu tegoż służył nam kosz-wiaderko, zupełnie nowy, ale nie z tym przeznaczeniem, pozostawiony przez gospodarzy; o wędrownkach, w moim przypadku rowero-

wych, na które wybrałam się na składaczku pożyczonym od Joli (dziękuję raz jeszcze) i pewnie bym gdzieś dyrdała na końcu, gdyby nie Tomek, ale w momencie, gdy biedna Wiola wylądowała z atakiem wyrostka robaczkowego w Parczewie, nasza grupa skrupulatnie podzieliła się dobrami, zostawionymi przez nią, ja wzięłam rower Ukrainę. Na tych wędrówkach „Boniek” wstawał rano, pędził do lusterka i mówił: „Boże, czemuś mnie stworzył takim pięknym?”, Jędrzek jechał z mapą, Lesio miał kłopot z rozstawieniem namiotu, a każdą sytuację ratowała mgr Zenia Bednarczuk z torbą raportówką milicyjną, pożyczoną od męża; o meczu w piłkę nożną, na którym wystąpiłyśmy w wiejskich chuścinach i spódnicach ostentacyjnie zdjętych w trakcie meczu, odość !!!!, bo nigdy nie skończę, Przepraszam, że nie o wszystkich tu piszę, po prostu MUSZĘ napisać książkę, bo inaczej się nie da.



Najbardziej z prowadzących zapamiętałam mgra Adolfa Mironiuka, który za każdym razem miał mi coś miłego do powiedzenia, a często przewijał się tekst: „Ja to pewnie jak ten nietoperz: nie widzi, nie słyszy, a się czepia”. Oczywiście traumatyczne przeżycie na I roku to anatomia, zupełnie w innym stylu do zapamiętania niż biologia: egzaminacyjne bukiety, zapachy i biżuteria, natchniona pani mgr Sławomira na psychologii, gimnastyka na fantastycznym poziomie prowadzona przez panią mgr Kwiecińską, w ogóle poziom zajęć praktycznych na naszej uczelni był bardzo wysoki, a teoria – no cóż, tylko od nas zależało ile zechcemy pozostawić w głowach, a ile tylko załatwić trzema Z: zakuć, zaliczyć, zapomnieć.

Studia przygotowały mnie do pracy. Jestem od 24 lat nauczycielką, ale ten czas nieodmiennie kojarzy mi się z ludźmi, których tam spotkałam, poznałam i pokochałam na całe życie.

Z niektórymi do dziś utrzymuję kontakt, innych spotykam na chwilę i zaczynamy rozmawiać, jakby te lata przerwy nie istniały. Teraźniejsza uczelnia, piękna i nowoczesna, to już inni ludzie, ale mam nadzieję, że studiowanie dla nich to równie piękna przygoda, jak ta, która była udziałem naszego rocznika.

ANEMIA

Anemia, to przezwisko, które przyłgnęło do mnie na długie lata, córka „Rege” – Karolina bardzo długo myślała, że to takie imię, pieszczotliwie brzmiało Anemia, a najbardziej dokuczliwe było w momencie, kiedy na obozach, na stoku nieznanie dzieci krzyczały do mnie Anemik.

Paweł Różański
Absolwent 1994



Ciągle mi mało...

URODZIŁEM się 13. 02. 1971 w Brzegu Dolnym, na Dolnym Śląsku (znak zodiaku: Wodnik). Pierwsze osiem lat życia spędziłem w Lubiążu, na obszarze Dolnego Śląska. Po ukończeniu drugiej klasy szkoły podstawowej przeprowadziłem się z rodzicami i moimi braćmi do Piotrkowa Kujawskiego, następnie do Sieniawki w Sudetach, po 2 latach na Pomorze, do Świecia nad Wisłą. Okres studiów i dalsze życie zawodowe spędziłem na Podlasiu, w Białej Podlaskiej. Częste przeprowadzki w okresie młodości związane były ze zmianą pracy rodziców, którzy byli zatrudniani w placówce zdrowia. Mój ojciec był z wykształcenia nauczycielem, specjalność pedagogika specjalna. Zajmował się młodymi osobami uzależnionymi od narkotyków, alkoholu. Ponadto przez wiele lat, jako nauczyciel pracował z młodzieżą niedostosowaną społecznie oraz dziećmi upośledzonymi psychomotorycznie w stopniu ciężkim. Mama natomiast była z wykształcenia pielęgniarką dyplomowaną i pracowała na oddziałach żeńskich z osobami upośledzonymi psychicznie. Już podczas edukacji w szkole podstawowej nigdy nie mogłem znieść monotonii i stagnacji. Ciągle mnie coś inspirowało, pchało do uczestnictwa w różnych kołach zainteresowań, zrzeszeniach itd. Systematycznie działałem w kołach: ornitologicznym, historycznym, w Lidze Morskiej, Lidze Obrony Kraju, ZHP. W Świeciu n/Wisłą, gdy rozpoczynałem naukę w liceum ogólnokształcącym o profilu biologiczno-chemicznym miałem możliwość rozwijania swoich zainteresowań. Podczas nauki w szkole średniej działałem w kole strzeleckim oraz należałem do chóru szkolnego. Ponadto regularnie „wymigiwałem się” od nauki reprezentując szkołę w rozmaitych zawodach sportowych: Sprawni jak Żołnierze, medyczno-sanitarnych, przysposobienia obronnego oraz biegach przełajowych na szczeblu wojewódzkim, piłce ręcznej, siatkówce i pływaniu. Potrzeby finansowe, jakie pojawiały się systematycznie podczas nauki w LO, a także chęć przeżycia przygody inspirowały mnie do podjęcia pracy sezonowej na budowie w Czechosłowacji. Miesięczna praca przy młotach pneumatycznych, kilofach, betoniarkach i dźwigach szybko uczyła szacunku dla ludzkiej pracy, a zwłaszcza szanowania i oszczędzania ciężko zarobionych czeskich koron. Naukę w szkole średniej ukończyłem w 1990 roku, zdając egzamin dojrzałości jako przeciętny uczeń. W ostatnim roku edukacji w szkole średniej podjąłem decyzję złożenia dokumentów do: AWF [IWFis] w Białej Podlaskiej i w tym samym czasie do Akademii Mary-

narki Wojennej w Gdyni. Powodem takiej decyzji było zabezpieczenie się przed ewentualną porażką na egzaminach wstępnych. W przypadku szkoły wojskowej natomiast wcześniej musiałem przejść szereg specjalistycznych, wojskowych badań kwalifikacyjnych w Grudziądzu, potwierdzających zdolność do służenia na okrętach podwodnych. Egzaminy do IWFIS odbywały się tydzień wcześniej, na jedno miejsce startowało ponad 7 kandydatów. Szanse zdania na AWF raczej marne, ale chciałem spróbować. Nie wierzyłem, że się zakwalifikuję. Przygotowany byłem na zdawanie egzaminów do Marynarki Wojennej. Jednak niespodzianką i zupełnym zaskoczeniem było uzyskanie punktów kwalifikujących mnie na I rok studiów, na kierunku wychowanie fizyczne. Na 48 pkt. wymaganych do zakwalifikowania, uzyskałem aż 54. W tym samym czasie w AWF w Warszawie oraz w AWF Gdańsk były prowadzone kolejne nabory. Tak więc zrezygnowałem ze szkoły wojskowej, skupiłem się na tym, co już osiągnąłem. Przez wakacje, aby zdobyć finanse na studia podjąłem się sezonowej pracy na kutrze rybackim w Piaskach k. Krynicy Morskiej. Był to pierwszy epizod podjęcia pracy fizycznej w celu zarobienia pieniędzy na własne wykształcenie, bez obciążania rodziców. Oprócz mnie rodzice starali się jeszcze zapewnić finanse na naukę jeszcze dwóm braciom, co z łącznej pensji nauczyciela i pracownika służby zdrowia nie było łatwe. Edukacja w Filii AWF Warszawa trwała 4 lata (1990-1994). W trakcie nauki na I roku warte wspomnień są refleksje związane z trudną do zaliczenia anatomią.



Pierwszy dzień wiosny na I roku studiów

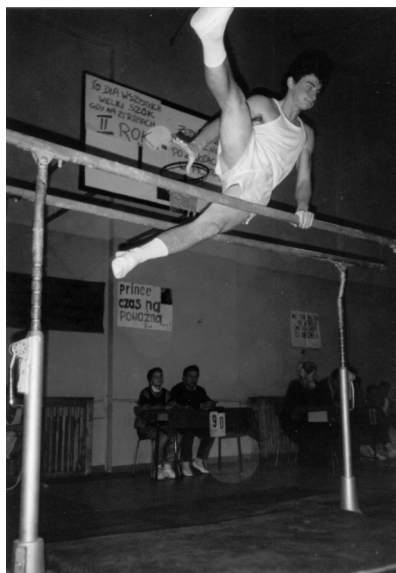
Pani mgr Tarasiuk była bardzo wymagająca. Już tydzień wcześniej zabierałem się do nauki nowych zagadnień, aby nie mieć zaległości. Dzięki temu nie miałem problemu z zaliczeniami, chociaż orłem z nauki o człowieku nie byłem. Wyzwaniem były także poranne wyjazdy autobusami MPK na pływalnię do Białawy oraz zajęcia z zapasów bezpośrednio po obiedzie. Mieszkanie w akademiku miało jeden plus – było stosunkowo tanie i blisko uczelni. Na początku każdego miesiąca, gdy była gotówka z domu, priorytetem było wykupienie posiłków. W związku z tym, że do domu miałem ponad 500 km, byłem u rodziców dosyć sporadycznym gościem. Często zostawałem na weekendy w akademiku, a z nudów wiele czasu spędzałem w czytelni, przygotowując się do zajęć w kolejnym tygodniu. Miło wspominać kontakty w czytelni ze śp. P. Teresą Krasuską, która wyszukiwała mi różne książki, a czasami pożyczała je na noc, gdy nie zdążyłem odrobić lekcji. Po wielu latach [2010 r.] po raz ostatni spotkałem P. Teresę, gdy byłem na praktykach w pogotowiu ratunkowym. Podczas dyżuru dostaliśmy wezwanie do osłabionej kobiety. Okazało się, że przyjechałem do P. Teresy. Była wychudzona, schorowana, ale jak zwykle czysta, uczesana i zadbana. Podczas wizyty od razu mnie rozpoznała pytając: „a ty Pawełku co tu robisz?” Ja odpowiedziałem: „znowu się uczę Pani Tereso”. A ona na to: „ty, pan doktor i dalej się uczysz? Bardzo fajnie....” Potem zabraliśmy P. Teresę do ambulansu i zawieźliśmy na Izbę Przyjęć do szpitala. Po drodze złapała mnie za rękę, popatrzyła w oczy i wyszeptowała spokojnie: „Wiesz, chyba ja umieram...” uczono mnie, że chorego trzeba podtrzymywać na duchu, tym bardziej jeśli dobrze wygląda, więc odpowiedziałem: „Dobrze się Pani trzyma, zrobią Pani podstawowe badania i za kilka dni wypiszą do domu”... Po trzech dniach, z nekrologu na drzwiach AWF dowiedziałem się o śmierci Pani Teresy. Okazało się, że po kilku godzinach pobytu w szpitalu zmarła. I wtedy uzmysłowiłem sobie, że... „nigdy nie wiemy, kogo widzimy po raz ostatni...”

Wracając do studiów, generalnie na I roku miałem sporo nauki, większość kolegów miała jakieś poprawki, dodatkowe zaliczenia. Jeszcze przed studiami, w szkole podstawowej i LO [przez ponad 10 lat] pasjonowałem się piłką ręczną, grałem na pozycji rozgrywającego. Po rozpoczęciu studiów natychmiast zgłosiłem na treningi piłki ręcznej w AZS. Jednak szybko stwierdziłem, że nie ma tam dla mnie miejsca. Trener postawił mnie na bramce, mimo że nie miałem do tego predyspozycji fizycznych, a poza tym byłem 4-tym bramkarzem. Na karierę



Kurs pletwonurków II rok studiów

sportową w zasadzie nie było szans. Skorzystałem tyle, że chodziłem systematycznie na treningi, przez co miałem całkiem niezłą kondycję. Po roku jednak zrezygnowałem z treningów, a zainteresowania skierowałem na pływanie i ratownictwo wodne. Cały wolny czas spędzałem w wodzie, pracując z dziećmi, ucząc ich pływania. Ponadto sam zdobywałem kolejne umiejętności: ratownicze, nurkowe, motorowodne i żeglarskie. Po roku odbyłem obóz wędrowny żeglarski z mgr. Januszem Wyciszkieviczem – bardzo miłe wspominał ten rejs szkoleniowy po Mazurach. Na II roku studiów miałem więcej czasu wolnego więc mogłem podjąć dorywczą pracę zarobkową. Stypendium socjalne (w przeliczeniu na obecne pieniądze wynosiło ok. 50 zł) i nie wystarczało na pokrycie podstawowych opłat za DS oraz wyżywienie. Otrzymywane z domu pieniądze pokrywały część opłat socjalno-bytowych, na zakup książek, wyjścia do kina, nowy sprzęt sportowy (np. dresy) starałem się dorobić sam. Wówczas prawdziwym przyjacielem okazał się dr Michał Bajbak, który domyślał się jakiego typu mam problemy i często załatwiał mi różne prace dorywcze: rozładunki tirów, prace konserwacyjne, sprzątanie, zastępstwa w pracy z dziećmi na pływalni, prywatne lekcje z nauczania pływania itd. Kolejnym punktem zwrotnym była możliwość otrzymania pieniędzy za naukę; w postaci stypendium naukowego. I udało mi się to zrealizować po II roku. Za wyniki w nauce otrzymywałem stypendium, które odbierałem już do końca studiów. W trakcie edukacji w AWF, już po I roku zdobyłem uprawnienia ratownicze dzięki czemu mogłem w kolejnych sezonach wakacyjnych podejmować pracę na koloniach i obozach z dziećmi. Tak też w 1991 roku rozpoczęła się pierwsza moja przygoda z pracą na koloniach, organizowanych przez Komendę Stołeczną Policji w Warszawie. Zatrudniany byłem jako ratownik, instruktor sportu i KO, a w późniejszych latach jako wychowawca. Po 3 latach pracy z dziećmi, zdobyciu doświadczenia, odpowiednich kwalifikacji a zwłaszcza zaufania dzieci oraz ich rodziców w okresie zimowym pracowałem jako instruktor narciarski. Praca z dziećmi dawała dużo satysfakcji, mogłem się w niej zrealizować. Podczas studiowania, pod okiem mgr. S. Bytysa, mgr. J. Żbikowskiego oraz mgr. J. Starzyńskiego prowadziłem zajęcia na nowo wybudowanej przy AWF pływalni. Przez ostatnie 2 lata studiów byłem tak częstym „gościem” na pływalni, że śp. Michał Bajbak, gdy mnie widział, śmiejąc się mówił: „ja tobie tu jakąś kozetkę załatwię na stałe, abyś nie musiał



Zawody gimnastyczne



Praca i zabawa z dziećmi na koloniach



Pływanie korekcyjne w Centrum Korektywy



Specjalizacja z korektywy

chodzić spać do akademika”. Na IV roku studiów, podczas udziału w specjalizacji z korektywy dostrzegła moje podejście do dzieci oraz zaangażowanie w pracy pani dr K. Górniak. W lutym 1994 roku zapytała, czy chciałbym zostać i podjąć pracę w uczelni. Motywowany podjęciem pracy w AWF oraz tym, że będę mógł pracować na pływalni specjalizując się w pływaniu leczniczym, już 25.05.1994 r., jako pierwszy magistrant na roku obroniłem pracę magisterską, pisaną z zakresu Resuscytacji Krążeniowo-Oddechowej. W połowie września zostałem zatrudniony w AWF na stanowisku asystenta w Zakładzie Korektywy. I tak się zaczęła moja przygoda z naszą Uczelnią, która trwa do dnia dzisiejszego. Oferta pracy Pani dr K. Górniak sprzyjała realizacji moich marzeń – pracy na pływalni, z zakresu pływania korekcyjnego. Uczelnię skończyłem z wyróżnieniem, za osiągnięcia w nauce otrzymałem z rąk prof. R. Trześniowskiego medal im. Zygmunta Gilewicza. Od połowy września (mimo pewnych, wcześniejszych nieporozumień formalnych) ostatecznie od 16. 09. 1994 roku byłem pracownikiem AWF. Momentem przełomowym jeśli chodzi o zatrudnienie była decyzja dziekana J. Sadowskiego oraz jego słowa, które utkwiły mi w pamięci. Gdy pojawiłem się w gabinecie dziekana z zapytaniem, czy jest dla mnie praca w uczelni, dziekan z uśmiechem powiedział: „Paweł, dla ciebie zawsze tu się znajdzie praca...” po czym wziął słuchawkę i dwoma telefonami załatwił wszelkie formalności. Podczas studiowania zdobyłem upraw-



Otrzymanie medalu im Zygmunta Gilewicza z rąk prof. Trzeźniowskiego

nienia instruktorskie z: pływania, piłki ręcznej, gimnastyki, ratownika WOPR, sternika motorowodnego, żeglarza jachtowego, pływonurka. Jak to się potocznie mówi: „nie osiadłem na laurach”, bo już w 1995 roku zdałem egzaminy wstępne do AWF w Warszawie na studia doktoranckie. Promotorstwa mojej pracy podjął się prof. A. Ronikier – dzięki staraniom p. dziekana J. Sadowskiego i p. dr K. Górniak. W trakcie studiów zdobywałem kolejne doświadczenia zawodowe, pracowałem w Pierwszej Społecznej Szkole Podstawowej w Białej Podlaskiej ucząc pływania i prowadząc zajęcia korekcyjne. W Centrum Korekcji Wad Postawy zajmowałem się pływaniem leczniczym, a w Szkole Podstawowej nr 2 w Białej Podlaskiej prowadziłem przez pół roku zajęcia z wf. Na co dzień pracowałem na pływalni ucząc dzieci pływania oraz korygując ich wady postawy.



Spotkanie inauguracyjne z Rektorem Krawczykiem podczas wręczenia dyplomu ukończenia AWF

Coraz częściej pojawiali się indywidualnie rodzice z prośbą o korygowanie skolioz w wodzie, usprawnianie dzieci z mózgowym porażeniem dziecięcym, a także przepuklin oponowo-rdzeniowych. W takcie pracy w Zakładzie Korektywy usprawniałem korekcyjnie przedszkolaki w 3 pobliskich, zaprzyjaźnionych z AWF bialskich przedszkolach. W 1995 roku systematycznie, co 2-3 tygodnie jeździłem do Warszawy na Wydział Rehabilitacji, na konsultacje doktorskie z promotorem. W tym też czasie, za namową p. dr K. Górniak zaczęła się moja wieloletnia współpraca ze środowiskiem inwalidów i osób niepełnosprawnych w Spółdzielni Inwalidów „ELREMET” oraz Warsztatach Terapii Zajęciowej, która trwa do dnia dzisiejszego. Z osobami niepełnosprawnymi corocznie organizuję Majówki wśród Przyjaciół oraz inne imprezy sportowo-rekreacyjne, do organizacji których angażuję naszych studentów z kierunku fizjoterapia. Po pięciu latach edukacji na wydziale rehabilitacji obroniłem (2000 r.) pracę doktorską otrzymując tytuł doktora nauk o kulturze fizycznej w zakresie rehabilitacji ruchowej. Rok po obronie pracy doktorskiej otrzymałem propozycję objęcia kierownictwa Zakładu Gier Ruchowych i Rekreacyjnych. Awans zawodowy oraz odejście z Zakładu Korektywy wymusiły pewne zmiany w dotychczasowej działalności naukowej, organizacyjnej i zawodowej. Przebrażowiłem się ukierunkowując swoje zainteresowania na działania



Uczestnicy koła survivalowego podczas szkolenia w Serpelicach



Nocne zajęcia survivalowe studentów AWF

ratownicze, medyczne i szkolenia ekstremalne. Efektem tego były kolejne etapy doskonalenia warsztatu nauczyciela. W 2003 roku uczestniczyłem w Kursie Instruktorskim z survivalu w Warszawie. Po jego zakończeniu w 2003 roku założyłem w Uczelni Survivalowe Koło Naukowe S.O.S. „KNAR” zrzeszające studentów AWF, zainteresowanych szkoleniami w warunkach ekstremalnych. Przychylność władz ZWWF sprzyjało wdrażaniu nowatorskich działań naukowych, dydaktycznych i zawodowych. Dzięki czemu, już jako młody pracownik, zdobyłem wiele ważnych uprawnień: trenera pływania, instruktora samoobrony, instruktora ratownictwa, ratownika kwalifikowanej pierwszej pomocy. Nie bez znaczenia dla doskonalenia zawodowego była zgoda dziekana J. Sadowskiego, m.in. na: odbycie pustynnego szkolenia instruktorskiego na Saharze, survivalowego szkolenia letniego w Rydze czy udział w zimowym obozie narciarskim na Łotwie. Pewne przeżycia ekstremalne miały wpływ na kolejne decyzje i zmiany w podejmowanych działaniach szkoleniowo-zawodowych. Na przykład w 2002 roku przez Pisz przeszła gwałtowna burza, która zniszczyła ośrodek AWF. Owe zdarzenie wpłynęło na moją decyzję poświęcenia czasu na kolejne szkolenie dotyczące aspektów bezpieczeństwa, udzielaniu pierwszej pomocy oraz zasad działania podczas katastrof. W związku



Szkolenie survivalowe na Saharze wraz z studentami AWF

z tym, pod koniec września 2002 r. zgłosiłem się na 5 dniowe szkolenie z Organizacji Pomocy w Wypadkach Masowych i Katastrofach. Szkolenie tego typu sprzyjało nie tylko poznaniu strategii działań ratowniczych w warunkach ekstremalnych, ale również nauczyło zasad racjonalnego działania jak to miało miejsce w późniejszym czasie podczas poszukiwania zwłok topielca na żwirowni w Chotyłowie, zachowania się podczas reanimacji wisielca czy choćby wyjścia bez szwanku z własnego wypadku samochodowego. Kolejne szkolenia dotyczyły zaawansowanych technik ratowania życia w wodzie. Tematyka, a tym samym osiągnięcia w dziedzinie ratowniczej coraz więcej pochłaniały czasu, ale również procentowały kolejnymi kwalifikacjami zawodowymi w tej dziedzinie. W międzyczasie odbyłem kurs na Starszego Ratownika WOPR, następnie Instruktora WOPR (szkolenia centralne w Tamie). Aby zdobyć najwyższe uprawnienie ratownicze w Polsce: Instruktora Wykładowcy WOPR musiałem uczestniczyć w specjalnych szkoleniach certyfikowanych WOPR: ratownictwo powodziowe, SAR na morzu, szkolenie skuterowe i na łodziach hybrydowych, Kwalifikowanej Pierwszej Pomocy (KPP). Po otrzymaniu nominacji na stopień Instruktora Wykładowcy WOPR (jest obecnie tylko ok. 30 czynnych instruktorów w Polsce!), otrzymałem propozycje z Zarządu Głównego WOPR kierowania Szkoleniami Centralnymi WOPR w Tamie k/Rajrodu.



Szkolenie SAR na morzu

Z biegiem czasu jak bumerang wróciły marzenia ze szkoły średniej. W 2007 roku dzięki staraniom własnym i przychylności dziekana prof. J. Sadowskiego zostałem oddelegowany na 3-miesięczny staż szkoleniowo-dydaktyczny w Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, gdzie zajmując się szkoleniem podchorążych MW z zakresu ratownictwa, pływania użytkowego i survivalu nawiązałem wiele cennych kontaktów, prowadziłem badania naukowe na podoficerach oraz poznałem specyfikę szkolenia formacji wojskowych. Uwieńczeniem tego przedsięwzięcia, oprócz publikacji z zakresu ratownictwa i survivalu, było powołanie na początku 2010 roku nowej specjalności w białskim AWF: Służby Mundurowe. Podczas pobytu w Marynarce Wojennej szkoliłem pletwonurków bojowych z zakresu ratownictwa ekstremal-



*Staż w Akademii Marynarki
Wojennej w Gdyni*



Pamiątka z zanurzenia na Okręcie Podwodnym

nego, pierwszej pomocy, przetrwania w wodzie, za co w zamian mogłem uczestniczyć w ich szkoleniach specjalnych jak np.: wyrzucanie awaryjne poprzez wyrzutnie torped, wyjście z zatopionego Okrętu Podwodnego, nurkowania w warunkach ekstremalnych oraz uwalniania się z uprząży spadochronu w wodzie. Za prowadzenie szkoleń pletwonurków otrzymałem od Komendanta Ośrodka Szkolenia Nurków i Pletwonurków Wojska Polskiego medal uznania. Kolejne inicjatywy i prowadzone szkolenia dla Dywizjonu Okrętów Podwodnych i Raketowych sprzyjały tym, że wyszedłem w morze, w rejs bojowy na największym, niewykrywalnym okręcie podwodnym ORP „Orzeł”, gdzie przez tydzień pełniłem obowiązki członka załogi, zabezpieczając ratowniczo i medycznie 60 osobową załogę okrętu. Kolejnym krokiem były przygotowania sprawnościowe do udziału w selekcji do JW. 4026 – Morskie Siły Specjalne Marynarki Wojennej – FORMOZY, o czym wiedział tylko dziekan prof. J Sadowski wyrażając zgodę na udział w niej. Selekcja była wyzwaniem i zarazem dowodem, że mimo wieku (38 lat w chwili startu), dzięki wcześniejszemu, studenckiemu przygotowaniu w AWF, byłem w stanie rywalizować z zawodowymi, o wiele lat młodszymi, najlepszymi żołnierzami WP. Przebywając w środowisku zawodowych żołnierzy podczas szkoleń zdobywałem kolejne doświadczenia w zakresie ratownictwa na śmigłowcach Marynarki Wojennej, zakończonego otrzymaniem certyfikatu uprawniającego do przebywania na pokładzie śmigłowców.



Szkolenie śmigłowcowe w Marynarce Wojennej



Ćwiczenia podczas zajęć na studiach z Ratownictwa Medycznego



Dydaktyka na obozie szkoleniowym AWF w Rybitwach k. Pizsa

Chcąc poznać tajniki udzielania pierwszej pomocy z zakresu podstaw medycznych, w 2008 roku podjąłem studia dzienne w Państwowej Szkole Wyższej w Białej Podlaskiej na kierunku Ratownictwo Medyczne o specjalności Lotnicze Pogotowie Ratunkowe. Praktyki w Szpitalnym Oddziale Ratunkowym [SOR] w ramach szkoleń z zakresu Ratownictwa Medycznego, w Straży Pożarnej, Pogotowiu Ratunkowym – jako członek zespołu ratunkowego w karetce pogotowia przyczyniły się do tego, że problematyka ratowania ludzkiego życia stała się jeszcze bardziej mi bliska. W chwili obecnej jestem autorem ponad 60 publikacji z zakresu: korekcji wad postawy, zdrowia publicznego, pływania i ratownictwa wodnego, survivalu, nurkowania, profilaktyki wypadkowej i bezpieczeństwa dzieci. Od 2009 jestem również członkiem Towarzystwa Medycyny i Techniki Hiperbarycznej w Gdyni. Do chwili obecnej prowadziłem zajęcia z przedmiotów: korektywy, pływania i ratownictwa wodnego, gier i zabaw ruchowych, narciarstwa zjazdowego, kajakerstwa, gier i zabaw osób niepełnosprawnych, BHP, pływania leczniczego, usprawniania ruchowego oraz survivalu. Kiedy podejmowałem decyzję o pozostaniu na stałe w Białej Podlaskiej ważnym wydarzeniem było poznanie mojej żony Doroty, z którą mam dwoje dzieci: córkę Dianę oraz syna Szymona. Żonę poznałem w pierwszym roku mojej pracy na uczelni, podczas prowadzenia zajęć z pły-

wania i ratownictwa na obozie letnim w Rybitwach k/Pisza. Dziś jest 13 września 2010 r. – 16 rok pracy w AWF. Do chwili obecnej minęło już 20 lat, kiedy to po raz pierwszy na dworcu PKP zawitałem w Białej Podlaskiej, mając ze sobą jedną torbę podróżną, w której mieścił się cały mój dobytek. Zastanawiałem się: co dalej, czy sobie poradzę, czy dobrze postępuję wyjeżdżając tak daleko od rodzinnego domu?...

Obecnie mam rodzinę, własny dom, dwoje dzieci, dobrą pracę, wielu życiowych przyjaciół, perspektywy na przyszłość, wiele możliwości zarobkowania, w międzyczasie zasadziłem swoje pierwsze drzewo... czuję się spełnionym i szczęśliwym człowiekiem.



Paweł z żoną Dorotą – pracownicy AWF w Białej Podlaskiej

Mariusz Świerk
absolwent 1995



Wspomnienia

POWRÓT do wspomnień z czasów studiów w białskiej Akademii Wychowania Fizycznego do dziś wywołuje we mnie wiele pozytywnych emocji. Już sam fakt znalezienia się wśród słuchaczy na kierunku wychowania fizycznego odbierałem z dumą i myślą, iż stoję przed szansą realizacji marzeń związanych ze sportowym aspektem mojego życia. Studio wałem w systemie zaocznym i każdy zjazd był przede mną bardzo oczekiwany. Wykłady w aulach nadawały powagi, zaś zajęcia praktyczne na profesjonalnych obiektach sportowych sprawiały, iż moje zmysły wyostrzały się będąc przygotowane do odbioru informacji, które z kolei wzbogacały mój warsztat zawodowy. Zjazdy dawały możliwość oderwania się od codzienności i poznania smaku życia akademickiego, jak również do spotkań z kumplami z czasów studium nauczycielskiego. To było tak, jakbym nagle przenosił się w czasie do innego wymiaru, z którego wracałem odmieniony i naładowany nową energią do pracy w szkole. Atmosfera na uczelni i wiedza, którą otrzymałem sprawiły, że do dziś jestem przekonany o słuszności wyboru, jakiego dokonałem przed laty przystępując do egzaminów na AWF w Białej Podlaskiej. Okres nauki w szkole podstawowej to czas włóczęgostwa po boiskach szkolnych i osiedlowych, szkoła średnia zamieniła się w sport przez większe „S” zasiewając w głowie pierwsze myśli o wyborze zawodu, który przedłużyłby moje zamiłowanie do ruchu. Z kolei Studium Nauczycielskie otworzyło furtkę do spełnienia marzeń, które stały się faktem w chwili otrzymania dyplomu nauczyciela wychowania fizycznego na „Mojej Uczelni”. Dziś wiem, że klimat, jaki panował w murach białskiej AWF sprawił, iż moje marzenia przerodziły się w chęć dążenia do doskonałości zawodowej. Od kilku lat ponownie mam możliwość obcowania z klimatem „Mojej Uczelni” uczestnicząc w konferencjach organizowanych na jej obiektach. Zmiany urbanistyczne jak również rozwój nowych kierunków potwierdzają opinię o „Białej”, która głosiła, iż jest to uczelnia ambitna i dążąca do doskonałości. Osobiście jestem dumny z faktu, iż mogłem spędzić tu wiele, nie tylko radosnych, ale i trudnych chwil związanych z sesjami. Dziś jest to jedna z najlepszych uczelni sportowych w naszym kraju. Zaś jej kameralność i standard stawiają ją w czołówce tego typu uczelni w Europie.

Ps. Życzę Wszystkim obecnie studiującym, by okres spędzony w AWF, był czasem, do którego po latach będziecie chętnie powracali. Wykładowcom

i pracownikom uczelni życzę zdrowia i wytrwałości w dalszym rozwoju „Naszej Szkoły”.

Koszykówka – moja przygoda z koszykówką rozpoczęła się na białskiej uczelni. Wcześniej poznałem podstawy będąc słuchaczem Studium w Siedlcach, ale zajęcia na uczelni sprawiły, że moje zainteresowanie wzrosło na tyle, że w szkole rozpocząłem tworzyć zespół, odsuwając piłkę nożną na dalszy plan. Po skończeniu studiów magisterskich rozpocząłem na gdańskim AWF, studia podyplomowe, które nie tylko poszerzyły moje wiadomości, ale również dały mi tytuł trenera. Po kilku latach solidnej pracy z zespołami młodzieżowymi doczekałem się pierwszych sukcesów (v-ce Mistrzostwo Polski w mini koszykówce Kutno 1999, zwycięstwo w Euro Junes Calais (Francja 1999), Mistrzostwo Polski Młodziczek Gdynia 2000, v-ce Mistrzostwo Polski Kadetek Brzeg 2001, Mistrzostwo Polski Kadetek Gorzów Wlkp. 2002.

Łącznie wygrałem dotychczas z kilkoma zespołami 38 turniejów rangi ogólnopolskiej i 6 rangi międzynarodowej. Po tych sukcesach przyszła propozycja pracy w SMS Polskiego Związku Koszykówki i praca z Kadrami U-18 (rocznik 1986), praca w PLKK z zespołami Szkoły Mistrzostwa Sportowego PZKosz i „Elita” Wołomin. Ostatni medal to III miejsce na Mistrzostwach Polski Kadr Wojewódzkich z kadrą Mazowska.





Powrót do „Mojej” uczelni nastąpił po kilku latach, gdy już mój dorobek trenerski był bogatszy. Pierwsze przyjazdy towarzyszyły konferencjom, na które zjeżdżała się cała śmietanka trenerska. Konferencje w Białej Podlaskiej do dziś wspominane są jako jedne z najlepiej zorganizowanych. Następnie miałem przyjemność prowadzić dwukrotnie obozy młodzieżowe, też na obiektach AWF w Białej Podlaskiej, a od 2 lat wracam do „Mojej Uczelni” już jako trener dzielący się wiedzą ze studentami i trenerami z tego regionu Polski. Tak więc mam wszelkie podstawy, by nazywać AWF w Białej Podlaskiej „Moją Uczelnią”, gdyż to TU rozpoczęła się moja droga koszykarska i to właśnie TU następują ważne powroty w różnym charakterze. Tu mogę śmiało wspomnieć moich wykładowców mgr Teresę Jaślikowską Sadowską i Jej niesamowite poświęcenie sprawom koszykówki, dra M. Bytniewskiego – człowieka o niezwykłej pracowitości, który wyposażył mnie w wiedzę z zakresu fizjologii wysiłku fizycznego, mgra K. Rybaka, z którego zajęć do dziś czerpię wiele pomysłów do swojej pracy, zawsze życzliwe i pełne profesjonalizmu podejście do studenta dziekana prof. Jerzego Sadowskiego. Mile wspominam także obecnych kolegów: dr A. Bodasińską, dra J. Zielińskiego i dra P. Wołosza, których spotykam na różnego rodzaju kursach i konferencjach.



Paweł Bukrewicz
absolwent 1998



Oto moje krótkie „wspominki”...

„**S**KACZCIE wyży rosnącej trawy” – w tłumaczeniu oznacza to: – „technikę trenuje się na zmęczeniu” – a w ustach mgr lekkiej atletyki Krzysztofa Stipury, te słowa zmuszały nas do wysiłku i kształtowały technikę biegu po murawie boiska. Zazwyczaj kilka skacowanych głów ciągnęło swoje rozluźnione ścięgna Achillesa po i tak krótkiej trawie. Aby zaliczyć dyscypliny sportowe pod względem technicznym i wymiernym, czyli wyniku, należało przez semestr lub dwa w pocie czoła unosić kolana do bólu wysoko, aby przy zaliczeniu bolało już nieco mniej. Śmiechu i brzydkich słów było wtedy pod dostatkiem.

Na myśl przychodzi mi mój najbliższy kumpel z tamtych lat, Adaś Bezrąk (było z nim wszystko okej, to tylko takie nazwisko), który musiał sobie jednak jakoś poradzić, no a w sporcie bez rąk ani rusz. Na jednych z zajęć tanecznych, takie też mieliśmy, w grupie byli sami faceci, czyli: ciężarowcy, „ręczniki”, „kopacze”, siatkarze, kickbokserzy i inni „kulturyści”, pan mgr Marian Rzędzicki wyczytał Adasia do zaliczenia taktowania rytmu nogami, a co gorsza rękami w następujący sposób: – A teraz Adaś Bezrąk.

Na co Adaś błyskawicznie odparł:

– Dobrze.



I zaczął taktować, ale tylko nogami. Zdumiony „Elvis”, czyli Marian Rzędzicki rzucił szybkie:

– Co robisz?!

Usłyszał tylko:

– No, taktuję, jak pan magister chciał.

Oczywiście Adaś zaliczył taktowanie bez rąk.

To, co chcę powiedzieć, to, że życie, to rytm, który trzeba wytaktować z głową, bo jak zdarzy się synkopa, trzeba wysoko unieść kolana, żeby ją przeskoczyć i nie wypaść z tego rytmu. I tego się tu uczyliśmy.

Dziękuję Pani mgr Teresie Sadowskiej za możliwość napisania kilku słów wspomnień do książki.

P.s. Szkoda, że te wspomnienia są takie lakoniczne. Myślę, że podobnych jak wyżej opisanych zdarzeń, było w czasie studiów znacznie więcej. Mimo że tylko część czytelników tej książki zna osobiście autora wspomnień, sądzę jednak, że wielu zna Go z okienka telewizora jako jednego z prowadzących Teleexpress – to Ten o aksamitnym głosie.

Janusz Zieliński
absolwent 2000



Garść wspomnień z lat 1995 – 2000

Pierwsze kroki...

„BYŁO nas trzech, w każdym z nas inna krew, ale jeden przyświecał nam cel...” – zostać przyjętym na studia w Instytucie Wychowania Fizycznego i Sportu w Białej Podlaskiej. Trzech koszykarzy z Gorlic (małe miasteczko na południu Polski, tuż przy granicy ze Słowacją), którzy pragnęli zdać egzaminy wstępne i kontynuować swoją przygodę z koszykówką w klubie uczelnianym AZS-AWF w zmaganiach trzecioligowych, a przy okazji zdobyć wyższe wykształcenie. Kolejność nieprzypadkowa, bo jak dla większości młodych ludzi liczyła się dobra zabawa, sport, poznanie nowych ludzi, a dopiero na końcu była nauka... Patrząc z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że ta decyzja była przysłowiowym strzałem w dziesiątkę. Pięć lat studiów minęło szybko, pozostawiając mnóstwo niezapomnianych przeżyć, ale o wszystkim po kolei.

Kiedy po raz pierwszy wysiedliśmy na dworcu w Białej Podlaskiej podróżując super szybkim pociągiem z Warszawy, przed egzaminami wstępnymi, od razu pojawił się problem, jak dotrzeć na uczelnię. Nie przypuszczaliśmy, że to miasto jest tak rozciągnięte, a uczelnię od dworca PKP dzieli tak duża odległość. Jako że nikt nie potrafił nam sensownie wytłumaczyć z jakiego autobusu MPK skorzystać, a chcąc zaoszczędzić nie skorzystaliśmy z taksówek, postanowiliśmy pokonać tę trasę na piechotę... to był długi spacer. Już na samym początku natrafiliśmy również na problemy językowe, gdy chcieliśmy dostać się do centrum Białej, naturalnie zapytaliśmy się, jak dostać się na rynek. Okazało się, że to, co na południu jest centrum, to tutaj bazarem. Później jeszcze kilka innych zwrotów było dla mnie równie ciekawych, a najciekawsze to chyba „wchódz” oznaczające wejść.

Niestety, egzaminy wstępne zdało tylko dwóch koszykarzy z Gorlic i od września 1995 roku rozpoczęliśmy zajęcia na szacownej uczelni. Trafiliśmy do tzw. „grupy sportowej” IV m A, złożonej z zawodników reprezentujących tzw. królową sportu (LA) oraz podobno najbardziej inteligentną z gier zespołowych (koszykówkę). Ta mieszanka musiała przynieść dobre wyniki i tak też się stało. Grupa była wybitna... pod każdym względem. Zarówno naukowym (nawet mamy obecnie prodziekana z tej grupy), sportowym (liczne medale na mistrzostwach Polski), a przede wszystkim towarzyskim.

Studiowanie czyli nauka i nie tylko...

Na I roku studiów zamieszkaliśmy w akademiku. Jako „koty” dostaliśmy przydział na parterze bloku „B”. Standard życia... pomijam, ale za to jaki klimat – bezcenne. Jak starszy rocznik chciał nas pognębić, od razu wiedział, gdzie szukać studentów z I roku (np. przejście z tacą śpiewając piosenkę, gdy zbierali datki na... przyjemności). Oprócz takich przeżyć również zdarzały się te całkiem przyjemne chwile. Szczególnie podczas weekendów, gdy prawie wszyscy zostawali w akademiku i nie jechali do domów, tylko pogłębiali znajomości. Weekend to również był czas sprzątanania i prania. I tu znów niezapomniane przeżycia związane z polowaniem na odkurzacz (jeden na trzy bloki) oraz pralkę (znalezienie wolnej i sprawnej graniczyło z cudem). Parter bloku „B” jednak najbardziej został zapamiętany z innej strony, jeden z naszych kolegów lubił nas zawsze żegnać przed snem, więc około 22 zawsze przechodząc przez korytarz krzyczał „du...” – ot taka jego przyjemność.

Pozostałe lata studiów również spędziłem w akademiku, powoli awansując w hierarchii studenckiej, by na V roku zamieszkać na II piętrze bloku „C” – tylko elita tam mieszkała ☺.

Niezapomniane przeżycia towarzyszyły szczególnie obozom letniemu i zimowemu. Letni obóz został zapamiętany przez miejsce spania. Duże wojskowe namioty, w których stało kilka kanadyjek, na których spaliśmy i nic więcej. Gdy pewnej nocy przeszła ulewa nad Rybitwami, to musieliśmy spać z plecakami, ponieważ podłoga w naszym namiocie zamieniała się w rwący potok. Same zajęcia były oczywiście super, gdyby jeszcze pogoda była trochę lepsza, a temperatura wyższa (o piankach wtedy mogliśmy pomarzyć), to może nauczyłbym się pływać na desce windsurfiingowej. A tak, po kilku wizytach w wodzie uciekał ze mnie cały zapach, by nauczyć się stać na desce i bawić się żaglem. Dopiero w czasie zaliczenia udało mi się wypłynąć z portu; wróciłem już jednak motorówką.

Obóz zimowy odbył się w Zieleńcu, trochę nietypowo, ponieważ jeszcze w grudniu, tuż przed świętami. Był to termin tzw. AZS, żeby nie kolidował z zawodami sportowymi w styczniu i lutym. Po przyjeździe do tej pięknej miejscowości okazało się, że w tym samym czasie, tuż obok obóz mają studenci AWF-u wrocławskiego. A że mieli przy swoim ośrodku salę sportową, bardzo często po zajęciach narciarskich rywalizowaliśmy z nimi w innych halowych konkurencjach. Czasami wygrywaliśmy my, czasami oni, jak to w sporcie.

Studiowanie w Białej Podlaskiej wiązało się ze wzlotami i upadkami, jak to w życiu. Te upadki to przede wszystkim gimnastyka, nie wiem czy z racji wzrostu czy giętkości, ale były to jedyne zajęcia, na które nie podążałem zbyt szczęśliwy, a pod koniec semestru modliłem się o wymarzoną 3 w indeksie. Jak na złość ta gimnastyka trwała i trwała i nie chciała się skończyć (chyba w sumie 5 semestrów). W międzyczasie udało się zaliczyć nawet zawody gimnastyczne, nie wiem jak to zrobiłem. Kolejne lata studiów miały szybko.



Obóz zimowy w Zieleńcu i „elita” narciarzy wśród sportowców

Sport i nie tylko...

Osobną sprawę podczas studiów stanowił sport. Gra w koszykówkę w klubie uczelnianym przynosiła wiele korzyści. I nie mówię tutaj o ułatwieniach w studiowaniu, tylko możliwościach jakie się otwierały. Jeszcze przed studiami, we wrześniu zdażyłem poznać ośrodek w Rybitwach k/Pisza, gdzie nasz trener urządził obóz przygotowawczy przed sezonem. Więc biegaliśmy po lasku, poznając kolejne drzewka, mieszkając w domkach (co za szok później przeżyłem, gdy przyjechaliliśmy na obóz letni). Najsympatyczniejszym wydarzeniem w czasie tego obozu była wycieczka kajakami w ramach jednodniowej przerwy w bieganiu. Ogólnie płynęliśmy dwójkami w kajakach z małymi wyjątkami. Tym wyjątkiem był np. nasz 205 cm kolega z drużyny, któremu nie mieściły się nogi, więc płynął sam. Podczas tej wycieczki miało miejsce wiele ciekawych wydarzeń, polegających na wywrotkach. Po raz pierwszy widziałem jak 205 centymetrów wzrostu robi wywrotkę ze swoim kajakiem, uwierzcie dzieje się to bardzo szybko... W późniejszych latach poznaliśmy również inne ciekawe miejsca, choćby Serpelice, ale tym najlepszym obozem pozostanie ten pierwszy. Ciekawe i śmieszne sytuacje zdarzały się również na obozach w Białej Podlaskiej. Pewnego razu jeden z naszych kolegów z drużyny tak bardzo był szczęśliwy ze spotkania z kolegami, że postanowił to oblać. Wracając do akademika, w stanie „lekko” zaburzonej świadomości, pomylił drzwi pokoju, w którym mieszkał. Zaczął się dobijać do innego pokoju, coraz głośniej i głoś-

niej, krzycząc, żeby go koledzy wpuścili, aż w pewnym momencie drzwi się otworzyły, a w nich stanął dwumetrowy dyskobol (znany Olgierd S.). Jakież było zdziwienie i przerażenie naszego koszykarza, który zaczął przeproszać i błagać, by starszy kolega nie wymierzał żadnej kary za zakłócenie snu. Na szczęście dla niego skończyło się tylko na przeprosinach.



Obóz sportowy koszykarzy w Serpelicach

Każdego roku uczestniczyliśmy także w Akademickich Mistrzostwach Polski w grach zespołowych, które odbywały się w takich miastach, jak: Szczecin, Kraków, Wrocław czy Lublin. Dało to nam możliwość poznania wielu ciekawych ludzi oraz ładnych miejsc. W czasie tych turniejów mieliśmy niewątpliwą przyjemność spotkać się na parkiecie z ówczesnymi zespołami z ekstraklasy koszykarzy, oczywiście wynik był łatwy do przewidzenia, ale wrażenia jakie pozostawały w naszych głowach, wydają się być bezcenne. Oczywiście oprócz grania i zwiedzania nowych miejsc, odbywały się wspólne imprezy integracyjne, które stanowiły kolejny ważny powód, by uczestniczyć w takim turnieju również w następnym roku. W czasie roku akademickiego graliśmy w III lidze ze szczytnym celem awansu do wyższej klasy rozgrywkowej. W pierwszych latach studiów byliśmy daleko od zrealizowania tego celu, ponieważ na naszej drodze zawsze stawały silniejsze drużyny i nie mogliśmy zająć czołowych lokat w naszej lidze. Dopiero trzy-, dwa ostatnie lata studiów

pozwoły nam wyjść z grupy i zakwalifikować się do turniejów półfinałowych o II ligę. Na moim ostatnim roku udało nam się taki turniej wygrać pokonując, wydawałoby się silniejsze drużyny z Wrocławia i Piotrkowa, i awansować do turnieju finałowego. Do Białej Podlaskiej zjechały silne ekipy: Sudety Jelenia Góra, Gimblach Limanowa oraz rezerwy ekstraklasowego zespołu Unii Tarnów. I tu wydarzyła się bardzo dziwna sytuacja, rzadko spotykana w koszykówce. Po pierwszej połowie w meczu z Jelenią Górą prowadziliśmy zdecydowanie bodajże 17 pkt, grając skutecznie i ładnie dla oka. Ale w drugiej połowie dosłownie „stanęliśmy”, nie pomagały czasy brane przez trenera oraz zmiany zawodników. Po końcowym gwizdku to zespół Sudetów był lepszy i nie tylko odrobił straty z pierwszej połowy, ale jeszcze dołożył nam bodajże z 15 pkt przewagi. Więc postawionego celu nie udało nam się zrealizować, ale uważam, że łączenie studiowania ze sportem to świetny pomysł.

P.s. Po studiach autor niniejszych wspomnień (dziś dr Janusz Zieliński) rozpoczął pracę w naszej uczelni, w Zakładzie Koszykówki. Oprócz zajęć dydaktycznych prowadzi treningi z koszykarzami AZS-AWF oraz grupami młodzieżowymi w Bialskim Stowarzyszeniu Koszykówki „KADET”.



Drużyna AZS-AWF



Drużyna BSK „KADET”

Sebastian Tarnowski
absolwent 2007



Wspomnienia z za siatki...

TAK tak, z za siatki, ponieważ od miejsca zamieszkania do miejsca studiowania miałem dosłownie parę kroków. Z boiskiem AWF-u dzieliła mnie tylko siatka. Bycie studentem z takiej perspektywy na pewno jest nieco inne. Omijały mnie wieczorne, nie planowane imprezy i zarwane noce. Jednak byłem częściej wyspany i miałem uprasowane koszulki. Poza tym, byłem zwykłym studentem jakich setki.

Po ukończeniu 5-letniego Technikum Elektrycznego zdecydowałem w końcu uczyć się czegoś, co mnie interesuje.

Studia na AWF-ie kojarzyły mi się do tej pory ze sportem, mnóstwem zajęć na boisku, hali i pływalni. Co to był za szok – pierwsze zaliczenie z anatomii u pani dr Marii Danilkiewicz lub płucie w próbki i badanie moczu na biochemii u pani mgr Felicji Tarantowicz-Wetoszki. Wtedy już wiedziałem, że AWF to nie przysłowiowa nauka fikołków. Wracając do anatomii, nie zapomnę tego, iż więcej czasu siedziałem nad książkami niż podczas nauki na maturę. Pewnie innym szło to trochę szybciej, ale ja szybciej łapałem skoki przez skrzynię i resztę zajęć sportowych niż przedmioty ścisłe.

Znajomi absolwenci powtarzali mi: „Zanim nie będziesz na II roku, to nie jesteś jeszcze studentem...”. Ile w tym było prawdy... zrozumiałem już po pierwszym semestrze. Faktycznie, przebrnięcie przez pierwsze dwa semestry i pierwsze egzaminy było nie lada wyzwaniem.

Trafiały się takie rodzyнки, jak zajęcia z dr. Tomaszem Demidowiczem, nazywanym przez nas „lotnikiem”, u którego łatwo zmieniał się temat na owe lotnictwo. Poprawki z języka angielskiego u pani mgr Małgorzaty Styś, siedzenie od 6.30 pod jej pokojem i czekanie na swoją kolej. Wśród prowadzących można wymienić znacznie więcej indywidualności: Pan dr Janusz Gałeczki uwielbiał tenis ziemny i mógł o nim rozmawiać godzinami, zaś Pan dr Roman Otto – zapalony pływak Freedivingu, tak zwanego swobodnego nurkowania. Na II roku, jeszcze przed remontem basenu, zapisałem się do sekcji pływania. Spotykaliśmy się wieczorami na basenie i biliśmy własne rekordy na jak najdłuższe utrzymanie się pod wodą na jednym wdechu i jak najdłuższe odległości pokonane pod wodą. Zajęcia były w pełni zabezpieczone, ale raz przeholowałem, wytrzymując pod wodą 6,30 min. i próba niestety nie została zaliczona z powodu omdlenia. Ale do tej pory pamiętam, jak zaradnym człowiekiem okazał się pan Otto.

Wracając do studiowania. Poza ostrą nauką wielu emocji dostarczały zajęcia sportowe, takie jak taniec i gimnastyka. Te pierwsze, prowadzone przez mgra Mariana Rzędzickiego, miały z wielkich, nieeleganckich facetów stworzyć tancerzy lekkich i z gracją poruszających się po parkiecie. Jak wyszło, to już każdy pamięta. W pewnym sensie taniec łączył się z gimnastyką, choć tutaj niezapomniane będą białe obcisłe stroje i baletki. Dla mgra Mariana Szypra było to naturalne, ale trochę czasu minęło zanim przyzwyczailiśmy się zachowywać powagę w takich strojach. Siniaki po wymykach, odmykach, mimo że ich już nie ma, bolą nadal – podczas ich wspomnienia. Ale bólu podczas studiowania było znacznie więcej. Na szczęście mój rocznik nie obfitował w częste kontuzje. Jednak połowa „wypluwała płuca” na lekkiej atletyce, podczas testu Coopera. Nie zapominając o sławnej „pardubickiej” czyli trójboju. Tutaj liczył się hart ducha, a czasem wspomaganie sławnym syropem na kaszel. Czy pomagał? Pewnie wiara robiła większość pracy. Po ciężkim I roku w końcu było trochę więcej zajęć sportowych. Siatkówka, piłka nożna, podnoszenie ciężarów, pływanie, lekko atletyka, sporty walki. Jakby tego było mało polubiłem naszą uczelnianą siłownię. Prawie codziennie wieczory spędzałem z chłopakami na „przewalaniu” ciężarów i nawiązywaniu nowych kontaktów. Drugi rok okazał się jednym z najlepszych podczas całych studiów. Doszły dwa obozy zimowy i letni. Na tym pierwszym byliśmy w Kluszkowcach. Piękne tereny i co najważniejsze, pierwszy raz miałem narty na nogach. Już pierwszego dnia, po wieczornej pogadance i przymierzeniu sprzętu, wjechaliśmy z chłopakami na szczyt. Orczyk okazał się zabójczym urządzeniem i spadaliśmy z niego jak muchy. W porównaniu z wjazdem na szczyt, zjazd okazał się pestką – nogi w pług i ... no właśnie zatrzymanie na siatce, a w najlepszym wypadku na tyłku.

Teraz sam szczęśliwie uczę całą rodzinę jeździć na nartach.

Kolejny obóz, tym razem letni w Rybitwach, to wieczorne warty, zimna woda, siniaki po windsurfingu i, nie daj Boże, po maszcie podczas zwrotów na żaglówkach. Ile można się nauczyć w tak krótkim czasie, to wie każdy. Niezapomniane przeżycia na za-



Zjazd „pługiem” w moim wykonaniu



Nasz mały port w „Rybitwach”

główkach, pierwsze ślizgi na desce windsurfingowej i dalekie wycieczki kajakami.

Sławne kary za nie przestrzeganie obozowego regulaminu. Każdy chyba pamięta wykopywanie „pieńków”, pozostałych po wyrwanych przez huragan drzewach. Jak potrafiły być duże i ciężkie to było widać po pozostałych dołach. Ale było warto... Po dwóch latach wróciłem w to samo miejsce, ale już jako opiekun po ukończeniu specjalizacji z windsurfingu. Ciekawe przeżycie, stojąc na apelach po stronie kadry i pomaganie w prowadzeniu zajęć, będąc jeszcze studentem. Wracając do nauki uważam, że chociaż jedną poprawkę egzaminu powinien przejść każdy. Bo jak można było studiować i wszystkie egzaminy zdawać za pierwszym razem, skoro juwenalia były organizowane w tak pechowych okresach? Całe szczęście, kadra AWF-u jest jedną z najlepszych i wyrozumiałości jej nigdy nie zabrakło. Pod koniec IV semestru rozpoczął się remont naszej pływalni. Zajęcia przeniesione na VIII semestr. Każdy wie, jak pod koniec studiów człowiek potrafi się rozleniwzić. A tutaj pora zaliczyć 1500m, 100m zmiennym. Wszyscy dali radę, ale połowa musiała „walczyć” o powietrze podczas końcówki dystansu. Wracając do chronologii, III rok studiów okazał się najcięższym. Pewnie uspieni po przygodach z obozami wszyscy myśleliśmy, że kolejne semestry będą jeszcze prostsze. Parę egzaminów dało nam w kość: pedagogika, socjologia, angielski. Każdy sobie jakoś radził, ale wszyscy

chcieli, żeby III rok skończył się jak najszybciej. W międzyczasie na studiach można było nawet zarobić parę groszy. Wystarczyło zapisać się na zawody lekkoatletyczne jako obsługa obiektu itp. Kilka razy musiałem przez całą noc pilnować rozstawionego sprzętu na boisku. Całe szczęście, że zabawy oświetleniem i głośnikami pozwalały jakoś przeżyć takie noce. Po pewnym czasie kto chciał zdobywał uprawnienia sędziowskie i grał już większą rolę podczas zawodów. Na koniec III roku organizowane były obozy wędrownie. Do wyboru było kilka możliwości, pieszy, rowerowy itp. Ja wybrałem obóz kajakowy. Niezapomniane chwile na jeziorach, gotowanie zup nad ogniskiem, spanie w namiotach w prowizorycznych obozach. Pewnego razu obudziliśmy się rano podczas małego sztormu. Tutaj pora wracać na trasę, a fale ponad 1,5m. Bezpieczny powrót zapewnił nam nieoceniony mgr Marian Rzędzicki. Ustawieni w szyku „bojowym” przebiliśmy się przez trzciny na bezpieczne wody. Trochę strachu było bo kajaki, wypełnione bagażami, okazały się dosyć wywrotne.



Odpoczynek na kajakach

Rozpoczął się IV rok. Wspomniane przeprawy z pływaniem były zapowiedzią, że większość przedmiotów kończyło się już egzaminami. I tak, na VIII semestrze rozpoczęły się już tylko praktyki. Miło było wrócić do swojej dawnej szkoły w roli nauczyciela. Tutaj okazało się, że posiadam duże zdolności pedagogiczne, a wiedza zdobyta podczas studiowania w końcu się przydała. Jednak powoli zbliżał się termin prac magisterskich i V rok był podporządkowany



Praca grupowa

właśnie temu. Pisanie pracy o czymś, co się lubi, okazało się prostsze niż myślałem. I tak w 2007 roku stałem się panem magistrem. Podczas studiowania zrobiłem sobie kilka specjalizacji, z których korzystam do dnia dzisiejszego. Byłem już instruktorem windsurfingu na Helu, ratownikiem wodnym nad jeziorami, a do tej pory pracuję jako instruktor aerobiku. Ale najważniejszym, co mi dała uczelnia, to zdobyta wiedza nauczyciela, gdyż już od kilku lat z powodzeniem jestem zatrudniony w Zespole Szkół Specjalnych.

Jak widać studiowanie na AWF było najlepszą decyzją, jaką mogłem podjąć. I zawsze będę mile wspominał wszystko, co z nią związane!!!

Pozdrawiam całą kadrę bez wyjątków...

Andrzej Marcinkowski
1977 OHP
studia 1978-1982
absolwent 2008



Ze wspomnień „wiecznego studenta”

ZYCIE płała rozmaite niespodzianki. Czasami na spełnienie marzeń czekamy tylko chwilę, czasami zaś musimy czekać na to bardzo długo i okupić to wyteżoną pracą.

Tak było w moim przypadku. Sport był marzeniem mojego dzieciństwa i młodości. Dlatego też nie widziałem siebie poza nim. Od dzieciństwa moją pasją była piłka nożna. Zaczynałem na podwórku, a uwieńczeniem moich marzeń o czynnym uprawianiu piłki nożnej było założenie koszulki reprezentanta Polski w kadrze juniorów. Swoje życie zawodowe również pragnąłem związać ze sportem. Po maturze wybrałem oczywiście studia na AWF. Wybrałem Białą Podlaską – ośrodek, który zdobywał podówczas swoje akademickie szlify.

Mój rocznik, który rozpoczął studia w 1977 roku, był rocznikiem wyjątkowym. Wiem – każdy rocznik jest wyjątkowy, jednak ten naprawdę był szczególny.

Byłem jednym z około trzydziestu niešťczęśników, którym zabrakło po kawałku punktu na egzaminie, aby zostać studentami AWF. Jedynym wyjściem był rok „zerowy”, co wiązało się z pracą w OHP. Trafiłem do hufca w Radzynie Podlaskim, gdzie spotkałem podobnych jak ja pechowców.

Okazało się, że nasze spotkanie na egzaminie wstępnym i późniejsze spotkanie w OHP było szczęśliwym, wbrew pozorom, zrządzieniem losu. To właśnie wtedy spotkałem „Gwarka”, czyli Jerzego Bojko, „Dyzia” – Grześka Osińskiego, „Misia” – Jacka Szumowicza i wielu innych wspaniałych kolegów. Już w trakcie studiów poznałem Kazika Chmielewskiego, Jurka Sadowskiego, Waldka Wiśniewskiego, Marka Wodnickiego, Michała Wiś-



Od lewej Piotrek Polakowski „Bączek”, Romek Murawski, Krzysiek Janiak „Ewrybody”, Andrzej Gołowicz „Grucha”, Tomek Robaczewski



Drużyna OHP – Mistrz Polski w piłce nożnej. Od lewej stoją: Mirek Świetlicki, nie wiem, Jurek Kowalski „Kuba”, szef KW OHP, Jurek Bojko „Gwarek”, Witek Skiepmo „Krujf”, Zdzisiek Gąś, Krzysiek Bębas, ja. U dołu: nie wiem, Grzesiek Szkup, Tomek Robaczewski, Krzysiek Gomółka, Andrzej Gołowicz, Adam Adamczuk „Tatar”

niewskiego. Nie obrażcie się koledzy, że nie wszystkich was wymieniam. Każdy z Was ma jednak miejsce w mojej pamięci.

Wspomnienia z czasów moich „pierwszych” studiów pełne są wydarzeń typowych dla życia studenckiego. Nie wszystkie z nich nadają się na karty tak poważnej publikacji. Muszę jednak opisać kilka zdarzeń, które z jednej strony były zabawne, zaś z drugiej świadczą o przyjacielskiej więzi, jaka łączyła nasz rocznik.

Wyrazem tej przyjaźni może być grupowy pseudonim nadany nam przez kolegów z akademika – „Turyści”. Wiąże się on z tym, że zdarzało się, iż nasze wyjście na „małe piwo” kończyło się 300 kilometrów od Białej Podlaskiej i powrotem po dwóch dniach.

Koloryt życia w akademiku jest bardzo specyficzny. Pamiętam, że kiedy opanowała nas mania karcianej gry w kierki, na hasło „czwarty do kierki!” niezależnie od pory dnia i nocy otwierały się drzwi któregoś z pokoiów, w których stawał zaspany, ale gotowy do karcianych pojedynków student.



W przerwach między nauką a grą w karty, dbaliśmy o kondycję fizyczną

Byłem również świadkiem innych nietypowych pojedynków. W sąsiednim pokoju (nr 105b) mieszkali „Boruta” (Marek Kownacki) i wspomniany wcześniej „Misio”. Obaj (poza tym, że byli wspaniałymi kolegami) byli członkami narodowej kadry – pierwszy w zapasach, drugi zaś w rugby. Często, wchodząc do 105 B, mogliśmy zobaczyć ich w dosyć oryginalnych pozycjach – splecionych w uścisku, który dla niesportowca mógłby wydać się dziwnym. No cóż, wbrew pozorom sprawa była poważna – obaj mając we krwi walkę, toczyli zacięte pojedynki zapaśnicze.

Każdy student z tamtych czasów pamięta Studium Wojskowe, które jak wiadomo, było źródłem nieocenionej wiedzy☺. Pamiętam swój egzamin. Pominę szczegóły przygotowań do tegoż egzaminu. Pozwoliłem sobie nieco zmodyfikować obowiązujący w trakcie procedury egzaminacyjnej meldunek i stojąc przed komisją na baczność zameldowałem: „Obywatelu pułkownika, student Marcinkowski melduje swoje **nieprzygotowanie** do egzaminu”. Konsternacja komisji była tym większa, że egzamin odbywał się w obecności „obywatela pułkownika z zewnątrz”. Pierwszą reakcją egzaminatorów była dwójka. Jednak „obywatel pułkownik” stanął w mojej obronie – „za odwagę i szczerłość należy mu się trójka”.

Moje „wojskowe” doświadczenia są również związane z przyjaciółmi ze studiów. Mało kto pamięta, że w latach 70-tych i 80-tych jedyną alternatywą dla chłopaka było: studia albo wojsko. Ja po ukończeniu studiów trafiłem do wojska. W plutonie specjalnym, w którym służyłem, znaleźli się również moi najbliżsi koledzy – „Misio”, „Kubuś” (Jerzy Kowalski), „Krujf” (Wiktor Skiepmo). Pamiętam, że „Kubuś” znakomicie rozładował stres przed jednym ze skoków

spadochronowych, kiedy to na widok odszukanego w krzakach, niepewnego pilota powiedział spod opuszczonego na oczy hełmu: „dobrze, że my po drodze wysiadamy”.

Pamiętam rok 1980. Byliśmy wtedy na III roku. Pani dziekan dr Danuta Nałęcka zaproponowała nam (tym którzy byli w OHP) indywidualny tok studiów. Naszym zadaniem było utworzenie trzech zespołów i praca przy budowie basenu. Pani Dziekan uważała, że mamy praktykę budowlaną i sprostamy zadaniu. Pracowaliśmy w systemie trzy zmianowym. Brygada pracowała dwa tygodnie, potem miesiąc luzu. Najbardziej spodobał nam się sposób zdawania egzaminów. Przed wejściem na egzamin rzucaliśmy hasło: „My z basenu” i poważniejsze kłopoty mieliśmy z głowy. Czasami zdarzało się, że prowadzący egzamin wyłożył na stół zestawy. Wtedy reakcja nasza była natychmiastowa: „O przepraszam Panie doktorze, ja z basenu”.

Życie sprawiło, że po ukończeniu studiów nie przystąpiłem do egzaminu magisterskiego. Jednak kwalifikacje zdobyte na naszej uczelni pozwoliły mi podjąć pracę z młodzieżą. Zostałem nauczycielem w Szkole Podstawowej nr 1 w Puławach, a od roku 1986 pracuję w Szkole Podstawowej nr 2 w Radzynie Podlaskim. Kiedy po latach ponownie podjąłem studia, aby dokończyć moją akademicką edukację, na obronie pracy magisterskiej stanąłem przed obliczami moich kolegów z czasów studiów, w tym Jego Magnificencji Rektora Jerzego Sadowskiego – przyjaciela z czasów studiów.

Czytelnik moich wspomnień na pewno zauważy, że „mam znajomości” na uczelni. To fakt, ale nikomu tego nie życzę. Czy potraficie sobie wyobrazić egzamin, zdawany przed gronem kolegów ze studiów? Mnie to spotkało. Dwadzieścia pięć lat temu dwójka w indeksie nie byłaby powodem do wstydu. Ale teraz? Dostać „gola” do indeksu od Jurka, Kazia, czy innego z przyjaciół... chyba sami rozumiecie. Proszę sobie wyobrazić moją sytuację w trakcie obrony pracy magisterskiej (czerwiec 2008 r.). Oto staję przed gabinetem rektora, gdzie za chwilę dokończy się (jak się uda) moja akademicka kariera. Staję przed komisją, gdzie promotorem jest Wal-



W drodze na obóz zimowy



*Obóz w Zieleńcu, cała grupa I. Pierwszy z prawej
stoi instruktor Ryszard Kapica*

demar Wiśniowski, recenzentem Kazimierz Chmielewski, zaś przewodniczącym Jerzym Sadowski. Mimo łączącej nas przyjaźni, trema wystąpienia przed autorytetami naszej uczelni była ogromna. W czasie oczekiwania miałem przyjemność spotkać kilku wykładowców z okresu moich „pierwszych” studiów. Widząc mój stres pocieszali mnie. Od jednego z nich usłyszałem: „Panie Andrzeju, co pan się martwi! Jaja z pana sobie porobią i jakoś pójdzie!”. Pójść rzeczywiście poszło, ale te „jaja” kosztowały mnie mnóstwo nerwów. Nie spodziewałem się jednego. Po zakończeniu procedury egzaminacyjnej opuściłem gabinet. Po ponownym wezwaniu i ogłoszeniu wyniku nastąpiło coś, czego bym się nigdy nie spodziewał – oto skład komisji powiększył się do sześciu osób. W pierwszej chwili sądziłem, że coś jest nie tak. Skąd tyłu egzaminatorów? Okazało się, że do komisji, po zakończeniu jej prac, dołączyli moi przyjaciele z akademickiego pokoju – Jerzy Bojko, Andrzej Górecki i Wojciech Krawiec. W ten sposób oficjalna procedura spłotła się ze wspomnieniami z czasów studenckich.

Taki właśnie był nasz rocznik – zgrany, koleżeński, odpowiedzialny. Bo taka też jest nasza uczelnia.



Obóz w Zieleńcu



*Obóz w Wiśle – powrót z dancingu; za pół godziny mamy zajęcia.
Od lewej „Gwarek”, ja, Rysiek Chmura „Burza”, Marek Kowalski*



Wspomnienia, które zmieniły moje życie...

PIERWSZY raz o bialskiej AWF dowiedziałem się od mojego nauczyciela wychowania fizycznego, który również skończył tę uczelnię. To on mi powiedział „jesteś sprawny i ambitny, idź na AWF – dasz sobie radę”. Moje całe życie było związane ze sportem, choć nigdy nie trenowałem żadnej dyscypliny. Pomyślałem wtedy, że jeśli na świecie są studia, które uczą o tym, co sprawia mi przyjemność, to ja chcę tam studiować. Jednak moje wyobrażenia o AWF-ie nie do końca się ziściły, ale po kolei.

Pochodzę z niedużego miasta w centrum Polski, moje dzieciństwo i większość czasu wolnego spędziłem na wsi, nie widziałem „wielkiego świata”. Już sama podróż do Białej Podlaskiej była dla mnie wyzwaniem. To, co zobaczyłem na miejscu było zarazem niesamowite, jak i odkrywcze. Akademiki, uczelnie, specjalistyczne obiekty sportowe. Z tym wszystkim obcowałem pierwszy raz w życiu. Co ciekawe, przed akademikami kwitło życie studenckie, co również stanowiło dla mnie ciekawe zjawisko. Na egzaminach wstępnych zobaczyłem wielu „sportowców”. Jak się okazało tylko z wyglądu. Mieli profesjonalne buty do biegania, stroje sportowe oraz izotoniki. Ja natomiast wziąłem ze sobą najnowsze trampki, zwykłą koszulkę i spodenki. Przebieg egzaminów był dla mnie korzystny, pseudo sportowcy nie byli tacy wyśmienici, a moje trampki biegały szybciej niż kolce.

Równolegle zdawałem też na politechnikę w Płocku. Okazało się, że mogłem wybierać pomiędzy tymi uczelniami. To było proste... AWF!

Zamieszkałem w akademiku, w bloku C; do pokoju dobrałem się z kolegami, których poznałem na egzaminach wstępnych. Dowiedziałem się, że obaj coś trenują. Ja natomiast chłonałem jak gąbka wiedzę o nowych dziedzinach sportu. Początki, jak wszędzie łatwe nie były, poznałem plan zajęć i tu moje wyobrażenie o AWF-ie diametralnie się zmieniło. Zobaczyłem, że będę się uczył biologii, anatomii, biochemii, a przecież miałem tylko przyjemnie spędzać czas na zajęciach sportowych.

Na szczęście tych, których oczekiwałem nie było mało. Na pewno mało było czasu pomiędzy zajęciami, 15 min. żeby wziąć odpowiedni zeszyt i znaleźć salę. Nie potrafiłem się w tym wszystkim odnaleźć i trwało to chyba cały semestr. Przyjemniejszym było poznawanie ludzi, ich zainteresowań, sposobu bycia i zachowań. Szczególnie korzystnym środowiskiem do zawierania nowych znajomości okazał się akademik ABC, gdzie można było uczestniczyć



w szeroko rozumianym życiu studenckim. I w tym miejscu chciałbym opowiedzieć pewną sytuację: otóż na jednej z takich imprez, gdzie udział brało chyba całe piętro i zaprzyjaźnieni studenci, przyszło do nas ok. ośmiu studentów z II i III roku, wyłączyli muzykę i zaczęli nas chwalić za integrację. Pamiętam jak dziś „to, że was słyszymy na sąsiednim bloku to dobrze, tylko dlaczego nikt nie zaprosił nas na imprezę?!” Myślałem, że będzie awantura, ale starsi koledzy wytłumaczyli nam, że studenci AWF-u nie pałają miłością do

„chłopaków z miasta” i często między nimi wywiązują się bijatyki, o czym mógł się przekonać jeden z kolegów na piętrze. Sytuacja była na tyle poważna, że rozeszła się wśród studentów i pewnie stąd ta prelekcja od starszaków. Dali nam dwa tygodnie na pełną integrację, nakazywali imprezować i zapraszali na swój blok, po to, żebyśmy się wszyscy znali i wspierali w zagrożeniu płynącym z miasta. Wskazali również dwa pokoje, w których zawsze znajdzie się pomoc☺. To było niesamowite, poczułem się wtedy jak w ogromnej społeczności.

Niestety, poza wszystkimi przyjemnościami jakie niosło ze sobą studiowanie, trzeba było się również uczyć, żeby tej przygody nie zakończyć już na I roku. Nie dla wszystkich jednak okazało się to proste, gdyż niektórzy wzięli sobie chyba za punkt honoru permanentną integrację. Dla pozostałych jedyną szansą była nauka w nocy, kiedy biesiadnicy przenosili się z akademika do okolicznych klubów. Często więc przed nauką chodziłem do zaprzyjaźnionych pokoi w bloku A, gdzie mieszkwały dziewczyny i piłem u nich kawę i jadłem ciastka, jako produkty deficytowe w pozostałych blokach. Następnie wracałem do pokoju, kiedy na piętrze panowała już cisza, żeby uczyć się do zaśnięcia. Na spanie nie było wiele czasu, dlatego często zasypiałem pomiędzy zajęciami. Z tym również wiąże się przyjemna historia. Pewnego razu w czasie zaliczeń, bardzo zmęczony trybem życia, do jakiego zostałem zmuszony, zasnąłem w dzień z książką na głowie. Obudziłem się bardzo zaspany i nie w pełni świadomy otaczającego świata, zobaczyłem uczących się kolegów, każdy z nich leżał na swoim łóżku z zeszytem i dziwnie się na mnie patrzył. To pewnie mój wygląd skłonił jednego z nich do uknucia intrygi przeciwko mnie. Kiedy zapytałem, czego się uczą odpowiedzieli, że na kolokwium z biologii. Za chwilę słyszę kontr pytanie – a ty nie idziesz na anatomie? Jest już 7:55?! W stanie jakim się obudziłem, uwierzyłem i nie zastanawiając się, pobiegłem tylko umyć twarz. W tym czasie koledzy przestawili mi zegarek tak, żeby wszystko się zgadzało. Impreza na piętrze była dla mnie zaskakująca, jednak kiedy wróciłem do pokoju i zobaczyłem godzinę na zegarku, bez zastanowienia wybiegłem jak szalony na uczelnię z myślą, że na moim piętrze zabawa trwa faktycznie do rana! Na dworze było szaro, tak wieczorowo, ale pasowało też do wczesnego ranka, biegłem więc co sił do sali, jednak niestety okazała się zamknięta. Pomyślałem, że na pewno nie tylko ja się spóźniłem i z pewnością ktoś będzie wiedział, gdzie mamy zajęcia. W głównym holu kolejne wydarzenia mnie zaskakiwały. Otóż gro ludzi, z różnych roczników, podążyło do sali gimnastycznej, gdzie właśnie trwały konsultacje. Zainteresowany tym porannym poruszeniem na salce postanowiłem to sprawdzić. Pomyślałem, że przecież jest pora zaliczeń, to pewnie prowadzący udostępnili salę tym, co chcieliby doskonalić elementy na zaliczenie. Zastanowił mnie jednak fakt, że spotkałem tam również kolegę z roku, który na pewno nie musiał niczego doskonalić. Zaryzykowałem i zapytałem o godzinę najbliższą osobę, która obok

mnie stała, odpowiedział 19:16. Spojrzałem na niego jak z innej planety i brnę dalej, a jaki mamy dzień? Wtedy poczułem się jakbym patrzył w lustro, bo chłopak z ogromnym zdziwieniem odpowiedział – wtorek. Wróciłem do pokoju, a tam już nie tylko współlokatorzy, ale i sąsiedzi z wielkim zniecierpliwieniem oczekiwali na mój powrót i reakcję. Kiedy opowiadałem całą historię wszyscy razem pękaliśmy się ze śmiechu.

Studia na AWF zmusiły mnie do usamodzielnienia się. Dostałem naprawdę solidną szkołę życia, z którą związany jest symbol „okienka”. Każdy z nas miał w swoim czasie do czynienia z „okienkiem” jako bariery społecznościowej. Studia zobowiązały mnie do samodzielności i odpowiedzialności we wszystkich dziedzinach życia. Wymagały odwiedzenia miejsc, które przedtem dla mnie nie istniały. Urzędy, banki i okienka, przed którymi trzeba było się uśmiechać do pań, które niechętnie załatwiały powierzone im zadania. Uważam, że byłoby łatwiej, gdyby programy nauczania prowadzone w szkołach średnich rzeczywiście przygotowywały do tego. Pełna autonomia dawała szereg korzyści, jednak zmuszała również do ponoszenia konsekwencji za swoje czyny. Często w relacjach między studentami i nauczycielami istnieje to przysłowiowe „okienko” i niemoc, z jaką ma się do czynienia stojąc przed szybką. Osobiście jestem temu przeciwny i często wyrażam to, co myślę. Zaryzykowałem i sprzeciwiłem się profesorowi z najwyższej półki, nie zgadzając się z oceną za kolokwium, od którego zależało zaliczenie semestru. Niestety byłem tylko studentem I roku, stojącym przed okienkiem wszechwładnego profesora. Skończyło się to dojazdami w przerwie międzysemestralnej do Siedlec w celu zaliczenia przedmiotu. Na szczęście upór dał potwierdzenie reguły: do trzech razy sztuka.

Wracając jednak do rzeczy przyjemnych, nie wiedziałem, co mnie czeka, kiedy wszyscy na uczelni nagle zaczęli rozmawiać tylko o juwenaliach. Wtedy dowiedziałem się, iż jest to wielkie święto studentów i na czas kilku dni przejmujemy władzę w mieście. Zapowiedzi szalonego świętowania w niczym nie były przesadzone. Już w pierwszym dniu na korytarzach akademików rozległ się przeraźliwy dźwięk syreny strażackiej i głos jakiegoś studenta, który mówił przez megafon, że pora wstać i rozpocząć juwenalia. Nie ukrywam, że po części z wieloma studentami rozpoczęcie miało miejsce już poprzedniego wieczoru w Night Clubie. Tylko ciekawość nadchodzących atrakcji pozwoliła mi wyjść z łóżka. Poranny rozruch to zajęcia z aerobiku, prowadzone przez jedną ze studentek, jednak że były juwenalia zajęcia odbyły się na dachu akademika. Kolejną atrakcją był pochód ulicami miasta. Okrzyki związane z uczelnią, przeróżne stroje i ilość studentów uczestniczących w pochodzie naprawdę dały mi wiarę w przejęcie władzy. Następnie koncerty i after party. Zabawa trwała do białego rana. Kolejny dzień to niesamowita atmosfera na terenie AWF-u, gdzie kontynuowane były juwenalia. Można było wziąć udział w przeróżnych turniejach i konkursach, albo skorzystać z różnych atrakcji jak

bungee, kula zorbing czy piłkarzyki, które ściągnęły licznych amatorów tego typu rozrywek na teren AWF-u. Było bardzo wesoło, tym bardziej, że większość studentów już miała syndrom dnia wczorajszego, a niektórzy nawet tygodniowego. Mimo iż muzyka grała cały dzień to wieczór ponownie zakończył się koncertem. Te kilka dni pozwoliło totalnie wyłączyć się z uczelnianego życia. Kiedy wszystko znalazło swój koniec, nie łatwo było wrócić do rzeczywistości.

Sesja pojawiła się nagle. Tu nawet permanentni biesiadnicy mieli swoje pięć minut na naukę. Osobiście miałem jej już dość, zresztą jak większość studentów, którzy byli w miarę regularni w zaliczeniach. Pamiętam, że w przeddzień egzaminu z anatomii już nie było sił na naukę i większość kolegów z piętra postanowiła, że odda się w ręce przeznaczeniu. Zorganizowaliśmy więc mini olimpiadę na piętrze, były zawody strong menów, konkurencje sprawnościowe i mniej ambitne typu „jakcass”. Wszystko po to, żeby zapomnieć o mięśniach, kościach i innych organellach komórkowych. Pierwszą sesję uznaje za udaną, miałem tylko poprawkę z biologii, przedmiotu, z którego czułem się naprawdę mocny. Zaliczyłem ją w sesji poprawkowej i to bez okularów, które muszę nosić na co dzień.

W kolejnych latach mojego studiowania zaczęły mnie trochę męczyć dojazdy do domu, gdyż nie miałem blisko. Tam jednak bezcenną pracę wykonywała moja mama, obdarowując mnie za każdym razem pełną torbą jedzenia. Problem pojawił się kiedy dostałem pokój w akademiku na ul. Makaruka. Wszystko wyglądałoby pięknie, gdyby nie ta mała lodówka, nie wiem komu przyszło do głowy zaopatrzyć dwuosobowy pokój w kieszonkową lodówkę. Na szczęście studencka społeczność małego akademika okazała się bardzo przyjazna. Szybko się zintegrowaliśmy i już po kilku tygodniach moje jedzenie od mamy było przechowywane w kilku pokojach akademika.

Kolejne atrakcje studiowania na AWF, które mocno wpisały się w historię tych pięciu lat to obozy: wędrowny, letni i zimowy. Na wędrownym była świetna pogoda, jeździliśmy na rowerach, kąpaliśmy się w Bugu i jeziorach na naszym szlaku. Każdy dzień kończyliśmy ogniskiem, a później grzecznie kładliśmy się do namiotów. Czasem tylko trudno było trafić do właściwego.

Obóz zimowy to już ciężka harówka na nartach. Dzień trwał krótko i prawie cały spędzaliśmy na stoku, dzięki czemu nauczyłem się jeździć na nartach. Zdobyte tam umiejętności pozwoliły mi już dwa lata później zdobyć stopień instruktora narciarstwa zjazdowego. Wieczorami chodziliśmy do „Żywca”, gdzie razem z kadrą przypominaliśmy sobie regulamin obozu. Ciekawym doświadczeniem był powrót do domu. Do Warszawy jechaliśmy ok. 14 godzin. Po czym, niestety razem z dwoma kolegami spóźniliśmy się na ostatnie połączenia do swoich domów. W podróży towarzyszyła nam zima stulecia, więc nie zastanawiając się ubraliśmy na siebie wszystkie ciepłe rzeczy, które mieliśmy w walizkach. Noc spędzona na dworcu centralnym była bezcennym doświad-



czeniu. Obóz letni to już ogrom różnorodnych zajęć: windsurfing, kajaki, żagle, pływanie, survival. Można było zapomnieć o całym świecie, jakby istniał tylko Pisz.

Sprzyjała nam piękna pogoda i można było korzystać z promieni słonecznych. „Witamina D nigdy za dużo” – tak mówiono wśród studentów AWF. Szczególnym zaliczeniem okazał się tor przeszkód na survivalu. Plecak, kask na głowie, przeszkody jak dla żołnierzy Gromu i wystrzały petard, to wywarło na nas wrażenie. Jak wszędzie, także i tu studenci mieli swoje miejsce spotkań i relaksu. Pomimo tego, iż nie było blisko, to studenci licznie gromadzili się wieczorami w Energetyku. Zdarzało się, że ktoś przeliczył się ze swoimi możliwościami. Wtedy jedynym ratunkiem, żeby nie zakończyć obozu przed czasem, było wykopywanie korzeni na terenie ośrodka. Mimo iż zwykle wiązało się to z ogromnym wysiłkiem, to temu wydarzeniu towarzyszyła liczna publiczność, która nie tylko dopingowała, ale i sama czasem organizowała się do pomocy, co ułatwiło zagrożonemu studentowi pozostać na obozie.

Przełomem podczas studiowania okazały się dla mnie dwa lata studiów magisterskich. Program, jaki mieliśmy do zrealizowania zawiódł wielu studentów. Przedmioty się powtarzały, a plan był ułożony nieekonomicznie. Wielu myślało o podjęciu jakiejś pracy, jednak realia wschodu nie dawały wielkich możliwości, a sprawę utrudniał również plan zajęć, który rzeczywiście można było zrealizować w trzy dni. Osobiście zacząłem się angażować w różne przedsięwzięcia – zapisałem się do wolontariatu, wspomagałem samorząd studencki, a także zacząłem trenować pływanie. Te i wiele innych rzeczy pozwoliło mi pożytecznie wykorzystać dwa lata studiów. Na ostatnim już roku oficjalnie



wstąpiłem do samorządu. Wtedy mogłem poznać uczelnię od podszewki i rozpocząć swoją działalność samorządową. Okazało się, że pracy jest ogrom, niestety rąk do pomocy niewiele. Przyjąłem sobie za cel kilka imprez i przedsięwzięć, które były dla mnie kluczowe i z pomocą zaprzyjaźnionych koleżanek i kolegów realizowałem właśnie te cele. Do moich największych sukcesów zaliczyć mogę maraton pływacki Ekiden, organizowany jednocześnie na wszystkich większych AWF-ach w Polsce i wygrana białskiej uczelni. Warto wspomnieć, iż wynik ok. dwustu studentów biorących udział w imprezie, nie został pokonany w kolejnych dwóch edycjach maratonu, który stał się już imprezą cykliczną. Największym jednak dla mnie sukcesem było podjęcie się ubezpieczenia studentów AWF-u. Dlaczego? Ponieważ wtedy poznałem swoją obecną narzeczoną. Podczas ubezpieczania zajmowałem się spisywaniem danych do ubezpieczenia. Pewnego dnia do mojego stolika podeszła dziewczyna, która bardzo mi się podobała. Już dawno próbowałem się do niej zbliżyć, jednak bezskutecznie. Zrządzenie losu pozwoliło mi poznać w jednej chwili jej imię, nazwisko, a nawet numer telefonu☺. Od tamtej pory mogłem poszerzyć swoje starania. Kasia wiedziała o wszystkich organizowanych imprezach i rzeczach dla studentów jako pierwsza. Pamiętam jak zapraszałem ją na basen na godziny samorządowe, gdzie osobiście byłem za nie odpowiedzialny... przychodziła☺.

Pięć lat spędzonych na Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej uważam za fantastyczne lata mojego dojrzałego życia.



*Obok mnie Dorota Idzi wielokrotna Mistrzyni, reprezentantka Polski
w pięcioboju nowoczesnym*

Poznałem wielu wspaniałych ludzi, między innymi swoją przyszłą żonę. Zdobyłem doświadczenie zawodowe, oraz potężną dawkę wiedzy, z której z pewnością będę korzystał również w życiu codziennym. Nabrałem pewności siebie i otwartości na ludzi. Ta uczelnia nie tylko mnie zmieniła, ale otworzyła mi tyle furtek na przyszłość, ile żadna inna uczelnia otworzyć nie może. Nawet żał mi jest tych wszystkich studentów uczelni kierunków ścisłych. Wielu z nich, jeśli nie znajdzie pracy w swoim kierunku, nie będzie potrafiła odnaleźć się w innej roli. To, do czego przygotowuje uczelnia AWF-u, to szereg możliwości sprawdzenia się jako trener, nauczyciel, wychowawca, ale również doradca, specjalista, zarządca, organizator, planista. Można wymieniać w nieskończoność. A przecież to nie była droga przez mękę, tylko przyjemna i interesująca przygoda.

Pozdrawiam wszystkich studentów AWF-ów i powiem, że dobrze wybraliście, aby sięgać wyżej, dalej i mocniej niż pozostali.



Z rąk Pani rektor prof. Alicji Przyłuskiej-Fischer i Pani dziekan prof. Krystyny Górniak odbieram Medal Zygmunta Gilewicza.



W imieniu absolwentów przemawiałem podczas inauguracji roku akademickiego 2009/2010



Czar AWF-u... ważna część naszego życia

Zracji wykonywanego zawodu lub czynności z tym związanych, które realizujemy z wielką radością i zaangażowaniem, bardzo często przebywamy w miejscach zgoła odmiennych od tego, w którym spędziliśmy 10 dni na przełomie czerwca i lipca 2010 roku. Udało nam się zaplanować wakacyjne spotkanie z Mariolą i Darkiem Magierami. Miejsce: Polska, Biała Podlaska, Pisz – dzięki przychylności p. Jerzego Sadowskiego, który zaproponował nam wypoczynek w Ośrodku Sportów Wodnych naszej Uczelni nad Jeziorem Roś.

Podróżując z naszą córką po świecie, uczestnicząc w turniejach WTA przez 10 miesięcy w roku jesteśmy narażeni na kontuzje stawów skokowych, poruszając się po śliskich, marmurowych posadzkach oraz na przeziębienia spowodowane klimatyzacją. Coś takiego raczej nie groziło nam w Pisz, lecz powiem szczerze, że dawno już nie widziałem komara i kleszcza, a takiej ilości, jak na tarasie domku nr 21, czy też pod domkiem przesympatycznego „Wujka”, nie jest w stanie wyobrazić sobie nikt. Tak więc pierwszą noc spędziliśmy na rozważaniu innych możliwości spędzenia urlopu (nic nikomu nie mówiąc). Dzień kolejny przyniósł nam jednak to, czego nam było trzeba. Odżyły wspomnienia... całego szeregu zabawnych zdarzeń z okresu naszego studiowania.

Obozy letnie razem z Anią odbywaliśmy, co prawda w warunkach jeszcze bardziej spartańskich, ale to już przecież prawie 30 lat temu... Obóz trwał 3 tygodnie, w tym jeden dzień wolny. Mieszkaliśmy w namiotach, myśleliśmy na powietrzu, to były czasy... Przypomniały nam się zajęcia z żeglarstwa z p. Wyciskiewiczem (miał wtedy rękę w gipsie i niestety zaliczyliśmy kontro-



*Ja i Ania przed gmachem Uczelni
(2009 r.)*

lowanego grzybka – tak przynajmniej sam mówi). Było dużo zabawy i śmiechu, ale były też momenty niebezpieczne. Pływaliśmy od pomostu do pomostu, gdy nasz kolega Marian zaczął się topić. To było bardzo poważne, ale na szczęście szybka interwencja obozowego lekarza – p. Heńka Makarskiego udała się, odratował nieszczęśnika. Z kolei na obozie zimowym „wszedłem w układ” z kumpłem, który nosił mi narty na górę, fama poszła, że „robię jaja” i miałem problemy z zaliczeniem (choć dobrze jeździłem).

Pamiętam, jak wchodziłem po drabinie do pokoju Ani, podkradałem jedzenie, o które w tym czasie nie było łatwo; organizowaliśmy z chłopakami imprezę i zapraszaliśmy dziewczyny, które ze zdziwieniem otwierały oczy i mówiły „smakuje jak nasze”.

Dobrze pamiętam zdarzenie z życia akademickiego: ze szczoteczka do zębów. Któregoś razu przyuważyłem, że bez najmniejszego pardonu po moją szczoteczka sięga kumpel z pokoju. Wyszorował swoje „zębule” i włożył z powrotem do mojego kubeczka. Postanowiłem dać mu nauczkę. Następnego dnia kupiłem drugą i na jego oczach umyłem zęby tą nową, a starą, tę, którą on mył zęby, wyszorowałem pewne (intymne) części ciała. Trzeba było widzieć jego minę. Od tej pory nie ruszył już moich rzeczy. Różnych zabawnych sytuacji było wiele, piękne też były pomysły i zakłady, dziś trudno uwierzyć, że my – dorośli studenci wyprawialiśmy takie rzeczy. Ale jest co wspominać i do czego wracać.

Był to okres bardzo ciekawy i pomocny w życiu, które toczy się różnymi drogami – przez Szwecję, Danię, USA, aż w końcu Monaco. Na naszej drodze wielokrotnie spotykaliśmy ludzi, którzy coś wspólnego z tą Uczelnią mieli. A to kibiców, trenerów czy też zawodników. Nigdy nie mieliśmy powodów, aby ukrywać nasz związek z Białą Podlaską, a wręcz przeciwnie.

Dzisiaj, gdy tenis wypełnia 90% naszego czasu, wyciszenie w Pizzu i obcowanie z ludźmi tam przebywającymi sprawiła nam wiele uciechy. Wycieczka rowerowa do miasta (pewnie z 17 km jadąc nad wodą), łapanie, skrobanie i spożywanie okoni usmażonych przez „Wujka” (trzeba je nasolić 15 min przed smażeniem), grzyby, kleszcze, komary i ćmy, wpadające do szklanek pozostaną na długo w naszej pamięci. Tak samo jak cały okres studiów.

Odżyły wspomnienia cudownych młodzieńczych lat studiów. A jak to się zaczęło? Moje pierwsze wrażenie urokliwej Białej Podlaskiej z mnóstwem drewnianych domków, które w tak dużej ilości widziałem po raz pierwszy w życiu. Studia rozpoczęliśmy w 1982 roku, oboje czynnie uprawialiśmy sport: Ania – siatkówkę, ja – piłkę nożną.

Ania: – Grałam w zespole trenera Kazimierza Rybaka jako leworęczna rozgrywająco-atakująca. Miałymy dobrze, zawodnicy nie płacili za wyżywienie, za akademik, dostawałyśmy kielbaskę, którą podsuszałyśmy na kaloryferach

Piotrek: – W wywiadzie, którego udzieliliśmy p. Romanowi Laszukowi w listopadzie 2009 r. do Słowa Podlasia żartowałem: „W zasadzie to kopałem piłkę, bo o grze w nią można mówić, gdy reprezentuje się wyższy poziom (ja byłem piłkarzem trzecioligowej Miedzi Legnica). Zresztą dopiero po moim wyjeździe Miedź awansowała do II ligi, bo wreszcie nie mieli w składzie tego, który im nawalał. Jak byłem wystawiany z przodu, to nie mogłem trafić w bramkę, a jak z tyłu, to je traciliśmy”.

W Białej zostałem zawodnikiem AZS-AWF, prowadzonej wówczas przez trenerów Henryka Grodeckiego i Macieja Kosika. Od razu przydzielono mnie na prawą obronę. Z tego, co słyszałem, to nikt nie chciał grać na tej pozycji. Przez jakiś czas byłem też kapitanem drużyny. I w tym czasie zaprzyjaźniłem się z kolegą z drużyny Darkiem Magierem. Gdy w 1984 r. Darek, ze względów rodzinnych wyjechał do Szwecji (przerywając tym samym studia), postanowiłem podążyć jego śladem. Decyzję podjąłem zaraz po tym, jak dotarła do mnie informacja, że w połowie III roku studiów najprawdopodobniej czeka mnie urlop dziekański. Oficjalnie postanowiłem wyjechać do Danii, by zbierać materiały do pracy magisterskiej. Moim zamiarem było jednak trafienie do Goeteborga, gdzie od kilku miesięcy przebywał Darek. Za granicą tęskniłem za Anią, która została w Białej, robiłem wszystko, by do mnie przyjechała. Po kilku miesiącach postanowiła udać się na wycieczkę do Danii. Niestety miała z tym duże problemy, gdyż, jak się później oboje dowiedzieliśmy, mój kolega z grupy – ciężarowiec (chętnie bym tu podał personalia, ale...) był donosicielem i prawdopodobnie przekazał, gdzie trzeba, do kogo tak naprawdę Ania wyjeżdża.

W Danii wzięliśmy ślub. Urodził nam się syn Patryk i córka Karolina. Patryk poszedł w moje ślady – zajął się piłką nożną i kocha to, Karolina kocha tenis, który – jak mówi Ania – pokazał i zaszczeplił właśnie Darek Magier – nazywany w naszej rodzinie Ojcem Chrzestnym sukcesu tenisowego Karoliny. Dzieci robią coś dobrego w swoim życiu, a my je wspieramy i pomagamy im.

Zawsze podkreślamy, że dzięki studiom na AWF mamy pojęcie, jak sportowo dziecko prowadzić. W Białej Podlaskiej poznaliśmy realia, zarówno praktyczne jak i teoretyczne, jak należy uprawiać sport. Kochamy tu wracać, wspominać, spotykać życziwych nam ludzi. Podlasie jest piękne.

P.S.

Anna i Piotr Woźniaccy są rodzicami II w rankingu WTA tenisistki świata (przyp. red.)



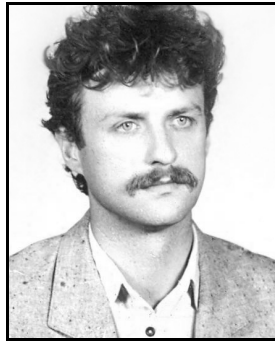
Karolina

Biogramy

(opracowała Zofia Cikirko)



„PEDAGODZY, O KTÓRYCH POWINNIŚMY PAMIĘTAĆ”



MICHAŁ BAJBAK
(30 IV 1956 – 24 II 1999)

Michał Bajbak urodził się 30 kwietnia 1956 r. w Międzyrzeczu Podlaskim w rodzinie Jana i Alicji z Łukasiewiczów. Okres dzieciństwa i całe późniejsze życie spędził w Białej Podlaskiej, gdzie zdobywał kolejno wykształcenie: w 1971 r. ukończył naukę w Szkole Podstawowej Nr 5; w 1977 r. zdał egzamin dojrzałości w Zespole Szkół Zawodowych, uzyskując zawód technika; w 1981 roku złożył egzamin magisterski w Filii Akademii Wychowania Fizycznego. W latach 1986–1989 podjął stacjonarne studia doktoranckie w Państwowym Centralnym Instytucie Kultury Fizycznej w Moskwie i po przedstawieniu rozprawy naukowej otrzymał stopień doktora nauk pedagogicznych.

Zarówno w okresie szkoły jak i studiów interesował się sportem. Był filarem AZS w sztafecie 4 x 100 m, uzyskiwał również dobre wyniki w skoku w dal.

Pracę zawodową rozpoczął w 1981 r. w IWFis w Zakładzie Lekkiej Atletyki i Gimnastyki jako nauczyciel akademicki. Dał się poznać jako wspaniały pedagog i wychowawca młodzieży. Prowadził zajęcia dydaktyczne z lekkiej atletyki w sposób profesjonalny. Pełnił także rolę kierownika wychowawczego na obozach, opiekuna grup studenckich i wędrowniczych. Jego szczery i ujmujący uśmiech wzbudzał sympatię, zarówno wśród kolegów – nauczycieli jak i studentów.

Wypromował 18 magistrantów i 6 dyplomantów, recenzował prace dyplomowe i magisterskie.

W lutym 1991 roku został powołany na stanowisko dyrektora administracyjnego. Był to dla uczelni czas przełomowy, związany z transformacją ustrojową w kraju. Nastąpiła zmiana władz uczelni, a wraz z nią rozpoczął się okres intensywnego rozwoju. W procesie modernizacji i rozbudowy bazy sportowo-dydaktycznej, z racji pełnionej funkcji brał czynny udział.

Jego pracy naukowo-dydaktycznej i administracyjnej w uczelni towarzyszyła działalność społeczna; pełnił funkcję rzecznika prasowego Okręgowego Związku Lekkiej Atletyki, był wiceprezesem ds. szkolenia w Klubie Sportowym AZS, aktywnie uczestniczył w działalności Koła Młodych Pracowników Nauki.

Był człowiekiem ogromnej skromności, życzliwym i wyrozumiałym dla swoich studentów i współpracowników, wrażliwym na ludzkie sprawy, chętnym do niesienia pomocy innym. Lubiany przez koleżanki i kolegów.

Zginął tragicznie w wypadku samochodowym (wraz z kierowcą Mieczysławem Piwonim) pod Siedlcami, 24 lutego 1999 r., wracając z Warszawy. Pozostawił żonę Bożenę i trzech synów: Macieja (1983), Grzegorza (1985) i Piotra (1988); został pochowany na Katolickim Cmentarzu Komunalnym w Białej Podlaskiej, Białka.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych, Dokumenty rodzinne w posiadaniu żony Bożeny Bajbak; Z. Cicirko, Michał Bajbak (30 IV 1956 – 24 II 1999), Rocznik Naukowy ZWWF w Białej Podlaskiej 2000, T. VII, s. 377 – 379.



MIECZYŚLAW BALCERZAK
(26 II 1943 - 8 X 1995)

Urodził się 26 lutego 1943 r. w Dylewie, powiat Grójec jako syn Ludwika i Marty Kozdrach. Swoje wykształcenie zdobywał w Szkole Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącym w rodzinnej miejscowości, zaś po uzyskaniu świadectwa dojrzałości kontynuował naukę (w latach 1960–1963) w Salezjańskiej Średniej Szkole Organistowskiej w Przemyślu. W latach 1964–1966 był słuchaczem Studium Nauczycielskiego w Warszawie o kierunku wychowanie muzyczne. Dalsze wykształcenie muzyczne zdobywał w Państwowej Szkole Muzycznej w Łodzi, uzyskując tam w 1971 r. tytuł magistra sztuki z wyróżnieniem.

Pracę zawodową rozpoczął w 1971 r. w Państwowym Ognisku Muzycznym w Białej Podlaskiej na stanowisku nauczyciela muzyki i akordeonu, później w Państwowej Muzycznej Szkole I Stopnia jako nauczyciel umuzykalnienia. Równocześnie był nauczycielem muzyki w I Liceum Ogólnokształcącym im. E. Plater, gdzie założył chór i zespół wokalny.

Od 15 lipca 1974 r. do ostatnich dni swego życia związał się z Filią Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej, gdzie podjął pracę w Zakładzie Gimnastyki na stanowisku akompaniatora, a później wykładowcy i starszego wykładowcy. Na zajęcia z gimnastyki sportowej i artystycznej przygotowywał podkłady do ćwiczeń wolnych, częstokroć własnej kompozycji. Charyzma i zaangażowanie w pracy ze studentami, w chwilach dla nich trudnych – zwłaszcza, gdy zbliżały się zawody gimnastyczne, były na co dzień odwzajemniane życzliwością studentów. Jego empatia i sposób akompaniowania tak mobilizowały studenta, że w efekcie najprostsze ćwiczenie nabierało blasku.

Obok pracy dydaktycznej w uczelni pełnił funkcję kierownika muzycznego i kierownika kapeli Studenckiego Zespołu Pieśni i Tańca „Podlasie”. W całości opracowywał własne kompozycje suit na 7-osobową kapelę, których większość nadal jest wykorzystywana przez zespół. Swą wiedzę pedagogiczną i muzyczną pogłębiał na studiach podyplomowych w Łodzi w 1977/78 r., brał też

wielokrotnie udział w Ogólnopolskich Seminariach Folklorystycznych, organizowanych przez Radę Artystyczną. Posiadał ogromne umiejętności i kompetencje w kierowaniu kapelą ludową.

Mgr M. Balcerzak dał się również poznać jako zaangażowany działacz społeczny na terenie miasta Biała Podlaska i okolic. Był konsultantem w Białsko-podlaskim Towarzystwie Muzycznym. Brał czynny udział w pracach Komisji Artystycznych różnych przeglądów wojewódzkich i międzywojewódzkich, jak: Festiwal Piosenki Radzieckiej, Przegląd Instrumentalny Kapel i Śpiewaków Ludowych. Mając przygotowanie w zakresie muzyki organowej był częstym niedzielnym gościem w kościołach, w różnych miejscowości na Podlasiu. Swoim natchnieniem, świeżością, formą przekazywania muzyki wprowadzał do uroczystości ślubnych, do mszy świętych podniosły nastrój. Za swoją działalność był wielokrotnie wyróżniany, nagradzany i odznaczany m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej, w 1999 r. jedna z sal wykładowych w Państwowej Szkole Muzycznej w Białej Podlaskiej została nazwana Jego imieniem.

Był żonaty z Anną z d. Groszyk, która również posiada wykształcenie muzyczne. Mieli dwoje dzieci, syna Bartłomieja (1972) oraz córkę Magdalenę (1976). Dzieci kontynuują rodzinną tradycję muzyczną.

Zmarł 8 października 1995 r., został pochowany na Cmentarzu Parafialnym przy ul. Nowej w Białej Podlaskiej.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; dokumenty i pamiątki rodzinne w posiadaniu żony Anny; Z. Cicirko, Mieczysław Balcerzak (26 II 1943 – 8 X 1995), Rocznik Naukowy ZWWF w Białej Podlaskiej 2003, t. X, s. 305-308



ZENONA BEDNARCZUK
(19 I 1949 – 20 IV 2010)

Urodziła się 19 stycznia 1949 r. w Dębowej Kłodzie, w rodzinie chłopskiej Tadeusza Czecha i Marianny z d. Rutkowska. Do szkoły podstawowej uczęszczała w rodzinnej miejscowości, a następnie naukę kontynuowała w Liceum Ogólnokształcącym im. M. Kopernika w Parczewie, gdzie w 1966 r. uzyskała świadectwo dojrzałości. W okresie szkolnym zrodziły się Jej pierwsze fascynacje sportem. Należała do grona uczniów, którzy obdarzeni byli ogólną sprawnością fizyczną. Uczestniczyła w życiu sportowym szkoły i reprezentowała ją na wszelkiego rodzaju zawodach lokalnych.

Zgodnie z zainteresowaniem od 1 X 1966 r. do 31 VII 1967 r. pracowała jako nauczyciel wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej w Amelinie, a następnie w latach 1967–1971 odbywała studia na Wydziale Wychowania Fizycznego AWF w Warszawie. Po przedstawieniu pracy *„Niektóre uwarunkowania pomyślanej pracy tanecznego zespołu amatorskiego na przykładzie Zespołu Tańca Ludowego przy Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie”* dnia 18 czerwca 1971 r. uzyskała dyplom magistra wychowania fizycznego. W trakcie studiów była aktywnym członkiem Zespołu Pieśni i Tańca AWF, ukończyła specjalizację i zdobyła uprawnienia instruktorskie z tańców. Ponadto uzyskała dyplom instruktorski z rekreacji oraz biegów na orientację. W 1970 r. założyła rodzinę. W tym samym roku zatrudniła się jako nauczyciel akademicki w FAWF w Białej Podlaskiej. W krótkim okresie ujawniły się Jej zdolności organizacyjne i społecznikowskie. Pełniła funkcję Kierownika Zespołu Pieśni i Tańca „Podlasie” przy FAWF. Ze względu na pracę męża, zmieniła miejsce zamieszkania i w latach 1972-1975 pracowała jako nauczyciel wychowania fizycznego w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Parczewie.

Jej powrót do Filii AWF w Białej Podlaskiej nastąpił 1 września 1975 r. Do 1980 r. pracowała w Pracowni Praktyk, później w Pracowni Gier i Zabaw Ruchowych Zakładu Wychowania Fizycznego. Tym razem z Uczelnią związa-

ła się na dłużej, aż do odejścia na emeryturę dnia 31 stycznia 2009 r. Zgodnie z wymogami Ustawy o Szkolnictwie Wyższym przeszła wszystkie szczeble awansu zawodowego od asystenta do starszego wykładowcy. Mając ogromne doświadczenie pedagogiczne wyniesione z wcześniejszej pracy w szkołach, sprawdziła się jako organizator i opiekun praktyk pedagogicznych. Prowadziła otwarte lekcje z zabaw i gier oraz pokazy metodyczne m.in. podczas konferencji naukowych i metodycznych w bialskich szkołach. Prezentowała również swoje wystąpienia, a do ciekawszych należały „*Gry przygotowujące do palanta i kwadranta*” oraz „*Gry drużynowe i rekreacyjne – stare i zapomniane*”. Pod kierunkiem prof. dr hab. T. Wolańskiej podjęła próbę pracy naukowej, jednakże z przyczyn obiektywnych nigdy jej nie ukończyła.

Mgr Z. Bednarczuk była przede wszystkim doświadczonym dydaktykiem i cenionym pedagogiem. Zajęcia z gier i zabaw ruchowych prowadziła bardzo starannie, utrzymując bliskie kontakty z młodzieżą. Swoją osobowością, nie-naganną postawą moralno-etyczną oddziaływała na nią wychowawczo. Na obozach letnich pełniła funkcję kierownika d/s szkoleniowych i prowadziła gry terenowe. Organizowała obozy wędrownie. Odznaczała się dużym taktem pedagogicznym i wysoką kulturą. Jej urok osobisty, piękna, słowiańska uroda, zawsze uśmiechnięta twarz, życzliwość do otoczenia sprawiły, iż cieszyła się sympatią i autorytetem wśród studentów i współpracowników. To ogromna strata dla nas wszystkich i żal, że tak szybko nas opuściła. Nie zaszczyli już więcej swoją osobą „bali magisterskich”, na które tak chętnie była zapraszana. Posiadała też pasje społecznikowskie, nie były Jej obojętne problemy środowiska, w którym pracowała i żyła. Na terenie Uczelni od 1987 r. pełniła przez wiele lat funkcję Prezesa Rady Zakładowej ZNP, opiekuna roczników studenckich stacjonarnych i zaocznych, uczestniczyła w Komisjach Rekrutacyjnych i angażowała się w przygotowywanie inauguracyjnego roku akademickiego. W latach 80-tych dwukrotnie była radną miasta Biała Podlaska oraz aktywnym członkiem Komisji Oświaty i Wychowania, Kultury i Kultury Fizycznej. Od 1966 r. była członkiem PZPR. Za całokształt pracy odznaczona została: Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Odznaką za Zasługi dla Województwa Białkopodlaskiego, Brązową Odznaką za Zasługi dla Sportu.

Była zamężna (od 1970) z Ryszardem Bednarczukiem i miała dwoje dzieci: Monikę (1973) i Grzegorza (1976). Dzieci ukończyły ZWWF w Białej Podlaskiej i AWF w Warszawie, podtrzymując tym samym tradycję matki.

Zmarła 20 kwietnia 2010 r. w Białej Podlaskiej, spoczywa na Cmentarzu Katolickim w Parczewie.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Zapiski własne córki Moniki Saczuk, w posiadaniu autora.



CZESŁAW BOREJSZA
(22 V 1911 – 24 VIII 1985)

Urodził się 22 maja 1911 r. w Wilnie, w rodzinie rzemieślniczej Feliksa i Adeli z Rynkiewiczów. Szkołę Podstawową i Gimnazjum im. Joachima Lelewela ukończył w Wilnie, świadectwo dojrzałości uzyskał w 1931 r. W tym samym roku uczestniczył w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy. W 1933 r. ukończył Państwowy Kurs Nauczycielski, a następnie kurs dla podharcistrzów zuchowych w Nierodzimiu. W okresie młodzieńczym zrodziły się Jego pierwsze pasje sportowe, które pielęgnował przez całe życie: piłka nożna, siatkówka, strzelanie oraz gimnastyka. Równocześnie podejmował pracę jako nauczyciel wychowania fizycznego w Sześciłach w gminie Orla nad Niemnem, w Starzynkach oraz w Kamionce koło Grodna.

Brał udział w wojnie obronnej 1939 r. Podczas potyczki z Niemcami, 18 września 1939 r. został ranny pod Ryczywołem i internowany w oflagu II C w Woldenbergu, gdzie przebywał do 1945 r. Na terenie obozu angażował się w życie sportowe jeńców. Prowadził zajęcia z gimnastyki w grupie starszych oficerów. Należał do Klubu Sportowego „Kresy”, w którym trenował siatkówkę, boks, gimnastykę i lekką atletykę. Brał udział w obchodach Roku Olimpijskiego w 1944 r. w turnieju siatkówki i boksu. Ukończył Wyższy Kurs Wychowania Fizycznego.

Po wojnie, w 1945 r. podjął pracę w Liceum Ogólnokształcącym oraz Liceum Handlowym w Suwałkach jako nauczyciel wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego. W latach 1946–1948 studiował w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Dyplom magistra wychowania fizycznego otrzymał w 1951 r., natomiast stopień naukowy doktora nauk o wychowaniu fizycznym w 1966 r. Posiadał również tytuł trenera I klasy w podnoszeniu ciężarów oraz zapasach, trenera lekkiej atletyki i sędziego międzynarodowego w podnoszeniu ciężarów.

Bezpośrednio po studiach był nauczycielem akademickim warszawskiej AWF. Kierował Działem Atletyki i Samoobrony oraz Katedrą Ciężkiej Atletyki.

W 1969 r. przybył do Białej Podlaskiej, gdzie został kierownikiem Zakładu Wychowania Fizycznego i Sportu oraz dziekanem na kierunku wychowanie fizyczne z nauczaniem początkowym w nowoutworzonym Wyższym Studium Nauczycielskim Filii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Po przekształceniu, w 1970 r. WSN w Filię warszawskiej AWF, pozostał dziekanem do 1978 r. W 1973 r. został powołany na stanowisko docenta kontraktowego w F AWF w Białej Podlaskiej. Prowadził zajęcia z lekkiej atletyki, gier i zabaw ruchowych oraz z historii kultury fizycznej. Wypromował wielu magistrów, instruktorów i trenerów sportowych. Był aktywnym działaczem i propagatorem sportów atletycznych na Podlasiu; założył sekcję podnoszenia ciężarów przy LZS „Krzna” oraz współtworzył Klub Sportowy AZS przy F AWF. Współpracował z Polskim Związkiem Atletycznym i Głównym Urzędem Kultury Fizycznej. Był organizatorem imprez sportowych o zasięgu międzynarodowym. W 1956 r. został powołany do władz Międzynarodowej Federacji Podnoszenia Ciężarów (FIHC).

Doc. dr Cz. Borejsza opublikował ponad 70 doniesień naukowych, podręczników, skryptów oraz filmów szkoleniowych, scenariuszy i dokumentacji urządzeń sportowych. Wśród ważniejszych prac należy wymienić: *Przyczynki do historii sztangi*, „Wychowanie Fizyczne” 1953, nr 11; *Władysław Pytlasiński i jego trening*. Warszawa 1964; *Atletyka (podręcznik dla studentów WSWF)*, Warszawa 1965; *Przepisy walki zapasniczej*, Warszawa 1955; *Przepisy sportowe w podnoszeniu ciężarów*, Warszawa 1959; *Trójbój olimpijski. Scenariusz i film szkoleniowy na zlecenie PKO*, Warszawa 1956.

Po przejściu na emeryturę, w 1978 r. wyjechał na Podhale, do Nowego Targu, gdzie nadal aktywnie uczestniczył w działalności Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, Lidze Obrony Kraju i ZHP. Ze względów rodzinnych, w 1984 r. powrócił do Białej Podlaskiej i podjął pracę w ZWWF.

Za całokształt dokonań w pracy zawodowej i społecznej odznaczony został m. in.: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem 10-lecia PRL, Medalem 30-lecia PRL, Brązowym Medalem za Zasługi dla Obronności Kraju, Medalem za Udział w Wojnie Obronnej 1939, Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945, Odznaką Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej, Odznaką Stulecia Sportu Polskiego, Honorową Plakietką AWF za długoletnią pracę zawodową i społeczną, Złotą Odznaką Zasłużony Działacz LOK. Otrzymał również wiele nagród, wyróżnień i listów gratulacyjnych.

Doświadczenia wojenne spowodowały, iż miał ogromną pokorę w stosunku do otaczającego go świata; kochał życie, a zwłaszcza były mu bliskie problemy dzieci, którym był oddany bezgranicznie. Opowieściami, jak również własnym przykładem spartańskiego wychowania, inspirował „brać studencką” do zdrowego stylu życia. Cieszył się wśród studentów wielkim szacunkiem.

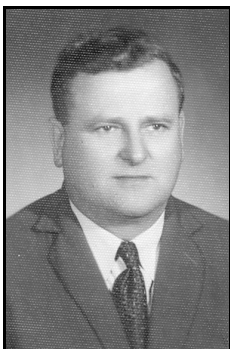
Czesław Borejsza był dwukrotnie żonaty, po raz pierwszy ze Scholastyką z d. Radzewicz, z którą miał dwie córki: Bogusławę i Teresę. Po raz drugi,

z Marią Oleś, z którą miał pięcioro dzieci (dwoje adoptowanych): Krzysztofa, Marzenę, Annę, Stanisława i Beatę.

Zmarł 24 sierpnia 1985 r., spoczywa na Cmentarzu Parafialnym przy ul. Nowej w Białej Podlaskiej.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Z. Cicirko, Borejsza Czesław (1911 - 1985), Słownik biograficzny wychowania fizycznego i sportu „Wychowanie Fizyczne i Sport” 1988, Nr 2, s. 143 – 144; Z. Cicirko, Borejsza Czesław (1985), nauczyciel akademicki, działacz i popularyzator sportów atletycznych, Białkopodlaski Biograficzny Słownik Sportowy Biała Podlaska 1988 s. 14 – 17; Z. Cicirko, R. Cieśliński, Czesław Borejsza (1911 – 1985), Słownik Biograficzny Pracowników CIWF i AWF, Warszawa 2000, T II, s. 9 – 11



LUCJAN BUKAŁA
(6 V 1918 – 17 V 1982)

Lucjan Bukała urodził się 6 maja 1918 r. w Wojnowicach na Kielecczyźnie, w wielodzietnej rodzinie chłopskiej Józefa i Anny z d. Młynarczyk. Szkołę powszechną ukończył w miejscu zamieszkania. W latach 1929–1937 uczęszczał do 8-klasowego Państwowego Gimnazjum Ogólnokształcącego im. J. Chreptowicza w Ostrowcu Świętokrzyskim. Egzamin dojrzałości zdał przed Państwową Komisją Okręgową w Krakowie w 1937 r.

Od 1 listopada 1937 r. do 31 sierpnia 1939 r. odbywał służbę wojskową w Szkole Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie w eskadrze pilotażu. Po napaści Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r., podczas przemieszczania się XIII Eskadry Obserwacyjnej, w której pełnił funkcję pilota obserwatora, został schwytany pod Przemyślem do niewoli niemieckiej. Po udanej ucieczce zaangażował się w prace konspiracyjne w rodzinnej miejscowości. Był organizatorem i nauczycielem tajnego nauczania. Brał czynny udział w Związku Walki Zbrojnej, a następnie w Batalionach Chłopskich. W 1942 r. rozpoczął w Warszawie studia z zakresu medycyny na Tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Od 25 stycznia do 9 maja 1945 r. powtórnie wstąpił w szeregi II Armii WP VIII Dywizji Piechoty 37 Pułku Artylerii Lekkiej. Walczył z Niemcami pod Budziszynem, gdzie został ranny. W latach 1945–1946 uczestniczył w walkach zbrojnych z Ukraińską Armią Powstańczą na terenie woj. krośnieńskiego w stopniu kapitana WP.

Po wyzwoleniu Lublina, studia medyczne kontynuował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, uzyskując w marcu 1947 r. dyplom lekarza medycyny. Pracę zawodową rozpoczął w II Klinice Chorób Wewnętrznych na stanowisku asystenta. Dalsze szczeble kariery zawodowej, aż do adiunkta, zdobywał, w latach 1947–1953 w I Klinice Położnictwa i Chorób Kobięcych Akademii Medycznej. Po przedstawieniu dysertacji „O wewnątrzmacicznym kwileniu płodu”, 5 maja 1949 r. Wydział Lekarski UMCS nadał Mu tytuł doktora medycyny.

Dalsze swe losy, aż do ostatnich dni życia związał z Białą Podlaską. W latach 1953-1960 pełnił odpowiedzialną funkcję dyrektora Szpitala Miejskiego im. M. Kopernika, a następnie do 1975 r. Ordynatora Oddziału Ginekologii i Położnictwa. Równocześnie od 1953 r. był Inspektorem Powiatowym w zakresie położnictwa i ginekologii.

Z Filią AWF w Białej Podlaskiej związał się w latach 1972–1980, podejmując pracę na stanowisku adiunkta, później docenta w Zakładzie Nauk Biomedycznych. Pełnił Funkcję Kierownika Pracowni Biomechaniki i Sportu, a następnie Pracowni Medycyny Wychowania Fizycznego i Sportu oraz Higieny Wychowania Zdrowotnego. W tym samym okresie prowadził praktykę lekarską w Zespole Opieki Zdrowotnej i Społecznej Przychodni Akademickiej AWF. W trakcie pracy pedagogiczno-dydaktycznej ze studentami okazał się człowiekiem wyrozumiałym i życzliwym. Prowadził zajęcia z zakresu biomechaniki sportu, wykłady monograficzne i seminaria magisterskie. Jego spotkania ze studentami cieszyły się ogromną popularnością, a sale wykładowe były przepełnione słuchaczami, z wiadomych względów, znanych tylko braci studenckiej. Wykształcił 88 magistrów wychowania fizycznego. Swoje dociekania badawcze publikował na łamach takich czasopism, jak: „Ginekologia Polska”, „Annales UMCS”, „Służba Zdrowia”.

Był aktywnym działaczem społecznym m. in.: Przewodniczącym Białskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, Prezesem i Wiceprezesem Związków Oficerów Rezerwy. W latach 1935 – 1937 Członkiem ZMW „Wici”, 1940 – 1943 ZWZ i BCh, od 1950r. członkiem Stronnictwa Demokratycznego, od 1966 r. członkiem ZBOWID.

Za udział w walkach na froncie, 28 września 1978 r. dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego gen. Dywizji Włodzimierz Oliwa podniósł Go do rangi majora WP. Za działalność społeczną otrzymał wiele odznaczeń i wyróżnień m.in.: Medal za udział w walkach o Berlin (1966), Brązowy Medal Zasłużonym na Polu Chwały (1970), Krzyż Partyzancki (1976), Brązowy Medal za Zasługi dla Obronności Kraju (1977).

Był żonaty z Krystyną z d. Makaluk, z którą miał dwie córki: Halinę (1944) i Annę (1947), obie podtrzymują tradycję rodzinną i pracują w zawodzie lekarza.

Zmarł nagle 17 maja 1982 r., jest pochowany w rodzinnym grobie w Wojciechowicach powiat Opatów.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej,teczka akt osobowych; Pamiątki i dokumenty rodzinne w posiadaniu K. Bukały, Z. Cicirko, Lucjan Bukała (6 V 1918 – 17 V 1982), Rocznik Naukowy ZWWF 2002, T. IX, s. 385-387



JANUSZ JULIUSZ CHARYTONIUK
(2 I 1931 – 5 III 1996)

Urodził się 2 stycznia 1931 r. w Telechanach (powiat Kosów, były ZSRR) w rodzinie nauczycielskiej Aleksandra i Bronisławy z d. Denasiewicz. W 1940 roku wraz z rodzicami został ewakuowany na okres wojny do Kazachstanu, gdzie przebywał do 1946 r. W tym niezwykle trudnym okresie zaliczył sześć klas szkoły podstawowej, którą ukończył w Piszczacu po powrocie do kraju. Naukę na poziomie szkoły średniej zdobywał w latach 1946-1951 w Liceum Ogólnokształcącym im. J.I. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej.

W latach 1951-1955 studiował chemię na Wydziale Matematyczno-Chemicznym UMCS w Lublinie. Dnia 21 czerwca 1955 r. uzyskał stopień magistra chemii. Należał do niezwykle uzdolnionych i pracowitych studentów. Wszystkie egzaminy zdawał na oceny bardzo dobre. Będąc na IV roku studiów pracował już w Katedrze Chemii Organicznej UMCS, na stanowisku młodszego asystenta. Następnie został zatrudniony w Instytucie Badań Jądrowych PAN w Warszawie, jako pracownik naukowy. Sytuacja rodzinna (śmierć ojca i ciężka choroba matki) zmusiła Go do powrotu do Białej Podlaskiej. W latach 1956-1974 był cenionym i szanowanym nauczycielem w L.O. im. J.I. Kraszewskiego. Równocześnie od 1963 r. prowadził ćwiczenia i laboratoria z chemii ze studentami Akademii Rolniczej Punkt Konsultacyjny w Białej Podlaskiej.

Od 1 września 1974 r. do 30 września 1995 r. pracował w ZWWF na stanowisku starszego wykładowcy, aż do momentu odejścia na emeryturę. Prowadził wykłady, ćwiczenia i egzaminy z biochemii. Należał do grona wybitnych dydaktyków o wysokim poziomie wiedzy fachowej. Wcześniejsze doświadczenia wyniesione z pracy w szkole miały z pewnością ogromny wpływ na to, że był „belfrem” w jak najlepszym tego słowa znaczeniu. Z pozoru nieprzystępny, wymagający, konsekwentny, ale jednocześnie prawy i uczciwy. Znany był z wyjątkowej punktualności, którą wpajał również studentom, co przy zajęciach laboratoryjnych nie było bez znaczenia. Spóźnienie się na zajęcia oznaczało przysłowiowe „pocałowanie klamki”. Był autentycznym wzorem nauczy-

ciela akademickiego, cenionym i szanowanym przez studentów. Ze względu na słaby stan zdrowia zrezygnował z pracy naukowej, publikując sześć artykułów. Jego potencjał naukowy nie został w pełni wykorzystany. Władał biegle dwoma językami: niemieckim i rosyjskim.

W społeczeństwie bialskim cieszył się dużym zaufaniem, pełnił funkcję przewodniczącego Obwodowej Komisji Wyborczej (1957, 1961, 1966). Był członkiem ZNP, PTNKF oraz Koła Oficerów Rezerwy. Za swe zasługi został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Medalem 40-lecia PRL, Jubileuszowym Nagrodowym Medalem 500-lecia Białej Podlaskiej, Odznaką za Zasługi dla Województwa białkopodlaskiego.

Był żonaty z Anielą z d. Połec, miał dwóch synów: Marka (1958) i Wojciecha (1961).

Zmarł 5 marca 1996 r.; został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Białej Podlaskiej.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Dokumenty w posiadaniu żony Anieli Charytoniuk.



MIROSLAW CHICEWICZ
(6 VI 1921 – 28 II 1981)

Mirosław Chicewicz urodził się 6 czerwca 1921 r. w Breźnie (na Wileńszczyźnie) jako syn Maksymiliana i Jadwigi z Kracherów. Szkołę powszechną i gimnazjum ukończył w Nowogródku, maturę zaś zdobył w 1939 r. w Wilnie.

Lata wojny i okupacji spędził w Warszawie oraz we wsi Piaszczyce, powiat Radomsko. Będąc z dala od rodziny i najbliższych, w celu zdobycia środków do życia podejmował się różnorodnych prac najemczych. W okresie tym związał się z podziemiem i aktywnie uczestniczył w działalności AK, ukończył też tajną podchorążówkę. Podczas obławy, w styczniu 1944 r. został schwytyany przez żandarmerię niemiecką i wywieziony na prace przymusowe do Łotwy. Po udanej ucieczce przybył do Białegostoku i pracował krótko jako zastępca komendanta posterunku MO. W 1966 roku zamieszkał wraz z rodziną w Gdańsku.

W latach 1945–1952 studiował w Uniwersytecie M. Kopernika w Toruniu na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym i uzyskał tytuł magistra filozofii z zakresu zoologii wraz z anatomią porównawczą. Równolegle pracował, do 1948 r. jako zastępca asystenta w Katedrze Anatomii Porównawczej. Swą pracę zawodową wiązał kolejno z następującymi miastami: AM w Gdańsku (1948–1951), WSR w Olsztynie (1952–1962) i UMCS w Lublinie (1962–1972). Był typowym przykładem dawnej „szkoły profesorskiej”, posiadał kompletną wiedzę i zmysł organizacyjny, dlatego też pełnił w powyższych placówkach odpowiedzialne funkcje kierownicze. Tytuł doktora nauk biomedycznych uzyskał w 1958 r. na Wydziale Biologii i Nauki o Ziemi przy Uniwersytecie w Łodzi. Po przedstawieniu dorobku naukowego i rozprawy habilitacyjnej *Badania nad mechanizmem zmiany barwy skorupiaków*, Uchwałą Rady Wydziału Rybackiego Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie z dnia 28 czerwca 1960 r. otrzymał stopień naukowy docenta doktora habilitowanego. W okresie tym był inicjatorem i organizatorem wielu przedsięwzięć naukowych oraz specjalistycznych laboratoriów i pracowni. Uczestniczył w wielu stażach

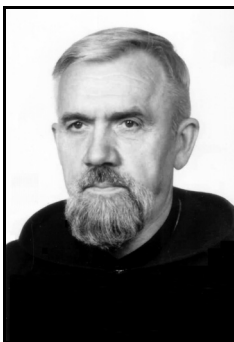
zagranicznych, sympozjach i konferencjach naukowych. Zajmował się hodowlą tkanek „in vitro” oraz kinematografią mikroskopową; w tym zakresie wiedzy znany był w środowisku naukowym i posiadał osiągnięcia na skalę światową. Publikował w czasopismach specjalistycznych i popularnych w kraju i za granicą. Do ważniejszych Jego opracowań należały: *Wpływ promieni ultrafioletowych na hormony chromatoforotropowe krewetki Crangon crangon L.*, „Endokrynologia Polska” 1952, T. III; *The response to light of the white pigmentary cells and xanthophores of the crustaceans*. Studia Soc. Sc. Torunensis E. 1956, vol. III; *Badania nad przeszczepialną, złośliwą melanomą chomika złocistego*, 7), część I, *Badania nad komórkami amelanomy hodowanej in vitro*, Polskie Arch. Weterynaryjne, 1969/70, Nr 12, 3-4; *Komórki guza amelanotycznego w hodowli in vitro*, materiały IX Zjazdu Pol. Tow. Zoologicznego, Lublin 1969; *Terminologia prawidłowych i patologicznych melanocytów*. „Przegląd Dermatologiczny” 1970, LVII, 2; *Wpływ aeuromycyny na hodowlę tkanek zwierzęcych*, „Wszechświat” 1952. Wspólnie z Wytwórnią Filmów Oświatowych był autorem filmu pt. *Życie poza organizmem* (1959), traktującego o hodowli tkanek. Działał w licznych towarzystwach naukowych i społecznych: był sekretarzem Zarządu Polskiego Towarzystwa Zoologicznego Oddział w Olsztynie, jak również przewodniczącym Oddziału w Lublinie; członkiem Lubelskiego Towarzystwa Naukowego i kolegium redakcyjnego *Folis Soc. Sc. Lublinensis*; członkiem Zarządu Głównego ZNP w Warszawie; pierwszym sekretarzem OOP przy Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi w Lublinie.

Doc. dr hab. M. Chicewicz związał się Białą Podlaską, gdzie z dniem 1 sierpnia 1970 r., podjął pracę w Filii AWF, w Zakładzie Nauk Biomedycznych w Pracowni Anatomii. W latach 1975–1977 kierował Pracownią Biologii i Antropologii. W „okresie białskim” dał się poznać jako kompetentny dydaktyk i pedagog. Jego wykłady z anatomii i biologii były niezwykle interesujące i poparte własnymi badaniami naukowymi. Posiadał ogromny czar osobisty, wysoką kulturę i umiejętność komunikowania się ze środowiskiem. Wypromował ponad 70 prac magisterskich. Był lubianym i cenionym kolegą i nauczycielem akademickim. Dotknięty ciężką chorobą, 13 maja 1978 r. opuścił Filię AWF i przeszedł na rentę.

Był żonaty, od 1963 r. z Anną z d. Tirk, posiadał syna Macieja. Zmarł 28 lutego 1981 r. w Gdańsku.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych



JERZY MARIAN CYGAN
(13 IV 1924 – 18 VI 2006)

Urodził się 13 kwietnia 1924 r. w Sobieniach Szlacheckich, jako syn Józefa i Marianny z Karpiszów. Jego dzieciństwo było trudne, ponieważ bardzo wczesnie został osierocony przez matkę. Dzięki rodzicom i hrabinie Zofii Jezierskiej, w majątku której pracował jako stangret Jego ojciec, uzyskał maturę na tajnych kompletach (jesienią 1942 r.). Ukończył również Szkołę Zawodową II stopnia w Szymanowie k. Sochaczewa i pracował w majątkach rolnych. W czasie wojny został zaprzysiężony w oddziale Armii Krajowej na terenie Okręgu Krakowskiego. Jesienią 1940 r. został zesłany na roboty przymusowe do Niemiec. 3 października 1945 r. wstąpił do zakonu kapucynów komisariatu warszawskiego, przybierając imię o. Mariana. Świecenia kapłańskie, z rąk bp. Piotra Kałwy przyjął 24 czerwca 1951 r. w Lublinie. Za życiową dewizę uznał słowa z Listu do Filipian: „Dla mnie bowiem żyć, to Chrystus”.

Rozwój intelektualno-naukowy kontynuował na Wydziale Filozoficznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i tu po raz pierwszy spotkał biskupa krakowskiego prof. Karola Wojtyłę. Był przyjacielem papieża Jana Pawła II, łączyło ich zamilowanie do filozofii, wielokrotnie dyskutowali o zawilosciach nauk Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu. W latach 1954-1969 był wykładowcą etyki i filozofii w łomżyńskim Klasztorze Kapucynów. Równocześnie, pod kierunkiem prof. Świeżawskiego pisał pracę, opartą na nowoodkrytych źródłach rękopiśmiennych w Hanowerze pt. „*Kosmologia Waleriana Magniego*”. Na Wydziale Filozoficznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, 18 października 1960 r. otrzymał tytuł doktora. W latach 1967-68 odbył podróż naukowo-rozpoznawczą do Wiednia, Wenecji, Rzymu i Salzburga. W 1969 r., jako pierwszy w historii Polak został pracownikiem Instytutu Historycznego w Rzymie, w roli Członka Rzeczywistego. Przebywał tam do kwietnia 1989r. W latach 1971-1976 pełnił funkcję wicesekretarza grupy słowiańsko-węgierskiej w Kurii Generalnej Ojców Kapucynów, pełniąc równocześnie posługę duszpasterską i rolę tłumacza. Podczas całego pobytu w Rzymie, ojciec dr Jerzy Cygan prowa-

dził badania naukowe na temat życia, działalności, poglądów Waleriana Magniego oraz nad historią kapucynów w XVII-wiecznej Polsce i w krajach ościennych.

W roku 1989 powrócił do Polski i zamieszkał w Warszawie, pozostając nadal członkiem – korespondentem (socio esterno) Instytutu Historycznego Zakonu Kapucynów w Rzymie. Po przedstawieniu książki o W. Magnim, wydanej w języku łacińskim w Rzymie i kilku dodatkowych rozpraw Rada Wydziału Kościelnych Nauk Historycznych i Społecznych ATK w Warszawie, przyznała Mu 5 kwietnia 1990 r. stopień doktora habilitowanego nauk humanistycznych, zatwierdzony przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną przy Prezesie Rady Ministrów (29 października 1990).

Za bardzo ważny w życiu o. dra hab. J.M. Cygana należy uznać „okres biały”, który trwał od 1990 do 2006 roku. Według bohatera niniejszego opracowania, był to najznakomitszy czas efektywnej pracy duszpasterskiej, naukowej i organizacyjnej. Biała Podlaska była dla Niego „oaza szczęścia”, w której bez przeszkód mógł wielbić Boga, czyniąc modlitwą również swoją pracę naukową. Z dniem 1 października 1991 r. został zatrudniony w Instytucie Wychowania Fizycznego w charakterze profesora nadzwyczajnego na stanowisku kierownika Pracowni Filozofii i Socjologii. Został też członkiem senatu Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. W okresie tym był jedynym na świecie kapucynem, profesorem w uczelni wychowania fizycznego. Od tego momentu o. prof. Cygan stawał się znanym mieszkańcem Białej Podlaskiej, Siedlec i całego Południowego Podlasia. Umiejętnie łączył obowiązki duchownego z obowiązkami uczonego i pracą dydaktyczno-wychowawczą. Wykładał filozofię i etykę. Cieszył się powszechnym szacunkiem i zaufaniem, był lubiany i doceniany przez studentów, jednocześnie srogi i wymagający, zwłaszcza dla swoich magistrantów. Zawsze służył im pomocą i radą. Zasłynął ze sposobu pozdrawiania się ze studentami, gdy go zapytali, w jaki sposób mają Go pozdrawiać, odpowiedział: „*Tak, jak nie lubili hitlerowcy: Króluj nam Chryste*” – a On im odpowiadał: „*Zawsze i wszędzie*”. W 2003 r. przeszedł na emeryturę i był częstym, oczekiwanym i mile widzianym gościem w ZWWF.

Poza działalnością duszpasterską, dydaktyczną i naukową angażował się w działalność społeczną: był współorganizatorem Oddziału Białkopodlaskiego Ludowego Towarzystwa Naukowo-Kulturalnego, uczestniczył w pracy Koła Białczan, Polskiego Towarzystwa Naukowego Kultury Fizycznej, Uniwersytetu III Wieku.

Ojciec, prof. dr hab. Jerzy Cygan był wybitnym uczonym filozofem i historykiem znanym w Europie i Ameryce Południowej. Znał język niemiecki, włoski i łaciński. Należał do grona znanych i szanowanych profesorów. Jego przyjaciel Mariusz Rombel tak o Nim napisał: „*Nauka polska poniosła ogromną stratę po śmierci najznakomitszego człowieka i kapłana, wywodzącego się z Sobień. Pozostawił lokalnej społeczności nieoceniony skarb, jakim jest monografia*

parafii sobieńskiej. Dziś już poznał odpowiedzi na wiele pytań z filozofii i historii, nierozwikłanych za życia ziemskiego i w przekonaniu wielu ludzi oręduje za nami w niebie.” W swoim dorobku naukowym pozostawił 112 monografii, studiów i rozpraw, około 100 artykułów naukowych, ponad 300 recenzji europejskiej i polskiej literatury filozoficznej i historycznej, opublikował ponad 50 prac, większość z nich o Podlasiu Południowym, za co m.in. w 1995 r. otrzymał nagrodę im. Ludomira Benedyktowicza w dziedzinie literacko-naukowej. Za działalność społeczną przyznano mu wiele odznaczeń, medali i wyróżnień m. in.: Krzyż Orderu Odrodzenia Polski,

Zmarł 18 czerwca 2006 r. w Lublinie; został pochowany w zbiorowej mogile kapucyńskiej na Cmentarzu Parafialnym, przy ulicy Nowej w Białej Podlaskiej.

Podczas Święta Uczelni 16 listopada 2007 roku Sali Wykładowej nr 1 w Domu Studenta przy ul. 34 Pułku Piechoty nadano imię O. prof. Jerzego Mariana Cygana.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych, M. Rombel Odszedł ojciec profesor Jerzy Marian Cygan (w:) „Linia Otwocka” 2006, Nr 26/426, s.16; H. Mierzwiński Wierny Kościołowi i Ojczyźnie. Pro memoria o. prof. dr hab. Jerzego Mariana Cygana OFM Cap. – wybitnego Polaka i Europejczyka, Rocznik Naukowy ZWWF Biała Podlaska 2006, T.XIII, s. 251-266; Sz. Kalinowski, Ojciec Marian Jerzy Cygan (1924-2006), Rocznik Międzyrzecki 2006, T. XXXVII, s. 26



KAZIMIERZ CZAJKOWSKI
(7 III 1915 – 27 VIII 1978)

Urodził się 7 marca 1915 r. w rodzinie robotniczej Gustawa i Joanny z d. Ratajczyk. W 1934 r. ukończył Seminarium Nauczycielskie w Poznaniu, po czym objął posadę nauczyciela na Wołyniu. Dalszą pracę pedagogiczną kontynuował w Centralnej Szkole Harcerskiej w Górkach Wielkich na Śląsku, gdzie pod kierunkiem Aleksandra Kamińskiego uczestniczył w badaniach naukowych, związanych ze stosowaniem metody harcerskiej w nauczaniu i wychowaniu dzieci i młodzieży. Okres okupacji spędził na robotach przymusowych w Niemczech.

W latach 1946–1949 podjął studia w Wyższej Szkole Higieny Psychiczej w Warszawie. Równocześnie kończył studia na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Filozoficzno-Społecznym, uzyskując w 1952 r. tytuł magistra filozofii w zakresie pedagogiki. Po przedstawieniu w 1964 r. dysertacji na temat: „Wykorzystanie doświadczenia A. Makarenki w pracy domów dziecka w Polsce” uzyskał stopień doktora nauk pedagogicznych, zaś w 1975 r. za pracę „Kształtowanie uzdolnień uczniów klas niższych szkoły podstawowej. Z badań i doświadczeń kompleksowego eksperymentu w Białej Podlaskiej” stopień doktora habilitowanego.

K. Czajkowski kochał dzieci i młodzież; całe swoje życie związał z placówkami opiekuńczymi, wychowawczymi i dydaktycznymi, podejmując pracę w różnych instytucjach, najczęściej na stanowiskach kierowniczych. Był wizytatorem w Ministerstwie Oświaty i Wychowania, kierownikiem Sekcji Opieki nad Dzieckiem i Pedagogiki w Centralnym Ośrodku Doskonalenia Kadr Oświatowych, dyrektorem pedagogicznym Pałacu Młodzieży w Warszawie. Od 1959 roku podjął pracę w Studium Nauczycielskim w Warszawie jako wykładowca pedagogiki. W latach 1964–1966 pracował na stanowisku inspektora szkolnego w Warszawie – Śródmieściu. Następnie, przez kolejne trzy lata związał się z pomaturalną Szkołą Pracowników Socjalnych w Warszawie, gdzie piastował stanowisko dyrektora.

Od 1969 r. w Jego pracy zawodowej rozpoczął się „okres bialski”, który mocno utkwiał w pamięci współpracowników i studentów wychowania fizycznego. Przybył człowiek charyzmatyczny, ogromny autorytet pedagogiczny, specjalista w zakresie opieki nad dzieckiem i wychowania pozaszkolnego, nauczyciel akademicki powszechnie lubiany i doceniany. Został zatrudniony na stałe w Wyższym Studium Nauczycielskim, a następnie w Filii AWF w Białej Podlaskiej. Pełnił kolejno obowiązki dziekana Wydziału Nauczania Początkowego, kierownika ds. studenckich, a następnie, w latach 1973- 1977 prodziekana ds. dydaktyki. Równocześnie kierował Zakładem Nauczania Początkowego, a później Zakładem Nauk Humanistycznych. Ponadto, w latach 1974–1976 prowadził wykłady na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS w Lublinie.

Jako nauczyciel akademicki wykazywał dużą aktywność dydaktyczno-naukową. Wspierał studencki ruch naukowy. Był promotorem 146 prac magisterskich i jednej pracy doktorskiej. Dostanie się na seminarium magisterskie do „Mistrza” było wyjątkowym szczęściem, a spotkania przez Niego kierowane można określić z perspektywy czasu za doskonałą ucztę intelektualną, która przebiegała w miłej atmosferze, urozmaicanej często grą na pianinie. Był blisko swoich studentów. Wszyscy kochali doc. Czajkowskiego za doskonały dowcip i za „skreślenia z listy skreślonych – ołówkiem”. Otaczał szczególną opieką młodych pracowników nauki, był inicjatorem comiesięcznych spotkań naukowych, na których prezentowano dorobek naukowy pracowników Filii AWF. Aktywnie uczestniczył w sympozjach naukowych w kraju i za granicą, był autorem wielu eksperymentów pedagogicznych. Wyniki swych badań publikował na łamach takich czasopism jak: „Nowa Szkoła”, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” (był również jego założycielem), „Życie Szkoły”, „Wychowanie”, „Kultura Fizyczna”. Do ważniejszych prac zwartych należą: *Pozaszkolna praca opiekuńczo-wychowawcza*, Warszawa 1970; *Wychowanie i nauczanie w klasach niższych szkoły podstawowej. Z doświadczeń nauczania metodą grup dydaktyczno – wychowawczych*, Warszawa 1971; *Wychowanie na placówkach czasów dziecięcych*, Warszawa 1978; *Wychowanie do rekreacji*, Warszawa 1979.

W środowisku bialskim był aktywnym działaczem społeczno-politycznym. Otrzymał wiele odznaczeń i wyróżnień m.in. Kawalerski Order Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Oznakę Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej, Medal im. Henryka Jordana, Medal XXX –lecia PRL, Złotą Odznakę za Zasługi dla Warszawy, Złotą Odznakę ZNP, Złotą Odznakę TKKS. Był członkiem PPR, później PZPR.

Zonaty z Czesławą z d. Rybacką, miał dwoje dzieci: Marka i Małgorzatę. Zmarł 27 sierpnia 1978 r.; został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Warszawie – Wólka Węglowa.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej,teczka akt osobowych; Relacja doc. dr D. Nałęczkiej (w posiadaniu autora); Z. Cicirko, Białkopodlaski biograficzny słownik sportowy, Biała Podlaska 1998 r., s. 31-33; Z. Cicirko, Czajkowski K. (1915–1978), Słownik biograficzny wychowania fizycznego i sportu, „Wychowanie Fizyczne i Sport” 1985, Nr 3, s. 118-



JULIUSZ MARIAN CZAPLICKI
(10 V 1925 – 13 V 2000)

Juliusz Marian Czaplicki urodził się 10 maja 1925 r. w majątku Maje (pow. Przasnysz, woj. mazowieckie), w rodzinie Adama Wojtka i Barbary z d. Wolskiej. Ojciec zajmował się dużym gospodarstwem rolnym (Sułów), matka zaś była nauczycielką. Szkołę powszechną i gimnazjum ukończył w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie mieszkali jego dziadkowie po linii matki. Wybuch wojny 1939 r. przerwał dalszą naukę. Powrócił do rodzinnej miejscowości i zaangażował się w walkę obronną, włączając się w działalność konspiracyjną oddziału AK.

W 1946 r. przybył do Wrocławia i zatrudnił się we Wrocławskiej Dyrekcji Odbudowy, a później w Banku Rolniczym. Równocześnie w trybie wieczorowym ukończył Liceum Matematyczno-Przyrodnicze i uzyskał w 1948 r. świadectwo dojrzałości. W latach 1948-1952 studiował na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego i po obronie pracy magisterskiej nt. *„Rola i znaczenie pierwiastków śladowych w świecie zwierząt”* uzyskał tytuł magistra. W okresie studiów był czynnym zawodnikiem AZS-u Wrocław (sekcja pływacka). Startował na dystansach 100 i 200 m stylem dowolnym, uzyskując dobre rezultaty. Dalszą pracę zawodową kontynuował w Szpitalu Powiatowym w Szczytnie. Zorganizował tam specjalistyczne Laboratorium Analityczne, przeszkolił personel i zdobył niezbędny sprzęt do prowadzenia badań. W 1955 r. zmienił miejsce zamieszkania i przeniósł się do Białej Podlaskiej. Od podstaw tworzył Laboratorium Bakteriologiczne w Szpitalu Miejskim, w Przychodni Powiatowej oraz w Przychodni Lekarskiej PKP. J.Czaplicki należał do grona najlepszych specjalistów z zakresu analityki, swą wiedzę i doświadczenia publikował w tym okresie na łamach czasopism naukowych i popularnonaukowych.

Z Filią Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej związał się w 1970r., gdzie został zatrudniony w Zakładzie Nauk Biologicznych na stanowisku starszego asystenta. Pracę doktorską, napisaną pod kierunkiem prof. dra

hab. Wiesława Romanowskiego obronił w 1973 r. i został mianowany na stanowisko docenta kontraktowego. Prowadził ze studentami zajęcia dydaktyczne – wykłady i ćwiczenia z zakresu fizjologii człowieka. Swoją wiedzą, postawą, zaangażowaniem potrafił zbliżyć do siebie szerokie grono studentów. Wypromował około 130 magistrów wychowania fizycznego. Z Jego inicjatywy powstało Studenckie Koło Naukowe Młodych Fizjologów, które odnosilo sukcesy na Konferencjach i Sympozjach Studenckich Kół Naukowych, częstokroć zdobywając pierwsze miejsca w sekcjach biologiczno-medycznych. Był inicjatorem Wydawnictwa Naukowego FAWF, a od 1976 r. członkiem Kolegium Redakcyjnego Roczników Naukowych AWF w Warszawie. Na terenie uczelni pełnił odpowiedzialne funkcje: od września 1981 r. był dziekanem Filii FAWF w Białej Podlaskiej, a po jej przekształceniu w ZWWF prodziekanem ds. studiów zaocznych i dwuetapowych.

Przez cały okres pracy zawodowej prowadził badania naukowe, które przedstawił w przygotowanej rozprawie habilitacyjnej na temat „*Leukergia a wysiłek fizyczny*” w Akademii Medycznej w Lublinie, jednakże Centralna Komisja Kwalifikacyjna (CKK) nie zatwierdziła tytułu doktora habilitowanego. Decyzja ta była niewątpliwie krzywdząca i przyspieszyła niektóre Jego decyzje, jak chociażby odejście w lutym 1992 r. na emeryturę. Z dydaktyką nie rozstał się definitywnie, kontynuował nadal wykłady z fizjologii ogólnej i sportu oraz kierował pracami magisterskimi i dyplomowymi w Zakładzie Nauk Medycznych na 1/2 etatu.

Dorobek naukowy J. Czaplickiego jest bogaty i liczy ponad 100 publikacji i opracowań. W głównej mierze dotyczy wszelkiego rodzaju badań związanych z leukergią i praktycznym wykorzystaniu wyników w treningu sportowym. Zajmował się również zagadnieniami metodycznymi, a zwłaszcza analitycznymi, a także ogólnomedycznymi. Liczną grupę Jego prac stanowią doniesienia na temat wskaźników biochemiczno-fizjologicznych w warunkach zwiększonej aktywności fizycznej organizmu.

Poza pracą zawodową był zaangażowany w działalność społeczną na rzecz środowiska białkopodlaskiego. Zorganizował i kierował Punktem Krwiodawstwa przy Szpitalu Miejskim. Przez trzy kadencje był radnym Miejskiej Rady Narodowej, a od 1978 r. pełnił funkcję zastępcy Przewodniczącego M R N. Pracując w uczelni sportowej bliskie Mu były sprawy sportu akademickiego. Od 1947 r. związany był ze Stronnictwem Demokratycznym. Podczas pracy w FAWF należał do: ZNP, PTNKF, jako oficer rezerwy pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego Uczelnianego Koła Oficerów Rezerwy, oraz był członkiem Polskiego Towarzystwa Biochemicznego. W latach 1980–83 był prezesem KS AZS Biała Podlaska. Za działalność społeczno-polityczną, dydaktyczno-wychowawczą i naukową był wielokrotnie odznaczany i nagradzany: Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji, Odznaką „Za Zasługi dla województwa białkopodlaskiego”, Złotą

Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej”, pamiątkowym medalem „Za wybitne osiągnięcia w Ruchu Studenckim AWF Warszawa”.

Doc. dr J. Czaplicki był człowiekiem wielkiego serca. Swoją ogromną wiedzą, usposobieniem, osobistą kulturą potrafił zjednać wokół siebie całe środowisko akademickie. Był żonaty z Wandą z d. Mierzejewską, posiadał dwóch synów: Adama – obecnie pracownika naukowego białskiej uczelni w Zakładzie Biomechaniki i Informatyki oraz Jacka – cenionego specjalistę w dziedzinie ortopedii.

Zmarł 15 maja 2000 r.; został pochowany na Katolickim Cmentarzu Komunalnym w Białej Podlaskiej, Białka.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; M.Bytniewski, Juliusz Marian Czaplicki (10 V 1925 – 13 V 2000), Rocznik Naukowy IWFIS, Biała Podlaska 2000, s. 381-385.



TADEUSZ DOBRZAŃSKI
(27 IV 1921 – 21 VI 1989)

Doc. dr hab. med. Tadeusz Dobrzański urodził się 27 kwietnia 1921 r. w Warszawie, jako syn Jana i Walerii z d. Zubrzycka. W 1937 r. ukończył Gimnazjum Humanistyczne w Warszawie, uzyskując świadectwo dojrzałości z wynikiem „summa cum laude”. W tym samym roku podjął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego, które ukończył w Instytucie Medycznym we Lwowie w 1944 r. Dyplom lekarski nostryfikował 20 stycznia 1945 roku na Wydziale Lekarskim UMCS w Lublinie. Ukończył specjalizację lekarską II stopnia z endokrynologii.

Po przedstawieniu rozprawy „Ocena kliniczna działania Nerium deander” kierowanej przez prof. dr med. Witolda Orłowskiego dn. 14 czerwca 1946 r. na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego uzyskał tytuł doktora medycyny. Cechował Go ogromny niepokój twórczy i zaangażowanie w badania naukowe. Za rozprawę habilitacyjną *„Badania nad kształtowaniem się zawartości insuliny we krwi obwodowej u osób zdrowych oraz u chorych z klinicznie wyrównaną cukrzycą w warunkach różnych obciążeń”*, dnia 15 grudnia 1967 r. Rada Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie nadała Mu tytuł doktora habilitowanego nauk medycznych. Doc. dr hab. med. T. Dobrzański doskonalił się permanentnie na różnego rodzaju kursach: ukończył jednoroczne Studium Prawne dla lekarzy (1966); po kursie ochrony radiologicznej uzyskał uprawnienia do prowadzenia pracowni radioizotopowych (1972); przeszedł kurs radioimmunologii (RIA 1976).

Przebieg Jego pracy zawodowej miał ścisły związek z podnoszeniem kwalifikacji fachowych. Pracował w różnych placówkach lecznictwa. Swą praktykę, jako młody lekarz rozpoczął w latach 1945-1948, będąc wolontariuszem w I Klinice Chorób Wewnętrznych na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w latach 1947-1949 został przekwalifikowany na starszego asystenta Zakładu Farmakologicznego tegoż Wydziału. W okresie 1949-1953 pełnił czynną służbę wojskową, zdemobilizowany w stopniu kapitana,

a następnie awansowany na majora (1963). W roku 1953 zatrudnił się w Centralnym Szpitalu Więziennictwa w Warszawie, współpracując jednocześnie przez cały 1954 r. z prof. dr J. Węgierekiem. Od 1955 r. był ordynatorem wielu oddziałów wewnętrznych i dyrektorem kilku szpitali: w Starogardzie Szczecińskim, w Żyrardowie i Warszawie. W latach 1961–1963 podjął kolejną pracę w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej oraz w Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, uczestnicząc nadal w lecznictwie otwartym.

Swoje zainteresowania badawcze w dziedzinie endokrynologii, a zwłaszcza psychoneuroendokrynologii kontynuował w latach 1963–1976 jako ordynator Oddziału Wewnętrznego dla psychicznie chorych w Państwowym Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych im. prof. dr J. Mazurkiewicza w Pruszkowie. W szpitalu tym stworzył ośrodek naukowo-badawczy w zakresie endokrynologii i metabolizmu u psychicznie chorych. Wyposażył go w pracownię: radioimmunologiczną, biochemiczną, radioizotopową, diagnostyki, doświadczalną, fotograficzną oraz bibliotekę. W latach 1976–1977 kierował Pracownią Psychoendokrynologii Instytutu Endokrynologii Akademii Medycznej w Łodzi. Z dniem 1 września 1977 r. powołany został na stanowisko docenta AWF w Warszawie, a następnie w Instytucie Sportu GKKFiS, gdzie powierzono Mu kierowanie Zakładem Endokrynologii i Kontroli Dopingowej. W omawianym okresie pracy zawodowej doc. dr hab. med. T. Dobrzański cieszył się autorytetem wśród współpracowników i pacjentów. Był niezwykle pracowity, sumienny, dokładny i zdyscyplinowany. W stosunku do chorego współczujący i rzeczowy. Obowiązki swe wykonywał perfekcyjnie z dużą znajomością rzeczy. Był dojrzałym, wysokowartościowym specjalistą, uznanym w kraju i za granicą.

Od 1 października 1981 r. do 2 czerwca 1989 r. związał się z ZWWF w Białej Podlaskiej, gdzie pracował na stanowisku docenta do ostatnich chwil życia. W okresie bialskim jawi się przede wszystkim jako dydaktyk, pedagog, organizator i społecznik w różnych płaszczyznach życia. Prowadził wykłady i ćwiczenia ze studentami z zakresu medycyny wychowania fizycznego i sportu. Posiadał nieprzeciętną wiedzę, wnikliwy i krytyczny umysł, dzięki czemu Jego wywody w sposób komunikatywny trafiały do studentów. Posiadał wrodzoną kulturę osobistą i pełną galanterię zwłaszcza do pań. Z pozoru konserwatywny i nieprzystępny, w rzeczywistości czuły, wrażliwy, otwarty na ludzkie problemy. Szanowany i doceniany przez młodzież akademicką. Posiadał takt pedagogiczny. Był wymagającym nauczycielem, ale czasami zawierał ze studentami tzw. „dżentelmeńskie umowy” i trzymał się tego bardzo konsekwentnie. Jeśli zostały złamane, bądź niedotrzymane, wtedy lepiej było schodzić z drogi „Kiwaczkowi” lub inaczej „Oberluftowi”, bo rozmowa nie należała do przyjemnych. Starał się wpoić studentom szacunek, umiłowanie do pracy i wiedzy oraz przekonanie, iż „w miłości bratniej przyszłość nasza”. Z Jego

inicjatywy w roku 1981 przy ZWWF zostały zorganizowane Studia Doktoranckie dla pracujących, pokłosiem, których jest kilkunastu doktorów, pracujących do dziś w Uczelni.

Jego pasją życiową była praca naukowo-badawcza, dlatego też nie był zaangażowany zbyt w promowanie magistrów i doktorów kultury fizycznej (wypromował dwóch doktorów, w tym dr Krystynę Kałużę). Jego dorobek naukowy składa się z około 200 prac indywidualnych, współautorskich, artykułów, monografii i skryptów, recenzji doktorskich i wydawniczych. Znał biegle w mowie i piśmie język: angielski, francuski, niemiecki i rosyjski. Jego osiągnięcia naukowe uzupełniają przekłady obcych dzieł naukowych i recenzji w liczbie 20 w/w językach. W zakresie endokrynologii i psychoneuroendokrynologii współpracował z licznymi instytucjami i towarzystwami naukowymi, zarówno w kraju jak i w świecie. Był cenionym naukowcem w swojej profesji.

Brał aktywny udział w życiu społecznym ZWWF, był członkiem Zarządu AZS, I Sekretarzem POP PZPR, lektorem KW PZPR. Za całokształt pracy otrzymał wiele odznaczeń i wyróżnień m.in.: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami, Warszawski Krzyż Powstańczy, Medal za Udział w Wojnie Obronnej, Medal 40-lecia Polski Ludowej, Radziecki Medal i Dyplom Uznania Przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego IO Moskwa 1980 za współpracę w przeprowadzeniu XXII Igrzysk Olimpijskich.

Zmarł 2 czerwca 1989 r., został pochowany na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie. Pozostawił żonę Annę i syna Ryszarda Andrzeja (1944).

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Wywiad z dr K. Kałużą przeprowadzony 27. 07. 2010 r. w Białej Podlaskiej, w posiadaniu autora; G. Piekuś Tadeusz Dobrzański, życie, działalność pedagogiczno-naukowa, ZWWF Biała Podlaska 1999, maszynopis pracy magisterskiej.



HENRYK GÓRNIAK
(26 III 1946 - 21 III 1988)

Urodził się 21 marca 1946 r. w Gościeradowie, powiat kraśnicki, w rodzinie robotniczej Aleksandra i Emilii z d. Pankowskiej. Po ukończeniu szkoły podstawowej w miejscu zamieszkania, kontynuował naukę w Technikum Budowlanym w Kraśniku. Studia rozpoczął w Wyższym Studium Nauczycielskim (WSN) Filii UMCS (od 1970 r. Filii AWF) w Białej Podlaskiej na kierunku Wychowanie Fizyczne z Nauczaniem Początkowym. Studia magisterskie odbywał w AWF Warszawie, gdzie w 1973 r. otrzymał tytuł magistra wychowania fizycznego oraz trenera II klasy w podnoszeniu ciężarów.

Na wszystkich etapach nauczania angażował się w działalność sportową. Mając 15 lat trenował samodzielnie podnoszenie ciężarów. W latach 1968-69 był czynnym zawodnikiem i jednocześnie instruktorem społecznym w Klubie Sportowym „Tęcza” Kraśnik. W trakcie studiów w Białej Podlaskiej, wraz z doc. Cz. Borejszą założył sekcję podnoszenia ciężarów, której był czynnym zawodnikiem. Długotrwała i poważna kontuzja wyeliminowała Go jednak z czynnego uprawiania sportu.

W 1973 r. został zatrudniony w Filii AWF w Białej Podlaskiej i prowadził ze studentami zajęcia fakultatywne z boksu i podnoszenia ciężarów. Był kierownikiem Pracowni Sportów Walki i Podnoszenia Ciężarów. W Jego krótkim okresie życia nie było zbyt wiele czasu na działalność naukowo-badawczą. Skromny dorobek naukowy publikowany był w „Zeszytach Metodyczno-Naukowych” FAWF i biuletynach szkoleniowych Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów (PZC). Uczestniczył również w konferencjach naukowych oraz w pokazach metodycznych.

Będąc trenerem Akademickiego Związku Sportowego (AZS) wychował liczną grupę zawodników z I i II klasą sportową. Na wniosek Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki w 1977 r. otrzymał tytuł trenera I klasy, a w 1983 r. trenera klasy mistrzowskiej. Był inicjatorem i współorganizatorem powołania w 1976 r. autonomicznego Okręgowego Związku Podnoszenia Ciężarów

(OZPC) w Białej Podlaskiej, w którym pełnił funkcję wiceprezesa d/s szkoleniowych i sędziowskich, a od 1982, prezesa. Równocześnie od 1977 r. był trenerem, koordynatorem na terenie województwa białkopodlaskiego, propagując podnoszenie ciężarów w małych miejscowościach, tworząc tym samym zaplecze treningowe dla najsilniejszego wówczas w tej dyscyplinie AZS-u. Zdobywał również uprawnienia sędziowskie, czego uwieńczeniem było zdobycie w 1981 r. tytułu państwowego sędziego I kategorii w boksie. Sędziował ogółem w 96 meczach bokserskich na terenie całego kraju. W latach 1981–82 był członkiem Komisji Sportowej przy Radzie Głównej Ludowego Zrzeszenia w Warszawie. Uhonorowany został wieloma odznaczeniami państwowymi i resortowymi, w tym: Brązowym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem PZPC za wybitne zasługi, Srebrną Odznaką AZS. Od 1989 roku, dla uczczenia Jego pamięci, w ZWWF w Białej Podlaskiej organizowany jest corocznie „Memoriał Henryka Górniaka”. Żonaty od 1973 r. z Krystyną z d. Zimnicką, posiadał dwoje dzieci: córkę Beatę i syna Łukasza. Zmarł nagle 21 marca 1988 r.; został pochowany na Cmentarzu Parafialnym, przy ulicy Nowej w Białej Podlaskiej.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Dokumenty i materiały udostępnione przez żonę prof. dr hab. Krystynę Górniak; Z.Cicirko Białkopodlaski biograficzny słownik sportowy, Biała Podlaska 1998, s.60-62.



TADEUSZ JAKUBOWSKI
(20 X 1911 – 24 IX 1992)

Urodził się 21 października 1911 r. we Lwowie w rodzinie inteligenckiej Marcelego i Antoniny z d. Wójcickiej. Naukę pobierał w szkole powszechnej i gimnazjum im. Henryka Jordana i Kazimierza Wielkiego. W 1932 r. zdał maturę i otrzymał świadectwo dojrzałości. W okresie nauki uprawiał wiele dyscyplin sportowych, jak: lekka atletyka, piłka siatkowa, koszykówka (w klubie „Pogoń”, jednym z założycieli tego klubu był Marceli Jakubowski, wielki miłośnik sportu – ojciec Tadeusza), turystyka oraz narciarstwo.

W 1933 r. został powołany do czynnej służby wojskowej; ukończył Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy przy 19 Pułku Piechoty (PP) i praktykę w 40 PP we Lwowie. W roku 1935/36 podjął studia w warszawskim CIWF, które ukończył w 1938 r. z oceną bardzo dobrą. W 1936 r. reprezentował uczelnię na Międzynarodowym Obozie Studenckim w Berlinie z okazji XI Igrzysk Olimpijskich, w 1937 r. w Mitingu Tańców Regionalnych w Hamburgu, brał też udział w spotkaniach międzyszkolnych z uczelnią „SUEF” w Bukareszcie.

Po ukończeniu studiów, do września 1939 r., pracował w prywatnym pensjonacie w Zakopanem, w Ośrodku Wczasowym na Cyrhli, jako kierownik wf w Pocztowym Przynależeniu Wojskowym. W okresie tym realizował pierwsze swoje pasje turystyczne. Prowadził wojskowe kursy narciarskie, ćwiczenia wojskowe przysposobienia młodzieży, wyprawy turystyczne w lecie, a zimą kursy narciarskie. W 1939 r. z Gródka Jagiellońskiego wyruszył na wojnę, jako dowódca plutonu moździerzy 26 PP. Walczył w obronie Warszawy na przedpolach Grochowa aż do kapitulacji.

W okolicach Góry Kalwarii dostał się do niewoli i przebywał kolejno w oficerskich obozach jenieckich w Żyrardowie, Ninburgu n/Wezerą, Oflagu XVIII C w Spittal n/Drawą i od czerwca 1940 r. do stycznia 1945 r. w Oflagu II C w Woldenbergu (obecnie Dobiegniewo). Przez sześć lat niewoli pracował

na rzecz podtrzymania zdrowia fizycznego i psychicznego współtowarzyszy niewoli. W celu zapobiegania tzw. „chorobie drutów” był inicjatorem i organizatorem życia sportowego, doskonalenia zawodowego (Wyższe Kursy Nauczycielskie) oraz życia kulturalnego na terenie obozu. Popularny „KUBA” (tak nazywany był przez woldenberczyków) był członkiem zespołu tanecznego w obozowym teatrze i wystąpił na scenie w ponad 600 spektaklach. W lutym 1945 r. podczas ewakuacji obozu do Rzeszy, uciekł z transportu i powrócił do kraju. Zgłosił się ochotniczo do Wojska Polskiego i pracował w Teatrze Centralnego Domu Żołnierza w Łodzi, jako tancerz-wokalista, instruktor rekreacji i organizator koncertów dla ozdrowieńców. W latach 1945-1950 pracował w różnych zakładach Dolnego Śląska. Od 1950 r. rozpoczął się kolejny bardzo ważny etap w życiu T. Jakubowskiego – został zatrudniony w AWF w Warszawie. W roku 1952 uzyskał stopień magistra wychowania fizycznego, zaś w 1969 r. stopień doktora nauk o wychowaniu fizycznym. Prowadził ze studentami zajęcia dydaktyczne w zakresie gier i zabaw ruchowych, koszykówki, ćwiczeń terenowych, specjalizację z tenisa ziemnego, seminaria magisterskie. Organizował również i prowadził wędrowki narciarskie zimą, latem wędrowki piesze, rowerowe i kajakowe, przygotowywał obozy stałe, na których przyuczał studentów do organizowania wypoczynku czynnego wśród dzieci i młodzieży. Podczas całej pracy w uczelni wypromował około 200 magistrów wychowania fizycznego. Obok zajęć dydaktycznych ze studentami w warszawskiej AWF pełnił odpowiedzialne funkcje kierownicze: był kierownikiem Zakładu Dydaktyki (1950-1952), zastępcą rektora ds. administracji (1956), kierownikiem Zakładu Teorii i Metodyki Turystyki (1961), kierownikiem Zakładu Obsługi Ruchu Turystycznego (1962).

W roku akademickim 1971/1972 został skierowany przez władze uczelni do Filii AWF w Białej Podlaskiej, gdzie jako docent kontraktowy pełnił funkcję kierownika ds. dydaktyki oraz objął kierownictwo Zakładu Turystyki i Rekreacji. W okresie tym dał się poznać jako propagator turystyki i krajoznawstwa, ściśle wiążąc te dziedziny z tzw. „turyzmem”, którego był gorącym zwolennikiem. W roku akademickim 1975/76 powrócił do macierzystej uczelni, do Instytutu Wychowania i Fizycznego i Rekreacji Ruchowej, skąd w 1976 r. odszedł na emeryturę.

Był autorem kilkunastu artykułów i opracowań opublikowanych w czasopiśmie i wydawnictwach naukowych, m.in.: *Działalność Absolwentów CIWF i AWF w obozie jeńców w Woldenbergu*, Warszawa 1960; *Mała i duża turystyka w rodzinie. Sport w rodzinie*, Warszawa 1966; *Teoria wycieczki. Poradnik organizatora rekreacji fizycznej*, Warszawa 1971. Przygotował dysertację habilitacyjną, której już nie zdążył obronić.

Jego działalność społecznikowska związana była z różnymi organizacjami i instytucjami na terenie Warszawy: ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, Akademickim Związkiem Sportowym, Polskim Towarzystwem Turystyczno-

Krajoznawczym, PZPR, Fundacją Woldenberczyków w Dobiegniewie, Radą Turystyki. Za swoją działalność był odznaczony m.in.: Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem X-lecia PRL, Złotą Odznaką Zasłużonego Działacza Turystyki, Srebrną i Złotą Jubileuszową Odznaką AZS, Złotą Honorową Odznaką Polskiego Związku Koszykówki, Złotą Odznaką PTTK oraz wieloma innymi wyróżnieniami.

Był dwukrotnie żonaty: z Henryką z d. Redel (1948) oraz z Marią z d. Perzyńską (1964). Nie posiadał dzieci.

Zmarł 24 września 1992 r., został pochowany w grobie rodzinnym żony Marii na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Dokumenty i materiały w posiadaniu żony Marii; Od Akademii Białskiej do AWF, Międzyrzec Podlaski 1973; E. Wasilewski, Główne kierunki rozwoju Filii i Zamiejscowego Wydziału Warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego, Akademia Wychowania Fizycznego na Podlasiu. Filia i Zamiejscowy Wydział Warszawskiej AWF w Białej Podlaskiej 1969-1989, Biała Podlaska 1990, s.7-20; T. Łobozewicz, Tadeusz Jakubowski (1911-1992), Słownik biograficzny pracowników CIWF i AWF, Warszawa 2000, T. II, s. 33-35.



ZDZISŁAW KARPOWICZ
(1 V 1939 – 25 XII 2001)

Urodził się 1 maja 1939 r. w Iwje (na Wileńszczyźnie), w rodzinie robotniczej Stanisława i Heleny z d. Wierzbickiej. W latach 1946–1957 uczęszczał do Szkoły Podstawowej oraz Liceum Ogólnokształcącego w rodzinnej miejscowości. Po repatriacji podjął naukę w Państwowej Szkole Muzycznej w Wałbrzychu, którą ukończył w 1962 r. W latach 1962–1966 studiował w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej we Wrocławiu na Wydziale Nauczycielskim, gdzie uzyskał stopień magistra sztuki. Należał do utalentowanych muzycznie i ambitnych studentów. Udzielał się w Kole Naukowym, był członkiem Zrzeszenia Studentów Polskich. Ukończył również Studium Podyplomowe. Równocześnie studiując podejmował prace zawodowe. W latach 1955–1957 zatrudnił się w Powiatowym Domu Kultury w Iwje na stanowisku akordeonisty, a następnie jako nauczyciel muzyki w szkole średniej w Orenburgu i Ognisku Muzycznym jako nauczyciel gry na akordeonie w Wałbrzychu. Na dłużej zatrzymał się w Młodzieżowym Domu Kultury w Bolesławcu (1966–1976), gdzie pracował na stanowisku nauczyciela dyplomowego i instruktora. Prowadził zespoły artystyczne tańca nowoczesnego i ludowego. Osobiście grał w zespole kameralnym, który stworzył, uświetniając różne uroczystości okazjonalne w mieście. Należał do sekcji Kulturalno-Oświatowej ZSL.

Od 1 sierpnia 1976 r. do 31 sierpnia 1988 r. pracował w ZWWF w Białej Podlaskiej na stanowisku wykładowcy-akompaniatora do zajęć programowych z tańca-rytmu-muzyki oraz gimnastyki artystycznej. Posiadał ogromne zdolności muzyczne, których nie wykorzystał do końca. Był niezastąpionym członkiem kapeli w ZPiT „Podlasie” przy Uczelni. Angażował się do prac społecznych w czasie różnych imprez i uroczystości uczelnianych. Brał udział jako juror d/s kultury i sztuki na różnych festiwalach i przeglądach muzycznych organizowanych przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Białej Podlaskiej. Był towarzyskim i życzliwym kolegą. Szanowany i doceniany przez studentów jako akompaniator. Podejmował również prace w róż-

nych wymiarach na terenie miasta: w Państwowej Szkole Muzycznej I stopnia im. F. Chopina, gdzie prowadził umuzykalnienie z rytmiką oraz klasę fortepianu oraz w Studium Nauczycielskim jako nauczyciel muzyki. Należał do Klubu Oficerów, gdzie pełnił funkcję sekretarza.

Ciężko chory w 1988 r. przeszedł na rentę inwalidzką, później uzyskał prawa emerytalne. Od 20 grudnia 1996 r. był pensjonariuszem Domu Pomocy Społecznej w Kozuli. Powoli Jego zapal twórczy gasł, a talent muzyczny, jaki posiadał nie został już wykorzystany. To była smutna i ponura jesień Jego życia. Został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem 40-lecia Polski Ludowej oraz Odznaką za Zasługi dla Województwa Białkopodlaskiego.

Zmarł 25 grudnia 2001 r., spoczywa na Katolickim Cmentarzu Komunalnym w Białej Podlaskiej, Białka. Miał żonę Halinę oraz dwójkę dzieci: Kamila (1969) i Patrycję (1971).

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej,teczka akt osobowych; Wywiad z Dyrektorem Domu Pomocy Społecznej w Kozuli mgr K. Czyżewską, przeprowadzony 27. 07. 2010 r. w Kozuli, w posiadaniu autora.



MIECZYŚLAW KRAJEWSKI
(5 IV 1928 – 5 X 2003)

Urodził się 5 kwietnia 1928 r. w miejscowości Czechy, gm. Zduńska Wola, powiat Sieradz w rodzinie inteligenckiej Adama i Franciszki z d. Kaczmarek. Ojciec służył w policji; zginął we wrześniu w czasie agresji niemieckiej. Matka zajmowała się domem i wychowywaniem trójki dzieci. Jako 7-letni chłopiec uczęszczał do szkoły powszechnej w Wieluniu i zdążył ukończyć pięć klas. Klasę szóstą i siódmą kontynuował w pierwszych latach okupacji. W maju 1942 r. w czasie łapanki, mając zaledwie 14 lat został schwytyany i wywieziony na roboty do Niemiec. Po miesiącu, w dramatycznych okolicznościach zbiegł z niewoli i zatrzymał się urodziny w Bajkowie, powiat Wieluń. W celu przetrwania ukrywał się i podejmował ciężkie prace fizyczne. Był m. in. w 1943 r. parobkiem u rolnika w Dębinie, terminował jako uczeń u rzeźnika w Osjakowie aż do chwili wyzwolenia.

Trudne lata okupacji z pewnością wywarły piętno na poglądach ideowych, ugruntowując lewicowe zapatrywania, którym był wierny do końca swych dni. W 1945 r. wstąpił do Milicji Obywatelskiej i do ZWM, a w 1947 r. do PZPR. W tym samym czasie, od 15 marca 1945 r. był uczniem Państwowego Liceum Ogólnokształcącego w Wieluniu, gdzie w czerwcu 1949 r. uzyskał maturę. W wieku młodzieńczym był czynnym zawodnikiem sekcji bokserskiej w WKS „Legia” Sieradz. Od tej pory sport stał się motywem przewodnim Jego życia. Był organizatorem i propagatorem kultury fizycznej. Pełnił odpowiedzialne funkcje zastępcy, a następnie Przewodniczącego Powiatowego Komitetu Kultury Fizycznej (1950) w Sieradzu.

Zgodnie z zainteresowaniami w latach 1950 – 1955 podjął studia w AWF w Warszawie uzyskując tytuł magistra wychowania fizycznego. Został zatrudniony w Katedrze Podstaw Marksizmu i Leninizmu (do chwili rozwiązania 1956), a następnie jako starszy asystent w Zakładzie Socjologii Sportu AWF. W okresie pracy w uczelni prowadził zajęcia dydaktyczne ze studentami z zakresu socjologii. Był sumienny wywiązywał się z nałożonych obowiązków,

należał do grona aktywistów PZPR. Pracował nad monografią o J. Jędrzeju Śniadeckim, która miała być Jego dysertacją, jednakże z przyczyn obiektywnych nie doszło do jej realizacji. W latach 1955 – 1960 podjął również studia na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Historii, a następnie na wydziale Filozofii. Pracował także w Dzielnicowym Komitecie Kultury Fizycznej Warszawa – Żoliborz.

W latach 1972 – 1991 został zatrudniony w F AWF w Białej Podlaskiej jako starszy wykładowca, któremu powierzono funkcję kierownika w pracowni nauk społeczno-politycznych w Zakładzie Nauk Humanistycznych. Był bardzo dobrym dydaktykiem, prowadził zajęcia z filozofii, socjologii i logiki. Samym sobą poświadczał głoszone treści, dlatego był przekonywujący. Jego zajęcia, ćwiczenia i wykłady były niezwykle dynamiczne, ciekawe, trzeba było na bieżąco śledzić tok myślenia „Feuerbacha”, bo inaczej wypadłeś i niewiele z tego wywodu zrozumiałeś. Mgr M. Krajewski prowadził również zajęcia fakultatywne z boks w pracowni sportów walki oraz kajakarstwo i gimnastykę poranną na obozach letnich. Był opiekunem rocznika studentów 1972 – 1976. Od 1 października 1990 r. przeszedł na emeryturę, jednakże z Uczelnią rozstał się rok później.

Droga życiowa, jaką przebył, była zapewne reprezentatywna dla Jego pokolenia. Był to okres szybkiego dojrzewania i trudnych wyborów. Udzielał się jako lektor KW PZPR i pełnił funkcję kierownika Katedry Filozofii WUML w Białej Podlaskiej. Poza w/w organizacjami i instytucjami angażował się również w działalność ZMP, ZSP, ZNP i GKKFiT. Za swą pracę otrzymał wiele odznaczeń i wyróżnień, m. in.: Brązowy, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Odznakę Stulecia Sportu polskiego.

Zmarł 5 października 2003 r.; został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Warszawie – Wólka Węglowa.

Pozostawił żonę Wandę z d. Marcinowska, synów: Rafała (1960) i Przemysława (1963).

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; W. J. Burzyński; Mieczysław Krajewski (5.04.1928 – 5.10.2003), Rocznik Naukowy ZWWF w Białej Podlaskiej 2003, T. X, s. 313-315.



ADOLF MIRONIUK
(18 X 1924 - 26 XI 1991)

Urodził się 18 października 1924 r. we wsi Zasiadki, w powiecie radzyńskim w rodzinie robotniczej Jana i Ludwika z d. Korniluk. Szkołę powszechną ukończył w 1936 r. w Białej Podlaskiej, następnie podjął naukę w I LO im. J. Kraszewskiego, którą przerwał na skutek wybuchu II wojny światowej.

Po zamordowaniu przez Niemców ojca w 1941 r., jako szesnastoletni chłopiec pracował w kinie „Scala”, później zaś na Kolei Wschodniej. Po wojnie podjął pracę w miejscowych zakładach rzemieślniczych jako elektromonter oraz radiotechnik. W 1944 r. wznowił naukę w gimnazjum i liceum dla dorosłych, w klasie o profilu matematyczno-fizycznym. Egzamin maturalny zdał w 1946 r. i zatrudnił się w prywatnym zakładzie naprawy radioodbiorników Bronisława Lewandowskiego w Białej Podlaskiej. Swe pasje turystyką i krajoznawstwem oraz geografiami realizował na, podjętych w 1948 r. studiach na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu na kierunku geografii. Po ich ukończeniu naukę kontynuował na studiach II stopnia na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi, które ukończył uzyskaniem stopnia magistra geografii w 1954 r.

Po studiach zatrudnił się w Powiatowej Komisji Planowania Gospodarczego w Białej Podlaskiej, pracując jednocześnie w charakterze nauczyciela kontraktowego w białskich szkołach średnich, nauczając geografii i towaroznawstwa. Był humanistą dużej klasy, szanowanym i cenionym pedagogiem. Posiadał ogromną wiedzę zawodową i ogólną, którą w sposób komunikatywny przekazywał swoim wychowankom. Władał biegle trzema językami: niemieckim, rosyjskim i ukraińskim i nieco słabiej czeskim, francuskim i słowackim.

Dnia 1 października 1972 r. rozpoczął pracę jako nauczyciel akademicki w FAWF w Białej Podlaskiej, w Zakładzie Sportu i Turystyki. W okresie pracy zawodowej w uczelni pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji: w 1981 r. powierzono Mu stanowisko Kierownika Pracowni Nauk Politycznych i Ekonomii, zaś w 1988 r. Kierownika Pracowni Metodyki Nauczania Kultury Fizycznej i Technicznych Środków Nauczania. Po przejściu na emeryturę w 1990 r.

nadal pracował w niepełnym wymiarze, służył radą i pomocą współpracownikom i studentom. Cechował go zdrowy rozsądek, racjonalizm w działaniu, a przede wszystkim otwartość na ludzi. Stworzył sylwetkę niezwykle nauczyciela i pedagoga z powołania. Znany był z siarczystego dowcipu i wszelkiego rodzaju anegdotek. Przeszedł do historii uczelni jako autor słynnej maksymy, którą większość absolwentów z pewnością pamięta „*I Herkules d..., kiedy wrogów kupa*”. Był docenianym i szanowanym nauczycielem akademickim, prowadził ze studentami wykłady, ćwiczenia i seminaria magisterskie. Wypromował 138 magistrów wychowania fizycznego. Jego zainteresowania skupiały się wokół turystyki i krajoznawstwa, organizacji i zarządzania kulturą fizyczną, ochrony środowiska i zagadnień pedagogiczno-wychowawczych. Poprzez turystykę i krajoznawstwo popularyzował własny region, był niepodważalnym autorytetem w zakresie znajomości Podlasia Południowego. Na ten temat wydał wiele znaczących pozycji, m.in.: „*Biała i okolice*”, Lublin 1978; „*Kodeń i okolice*”, Lublin 1978; „*Janów Podlaski i okolice*”, Lublin 1982; „*Bibliografia krajoznawcza województwa białkopodlaskiego*”, Biała Podlaska 1984; „*Dokąd w wolną sobotę i niedzielę. Przewodnik turystyczno-krajoznawczy*”, Lublin 1986; S. Arasymowicz, A. Mironiuk, „*Dolina nadbużańska*”, Lublin 1982.

A. Mironiuk angażował się w prace społeczne na terenie miasta Biała Podlaska: pełnił funkcję Prezesa Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego oraz Przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Krajoznawczej. Był upoważnionym przez PTTK w Lublinie do prowadzenia kursów na przewodników i pilotów turystyki krajowej i zagranicznej. Był aktywnym działaczem Stronnictwa Demokratycznego oraz Związku Nauczycielstwa Polskiego przy FAWF, pełniąc przez wiele lat rolę przewodniczącego Rady Zakładowej.

Za działalność zawodową i społeczno-polityczną otrzymał wiele odznaczeń i wyróżnień: Medal Komisji Edukacji Narodowej, Złoty i Srebrny Krzyż Zasługi, Medal na XV-lecie PRL za Zasługi dla Województwa Białkopodlaskiego, Złotą Odznakę Zasłużony Działacz Turystyki i wiele innych.

Był żonaty od 1954 r. z Anną z d. Łaską, posiadał dwoje dzieci: córkę Grażynę i syna Radosława.

Zmarł 26 listopada 1991 r., został pochowany na Cmentarzu Parafialnym, przy ul. Nowej w Białej Podlaskiej.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; H. Mierzwiński, Adolf Mironiuk (18 X 1924 – 26 XI 1991), Rocznik Białkopodlaski, Biała Podlaska 1993, T.I, s.229-233; Z. Cicirko Białkopodlaski Słownik Sportowy, Biała Podlaska 1998, s.115-117; Z. Cicirko Mironiuk Adolf (1924-1991) nauczyciel szkolny i akademicki, propagator turystyki i krajoznawstwa, działacz regionalista, „Wychowanie Fizyczne i Sport”, Nr 1-2, s.118-11



GRAŻYNA NOWAKOWSKA - FIEDJAKIN
(16 III 1956 – 19 V 1985)

Urodziła się 16 marca 1956 r. w Warszawie, w rodzinie robotniczej Zbigniewa i Stanisławy z d. Czerepińskiej. Tam kształciła się na poziomie szkoły podstawowej i średniej.

W latach 1975–1979 studiowała w AWF w Warszawie na Wydziale Wychowania Fizycznego, uzyskując stopień magistra wychowania fizycznego i trenera II klasy w gimnastyce sportowej. W okresie studiów należała do grona zdolnych i aktywnych społecznie studentów. Była wice-przewodniczącą RU SZSP, członkiem Rady Klubu Relaks, członkiem Komitetu Uczelnianego PZPR, przewodniczącą Koła Naukowego HKF. Dnia 1 października 1979 r. zatrudniła się na stanowisku asystenta stażysty w Zakładzie Wychowania Fizycznego FAWF w Białej Podlaskiej, a od września 1980 r. na stanowisku asystenta w Zakładzie Nauk Humanistycznych. Prowadziła ze studentami zajęcia z historii kultury fizycznej. Od 1 grudnia 1980 r. podjęła stacjonarne studia doktoranckie w Państwowym Centralnym Instytucie Kultury Fizycznej im. Orderu Lenina w Moskwie. Ze względu na nieuleczalną chorobę doktoratu nie ukończyła. Była zamężna (1984) z obywatelem rosyjskim Iwanem Fiedjakinem, nie posiadała dzieci. Zmarła przedwcześnie 19 maja 1985 r. w Moskwie i spoczywa w Warszawie.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych.



ANTONI OLSZOWSKI
(9 VII 1931 – 5 X 2002)

Urodził się 9 lipca 1931 r. w miejscowości Górki Wielkie, powiat cieszyński, w rodzinie chłopskiej Jakuba i Heleny z d. Gawlas. Edukację na poziomie szkoły powszechnej przerwał wybuch II wojny światowej. W okresie okupacji wraz z rodzeństwem podejmował się różnych prac dorywczych, wspomagając rodzinę w przetrwaniu i utrzymaniu. Ta trudna sytuacja miała niewątpliwie wpływ na kształtowanie się Jego osobowości.

Po ukończeniu Państwowego Liceum Pedagogicznego w Cieszynie i uzyskaniu świadectwa dojrzałości w 1951 r., zatrudnił się na stanowisku wychowawcy w Państwowym Domu Dziecka w Bielsku Białej. Równocześnie był nauczycielem wychowania fizycznego w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Czechowicach. W 1953 r. na kursach organizowanych przez Centralny Urząd Szkolenia Zawodowego, zdobył uprawnienia na Nauczyciela Szkół Średnich i Ogólnokształcących i Zakładów Kształcenia Nauczycieli. W tym okresie zrodziła się jedna z jego pasji – szybownictwo.

W latach 1953-1957 studiował w AWF (wówczas im. gen. broni K. Świerczewskiego) w Warszawie, gdzie po ich ukończeniu uzyskał tytuł magistra wychowania fizycznego. W trakcie studiów reprezentował barwy AZS grając w piłkę ręczną (posiadał I klasę sportową). W lecie uprawiał wędrowniki, a zimą narty w Beskidzie Śląskim.

Jako młody magister podejmował kolejno prace: w Szkole Podstawowej nr 61 w Warszawie, jako nauczyciel wychowania fizycznego; w latach 1962-64 w Okręgowym Ośrodku Metodycznym na stanowisku instruktora w-f, później kierownika sekcji. Wymienione lata pracy wzbogaciły Go w nowe doświadczenia i zainspirowały do dalszej pracy naukowej. Był organizatorem wielu konferencji metodyczno-szkoleniowych, współautorem poradnika dla nauczycieli klas początkowych I-IV, podejmował badania w zakresie bezpieczeństwa i higieny na lekcjach wychowania fizycznego. Zaangażowanie i aktywność A. Olszowskiego zostały zauważone i docenione przez Ministerstwo Oświaty

i Wychowania, w którym w latach 1964-66 przydzielono Mu funkcję wizytatora w Departamencie Wychowania Fizycznego.

Z dniem 1 października 1966 r. podjął stacjonarne studia doktoranckie i pod kierunkiem prof. dr hab. R. Trześniowskiego przygotował dysertację na temat *„Problemy bezpieczeństwa młodzieży szkół zawodowych na zajęciach wychowania fizycznego w świetle jego metodyki”*, za którą w 1970 r. otrzymał tytuł doktora nauk wychowania fizycznego. W latach 1969-1973 pracował w GKKFiT na stanowisku Naczelnika Wydziału Kształcenia Kadr. Równocześnie związał się z Państwowym Instytutem Pedagogiki Specjalnej w Warszawie jako docent wykładowca. W latach 1973–1975 został zatrudniony w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Katowicach na stanowisku kierownika Zakładu Teorii i Metodyki Wychowania Fizycznego. W tym samym czasie władze centralne powierzyły Mu stanowisko Prorektora w Filii AWF w Białej Podlaskiej, które piastował do 31 sierpnia 1979 r. Podjął się ogromnego wyzwania, gdyż oczekiwania władz centralnych, jak również miejscowego środowiska były wysokie. Uczelnia miała za zadanie kształcić kadry dla całego wschodniego regionu Polski. Na tym odcinku sprawdził się znakomicie. Główny nacisk położył na rozwój naukowy własnej kadry. Z młodej uczelni uczynił silny ośrodek dydaktyczno-naukowy, podnosząc jej rangę do czteroletnich studiów magisterskich. Rozbudował infrastrukturę dydaktyczno-sportową. Dobudował drugi segment gmachu głównego uczelni, utworzył nowe pracownie i laboratoria, sale wykładowe nr 2 i 3, wyposażył w najnowocześniejszy sprzęt i środki audiowizualne. Rozbudował bibliotekę i powołał Ośrodek Informacji Naukowej. Utworzył Pracownię Poligraficzną, co niewątpliwie ułatwiło wydanie pierwszych *„Zeszytów Naukowo-Metodycznych FAWF”*. Podczas Jego kadencji oddano do użytku studentów i sportowców stadion lekkoatletyczny, boiska sportowe, korty ziemne, halę sportową (32x32), Ośrodek Sportów Wodnych w Rybitwach k/Pisza. Uczynił z uczelni centrum szeroko pojętej kultury w mieście, a jej obiekty służyły całej społeczności lokalnej.

Doc. dr A. Olszowski zaangażowany był przede wszystkim w działalność dydaktyczno-naukową. Na tym odcinku przyszło mu kierować Zakładem Metodyki Wychowania Fizycznego, stworzył silny zespół badawczy, a ze Szkoły Podstawowej nr 4 w Białej Podlaskiej przy ul. Moniuszki uczynił, na długie lata, tzw. *„ćwiczeniówkę”*. Pracowników i studentów włączył do prowadzenia kolonii letnich dla dzieci o profilu zdrowotno-ortopedycznym. Prowadził ze studentami wykłady i ćwiczenia z metodyki wychowania fizycznego, z której to wyodrębnił samodzielny przedmiot wychowanie specjalne. Jego zainteresowania naukowe skupiały się wokół zagadnień rozwoju somatycznego i motorycznego dzieci i młodzieży, warunków bhp na lekcji wychowania fizycznego, analizował i doskonalił szkolne programy nauczania, był popularyzatorem turystyki i krajoznawstwa. Wypromował ogółem ponad 420 magistrów wychowania fizycznego, około 60 licencjatów i 2 doktorów. Był inicjatorem i organi-

zatołem spotkań o charakterze towarzyskim, zacieśniających więzi pracowni-
cze oraz otwartych cyklicznych zebrań naukowych. Wzmocnił również Stu-
dencki Ruch Naukowy i Samorząd Studencki. Za Jego urzędowania studenci
odnosili sukcesy na różnych sympozjach i konferencjach naukowych. Niektó-
rzy z nich zasilili później kadre dydaktyczno-naukową i pracują w uczelni do
dnia dzisiejszego.

Bliskie Mu były również problemy sportu akademickiego. Zaangażował się
w działalność bialskiego AZS, który traktował nie tylko jako „kuźnię” kształ-
cenia talentów sportowych, ale przede wszystkim jako „poligon” doskonalenia
zawodowego przyszłych instruktorów, trenerów i organizatorów sportu.
Wokół AZS-u skupił społeczność lokalną, powołując do życia Społeczną Radę
AZS, jako organ wspierający.

Doświadczenia z pracy zawodowej, jak również wyniki swoich badań na-
ukowych w liczbie 45 pozycji publikował m.in. na łamach różnych czasopism
naukowych oraz w publikacjach zwartych: „*Wybrane zagadnienie z metody-
ki*” (1970), „*Wychowanie fizyczne w klasach I-IV*”(1969). Był organizatorem oraz
współorganizatorem konferencji naukowo-metodycznych.

Po zakończeniu kadencji Prorektora w FAWF w 1979 r. prowadził nadal
zajęcia dydaktyczne ze studentami zarówno bialskimi jak i warszawskimi
z metodyki wychowania fizycznego. Dnia 30 września 1996 r. przeszedł na
emeryturę i dodatkowo pracował jako prof. w Wyższej Szkole Hotelarskiej
Gastronomii i Turystyki w Warszawie.

„Arbiter elegantiarum” (tak Go określano w FAWF) był nieprzeciętnym
pedagogiem, znał dobrze języki obce: niemiecki, rosyjski i czeski. Bliskie Mu
były zarówno problemy dziecka niepełnosprawnego, jak również zdrowego.
W pracy swej uwrażliwiał studentów na los dziecka. Jego wysoka kultura oso-
bista, takt pedagogiczny, wyjątkowy urok osobisty, sprawiły, iż był cenionym
w środowisku akademickim.

W trakcie pracy zawodowej działał społecznie w różnych instytucjach
zarówno na terenie Warszawy, jak i Białej Podlaskiej. Politycznie związany był
z PZPR i Frontem Jedności Narodowej. Wielokrotnie wyróżniany i odznaczany:
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem
Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Medalem XXX-lecia Polski
Ludowej, Odznaką Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej i wieloma innymi.
Środowisko akademickie, w dowód wdzięczności byłemu Prorektorowi,
podczas Święta Uczelni w dniu 1 grudnia 2005 r. nadało sali wykładowej Nr 3
imię doc. dra Antoniego Olszowskiego.

Żonaty z Sylwią z d. Szadkowską, miał córkę Iwonę (1957) i syna Dariusza
(1961-2003).

Zmarł nagle 5 października 2002 r., został pochowany na Cmentarzu
Parafialnym w Cząstkowie k/Warszawy.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; H. Mierzwiński, XXX lat Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej, Rocznik Naukowy IWFIS, Biała Podlaska 2000, T.VII, s. 7-16; Z. Cicirko, M. Adamiak, Antoni Olszowski (9 VII 1931 - 5 X 2002), Rocznik Naukowy ZWWF, Biała Podlaska 2006, T. XIII s. 243-249.



GRAŻYNA PIEKUT - NIELESZCZUK
(29 I 1953 – 7 IV 1977)

Grażyna Nieleszczuk z d. Piekut urodziła się 29 stycznia 1953 r. w Chojnatce, powiat skierniewicki. Jej dzieciństwo nie należało do najłatwiejszych. Jako czteroletnie dziecko straciła ojca. Od 1959 r. wraz z matką Jadwigą zamieszkała w Warszawie. Tam też ukończyła Szkołę Podstawową przy ul. Wilczej, a następnie podjęła naukę w Liceum Ekonomicznym nr 1 przy ul. Stawki, gdzie w 1971 r. uzyskała świadectwo dojrzałości. Studia wyższe ukończyła w roku akademickim 1974/1975 w FAWF w Białej Podlaskiej, uzyskując dyplom magistra wychowania fizycznego. Uprawiała gimnastykę artystyczną, w której posiadała II klasę sportową. W okresie studiów pełniła funkcję sekretarza Komisji Zagranicznej RU SZSP oraz Komisji Turystyki i Sportu. Studia ukończyła z wyróżnieniem.

Od 15 listopada 1975 r. została zatrudniona na stanowisku asystenta stażysty, później asystenta w Zakładzie Sportu w Pracowni Gimnastyki FAWF. Prowadziła zajęcia z gimnastyki artystycznej ze studentkami. Posiadała ogromny czar osobisty. Była piękną kobietą obdarzoną idealnymi warunkami fizycznymi i do tego bardzo mądrą. Posiadała wrodzoną kulturę osobistą i takt pedagogiczny. Była szanowaną i lubianą przez koleżanki i kolegów, cenioną przez studentów, z którymi tak krótko dane Jej było pracować.

Była zamężna (1976) z Waldemarem Nieleszczukiem. Nie posiadała dzieci. Odeszła dużo za wcześnie. Zmarła 7 kwietnia 1977 r., została pochowana na Cmentarzu Wawrzyszewskim w Warszawie.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Wywiad z Waldemarem Nieleszczukiem 26.07.2010 Lublin, w posiadaniu autora.



JANUSZ (SKLEPIK) RODANOWICZ
(10 I 1950 – maj 1996)

Urodził się 10 stycznia 1950 r. w Łodzi, w rodzinie robotniczej Stefana i Henryki z d. Wojtasik. W latach 1970-1972 studiował w FAWF w Białej Podlaskiej. Studia magisterskie kontynuował w latach 1973-1974 w AWF w Warszawie uzyskując tytuł magistra wychowania fizycznego oraz dyplom instruktora tańca.

Swoją pierwszą pracę podjął w październiku 1974 r. w Wojewódzkim Szpitalu Psychiatrycznym w Lubiążu jako wychowawca. Od 1 stycznia 1976 r. do września 1977 r. pracował w Szpitalu Psychiatrycznym Nowowiejskim w Warszawie jako instruktor terapii ruchowej, równocześnie kończąc kurs psychoterapii.

Dnia 1 października 1980 r. został zatrudniony na stanowisku starszego asystenta w Zakładzie Wychowania Fizycznego Pracowni Teorii Metodyki Wychowania Fizycznego, a od 1 lutego 1982 r. w Pracowni Praktyk Studenckich FAWF w Białej Podlaskiej. W 1980 r. ukończył w Poznaniu Kurs Doskonalenia Zawodowego ze specjalnością- wychowanie fizyczne specjalne. Prowadził zajęcia dydaktyczne z wychowania fizycznego specjalnego, oraz z łyżwiarstwa, był opiekunem rocznika studenckiego, organizował praktyki pedagogiczne dla studentów. W okresie swej krótkiej pracy nawiązał trwałe kontakty ze szkołami specjalnymi w byłym województwie białkopodlaskim. Jako nauczyciel akademicki odznaczał się sumiennością, prezentował nienaganną postawę etyczną. Uczestniczył w badaniach ogólnopolskich dotyczących sprawności fizycznej i rozwoju fizycznego dzieci niedowidzących. Podjął badania naukowe w zakresie pracy doktorskiej, jednakże dysertacji nigdy nie zrealizował. Z przyczyn obiektywnych nie przedłużono z nim umowy na dalszy okres pracy. Odszedł z Filii AWF 30 września 1982 roku. Następnie zamieszkał w Lublinie i tam podjął prace z dziećmi niepełnosprawnymi.

Zmarł w maju 1996 roku i spoczywa na Cmentarzu Rzymskokatolickim przy ul. Unickiej w Lublinie. Pozostawił żonę Ewę z d. Blacha oraz córkę Agatę.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych.



WŁADYSŁAW ZBIGNIEW ROMANOWSKI
(13 V 1924 – 8 IV 1972)

Urodził się 13 maja 1924 r. w Lublinie, w rodzinie nauczycielskiej jako syn Juliana i Jadwigi Sobolewskiej. Naukę w Szkole Podstawowej rozpoczął w 1930 r. w Sarnowie pow. łukowski, a ukończył w Chodlu pow. lubelski. W 1937 r. podjął naukę w Gimnazjum im. J. Zamojskiego w Lublinie, którą przerwał wybuch II wojny światowej.

Jako 15-letni chłopiec udał się na Węgry, a następnie do Francji, gdzie wstąpił w szeregi tworzącej się Armii gen. Władysława Sikorskiego. Wraz z Brygadą Podhalańską uczestniczył w walkach pod Narwikiem, gdzie został ranny. Po wycofaniu się Brygady na teren Francji pod Le Mans 27 czerwca 1940 r. został wzięty do niewoli niemieckiej i osadzony w Stalagu X pod Hamburgiem. Po udanej ucieczce w 1941 r. przedostał się na Węgry do Budapesztu i podjął pracę jako robotnik w fabryce „Sertes Vago Hid”. Po zdaniu egzaminów w Gimnazjum Balaton Boglar uzyskał świadectwo dojrzałości. We wrześniu 1940 r. został uwięziony przez okupantów, zaś w maju 1944 r. wysłany z transportem do Oświęcimia, podczas którego udało mu się zbiec. Po oswobodzeniu Budapesztu w 1944 r. został wybrany na członka Tymczasowego Komitetu Polskiego na Węgrzech, gdzie pełnił funkcję sekretarza do maja 1946 roku. W tymże samym roku powrócił z tułaczki do Polski i zamieszkał w Zakopanem, gdzie w latach 1947–1949 pracował jako kierownik handlowy w prywatnej firmie „Radio Motor”. Od 1949 r. związał się z Lublinem. Tu ukończył kursy księgowości i został słuchaczem II roku Wszechnicy Radiowej. W 1950 r. zatrudnił się na posadzie nauczyciela księgowości i ekonomii w Liceum Administracyjno-Gospodarczym. Od 1951 r. rozpoczął studia pedagogiczne na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL). W okresie studiów był wyróżniającym się studentem pod względem nauki i uczestniczył aktywnie w pracach Koła Naukowego Pedagogów. W maju 1955 r. na podstawie przedstawionej rozprawy „*Nauka i nauczanie w szkołach średnich Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego (1807-1833)*” uzyskał stopień magistra pedagogiki.

Dalsze swoje losy związał z pracą dydaktyczną w uczelniach wyższych. W latach 1955-1960 był asystentem (do 1958 r.), a następnie starszym asystentem w Katedrze Pedagogiki Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdzie prowadził ze studentami zajęcia z zakresu pedagogiki. Równocześnie kierował Biblioteką Zakładu. W okresie 1961-1969 był organizatorem, a później kierownikiem Studium Zaocznego UMCS w Zamościu o kierunkach: matematyka, biologia, geografia i pedagogika. Pod Jego kierownictwem nowopowstała placówka rozwijała się dynamicznie. Była kuźnią wysoko kwalifikowanych kadr nauczycielskich, których niedostatek był wówczas mocno odczuwany, zwłaszcza na ziemiach wschodnich naszego kraju. W 1964 r. po przedstawieniu rozprawy „*Szkoła i oświata elementarna na Lubelszczyźnie w latach 1905-1915*”, przygotowanej pod kierunkiem prof. dr J. Dobrzańskiego, uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych.

W czerwcu 1969 r. Senat UMCS powierzył Mu organizację WSN w Białej Podlaskiej jako Filii UMCS. Od 1 września 1969 r. do 31 lipca 1970 r. pełnił funkcję kierownika Studium, w ramach którego utworzono trzy kierunki: wychowania fizycznego z nauczaniem początkowym, nauczania początkowego z wychowaniem fizycznym i nauczania początkowego z zajęciami praktyczno-technicznymi. Z chwilą przekazania Filii UMCS AWF w Warszawie, powołany został na zastępcę dziekana Filii AWF w Białej Podlaskiej, którą to funkcję piastował do końca swych dni. W lipcu 1971 r. Senat AWF w Warszawie powołał Go na stanowisko docenta. Związek Wł. Romanowskiego z nową placówką był bardzo silny i emocjonalny.

Rozumiał potrzebę kształcenia kadr w zakresie wychowania fizycznego, jak również doskonalenia się sportowego studentów, ponieważ w latach młodzieńczych uprawiał czynnie sport i był reprezentantem HKS w Zakopanem, w lekkiej atletyce, zdobywając nawet mistrzostwo Podhala. Bliska Mu też była jazda na nartach, łyżwach, kolarstwo i siatkówka. Był inicjatorem powołania w uczelni, w 1970 r. Akademickiego Związku Sportowego. Pomimo krótkiego związku z Białą Podlaską stworzył podwaliny pod silny ośrodek akademicki na Podlasiu, jakim jest niewątpliwie obecny ZWWF, którym się dziś szczycimy. W ogromnie trudnych warunkach społeczno-politycznych i gospodarczych rozbudował obiekty niezbędne do realizacji procesu dydaktyczno-wychowawczego. Stworzył silne zaplecze naukowe, tworząc bibliotekę i Ośrodek Informacji Naukowej.

Doc. Wł. Romanowski był niezwykle humanistą, posiadał szerokie horyzonty myślowe. Obdarzony zdolnościami literackimi pisał dużo na temat środowiska, w którym przyszło mu żyć i pracować. Jego doniesienia zamieszczone były m.in. na łamach „Kamień”, „Życia Kulturalnego” i „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska”. Był organizatorem i współorganizatorem wielu konferencji naukowych i popularnonaukowych, a wśród nich Ogólnopolskiej Sesji poświęconej dziejom Zamojszczyzny pt. „*Zamość w dziejach*

i kulturze polskiej” . Najbliższe były Mu jednak zagadnienia historii i oświaty na Lubelszczyźnie, wśród wielu na uwagę zasługują: „Działalność Towarzystwa Oświatowego Światło na polu szkolnictwa elementarnego”, Rozprawy do dziejów oświaty, t. III, PAN Ossolineum 1959; „Szkoły prywatne Michaliny Sobolewskiej w Lublinie 1905-1913” , Lublin 1961; „Z dziejów szkoły i oświaty elementarnej na Lubelszczyźnie 1905-1915”, Lublin 1970.

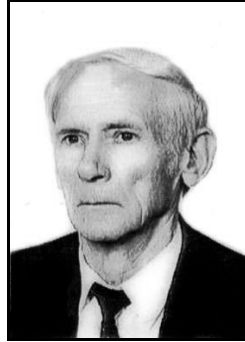
Od 1954 r. związany był politycznie z PZPR, był przewodniczącym powiatowego Komitetu Frontu Jedności Narodowej w Białej Podlaskiej, działał aktywnie w Związku Nauczycielstwa Polskiego, Związku Bojowników o Wolność i Demokrację i Towarzystwie Wiedzy Powszechnej. Był osobą znaną i szanowaną w środowisku białskim, lubelskim i zamojskim. Za osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej uhonorowany został wieloma odznaczeniami państwowymi i resortowymi, w tym: Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Odznaką Grunwaldu, Odznaką 1000-lecia Państwa Polskiego. Dla upamiętnienia Jego zasług decyzją Rady Wydziału Wychowania Fizycznego AWF w Warszawie, sala wykładowa Nr 2 w ZWWF w Białej Podlaskiej otrzymała imię Władysława Romanowskiego.

Był dwukrotnie żonaty: z Franciszką Kalisz – z małżeństwa tego urodziło się dwóch synów Jerzy (1953) i Jacek (1957) oraz z Danutą Żbikowską, z którą ma córkę Ewę (1963).

Zmarł nagle 8 kwietnia 1972 r. w Białej Podlaskiej; został pochowany na Cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Dokumenty i pamiątki w posiadaniu matki Jadwigi Romanowskiej oraz żony Danuty Żbikowskiej (Nałęckiej); J. Meysztowicz, Saga Brygady Podhalańskiej, Warszawa 1958; E. Wasilewski, Główne kierunki rozwoju Filii i Zamiejscowego Wydziału Warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego, Akademia Wychowania Fizycznego na Podlasiu. Filia i Zamiejscowy Wydział Warszawskiej AWF w Białej Podlaskiej 1969-1989, Biała Podlaska 1990, s.7-20; Z. Cicirko, Romanowski Władysław Zbigniew (1924 - 1972), Słownik biograficzny wychowania fizycznego i sportu „Wychowanie Fizyczne i Sport” 1998, Nr 4, s. 118-120; Z. Cicirko Władysław Zbigniew Romanowski (1924-1972). Rys biograficzny, Podlaski Kwartalnik Kulturalny, Biała Podlaska 1999, Nr 2, s.61-65



MACIEJ STANISŁAW SKŁAD
(22 X 1931 – 4 VII 2010)

Urodził się 22 października w miejscowości Długie Grzymki (powiat Sokołów Podlaski) jako syn Stanisława i Jadwigi z d. Pytlak. Naukę na poziomie szkoły średniej rozpoczął w Gimnazjum w Sterdyni, a ukończył w latach 1948-1950 w Liceum Ogólnokształcącym w Sokołowie Podlaskim. Po złożeniu egzaminów wstępnych, w latach 1950-1953 studiował w AWF Warszawie, uzyskując dyplom magistra wychowania fizycznego.

W latach 1953-1963 podjął pracę jako asystent w Zakładzie Pływania AWF w Warszawie. Zdobywanie stopni i tytułów naukowych oraz Jego droga zawodowa były wynikiem starej, dobrej szkoły profesorskiej, rzadko dziś spotykanej. Opiekę naukową otoczyła nad Nim prof. dr Halina Milicerowa. Pod jej kierunkiem uczestniczył w seminariach naukowych. Opracował projekt eksperymentu z dziećmi, poddanymi nauce pływania, a następnie treningowi sportowemu. Rezultaty zebrane w toku 3-letnich obserwacji były podstawą do napisania kilku artykułów oraz dysertacji „*Wpływ uprawiania pływania na rozwój cech somatycznych i motorycznych chłopców w wieku 11-13 lat*”, za którą Uchwałą Rady Wydziału Wychowania Fizycznego z dnia 20 listopada 1962 r. uzyskał stopień naukowy doktora wychowania fizycznego.

W latach 1963-1971 był zatrudniony jako adiunkt w Zakładzie Antropologii Instytutu Naukowego Kultury Fizycznej w Warszawie. W okresie tym zajmował się czynnikami dziedzicznymi i środowiskowymi w procesach wzrastania, dojrzewania biologicznego oraz kształtowania się motoryki człowieka. Zastosował tu metodę bliźniąt monozygotycznych i dzygotycznych. Obserwacjami ciągłymi (trwały 10 lat) objął 120 par bliźniąt warszawskich. W tym samym czasie odbył studia biologiczne na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi na UMCS w Lublinie, uzyskując 2 marca 1971 r. tytuł magistra biologii. W tym samym roku w wyniku połączenia INKF z AWF w Warszawie powrócił do Zakładu Antropologii i prowadził wykłady oraz seminaria magisterskie. Przez kilka lat kierował także Zakładem Antropologii i kontynuował badania nad

bliźniętami. Wokół tej tematyki zgromadził liczne grono specjalistów z innych dziedzin wiedzy o człowieku, wynikiem czego były 3 rozprawy habilitacyjne. Za ogólny dorobek i przedłożoną pracę habilitacyjną „*Rozwój fizyczny i motoryczny bliźniąt*” Uchwałą Rady Wydziału Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego z dnia 24 maja 1973 r. uzyskał stopień naukowy dr habilitowanego. Dnia 13 listopada 1980 r. otrzymał tytuł prof. nadzwyczajnego nauk przyrodniczych, nadany przez Radę Państwa. W warszawskim AWF pełnił odpowiedzialne funkcje: prorektora (1974–1977) i rektora (1977–1981). W okresie tym był cenionym dydaktykiem i pedagogiem, wielkim uczonym, inspiratorem i organizatorem wielu przedsięwzięć naukowych, rozwijał AWF.

W latach 1982-1992 sprawował funkcję dyrektora Instytutu Sportu w Warszawie. To bardzo ważny okres w życiu naukowym prof. dr hab. M. Składa. Z dniem 1 listopada 1982 r. został mianowany na stanowisko profesora zwyczajnego AWF J. Piłsudskiego w Warszawie. Kierował dwoma Problemami Resortowymi o tematyce „*Efektywność treningu, walki sportowej i procesu odnowy*” oraz „*Rozwój biologiczny i społeczny dzieci i młodzieży uprawiającej sport*”. Kierował także badaniami nad rozwojem fizycznym, dojrzewaniem biologicznym oraz sprawnością fizyczną dzieci i młodzieży wiejskiej ze wschodnich terenów Polski.

Prof. zwycz. dr hab. Maciej Skład z ZWWF w Białej Podlaskiej związał się od 1988 r., kiedy to został zatrudniony jako pracownik naukowo-dydaktyczny w Zakładzie Nauk Biologicznych, w wymiarze 1/2 etatu, a od 1 października 1992 r. na pełnym etacie. W latach 1996–2002 pełnił funkcję Kierownika Zakładu Biologii i Antropologii, zaś od 1 lutego do 31 sierpnia 2002 r. Kierownika Katedry Biologii i Higieny. Prowadził wykłady z antropologii, seminaria magisterskie i wykłady monograficzne z nauk biologicznych. Przygoda z ZWWF trwała 20 lat (do połowy 2008 r.). Do ostatnich dni był aktywny zawodowo i żył problemami środowiska białskiego. Powstała swoista więź emocjonalna, którą trudno wyrazić w kilku zdaniach. Sądzę, że będę wyrazić całą społeczność akademickiej i bez patosu powiem „Panie Profesorze my naprawdę kochaliśmy Pana ” i mieliśmy wrażenie, że nasza miłość była odwzajemniona. Wykształcił kilkunastu doktorów kultury fizycznej, w tym liczną grupę z Białej Podlaskiej. Swoją wiedzą i doświadczeniem wspierał pracowników przygotowujących rozprawy habilitacyjne (m.in. obecną prof. dr hab. K. Górniak, dr H. Popławską, dra A. Wilczewskiego).

Jego dorobek naukowy jest ogromny. Ze względu na kanon biogramu jak również rangę niniejszego opracowania zasługuje na odrębne i dogłębne potraktowanie. Opublikował około 80 prac naukowo-badawczych, 2 książki, ponad 20 doniesień i komunikatów naukowych, uczestniczył w około 10 pracach zbiorowych, był recenzentem prac doktorskich, habilitacyjnych i recenzji wydawniczych. Organizował i uczestniczył w wielu konferencjach krajowych i zagranicznych. Należał do Polskiego Towarzystwa Antropologicznego i Pol-

skiego Towarzystwa Naukowego Kultury Fizycznej. Brał udział w Zespołach Redakcyjnych wielu czasopism naukowych. Wśród licznych wyróżnień i odznaczeń jakie otrzymał na uwagę zasługuje Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski (2002).

Był dwukrotnie żonaty: z Alicją, z którą miał córkę Ewę (1958) i z Krystyną Lipską. Zmarł niespodziewanie, tragicznie dnia 4 lipca 2010 r., został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Warszawie – Wólka Węglowa.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Mowa pogrzebowa wygłoszona 13 lipca 2010 r. w Warszawie przez Dziekana ZWWF w Białej Podlaskiej dra hab. prof. nadzw. Jerzego Sadowskiego, w posiadaniu autora.



LECH TELLOS
(30 IX 1932 - 22 III 1998)

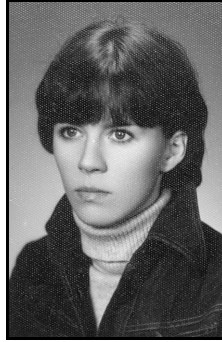
Urodził się 30 września 1932 r. w Białej Podlaskiej; syn Wacława. Ukończył szkołę podstawową i półtoraroczny kurs dla pracowników kulturalno-oświatowych. Uzdolniony muzycznie; grał na akordeonie i pianinie w lokalnych zespołach muzycznych. Dnia 28 lutego 1969 r. Główna Komisja Kwalifikacyjna Instruktorskich Amatorskich Zespołów Artystycznych w Łodzi przyznała Lechowi Tellosovi uprawnienia do pełnienia funkcji instruktora kategorii II ze specjalizacją muzyka.

Od 5 października 1970 r. do 10 września 1976 r. pracował jako akompaniator do zajęć muzyczno-ruchowych i tańców ludowych oraz gimnastyki w Filii AWF w Białej Podlaskiej. Był również członkiem kapeli w Zespole Pieśni i Tańca „Podlasie”. Równocześnie uczestniczył w przygotowaniach kompozycji muzycznych dla ZPiT „Białena”; był instruktorem Zespołu Chóralnego Spółdzielni Inwalidów. Politycznie związany był z ZSL, był członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Był żonaty z Zofią z d. Szczepaniak, miał troje dzieci: Krzysztofa, Marka i Ewę. Zmarł 22 marca 1998 r., został pochowany w grobie rodzinnym na Cmentarzu Parafialnym, przy ulicy Nowej w Białej Podlaskiej.

Źródła i opracowania

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Wywiad z Januszem Tellosem bratem zmarłego 28. 07. 2010 Biała Podlaska, w posiadaniu autora.



DONATA MARIA WILCZYŃSKA-STOLARCZUK
(1 IX 1956 – 24 IV 1999)

Urodziła się 1 września 1956 r. w Białej Podlaskiej w rodzinie nauczycielskiej Zbigniewa i Wandy z d. Zjawiony. W rodzinnym mieście zdobywała wykształcenie na poziomie szkoły podstawowej i średniej. W 1971 r. ukończyła Szkołę Podstawową Nr 1, zaś Liceum Ogólnokształcące im. J.I. Kraszewskiego w 1975 r. uzyskując świadectwo dojrzałości. Zgodnie z własnymi zainteresowaniami w roku akademickim 1975/1976 rozpoczęła studia na Wydziale Filologii Germańskiej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Po przedstawieniu pracy na temat „*Renns kriegsromane als literarisch selbsterzähltes Leben*” i złożeniu egzaminu magisterskiego, dnia 11 czerwca 1979 r. uzyskała tytuł magistra filologii niemieckiej.

Pracę w ZWWF podjęła 1 lipca 1979 r., jako stażystka w Ośrodku Informacji Technicznej i Ekonomicznej. Przechodząc poszczególne szczeble awansu zawodowego odpowiadała za selekcję napływającej literatury, wykonywała tłumaczenia dokumentów oraz wszelkiego rodzaju streszczeń, opracowań i referatów. Równocześnie prowadziła zajęcia ze studentami w zakresie informatyki oraz języka niemieckiego w Zespole Szkół Zawodowych Nr 2 przy ul. Brzeskiej.

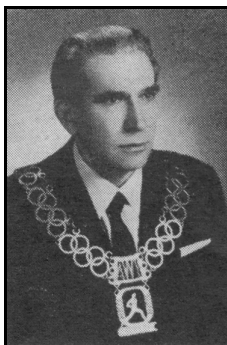
W 1983 r. została zatrudniona w Pracowni Języków Obcych na stanowisku lektora języka niemieckiego, później wykładowcy. Do zajęć ze studentami podchodziła z wielkim zaangażowaniem. Jej zajęcia były dynamiczne, zawsze przemyślane i interesujące. Była wspaniałym człowiekiem i pedagogiem. Wymagała od siebie, ale również od studentów. Konsekwentna, a jednocześnie wyrozumiała, wrażliwa na krzywdę ludzką, służyła ludziom pomocą w trudnych dla nich sytuacjach. Była kobietą skromną i życzliwą, o wysokim autorytecie zawodowym i moralnym, o wyjątkowym uroku osobistym. Dotknięta ciężką chorobą rozstała się z uczelnią 15 września 1997 r. przechodząc na rentę inwalidzką.

Była zamężna z Krzysztofem Stolarczukiem; pozostawiła trójkę dzieci: Ewę (1980), Tomasza (1986) i Małgorzatę (1991).

Zmarła przedwcześnie 24 kwietnia 1999 r. w wieku zaledwie 43 lat; została pochowana na Cmentarzu Parafialnym, przy ulicy Nowej w Białej Podlaskiej.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Dokumenty i pamiątki rodzinne w posiadaniu męża K. Stolarczuka; Z. Cicirko, Donata Maria Wilczyńska-Stolarczuk (1 IX 1956 – 24 IV 1999), Rocznik Naukowy ZWWF w Białej Podlaskiej 2003, T. X. s. 309-311.



JERZY SZCZEPAŃSKI
(1 III 1921-14 II 1981)

Urodził się 1 marca 1921 r. w Warszawie, w rodzinie urzędniczej jako syn Stanisława i Czesławy z Szopińskich. Szkołę powszechną ukończył w Grodźcu k/Będzina. Naukę w gimnazjum rozpoczął w Zakopanem, a po przeprowadzce rodziców do Bielska Białej w Państwowym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym im. J. Piłsudskiego na Wydziale Przyrodniczym. Świadectwo dojrzałości uzyskał 24 czerwca 1939 r. i rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego, przerwane wybuchem II wojny światowej. W okresie okupacji przebywał w Bielsku Białej, a od 1941 r. w Rawie Ruskiej, gdzie pracował jako kolejarz. Równocześnie w latach 1942-1944 studiował medycynę w Państwowym Instytucie Medycznym we Lwowie. Brał aktywny udział w ruchu partyzanckim. W 1942 r. za działalność konspiracyjną rozstrzelano Jego ojca.

Po wojnie, w latach 1945-1947 pracował jako lekarz w Powiatowym Szpitalu w Lubaczowie. Studia lekarskie kontynuował w latach 1947-1948 na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Dnia 30 czerwca 1948 r. otrzymał dyplom lekarza medycyny. W trakcie studiów należał do grona aktywnych i wyróżniających się studentów. Odbывał jednocześnie praktykę w Zakładzie Higieny pod kierunkiem prof. Witolda Chodźki. W latach 1948-1956 podjął praktykę lekarską w Ośrodku Zdrowia w Łęcznej oraz odbywał służbę wojskową. Za przedstawienie dysertacji, napisanej pod kierunkiem prof. zw. W. Chodźki na temat „*Zagrożenie i częstość ukażeń przez żmiję na terenie woj. rzeszowskiego w okresie powojennym. (Spostrzeżenia własne)*”, w dniu 11 kwietnia 1951 r. otrzymał tytuł doktora medycyny. Swoje kwalifikacje medyczne pogłębiał na Uniwersytecie Medycyny Sportowej (Łódź 1950), zaś w Białymstoku (1962) uzyskał specjalizację II stopnia z radiologii. W latach 1956-1957 pracę zawodową kontynuował w Powiatowym Szpitalu w Piszcu, a następnie został skierowany do pracy w Białej Podlaskiej w charakterze Kierownika Placówki Radiologicznej przy Szpitalu Miejskim.

Jego przygoda z Filią AWF rozpoczęła się w 1970 r. i trwała do ostatnich dni Jego życia. Przeszedł w niej wszystkie szczeble drogi zawodowej: adiunkta, docenta, starszego wykładowcy. Pełnił odpowiedzialne funkcje: kierownika dydaktycznego Nauk Biologiczno-Medycznych; kierownika ds. Planowania i Organizacji Nauki; kierownika FAWF ds. Nauki; organizował od podstaw akademicką służbę zdrowia. Zajęcia dydaktyczne ze studentami prowadził z zakresu higieny i wychowania zdrowotnego. Był ogromnym autorytetem dla studentów. Łatwość nawiązywania kontaktów, Jego błyskotliwość, inteligencja i erudycja czyniły Go pedagogiem o wysokiej klasie, podtrzymującym tradycje starej „szkoły profesorskiej”. Wykształcił 109 magistrów wychowania fizycznego.

Dociekania badawcze doc. J. Szczepańskiego skupiały się wokół szeroko pojętej higieny, a zwłaszcza jej związków z zagadnieniami żywienia, trawienia, ochrony zdrowia i środowiska. Bliskie Mu były również problemy fizjologii ogólnej, wysiłku fizycznego, sportu, antropologiczne i społeczno-historyczne. Ogółem opublikował 62 prace naukowe. Wśród ważniejszych wymienić należy: „Przyczynek do badań nad aktywizowaniem procesu powstawania blizny kostnej doświadczalnej”; „Chirurgia Narządów Ruchu i Ortopedii Polskiej” 1965, T. XXX, s.131; „Przyczynek do prób leczenia głuchoty starczej”, „Polski Tygodnik Lekarski” 1967, T.XII, s.37; „Właściwa ranga wychowania fizycznego w szkole”, „Kultura Fizyczna” 1971, Nr 12. Brał udział w zjazdach i sympozjach naukowych krajowych i zagranicznych. Był założycielem „Zeszytów Naukowych FAWF”.

Obdarzony był wyjątkowym talentem literackim i wrażliwością typową dla humanisty. Jego dorobek w tej dziedzinie obejmuje 42 publikacje. Są to w głównej mierze nowele, opowiadania i szkice, często publikowane na łamach „Łowcy Polskiego”, wiele z nich było nagradzanych i wyróżnianych. Popularyzował piękno przyrody i „walczył piórem” na rzecz ochrony środowiska – przestrzegał przed jego degradacją. Oto niektóre z nich: *Jedziemy na rykowiska*, „Łowiec Polski” 1951, Nr 12, s.15; cykl *Opowiadania z błędem*, „Łowiec Polski” 1957; *Aspekty sportowe myślistwa*, „Łowiec Polski” 1974, Nr 1470, s. 15.

Należał do aktywnych działaczy społecznych w środowisku bialskim: był członkiem założycielem Podlaskiego Koła Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, aktywnym członkiem i działaczem Polskiego Towarzystwa Higieny, Polskiego Towarzystwa Radiologicznego, Polskiego Związku Łowieckiego, AZS-u, ZBOWiD oraz Stronnictwa Demokratycznego.

Za wieloletnią działalność został odznaczony m.in.: Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Partyzanckim, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Medalem Zasługi dla Obronności Kraju, Srebrnym i Brązowym Medalem Zasługi Łowieckiej, Medalem Zasługi dla LOK, Złotą Odznaką Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej.

Żonaty od 1948 r. z Danutą Antoniną z d. Wrzos, miał dwóch synów: Jerzego Stanisława (1949) i Marka (1954).

Zmarł po długotrwałej i ciężkiej chorobie 14 lutego 1981 r.; spoczywa na Cmentarzu Parafialnym w Piszcu.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej,teczka akt osobowych; E. Wasilewski, Główne kierunki rozwoju Filii i Zamiejscowego Wydziału Warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego, Akademia Wychowania Fizycznego na Podlasiu. Filia i Zamiejscowy Wydział Warszawskiej AWF w Białej Podlaskiej 1969–1989, Biała Podlaska 1990, s.7-20; Z. Cicirko, Jerzy Szczepański (1921–1981), Białkopodlaski biograficzny słownik sportowy, Biała Podlaska 1998, s.168-169; Z. Cicirko Szczepański Jerzy (1921- 1981), Słownik biograficzny wychowania fizycznego i sportu, „Wychowanie Fizyczne i Sport” 1999, Nr 3, s. 165-167



WALDEMAR JERZY SZCZEPAŃSKI
(13 I 1937 – 2 IX 1995)

Urodził się 13 stycznia 1937 r. w Warszawie w rodzinie inteligenckiej Stanisława i Władysławy z d. Skorek. Naukę na poziomie szkoły podstawowej i liceum ogólnokształcącego pobierał w Międzyrzecu Podlaskim.

W 1958 r. rozpoczął studia w AWF w Warszawie, na Wydziale Wychowania Fizycznego. Ze względu na trudne warunki materialne w latach 1961–1962 podjął pracę, jako nauczyciel na terenie Radzyna Podlaskiego i Międzyrzeca Podlaskiego, kontynuując nadal naukę w systemie zaocznym. Po przedstawieniu pracy na temat „Zainteresowanie sportem młodzieży szkół średnich w Międzyrzecu Podlaskim” i przystąpieniu do egzaminu końcowego, dnia 5 marca 1964 r. uzyskał tytuł magistra wychowania fizycznego.

W latach 50-tych Waldemar Szczepański był czynnym zawodnikiem LKS „Huragan” w Międzyrzecu Podlaskim. Uzyskiwał bardzo dobre wyniki w skoku wzwyż (182 cm) i w skoku w dal (6.56 cm). W ostatnich z wymienionych konkurencji był wicemistrzem Zrzeszenia LZS w 1956 r. Reprezentował Polskę w trójmeczcu Polska- Czechosłowacja- NRD w Krakowie.

Od 1963 r. rozpoczął pracę trenera lekkiej atletyki w RKS „Huragan” w Międzyrzecu Podlaskim. Udzielał się również w Lubelskim Okręgowym Związku Lekkiej Atletyki (LOZLA). Należał do grona najlepszych szkoleniowców w okręgu w konkurencjach szybkościowo-skocznościowych. Był inicjatorem i organizatorem konferencji metodycznych i szkoleniowych. Swoją wiedzę pogłębiał permanentnie, czego uwieńczeniem było uzyskanie w 1968 r., w AWF w Warszawie tytułu trenera II klasy z lekkiej atletyki. W latach 1965–1968 w RKS „Huragan” zajął się szkoleniem licznej grupy młodych sportowców, którzy osiągając bardzo dobre rezultaty byli znani w kraju i za granicą. Należeli do nich, m.in. Janusz Homziuk i Anna Bratkowska. Zauważony przez władze Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, został trenerem kadry narodowej (1969 – 1970) i na zawodach międzynarodowych w Rumunii reprezentował wraz z zawodnikami Polskę.

W latach 1970–1974 pracował w FAWF na stanowisku starszego asystenta, a później wykładowcy (od 1973 r.). Prowadził zajęcia dydaktyczne z lekkiej atletyki oraz, na obozach letnich, tzw. „ogólnorozwojówkę”. Posiadał dużą wiedzę i praktykę w tym zakresie. Pełnił funkcję kierownika Pracowni Lekkiej Atletyki w Zakładzie Sportu. Za wybitne osiągnięcia w lekkiej atletyce, decyzją Przewodniczącego WKKF w Lublinie, w roku 1979 uzyskał tytuł trenera I klasy. Uczelnię opuścił na własną prośbę 30 września 1974 r. i powrócił do Międzyrzecza, gdzie kontynuował szkolenie młodzieży w KS „Huragan” do 1986 r.

Za działalność sportową odznaczony był Honorowym Orderem Za Zasługi w Sporcie Szkolnym oraz Srebrną Odznaką Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej.

Był żonaty z Teresą z d. Łukaszuk, miał dwoje dzieci: córkę Magdalенę i syna Marcina.

Zmarł 2 września 1995 r.; został pochowany na Cmentarzu przy ul. Brzeskiej w Międzyrzeczu Podlaskim.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; W. J. Burzyński, Szczepański Waldemar Jerzy (1937–1995), Białkopodlaski biograficzny słownik sportowy, Biała Podlaska 1998, s.171-172



EUGENIUSZ SZOSTAK
(9 IV 1934 - 10 X 2000)

Urodził się 9 kwietnia 1934 r. w Brześciu n/Bugiem, w rodzinie Piotra i Eufrozyny z d. Chorszun. W wieku 4 lat w 1938 r. stracił najbliższą osobę – matkę, tak więc Jego dzieciństwo nie należało do najłatwiejszych. Podczas okupacji w 1942 r. został wywieziony wraz z ojcem na roboty przymusowe do Niemiec. W 1946 r. powrócił do Białej Podlaskiej i utrzymywał się z pracy ojca – czapnika, któremu dorywczo pomagał. Szkołę Podstawową nr 2 ukończył w 1949 r., a następnie podjął naukę w Techniku Ekonomicznym, gdzie w 1953 r. uzyskał świadectwo dojrzałości. Bezgraniczna miłość ojcowska do jedynego, osieroconego syna pozwalała na realizację Jego pasji. Jedną z nich było kolarstwo. Jako jeden z pierwszych na terenie miasta posiadał rower „półwyścigowy” i uczestniczył w regionalnych zawodach kolarskich. Obdarzony doskonałymi warunkami fizycznymi, reprezentował miasto w siatkówce. W 1953 r. wystąpił w słynnym meczu przeciwko reprezentacji Armii Radzieckiej, pokonując ją wynikiem 3:2.

W latach 1954–1958 studiował w AWF w Warszawie, uzyskując tytuł magistra wychowania fizycznego. Był zawodnikiem AZS AWF w mało popularnej w tym okresie dyscyplinie – rugby. Wraz z drużyną zdobył Mistrzostwo Polski w sezonie 1957/58. Brał również udział w meczach ligowych i międzypaństwowych. W 1958 r. uzyskał trenera II klasy w rugby.

Pracę pedagogiczną rozpoczął 1 września 1959 r. jako nauczyciel wychowania fizycznego w Technikum Ekonomicznym w Białej Podlaskiej. Swoją postawą i osobowością wywierał pozytywny wpływ na uczniów. Propagował higieniczny, zdrowy styl życia. Na lekcjach wychowania fizycznego wprowadził jednolite stroje sportowe (dziś w wielu szkołach niestety zapomniane), obowiązujące wszystkich uczniów. Nie przestrzegał sztywno opracowanych i narzucanych programów, zwłaszcza na lekcjach gimnastyki systemem szwedzkim, którą naturalizował i dynamizował. Był wszechstronnym nauczycielem, szkolił nawet miejscowych policjantów w zakresie samoobrony i walki

wręcz. Równocześnie był instruktorem siatkówki zespołów męskich w Ośrodku Wychowania Fizycznego i RKS „Podlasie”. Drużyny przez Niego kierowane odnosiły znaczące sukcesy w skali województwa i kraju. Będąc jednocześnie zawodnikiem przyczynił się do rozgromienia w 1960 r. silnej reprezentacji ZNP „Lublin” i zdobycia tytułu Wicemistrza Polski oraz pokonania pierwszoligowego zespołu „Avii” Świdnik.

W latach 1969–1999 był zatrudniony w charakterze nauczyciela akademickiego w WSN Filii UMCS (obecnie ZWWF w Białej Podlaskiej). Przez cały okres pracy w Uczelni prowadził zajęcia z piłki siatkowej ze studentami stacjonarnymi i zaocznymi. Po uzyskaniu w 1974 r. drugiego już tytułu trenera II klasy w/w dyscyplinie, był inicjatorem i organizatorem specjalizacji instruktorskich i trenerskich. W latach 1969–1975 pełnił funkcję kierownika Pracowni Zespołowych Gier Sportowych, a po zmianie struktury w latach 1979–1984 kierownika Zakładu Gier Sportowych. Równocześnie w latach 1977–1980 władze Uczelni powierzyły Mu obowiązki pełnomocnika Rektora ds. Szkolenia Podyplomowego Kadr.

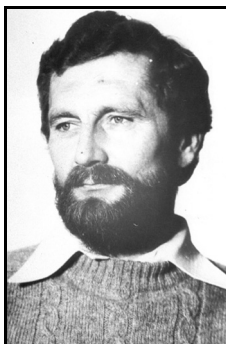
Mgr E. Szostak uczestniczył aktywnie w życiu białskich organizacji i instytucji społecznych. Był zaangażowany w działalność ZNP, Koła Białczan (od 1965 r.), i TKKF (od 1969 r.). Za swą postawę pedagogiczną i społeczną został odznaczony: Złotym Krzyżem Zasługi (1980), Medalem 40-lecia Polski Ludowej (1984), Brązową Odznaką Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej (1981).

Był żonaty z Wiesławą z d. Klecha, posiadał dwójkę dzieci: Piotra (1972) i Małgorzatę (1973).

Zmarł nagle 10 października 2000 r. w dniu Inauguracji Roku Akademickiego w Uczelni, której służył wiernie przez 30 lat. Został pochowany na Cmentarzu Parafialnym, przy ulicy Nowej w Białej Podlaskiej.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Z. Cicirko, Eugeniusz Szostak (9 IV 1934 – 10 X 2000), Rocznik Naukowy IWFIS w Białej Podlaskiej 2000, T.VII, s. 387-389.



GRZEGORZ TARANTOWICZ
(15 V 1946 – 11 IX 1983)

Urodził się 15 maja 1946 r. w Szczepieszynie, w rodzinie robotniczej Antoniego i Heleny z d. Kapeć. Szkołę Podstawową, jak również Państwowe Liceum Pedagogiczne ukończył w rodzinnym mieście, uzyskując w 1966 r. świadectwo dojrzałości.

W latach 1966–1970 naukę kontynuował w AWF w Warszawie, gdzie uzyskał tytuł magistra wychowania fizycznego oraz uprawnienia instruktorskie w zakresie narciarstwa nizinnego i żeglarstwa. Zarówno w okresie nauki szkolnej jak i studiów, uprawiał wyczynowo narciarstwo biegowe, uzyskując znaczące sukcesy na dystansach 5 000 m i 15 000 m. Kolejną Jego pasją była lekka atletyka, w której specjalizował się w biegach średnich na 1 500 i 3 000 m. W dyscyplinach tych reprezentował barwy LZS „Roztocze”, a w okresie studiów AZS AWF Warszawa.

Po ukończeniu studiów, na krótko w 1970 r. zatrudnił się w III LO im. Unii Lubelskiej w Lublinie, a następnie w FAWF w Białej Podlaskiej, na stanowisku asystenta w Katedrze Wychowania Fizycznego i Sportów Wodnych. Od 1981 r. pełnił funkcję kierownika Zakładu Sportów Zimowych. W trakcie pracy zawodowej podnosił własne kwalifikacje, zdobywając nowe uprawnienia: trenera II klasy ze specjalnością narciarstwo biegowe (1970) oraz trenera II klasy w lekkiej atletyce (1973). Prowadził zajęcia dydaktyczne ze studentami na obozach letnich i zimowych, organizował wędrowki krajoznawcze. Z Jego inicjatywy w ramach AZS przy FAWF została powołana sekcja lekkiej atletyki ze specjalnością – biegi średnie. Zajmował się szkoleniem seniorów oraz pracą od podstaw z młodzieżą szkolną, budując jednocześnie zaplecze sekcji lekkoatletycznej AZS. Należał do głównych organizatorów budowy Ośrodka Sportów Wodnych w Rybitwach k/ Pizsa. W latach 1979–1981 pełnił funkcję prezesa AZS FAWF.

Był żonaty od 1972 r. z Felicją z d. Kondraszuk, miał dwóch synów: Artura i Marcina.

Zmarł nagle 11 września 1983 r. w Ośrodku Sportów Wodnych w Rybitwach k/ Piszki podczas wykonywania obowiązków służbowych. Jego ciało spoczywa na Cmentarzu Parafialnym, przy ulicy Nowej w Białej Podlaskiej.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej,teczka akt osobowych; Z. Cicirko, Tarantowicz Grzegorz (1946 - 1983), Bialskopodlaski biograficzny słownik sportowy, Biała Podlaska 1998, s. 182-183.



BOGDAN TUROSS
(19 VI 1927 – 7 X 1990)

Doc. dr Bogdan Tuross urodził się 19 czerwca 1927r. w Warszawie, w rodzinie inteligentkiej Jana i Wandy z d. Cymerman. Ojciec z wykształcenia był inżynierem architektem, matka zaś ukończyła Seminarium Nauczycielskie, nie podjęła pracy, lecz zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci.

Szkolę Podstawową rozpoczął w 1934 r. w Warszawie na Bielanach. Jako 11-letni chłopiec (1938 r.) wstąpił do Związku Harcerstwa Polskiego (ZHP). Idealom harcerskim był wierny do końca życia. Pragnął zmieniać rzeczywistość tak, by działając na rzecz innych, być wiernym zasadzie: „Bóg – Honor – Ojczyzna”. Edukację swą kontynuował od 1940 r. w Zawodowej Szkole Drogowej na Bielanach, prowadzonej przez księży Marianów, która w czasie okupacji była liceum konspiracyjnym. Równocześnie (w 1942 r.) wstąpił w szeregi tajnego harcerstwa „Szare Szeregi”. Brał udział w Powstaniu Warszawskim w harcerskim plutonie 227 na Żoliborzu, w zgrupowaniu „Żywiciel”; był ranny. Po kapitulacji przebywał w niewoli niemieckiej w stalagu XI Altengrabow, zaś jego ojciec w Murnau. Pod koniec 1945 r. powrócił do kraju i zamieszkał w Warszawie.

W 1947 r. ukończył Gimnazjum i Liceum im. Ks. J. Poniatowskiego na Żoliborzu uzyskując świadectwo dojrzałości. W tym samym czasie pracował w Żoliborskim Hufcu ZHP. Studia wyższe rozpoczął w Państwowej Wyższej Szkole Higieny Psychiczej w Warszawie, które przerwał w 1949 r. i podjął naukę w Akademii Medycznej w Szczecinie, którą ukończył w 1954 r. w Warszawie. Dyplom lekarza medycyny otrzymał 24 kwietnia 1955 r. Po odbyciu przeszkolenia wojskowego zatrudnił się na stanowisku asystenta w Katedrze Kontroli Lekarskiej AWF w Warszawie. W latach 1961–1970 pełnił funkcję lekarza internisty w Przychodni Sportowo-Lekarskiej AWF. Zgodnie z zainteresowaniami, w 1965 r. otrzymał uprawnienia specjalistyczne z neurologii, a rok później z medycyny sportu. Dnia 30 czerwca 1970 r. Uchwałą Rady Wydziału

Wychowania Fizycznego AWF w Warszawie nadano Mu tytuł doktora nauk wychowania fizycznego, dzięki czemu awansował na stanowisko adiunkta w Katedrze Kontroli Lekarskiej tejże Uczelni.

W latach 1972–1978 pracował w Filii AWF w Białej Podlaskiej. W okresie tym pełnił odpowiedzialne funkcje kierownicze: Pracowni Fizjologii, Przychodni Lekarskiej, Zakładu Nauk Biomedycznych, prodziekana do spraw studenckich. Był kompetentnym, wymagającym, a zarazem wyrozumiałym kierownikiem. Jego skromność, stoicki spokój, stosownie wypowiedzany dowcip, bezkonfliktowość sprawiły, iż był lubiany i ceniony w białskim środowisku akademickim. Ze studentami prowadził zajęcia z fizjologii człowieka, a później medycyny sportu i seminaria magisterskie. Posiadał komplementarną wiedzę, dzięki której zbliżał do siebie studentów. Organizował grupy ćwiczebne i kontrolne w zakresie różnych dyscyplin sportowych, wdrażał studentów do badań naukowych, chociażby przeprowadzając trening autogeny Schultz. Po takim treningu, który można dziś porównać do dobrego spektaklu teatralnego, po godzinie czasu młodzież czuła się wypoczęta i naładowana pozytywną energią.

Był osobistym przykładem zdrowego, higienicznego stylu życia. Zawsze można było Go spotkać na długim spacerze. W pamięci studentów na zawsze pozostał docentem w „ortalioniku”. Bez względu na pogodę nie rozstawał się z ortalionowym płaszczem, nawet w zimie, hartując swoje ciało. Był zdecydowanym przeciwnikiem nałogów. Na cyklicznych spotkaniach, organizowanych wspólnie z prof. dr hab. W. Starostą przy ziołowych herbatkach, informował i przestrzegał studentów przed zgubnymi skutkami nałogów. Wspierał i rozwijał studencki ruch naukowy. Jego podopieczni zajmowali czołowe miejsca na studenckich konferencjach naukowych. Wykształcił grono absolwentów – członków studenckich kół naukowych (SKN). Pełnił rolę doradcy i konsultanta SKN przy Naczelnej Radzie Socjalistycznego Związku Studentów Polskich (SZSP). Wypromował 45 magistrów wychowania fizycznego.

Doc. dr B. Turoś był zaangażowany w prace naukowo-badawcze. Spostrzeżenia i doświadczenia na ten temat publikował w fachowych czasopismach. Niektóre zagadnienia opracował w formie odrębnych raportów. Tematyka jego zainteresowań była rozległa i dotyczyła: doboru metod i technik badawczych psychosocjologicznych w sporcie; technik psychoterapeutycznych jako środka psychoregulacji w sporcie wyczynowym; wpływu nikotynizmu na wydolność układu krążenia i osiągane wyniki u sportowców; czynników nerwicorodnych i ich eliminacji w sporcie wyczynowym; stosowania różnych metod w leczeniu stanów pourazowych.

Po opuszczeniu Białej Podlaskiej zatrudnił się na stanowisko adiunkta w Zakładzie Psychospołecznych Problemów Sportu w Instytucie Sportu w Warszawie, a następnie w Ośrodku Higieny Psychiczej Szpitala Bródnowskiego. Od 1980 r., po śmierci uznanego autorytetu naukowego prof. dra Kazimierza Dąbrowskiego kierował Psychiatrycznym Zespołem Opieki Zdrowotnej w War-

szawie, z którym związany był do ostatnich dni życia. Był cenionym lekarzem w zakresie chorób układu nerwowego oraz higieny psychicznej. Brał czynny udział w ruchu higieny psychicznej w kraju, uczestnicząc w pracach programowych z tym związanych.

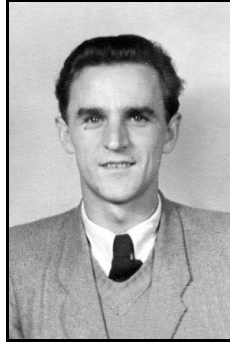
Doc. dr B. Turowski obdarzony był ogromnym talentem artystycznym. Malował obrazy, rzeźbił w drewnie i lepił z gliny. Jego pasją były różne formy wędrowania oraz jazda na nartach. W działalność polityczną zbytnio się nie angażował. Od 1976 r. związany był ze Stronnictwem Demokratycznym (SD).

Za swoje dokonania został odznaczony i wyróżniony: m.in. Krzyżem Armii Krajowej, Warszawskim Krzyżem Powstańczym „Powstańcom Warszawy”, Krzyżem Zasługi dla ZHP z Rozetą i Mieczami, Medalem 40-lecia Polski Ludowej, Medalem za Warszawę, Medalem Wojska Polskiego i innymi.

Był żonaty z Teresą z d. Głowińską. Zmarł nagle 7 października 1990 r., został pochowany w Warszawie na Cmentarzu Komunalnym – Wólka Węglowa.

Źródła i opracowania:

Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; Z. Cicirko, Bogdan Turowski (19 VI 1927 – 7 X 1990), Rocznik Naukowy ZWWF 2006, T. XIII, s. 267-271.



TADEUSZ ŻMIREK
(7 V 1923 – 21 V 1997)

Urodził się 7 maja 1923 r. w Warszawie, w rodzinie robotniczej Edwarda i Marii z d. Stroikowska. Ojciec był majstrem stolarskim, zaś matka prowadziła dom i wychowywała dzieci. Szkołę powszechną ukończył w 1937 r., natomiast do 1939 r. dwie klasy Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie. Uzdolniony muzycznie (od 8 roku życia grał na skrzypcach), w 1937 r. wstąpił do Konserwatorium w Warszawie do klasy organowej.

W 1943 r. ukończył szkołę średnią w Tajnym Ośrodku Nauczania w Warszawie k/Warszawy. W latach 1940–1943 pobierał również naukę w Tajnej Szkole Muzycznej na Wydziale Pedagogicznym w klasie organowej, pod kierunkiem profesora Chwedoruksa. Od 1940 r. pracował w tajnej organizacji Ruchu Ludowego „Roch”, a w październiku 1943 r. wstąpił do oddziału partyzanckiego Batalionu Chłopskiego, działając w obwodzie 11 Radzyń, gdzie w maju 1944 r. otrzymał stopień podporucznika. Po wyzwoleniu pasje związane z muzyką realizował jako nauczyciel śpiewu i muzyki w szkołach: Białej Podlaskiej, Sławnie i Sopocie. Od 1947 r. był instruktorem w Towarzystwie Teatrów i Muzyki Ludowej, w Towarzystwie Uniwersytetów Ludowych i od 1949 r. w ZG Związku Samopomocy Chłopskiej w Warszawie, jako kierownik muzyczny.

Z AWF w Warszawie związał się w latach 1949–1974. Tu realizował się pod względem artystycznym i dydaktycznym. Został zatrudniony w Zakładzie Gimnastyki jako akompaniator, starszy asystent, starszy wykładowca. Kierował zespołem akompaniatorów i odpowiadał za muzyczną stronę zajęć dydaktycznych ze studentami. Prowadził wykłady z historii muzyki i sposobu jej odbierania. Prowadził naukę piosenek obozowo-sportowych. Opracowywał muzykę do pokazów i ćwiczeń w zakładach pracy. Był choreografem, konsultantem, autorem strony muzyczno-wokalnej podczas występów, pokazów gimnastycznych i łyżwiarskich, w kraju i za granicą (np. na Mistrzostwach w gimnastyce w Bazylei, Gimnastriadzie). Z Jego inicjatywy został powołany w Uczelni chór, którego był dyrygentem, orkiestra oraz zespoły kameralne: tercetu i kwartetu.

Mgr T. Żmirek od 1 października 1972 r. do 31 sierpnia 1990 r. związany był z FAWF w Białej Podlaskiej. Został zatrudniony na stanowisku starszego wykładowcy. Następnie władze Uczelni powierzyły Mu funkcję kierownika Pracowni Ćwiczeń Muzyczno-Ruchowych oraz Gier i Zabaw w Zakładzie Wychowania Fizycznego. Podobnie jak w Warszawie był akompaniatorem na zajęciach gimnastyki, choreografem i twórcą podkładów muzycznych na studenckich zawodach gimnastycznych. Jego muzyka nie była banalna, sięgał do klasyki, przez co uczestnictwo w takich spektaklach było również „uczta muzyczną” na najwyższym poziomie. W różnej formie prowadził umuzykalnienie młodzieży akademickiej. Z okazji różnych okoliczności organizował spotkania muzyczne kameralne przy świecach, które cieszyły się ogromnym uznaniem „żaków” i pracowników dydaktycznych. Był przewodnikiem w zakresie piosenki studenckiej i biesiadnej. Uczelnia żyła, studenci byli rozśpiewani. Wieczory przy ogniskach, na obozach sportowych, wędrownkach nie ograniczały się do „karaoke” i do ładowania akumulatorów na odwagę różnymi „wspomagaczami”, tak jak to bywa dzisiaj. Po prostu jeden zaintonował, a reszta jak „gruchnęła” gromko, to na prawdę chciało się żyć i przy takim śpiewie nawet tańczyć. W tych sytuacjach widać było ogromną klasę naszego pedagoga, który poprzez piosenkę skutecznie nas integrował. Panie Magistrze, dziś jako była studentka, a obecnie pedagog, w imieniu wszystkich absolwentów wyrażę swe odczucia: „brakuje nam Pana bardzo, ale Pańskie piosenki w nas żyją” (przepraszam za wybiegnięcie poza kanon biogramu, ale to było konieczne – przyp. Z.C.).

Mgr Tadeusz Żmirek był organizatorem i dyrygentem studenckiego chóru przy Filii AWF. W latach 1977–1980 dodatkowo zatrudnił się w charakterze konsultanta muzycznego i kierownika artystycznego chóru chłopięcego „Skowronki Podlaskie” przy Wojewódzkim Domu Kultury w Białej Podlaskiej. W tak krótkim okresie doprowadził chłopięcy chór do takiej perfekcji, że stał się znanym nie tylko na Podlasiu Południowym, ale występował w większych miastach polskich, Filharmonii Narodowej i PWSM, Polskim Radio, miał nagrania płytowe.

Ze względu na stan zdrowia, 1 października 1980 r. opuścił Białą Podlaską i przeszedł na rentę inwalidzką, później na emeryturę i zamieszkał w Warszawie. Muzyka towarzyszyła Mu do końca życia. Nadal sam dużo śpiewał, prowadził społecznie chór Związku Zawodowego Kolejarzy i służył studentom warszawskim, akompaniując do zajęć z gimnastyki.

Wzbudzał podziw środowiska swoim zaangażowaniem w to, co robił. Był wielokrotnie odznaczany i nagradzany, m. in. Krzyżem Walecznych, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi. Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Odznaką Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej, Złotymi Odznakami SPAM i ZNP, Honorową Odznaką za Zasługi dla Warszawy. Od 1934 r. był oddanym harcerzem, zaś od 1946 członkiem

Stronnictwa Ludowego, a od 1948 r. Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Przez wiele lat aktywnie uczestniczył w pracach Stowarzyszenia Polskich Artystów i Muzyków.

Był dwukrotnie żonaty, po raz pierwszy z Ireną z d. Gordon, z którą miał dwoje dzieci – Jacka i Małgorzatę; po raz drugi z Marią Bober.

Zmarł 21 maja 1997 r.; został pochowany w grobie rodzinnym na Cmentarzu Powązkowskim (dawnym Wojskowym) w Warszawie.

Źródła i opracowania:

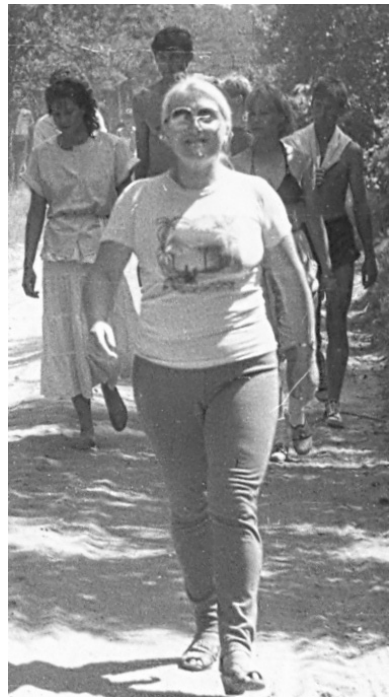
Archiwum ZWWF w Białej Podlaskiej, teczka akt osobowych; T. Jasiński, Akademia Bialska, „Kamena” Lublin, 06.04.1975; A. Mazur, Tadeusz Żmirek (1923 - 1997), Słownik Biograficzny Pracowników CIWF i AWF, Warszawa 2000, T. I, s. 120-121.

Andrzej Nowowiejski i przyjaciele



O Zeni

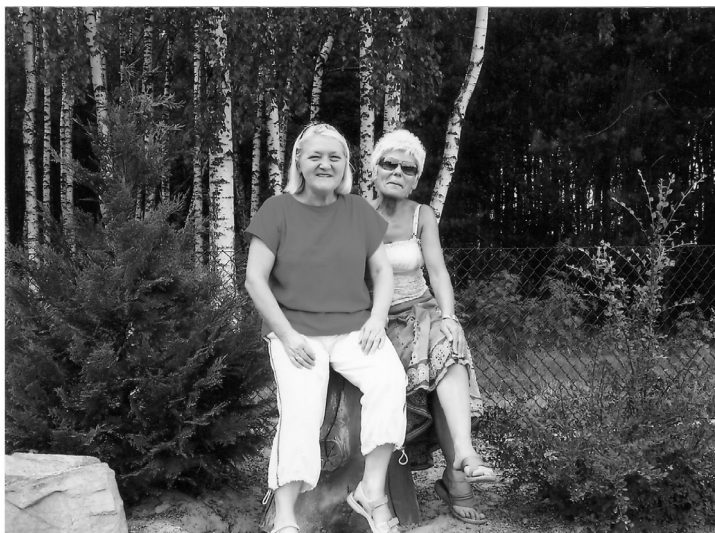
SPOTKALIŚMY się zupełnie przypadkowo. Ja, student I roku i ona, młoda asystentka, prowadząca zajęcia z tańców. W naszej grupie tańce prowadziło dwóch panów, Rysiek Kapica i Marian Rzędzicki. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że obaj zachorowali, albo nie mogli z jakiegoś powodu przyjść na zajęcia. Tańce odbywały się w sali gimnastycznej. Czekaliśmy studencki kwadrans, nie wiedząc czy w ogóle się one odbędą. Ku naszemu zdziwieniu, przysłała młoda blondynka o pełnych kształtach. Uśmiechnięta, może trochę zażenowana, ale pełna wigoru. Patrzyliśmy z niedowierzaniem, bo jak może kobieta prowadzić z grupą męską tańce. Byliśmy przyzwyczajeni, że wszystkie taneczne ewolucje demonstrowało dwóch przystojnych panów, a my tańczyliśmy również w męskich parach. Młoda pani prowadząca szybko wyczuła nasze obawy. Nazywam się Zenona Bednarczuk i chyba nie podejrzewacie panowie, że przychodząc na tego typu zajęcia nie potrafię tańczyć. Na dzień dobry poprosiła o poleczkę i wątpliwości się rozwiały. Akompaniator stanął na wysokości zadania, zagrał żywo i skocznie. Był to, nie kto inny tylko sam Zdzicho Karpowicz, a Zenia płynęła po parkiecie z jednym z naszych kolegów. Zajęcia były niby te same, ale zdecydowanie weselsze i my jakoś żywiej poruszaliśmy się po parkiecie. Niestety Zenia na naszych zajęciach już więcej się nie pojawiła. Po raz drugi spotkaliśmy się na grach i zabawach ruchowych. To były również wspaniałe zajęcia, zwłaszcza, że byliśmy jeszcze w wieku cięłym. W mojej grupie było dwóch arcyzabawnych gości. Adzius i Krzysio Kizlich, którzy zawsze ze sobą rywalizowali. Wystarczyło, że ustawiali się jako pierwsi w dwóch sąsiadujących ze sobą rzędach i zabawę mieliśmy gwarantowaną. Dochodziło do tak komicznych sytuacji, że



Zenia, żeby prowadzić zajęcia, musiała jednego z nich usunąć. Wystarczyło, że popatrzyła na jednego z nich i pokładała się ze śmiechu, a z nią cała grupa. Wszystko odbywało się oczywiście w granicach rozsądku, bo gdzie można było zrywać boki ze śmiechu, jak nie u Zeni na zajęciach. Była błyskotliwa i szybko reagowała na zaistniałą sytuację. Piękny lipcowy ranek, Pisz, obóz I roku. Apele odbywały się rankiem i wieczorem. To był trzeci lub czwarty dzień obozu. Kadra najprawdopodobniej wypłynęła na wieczorek zapoznawczy na cypel. Widocznie musiał przeciągnąć się do rana, bo na apelu kierownictwo było bardzo przetrzebione. Inspekcyjny przyjął raport od studentów, podaje do wszystkich: – „Bacność, w stronę raportu patrz” – a tu konsternacja. Nie ma ani kierownika, ani zastępcy. Zenia natychmiast zareagowała. Wystąpiła przed szereg i przyjęła raport. Honor kadry został uratowany. Trudno wyobrazić sobie obozy wędrowne bez Zeni. Wędrowała pieszo po górach i równinach, jeździła rowerami, uczestniczyła w spływach kajakowych. Pewnego razu spotkaliśmy się nad Jeziorem Białym. Ja byłem z harcerzami w ośrodku stacjonarnym, oni przemieszczali się rowerami już piąty dzień. Wówczas wędrowki trwały około 10 dni. Była z Jankiem, jako drugim opiekunem. Wyglądali nie najlepiej. My byliśmy na szczęście już po obiedzie. Mieli tak wesołą grupę, że finanse, które były przeznaczone na 10 dni, roztrwonili w pięć. Jasiu przysiadając się z Zenią do nas dyskretnie zapytał, czy mamy coś do jedzenia. Oczywiście, że mieliśmy – rosółek. Nakarmiliśmy całą grupę, która nabrawszy sił skierowała się w stronę Białej, aby uzupełnić zapasy. Chyba większość Dni Nauczyciela spędziliśmy przy bardzo aktywnym udziale Zeni. Wystarczyło tylko powiedzieć, że organizujemy, a dziewczyny szybko dogadały się, co do stawki i miejsca. Zawsze jest grupa osób, która przychodzi tylko na gotowe i grupa inicjatywna, która bierze wszystko na swoje barki. Zenia należała do tej drugiej. Chyba najpiękniejsze uroczystości przeżywaliśmy w Night Clubie, przy piosence biesiadnej i kapeli. Później tańczyliśmy do rana, dopóki zdrowia starczyło. Pamiętam taniec ze starszą koleżanką na jednym z letnich obozów w Pieszku. To było przy ognisku, na „Łysej polanie”. Późny wieczór, humory nam już dopisywały. Kazio wykonywał kolejny skok przez ognisko, a Tadzio grał niekończącą się serenadę. Ja z Zenią płąsamy wokół ogniska i przy jednej z ewolucji, tak niebezpiecznie pochylałam koleżankę, że zapalają się jej włosy. Szybko ugaszamy niepożądany pożar, a Zenia jak zwykle obróciła całe zajście w żart i na młodszego kolegę, nawet przez chwilę się nie gniewała. Była jednym z najbardziej lubianych przez studentów nauczycieli. Nie przypominam sobie, żeby gniewała się długo na studenta, który zalał jej za skórę. Sytuacje, które były trudne dla studenta i dwuznaczne, obracała w żart, dając mu do zrozumienia, że rozmawia z partnerem, a nie z niedostępnym prowadzącym. Byłem pełen podziwu, jak szybko nawiązywała kontakt ze studentami i jak szybko oni obdarzali ją zaufaniem. Była zapraszana niemal na wszystkie półmetki i bale magisterskie studentów studiów dziennych i zaocznych. Jej mat-

czyne podejście do każdego z nich sprawiało, że często zwierzały się jej z najgłębszych sekretów. Potrafiła słuchać, jak trzeba było to doradzić, a przede wszystkim wybaczać tak studentom, jak i bliskim. Widzę ją uśmiechniętą, jak na wieczornych spotkaniach pod domkiem u Janusza w Piszcu cierpliwie smażyła kolejną patelnię ryb. Wcześniej musieliśmy ryby oskrobać, co wymagało wielkiego samozaparcia i dużej cierpliwości ze względu na wszędobylskie komary. Stworzyliśmy nawet specjalną firmę, która dzień w dzień zajmowała się tym niezbyt miłym zajęciem i tu też Zenia nie dawała się wyprzedzić. Nawet jak któregoś roku przeniosła się do przyczepy kampingowej, to szybko część imprez zagościło pod jej skromnym zadaszaniem ogrodowym. Wracając z zajęć zwykle zachodziło się choć na chwilę do Zeni, na dobre słowo, na szklaneczkę schłodzonego piwa. Często wysłuchiwała naszych żalów, a nie pamiętam, żeby kiedykolwiek mi się skarżyła. Brylowaliśmy w jeszcze jednej dyscyplinie. Nazywali nas koszykarzami – Jacka, Andrzeja, Leszka, Renatę, Elżę i oczywiście Zenię. Wzięło się to stąd, że chodziliśmy na posiłki z koszykami. Nasze rodziny nie musiały prowadzić zajęć. Dlatego na nas spadł obowiązek przynoszenia zupek, świeżego chlebka, czasami drugiego dania i napojów. Patrzyłem na nią jak każdego ranka, bez cienia sprzeciwu, przemierzała dystans od domków kadry do stołówki i z powrotem. Czasami kilka razy dziennie. Niektórzy rezygnowali z posiłków, bo byli po długim i wyczerpującym wieczorku, ale nie Zenia. Ona miała przecież małe dzieci i czasami jeszcze kogoś na dokładkę. Nie narzekała i nie marudziła, że jest senna. Tak naprawdę, to nie mam pojęcia, kiedy odsypiała te nasze nocne spotkania. Przyszedł czas kiedy wszystkie ogniska robiliśmy za hangarem. Było blisko, ale sceneria niezbyt ciekawa. Cała organizacja spadała na Elżę i Zenię. Ognisko zaczynały dzieci, kontynuowali studenci, a kończyła kadra już we własnym gronie. Trzeba było przygotować opał, kielbaski, a także program artystyczny dla dzieci i całego obozu. Każda grupa studencka musiała przedstawić własny program artystyczny. Kadra miała swój. Jak one we dwie to ogarniały – do dziś nie wiem. Zachęcić studentów, aby naznosili opału, to już był problem. Ogniska dawały nam dużo radości i pozwalały rozładować stres po całodziennych trudach. Dzieci mieliśmy pod kontrolą i nie trzeba było ich szukać po całym ośrodku. Duże dzięki dziewczyny, za te niezapomniane chwile. Zenia była niezastąpionym kompanem w podróżach. Zarówno w tych do





Pisza, jak i z powrotem. Podczas jednej takiej podróży powrotnej, najpierw pojechaliśmy na rynek do Pizy, zrobiliśmy stosowne zakupy i dopiero wówczas wyruszyliśmy w dalszą podróż. To był wesoły autobus. Kto znał Zenię, wie jak bogaty miała repertuar przyspiewek i piosenek obozowych. Skończyliśmy śpiewać dopiero w Białej. Zachrypnięci, ogorzali, ale zadowoleni. Zenia często zapraszała grono najbliższych przyjaciół na swoją uroczą działkę w Styrzycu.





Wszystko wcześniej już przygotowywała sama. My zazwyczaj jechaliśmy z gębą na pączki. To były niezapomniane wieczory. Nie przeszkadzały nam natrętne meszki i komary – no chyba, że Tadkowi. Godzinami wspominaliśmy i snuli opowieści o tym, co było i co jeszcze wspólnie możemy przeżyć. Ostatnie nasze spotkania odbywały się w „Katedrze Złotej Rybki”, spotykaliśmy się często. Mieliśmy wewnętrzną potrzebę rozmawiania godzinami o sprawach błahych i bardzo ważnych. O tym, co nas intrygowało na co dzień i o naszych codziennych smutkach.

Zenia była bardzo dobrym słuchaczem i doskonałym obserwatorem. Nie czekała, aż się uzewnętrznimy, ale sama zaczynała – „...no i co tam słyhać w twojej sprawie”. Jeżeli tylko była w stanie, to ci doradziła i pomogła. Jeżeli nie, to miałaś wspaniałego słuchacza. W większym gronie, zwykle odzywała się rzadziej. Siadała na uboczu i przysłuchiwała się, potakiwała ze zrozumieniem, trzymając w dłoni nieodłączny atrybut – papierosa. To była jej słabość. Podczas ostatniej naszej rozmowy oznajmiła, że jedzie do Lublina na badania. Okazało się, że jest ciężko chora. Usunęła się w cień. Nie chciała zawracać nam głowy swoim cierpieniem. Kontaktowaliśmy się głównie przez Elę. Było coraz gorzej. Odeszła po cichu, tak jak żyła. Będzie nam Ciebie brakować Zeniu.

Przyjaciele



Teresa Jaślikowska-Sadowska

List do T...

Droga Tereniu

KIEDY piszę te słowa, Ciebie nie ma już wśród żywych. Wiedziałyśmy obie, że jesteś chora na nieuleczalną chorobę, ale nie przypuszczaliśmy (ja na pewno nie), że kres Twego ziemskiego życia nadejdzie tak szybko. Gdyby w tamtą noc (27 lipca) w szpitalu, kiedy wraz z Marzenką byliśmy przy Tobie, starając się ulżyć Twoim cierpieniom, sprostać Twoim potrzebom..., gdyby wtedy pielęgniarka lub dyżurna lekarka zasugerowała, że to mogą być ostatnie godziny Twego życia, na pewno inaczej pożegnałabym się z Tobą, a Marzenka nie dałaby się „wygonić” o 23.00 ze szpitala.

Wychodząc przed 22.00 z sali szpitalnej patrzyłam na Ciebie przez dłuższą chwilę. Leżałaś z zamkniętymi oczyma, włosy miałaś związane do tyłu (zupełnie inaczej niż zwykle), byłaś blada i przez głowę przemknęła mi myśl, że pewnie tak będziesz wyglądała w trumnie. Żegnając się z Tobą wzięłam Cię za rękę; była zimna, ale mimo to nie przypuszczałam, że tej nocy odejdziesz. Przecież jeszcze parę minut wcześniej rozmawiałam z Tobą. Mówiłam Ci, że jutro wezmę z banku pieniądze, żebyś miała na sierpień, kiedy ja wyjadę na wczasy. Powiedziałaś, żebym zapisała ile wypłacę, a ja odpowiedziałam, że będzie wydruk bankowy i będziesz wszystko wiedziała. To była nasza ostatnia rozmowa...

Potem kilkakrotnie mówiłaś do mnie i Marzenki, żebyśmy szły do domu, bo jesteś zmęczona i chcesz spać. Nie było mi łatwo wyjść, zostawiając, umęczoną ostatnimi dniami Marzenkę. Miałam jednak nadzieję, że jutro znowu się zobaczymy, że odpoczniesz, dostaniesz leki i będzie lepiej.

Rano, parę minut po 7.00 (28 lipca) obudził mnie telefon. To był krzyk rozpaczony Marzenki. Początkowo nie rozumiałam, co mówi, ale po chwili już wiedziałam – odeszłaś na zawsze o 5.30. Okazało się, że nie pozwolili Jej zostać w szpitalu na noc. A przecież leżałaś sama w izolatce, gdzie Jej obecność nikomu by nie przeszkadzała, a Ty, w tych ostatnich chwilach, nie byłabyś sama. Cóż, trafiłaś na bezduszny dyżurny personel oddziału wewnętrznego. Pozostał we mnie i w Marzence ogromny żal, że nawet w obliczu śmierci, dla wielu „ludzi” w białych fartuchach, ważniejsze są procedury niż chory człowiek. Dziś słowo „procedura” zwalnia wielu od odpowiedzialności i zwykłej ludzkiej wrażliwości.

Po telefonie Marzenki chwila otępienia, niedowierzania, zaskoczenia i łzy..., krótko, musiałam się zbierać, przecież Twoja siostra jest sama. Trzeba było zmierzyć się z zaistniałą sytuacją. Wejście do Twego domu, w którym Ciebie już nie ma, nie było łatwe. Marzenka i pani Ewa, zapłakane. Chyba z godzinę trwało, zanim mogliśmy wyjść z domu, by rozpocząć załatwianie formalności. Marzenka krzyczała i krzyczała, że nie pójdzie do szpitala! Ale przecież tam trzeba było wziąć „najważniejszy” papier – kartę zgonu. Potem Urząd Stanu Cywilnego – akt zgonu i skreślenie z listy obecności na Ziemi. Potem jeszcze ZUS, Zakład Pogrzebowy „Hades” (wybór trumny, tabliczki, klepsydry, którą nota bene źle wypisali), kościół – ustalenie terminu pogrzebu itd. itd...

Nie wiem, skąd wzięłam siłę i odwagę, żeby to wszystko przeżyć. Chyba rozpacz i bezradność Marzenki spowodowały, że musiałam to wszystko udźwignąć.

Wieczorem do Białej dojechał Marek (Twój brat), który wczesnym rankiem wyjechał z Wrocławia, by pomóc Marzence opiekować się Tobą, kiedy nie mogłaś już sama wstać z łóżka. Dopiero w Górze Kalwarii, stojąc w korku dowiedział się, że na opiekę jest już za późno...

W następnym dniu i następnym żyłam jak w amoku, nic nie było ważne: książka, którą redaguję na 40-lecie uczelni, moje ćwiczenia, taras, który robiłam w domu i miałam nadzieję, że wypijemy kawę pod parasolem, zakupy, gotowanie, nawet Julcia, z którą jeszcze kilka tygodni wcześniej odwiedziłam Ciebie i cieszyłaś się z tej wizyty.

Teraz były inne ważne sprawy, w co Cię ubrać na ten ostatni „występ”? Twoja przyjaciółka Hania mówiła, że lubiłaś biały kolor... Ostatecznie dostałaś czarną bluzkę, czarną spódnicę i biały żakiet. I tylko żadna z nas nie pomyślała, żeby „fryzjer” uczesał Cię tak, jak zwykle – z grzywką. Wyglądałaś trochę inaczej... Zawsze przywiązywałaś dużą wagę do swego wyglądu. I mnie kazałaś ładnie się ubierać.

Będzie mi brakować (już brakuje) naszych spotkań, sprzeczek – obie jesteśmy „charakterne” Tereski. Wpadałam czasem na krótko, bo ciągle się śpieszę; mam zawsze sto spraw na głowie. Kiedyś mi powiedziałaś, że jak mam tak wpadać, jak po ogień, to mogę wcale nie przychodzić. Wiem, potrzebowałaś ludzi, rozmów. Wiem też, że czekałaś na mój telefon; czasem sama dzwoniłaś. Chciałaś mnie mieć więcej dla siebie, a ja nie zawsze temu „zapotrzebowaniu” mogłam sprostać.

Mówiłaś mi wielokrotnie, że praca w AWF, wśród studentów była całym Twoim światem. Po odejściu na emeryturę, a potem, gdy choroba nie pozwalała Ci samodzielnie się przemieszczać, czułaś się coraz bardziej osamotniona. Tylko Twoja ukochana suczka „Diana” zawsze była przy Tobie.

Wiesz, kiedy Ty „jechałaś” z kaplicy do kościoła przy ul. Wyszyńskiego, ja odebrałam wiązankę i zabrałam z AWF Jurka i Krysie Kałużę, by pojechać za Tobą. Na skrzyżowaniu Akademickiej i Artyleryjskiej (przy stadionie) zatrzy-

małam się, aby skręcić w lewo. Na naszych oczach zderzyły się dwa auta. Tylko cud sprawił, że jedno z nich nie wpadło na nas. Nie wiem, co by się stało... To nie był dobry dzień! Po obiedzie, na który zaprosili mnie Marzenka i Marek, wracałam pieszo do domu z nowej restauracji „Skala”. Na przejściu dla pieszych, koło młyna, gdybym się nie zatrzymała, jakiś szalenciec po prostu by mnie przejechał.

Piszę ten list (jest już 10 sierpnia – cztery miesiące po katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem, którą tak bardzo przeżyłaś), po powrocie do kraju i coraz trudniej jest mi pogodzić się z myślą, że Ciebie fizycznie już nie ma. W uszach dźwięczy mi Twój charakterystyczny głos, przed oczyma stają mi obrazy z Tobą w roli głównej. Nawet wczoraj, gdy z Marzenką zapalałyśmy znicze, powiedziałam do Niej – Tereniu. Przecież jeszcze nie tak dawno razem porządkowałyśmy Twój rodzinny grobowiec. Boże, jak Ty o niego dbałaś. A teraz...? Tobie szumią zielone tuje, które posadziłam razem z p. Andrzejem – ogrodnikiem. Pamiętasz? Pierwsze się nie udały, uschły, ale te drugie są zielone i dostojne.

Wiesz, gdy teraz myślę o naszej znajomości (myślę, że mogę powiedzieć – przyjaźni) to stwierdzam, że ja tak naprawdę niewiele wiedziałam o Tobie prywatnie. Wiedziałam, że nie zawsze było Ci w życiu lekko, ale szczegółów mi nie zdradzałaś. Przede wszystkim dopiero teraz, gdy z Twoimi bliskimi przeglądałam Twoje fotografie odkryłam, że byłaś niezwykle utalentowaną osobą; i piękną. Myślę, że nie będziesz miała mi za złe, że wzięłam kilka zdjęć i zamieszczę je w książce. Niech inni Twoi znajomi poznają Cię również w całej okazałości.

Brakuje mi Ciebie! Ilekroć jadę Sidorską i mijam boczną uliczkę obok Aldika, w którą skręcałam do Ciebie, coś mnie ściska za gardło. Nie zawiozę Cię już do przychodni na comiesięczną kontrolę z nadzieją, że wyniki będą lepsze. Nie wypiję z Tobą kawy, nie przyniosę Ci wędliny, którą robi moja teściowa, a którą tak się „zajadałaś”. Nie pokłócę się z Tobą o to, że za każdą moją wizytę u Ciebie chcesz mnie obdarować „ptasim mleczkiem”. Nie opowiem Ci, co słyhać w AWF-ie. Chce mi się płakać i... płaczę.

Mam nadzieję, że razem z innymi, którzy są już „po tamtej stronie” – studentami i pracownikami AWF – stawisz się na Zjeździe Absolwentów we wrześniu.

A tymczasem opiekuj się mną i moją rodziną. Dziękuję Ci za wszystkie wspólne chwile.

ŻEGNAJ TERENIU!

„Śpieszmy się kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą...”

Jan Twardowski

TAKA BYŁA ...



DAWNIEJ

I

NIEDAWNO



TEATR PRZY PSS „SPOŁEM”



CHÓR PRZY PSS „SPOŁEM”



CHÓR PRZY PSS „SPOŁEM”



W „TYM ŚWIECIE” CZUŁA SIĘ NAJLEPIEJ



WŚRÓD SWOICH

Teresa Jaślikowska-Sadowska
Post scriptum



DOM DO GÓRY NOGAMI

Przebywając na urlopie na Kaszubach, kończyłam pracę nad redagowaniem niniejszej książki. Chcąc pokazać rodzinie miejsce osobliwe dla tego regionu, pojechaliśmy do Szymbarka. Tu, w kompleksie różnych symbolicznych obiektów, stoi „dom do góry nogami”. Obok umieszczono tablicę (tekst poniżej). Myślę, że warto przeczytać... i przemyśleć.



*Dom postawiony na dachu wbitym w ziemię? Czy to ma jakikolwiek sens? Przecież w takim domu nie można mieszkać... Czy jesteś tego pewien? Przecież na co dzień mieszkasz w domu, który nazywa się **ŚWIAT**. W domu, w którym codziennie jedni ludzie zabijają się w okrutny sposób, inni pokazują to na ekranach telewizorów jako newsy i dostają za to nagrody. W domu, w którym jedni tracą rozum z nadmiaru dóbr wszelakich i marzą o pigułce, która zapewni im nieśmiertelność, inni tracą rozum z po-*

wodu nędzy, niedostatku, niedoli swoich najbliższych. W domu, w którym nie brakuje symbolów wolności, demokracji, w którym działają organizacje o niezwykle szlachetnych celach, a jednak na oczach współmieszkańców wycina się w pierń całe narody. Nie mówcie więc, że nie da się mieszkać w „domu do góry nogami”, w domu postawionym na dachu. To nasz świat, nasz dom, tak mieszkamy... Dom, wbity dachem w ziemię to tylko jego metafora. Oto świat. Prawdziwy, a nie ten z uroczystych sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Taki dom na głowie, alegoria współczesnego świata, mógłby stanąć w każdym zakątku ziemi. W Polsce ma to szczególne uzasadnienie. W ostatniej chwili udało nam się postawić nasz przewracający się dom, budowany chaotycznie, zanurzony w oparach komunistycznego absurdu, ponownie na fundamenty. Wiele mu jeszcze brakuje, ale to nie tylko nasza wina. To odblask tego większego domu, który ciągle stoi na głowie.

Do naszego chorego domu-świata wchodzimy nie przez drzwi, lecz przez okno szczytowe. Idziemy po suficie, przechodzimy pod stolikiem, omijamy ostrożnie lampę, która przez nieuwagę może się przewrócić i podpalić cały nasz świat... Spoglądamy w lewo, do góry i widzimy łóżko oraz inne przedmioty. W następnym pomieszczeniu toaleta z czasów realnego komunizmu, przedmiot pożądania w absurdalnej gospodarce bonów, talonów i wiecznych braków. Wyposażenie łazienki opiera się na suficie. W innym pomieszczeniu znajdujemy telewizor emitujący propagandową audycję z czasów PRL. Nie trzeba go stawiać na głowie. Treść audycji jest wystarczająco absurdalna...

Wchodzimy na górę po nietypowych schodach, spoglądając na ściany z obrazami dziełami wybitnych polskich malarzy. Wystawa kilkudziesięciu prac malarskich pod wspólnym tytułem „Ratujmy ten świat” przedstawia zagrożenia oraz minione i współczesne plagi: komunizm, faszyzm, Auschwitz, głód, terrorizm, tsunami, zagrożenia ekologiczne, upadek wiary. Na końcu nasz Największy Rodak, patrzący na ten dziwny świat przez ręce ułożone w lornetkę. Uśmiecha się jednak, bo to światowy zjazd młodzieży, która zjechała się, by Go zapytać: Ojczy, jak żyć?... Oni są Jego i naszą nadzieją! Wszystkie obrazy jednych z najwybitniejszych polskich malarzy mają własny komentarz autorów.

Zwiedzający przechodzą dookoła komina, na którym ten dom się wspiera. Wkładają do skarboxy złotówkę dla dzieci polskich na Wschodzie, by mogły odwiedzić Ojczyznę. Miejsce, w którym ten dom powinien być stanąć, oddalone jest od Szymbarka o 38 km w prostej linii. Tam jest Stocznia Gdańska. Tam polscy robotnicy wywrócili system komunistyczny do góry nogami, a więc postawili świat na nogi... Plac przed Stoczną Gdańską, obok Pomnika Poległych Stoczniovców, to miejsce, na którym Jan Paweł II dał Polakom krótką, lecz jakże piękną naukę – równą w mądrości tej z Placu Zwycięstwa w Warszawie. Mówił nam, jak mamy Naszą Nową Ojczyznę budować.

Tam powinien być nasz dom, ale my jesteśmy szczęśliwi, że stoi on na Kaszubach, w Szymbarku. Tu na Kaszubach, szczególnie ważna jest przeszłość, bez której nie można zrozumieć teraźniejszości i przyszłości. Nasz dom nawiązuje także do legendy

o tym, jak powstały Kaszuby i pokazuje, co nas czeka, jeśli historia nie będzie dla nas magistra vitae – nauczycielką życia.

Kaszubi byli wśród tych, którzy stawiali nasz dom dachem do góry, wystarczy spojrzeć na strukturę zatrudnienia pracowników Stoczni Gdańskiej. Chcielibyśmy, by taki dom jak nasz, stanął w różnych zakątkach świata. By pomagał ludziom w zrozumieniu tego, co się zepsuło i co wymaga naprawy. Niech stanie zwłaszcza: naprzeciw Białego Domu, w pobliżu Kremla, w Brukseli, na Placu Niebiańskiego Spokoju... By możni tego świata mogli na niego spoglądać codziennie. Jan Paweł II pokazał Polakom, na jakich fundamentach powinno się opierać Niepodległe Państwo Polskie.

Przecież jesteśmy narodem, który takiego Syna wydał.